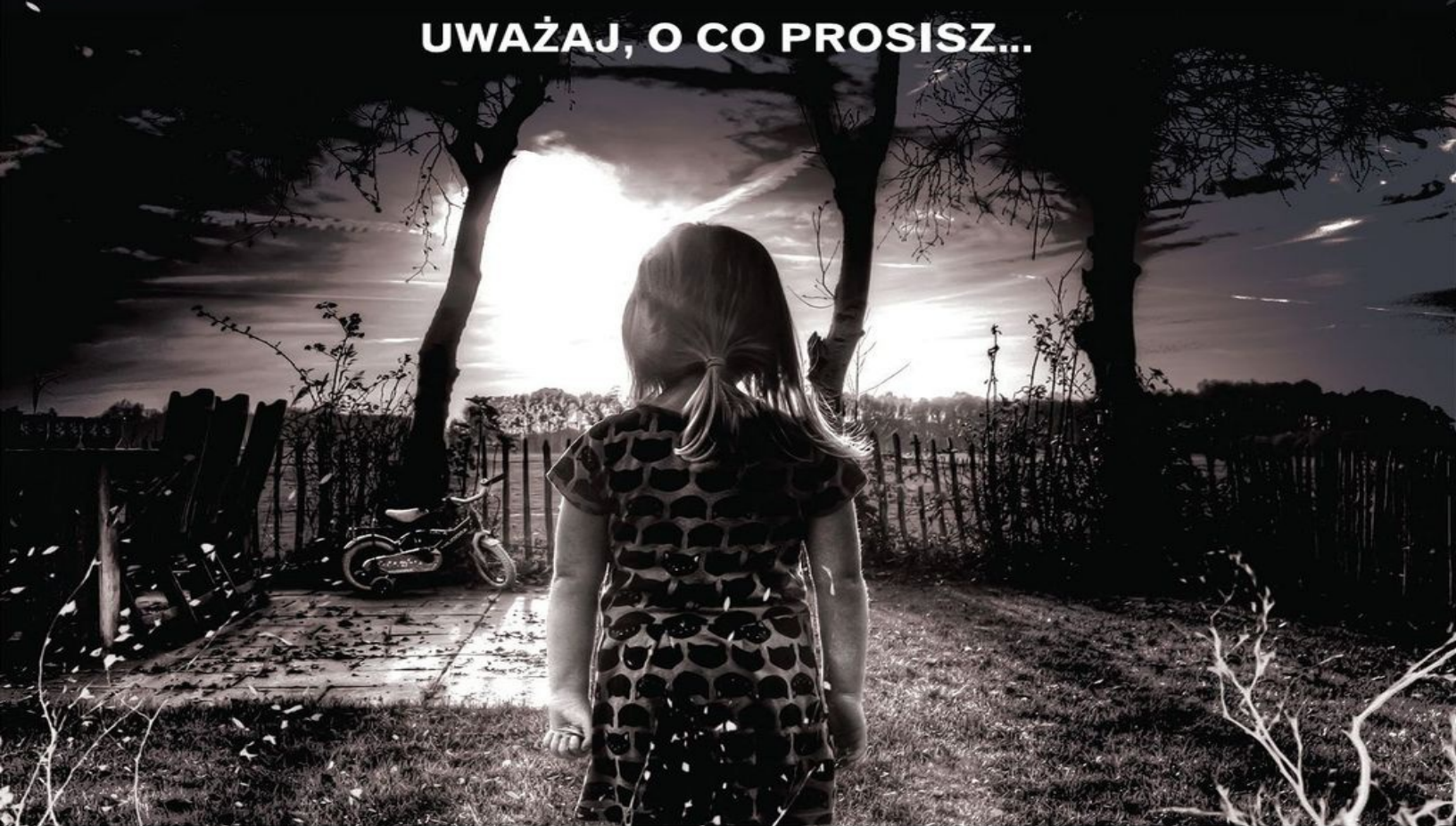


PETER JAMES

ŁUDZIE DOSKONALI

UWAŻAJ, O CO PROSISZ...



O książce

Nowa książka autora Domu na wzgórzu, uznanego przez polskich czytelników za NAJLEPSZY HORROR ROKU 2016 w plebiscycie portalu [Lubimy czytać!](#)

John i Naomi Klaessonowie chcieli dobrze. Właściwie chcieli tylko, żeby ich drugi syn był zdrowy i... żył.

Kiedy więc w prywatnej klinice dostali możliwość dowolnego skomponowania kodu DNA dziecka, poprosili o wyeliminowanie genu choroby, której oboje są nosicielami i która doprowadziła do śmierci ich pierwszego syna, i o kilka drobnych ulepszeń, no i o to, by był to chłopczyk. Nic wielkiego, zwłaszcza w porównaniu z setkami możliwości, które oferował im właściciel kliniki, Leo Dettore.

Jednak z „niczego wielkiego” wkrótce narodził się duży problem... A wtedy rozpętał się horror, o którym nie mogli nawet śnić w najgorszych koszmarach.

PETER JAMES

LUDZIE DOSKONALI

Z angielskiego przełożył
PAWEŁ LIPSZYC



Wydanie elektroniczne

PETER JAMES

(ur. 1948 r.)

Angielski autor kryminałów, scenariuszy sztuk teatralnych, odznaczony nagrodą Diamond Dagger za całokształt twórczości. Jest jedynym brytyjskim pisarzem, który regularnie towarzyszy oddziałom policji w przeprowadzanych akcjach i uczestniczy w konferencjach na temat technik śledczych. Wśród policjantów ma reputację człowieka, który doskonale wie, o czym mówi, a przez fanów został uznany za Najlepszego Autora Kryminałów Wszech Czasów.

James ma za sobą karierę producenta filmowego i scenarzysty, ale od kiedy powołał do życia postać Roya Grace'a, który stał się jednym z ulubionych bohaterów czytelników na całym świecie, zdecydował się na pełnoetatową karierę pisarską.

Peter James jest zdobywcą wielu ważnych międzynarodowych nagród, m.in. Prix Polar International, francuskiej Prix Coeur Noir, niemieckiej Krimi-Blitz Award i amerykańskiej nagrody Barry.

Polscy czytelnicy nagrodzili jego powieść **Dom na wzgórzu** mianem najlepszego horroru roku 2016 w plebiscycie portalu **Lubimy czytać!**

Tego autora

DOM NA WZGÓRZU
LUDZIE DOSKONALI

Tytuł oryginału:
PERFECT PEOPLE

Copyright © Really Scary Books/Peter James 2011
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Paweł Lipszyc 2017

Redakcja: Grażyna Dziedzic

Zdjęcie na okładce: Skitter Photo/StockSnap

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

ISBN 978-83-7985-429-5

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

(dawniej Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.)

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Magdalena Wojtas, 88em.eu

*Dla Tony'ego Mullikena,
któremu tak wiele zawdzięczam*

1

Późnym kwietniowym popołudniem, trzydzieści mil morskich na wschód od Cape Cod, smagana wiatrem młoda para o zatroskanych twarzach, zaciskając dłonie na relingu, stoi z bagażem na lądowisku dla helikopterów przerobionego statku pasażerskiego.

Oboje wiedzą, że jest już za późno na wątpliwości.

Zamalowane wgniecenia, pęknięcia i nity czterdziestoletniego statku *Serendipity Rose*¹ upodabniają go do starej dziwki próbującej się upiększyć makijażem. Gdy tak brnie przez wzburzone fale, z panamską banderą łopoczącą na rufie, wiatr rozrywa na strzępy wstęgę dymu z żółtego komina. Statek płynie na tyle szybko, by stabilizatory działały, ale nie spieszy się, nie dąży do żadnego celu. Bezpiecznie meandruje poza liczący dwanaście mil morskich pas wód terytorialnych Stanów Zjednoczonych. Z dala od amerykańskiego prawa federalnego.

Trzydziestokilkuletni John Klaesson, w kurtce z futrzaną podpinką, grubych bawełnianych spodniach i skórzanych żeglarskich półbutach, przypomina bardziej ogorzałego alpinistę czy podróżnika niż pracownika akademickiego, którym jest. Szczupły i silny, ma ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, krótkie jasne włosy, łagodne niebieskie oczy za małymi owalnymi okularami i przystojną, poważną twarz o nordyckich rysach, z lekką kalifornijską opalenizną.

Jego żona Naomi, w dżinsach i czarnych zamszowych butach na lateksowej podeszwie, ostrożnie próbuje utrzymać równowagę, kuląc się w długim płaszczu z wielbłądziej wełny założonym na żakiet. Splątane kosmyki modnie przyciętych na

pazia jasnych włosów smagają śliczną twarz, podkreślając chłopięcy nieco wygląd. Jest znacznie bledsza niż zazwyczaj.

Nad ich głowami unosi się helikopter, którym tu przylecieli. Maszyna krwawi spalinami na wietrze, ciągnąc własny cień po statku niczym wielki pusty wór. John tak właśnie się teraz czuje: jakby wysypano go z worka. Z głową pochyloną z powodu huku i malstromu, wyciągniętą ręką pomaga żonie stanąć, ujmuje jej szczupłe ciało pod miękkim płaszczem i czuje, że jest jej bliski, rozpaczliwie bliski. Pragnie ją chronić.

Czuje się też odpowiedzialny.

Wiatr jest tak porywisty, że John musi oddychać haustami; sól pokrywa okulary, spaliny drapią w ustach i wyschniętej ze zdenerwowania krtani. Włosy Naomi smagają go po twarzy jak bicze. Pokład to opada pod nim, to się wznosi, napierając na stopy jak podłoga windy, aż żołądek podchodzi do gardła.

Łoskot wirników w górze nie zagłusza odgłosu szurania. Po raz pierwszy w życiu leciał helikopterem, a po godzinie wznoszenia się i opadania nad Atlantykiem nie jest mu spieszno do powtórzenia tego przeżycia. Czuje mdłości, jakich dostaje się po przykrej jeździe kolejką w wesołym miasteczku, kiedy mózg zaczyna wirować wokół jednej osi, a narządy wewnętrzne wokół drugiej. Spaliny również nie pomagają. Podobnie jak obezwładniająca woń farby i lakieru oraz pokład wibrujący pod stopami.

Naomi obejmuje męża w pasie i ściska przez skórzaną kurtkę z grubą podpinką. John ma niezłe pojęcie o tym, co się dzieje w jej głowie, bo przeżywa to samo. Przykre poczucie ostateczności. Dotychczas wszystko było zaledwie pomysłem, który w każdej chwili mogli porzucić. Teraz już nie. Patrząc na żonę, myśli: Tak bardzo cię kocham, moja Naomi. Jesteś taka dzielna. Czasem wydaje mi się, że jesteś znacznie dzielniejsza niż ja.

Helikopterem rzuca na bok, ryk silnika się wzmacnia, światło na kadłubie miga, potem maszyna skręca, sunie nad wodą, ostro nabiera wysokości i zostawia ich w tyle. John patrzy za

helikopterem, a potem opuszcza wzrok na spieniony ocean ciągnący się ku niewyraźnemu horyzontowi.

– OK? Proszę za mną.

Wychodzi ich powitać uprzejmy, poważny Filipińczyk w białym kombinezonie. Bierze ich bagaże i otwiera drzwi.

John i Naomi przestępują próg i schodzą pod pokład, a drzwi zatraskują się za nimi, odgradzając ich od żywołów. W nagłej ciszy widzą na ścianie oprawioną mapę oceanu, uderza ich ciepło, czują jeszcze silniejszą woń farby i lakieru. Podłoga trzeszczy pod stopami. Naomi ściska męża za rękę. Marna z niej żeglarka, zawsze tak było – na niewielkich jeziorkach dostaje choroby morskiej – a dzisiaj nie może nic zażyć. Żadnych pigułek, żadnych leków; będzie musiała dać radę. John odwzajemnia uścisk, próbując dodać otuchy zarówno Naomi, jak i sobie.

Czy postępujemy słusznie?

Tysiące razy zadawał sobie to pytanie. Będzie je zadawał jeszcze całymi latami. Teraz może tylko przekonywać żonę i siebie, że, owszem, postępują słusznie. To wszystko. Robią to, co należy.

Naprawdę tak jest.

2

Kajutę, która przez kolejny miesiąc miała być ich domem, w broszurze pływającej kliniki opisano szumnie jako „prywatną kabinę”. Na jej wyposażenie składało się podwójne łóżko, niewielka kanapa, dwa równie niewielkie fotele oraz okrągły stół, na którym stała misa z owocami – wszystko upchnięte na przestrzeni wielkości małego pokoju hotelowego. W telewizorze wysoko w rogu leciały wiadomości CNN. Przemawiał prezydent Obama, ale połowę jego słów zagłuszały zakłócenia.

Wyłożona marmurem łazienka, choć ciasna, sprawiała wrażenie luksusowej – w każdym razie tak by było, pomyślała Naomi, gdyby przestała się kołysać i gdyby dało się w niej stanąć bez podpórki. Naomi uklękła, by zebrać rzeczy z kosmetyczki Johna turlające się po podłodze, lecz nagle poczuła falę zawrotów głowy i mdłości i wyprostowała się.

– Pomóc ci? – spytał John.

Pokręciła głową. Potem, zatoczywszy się przy nagłym przechyle statku, raptownie usiadła na łóżku, o mały włos nie zawadzając o komputer męża.

– Myślę, że mam około czterech minut na rozpakowanie się, zanim wszystko zwymiotuję.

– Mnie też jest niedobrze – przyznał John i zerknął na informacje dotyczące bezpieczeństwa. Był tam plan ewakuacji i rysunek pokazujący, jak włożyć kamizelkę ratunkową.

– Może połkniesz pigułkę przeciwko chorobie morskiej? – zaproponowała. – Przecież ci wolno.

– Jeśli tobie nie wolno, ja też nie połykam. Będę cierpiał razem z tobą.

– Męczennik! – Naomi odwróciła głowę, pochyliła się w przód i pocałowała go w policzek.

Ciepła, szorstka skóra męża oraz odurzający piżmowy zapach wody kolońskiej dodały jej otuchy. Gdy była nastolatką, na filmach zawsze pociągali ją silni, małomówni, inteligentni mężczyźni – w typie ojca, jakiego pragnęłyby mieć. Kiedy przed ośmioma laty poznała Johna, w kolejce do wyciągu narciarskiego w Jackson Hole w stanie Wyoming, największe wrażenie wywarły na niej właśnie te cechy: przystojna twarz i wewnętrzna siła.

– Kocham cię, John – powiedziała, całując go ponownie.

Spojrzał jej w oczy, które czasem miały barwę zieleni, czasem stawały się piwne, ale zawsze przepełniał je wyraz bezgranicznej ufności i migotały w nich ogniki. Myśl o żonie przeszła mu serce nagłym bólem.

– A ja cię uwielbiam, Naomi. Uwielbiam cię i podziwiam.

– Ja też cię podziwiam – odparła z melancholijnym uśmiechem. – Nie masz pojęcia jak bardzo.

Na kilka minut zapadło milczenie. Po śmierci Halleya musiało upłynąć sporo czasu, zanim sprawy między nimi się naprawiły, a w ciągu początkowych dwóch ponurych lat Naomi wielokrotnie obawiała się, że jej małżeństwo się skończyło.

Halley był silnym dzieckiem. Nadali mu imię na cześć komety, bo John uznał, że mały jest wyjątkowy, a dzieci takie jak on przychodzą na świat dość rzadko, może raz na siedemdziesiąt pięć lat, pewnie nawet rzadziej. Ani John, ani Naomi nie wiedzieli, że ich syn urodził się z bombą zegarową tykającą w ciele.

Do dziś nosiła w torebce jego zdjęcie. Przedstawiało trzylatka w ogrodniczkach, ze zmierzwioną szopą jasnych włosów, jakby właśnie wypelzł z suszarki. Uśmiechał się szeroko do aparatu, odsłaniając dziurę po dwóch przednich zębach, które stracił, gdy zleciał z huśtawki.

Po śmierci syna John długo nie chciał – lub nie potrafił – przeżywać żałoby albo o nim mówić. Całkowicie pogrążył się

w pracy, szachach i fotografii; bez względu na pogodę całymi godzinami chodził z aparatem i robił zdjęcia absolutnie wszystkiego, co zobaczył, obsesyjnie i bez celu.

Naomi próbowała wrócić do pracy. Dzięki wstawiennictwu przyjaciółki z Los Angeles dostała dobrą tymczasową posadę w firmie PR, ale ponieważ nie mogła się skoncentrować, po paru tygodniach odeszła. Bez Halleya wszystko wydawało się jej płytkie i bezsensowne.

W końcu oboje poszli na terapię; zakończyli ją dopiero przed kilkoma miesiącami.

– Co czujesz w związku z... – spytał John.

– Byciem tutaj?

– Tak. Co czujesz, kiedy wreszcie tu dotarliśmy?

Stojąca na komodzie taca z butelką wody mineralnej i dwiema szklankami przesunęła się o kilka centymetrów, po czym znieruchomiała.

– Nagle to wszystko wydaje się bardzo realne. Jestem zdenerwowana jak diabli. A ty?

– Kochanie, jeśli na jakimkolwiek etapie zechcesz przerwać... – John czule pogładził żonę po włosach.

Aby to sfinansować, zaciągnęli ogromną pożyczkę w banku; poza tym matka Naomi i Harriet, jej siostra z Anglii, uparły się, by im pożyczyć dodatkowe sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Cała kwota, czterysta tysięcy, została już wpłacona i nie podlegała zwrotowi.

– Podjęliśmy decyzję – powiedziała Naomi. – Trzeba iść dalej. Nie musimy...

Rozmowę małżonków przerwało pukanie i głos:

– Obsługa!

Drzwi się otworzyły i na progu uśmiechnęła się do nich niska, sympatyczna Filipinka w białym kombinezonie i tenisówkach.

– Doktorze Klaesson, pani Klaesson, witamy na pokładzie. Mam na imię Leah i będę waszą stewardesą. Czy coś państwu przynieść?

– Oboje mamy mdłości – powiedział John. – Czy żonie wolno coś zażyć?

– Naturalnie, zaraz coś przyniosę.

– Naprawdę? – zdziwił się John. – Sądziłem, że nie ma lekarstwa...

Stewardesa zamknęła drzwi, a niespełna minutę później wróciła z dwiema parami opasek na nadgarstki i dwiema parami małych plastrów. Odsłoniwszy mankiety kombinezonu, pokazała, że sama nosi podobne opaski; następnie zademonstrowała plastry za uchem.

– Kiedy je założycie, nie będzie wam niedobrze – powiedziała, po czym pokazała, jak to zrobić.

Naomi nie miała pewności, czy polegało to na efekcie placebo, czy to naprawdę działało, w każdym razie już kilka minut po odejściu stewardesy poczuła się nieco lepiej. Przynajmniej na tyle, by wrócić do rozpakowywania bagaży. Wyprostowała się i przez chwilę wyglądała przez jeden z dwóch bulajów na ciemniejący ocean. Po chwili odwróciła się jednak, bo widok fal momentalnie znów wywołał mdłości.

John całą uwagę skierował na swój laptop. Podczas podróży przestrzegali pewnej zasady: ona rozpakowywała się, a on nie wchodził jej w drogę. Był najgorszym na świecie pakowaczem i jeszcze gorszym rozpakowaczem. Naomi patrzyła z rozpaczą na rzeczy z mężowskiej walizki, które porzucił wszędzie w poszukiwaniu ładowarki. Część jego ubrań leżała na kapie na łóżku, inne cisnął na fotel, jeszcze inne na podłogę. Wpatrywał się bacznie w ekran, nieświadom chaosu, jaki wokół siebie stworzył.

Z szerokim uśmiechem Naomi zebrała krawaty i pokręciła głową. Gniewanie się nie miało sensu.

John poprawił opaski na nadgarstkach, dotknął plastra za uchem, lecz mdłości nie ustawały. Próbując ignorować kołysanie statku, skoncentrował się na partii szachów rozgrywanej z niejakim Gusem Santiano z Brisbane w Australii, poznanym na portalu szachowym.

Grał z tym człowiekiem już od paru lat. Nigdy nie spotkali się poza cyberprzestrzenią, John nie wiedział nawet, jak wygląda jego przeciwnik. Australijczyk grał ostre szachy, ale w tej konkretnej partii coraz dłużej zastanawiał się między posunięciami, utrzymując beznadziejną pozycję ze zwykłej złośliwości. Znudzony John zaczął się zastanawiać nad znalezieniem nowego przeciwnika. Gus tymczasem zrobił kolejny bezsensowny ruch.

– Pieprz się, panie Santiano.

John zaszachował przeciwnika. Gus miał hetmana, dwa gońce i wieżę mniej, nic nie mogło go uratować, więc czemu, do diabła, po prostu się nie podda? John napisał maila z taką propozycją i podłączył komórkę do komputera, aby go wysłać. Brak sygnału.

Za daleko wypłynęliśmy w morze, pomyślał. Przy łóżku stał telefon z łączem satelitarnym, ale na plakietce była informacja, że minuta kosztuje dziewięć dolarów. Za drogo. Gus Santiano będzie musiał poczekać w napięciu.

John zamknął folder szachowy, otworzył pocztę elektroniczną i zaczął się przekopywać przez dziesiątki wiadomości, które ściągnął tego ranka, ale nie miał jeszcze okazji przeczytać. Na myśl o wysyłaniu i odbieraniu maili, skoro przez kolejny miesiąc mieli się znajdować poza zasięgiem sygnału komórkowego, ogarnęła go lekka panika. Na Uniwersytecie Południowej Kalifornii, gdzie prowadził laboratorium badawcze, otrzymywał przeciętnie sto pięćdziesiąt maili dziennie. Dzisiaj odebrał blisko dwieście.

– To niesamowite, kochanie! Pamiętasz, żebyś to czytał?

John podniósł wzrok i zobaczył, że Naomi trzyma otwartą broszurę.

– Zamierzałem przeczytać to za chwilę jeszcze raz.

– Mają tylko dwadzieścia prywatnych kabin dla klientów. Ładny eufemizm. Miło słyszeć, że jesteśmy klientami, a nie pacjentami. – Naomi czytała dalej: – Dawniej statek zabierał na pokład pięciuset pasażerów, obecnie dwa główne pokłady z kabinami są całkowicie zajęte przez komputery. Mają na

pokładzie pięćset superkomputerów! W głowie się nie mieści! Po co im tyle mocy obliczeniowej?

– Genetyka wymaga obliczeń na wielką skalę. Między innymi za to płacimy. Pokaż.

Naomi wręczyła mężowi broszurę. Spojrzał na zdjęcie przedstawiające długi, wąski rząd niebieskich komputerów i samotnego operatora w bieli, który sprawdzał coś na monitorze. John wrócił na początek broszury i przyjrzał się fotografii, którą wcześniej widział na stronie internetowej naukowca; pamiętał ją też z wywiadów telewizyjnych i licznych artykułów ukazujących się zarówno w prasie naukowej, jak i popularnej. Chociaż znał ją już niemal na pamięć, pobieżnie przeczytał biografię naukowca.

Doktor Leo Dettore był cudownym dzieckiem. W wieku szesnastu lat ukończył z wyróżnieniem biologię na MIT, następnie obronił doktorat z biologii i medycyny na Stanfordzie, potem przyszła kolej na badania w dziedzinie biotechnologii na Uniwersytecie Południowej Kalifornii i w Instytucie Pasteura we Francji. Później Dettore wyodrębnił i opatentował modyfikację kluczowego enzymu, który pozwalał na wydajną replikację genów, dzięki czemu reakcja łańcuchowa polimerazy przestawała być potrzebna. Dzięki tym dokonaniom został miliarderm, otrzymał tytuł MacArthur Fellow, chcieli go też uhonorować Nagrodą Nobla, której jednak nie przyjął, wywołując szum w społeczności naukowej stwierdzeniem, że, jego zdaniem, każda nagroda ma zabarwienie polityczne.

Niezależny genetyk nie przestawał szokować medycznego establishmentu. Jako jeden z pierwszych zaczął uzyskiwać patenty na ludzkie geny i aktywnie zwalczał prawodawstwo blokujące takie patenty.

W chwili obecnej Leo Dettore należał do najbogatszych naukowców na świecie, niewykluczone, że był też najbardziej kontrowersyjny. Potępiany przez przywódców religijnych w Stanach Zjednoczonych i wielu innych krajach, został pozbawiony prawa praktykowania medycyny w Stanach, gdy publicznie przyznał, że prowadzi doświadczenia na embrionach,

które później przeznaczano na straty. Dettore niewzruszenie
bronił swoich przekonań.

Teraz pukał do drzwi ich kabiny.

3

Gdy Naomi otworzyła drzwi, powitał ją wysoki mężczyzna w białym kombinezonie i tenisówkach – najwyraźniej standardowym stroju na statku. W dłoni trzymał grubą kopertę. John natychmiast go rozpoznał i wstał.

Zdziwiło go, jak imponujący okazał się genetyk w rzeczywistości, znacznie wyższy, niż John się spodziewał, o dobrą głowę wyższy od niego; musiał mieć ponad metr dziewięćdziesiąt. Poza tym John rozpoznał głos – rozbijający południowokalifornijski akcent znamionujący pewność siebie – zapamiętany z rozmów telefonicznych prowadzonych w ostatnich miesiącach.

– Doktor Klaesson? Pani Klaesson? Jestem Leo Dettore. Mam nadzieję, że państwu nie przeszkadzam.

Człowiek, któremu oddali praktycznie wszystkie swoje pieniądze oraz sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów, które do nich nie należały, niespiesznie i mocno uścisnął dłoń Naomi, patrząc jej w oczy. W bystrych, czujnych szarych oczach genetyka migotały ciepłe ogniki. Naomi zmusiła się do uśmiechu i ze zgrozą zerknęła na ubrania walające się wokół Johna, żałując, że nie zdążyła posprzątać.

– Nie, zupełnie nam pan nie przeszkadza. Proszę wejść – powiedziała.

– Chciałem tylko wpaść, przedstawić się i dać państwu coś do czytania. – Musiał się schylić, by wejść do kabiny. – Bardzo się cieszę, że w końcu pana poznaję, doktorze Klaesson.

– Cała przyjemność po mojej stronie, doktorze Dettore.

Uścisk dłoni genetyka był silny; ten człowiek przejmował kontrolę nad powitaniem, najwyraźniej tak jak nad całą resztą. John poczuł chwilowe zakłopotanie, bo odniósł wrażenie, że Dettore sygnalizuje mu coś uśmiechem, jak gdyby łączył ich tajny pakt. Może chodziło o niewypowiedziane porozumienie między dwoma naukowcami, którzy pojmowali znacznie więcej niż Naomi.

Nie taka była jednak intencja Johna. Na samym początku on i Naomi podjęli decyzję wspólnie, świadomie i na równych zasadach. Niczego nie chciał przed nią ukrywać; nie zamierzał przeinaczać ani przekręcać żadnych faktów. Koniec, kropka.

Szczupły i opalony, o szacownej śródziemnomorskiej urodzie, Leo Dettore wprost emanował pewnością siebie i wdziękiem. Zęby miał w nienagannym stanie, zaczesane schludnie do tyłu ciemne i bujne włosy z pasemkami siwizny na skroniach robiły wrażenie. Chociaż miał sześćdziesiąt dwa lata, bez trudu mógł uchodzić za człowieka o dobre dziesięć lat młodszego.

Naomi bacznie mu się przyglądała, szukając rys na fasadzie, próbując zgłębić nieznanego, któremu w praktyce powierzali całą swoją przyszłość; obserwowała jego twarz i mowę ciała. Jej pierwszą reakcją było rozczarowanie. Otaczała go aura, z jaką stykała się w pracy w firmie PR, aura, którą roztaczali tylko ludzie bardzo zamożni, ta niemal nieuchwytna cecha, jaką dawało się kupić jedynie za majątek. Genetyk był zbyt gładki, zbyt fotogeniczny, za bardzo przypominał kandydata na prezydenta przymilającego się o głosy albo magnata przemysłowego gawędzącego na spotkaniu udziałowców. O dziwo jednak, im dłużej mu się przyglądała, tym większego nabierała do niego zaufania. Mimo wszystko było w nim coś autentycznego.

Po chwili zwróciła uwagę na jego dłonie. Miał delikatne palce. Nie były to palce polityka ani biznesmena, ale prawdziwego chirurga, długie, owłosione, o nienagannych paznokciach. Naomi przypadł też do gustu jego głos, szczery i kojący. Cała fizyczność doktora Dettorego świadczyła o jego pewności siebie. Potem – jak

często w minionych tygodniach – przypomniawszy sobie, że zaledwie parę miesięcy wcześniej „Time” zamieścił na okładce jego zdjęcie z pytaniem: FRANKENSTEIN DWUDZIESTEGO PIERWSZEGO WIEKU?

– Wie pan, intryguje mnie pańska praca, doktorze Klaesson – powiedział genetyk. – Może w najbliższych dniach zdołamy o niej porozmawiać. Kilka miesięcy temu czytałem pański artykuł w „Nature”... Czy to był numer lutowy?

– Zgadza się.

– Geny wirtualnego psa. Fascynujące!

– To był duży eksperyment – powiedział John. – Trwał blisko cztery lata.

Opracował symulację komputerową, pokazującą ewolucję psa na tysiąc pokoleń naprzód.

– Doszedł pan do wniosku, że psy stały się tak bliskie ludziom, że w miarę jak będziemy ewoluować, z nimi będzie podobnie. W rezultacie, w miarę jak dominacja ludzi na planecie będzie rosła, psy staną się coraz inteligentniejsze. Ten oryginalny tok myślowy bardzo mi się spodobał.

Fakt, że naukowiec rangi Dettorego nie tylko czytał, ale wręcz chwalił jego pracę, pochlebiał Johnowi.

– Tak naprawdę polegało to na opracowaniu kilku kluczowych algorytmów, które wyjaśniały, jak przewyciężenie epistazy wpływa na szybkość procesu adaptacji – odparł skromnie.

– Ale nie przeprowadził pan jeszcze symulacji ewolucji człowieka na tysiąc pokoleń w przyszłość?

– To zupełnie nowy zbiór parametrów. Po pierwsze, napisanie programu stanowi nie lada wyzwanie, po drugie na Uniwersytecie Południowej Kalifornii nie dysponujemy taką mocą obliczeniową. Ja...

– Myślę, że powinniśmy o tym porozmawiać – przerwał mu Dettore. – Gdyby mogło to posunąć sprawy naprzód, mógłbym przekazać darowiznę.

– Z radością o tym pomówię – zapewnił John, podniecony myślą, że pieniądze Dettorego mogłyby się przyczynić do postępu jego badań, w tej chwili nie chciał jednak zbaczać z głównego kursu. Na tym statku najważniejsza była Naomi, nie jego praca.

– Świetnie. W najbliższych tygodniach będziemy mieli mnóstwo czasu. – Dettore umilkł, spojrzał najpierw na Johna, potem na jego żonę. – Jest mi naprawdę bardzo przykro z powodu tego, co się stało z państwa synem.

Naomi wzruszyła ramionami, czując takie samo ukłucie bólu, jakie pojawiała się, ilekroć o tym mówiła.

– Dzięki – wykrztusiła głosem zdławionym przez emocje.

– To bardzo trudna rzecz. – Genetyk utkwiał w niej spojrzenie szarych oczu i dodał: – Ludzie, którzy nie przeżyli śmierci dziecka, nie mogą mieć o tym pojęcia.

Skinęła głową.

Nagle posmutniawszy, Dettore zwrócił się do Johna, jakby pragnął włączyć go do rozmowy.

– Moja była żona i ja straciliśmy dwoje dzieci: jedno miało rok, gdy zmarło na dziedziczną chorobę genetyczną, drugie w wieku sześciu lat na zapalenie opon mózgowych.

– Nie... nie wiedziałam. Naprawdę bardzo mi przykro – powiedziała Naomi, po czym zwróciła się do męża: – Nie wspominałeś mi o tym.

– Ja też nie wiedziałem – rzekł John. – Przykro mi.

– Nie było powodu, żebyście państwo wiedzieli. Nie trąbię o tym wszem wobec. Postanowiliśmy, że zachowamy to w tajemnicy. Ale... – Genetyk rozłożył ręce. – Jest to jedna z głównych przyczyn, dla których tutaj jestem. W życiu wydarzają się pewne rzeczy, do których nie powinno dochodzić, a nauka może im zapobiec. W gruncie rzeczy na tym właśnie polega działalność tej kliniki.

– I dlatego tu jesteśmy – zauważyła Naomi.

– Jak minęła państwu podróż? – spytał z uśmiechem Dettore. – Złapaliście nocny lot z Los Angeles?

– Polecieliśmy w dzień i spędziliśmy wczorajszy wieczór w Nowym Jorku – odparł John. – Zjedliśmy kolację z przyjaciółmi. Lubimy nowojorskie restauracje.

– Jedną z dziedzin interesujących mojego męża jest jedzenie – wtrąciła Naomi. – Tyle że każdą potrawę traktuje jak doświadczenie naukowe. Wszyscy świetnie się bawią, ale z jego jedzeniem zawsze jest coś nie tak. – Ciepło uśmiechnęła się do męża.

– Przyrządzanie potraw to nauka. – Uśmiechnął się, kiwając przepraszająco głową. – Nie zamierzam płacić za testy laboratoryjne jakiegoś mistrza kuchni.

– Ciekawe, jak ocenicie państwo jedzenie na pokładzie – powiedział Dettore.

– Czuję się tak, że raczej nie zdołam spojrzeć na jedzenie – przyznała się Naomi.

– Lekka choroba morską?

– Lekka.

– Prognoza na najbliższe kilka godzin nie jest dobra, potem ma się przejaśnić. Jutro powinien być piękny dzień. – Genetyk zawahał się i zapadło niezręczne milczenie. Gdy statkiem rzuciło, oparł się ręką o ścianę. – Plan jest następujący: Dziś wieczorem się rozgościcie i zjecie kolację w kabinie. – Podał im kopertę. – Naomi, to jest formularz dotyczący stanu zdrowia. Chciałbym cię prosić o wypełnienie go. Oboje powinniście też podpisać zgodę. Wkrótce pielęgniarka pobierze od was próbki krwi. Już przeanalizowaliśmy te, które nam przysłaliście, sporządziliśmy mapę waszych genomów. Rano im się przyjrzymy. Spotykamy się w moim gabinecie o dziesiątej. Czy mógłbym jeszcze coś dla was zrobić?

Wcześniej Naomi sporządziła listę miliona pytań, które chciała zadać, ale teraz, z podrygującymi wnętrznościami, skupiła się tylko na jednym: za wszelką cenę starała się nie wymiotować.

Dettore wyjął z kieszeni mały pojemnik i wręczył Naomi.

– Proszę zażywać jedną dwa razy dziennie z jedzeniem. Wiemy, że ten lek pomoże epigenetycznie zmodyfikować płód natychmiast po poczęciu. – Uśmiechnął się i ciągnął: – Jeśli zechce pani o czymkolwiek porozmawiać, proszę po prostu podnieść słuchawkę i wybrać mój numer wewnętrzny. Do zobaczenia rano. Dobrej nocy.

Leo Dettore zniknął.

– Czy on ma świetne geny, świetnego chirurga plastycznego, czy świetnego dentystę? – spytała męża Naomi.

– Co o nim sądzisz? – John spojrział na nią z niepokojem.

Twarz jej pobiadła, po policzkach spływał pot.

Naomi upuściła pojemnik i rzuciła się do łazienki.

4

Dziennik Naomi

Ledwo daję radę pisać. Już dwukrotnie wymiotowałam. Jest trzecia nad ranem. Ręka boli mnie od trzeciego wklucia. Trzy pobrania krwi. Po co tej pielęgniarce aż tyle? Co prawda była bardzo miła, przepraszała. Wszyscy są tu mili. John zamówił wielką kolację, ale nawet jej nie tknął, bo od zapachu jedzenia robi mu się niedobrze. Mnie też!

Kabina wibruje, ponieważ silniki statku pracują. Pielęgniarka, Yvonne, sympatyczna czarnoskóra kobieta, powiedziała, że kiedy morze jest spokojne, w nocy zazwyczaj dryfują albo rzucają kotwicę, ale gdy jest wzburzone jak teraz, włączają silniki i płyną, dzięki czemu statek jest bardziej stabilny.

Wcześniej dzwoniłam do mamy – bardzo krótka rozmowa (dziewięć dolarów za minutę!) – żeby powiedzieć, że tu jesteśmy. Potem zatelefonowałam do Harriet, ogromnie podnieconej z naszego powodu. Naprawdę nie wiem, kiedy zdołamy oddać sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów, które nam pożyczyły. John ma szansę otrzymać jedną czy dwie nagrody naukowe, poza tym pracuje nad książką dla wydawnictwa MIT, chociaż ich zaliczki są raczej skromne.

Czuję się jak zbieg, bo chyba jesteśmy zbiegami. Nieustannie wszystko rozważam. Próbuję znaleźć punkt, gdzie spotykają się etyka lekarska, akceptowalne granice nauki, odpowiedzialność jednostki i zwykły zdrowy rozsądek. Wszystko to jest bardzo nieuchwytnie.

John, podobnie jak ja, nie może spać. Właśnie odbyliśmy długą rozmowę o tym, co robimy i jak się w związku z tym czujemy; jeszcze raz wałkowaliśmy stare sprawy. Oczywiście rozmawialiśmy też o tym, jak będziemy się czuli, kiedy się nie uda (prawdopodobieństwo porażki wynosi pięćdziesiąt procent). Oboje wciąż jesteśmy dobrej myśli. Ale ogrom tego wszystkiego mnie przeraża. Pewnie czuję się dobrze, bo jeszcze się to nie stało, a chociaż nie zwrócą nam pieniędzy, wciąż możemy się rozmyślić. Nadal mamy na to parę tygodni.

Ale nie wydaje mi się, że się rozmyślimy.

5

Siedząc na półkolistej kanapie, John i Naomi patrzyli na słowa wyświetlone na dużym płaskim ekranie na ścianie gabinetu w prywatnej kabinie doktora Dettorego.

Klaesson, Naomi. Defekty genetyczne. Zaburzenia. STRONA PIERWSZA Z 16...

Siedzący obok Naomi Dettore, jak wcześniej w białym kombinezonie i tenisówkach, postukał w klawiaturę na konsoli umieszczonej na niskim stoliku ze zmatowionej stali. Na ekranie natychmiast pojawiła się pierwsza strona listy.

1. Zaburzenie afektywne dwubiegunowe
 2. Zespół nadpobudliwości z deficytem uwagi
 3. Depresja maniakalna
 4. Niepokój
 5. Szklwienie kłębuszków nerkowych
 6. Rynolalia
 7. Przedwczesne łysienie
 8. Kardiomiopatia
 9. Zanik nerwu wzrokowego
 10. Retinopatia barwnikowa
 11. Niedobór alfa1-antytrypsyny
 12. Zespół Marfana
 13. Hypernephroma
 14. Osteopetroza
 15. Cukrzyca
 16. Chłoniak Burkitta
 17. Choroba Crohna. Zapalenie jelita krętego
- (Ciąg dalszy na stronie 2)

– Mam geny tych wszystkich chorób? – spytała Naomi, wyraźnie zszokowana.

– Owszem, ma pani część genów, które panią do nich predestynują – odparł Dettore tonem nieco żartobliwym. – Nie chcę pani straszyć, pani Klaesson, ale jest tego jeszcze szesnaście stron.

– Nie słyszałam nawet o połowie z nich. – Spojrzała na męża, który beznamiętnie wpatrywał się w ekran. – Znasz je?

– Nie, nie wszystkie.

Popatrzyła na gruby formularz leżący na stoliku przed nią i Johnem. Wiele stron rubryk, które należało odfajkować lub opatrzyć krzyżykiem.

– Proszę mi wierzyć, żadnej z tych chorób nie chciałaby pani przekazać dzieciom.

Naomi znów spojrzała na listę na ekranie, z trudem próbując się skoncentrować. Sprawy zawsze toczą się inaczej, niż człowiek sobie wyobraża, pomyślała. Wirowało jej w głowie; walczyła z kolejnym atakiem mdłości. Gardło miała wyschnięte, w ustach czuła nieprzyjemny smak. Od przybycia na statek poprzedniego dnia zdołała wypić filiżankę herbaty i przełknąć dwa kęsy suchej grzanki. Zgodnie z prognozą doktora Dettorego morze się uspokoiło, ale Naomi nie czuła, by statek mniej kołysał.

– Co to jest hypernephroma.

– To choroba nowotworowa nerek.

– A choroba Boyera?

– Jestem naprawdę podniecony na myśl, że mogę to zobaczyć.

– Podniecony? – Przerazona spojrzała na genetyka. – Czemu jest pan podniecony na myśl o zobaczeniu choroby?

– To niezwykle rzadka, wrodzona przypadłość powodująca zgrubienie kości. Dawniej toczyła się zażarta dyskusja na temat tego, czy jest to choroba dziedziczna, czy nie. Obecnie, dzięki genetyce, wiemy, że tak. Czy wie pani o kimś z rodziny, kto na nią chorował?

Naomi pokręciła głową.

– Cukrzyca – powiedziała. – Wiem, że mamy ją w rodzinie. Mój dziadek był cukrzykiem.

Doktor Dettore wcisnął klawisz, przeszedł na następną stronę, potem na kolejną. Widok listy przytłaczał Naomi.

– Mam w rodzinie raka jajnika – powiedziała, gdy dotarli do ostatniej strony – Moja ciotka zmarła na to w wieku trzydziestu kilku lat. Nie widziałam tego genu.

Dettore cofnął się o trzy strony i wskazał palcem.

Ujrawszy odpowiedni gen, posępnie skinęła głową.

– To znaczy, że ja też go mam?

– Ma pani wszystko, co pani tu widzi.

– Jakim cudem wciąż żyję?

– W doborze genetycznym sporą rolę odgrywa element losowy – wyjaśnił. – Osoby takie jak pani i doktor Klaesson mogą przez całe życie nosić gen Dreyensa-Schlemmera bez żadnej szkody dla zdrowia, ale właśnie ta choroba zabiła państwa syna. Dopiero gdy takie dwie osoby spłodzą dziecko, które odziedziczy gen Dreyensa-Schlemmera po obojgu rodzicach, możemy zaobserwować chorobę. Inne noszone przez panią grupy genów mogą zostać uaktywnione przez najróżniejsze czynniki, wielu nadal nie rozumiemy. Wiek, palenie tytoniu, środowisko, stres, szok, wypadki. Jest możliwe, że przez całe życie będzie pani nosić wszystko, co widziała pani na tej liście, ale żadna z chorób wywoływanych przez te geny się nie rozwinie.

– Ale przekażę je swoim dzieciom?

– W zwyczajnych warunkach z całą pewnością przekazałaby pani część z nich. Prawdopodobnie około połowy. Drugą połowę genów dziecko odziedziczyłoby po pani mężu. Teraz przyjrzymy się jego liście.

Naomi spróbowała się zdystansować i zastanowić obiektywnie. Schizofrenia. Choroba serca. Dystrofia mięśniowa. Rak piersi. Rak jajnika.

– Doktorze Dettore, zidentyfikował pan u mnie wszystkie te geny chorobowe, ale czy może pan coś z nimi zrobić? Rozumiem, że może pan zapobiec przekazaniu ich naszemu dziecku, ale czy

może pan sprawić, by nie miały na mnie wpływu? Czy może je pan usunąć z mojego genomu?

– Nie na tym etapie. – Pokręcił głową. – Pracujemy nad tym, cały przemysł opierający się na biologii molekularnej nad tym pracuje. Za kilka lat może zdołamy usunąć kilka z tych genów, ale w przypadku innych może to zająć dziesięciolecia. Obawiam się, że powinniście podziękować waszym rodzicom. To, co teraz mogę zrobić dla waszego dziecka, to sprawić, że on lub ona przyjdzie na świat wolne od tych genów.

Naomi umilkła. Nie mieściło jej się w głowie, że oto siedzą we troje na kanapie, gdzieś na Atlantyku, i wkrótce zaczną odfajkowywać rubryki, jakby uczestniczyli w quizie albo odpowiadali na ankietę konsumencką.

Na każdej stronie znajdowało się osiemdziesiąt rubryk, stron zaś było trzydzieści pięć, czyli blisko trzy tysiące pytań lub wyborów.

Słowa i rubryki rozmyły się przed jej oczami.

– Pani Klaesson – odezwał się łagodnie Dettore. – Jest bardzo ważne, aby była pani w pełni świadoma tego, co się tu dzieje. Konsekwencje tego, co pani i John postanowią tu, na tym statku, będą miały wpływ nie tylko na was, nawet nie tylko na wasze dziecko. Macie bowiem szansę stworzenia dziecka, o jakim większość rodziców może tylko marzyć, dziecka wolnego od chorób zagrażających życiu lub negatywnie na nie wpływających. W zależności od państwa wyborów, dzięki przystosowaniu genetycznemu, będzie ono miało wszelkie atuty w życiu.

Zamilkł, by w pełni pojęli wagę jego słów.

– Wasze decyzje nie będą miały żadnego znaczenia, jeśli nie będziecie kochać dziecka. Jeżeli macie teraz związane z nimi wątpliwości, później możecie się zderzyć z poważnymi problemami, ponieważ będziecie musieli przyjąć odpowiedzialność za swoje decyzje. Wielu rodziców odprawiłem z kwitkiem... czasem zwracałem im pieniądze dosłownie w ostatniej chwili... gdy pojmowałem, że nie sprostają

wymaganiom, jakie postawi przed nimi dziecko, albo uświadamiałem sobie, że rodzicom przyświecała niewłaściwa motywacja.

Naomi oswobodziła dłoń z uścisku męża, wstała i chwiejnie podeszła do okna.

– Kochanie, zrobmy przerwę – zaproponował jej mąż. – Doktor ma rację.

– Nic mi nie jest. – Uśmiechnęła się. – Naprawdę nic mi nie będzie. Próbuję tylko pomieścić w głowie kilka rzeczy.

W minionych miesiącach przeczytała każde słowo z setek stron literatury otrzymanej z kliniki Dettorego, czytała teksty na ich stronie internetowej – a także na wszystkich stronach poświęconych tematowi, jakie mogła znaleźć – przekopła się przez kilka opublikowanych prac genetyka, choć, podobnie jak artykuły Johna, w przeważającej mierze były tak techniczne, że rozumiała zaledwie niewielką część. Teraz nie mogła się skoncentrować z powodu mdłości.

Pielęgniarka Yvonne powiedziała, że kiedy człowiekowi jest niedobrze, najlepiej wpatrywać się w stały punkt, Naomi utkwiała więc wzrok w mewie unoszącej się w powietrzu nad nimi.

– Doktorze Dettore...

– Leo – poprawił ją. – Proszę mówić mi Leo.

– Dobrze, Leo. – Zawahała się, zbierając myśli i odwagę. – Leo, dlaczego prasa tak cię nie lubi, podobnie jak wielu twoich kolegów naukowców? Moim zdaniem ten ostatni artykuł w „Timie” był bardzo ostry.

– Czy znasz pisma Chuanga Tze, Naomi?

– Nie.

– Chuang Tze napisał: „To, co gąsienica nazywa końcem świata, mistrz nazywa motylem”.

– Przeobrażenie się gąsienicy w motyla postrzegamy jako piękne przejście z jednego stanu do innego, kochanie – wyjaśnił John. – Ale dla gąsienicy jest to traumatyczne przeżycie, myśli, że umiera.

Dettore uśmiechnął się.

– W dawnych czasach politycy albo papieże zamykali naukowców w więzieniach, jeśli nie podobały im się ich prace – powiedział. – Mogę sobie poradzić z odrobiną nagonki ze strony prasy. Nie zadałem wam jeszcze natomiast następnego pytania: Dlaczego to robicie? Mógłbym po prostu usunąć wadliwe geny z grupy Dreyensa-Schlemmera, a wasze następne dziecko urodziłoby się zdrowe. Dlaczego chcecie wyręczyć naturę i zaprogramować inne atuty dla swojego dziecka?

– Chcemy tylko usunąć to, co niedobre – odparła Naomi. – Na pewno pan rozumie, że ból nigdy nie zniknie. Nie przeżylibyśmy tego jeszcze raz.

– To bardzo proste – dodał John. – Naomi i ja nie jesteśmy zamożni, nie mamy też wygórowanego wyobrażenia o sobie samych. Nie uważamy się za wyjątkowo pięknych, za geniuszy, ale czujemy, że jesteśmy winni naszemu dziecku zrobienie wszystkiego, by było mu jak najlepiej.

Spojrzał na żonę, a kiedy przytaknęła, ponownie zwrócił się do Dettorego:

– Jest pan dowodem na to, że dzin wy dostał się z butelki. Świadczy pan te usługi, wkrótce pojawią się też inne kliniki. Nie chcemy, by nasze dziecko chorowało na raka, cukrzycę, schizofrenię czy co tam jeszcze figuruje w historii rodziny Naomi i mojej. Nie chcemy, żeby powiedziało do nas za czterdzieści lat, że byłem naukowcem, znałem możliwości, mogliśmy dać mu szansę na wspaniałe życie, ale nie zrobiliśmy tego, bo poskąpiliśmy pieniędzy.

– Moja lista oczekujących wydłuża się w takim tempie, że obecnie czas oczekiwania wynosi trzy lata. – Dettore się uśmiechnął. – Nie mogę podawać nazwisk, ale tę klinikę odwiedziło kilka najbardziej wpływowych osobistości Ameryki. Jedni są zazdrośni, inni się boją, ponieważ nie rozumieją. Świat się zmienia, a ludzie nie lubią zmian. Niewiele osób potrafi wybiegać tak daleko w przyszłość. Dobry szachista umie przewidywać posunięcia na pięć, czasem dziesięć ruchów naprzód. Ale jak daleko sięgają wizje większości ludzi? Jako

gatunek nie potrafimy zbyt dobrze przewidywać przyszłości. Znacznie łatwiej jest patrzeć za siebie. Możemy zmieniać fragmenty, które nam się nie podobają, wymyślać siebie na nowo. Ale w przyszłości nie możemy niczego zmienić ani wymyślić na nowo. Większość ludzi jest zakładnikami przyszłości, tak jak są zakładnikami własnych genów. Tylko osoby przybywające do mojej kliniki wiedzą, że mogą to zmienić.

Naomi podeszła do kanapy i usiadła, by przetrwać słowa genetyka. Nagłe ukłucie głodu odebrała jako pozytywny objaw: dobre samopoczucie wracało.

– Ta pięćdziesięcioprocentowa możliwość odrzucenia... Jeżeli ono nastąpi... Jak szybko będziemy mogli spróbować znowu? Albo jeśli poronię?

– Po sześciu miesiącach. Tyle czasu potrzebuje ciało, by odzyskać siły po podanych lekach.

– A pieniądze, które zapłaciliśmy, umożliwiają nam trzy próby, trzy wizyty tutaj? Potem musielibyśmy płacić ponownie?

– Jestem pewien, że do tego nie dojdzie. – Dettore się uśmiechnął.

– O jedną sprawę nie pytaliśmy – zauważyła Naomi. – O ewentualne skutki uboczne dla naszego dziecka.

– Skutki uboczne? – Genetyk uniósł brwi.

– W życiu zawsze jest coś za coś – wyjaśniła. – Czy pańskie manipulacje genami mogą przynieść negatywne skutki?

Zawahał się; przez jego twarz przemknął ledwo zauważalny wyraz wątpliwości, jak cień przelatującego ptaka.

– Jedynym negatywnym skutkiem, jeśli można to tak określić, jest to, że wasze dziecko będzie rosło i dojrzewało w przyspieszonym tempie. Pod względem umysłowym i fizycznym on lub ona będzie rosnąć szybciej niż inne dzieci.

– O wiele szybciej?

– Nie. – Pokręcił głową. – Ale zauważalnie.

– Czy może pan rozwiać nasze wątpliwości co do legalności tych poczynań? – poprosił John. – Wiemy, że tu nic nam nie

grozi, ponieważ statek nie podlega prawodawstwu Stanów Zjednoczonych, ale co się stanie po powrocie?

– Ustawy wciąż się zmieniają, w miarę jak różne kraje zmieniają stanowisko wobec całej kwestii. Naukowe i religijne argumenty natury etycznej również ulegają zmianie. Dlatego jestem na pełnym morzu i zostanę tu, dopóki cała sprawa nie ucichnie. Przebywając tutaj i poczynając dziecko na tym statku, nie łamiecie żadnego prawa.

– I możemy swobodnie wrócić do Stanów? – spytała Naomi.

– Możecie swobodnie pojechać, dokąd tylko chcecie – zapewnił Dettore. – Radzę wam jednak gorąco, abyście o tym nie trąbili.

– Dzięki – odparła i raz jeszcze spojrzała na wyświetloną na ekranie listę swoich wadliwych genów. Maleńka komórka jajowa zawierała około dwudziestu tysięcy genów, co jednak stanowiło bardzo znikomą część całego DNA. A reszta? Dawniej określano ją odpadkowym DNA, teraz jednak wiadano, że znaczna część tej reszty odgrywa rolę w sposobie, w jaki owe dwadzieścia tysięcy genów się przejawia. Część DNA mogła wręcz decydować o tym, jakim się jest człowiekiem. Każda ludzka komórka zawiera skupiska genów decydujące o kolorze oczu, długości rąk, szybkości uczenia się, chorobach, które mogą zabić.

Czy także o zachowaniu?

Naomi uśmiechnęła się nagle, czując potrzebę wprowadzenia lżejszego tonu do rozmowy.

– Proszę mi powiedzieć, doktorze Dett... hm, Leo... Czy na tej liście, wśród rubryk, które mamy przeczytać... – Spojrzała na męża. – Czy znajduje się na niej gen schludności?

6

Dziennik Naomi

Zauważyłam tylko dwójkę pasażerów, mężczyznę i kobietę – on wygląda trochę jak młodszy George Clooney, ona jak Angelina Jolie, jedna z tych naturalnie pięknych kobiet, przy których moja samoocena spada do zera. Co one w sobie mają? John spytał doktora Dettorego, ile jeszcze par – pacjentów – jest na pokładzie, ale ten nie chciał odpowiedzieć. Doktor mówi, że nie wolno mu o nikim rozmawiać, obowiązuje całkowita dyskrecja. Mimo to zżera mnie ciekawość. Johna też.

Najwyraźniej wszyscy są teraz na pokładzie tego dziwnego statku; płyniemy na południe, w kierunku ciepłych Karaibów, gdzie mamy spędzić kilka nocy u wybrzeży Kuby. Doktor Dettore twierdzi, że Kuba nie podpisała żadnych porozumień dotyczących ludzkich embrionów, więc można tam bez problemu popłynąć. Mówi, że John będzie miał tam dobry sygnał komórkowy. Nie będziemy jednak mogli zejść na ląd, a szkoda. Chciałabym trochę zwiedzić Kubę.

Dziś wieczorem w końcu porządnie się najadłam: sałata i ryba. John miał pilne maile do wysłania, więc skorzystał z telefonu satelitarneho: dziewięć minut za osiemdziesiąt jeden dolarów! Zostawiłam go przy pracy i wyszłam pospacerować po pokładzie. Ale za bardzo wiało, więc szybko zeszłam na dół. Wszystko to jest dość niesamowite: niekończące się, ciche korytarze pełne drzwi. Czasem mam wrażenie, że jestem na statku widmie, który unosi nas w dal. Musiałam się przejść, żeby przewietrzyć umysł po

dzisiejszej koncentracji. Wszystkie te rubryki, te grupy – czy skupiska – genów, które można usunąć albo wzmocnić według uznania, wystarczy zakreślić. Doniosłość wyborów i decyzji uzmysławia mi, jaką loterią jest ludzkie życie. Biedny mały Halley dostał gówniane karty.

Z nowym dzieckiem będzie inaczej. Na początek musieliśmy wybrać płeć. Powiedzieliśmy doktorowi Dettoremu, że chcemy chłopca, co może brzmieć niemądrze na tak wczesnym etapie, ale zastanawialiśmy się z Johnem nad imionami. Najbardziej podoba nam się Luke. Nie podjęliśmy jeszcze ostatecznej decyzji, ale John chciałby Luke'a, a ja coraz bardziej się do niego przekonuję. Luke. Brzmi podobnie jak Luck, szczęście.

On będzie naszym szczęściem.

7

– Naomi, jest cała nauka opisująca sposób, w jaki metabolizm, energetyka i sen łączą się w rytm dobowy, co ma ogromne znaczenie dla powodzenia życiowego dzieci – mówił Leo Dettore.
– Czy zastanawiałaś się na przykład nad tym, że szefowie firm i politycy wyższego szczebla są w stanie podolać wyzwaniom tylko dlatego, że potrafią się zadowolić mniejszą ilością snu niż większość z nas? W tej chwili patrzymy na część listy zawierającą grupy genów odpowiedzialnych za nasze rytmy dobowe. Potrafimy przekonfigurować ich architekturę w tak zwanych „neuronach wyznaczających tempo”, które odpowiadają za synchronizację całego ciała. Dzięki subtelnemu dostrojeniu genów możemy zmniejszyć ryzyko chorób serca, odkładania się tłuszczu, cukrzycy, a nawet zredukować potrzebę snu do zaledwie dwóch godzin w nocy.

Naomi spojrzała na listę. Na jakieś dwieście opcji, które dotychczas omówili, przy dwunastu widniały znaczki. To był ich drugi poranek na statku i trzecia sesja z doktorem. Morze się uspokoiło, a jej choroba morska prawie całkiem ustąpiła. Dzisiaj mogła się lepiej koncentrować.

Na zewnątrz panował upał, ale klimatyzację w gabinecie chyba podkręcono bardziej niż wczoraj, bo w dżinsach i lekkiej bawełnianej bluzce Naomi czuła chłód. Uczucie dyskomfortu potęgował tępy ból w prawym udzie, gdzie z samego rana pielęgniarka zrobiła pierwszy z piętnastu zaplanowanych na cały dzień zastrzyków na pobudzenie płodności. Igła wyglądała tak, jakby używano jej do znieczulania słoni.

– Dziecko śpiące tylko dwie godziny na dobę byłoby koszmarem – stwierdziła. – Miał pan dzieci, więc na pewno...

– Naturalnie! – Siedzący obok niej na kanapie Dettore uniósł rękę. – To byłby istny koszmar, Naomi, zgadzam się całkowicie. Nie musiałabyś się jednak borykać z tym problemem jako matka. Twoje dziecko spałoby normalnie do piętnastego, może osiemnastego roku życia, po czym rozpocząłby się stopniowy proces. Wzorce snu zaczęłyby działać na jego korzyść w kluczowym okresie nauki, dzięki czemu weszłoby w życie z maksymalną przewagą nad rówieśnikami.

Naomi wodziła wzrokiem po prywatnej kabinie, zastanawiała się, poprawiła pasek od zegarka. Za dziesięć jedenasta. Pracując w tym tempie, do końca listy dotrą za kilka miesięcy.

– Czy manipulowanie rytmem snu człowieka nie jest niebezpieczne? – spytała. – Skąd masz pewność, że nie przysporzysz mu problemów psychicznych?

– Oczywiście niedobór snu może prowadzić do problemów psychicznych. Ale mówimy tu o czymś innym. Dla twojego syna dwie godziny snu stanowiłyby równowartość ośmiu godzin dla przeciętnego człowieka. Jeśli policzysz, przekonasz się, że w porównaniu z człowiekiem potrzebującym ośmiu godzin snu twój syn miałby dodatkowe piętnaście lat świadomej egzystencji. Niezły prezent od rodzica dla dziecka. Pomyśl, ile mógłby przeczytać, nauczyć się, osiągnąć.

Naomi zerknęła na Johna, ale nie potrafiła nic wyczytać z jego twarzy. Zwróciła się więc do genetyka:

– Nic, co oznaczyliśmy do tej pory, nie uczyni go dziwadłem. Podjęliśmy decyzje co do wzrostu w nadziei, że będzie miał sto osiemdziesiąt centymetrów jak John, zamiast być konusem jak ja, ponieważ słuszny wzrost jest oczywistym atutem dla mężczyzny. Oprócz tego próbowaliśmy jedynie wyeliminować te okropne geny chorób. Nie jesteśmy zainteresowani projektowaniem kształtu jego nosa, koloru oczu czy włosów. Z radością pozostawimy te kwestie losowi.

Zapisując coś na blackberry, John skinął głową.

Dettore wychylił szklankę wody mineralnej.

– Zostawmy na razie kwestię snu, wrócimy do niej później. Przejdźmy teraz do kolejnej grupy na liście, do genów związanych z układem mięśniowym, kostnym i nerwowym, które wpłyną na jego predyspozycje sportowe. Możemy na nowo zaprojektować niektóre z tych grup, co poprawi koordynację dłoni i wzroku waszego syna. Pomoże mu to w takich sportach, jak tenis, squash, baseball i golf.

– Według mnie to interesujące – zwrócił się John do Naomi. – Chyba mu nie zaszkodzi.

– Nie – powiedziała. – Wcale mi się to nie podoba. Czemu mielibyśmy to robić?

– Żadne z nas nie jest zbyt dobre w sportach – wyjaśnił John. – Więc dlaczego mu trochę nie pomóc? Przypominałoby to trening przed przyjściem na świat.

– Przed poczęciem – poprawiła go szorstko. – Wyjaśnię ci, na czym polega mój problem: jeśli zostanie mistrzem w tych wszystkich dyscyplinach, nie będzie miał się z kim bawić. Nie chcę stworzyć sportowego supermana, chcę tylko, żeby mój syn był zdrowy i normalny.

– Masz rację, nie patrzyłem na to w ten sposób – przyznał po chwili.

Złączyła dłonie, po części po to, by je ogrzać, po części ze zdenerwowania.

– Interesuje mnie, to znaczy nas – zwróciła się do genetyka – coś, o czym John i ja przeczytaliśmy wczoraj wieczorem w materiałach, które nam dałeś. Chodzi mi o geny związane z poziomami energetycznymi ciała.

– Potrafisz zwiększać wydajność przetwarzania tlenu oraz modyfikować wzorzec metaboliczny? – spytał John. – Jeśli dobrze rozumiemy, oznacza to, że nasz syn mógłby wytwarzać więcej energii z mniejszej ilości pożywienia niż zwykli ludzie, mógłby też dłużej obywać się bez jedzenia?

– W zasadzie tak – odparł Dettore. – Optymalizacja odżywiania, wydajniejsze przyswajanie skrobi, cukrów, białek,

lepsze mechanizmy magazynowania i uwalniania, sprawniejsza kontrola insuliny, ale bez wzmożonego apetytu.

– Wszystko to są pozytywy – przyznała Naomi. – Oznacza to, że nasz syn mógłby utrzymywać dobrą formę i nie cierpiałby na nadwagę. – Po chwili milczenia dodała: – Akceptuję to, tak jak nie akceptuję majstrowania przy jego wzorcach snu.

John nachylił się i z uśmiechem dolał sobie kawy z metalowego dzbanka na stoliku.

– Ty za dużo śpisz, kochanie.

– Bzdura! Potrzebuję tyle snu.

– Otóż to! Jeśli coś cię nie zbudzi, możesz spać dziewięć, nawet dziesięć godzin. Doktor Dettore ma rację co do jednego: w ten sposób marnujesz mnóstwo życia.

– Lubię spać!

– A gdyby przeprogramować twoje geny tak, że potrzebowałabyś tylko dwóch godzin, kochanie, to tak samo lubiłabyś te dwie godziny.

– Nie sądzę. – Naomi odwróciła wzrok i wyjrzała przez bulaj. W oddali na horyzoncie widniał kontenerowiec, który sprawiał wrażenie zawieszzonego wysoko, jakby stał na cokole.

– Musi pan... hm... musisz, Leo, zrozumieć moje stanowisko. Chcę tylko, aby moje dziecko było wolne od ryzyka choroby, która zabiła naszego syna. To wspaniałe, że potrafisz również usunąć inne złe geny, moje i Johna, odpowiedzialne za raka prostaty, raka trzustki, depresję, cukrzycę... Oczywiście, że pragnę zapewnić naszemu dziecku lepszy start w życiu. Jaki rodzic by tego nie chciał? Ale nie chcę, żeby za bardzo różnił się od innych ludzi, rozumiesz? Nie chcę, żeby był dziwadłem.

Dettore wyprostował się, skrzyżował ręce na piersi i kilkakrotnie zakołysał się w przód i w tył, sam podobny do dużego dziecka.

– Słyszę, co mówisz, Naomi. Chcesz, żeby twój syn był zwykłym gościem, posiadającym trochę talentów i uzdolnień, tak?

– Chyba... tak. Dokładnie.

– Gotów byłbym przyznać ci rację, gdyby nie jedna sprawa, którą musisz uwzględnić. Musisz porównać model dzisiejszego świata z modelem świata wtedy, gdy twój syn dorośnie. Masz dwadzieścia osiem lat, a świat nie różni się zbytnio od tego, jaki był za twojego dzieciństwa. Ale za dwadzieścia osiem lat? – Rozłożył szeroko ręce. – Zapewniam cię, że za dwadzieścia osiem lat świat będzie wyglądał inaczej. Powstanie podklasa genetyczna, która doprowadzi do większej przepaści, niż potrafisz sobie wyobrazić. Porównaj swoją obecną wiedzę, zdolności, szanse z jakąś biedną kobietą w twoim wieku wychowaną w Trzecim Świecie, pracującą na poletku ryżowym w Chinach albo w buszu w Angoli.

Dettore wstał, podszedł do biurka i przez chwilę stuknął w klawiaturę komputera. Na dużej ścianie przed nimi ukazała się mapa świata. Widniało na niej trochę różowych plam, ale większość krajów była biała.

– Na świecie żyje siedem miliardów ludzi. Wiecie, ilu z nich umie czytać i pisać? – Spojrzał na Johna, potem na Naomi.

– Nie, nie wiem – odparła.

– Kiedy powiem ci, że dwadzieścia trzy procent dorosłych w Stanach Zjednoczonych, najbardziej rozwiniętym technologicznie kraju świata, jest niepiśmiennych, czy to da ci pewne pojęcie? Czterdzieści cztery miliony mieszkańców Stanów Zjednoczonych nie umie czytać, na miłość boską! Na świecie tę umiejętność posiada niespełna miliard ludzi. Niecałe dwadzieścia procent. Tylko te różowe pola na mapie. Przeciętny mieszkaniec terenów wiejskich w Trzecim Świecie otrzymuje w ciągu całego życia mniej informacji, niż zawiera jeden numer „LA Timesa”.

Zadzwoił telefon, Dettore spojrzął na niego, nie zareagował i po chwili telefon ucichł.

– Naomi – powiedział łagodnie. – Może nie czujesz się z tym najlepiej, ale już teraz należysz do rasy panów. Nie wydaje mi się, byś chciała się zamienić miejscami z wieloma ludźmi na tej planecie. Nie sądzę, że chciałabyś, by twoje dziecko dorastało na

rosyjskich stepach, himalajskiej plantacji herbaty czy na pustyni Gobi. Mam rację?

– Oczywiście.

– Ale byłąbyś gotowa zaryzykować, by twój syn wylądował w swego rodzaju intelektualnym Trzecim Świecie?

Spojrzała na niego bez słowa.

– Znajdujemy się na wczesnym etapie – ciągnął Dettore. – Za trzydzieści lat wszystkie dzieci z rodzin czy narodów mogących sobie na to pozwolić będą genetycznie wzmacniane. Czy widzisz opcje na liście, nad którą pracujemy? W tej chwili są to jedynie opcje, ale gdybyś żyła w świecie, w którym każda ciężarna kobieta zaznaczałaby rubryki na tej samej liście, czy zostawiłabyś wszystkie pola niezakreślone? Mowy nie ma! Chyba że chciałabyś wychowywać dziecko całkiem pozbawione szans, niepotrafiące nadążyć za innymi ani z nimi rywalizować.

– Powiem ci, co mnie w tym wszystkim niepokoi... Wiem też, że niepokoi Johna, bo bez końca o tym rozmawialiśmy w minionych miesiącach, odkąd nas zaakceptowałeś. Chodzi o... – Naomi wzruszyła ramionami. – Całą tę eugenikę. Ma złą historię, źle się kojarzy.

Dettore przycupnął na krawędzi biurka i nachylił się ku Naomi.

– Jeśli my, ludzie, nie spróbujemy poprawić genów naszego potomstwa, ponieważ osiemdziesiąt lat temu usiłował to zrobić szaleniec nazwiskiem Hitler, będziemy mogli powiedzieć, że wygraliśmy drugą wojnę światową, ale pokój, jaki po niej nastąpił, padł łupem Hitlera. Tak uważam. – Miał niezwykle poważny wyraz twarzy. – Edward Gibbon napisał: „Wszystko co ludzkie musi się cofać, jeśli nie postępuje naprzód”. Miał rację. Każda cywilizacja, każde pokolenie, które się nie rozwija, musi w końcu upaść.

– Ale czy Einstein nie powiedział, że gdyby miał świadomość, że rezultaty jego pracy doprowadzą do bomby atomowej, zostałaby zegarmistrzem?

– Owszem – przyznał Dettore. – Ale gdyby Einstein został zegarmistrzem, dzisiaj moglibyśmy żyć w świecie, w którym naszą przyszłością byłaby eugenika Hitlera.

– Zamiast pańskiej? – rzuciła Naomi, lecz momentalnie pożałowała tej uwagi. – Przepraszam, nie chciałam...

– Mojej żonie chodzi chyba o to, że jest to konfrontacja dwóch punktów widzenia – wtrącił pospiesznie John.

– W porządku, to ważna uwaga – przyznał Dettore. – Już wiele osób robiło podobne porównanie. Nazywano mnie Antychrystem, neonazistą, doktorem Frankensteinem... Mam tylko nadzieję, że jest we mnie więcej człowieczeństwa, niż było w Hitlerze. Może także nieco więcej pokory.

Uśmiechnął się tak potulnie i rozbrajająco, że Naomi zrobiło się przykro, że go obraziła.

– Naprawdę nie chciałam zrobić tak grubiańskiej...

Zeskoczył z biurka, podszedł i delikatnie ujął jej dłoń.

– Naomi, po stracie Halleya musiałaś przeżyć gehennę. Teraz przechodzisz kolejny trudny okres. Najbliższe cztery tygodnie na pokładzie tego statku będą dla ciebie ciężkie pod względem fizycznym i psychicznym. To niezwykle ważne, abyś zawsze mówiła, co czujesz, żebyś potrafiła przyznać, że dotarłaś do punktu, w którym zmieniałaś zdanie i chcesz się wycofać. Musimy być wobec siebie szczerzy, zgoda?

– Dziękuję – powiedziała Naomi.

Dettore puścił jej rękę, ale nadal patrzył jej w oczy.

– Świat się zmienia, dlatego ty i John tu jesteście. Ponieważ jesteście wystarczająco inteligentni, by to dostrzec.

W kabinie zapadło długie milczenie. Naomi patrzyła przez bulaj na bezmiar błękitnej wody i kontenerowiec, wciąż widoczny na horyzoncie. Spojrzała na męża, potem na genetyka, wreszcie na formularz, myśląc o Halleyu i o tym, dlaczego się tu znaleźli.

Choroba Dreyensa-Schlemmera atakuje układ odpornościowy podobnie jak toczeń, ale znacznie agresywniej. Stopniowo indukuje przewlekłą, uwarunkowaną genetycznie odpowiedź

immunologiczną. Tak jakby pierwszą linię obrony Halleya choroba zamieniła w żrący kwas, który dosłownie trawił jego narządy wewnętrzne. Przez ostatnie dwa dni życia chłopiec krzyczał z bólu, żaden lek nie mógł mu pomóc; krwawił z ust, nosa, uszu i odbytu.

Chorobę zidentyfikowali w 1978 roku dwaj naukowcy z uniwersytetu w Heidelbergu. Z racji rzadkiego występowania – w dowolnym okresie choruje na nią mniej niż setka dzieci na świecie – odkrycie miało głównie wartość akademicką. Firmy farmaceutyczne nie są zainteresowane poszukiwaniem leku, ponieważ koszty badań nigdy by się nie zwróciły. Jedynym sposobem pokonania choroby Dreyensa-Schlemmera byłoby długie, powolne eliminowanie jej z gatunku ludzkiego poprzez odpowiedni dobór rodziców.

Większość ludzi noszących stosunkowo rzadki gen tej choroby ma zupełnie zdrowe dzieci. Problem może się pojawić jedynie wtedy, gdy dwoje nieświadomych nosicieli genu recesywnego spłodzi dziecko.

Ani John, ani Naomi nie wiedzieli o przypadkach choroby Dreyensa-Schlemmera w swoich rodzinach. Po przyjściu Halleya na świat – a wówczas było już za późno – odkryli jednak, że oboje są nosicielami genu. Co oznaczało dwudziestopięcioprocentowe prawdopodobieństwo, że każde ich dziecko zachoruje.

– Mylisz się – zwróciła się do Dettorego. – Świat może się i zmienia, ale ja nie jestem dość inteligentna, by zrozumieć, jak się zmienia. Może nawet nie chcę tego zrozumieć. To mnie przeraża.

8

Za dziesięć siódma rano buty Johna uderzały miarowo o bieżnię w pustej siłowni. Pot ściekał mu po twarzy i ciele; para osiadała na okularach, utrudniając czytanie wiadomości gospodarczych CNN wyświetlanych na ekranie telewizora. Właśnie podawano ceny NASDAQ na zamknięcie poprzedniego dnia.

Odkąd pamiętał, czuł nienasycony głód wiedzy. Wiosną uwielbiał zbierać kijanki; obserwował, jak rosną im nogi, ogonki odpadają i kijanki przeobrażają się w żabki. W każde wakacje męczył matkę, by zawiozła go z rodzinnego Örebro w środkowej Szwecji do Sztokholmu, gdzie szedł do Muzeum Historii Naturalnej oraz Państwowego Muzeum Nauki i Technologii. Gdy skończył osiemnaście lat, w czasie wakacji pojechał do Londynu na kurs językowy, by szlifować angielski, a tymczasem niemal całe trzy miesiące spędził w Muzeum Nauki, Historii Naturalnej i Brytyjskim.

Szczególnym podziwem darzył wielkich naukowców przeszłości. Ludzi takich, jak Archimedes, Kopernik, Galileusz, Newton, Pasteur, których prace, jego zdaniem, ukształtowały współczesny świat. Nie mniej podziwiał dwudziestowiecznych gigantów matematyki i fizyki – Einsteina, Fermiego, Oppenheimera, von Neumanna, Feynmana, Schrödingera, Turinga – których prace miały ukształtować naszą przyszłość. Wszyscy oni podejmowali wielkie ryzyko, poświęcali pracy swój czas i reputację.

Gdyby ktoś spytał Johna o jego ambicję, odparłby, że nie interesuje go bogactwo, ale z całego serca pragnął, by pewnego

dnia jego nazwisko znalazło się obok tamtych wielkich ludzi nauki. W wieku dziesięciu lat, kilka tygodni po tym, jak jego ojciec, marzyciel i biznesmen nieudacznik, umarł w długach, John sporządził listę celów, które chciał osiągnąć w życiu:

- a) Być szanowanym naukowcem.
- b) Zostawić świat lepszym, niż go zastałem.
- c) Przedłużyć życie człowieka.
- d) Zaopiekować się mamą.
- e) Położyć kres cierpieniu na świecie.
- f) Być dobrym ojcem.

Ilekczoć czuł przygnębienie, patrzył na tę listę. Gdy był nastolatkiem, przeniósł ją z czerwonego zeszytu do swojego pierwszego komputera, potem do innego. Czytając ją, zawsze się uśmiechał, ale ogarniał go też smutek.

Mam trzydzieści sześć lat, a nie osiągnąłem ani jednej cholernej rzeczy z tej listy.

Szczególnie dotkliwie odczuwał fakt, że zaniedbał matkę. Jako jedynak czuł się za nią odpowiedzialny. Gdy miał osiemnaście lat, niedługo przed jego wyjazdem do Uppsali na uniwersytet, ponownie wyszła za mąż, za wdowca, inspektora szkolnego, który wizytował *högstadiet* – gimnazjum – gdzie uczyła matematyki. Drugi mąż okazał się cichym, lecz przyzwoitym człowiekiem, niemal całkowitym przeciwieństwem ojca Johna. Pięć lat później zmarł na atak serca i od tamtej pory matka żyła sama; na każdym kroku podkreślała swoją niezależność, chociaż z powodu zwyrodnienia plamki żółtej traciła wzrok.

W dzieciństwie John pożerał książki SF, a głowę rozsadzały mu pytania i teorie. Teorie dotyczące przyczyn naszego istnienia oraz tego, jak pewne gatunki zwierząt i owadów posiadły swoje cechy charakterystyczne. Pytania o to, dlaczego niektóre stworzenia, jak mrówka czy karaluch, najwyraźniej przestały ewoluować milion lat temu, podczas gdy inne, na przykład ludzie, ewoluowały nadal. Dlaczego mózgi pewnych zwierząt przestały rosnać przed setkami tysięcy lat? Czy dlatego, że

posiadanie zbyt inteligentnego mózgu nie było w procesie przetrwania atutem, lecz przeszkodą? Czy ludzie w końcu wyniszczą się właśnie dlatego, że w wyniku ewolucji stali się zbyt inteligentni?

Albo – jak tłumaczył w swojej pracy – grozi im zagłada, ponieważ rozwijali technologie szybciej, niż rozwijały się ich mózgi? Czy po to, by nadażyć, potrzebowali wielkiego skoku ewolucyjnego?

Statkiem nagle rzuciło, John stracił równowagę, więc chwycił za poręcz, by nie spaść z bieżni. Przez otwarte drzwi dobiegał chlupot wody w basenie. Co prawda nie cierpiał na chorobę morską jak Naomi, ale wciąż jeszcze nie zaadaptował się do ruchu statku.

Zeszłej nocy ani on, ani Naomi prawie nie zmrużyli oka. Teraz w głowie wirowały mu te same pytania, które wałkowali bez końca. Owszem, zgodzili się, że chcą zapewnić synowi wszystkie atuty, jakie sami życzyliby sobie dostać od rodziców. Nie chcieli jednak, by za bardzo się odróżniał i miał problemy z nawiązywaniem kontaktu i relacji z innymi.

Na tym polegał prawdziwy problem. Dettore stale nakłaniał ich do wybrania większej liczby opcji, do wzmocnienia syna sposobami, o które John nawet nie podejrzewał współczesnej nauki. Niektóre z nich brzmiały kusząco. Boże, gdyby tylko zechcieli, mogliby uczynić Luke'a kimś niewiarygodnym!

Ale nie, dziękuję.

Luke nie stanie się królikiem doświadczalnym, którego będą mogli w humanitarny sposób uśpić zastrzykiem, jeśli nie spełni ich oczekiwań.

John nie chciał uprawiać hazardu, w którym stawką było życie syna. A jednak przez całą noc prześladowała go myśl, że życie każdego dziecka jest właśnie tym: hazardem, losowym rzutem genetycznymi kośćmi. Dettore nie proponował zwiększenia szansy na wygraną, lecz zredukowanie możliwości klęski. Czy grając bezpiecznie, skazywali syna na egzystencję miernoty?

Bieżnia zadzwoniła, czytnik poinformował, że upłynęła kolejna minuta. Na statku John ćwiczył jeszcze intensywniej niż w domu. Jakby zamierzał osiągnąć superkondycję. Chociaż wiedział, dlaczego tak postępuje, nawet przed samym sobą nie chciał się do tego przyznać.

Chcę, żeby mój syn był ze mnie dumny. Chcę, żeby miał sprawnego tatę, nie jakiegoś starego pierdziela z zadyszka.

Dolny pokład, głęboko w czeluściach statku, świecił pustkami.

Za jedyne towarzystwo John miał własne odbicie podskakujące na czterech wyłożonych lustrami ścianach: wysoki, szczupły mężczyzna w białej koszulce, niebieskich butach sportowych i dresie. Wysoki, szczupły mężczyzna o zmęczonej, napiętej twarzy z sińcami pod oczami.

Młodzi ludzie mają wizje, starcy miewają sny.

To cholerne zdanie jak mantra kołatało mu się w głowie w rytm tupotu nóg. Może przybyłem tu jako człowiek z wizją, myślał. Teraz jednak czuję się raczej jak kapłan, który zaczyna kwestionować własną wiarę.

Jeśli jednak przy planowaniu Luke'a zachowamy umiar, odrzucimy sposobność uczynienia go kimś naprawdę wyjątkowym, to czy pewnego dnia tego pożałuję? Czy zostanę starcem śniącym o tym, co mogło się zdarzyć, gdybym tylko zdobył się na odwagę?

Dziennik Naomi

Jeśli tego nie przeżyłeś, nie masz pojęcia o bólu. Zastrzyk, który pielęgniarka robi mi co rano, aby wzmóc produkcję komórek jajowych, przypomina gwóźdź wbijany w kość udową. Znowu próbowałam porozmawiać z Yvonne o innych pacjentach na statku, ale momentalnie nabrała wody w usta, jakby bała się mówić.

John jest cudowny, taki czuły, nie wywiera na mnie żadnej presji. Właściwie, jeśli chodzi o otwartość między nami, jest to najlepszy okres od przyjscia na świat Halleya. W nocy tulę się do Johna, rozpaczliwie pragnę się z nim kochać, ale to zabronione. Zakazano nam kochać się na dwa tygodnie przed przyjazdem tutaj; potem też nie będziemy mogli przez wiele tygodni. To trudne. Potrzebujemy tej bliskości.

To miejsce z każdym dniem wydaje mi się dziwniejsze. Panuje tu naprawdę osobliwa atmosfera – spacerujemy, nie napotykając żywej duszy, z wyjątkiem sprzątaczkii polerującej poręcz. Gdzie, do diabła, są wszyscy? Czy pozostali pacjenci są tacy nieśmiali? Ilu ich jest? Bardzo chciałabym z kimś porozmawiać, wymienić się wrażeniami.

Czteryście tysięcy dolarów! Myślę o tych pieniądzach. Czy postępujemy samolubnie, wydając je na nienarodzone dziecko? Czy należało je raczej przeznaczyć dla dzieci czy dorosłych w potrzebie, albo na badania medyczne, zamiast wyrzucać w celu sprowadzenia na świat nowego człowieka?

W takich chwilach pragnę się modlić o przewodnictwo duchowe. Ale zrezygnowałam z Boga, kiedy zabrał Halleya, i powiedziałam mu o tym.

Jak się miewasz, kochany Halleyu? Czy wszystko u ciebie w porządku? To ty powinieneś wskazywać nam drogę, byłeś takim bystrym dzieckiem. Najbystrzejszym, jakie znałam.

Myśl o tobie trzyma mnie na tym statku. Myślę o twojej twarzy, gdy igła wbija się w moje udo i zagryzam chusteczkę. Tyle wycierpiałeś. Teraz znowu chcemy mieć syna, może na tyle inteligentnego, by uczynił coś dobrego na świecie.

Luke.

Mamy nadzieję, że Luke dokona nowych ważnych odkryć naukowych, mamy nadzieję, że jego inteligencja umożliwi autentyczne zmiany. Tak, by w przyszłości żadne dziecko nie musiało umierać w taki sposób jak ty.

Dzisiaj zajmowaliśmy się genami porządkowymi. Zabawne określenie! Grupa porządkująca wiąże się z takimi sprawami, jak zdolność każdej komórki do replikowania swego DNA lub syntezy białek. W tej dziedzinie nie mamy raczej powodów do niepokoju. Wszelkie rany Luke'a powinny się goić szybciej i lepiej, co trzeba uznać za plus.

Najsprytniejsze jest jednak to, co doktor Dettore robi z grupą genów odpowiadających za reakcje adrenalinowe. Wyjaśnił nam, że ewolucja nie dotrzymuje kroku współczesnemu życiu: adrenalina wydziela się w naszym organizmie, kiedy się denerwujemy, daje nam przyływ energii pozwalającej uciec przed prześladowcą. Wszystko to było jak najbardziej na miejscu, gdy u wejścia do naszej jaskini pojawiał się tygrys szablozębny, wyjaśnił Leo. Z pewnością jednak nie chcesz oblewać się potem i drzeć w konfrontacji z pracownikiem urzędu podatkowego ani kimś takim we współczesnym świecie – zależy ci na zachowaniu spokoju, rozluźnieniu i utrzymaniu jasności umysłu.

Innymi słowy, „zachowaj spokój”. Bardzo kusi mnie wybranie tej opcji, wydaje się bardzo rozsądna. Mimo to nie podjęliśmy

jeszcze decyzji, bo niepokoiemy się, że mogłaby to być zbyt poważna ingerencja w mechanizmy obronne Luke'a.

Teraz już myślę o nim jako o Luke'u. Przynajmniej co do tego jesteśmy zgodni. Ostatnio jednak wypłynęła kwestia, która jest mocno niepokojąca.

10

– Współczucie – powiedział John.

Zamyślona Naomi siedziała na ławce na pokładzie widokowym. Właśnie wpisywała na iPhone co do swojego dziennika, więc nie odpowiedziała.

– Współczucie – powtórzył, jakby myślał na głos. – Współczucie. Jak je definiujesz, jak robią to inni?

Tego ranka ponad godzinę rozmawiali z doktorem Dettorem o genach związanych ze współczuciem, a teraz, w czasie wolnym przed sesją popołudniową, John i Naomi nadal pozostawali przy tym temacie.

W miarę jak statek płynął na południe, pogoda wyraźnie się poprawiała. Naomi cieszyła się ciepłym powietrzem, a morze jeszcze nigdy nie było tak spokojne. O dziewiętnastej mieli dopłynąć do Hawany, ale Dettore nie chciał, by schodzili na ląd. Statek zatrzymywał się tylko w celu nabrania paliwa i uzupełnienia zapasów. Kluczowe znaczenie miało to, by przez najbliższy miesiąc Naomi pozostała tak zdrowa, jak to tylko możliwe; genetyk już wcześniej zaznaczył, że nie ma sensu narażać się na złapanie mikroba w taksówce, sklepie czy barze.

John wstał.

– Przejdźmy się, kochanie, rozprostujmy nogi. Pielęgniarka mówiła, że ruch pomoże ci łatwiej znosić ból.

– Spróbuję. – Naomi wsunęła telefon do torby i wstała. – Co, według ciebie, Dettore miał na myśli, mówiąc, że nasz syn będzie dorastał szybciej niż zwykłe dzieci?

– Przypuszczam, że chodziło mu o dodatkową inteligencję, jaką będzie posiadał.

– Raczej nie powinniśmy niczego pozostawiać przypuszczeniom, John. Musimy mieć pewność. On mówił o przyspieszonym wzroście i dojrzewaniu. A my nie chcemy przecież, żeby Luke tak bardzo różnił się od innych dzieci, że nie będzie miał przyjaciół.

– Przed sfinalizowaniem wszystko jeszcze raz przejrzymy.

– Ja przyglądam się tym dokumentom bardzo uważnie.

Morska bryza owiewała im twarze, gdy szli po tekowym pokładzie; minęli punkt ewakuacyjny i pomarańczowy pas ratunkowy z nazwą statku. Naomi utykała z powodu ostrego bólu nogi po porannym zastrzyku. Dzisiaj czuła się przygnębiona i bezbronna. Gdy wsunęła dłoń w dłoń Johna, a on uściśnął ją pewnie dla dodania otuchy, poczuła się nieco lepiej.

Kiedy mijali rząd bulajów, zaglądała do każdego. Szkło było jednak lustrzane, jak we wszystkich oknach na statku, więc widziała tylko własne odbicie: bladą twarz i włosy splątane przez wiatr.

– Ta poufność zaczyna mnie irytować – przyznała.

– Gdybyśmy przebywali w dowolnej klinice na lądzie, też pewnie obowiązywałaby poufność. Poza tym czujemy się wyjątkowo, bo jesteśmy na pokładzie statku.

– Pewnie masz rację. Myślę tylko, że ciekawie byłoby poznać jedną czy dwie pary, porównać wrażenia.

– To są niezwykle prywatne sprawy. Może inni ludzie nie chcą rozmawiać. Nawet gdybyśmy kogoś spotkali, rozmowa mogłaby się okazać trudna.

Dotychczas jedynymi ludźmi prócz Dettorego, jakich spotkali na statku, był lekarz, Tom Leu, sympatyczny przystojny Amerykanin chińskiego pochodzenia, którego Dettore przedstawił jako swego starszego asystenta, pielęgniarka Yvonne, ich pokojówka oraz kilkuosobowa filipińska służba.

Ani śladu kapitana czy oficerów okrętowych; tylko dziś rano o dziewiątej głos z głośników zapowiedział musztrę dla załogi. Wszystkie drzwi i luki prowadzące na mostek i stanowiska załogi były stale zamknięte. Jeśli nie liczyć przystojnej pary, która im

mignęła, którą nazwali dla żartu George i Angelina, nie spotkali innych klientów.

Podczas wczorajszej popołudniowej przechadzki zobaczyli lądujący helikopter. Gdy wkrótce po tym odlatywał, John dostrzegł za przyciemnianą szybą kobietę twarz. Wspólnie z Naomi domyślili się, że helikopter zabrał parę, która się rozmyśliła.

– Masz ochotę na lunch? – spytała.

Pokręcił głową. Nie był głodny, choć nie z powodu kołysania statku, lecz stresu związanego z nieustannym zastanawianiem się nad właściwą decyzją.

– Ja też nie – przyznała. – Może posiedzimy trochę na dworze. Jest tak ciepło, że można się opalać. I popływać. Spróbujmy omówić tę kwestię współczucia.

– Jasne.

Kilka minut później, w białych szlafrokach kliniki, nasmarowani olejkiem do opalania, wyszli na rufę. Naomi chwyciła poręcz, by zejść na basen, ale nagle znieruchomiała i odwróciła się do męża.

Przy basenie spoczywali na leżakach George i Angelina. Opaleni i piękni, w eleganckich strojach kąpielowych i okularach słonecznych, czytali książki w miękkim wydaniu.

Po chwili Naomi usłyszała pstryknięcie. Zerknąwszy na męża, ujrzała, że ukradkiem chowa coś do kieszeni szlafroka.

– Chyba nie zrobiłeś zdjęcia?

John mrugnął.

– Niedobrze. Nie powinienes, znasz zasady. Mogliby nas wyrzucić, gdybyś...

– Pstryknąłem z biodra. Nikt nie zauważył.

– Proszę, nie rób tego więcej.

Podeszli do dwóch leżaków.

– Hej! – zawołał wesoło John. – Dzień dobry!

Przez pewien czas leżąca para nie reagowała. Potem, bardzo powoli, męczyzna, nazwany przez nich George'em, opuścił książkę o kilka centymetrów i równie wolno nieznacznie odchylił

głowę, jakby chciał zobaczyć, skąd pochodzi głos. Nie zmieniając wyrazu twarzy, wrócił do lektury, w żaden sposób nie dając przybyszom do zrozumienia, że zarejestrował ich obecność. Kobieta nie drgnęła.

Naomi spojrzała na męża i wzruszyła ramionami. Ten otworzył usta, jakby zamierzał coś jeszcze powiedzieć, potem najwyraźniej się rozmyślił, zdjął szlafrok, podszedł do krawędzi basenu i zanurzył nogę.

– Sympatyczni, co? – syknęła Naomi, podchodząc do męża.

– Może są głusi.

Zachichotała. John zanurzył się i zaczął pływać.

– Jaka woda? – spytała.

– Jak w saunie.

Pamiętając, że John jest przyzwyczajony do lodowatych szwedzkich jezior, ostrożnie sprawdziła stopą. Dla niego każda woda, w której nie pływał lód, była ciepła.

Dziesięć minut później, kiedy wyszli z basenu, George'a i Angeliny już nie było.

Naomi położyła się na leżaku, wycisnęła wodę z włosów i czekała, aż słońce i ciepłe powietrze osuszy jej ciało.

– Według mnie, to było okropnie niegrzeczne – powiedziała.

– Może Dettore powinien zaopatrzyć ich dziecko w gen uprzejmości – zażartował John, wycierając głowę. Potem przysiadł na leżaku Naomi. – Dobra, powinniśmy się zająć współczuciem. Musimy to rozstrzygnąć do piętnastej, co daje nam półtorej godziny. – Poglaskał żonę po nodze, potem impulsywnie pochylił głowę i pocałował ją w łydkę. – Już dawno nie ssałaś moich palców u nóg, pamiętasz, że to robiłaś?

– Ty ssałeś moje. – Uśmiechnęła się szeroko.

– Czyżbyśmy zamieniali się w stateczne małżeństwo w średnim wieku?

Naomi popatrzyła nieco smutno na męża i spytała:

– Nadal podobam ci się tak jak kiedyś?

– Nawet bardziej – zapewnił, pieszcząc jej pępek. – Uwielbiam twój wygląd, zapach, dotyk, gdy cię przytulam. Kiedy nie

jesteśmy razem, sama myśl o tobie mnie podnieca.

Uniosła jego dłoń i kolejno ucałowała wszystkie palce.

– Ja czuję do ciebie to samo. Jest po prostu coraz lepiej.

– Skoncentrujmy się – przypomniał John. – Współczucie.

– A także wrażliwość – dodała. – Posłuchaj, w basenie tak sobie myślałam...

– Tak?

Tego ranka Dettore zaproponował im modyfikacje w grupie genów odpowiedzialnych za współczucie i wrażliwość. Dla Johna współczucie stanowiło równanie matematyczne. Należało znaleźć równowagę między współczuciem stanowiącym kluczowy element człowieczeństwa a punktem, gdzie – z powodu nadmiaru – mogło zagrażać przetrwaniu. John powiedział Dettoremu, że próba zmiany tego obszaru wiąże się z niebezpieczeństwem, i genetyk zdecydowanie się z nim nie zgodził.

Naomi zebrała myśli.

– Gdybyś – zaczęła – uciekając przed wrogiem, brnął z drugim żołnierzem przez dżunglę, a on nagle zostałby ranny, co uniemożliwiłoby mu dalszą drogę... Co byś zrobił?

– Niósłbym go.

– No tak. Ale nie zdołałbyś go nieść zbyt długo, więc co byś wtedy zrobił? Jeśli go zostawisz, nieprzyjaciel go zabije. Jeśli zostaniesz, zginiecie obaj.

John zapragnął nagle zapalić papierosa. Rzucił wraz z Naomi, która przestała palić po zajściu w ciążę; potem, po śmierci Halleya, na krótko wrócił do nałogu. Od osiemnastu miesięcy nie miał w ustach papierosa, ale w chwilach stresu miał na niego dziką ochotę.

– Przypuszczam, że darwinowskie rozwiązanie polegałoby na porzuceniu przyjaciela i dalszej ucieczce – odparł.

– Ale czy to nie jest sedno całej sprawy, powód, dla którego tu jesteśmy? Mamy zapanować nad przyszłością naszego dziecka, nie pozwolić, by stał się zakładnikiem losowego wyboru. Gdybyśmy... Boże broń... zgodzili się majstrować przy genach

odpowiedzialnych za pracę mózgu, do czego stale zachęca nas Dettore, gdybyśmy zdołali zaprojektować inteligentniejszego człowieka, czy nie rozwiązywałyby problemów lepiej niż my? Czy nie znalazłby wyjścia z tej sytuacji?

– Próbujemy stworzyć zdrowszego człowieka, wyposażonego w kilka dodatkowych atutów, tylko tyle możemy zrobić. Nie stworzymy lepszego świata.

– A gdybyś miał majstrować przy mózgu, głosowałbyś za odfajkowaniem genów, które kazałyby temu uprzywilejowanemu człowiekowi zostawić przyjaciela na pastwę wroga i uciec? – nie dawała za wygraną Naomi.

– Jeśli poważnie mówiliśmy o tym, że nasz syn ma osiągać wielkie rzeczy, powinien móc podejmować trudne decyzje i z tym żyć.

Dotknęła ręki męża i pytająco spojrzała mu w oczy.

– Myślę, że to straszne.

– Więc jakie proponujesz rozwiązanie?

– Gdybyśmy naprawdę mieli zmieniać umysł naszego dziecka, chciałabym, by dorastał w systemie wartości, w którym honor odgrywa większą rolę, niż potrafimy sobie to obecnie wyobrazić. Czy to nie byłby autentycznie lepszy człowiek?

John powiódł wzrokiem po pustych leżakach, popatrzył na reling i ocean.

– I co zrobiłby twój lepszy człowiek?

– Zostałby z przyjacielem i byłby zadowolony ze swojej decyzji, bo wiedziałby, że nigdy by sobie nie darował, gdyby uciekł sam.

– To miłe mrzonki – rzucił John. – Ale nasze dziecko zaprogramowane w ten sposób nie miałoby przyszłości w realnym świecie.

– Dokładnie dlatego nie należy majstrować przy genach współczucia i wrażliwości. Powinniśmy pozwolić, by Luke odziedziczył losowo geny po nas. Oboje jesteśmy troskliwymi ludźmi, chyba mając nasze geny, nie może za bardzo pobiłdźć, prawda?

Obok nich przeszedł pracownik pokładowy ze skrzynką z narzędziami; na białym kombinezonie miał plamy smaru. *Podklasa genetyczna*. John przypomniał sobie słowa Dettorego. W książce Huxleya *Nowy wspaniały świat* hodowano trutnie do wykonywania prac fizycznych. Taki los czekał dzieci przyszłości, jeśli ich rodzice okażą się za mało przewidujący, by zmienić ich geny.

I jeśli zabraknie im odwagi do podjęcia trudnych decyzji, kiedy już postanowią je zmienić.

Dziennik Naomi

Dziś w nocy odbiliśmy od brzegów Kuby. John lubi czasem zapalić cygaro, więc poczuł rozdrażnienie, gdy nie pozwolono mu ich kupić. Doktor Dettore, który z pewnością mógłby zostać wybitnym politykiem, zaprosił nas na kolację do swojej prywatnej kabiny. Odniosłam wrażenie, że ten zaszczyt spotyka wszystkich „pacjentów” tylko raz. Poufałość wyższego szczebla. Jedzenie wywarło duże wrażenie na Johnie, a on nie zachwyca się łatwo.

Dzisiaj Dettore zapytał, jak się poznaliśmy. Dokładnie rzecz biorąc, spytał, co czułam do Johna, kiedy go poznałam. To było w Jackson Hole w stanie Wyoming. Powiedziałam mu, że chociaż uwielbiam jeździć na nartach, zawsze miałam lęk wysokości. O dziwo, w obecności Johna ten lęk zniknął. Poznaliśmy się w kolejce do wyciągu i usiedliśmy na jednym krzeselku. Świetnie nam się rozmawiało. Potem cholerne krzeselko się zatrzymało, i to w najwyższym punkcie; zbocze pod nami opadało pionowo siedemset metrów w dół, a krzeselko huśtało się jak szalone. Gdybym siedziała sama, odchodziłabym od zmysłów, ale John mnie rozśmieszał. Przy nim czułam, że mogę latać, że mogę robić, co tylko zechcę.

Wszystko to powiedziałam doktorowi. Nie wyznałam mu jednak reszty.

Nie powiedziałam, że dopiero po śmierci Halleya zrozumiałam, że John nie jest doskonały, podobnie jak my wszyscy. Nie przyznałam się, że przez pewien czas go nienawidziłam. Wcześniej

sprawił, że uwierzyłam, że jest bogiem, ale gdy przyszło co do czego, nie miał w zanadrzu żadnego cudu, tylko łzy, jak wszyscy. Tylko tę samą cholerną bezradność, jak każdy. Dziś nadal go kocham, ale inaczej. Wciąż mnie pociąga. Czuję się przy nim bezpieczna. Ufam mu. Ale już przy nim nie czuję, że mogę latać.

Ciekawe, czy wszystkie związki, którym udaje się przetrwać, osiągają ten sam punkt. Stan, w którym ludzie czują się swobodnie w swoim towarzystwie, ich marzenia są zwrócone ku rzeczywistości, a oni wiedzą, że tajemnica życia polega na tym, by wiedzieć, kiedy jest dobrze.

I na tym, by wiedzieć, że jest się cholerną szczęściarą.

Czuję, że doktor dąży do czegoś więcej. Że pod maską uroku kryje się nieustępliwość, niezadowolenie. Zazwyczaj bez trudu nawiązuję kontakt z ludźmi, ale choć on jest bardzo sympatyczny, trudno mi do niego dotrzeć. Czasem podejrzewam, że gardzi zwykłymi ludzkimi uczuciami. Że, jego zdaniem, powinniśmy być ponad nimi, w jakimś wyższym wymiarze.

Czuję, że doktor Dettore ma jakiś sekretny plan.

Dziennik Naomi

Zadziwiająco. Na tym statku otacza nas technologia warta miliony dolarów. Dziś jednak biedny John musiał siedzieć w jednej z klitek w laboratorium, z plastikowym pojemnikiem, chusteczkami higienicznymi i filmami pornograficznymi na kasetach. Mam nadzieję, że ten dziennik nigdy nie wpadnie w ręce Luke'a. Chciałabym, by miał romantyczne wyobrażenie o początkach swego życia. Miło by było, gdyby wiedział, że został poczęty podczas rejsu na Karaibach. Nie tak miło byłoby odkryć, że jego ojciec siedział z opuszczonymi spodniami i oglądał Cycatki spotykają dużego chłopca.

Doktor Dettore miał na to zgrabne określenie. Zbieranie plonów.

– Muszę zebrać plon twojej spermy – powiedział Johnowi.

Oboje w pełni zaangażowaliśmy się w ten projekt. Mimo to stale myślę, że może powinniśmy o wszystkim zapomnieć, wrócić do domu, poszukać innego rozwiązania. Adoptować albo w inny sposób postarać się o dziecko, zająć w ciążę, korzystając ze spermy dawcy. Albo w ogóle zapomnieć o dzieciach. Przecież jest wiele bezdzietnych par.

Doktor D. chyba jest zły, że wybraliśmy tak niewiele z przedstawionych nam opcji. Zakreśliliśmy zaledwie kilkadziesiąt z blisko trzech tysięcy. John i ja zgodziliśmy się tylko na usunięcie genów powodujących poważne choroby; na zapewnienie, by Luke miał sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu oraz na dokonanie

pewnych modyfikacji jego metabolizmu, co pozwoli mu na zachowanie dobrej formy i zdrowia. Gdybyśmy dali Dettoremu wolną rękę, zgodzilibyśmy się na stworzenie supermana. Nie, dziękuję!

Ale jedno muszę mu przyznać: doskonale wyjaśnia różne rzeczy. Mimo to nawet John nie zrozumiał jego metody oddzielania spermy wysokiej jakości.

Dzisiaj mieliśmy prawdziwe dożynki. Sperma Johna i moje jajeczka! Doktor D. był zachwycony plonami: aż dwanaście komórek jajowych. Powiedział, że warto było znosić ból zastrzyków (łatwo mu mówić, to nie on je dostawał).

Teraz analizuje cały kod genetyczny każdego embriona. Potem dokona selekcji komórek najsilniejszych embrionów. Rozumiem, że geny niektórych chorób zostaną usunięte lub zneutralizowane. Dziewczynki mają dwa chromosomy X. Chłopcy mają jeden chromosom X i jeden Y. Przez oddzielenie plemników z chromosomem Y od tych z chromosomem X doktor D. zapewni, że dziecko będzie chłopcem.

Brzmi to mało romantycznie, prawda?

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, za dwa tygodnie wrócimy do domu. A ja będę w ciąży.

Ciekawe, jak będę się czuła.

13

Naomi nigdy nie marzyła o bogactwie. Zatopiona w myślach, siedziała w starym volvo 405 Johna w drodze z lotniska do domu. Pod nogami miała kłębowisko papierów: skserowanych dokumentów, broszur, opakowań po gumie do życia i batonikach, kwitów ze stacji benzynowych, kwitów parkingowych; wewnątrz wozu wyglądało jak pojemnik na śmieci. Bałagan najwyraźniej nie przeszkadzał Johnowi.

Prowadząc, rozmawiał przez system głośnomówiący z kolegą z pracy. Opony zachrzęściły na nierównościach szosy. Naomi nie zwracała uwagi na inne samochody na drodze; nie marzyła o porsche, odkrytym mercedesie czy explorerze na zamówienie. Samochody były dla niej tylko środkiem transportu. Mimo to, patrząc przez przedwieczorną mgiełkę w kierunku Hollywood Hills, zdała sobie sprawę, że siedem lat spędzonych w Los Angeles zmieniło ją tak, jak najwyraźniej zmieniało przybywających tu ludzi.

Los Angeles sprawiało, że człowiek zaczynał pragnąć pieniędzy. To było silniejsze od niego; nagle pragnął rzeczy, o których nigdy wcześniej nie myślał. Doświadczał też nieznanych dotąd emocji. Takich jak zawiść.

Naomi uwielbiała ich skromny mały parterowy dom na południe od Pico. Miał dach widokowy, na podwórzu za domem rosło drzewko pomarańczowe, które raz do roku rodziło przepysznie słodkie owoce; w przewiewnym wnętrzu panowała przyjemna atmosfera. To była ich siedziba, ich azyl. Mimo to, gdy widziała sztywne domy wysoko na wzgórzach Hollywood lub

nad oceanem w Malibu, mimowolnie myślała, że świetnie byłoby wychowywać tam dziecko.

Przycisnęła dłoń do brzucha. Luke był zaledwie plamką, miał dopiero dwa tygodnie; od szkoły dzieliły go lata. Dla mnie już jesteś człowiekiem, Luke. Jak się z tym czujesz? Dobrze? Ja też.

Po przyjsciu na świat Halleya wszyscy mówili jej, że najlepsze szkoły znajdują się w Beverly Hills i tylko takie powinien brać pod uwagę poważny rodzic, chyba że chciał, by syn wyrósł na wymachującego spluwą handlarza taniej kokainy. Ale jakim cudem mogli sobie pozwolić na dom w Beverly Hills?

John tak marnie zarabiał. Teraz pracował nad książką ze swojej dziedziny, a niektóre niezrozumiałe książki naukowe stawały się bestsellerami. Tyle że jego ostatnia, choć dostała dobre recenzje w prasie akademickiej, rozeszła się w nakładzie niespełna dwóch tysięcy. Zresztą on bardzo się cieszył; nie spodziewał się, że sprzeda się tak dużo!

Naomi uznała więc, że musi na nowo tchnąć życie we własną karierę. Po śmierci Halleya pracowała jako wolny strzelec; gdy czuła się na siłach, przyjmowała zlecenia PR. Za tydzień zaczynała dwumiesięczną pracę nad promocją filmu Olivera Stone'a, ale potem nic się nie szykowało. Nadszedł czas, by zacząć polować na pracę, dzwonić do ludzi z wytwórni, telewizji, niezależnych firm; może po urodzeniu Luke'a powinna przyjąć etat. Coś z możliwościami awansu, w Showtime, HBO, MTV czy Comedy Central, gdzie miała szansę zacząć produkować i zarabiać poważne pieniądze.

Wszystko, by przeprowadzić się do Beverly Hills.

Marzenie ściętej głowy w czasach głębokiej recesji.

Oczywiście nie mieli wcale pewności, czy zostaną w Los Angeles. John liczył w przyszłym roku na stały angaż na Uniwersytecie Południowej Kalifornii, ale nie wiedział, czy go otrzyma. Gdyby go dostał, zostaliby w Los Angeles na długie lata, pewnie do końca jego kariery, ale jeśli nie dostanie stałego angażu, może będą musieli przenieść się do innego miasta albo nawet kraju. Chociaż lubiła Stany Zjednoczone, marzyła

o powrocie do Anglii i zamieszkaniu blisko matki i starszej siostry Harriet.

Dziwnie było wrócić do Kalifornii. W samolocie prawie nie rozmawiali. Naomi próbowała oglądać film, ale nie mogąc się skupić, zaczęła skakać po kanałach. Nie potrafiła też zagłębić się w lekturę książki kupionej na lotnisku przed wejściem do samolotu, zatytułowanej *Nienarodzone dziecko – opieka nad płodem*.

Oboje na powrót kontaktowali się z rzeczywistością. Po czterech tygodniach cieplarnianej atmosfery na statku wracali do normalnego świata. Do dziewięciu miesięcy ciąży i utrzymywania całkowitej tajemnicy przed znajomymi. Do oszczędzania każdego centa. Do tysiąca rzeczy, które należało zrobić i zorganizować.

Ciąża z Halleyem nie była najgorsza, ale Naomi nie mogła jej nazwać wspaniałą. Niektóre z jej przyjaciółek przechodziły ciążę gładko, inne znosiły to źle. Ona miewała lepsze i gorsze chwile, zdarzały się ciężkie poranne mdłości; w ostatnich miesiącach czuła się bardzo zmęczona, w czym nie pomagała nietypowa fala upałów trwających od początku czerwca do sierpnia. W jakimś czasopiśmie przeczytała, że z drugim dzieckiem jest lżej. Taką miała nadzieję.

John skończył rozmawiać przez telefon.

– Wszystko w porządku? – spytała.

– Mniej więcej. W moim programie dotyczącym ewolucji człowieka jest problem, którego nikt nie potrafi rozwiązać.

– Przecież jest niedziela – zauważyła Naomi. – Musisz się tym zajmować?

– Tylko przez pół godziny. Poza tym muszę przesłać mailem sporo materiałów Dettoremu. Wygląda na to, że poważnie rozważa finansowanie mnie. Ta jego firma wydaje miliardy na badania. Wystarczyłoby, by sypnął groszem, a mógłby finansować działalność całego mojego wydziału przez trzydzieści lat.

– Już ja znam to twoje pół godziny. To znaczy, że wrócisz do domu około północy.

John uśmiechnął się i położył rękę na brzuchu żony.

– Jak on się miewa?

– Na razie dobrze. Złoty chłopak. – Uśmiechnęła się promiennie i położyła dłoń na dłoni Johna. – Nie chcę spędzać jutrzejszego dnia samotnie. Czuję się taka pusta, zdenerwowana tym... no wiesz... – Wzruszyła ramionami. – Zróbmy coś razem. Rozumiem, że masz pracę, ale czy nie możemy spędzić trochę czasu razem, na przykład pójść na wycieczkę do kanionów? I odwiedzić grób Halleya. Trzeba położyć świeże kwiaty, minął już ponad miesiąc.

– Jasne, tak zrobimy. Wycieczka też brzmi dobrze. Miło będzie pochodzić i nie czuć, że ziemia porusza się pod stopami.

– Wciąż czuję kołysanie statku – przyznała Naomi i wyjęła z torebki broszurę, którą dostała od Dettorego.

Otworzyła ją, ale momentalnie poczuła zawroty głowy. Zamknęła oczy, wzięła głęboki wdech i walcząc z nagłym, ostrym atakiem mdłości, przez chwilę była przekonana, że zwymiotuje. Zerknęła na męża, ale nie powiedziała ani słowa. Dziwne. Czternaście dni.

Czy koniec drugiego tygodnia to nie za wcześnie na poranne mdłości?

John odebrał telefon. Dzwoniła Sarah Neri, młoda, pełna entuzjazmu doktorantka, którą niedawno zatrudnił.

– Przepraszam, ale wcześniej, kiedy dzwoniłeś, akurat wyszłam.

– Nic nie szkodzi. Udało ci się zdobyć jakieś informacje?

– Tak, mam całe mnóstwo. Jest strona internetowa połączona z Rejestrem Lloyd'a i *Serendipity Rose* na niej figuruje. Ma statek siostrzany, który pływa na rejsach pasażerskich, a wszystkie dane, o które prosiłeś, figurują na stronie armatora. Prześlę ci mailem.

– Powiedz teraz w skrócie.

Sarah Neri wymieniła najważniejsze punkty. Kiedy się rozłączyła, John zaczął obliczać w głowie.

Statek *Serendipity Rose* ważył dwadzieścia pięć tysięcy ton i był wyposażony w cztery silniki, każdy o mocy sześciu tysięcy koni mechanicznych.

Sarah wyszukała dla niego cenę paliwa. Dziennie statek spalał ponad sześćdziesiąt cztery tysiące litrów wysokooktanowej benzyny. John dodał koszty utrzymania, ubezpieczenie, opłaty portowe oraz koszt paliwa helikoptera. Do tego Dettore. Dwóch młodszych lekarzy. Trzy pielęgniarki. Dwóch laborantów. Cała załoga statku. Całkowity koszt wynosiłby około dwóch milionów dolarów rocznie, nawet przy założeniu, że filipińskiej załodze płacono grosze.

John wyliczył, że koszt utrzymania statku wynosił dwadzieścia tysięcy dolarów dziennie, choć faktyczna kwota mogła być znacznie wyższa. On i Naomi zapłacili czterysta tysięcy dolarów i przebywali na pokładzie trzydzieści dni. Trzydzieście tysięcy trzysta dolarów dziennie. Oprócz nich na statku przebywała jeszcze tylko jedna para, George i Angelina, oraz ta, która odleciała w dniu przybycia Johna i Naomi. W ciągu pierwszych dwóch tygodni Dettore spędzał większość czasu z Johnem i Naomi. W drugiej połowie pobytu, po zapłodnieniu Naomi, widywali genetyka tylko przelotnie raz dziennie, gdy składał im grzecznościową wizytę. Cykl trzech par na statku w dowolnym momencie wydawał się w pełni możliwy.

Co dawałoby około trzydziestu dziewięciu tysięcy dziewięciuset dolarów dziennie. Przy tych cenach Dettore nie mógł pokrywać kosztów ani zarabiać.

A skoro jego celem nie był zysk, to co?

– John?

– Co? – Zaskoczony, spojrzął na Naomi, której głos wyrwał go z zamyślenia.

– Minąłeś nasz zjazd.

14

Dziesięć tygodni później Naomi miała wizytę u ginekologa położnika w jego gabinecie na szóstym piętrze w szpitalu Cedars-Sinai. Doktor był roztargniony. Rozmawiał z nią wprawdzie, ale myślami był zupełnie gdzie indziej. W białym fartuchu chirurgicznym i tenisówkach przypominał Naomi Dettorego ze statku. Drobnny, szczupły doktor Rosengarten zbliżał się do pięćdziesiątki, miał nosowy głos, farbowane włosy i opaleniznę o nieco żółtawym odcieniu, która, jak podejrzewała Naomi, nie miała nic wspólnego z kalifornijskim słońcem, była rodem z solarium.

Trudno byłoby powiedzieć, że go nie lubiła, ale zachowywał zbyt duży dystans, by mogła darzyć go sympatią. Poza tym misternie lakierowane i złożone meble w stylu Ludwika XIV, obicia z frędzlami oraz jadesitowe i onyksowe dzieła sztuki wydały się jej nieco absurdalne w tak nowoczesnym budynku. Upodobniały pomieszczenie raczej do buduaru niż gabinetu lekarskiego, i taka była intencja Rosengartena, domyślała się Naomi. Ten fałszywy przepych niewątpliwie robił wrażenie na części jego klientek.

Ku jej zdziwieniu, po opiece i drobiazgowym planowaniu na statku doktor Dettore nie przekazał jej żadnych instrukcji co do dalszego postępowania. Wręczył jej tylko „Po zapłodnieniu. Przewodnik”, zaproponował listę książek i stron internetowych poświęconych płodowi, obejmujących takie dziedziny, jak odżywianie, dobro duchowe czy suplementy diety. Można było odnieść wrażenie, że po opuszczeniu jego helikoptera na lotnisku LaGuardia znaleźli się poza zasięgiem opieki Dettorego i zniknęli

z jego życia. Prosił tylko, by powiadomili go, kiedy Luke się urodzi, przesłali jego dane i stawili się na badania, gdy syn skończy trzy lata.

Naomi zastanawiała się, czy ten brak zainteresowania nie brał się stąd, że wybrali tak niewiele opcji z jego listy. Nadal był uprzejmy i czarujący, ale pod koniec pobytu na statku wyczuła w nim pewien chłód i zniecierpliwienie.

Zdziwiło ją, że nie polecił w Los Angeles żadnego położnika ani pediatry; poradził tylko, by dała się prowadzić swojemu lekarzowi. Za pieniądze, które zapłacili, Naomi spodziewała się starannie zaplanowanej opieki.

Ich lekarz rodzinny zasugerował tego samego położnika w Santa Monica, który odbierał pierwszy poród, ale najlepsza przyjaciółka Naomi w Los Angeles, Lori Shapiro, od razu odrzuciła ten pomysł, i to nie ze względu na skojarzenia z Halleyem. Lori była żoną bajecznie bogatego radiologa, Irwina, znającego wszystkich lekarzy w okolicy, i to ona doradziła skorzystanie z usług doktora Rosengartena, który czuwał nad narodzinami wszystkich trojga dzieci Lori. Ona i Irwin zapewniali Naomi, że jest najlepszy w mieście. Jednym tchem wyrecytowali nazwiska gwiazd, których dzieciom Rosengarten pomógł przyjść na świat.

Naomi i John z radością zmienili położnika. Z ulgą rozwiązali więź z Halleyem i przeszłością. Na widok ekskluzywnego gabinetu John pomyślał z wdzięcznością, że jednym z plusów zatrudnienia na uniwersytecie jest znakomite ubezpieczenie medyczne.

Do gabinetu weszła sekretarka Rosengartena, zwiewna, jasnowłosa kalifornijska piękność – za chuda i przyjacielska jak lód. Szepnęła coś doktorowi.

– Muszę państwa przeprosić – powiedział Rosengarten. – Jedna z moich klientek rodzi trzy tygodnie przed terminem. – Przytknął palec do ust. – Ona jest... Nie mogę zdradzić jej nazwiska, na pewno jutro przeczytacie w gazetach. Niedługo

wracam. – Posyłając im protekcyjnalny uśmiech, po raz trzeci zniknął za drzwiami.

John miał ochotę walnąć go w zęby. Naomi, w rozpiętym fartuchu i z żelem na brzuchu, leżała na stole do badań, podczas gdy pielęgniarka wyjaśniała:

– Doktor Rosengarten ma dziś bardzo napięty dzień.

– Świetnie – odparł John, biorąc Naomi za rękę i patrząc na białoszare obrazy na monitorze. – Proszę mu powtórzyć, że niezmiernie mu współczuję.

– Tak, powtórzę mu – odparła pielęgniarka, której najwyraźniej odłączono poczucie humoru.

Po kilku długich minutach położnik wrócił.

– Dobrze, mogę już potwierdzić, że wszystko jest w normie, pani Klaesson i, hm... doktorze Klaesson. Mamy dwunasty tydzień ciąży, płód jest zdrowy, przezierność fałdu karkowego zadowolająca. – Pozwolił małżonkom przyswoić informacje, po czym dodał: – Czy chcielibyście państwo poznać płeć?

Naomi zerknęła na Johna, a on uśmiechnął się konspiracyjnie. Nieznacznie odwzajemniła uśmiech i odwróciła wzrok. Od kilku tygodni czuła się fatalnie, mdliło ją; tuż przed przyjściem tutaj wymiotowała. Sięgnąwszy po chusteczkę, otarła z ust ślinę, która nieustannie się zbierała.

Za podwójnej szyby dobiegło z dołu wycie młota pneumatycznego. Za tumanem pyłu Naomi ujrzała pobliską szarą betonową ścianę Beverly Center i obiecała sobie, że pójdzie tam w weekend i sprawdzi, czy nie ma na letniej wyprzedaży staników i jakichś luźniejszych ciuchów. Jeszcze nie zaczęła przybierać na wadze – choć piersi urosły i bardzo bolały – ale po ciąży z Halleyem pamiętała, że mniej więcej za miesiąc zacznie tyć.

John uścisnął jej dłoń. Ponownie spojrzała na drobniutką sylwetkę na nieostry, szaro-białym ekranie. Dostrzegła rączki, nóżki oraz, w miejscu wskazanym przez doktora Rosengartena, stópkę.

– Nie sądziłam, że potraficie określić płeć przed szesnastym tygodniem – powiedziała.

– Z naszym sprzętem dwanaście tygodni w zupełności wystarczy – zapewnił położnik zboliałym głosem, skrzyżował ręce na piersiach wojowniczym gestem i spojrzał na swoją pielęgniarkę Barbie. – Poradniki! – prychnął lekceważąco. – Te bzdury o szesnastu tygodniach czytaliście pewnie w poradnikach. Wszystkie poradniki nadają się na śmietnik, prawda?

Pielęgniarka przytaknęła.

– Jeśli macie państwo pytania, zadawajcie je mnie – dodał doktor Rosengarten. – Nie marnujcie czasu na czytanie poradników.

Naomi spojrzała na męża. Nagle poczuła potworne zdenerwowanie. John znów ścisnął jej dłoń – ot, ledwie wyczuwalny ucisk, jak puls.

Dziwne uczucie: znowu być w ciąży. W przerwach między atakami mdłości czuła się szczęśliwa, choć przygniatało ją brzemień odpowiedzialności. Wiedziała, że John wiele oczekuje po Luke’u, podobnie jak ona.

– Mogłabym jeszcze raz posłuchać bicia serca? – poprosiła, patrząc na ekran.

– Naturalnie. – Rosengarten umieścił skaner na jej pokrytym żelem brzuchu i poruszył nim, aż uzyskał dźwięk.

Naomi leżała bez ruchu, wsłuchana w napawające otuchą pospieszne pop-pop-pop-pop. Po chwili położnik spojrzał na zegarek i odłożył skaner.

– Dobrze, pani Klaesson, może pani wstać.

Pielęgniarka podeszła i wytarła jej brzuch.

Podnosząc się ze stołu, Naomi poczuła atak paniki.

Co myśmy zrobili? A jeśli wszystko poszło nie tak?

– Dziecko jest normalne? – spytała.

Ta cholerna sekretarka znowu stała w drzwiach i dawała doktorowi znaki. Ten uniósł palec, po czym z roztargnieniem zwrócił się do Naomi:

– Absolutnie.

– Jest pan całkowicie pewien?

– Na tyle, na ile możemy ocenić na tym etapie, dziecko jest silne i zdrowe. Nie ma powodu do obaw. Te ostre mdłości, *hyperemesis gravidarum*, wkrótce miną. Po prostu proszę się rozluźnić i cieszyć się ciążą. To dla pani cudowny czas.

Dziecko jest zdrowe! – myślała. Moje dziecko jest zdrowe, porusza się we mnie. Na moment przymknęła oczy, walcząc z kolejną falą mdłości. Będę dla ciebie świetną mamą, a John będzie fantastycznym tatą. Obiecuję. Zrobimy, co w naszej mocy, żeby zapewnić ci wspaniałe życie i jak najlepiej wykorzystać atuty, które dał ci doktor Dettore. Jesteś wyjątkowy, wiesz? Niewiarygodnie wyjątkowy. Jesteś najbardziej wyjątkowym dzieckiem na świecie.

– No więc nie powiedział nam pan – rzekł John.

Doktor Rosengarten spojrział na zegarek. Wizyta najwyraźniej dobiegła końca. Z nagłym zniecierpliwieniem spytał:

– Czego nie powiedziałem?

– Płci.

– Na pewno chcecie wiedzieć? – Położnik spojrział najpierw na Johna, potem na Naomi.

– Tak – potwierdziła.

– Owszem. – John znowu uśmiechnął się do żony. – Zdecydowanie tak.

– Dobrze. Gratuluję – powiedział doktor Rosengarten. – Będziecie mieli dziewczynkę.

15

W zapiętym pasie, zatopiona w myślach Naomi tylko mgliście zdawała sobie sprawę, że wjeżdżają na autostradę, mąż prowadzi, potem zatrzymują się przy bramce. W samochodzie panowała duchota, śmieci szeleściły i zgrzytały pod jej stopami. John opuścił okno i wręczył kwit parkingowemu. Tamten obejrzał nalepki z sumiennością urzędnika imigracyjnego, który bada paszport podróżnego przybywającego z ogniska terroryzmu, wreszcie podniósł szlaban, a John zamknął okno.

Pot lał się z niej strumieniami.

Kiedy wyjechali na ulicę, przefrunął przed nimi liść palmowy; po chwili uświadomiła sobie, że samochód kołysze się pod wpływem podmuchu wiatru. Po obu stronach piętrzyły się ściany wieżowców, przez co mieli wrażenie, że jadą kanionem. Naomi spojrzała w górę i nagle poczuła się uwięziona. Nad nimi, w wąskim korytarzu, na niebie przepychały się czarne chmury. Na przednią szybę spadła kropla deszczu i ściekła w dół.

Rano mówili w telewizji o nietypowej jak na lipiec pogodzie. W ciągu siedmiu lat, jakie spędzili w Los Angeles, stale panowała nietypowa pogoda.

Według powszechnej opinii, winę za anomalie klimatyczne na świecie ponosiło globalne ocieplenie. Wszystkiemu winni naukowcy majstrujący przy naturze. Naukowcy wyrastali na współczesnych heretyków. Najpierw bomba atomowa, potem zanieczyszczenia, wreszcie jedzenie modyfikowane genetycznie. Co dalej? Projektowane dzieci?

Naomi poczuła ukłucie lęku.

Dobrze. Gratuluję. Będziecie mieli dziewczynkę.

Jeśli tego nie potrafił dopilnować – Dettore, doktor Dettore (mów mi Leo!), jeśli nie umiał dopilnować tej jednej podstawowej sprawy, to co...?

O Boże, co myśmy zrobili?

John wyprowadził zabrudzone szare volvo z parkingu, skręcił w lewo, potem znowu w lewo i zatrzymał się przed światłami na skrzyżowaniu z La Cienega. Wskazał ręką w prawo. Na południe.

Naomi wyjęła z torebki iPhone i pospiesznie sprawdziła popołudniowy rozkład zajęć. Natychmiast po pracy dla firmy Olivera Stone'a przyjęła sześciotygodniowe zlecenie dla Bright Spark Productions, która nakręciła serial dokumentalny o młodych filmowcach. Pierwszy odcinek miał zostać wyemitowany za dwa tygodnie na kanale Bravo.

O wpół do trzeciej po południu miała spotkanie na wydziale filmowym na uniwersytecie UCLA, a było już dwadzieścia po dwunastej. Swój samochód zostawiła w domu, ale musiała wstąpić do biura, żeby zabrać materiały. Dwudziestominutowa jazda, o ile nie będzie korków. Potrzebowała mniej więcej pół godziny na przygotowanie się. Potem trzydzieści minut na dojazd do filmówki. Nie zostawało zbyt wiele zapasu, a nie cierpiała się spóźniać do pracy.

– Co za dupek! – wybuchnął John, w końcu przerywając długie milczenie panujące od wyjścia z gabinetu Rosengartena. – Co za skończony, pierdolony dupek.

Naomi milczała. O piątej miała się spotkać na drinka w Four Seasons z zaprzyjaźnioną dziennikarką z „Variety”. Nie mogła tego odwołać, ale jakim cudem miała przeżyć to popołudnie? Opuściła szybę. Podmuch powietrza, nawet pełnego spalin, był lepszy niż panująca w samochodzie woń rozgrzanego starego plastiku. John przesunął się nieco do przodu. Z hukiem wyminął ich traktor.

Zadzwoiła komórka Johna. Naomi z ulgą przyjęła to, że nie odebrał. Po chwili zadzwonił jej telefon. Z lekkim poczuciem winy wyłączyła go, choć wiedziała, że to pewnie ktoś z pracy.

W tej chwili nie potrafiłaby się jednak skupić na tematach służbowych.

– Myślisz to co ja? – spytała w końcu.

– On się myli. – John wcisnął pedał gazu, skręcając gwałtowniej, niż zamierzał; wylądował kilka centymetrów przed autobusem, którego kierowca gniewnie zatrąbił.

– Musi się mylić – przyznała mężowi rację Naomi. – Nikt nie może mieć pewności w dwunastym tygodniu. Twierdzenie, że może, jest po prostu głupie.

– Jest arogancki. Ma nas gdzieś, jesteście dla niego nikim. Gdybyśmy byli gwiazdoram, nie popełniłby takiego błędu. Nie śmiałyby.

Kiedy dotarli do skrzyżowania San Vincente i Wilshire Boulevard, lusterko wsteczne wypełnił autobus.

– Nie skupiał się na tym, co mówi – rzucił.

– Powinniśmy zasięgnąć drugiej opinii.

Przejeżdżał przez skrzyżowanie z olimpijskim spokojem.

– Tak zrobimy – powiedział wreszcie. – Ten facet to dupek, popełnił błąd. We wszystkich książkach piszą, że płęć można stwierdzić najwcześniej w szesnastym tygodniu. Kiedy będziesz w szesnastym tygodniu, pójdziemy do innego lekarza.

– Nie chcę czekać czterech tygodni, nie mogę czekać tak długo, John, muszę wiedzieć... Musimy wiedzieć.

– W internecie piszą o teście zwanym wolnym płodowym DNA, ale nie jestem pewien, jak bardzo jest wiarygodny. Dla całkowitej pewności trzeba może poczekać do szesnastego tygodnia. Nie powinniśmy panikować.

– Martwię się – odparła Naomi. – Jeśli płęć jest nie taka, jak miała być, to samo może być z innymi genami. Musi być jakiś pewny sposób sprawdzenia płci już teraz. A co z testem DNA? Czy to nie jest jakaś opcja?

– Z wyjątkiem metody, o której mówiłem, wszystkie są inwazyjne. Czytałem w necie o takich badaniach. Zawsze istnieje ryzyko poronienia. Niewielkie, ale chcesz ryzykować?

Chciała? Podejmować jakiegokolwiek ryzyko? Z całych sił próbowała myśleć klarownie. Jeżeli Rosengarten się pomylił, ryzykowanie wszystkiego z powodu paniki byłoby szalone. Ale...

– Jeśli nie będzie innego wyjścia, wrócimy do kliniki. Skonfrontujemy się z Dettorem.

– Sądzisz, że powiedziałyby nam prawdę? Że jeśli się pomylił, to się przyzna?

John chciał coś jeszcze dodać, ale zamilkł na dłuższą chwilę.

– On... – odezwał się w końcu – nie ma żadnego powodu...

Przełykając lęk, spytała:

– Powodu żeby co?

– Żeby dawać nam dziewczynkę, skoro prosiliśmy o chłopca.

– Zadzwoń do niego – poprosiła Naomi. – Masz numer, zadzwoń teraz.

Od domu dzieliło ich zaledwie kilkaset metrów, ale John zjechał z szosy na parking niewielkiej galerii handlowej. Odnalazł numer w blackberry i zadzwonił.

Naomi nie spuszczała wzroku z twarzy męża.

– Mówi John Klaesson. Chciałbym porozmawiać z doktorem Dettorem w pilnej sprawie. Proszę go poprosić, by zadzwonił do mnie na komórkę. – Podał numer i rozłączył się.

– Poczta głosowa? – spytała.

– Tak. – Zerknął na zegarek. – Oni są w strefie czasowej Wschodniego Wybrzeża, trzy godziny później niż tu. U nas jest dwadzieścia po dwunastej, co znaczy, że na statku jest dwadzieścia po trzeciej. Może jakiś problem z centralką? Już kilka razy miałem problemy, kiedy chciałem się do niego dodzwonić.

– Na statku nie widziałam żadnej centralki.

Odłożył telefon.

– Wielu rzeczy nie widzieliśmy – powiedział.

Naomi się nie odezwała.

16

W wieku osiemnastu lat John musiał podjąć decyzję, od której miało zależeć jego przyszłe życie. Wiedział już, że pragnie robić karierę w świecie akademickim, nie postanowił jednak, w jakiej dziedzinie. Czuł się rozdarty między miłością do biologii a fascynacją matematyką, fizyką i technologią.

We wszystkich problemach matematycznych widział coś mistycznego. Niekiedy czuł, że wykracza poza czas i dotyka nowego, jeszcze nieodkrytego wymiaru, by zmierzyć się z wyzwaniem intelektualnym rzuconym przez znacznie wyższą inteligencję. Zupełnie jakby każdy z tych wielkich problemów był częścią kosmicznej układanki, a gdyby człowiekowi udało się ją rozwikłać, posiadłby klucz do ludzkiego bytu.

Również w biologii można było znaleźć klucze do zagadki istnienia, jednak w bardziej ograniczonym stopniu. Świat genetyki go ekscytował, ale koniec końców genetyka sprowadzała się do matematyki. Poza tym odnosił wrażenie, że genetyka może wprawdzie pomóc w zrozumieniu człowieka, nie daje jednak odpowiedzi na podstawowe pytanie, które fascynowało go przez całe życie: dlaczego istniejemy? Z czasem przekonał się, że horyzonty myślowe biologów są zbyt zawężone. Stosunkowo niewielu wierzyło w Boga czy jakąkolwiek wyższą formę inteligencji. Z szerszym myśleniem spotykał się wśród matematyków i fizyków, dlatego też postanowił poświęcić się informatyce.

Rozpoczynając studia na czołowym szwedzkim uniwersytecie w Uppsali, nie zdawał sobie sprawy, że mimo rewolucji technologicznej życie większości naukowców akademickich nie

ulegało zmianie; nie wiedział, że gdy później ruszy w świat, stanie przed problemem poszukiwania środków finansowych. Jeśli człowiek nie był zatrudniony przez korporację czy instytut, program badawczy najczęściej otrzymywał finansowanie przez ograniczony okres, zwykle tylko przez trzy lata. Co oznaczało, że zamiast koncentrować się na badaniach, trzeba było wkładać mnóstwo energii w pisanie listów do firm, instytutów, fundacji, wypełnianie wniosków i starania o zapewnienie kolejnej transzy środków.

I do dziś tkwił w tym samym punkcie. W Uppsali obronił doktorat, został na programie podoktoranckim, w końcu jednak Szwecja wydała mu się zbyt ograniczająca; nie lubił też krótkich dni zimowych. W wieku dwudziestu sześciu lat skorzystał z okazji, by przenieść się na Uniwersytet Sussex w Anglii, gdzie przyjął posadę wykładowcy, pozwalającą mu na pracę w laboratorium w kognitywistycznym zespole badawczym. Zespołem kierował człowiek, którego uważał za prawdziwego wizjonera, profesor Carson Dicks. John zaczął już pracować z Dicksem, gdy ten przyjechał na roczne wykłady do Uppsali.

Tak bardzo spodobało mu się to, co robili w Sussex, i praca dla Dicksa, że nie przejmował się niskimi zarobkami, przygnębiała go natomiast brytyjska obojętność wobec projektów naukowych. Po trzech latach Dicks opuścił uniwersytet, by przyjąć posadę w rządowym instytucie badawczym. Wkrótce potem, gdy John skończył dwadzieścia dziewięć lat, zaproponowano mu posadę wykładowcy – z możliwością stałego angażu – na USC, Uniwersytecie Południowej Kalifornii, gdzie dysponowałby własnym laboratorium na wydziale kierowanym przez doktora Bruce'a Katzenberga, innego naukowca, którego bardzo podziwiał. Skwapliwie skorzystał z okazji.

Praca Johna na USC polegała na tworzeniu i badaniu wirtualnych form życia. Ten wymarzony projekt pozwalał mu łączyć zainteresowania fizyką i biologią. Po sześciu latach mógł teraz liczyć na stały angaż, który z pewnością by otrzymał, gdyby doktor Katzenberg nadal kierował wydziałem.

Niestety, przed rokiem doktora Katzenberga złowiła firma software'owa z Doliny Krzemowej i złożyła mu propozycję, której, jak przepraszająco wyjaśnił Johnowi, nie odrzuciłby nawet Bóg. Teraz, gdy do końca projektu został niespełna rok, perspektywy finansowe nie rysowały się zbyt różowo, podobnie jak możliwość stałego zatrudnienia dla wielu związanych z projektem kolegów Johna, którzy zaczęli ubiegać się o stałe posady gdzie indziej.

Wychował się w Örebro, pięknym miasteczku uniwersyteckim w środkowej Szwecji, wybudowanym nad rzeką, z otoczonym fosą średniowiecznym zamkiem w centrum. Latem pedałował na rowerze przez park do szkoły, zimą jeździł na nartach po grubym śniegu. Lubił spacerować, lubił otwarte przestrzenie i poczucie swobody. W Los Angeles czuł się czasem przytłoczony.

Jeszcze bardziej niż Naomi tęsknił za zmieniającymi się porami roku. Uwielbiał długie dni, dlatego lato było wspaniałe, ale czasem brakowało mu ostrej, zimnej jesiennej woni i poczucia zbliżającej się zimy. Najbardziej jednak brakowało mu śniegu. Oczywiście w weekendy mogli robić wypadki w góry i jeździć na nartach, fundować sobie krótki i tani lot do Telluride, Park City czy innego kurortu narciarskiego, ale tęsknił za śniegiem padającym za oknami, pokrywającym ogród i samochody. Tęsknił za wiosną. Za poczuciem wspólnoty.

Może tak czuli się wszyscy w dużych miastach.

Z Jefferson skręcił w Bramę 8, skinął głową pracownikowi w budce i wjechał na parking. Potem, z torbą z laptopem na ramieniu, wrócił na Jefferson i przeciął McClintock, w niedalekiej odległości od Shrine. W ciągu dnia okolica była w porządku, ale nocą studenci i pracownicy chodzili grupkami albo strażnik odprowadzał ich na parking. Taka to była dzielnica.

Mroczna i pełna przemocy strona miasta na szczęście nigdy nie dała się we znaki ani jemu, ani Naomi i rzadko o niej myślał. Bolesne były natomiast nieustanne wspomnienia o Halleyu, które wywoływały wszystkie zakątki miasta. Najgorzej było

w Santa Monica. Szpital St John's w Santa Monica stał się ich drugim domem na znaczną część roku. On i Naomi na zmianę sypiali na łóżku polowym w pokoju Halleya. Patrzyli, jak gaśnie w oczach. Mieli nadzieję na cud, ale cud się nie zdarzył.

Niekiedy sama nazwa „Santa Monica” budziła ból. John miał nadzieję, że po narodzinach Luke'a sytuacja się zmieni, że znowu ruszą do przodu, zamiast tkwić w cieniu przeszłości. Teraz jednak, po rewelacji doktora Rosengartena, nadzieje na nowy początek stanęły pod znakiem zapytania.

Chryste, w co ja nas wpakowałem?

Zatopiony w myślach, wszedł do trzypiętrowego budynku i pojechał windą na drugie piętro, gdzie mieścił się wydział kognitywistyki. Na korytarzu kręcili się studenci, znajome twarze, ale tylko kilku znał z nazwiska. Pora lunchu. Zazwyczaj wychodziłby teraz na przerwę, a nie zaczynał dzień pracy.

Nagle drogę zastąpiła mu ładna Amerykanka chińskiego pochodzenia.

– Dzień dobry, doktorze Klaesson, czy moglibyśmy chwilę porozmawiać? Mam pewien problem z czymś, co powiedział pan w czwartek na wykładzie o neurodarwinizmie i muszę...

– Czy możemy to zrobić później, Mei-Ling?

– Jasne. Mam wstąpić do pańskiego gabinetu?

– Około szesnastej, pasuje? – Nie miał pojęcia, jak wyglądał jego dzisiejszy rozkład zajęć, ale w tej chwili nie chciał z nikim rozmawiać. Potrzebował odrobiny samotności.

Musiał się zastanowić.

Złapać Dettorego.

– Szesnasta pasuje – powiedziała studentka.

– Świetnie. – John ruszył korytarzem wyłożonym błyszczącym linoleum, z szarymi szafkami po jednej i zamkniętymi drzwiami po drugiej stronie.

Ostatnie po lewej prowadziły do pomieszczenia z dziesięcioma komputerami, z czego cztery zajmowali jego doktoranci i ludzie przyjęci na program podoktorancki. Jeden siedział rozparty, podsypiając z puszką coli w dłoni. Drugi, bardzo

skupiony, wpatrywał się w ekran. Młoda doktorantka Johna, Sarah Neri, z burzą rudych włosów, zbliżyła twarz do ekranu i uważnie przyglądała się wykresowi. Przekradł się na palcach w zacisze gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

Przyzwoite, choć nieco bezosobowe pomieszczenie było dość przestronne. Stonowane nowoczesne meble i wysoko umieszczone okno z widokiem na trawnik i dwa inne budynki uniwersyteckie. Papiery pokrywały każdą płaską powierzchnię gabinetu, w tym krzesła dla gości i znaczną część podłogi, monitor maca, klawiaturę oraz białą tablicę na ścianie, zapisaną algorytmami i ledwie czytelnym diagramem, który narysował dla jednego ze studentów.

Nie zdejmując kurtki, usiadł za biurkiem, wyjął z torby laptop, ściągnął pliki, nad którymi pracował zeszłej nocy w domu, po czym sprawdził rozkład zajęć na popołudnie.

– Cholera! – zaklął na głos.

Na śmierć zapomniał o spotkaniu o osiemnastej. Dziennikarka z „USA Today” chciała napisać artykuł o jego wydziale. W normalnych warunkach zadanie spadłoby na Saula Harancheka, który przejął kierowanie wydziałem po odejściu Bruce’a Katzenberga, ale Saul wyjechał z miasta i poprosił go o udzielenie wywiadu. Johnowi było to potrzebne jak dziura w moście, zwłaszcza dziś, gdy chciał wcześniej wrócić do domu, do Naomi.

Zadzwoił do Dettorego, ale ponownie połączył się z automatyczną sekretarką. Potem zatelefonował do Naomi, która była właśnie w firmie produkcyjnej.

– Próbowalesz porozmawiać z Dettorem? – spytała przybitym głosem.

– Tak. Będę nadal próbował.

– A co z drugą opinią?

– Pozwól mi najpierw z nim pomówić. Obawiam się, że wrócę trochę później. Mam wywiad.

– W porządku, muszę pojechać na plan zdjęciowy, całkiem o tym zapomniałam. Akurat dzisiaj! Nie wrócę przed dwudziestą

pierwszą. Co z kolacją?

– Chcesz gdzieś wyskoczyć? Na przykład do meksykańskiej knajpy?

– Chyba nie przełknęłabym teraz meksykańskiego jedzenia. Może odłożmy decyzję na później?

– Jasne – zgodził się John. – Kocham cię.

– Ja też cię kocham.

Z ciężkim sercem rozłączył się i sprawdził pocztę elektroniczną.

Potem, wystukawszy adres Dettorego, napisał lakonicznego maila, informując o diagnozie doktora Rosengartena, i poprosił, by genetyk pilnie się z nim skontaktował.

Po wysłaniu maila podszedł do okna. Mimo chłodnego wiatru i zacinającego deszczu na dworze przebywało sporo ludzi. Niektórzy jedli na ławkach lunch, inni rozmawiali w grupach. Jedna czy dwie osoby paliły. Studenci. Już nie dzieci, jeszcze nie dorośli. Mieli całe życie przed sobą. Czy wiedzieli, co ich czeka?

Przyjrzał się uważniej jednej z grup roześmianych luzaków w barwnych ciuchach, z fantazyjnymi fryzurami. Wygłupiali się beztrosko. Rodzice nie majstrowali przy ich genach. Ale gdyby przyszła ich kolej, czy chcieliby to robić?

Czy zdawali sobie sprawę, że należą do ostatniego pokolenia dzieciaków pozostawionych losowi? Czy mieli świadomość, że niezależnie od tego, za jak inteligentnych się uważali, po wejściu w dorosłe życie znajdą się w podklasie genetycznej? Że staną przed szansą uczynienia własnych dzieci nieporównanie bardziej inteligentnymi, silniejszymi i zdrowszymi, niż sami mogli być?

Jakich wyborów dokonają?

Zdjęty nagłym lękiem, John odwrócił się od okna. Jasne, Rosengarten mógł popełnić błąd, ale jeśli nie? Jeśli pomylił się Dettore, to ile jeszcze błędów popełnił?

Dwunasty tydzień. Jeszcze mogli się zdecydować na aborcję, ale do kiedy? Do szesnastego tygodnia? Czy osiemnastego?

O szesnastej trzydzięci raz jeszcze zadzwonił do Dettorego i zostawił drugą wiadomość, znacznie bardziej zdecydowaną niż

poprzednio. Zatelefonował też do doktora Rosengartena i przekazał przez sekretarkę, że pilnie chciałby z nim porozmawiać.

Do osiemnastej nie odezwał się ani jeden, ani drugi. John zadzwonił do biura Naomi, ale powiedzieli mu, że jest na spotkaniu. Jeśli Dettore przebywał na pokładzie statku kliniki, znajdował się w atlantyckiej strefie czasowej, trzy godziny do przodu w stosunku do czasu pacyficznego. Dwudziesta pierwsza. John, już wściekły, właśnie zamierzał zadzwonić ponownie, gdy telefon zabrzączał. Gwałtownym ruchem podniósł słuchawkę, ale to nie był Dettore.

Dzwoniła dziennikarka z „USA Today”, energiczna Sally Kimberly. Utknęła w korku na autostradzie 101, ale za kwadrans się pojawi. Czy fotograf już dotarł?

– Nie wiedziałem, że ma przyjechać – powiedział John.

– Nie zajmie mu to dużo czasu. Wystarczy parę fotek, na wypadek gdybyśmy ich potrzebowali.

Trzydzieści pięć minut później zapukała do drzwi gabinetu Johna. Fotograf dotarł już wcześniej i zabrał się do przemeblowywania.

Ani Dettore, ani doktor Rosengarten nie zadzwonili.

Nastąpiła godzina koktajli, w związku z czym światła w barze hotelowym przygaszono, a z głośników sączyła się nieprzerwanie muzyka Chopina, można było odnieść wrażenie, że w alkuwie za palmami w donicach kryje się pianista. Klimatyzację ustawiono na zbyt niską temperaturę, ale między stołami i krzesłami pozostawiono dość miejsca, dzięki czemu bar nadawał się do rozmowy. John przyprowadził tu dziennikarkę przede wszystkim dlatego, że było to jedno z nielicznych miejsc w odległości spaceru od kampusu, gdzie podawano alkohol.

Przez drzwi obrotowe wszedł do baru za Sally Kimberly, uprzejmą, mówiącą cichym głosem kobietą po trzydziestce, ubraną w konserwatywny kostium. Nieco pulchna, miała atrakcyjną twarz, a jej zachowanie cechowała miła uważność, w przeciwieństwie do reporterek, które zdarzało mu się spotykać.

Zerknął na dłonie Sally, wypatrując pierścionka zaręczynowego lub obrączki. Dostrzegł kilka prostych obrączek, ale nie na palcu serdecznym. Dziwny był ten zwyczaj mężczyzn, pomyślał, jakby dynamika reprodukcyjna była wpisana w gatunek. Zawsze mimowolnie patrzył, czy kobieta nosi obrączkę.

Sally wybrała stolik w głębi, z dala od baru i nie bezpośrednio pod głośnikiem, aby muzyka nie zagłuszała magnetofonu, jak wyjaśniła. Zamówiła chardonnay, a John piwo. Potrzebował alkoholu, by ukoić nerwy, zszargane po nowinach tego dnia i dodatkowo podrażnione perspektywą wywiadu.

Dziennik „USA Today” to duża gazeta. Dobry artykuł mógł zwiększyć jego szansę na stały angaż, mógł też zwrócić uwagę potencjalnego sponsora. Mimo to John po swoich niedobrych doświadczeniach wiedział, że jako naukowiec powinien mieć się na baczności w kontaktach z mediami.

Sally Kimberly położyła na stole mały magnetofon, ale go nie włączyła.

– Czy twoja żona ma na imię Naomi?

– Naomi? Tak.

– Jasne! Już kojarzę! Pracuje w dziale PR w telewizji? Naomi Klaesson?

– W filmie i telewizji, tak.

– Nie uwierzysz! Jakies sześć lat temu pracowałyśmy razem w PR przy programie przyrodniczym dla kanału Discovery!

– Coś podobnego! – Próbował sobie przypomnieć, czy Naomi wspominała o tej kobiecie. Całkiem możliwe, ale miał beznadziejną pamięć do nazwisk.

– Naomi jest świetna, naprawdę ją lubiałam. Była w ciąży... – Głos Sally się załamał. – Przykro mi... To nie było taktowne. Słyszałam o waszym synu. Naprawdę współczuję wam obojgu. Przepraszam, że poruszyłam ten temat.

– W porządku.

– Więc... jak się miewa Naomi? – spytała Sally po krótkiej przerwie.

– Och, dzięki, bardzo dobrze. Uporała się z tym. – Chciał też dodać: „I znowu jest w ciąży!”, ale się powstrzymał.

– Wciąż pracuje w PR?

– Nie. Teraz jest w wytwórni filmów dokumentalnych Bright Spark.

– Znam ich. Kurczę! Muszę do niej zadzwonić i umówić się na lunch! Ma poczucie humoru jak brzytwa.

John się uśmiechnął.

Przyniesiono im drinki. Przez pewien czas gawędzili swobodnie, przechodząc od plusów i minusów życia w Los Angeles do zalet różnych e-booków. Sally Kimberly sączyła białe

wino, John błyskawicznie wychylił piwo i zamówił następne. Coraz większą przyjemność sprawiało mu towarzystwo dziennikarki; czuł, że choć na chwilę ucieka od stresu. Sally miała w sobie coś tak szczerego i bezbronnego, że zaczął się zastanawiać, jakim cudem przetrwała w tym bezlitosnym świecie prasy.

Była singielką i powiedziała mu, że rzadko zdarza jej się spotykać w tym mieście mężczyzn, którzy nie byłiby całkowicie próżni lub całkowicie popieprzeni. Jej język ciała mówił mu, w subtelny, lecz czytelny sposób, że ją pociąga.

Ona również coraz bardziej mu się podobała; natychmiast dostrzegł też sygnały ostrzegawcze. W ciągu ośmiu lat z Naomi nigdy jej nie zdradził; chociaż zdarzało mu się flirtować z kobietami na przyjęciach, ani razu nie poczuł pokusy. Musiał postępować z tą młodą damą bardzo ostrożnie. Flirt – owszem, ale nie powinien jej zachęcać.

Spostrzegł, że jego szklanka jest pusta.

– Zamówić ci jeszcze jedno białe wino? – spytał, odwracając głowę do kelnerki.

– Nie, dziękuję. – Dziennikarka spojrzała na swój prawie pełny kieliszek.

Piwo wywoływało miły szmer, a problemy związane z ciążą Naomi wydawały się łatwiejsze do zrozumienia i zniesienia. Pomyłki w medycynie zdarzają się nieustannie. Rosengarten spieszył się, zupełnie się nie koncentrował; wykazał się arogancją, twierdząc, że potrafi określić płęć na tak wczesnym etapie. John żałował, że bardziej go nie przycisnął i nie spytał, skąd ma taką pewność, ale, podobnie jak Naomi, przeżył taki szok, że niemal odebrało mu mowę.

– Dobra, wypiję jeszcze jedno... – Z uśmiechem postukał się palcem w głowę. – Potrzebuję paliwa raketowego, żeby obudzić dla ciebie mózg. – Na twarzy Sally dostrzegł ledwo zauważalną zmarszczkę dezaprobaty. A może mu się zdawało?

– Mówisz z akcentem – zauważyła. – Prawie niedostrzegalnym.

- Szwedzki.
- Oczywiście.
- Byłaś tam?
- Tak się składa, że mogą mnie wysłać do Sztokholmu, żebym napisała artykuł o Nagrodach Nobla...
- Przyznają taką dziennikarzom?
- Bardzo bym chciała. – Zaśmiała się.
- To przepiękne miasto, całe zbudowane nad wodą. Podam ci nazwy restauracji, które powinnaś odwiedzić. Lubisz ryby?
- Mhm.
- Mają świetne. Najlepsze owoce morza na świecie.
- Lepsze niż w Los Angeles?
- Żartujesz?
- Tutaj też dają niezłe ryby – powiedziała wymijająco.
- Zadzwoń do mnie i powtórz to po zjedzeniu ryb w Sztokholmie.

Sally posłała mu spojrzenie, które dało się odczytać tylko w jeden sposób: zabierz mnie tam.

John uśmiechnął się, potem pospiesznie odwrócił głowę, w końcu pochwyił wzrok kelnerki i zamówił kolejne piwo.

Sally Kimberly włączyła magnetofon.

- Chyba powinniśmy zaczynać, co?
- Jasne, strzelaj. Postaram się nie skompromitować. – John miał świadomość, że piwo uderzyło mu do głowy; pił za szybko. Trzeba zwolnić. Z następnego weź tylko kilka łyków i koniec.

Sally wyłączyła magnetofon, cofnęła taśmę i włączyła odtwarzanie.

– Sprawdzam tylko, czy działa – wyjaśniła. John usłyszał własny głos: „Postaram się nie skompromitować”.

Znowu postawiła magnetofon na stole.

– Dobrze, doktorze Klaesson, na początek chciałabym spytać, co zainspirowało pana, żeby zostać naukowcem.

– Sądziłem, że chce pani mówić o moim wydziale i naszej pracy, nie o poszczególnych osobach.

– Chodzi mi tylko o tło.

– Jasne.

– Czy któreś z rodziców jest naukowcem? – spytała z zachęcającym uśmiechem.

– Nie, nie mamy w rodzinie innych ludzi nauki. Mój ojciec był handlowcem.

– Interesował się nauką?

– Zupełnie nie. – Pokręcił głową. – Zajmowało go wędkarstwo i hazard, był chodzącą encyklopedią wędek, żyłek, ciężarków, przynęt, spławików, systemów pokerowych i formularzy z wyścigów konnych. Potrafił powiedzieć, gdzie znajdują się ryby w promieniu pięćdziesięciu kilometrów od naszego domu, wiedział też, jakie konie biegną w wyścigach praktycznie na całym świecie. – Uśmiechnął się. – Można powiedzieć, że mój ojciec zajmował się nauką wędkarstwa i hazardu.

– Sądzi pan, że istnieje analogia między wędkarstwem a metodologią badań naukowych? – spytała Sally.

John był rozdarty. Z jednej strony chciał zadowolić reporterkę, z drugiej pokierować rozmowę ku zajmującym go tematom.

– Myślę, że większy wpływ wywarła na mnie matka – oświadczył. – Była nauczycielką matematyki, poza tym zawsze wszystkim się pasjonowała. Jest przy tym niezwykle praktyczną kobietą. Jednego dnia potrafiła rozłożyć silnik elektryczny na części pierwsze, żeby pokazać mi, jak działa, a nazajutrz siadaliśmy i dyskutowaliśmy o pismach religijnych Emanuela Swedenborga. Myślę, że ciekawość zawdzięczam matce.

– Wygląda na to, że odziedziczył pan po niej więcej genów niż po ojcu.

Ta uwaga natychmiast obudziła myśli o Dettorem.

– Możliwe – odparł z roztargnieniem.

Jak, do diabła, Dettore mógł się pomylić? Jak? Jak?

– Dobrze, doktorze Klaesson. Czy mógłby pan teraz, w kilku zdaniach, opisać pracę pańskiego zespołu badawczego?

– Oczywiście. – John zebrał myśli. – Ile pani wie o budowie ludzkiego mózgu?

Twarz reporterki stężała, a on bez trudu odczytał sygnał: nie traktuj mnie protekcjonalnie.

– Napisałam pracę doktorską o naturze świadomości – powiedziała.

– Serio? Gdzie? – spytał, szczerze zaskoczony.

– W Tulane.

– Jestem pod wrażeniem. – Był też zdziwiony. Nie spodziewał się, że wiedza naukowa Sally wykracza poza ogólniki.

– Nie chciałam, żebyś myślał, że masz do czynienia z idiotką.

– Nawet przez chwilę nie...

Sally z szerokim uśmiechem odchyliła się na oparcie krzesła. Znowu było z niej ciepło.

– Ależ tak, widziałam wyraźnie!

– Hej, odpuść mi! – John uniósł dłonie w obronnym geście. – Miałem ciężki dzień. Nie potrzebuję, żebyś na koniec dawała mi popalić!

Kelnerka przyniosła piwo, ale zanim zdążyła je postawić, John sięgnął po nie i upił solidny łyk.

– Co do twojego pytania. Badamy ludzkie narządy, w szczególności mózg, próbując zrozumieć, jakimi ścieżkami ewolucyjnymi dotarły do obecnego stanu i jak zmieniają się jeszcze w przyszłości na drodze ewolucji.

– I macie nadzieję, że jednym z rezultatów waszych badań będzie zrozumienie, czym jest ludzka świadomość?

– Otóż to.

– Czy wasze programy symulacyjne można określić mianem neurodarwinizmu?

– To jest sformułowanie Edelmanna. – John wziął haust piwa. – Nie, istnieje spora różnica. – Plama na prawym szkłe okularów drażniła go, więc zdjął je i wytarł chustką. – Musiałaś to przerabiać w Tulane. Neurodarwinizm dotyczy sytuacji, w której konstruujesz robota nieposiadającego programu; musi się uczyć na własnych doświadczeniach, podobnie jak ludzie. To krok w stronę budowy urządzeń myślących poprzez kopiowanie

pewnych zachowań ludzkiego mózgu. My się tym nie zajmujemy, nasza dziedzina jest inna.

John skierował okulary do światła, ale wciąż nie był zadowolony. Wycierając szkło, dodał:

– Nasza metoda polega na symulowaniu w komputerach milionów lat ewolucji, tworzeniu wirtualnych replik prymitywnych mózgów i sprawdzaniu, czy poprzez replikację doboru naturalnego można otrzymać znacznie bardziej złożone modele, bliższe naszym mózgom. Jednocześnie tworzymy wirtualne modele współczesnych ludzkich mózgów i pozwalamy im ewoluować.

– Coś mnie tu frapuje, doktorze Klaesson.

– Mów mi John.

– Dobrze, John, dzięki. Mówisz, że tworzycie repliki prymitywnych mózgów?

– Zgadza się.

– Jak bardzo prymitywnych? Jak daleko w przeszłość się cofacie? Do paleolitu? Jury? Kambru?

– Nawet dalej. Aż do archaiku.

Trzecie piwo zaczynało działać. John spostrzegł zdziwiony, że wypił już dwie trzecie. Wiedział, że musi zwolnić, ale naprawdę wprawiało go w dobry nastrój.

– A kiedy w końcu zrozumiecie, jak powstał ludzki mózg, zrozumiecie świadomość?

– Niekoniecznie. Dokonujesz tu sporego przeskoku.

– No, tak. – Sally uśmiechnęła się i dodała cynicznie: – Pewnego dnia wyłączysz komputer i powiesz: „Hej, w końcu doszedłem do tego, jak powstał ludzki mózg. Teraz wrócę do domu nakarmić kota”. Tak?

John odwzajemnił uśmiech.

– Przy twojej metodzie pracy, gdybyś chciał odkryć, jak ukształtował się ludzki mózg, musiałbyś mieć w komputerze jego wirtualny model. Kolejnym krokiem byłoby poprawienie modelu, prawda? Jak chcesz to osiągnąć? Przez dodanie pamięci? Stworzenie interfejsu z ludźmi?

– Hola! Za bardzo się zagalopowałaś.

– Wcale nie, doktorze Kl... John. Ja tylko cytuję twój artykuł sprzed trzech lat.

– No tak, tak, zgadza się. – Przytaknął z uśmiechem, bo teraz sobie przypomniał. – Odrobiłaś lekcje, ale to nie był temat artykułu, ja tylko stawiałem hipotezę. – Nagle ogarnęła go obawa, że wywiad wymyka mu się spod kontroli. Musiał wziąć się w garść i pokierować rozmową. – Posłuchaj, te spekulacje na temat przyszłości... z przyjemnością o nich porozmawiam, ale czy możemy to zrobić nieoficjalnie?

– Wszystko w porządku? – Kelnerka wyrosła przy stoliku jak spod ziemi. – Przynieść jeszcze coś do picia?

John zauważył, że kieliszek reporterki jest prawie pusty.

– Jasne – powiedział. – Sally, jeszcze jeden?

– Jak stoisz z czasem? – spytała Sally po chwili wahania. – Nie zatrzymuję cię?

Spojrzał na zegarek. Osiemnasta trzydzieści. Naomi uprzedzała, że nie wróci przed dwudziestą pierwszą.

– Wszystko gra – zapewnił.

– Dobrze, poproszę jeszcze raz o chardonnay.

Przez chwilę wpatrywał się w swoją szklanę po piwie. W czasach studenckich w Szwecji bez problemu wychylał sześć takich, i to mocniejszych.

– Jeszcze raz to samo. Raz się żyje!

Sally wyłączyła magnetofon.

– Porozmawiajmy trochę nieoficjalnie. Powiedz mi, co myślisz o przyszłości, to naprawdę fascynujące.

John nigdy nie potrafił pojąć, dlaczego to powiedział: może alkohol rozwiązał mu język, a może uznał, że jeśli trochę otworzy się przed reporterką, wywiad będzie lepszy, niewykluczone też, że była to naturalna reakcja mężczyzny pragnącego zaimponować kobiecie, która wyglądała na szczerze zainteresowaną. Albo po prostu wyrzucił z siebie to, co od tak dawna się w nim kotłowało. Tak czy inaczej, czuł się swobodnie; Sally była przyjaciółką Naomi. Mógł jej zaufać.

- Przyszłością są projektowane dzieci – oświadczył.
- Coś jak... klonowanie?
- Nie, nie klonowanie. Mam na myśli dobór genów, które będzie miało twoje dziecko.
- W jakim celu?
- Aby umożliwić człowiekowi przejęcie sterów od Matki Natury i modelowanie przyszłej ewolucji zgodnie z naszymi potrzebami. Dzięki temu będziemy mogli przedłużyć ludzkie życie do setek, jeśli nie tysięcy lat, zamiast marnych siedemdziesięciu.
- Cały ten pomysł projektowanych dzieci budzi mój niepokój – wyznała Sally. – Jestem pewna, że do tego dojdzie, ale mnie to przeraża. Jak myślisz, kiedy stanie się to możliwe? Za dziesięć lat?
- Już jest możliwe.
- Nie wierzę. Z rozmów, jakie odbyłam, nic podobnego nie wynika.
- Alkohol działał, John czuł się świetnie w towarzystwie coraz atrakcyjniejszej kobiety; rozluźnił się, może nawet przesadnie. Tak trudno było utrzymywać sekret; przecież rozmowa z przyjaciółką Naomi nie mogła zaszkodzić. Zerknął na magnetofon. Czerwona lampka się nie paliła.
- Rozmawiamy nieoficjalnie? Całkowicie nieoficjalnie, tak?
- W stu procentach.
- Nie rozmawiasz z właściwymi ludźmi – powiedział z uśmiechem John.
- Z kim więc powinnam rozmawiać?
- Ze mną – odparł i postukał się w pierś.

Dom się poruszał. Z całą pewnością. Gdy podłoga uniosła się w górę, John pomyślał, że znowu znalazł się na pokładzie *Serendipity Rose*. Potem ściana ruszyła na niego, uderzyła w ramię, aż gorąca kawa z trzymanego w dłoni kubka chlusnęła mu na dłoń, ubranie i podłogę.

Zatoczył się w bok, świat rozmazał się przed jego oczami. Musiał jakoś otrzeźwieć. W barze czuł się w porządku, ale załatwił go spacer na świeżym powietrzu.

Najwyraźniej brakowało kawałka czasu. Między momentem, gdy wszedł do baru, a chwilą obecną, gdy szedł korytarzem do swego gabinetu, ziała czarna dziura. Nie pamiętał, by żegnał się z reporterką. Kiedy sobie poszła?

Ile wypilem?

Przecież nie mogło być tego tak dużo, co? Kilka piw, potem przerzucił się na whisky z lodem. Tylko parę kolejek whisky, żeby się rozluźnić. Chryste! Zdał sobie sprawę, że winę ponosił pusty żołądek. Po wizycie u doktora Rosengartena opuścił lunch. Teraz była... spojrzał na zegarek... O nie! Prawie kwadrans po dwudziestej drugiej. Spędził z reporterką ponad trzy godziny. Przecież to nie żaden romans. Tylko z nią rozmawiałem. Robiłem wszystko, żeby napisała dobry artykuł, który pomógłby mi uzyskać granty, to wszystko.

Z jednym wyjątkiem. Coś skradało się do niego z zakamarków umysłu, coś ulotnego bawiło się z nim w kotka i myszkę, droczyło się z nim. Poczucie, że stało się coś złego, że popełnił straszny błąd. Nie dobierał się do Sally – nic aż tak grubiańskiego – choć pamiętał mgliście, że odprowadzał ją do

samochodu, a potem ich usta wpadły na siebie niezdarnie, gdy reporterka nagle wychyliła głowę do przodu, by pocałować go w policzek.

Nie to jednak go niepokoiło.

John otworzył drzwi, zapalił światło, odstawił kubek – mniej niż do połowy pełny – na biurko, po czym usiadł w fotelu ciężiej, niż zamierzał, aż zaskrzypiały nity.

Sprawdziwszy pocztę głosową, znalazł wiadomość od doktora Rosengartena, nagrany o osiemnastej pięćdziesiąt. Położnik informował go nosowym głosem, że zgodnie z życzeniem Johna oddzwania i wkrótce kończy dzień pracy.

Fakt, że sławny lekarz osobiście oddzwonił, poprawił Johnowi humor. Rano spróbuje go złapać. Potem odsłuchiwał innych wiadomości, w tym paru zostawionych wcześniej tego dnia, których jeszcze nie zdążył sprawdzić, obu ze Szwecji. Jedną zostawił przyjaciel z uniwersytetu w Uppsali, który jesienią przylatywał do Los Angeles, druga była od matki; besztła go za to, że nie powiadomił jej o przebiegu dzisiejszej wizyty u położnika. Teraz w Szwecji było za wcześnie, by dzwonić do przyjaciela czy matki.

Sprawdził maile. Od czasu, gdy wyszedł do baru, pojawiło się kilkanaście nowych, ale nic istotnego. Nic od Dettorego.

Sukinsyn.

Nagle rozejrzał się zdumiony, gabinet wydał mu się jakiś dziwny. Czegoś brakowało, choć nie potrafił stwierdzić czego. A może po prostu fotograf poprzestawiał sprzęty.

Dźwięk komórki go zaskoczył. Naomi.

– Gdzie jesteś? – W jej głosie dało się słyszeć strach i bezbronność.

– Biuzie. W biuzie. Własie wychodzę. – To ja cię w to wpakowałem, myślał. Wszystko, co się stanie, będzie moją winą. – Przepraszam, ale mnie zatrzymali. Musiałem udzielić wywiadu, ona cię zna, nadal chcesz gdzieś wyskoczyć? Meszykańskie... hm, meksykańskie? Albo na siusz... sushi?

John wiedział, że język mu się plącze, ale nic nie mógł na to poradzić.

– John, dobrze się czujesz?

– Jasne. Ja... sss... Jasssne.

– Jesteś pijany? John, mówisz, jakbyś był pijany.

Bezradnie wpatrywał się w słuchawkę, jakby liczył na to, że z eteru napłyną instrukcje.

– Nie... ja...

– Rozmawiałeś z Dettorem?

Bardzo powoli, ważąc każde słowo, odpowiedział:

– Nie. On jeszt... Spróbuję... rano.

O Boże. John zamknął oczy. Naomi płakała.

– Już jadę, kochanie. Wracam do domu.

– Nie prowadź, John. Przyjadę po ciebie.

– Mogę... taksówkę... wezwać taksówkę.

– Przyjadę po ciebie – powiedziała po chwili bardziej opanowanym tonem. – Nie mamy pieniędzy na taksówki. Zamówimy jakieś jedzenie na wynos. Będę za dwadzieścia minut.
– Rozłączyła się.

John siedział bez ruchu. Niedobre przeczucie go nie opuszczało; mrok w umyśle rósł. W tym pokoju zdecydowanie czegoś brakowało. Czego, do diabła?

Nie to jednak było źródłem złego przeczucia. Ani nie diagnoza doktora Rosengartena, ani fakt, że Dettore był nieosiągalny. Johna niepokoiło to, co powiedział reporterce. Bardzo starał się przypomnieć sobie, co takiego jej powiedział. To była miła kobieta, współczująca, zabawna. Nie opuszczało go poczucie, że dopuścił się niedyskrecji, wypaplał za dużo, więcej, niż zamierzał.

Ale rozmawiali nieoficjalnie, prawda?

Dziennik Naomi

Nie mogę spać. John chrapie jak wieprz. Od dawna nie widziałam go tak pijanego. Dlaczego tak się uchlał? Oczywiście, że oboje przejęliśmy się diagnozą doktora Rosengartena, ale upijanie się niczego nie rozwiązuje.

W dodatku miał szminkę na twarzy.

Rozmawiałam z matką i Harriet. Obie zadzwoniły i pytały, jak dziś poszło. Powiedziałam, że lekarz był zadowolony i że wszystko w porządku. Harriet pożyczyła nam całe swoje oszczędności – co miałam jej powiedzieć? Że wszystko gra oprócz – ach, tak – jednego drobnego szczegółu: to nie jest chłopiec, tylko dziewczynka.

Przecież geny płci należą do tych, którymi najłatwiej jest manipulować. Z tego, co rozumiem, kobiety mają dwa chromosomy X, mężczyźni X i Y. Wyodrębnia się je na całym świecie w najbardziej prymitywnych laboratoriach. Jeśli Dettore nie może dopilnować nawet tego najprostszego elementu, jaką gwarancję mamy co do wszystkiego, o czym rozmawialiśmy?

Zakładając, że cała reszta będzie w porządku, jakie problemy czekają dziewczynkę z genami, które wybraliśmy? Chcieliśmy, by nasze dziecko miało sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, ponieważ mieliśmy na myśli mężczyznę. Wzrost i budowę fizyczną wybieraliśmy pod kątem mężczyzny.

Wszystko jest nie tak.

John jest prawie pewien, że doktor Rosengarten popełnił błąd. To możliwe; ten człowiek mi się nie spodobał, a my go nie interesowaliśmy. Jak mówił John, jesteśmy dla niego nikim, nie liczymy się.

Boże, mam nadzieję, że się pomylił.

Coś jeszcze mnie trapi. Sally Kimberly. John mówił, że powiedziała mu, że się przyjaźniłyśmy. Bzdura. Owszem, pracowałyśmy razem, a zazwyczaj dogaduję się ze wszystkimi. Ale Sally była suką. Twardą jak skała. Nie znosiłyśmy się i bynajmniej tego nie kryłyśmy.

Prawdę mówiąc, jest niewiele osób, których tak bardzo nie cierpię jak Sally Kimberly.

A on miał na twarzy jej szminkę.

20

Naomi się obudziła. John słyszał cichy szelest jej rzęs, gdy mrugała. Światło radia z budzikiem spowijało sypialnię intensywną błękitną poświatą, która go drażniła. W oddali zawyła syrena – znajome żałobne solo, kakofonia nocy Los Angeles.

Głowa pękała mu z bólu. Potrzebował wody, tabletek, snu. Rozpaczliwie potrzebował snu. Wystawił nogi z łóżka, zaniósł pustą szklankę do łazienki, nalał zimnej wody, połknął dwa tylenole i poczłapał z powrotem do sypialni.

– Co z nami będzie? – spytała nieoczekiwanie Naomi, gdy położył się do łóżka.

Odnalazł jej dłoń, uścisnął, ona jednak nie odwzajemniła tego gestu.

– Może powinniśmy się zastanowić nad zakończeniem... nad aborcją – powiedział.

– Płeć dziecka nigdy nie miała dla mnie znaczenia. Chciałam tylko, żeby było zdrowe. Mogłabym nie znać płci, jak wielu ludzi; wystarczyłaby mi pewność, że on, czy ona, jest normalny. Nie chcę aborcji, to byłoby śmieszne. Nie podejmuje się decyzji o aborcji dlatego, że chciałeś chłopca, a ma się urodzić dziewczynka.

Zapadła niezręczna cisza. Sprawa sięgała głębiej, o czym oboje wiedzieli.

– Na statkach dochodzi czasem do problemów z komunikacją – odezwał się w końcu John. – Są zależne od satelitów i nie zawsze mogą się połączyć. Rano spróbuję znowu.

Za oknem zawyła kolejna syrena oraz basowy klakson wozu strażackiego.

– Nie chcę, żebyś zrobiła aborcję – powiedział. – Chyba że...

Odczekawszy chwilę, ponagliła go:

– Chyba że co?

– W Stanach można już robić pewne testy, które wykrywają najróżniejsze rzeczy w płodach.

Naomi zapaliła lampkę nocną i gwałtownie usiadła na łóżku.

– To nie jest jakiś przedmiot, który można wyrzucić, John. To nie jest doświadczenie na płytce Petriego czy w probówce, jakaś muszka owocówka czy coś w tym rodzaju. – Podciągnęła kołdrę i obronnym gestem splotła ręce na brzuchu. – To jest moje dziecko, nasze dziecko, które rośnie we mnie. Będę je kochać bez względu na to, jaki... jakie się okaże. Zamierzam kochać tę istotę niezależnie od tego, czy będzie miała sto dwadzieścia, czy dwieście dziesięć centymetrów wzrostu. Będę ją kochać, nie patrząc na to, czy będzie geniuszem, czy niedorozwojem...

– Kochanie, to nie...

– To ty wpadłeś na ten pomysł i mnie namówiłeś – przerwała mu. – Nie obwiniam cię; postępowałam w pełni świadomie. Ponoszę nie mniejszą odpowiedzialność za naszą decyzję niż ty. Chcę tylko powiedzieć, że nie mam zamiaru się wycofać. Może to, co się dzieje, pomyłka Dettorego w sprawie płci, jest sposobem, w jaki Matka Natura utrzymuje zdrowie świata. Według mnie, dzień, kiedy matki zaczną dokonywać aborcji po pierwszych oznakach, że dzieci mogą nie sprostać ich oczekiwaniom, będzie początkiem osuwania się po równi pochyłej.

John również usiadł.

– Gdybyś wiedziała o chorobie Halleya, zanim się urodził, czy zdecydowałabyś się wydać go na świat, wiedząc, jaka czeka go przyszłość?

Nie odpowiedziała. Spojrzawszy na nią, zobaczył łzę płynącą po jej policzku. Otarł ją chusteczką. Twarz Naomi była skrzywiona w udręce.

– Przepraszam. Nie powinienem był tego mówić.
Nie zareagowała.

Znów wstał z łóżka, włożył szlafrok i wyszedł z sypialni na wąski korytarz; czuł się jeszcze gorzej niż przed kilkoma minutami. Po wejściu do swego gabinetu ostrożnie stąpał wśród stert papierów, pudeł z dyskietkami, obiektami do aparatu i nieprzeczytanymi czasopismami; zapalił lampę na biurku i usiadł. Laptop wciąż leżał w torbie, którą po wejściu do domu postawił na podłodze. Wyjął go, postawił na biurku, włączył i zalogował się do sieci uniwersyteckiej. W końcu sprawdził maile.

Piętnaście nowych, w tym szyderczy od przeciwnika szachowego, Gusa Santiano z Brisbane. Facet jest bezczelny, pomyślał John. Santiano z reguły zastanawiał się tydzień nad posunięciem. Jeśli jednak John zwlekał ze swoim dłużej niż parę dni, Australijczyk zaczynał go ponaglać. Będziesz musiał poczekać, pomyślał, czytając nagłówki kolejnych maili. Nagle drgnął.

Dr Leo Dettore – odpowiedź

To jest automatyczna odpowiedź na twój e-mail wysłana z gabinetu doktora Leo Dettorego. Doktor Dettore wyjechał na konferencję we Włoszech i wróci 29 lipca.

Dwudziesty dziewiąty lipca jest jutro, uświadomił sobie John. A właściwie dzisiaj.

Wrócił szybko do sypialni.

– Kochanie, Dettore wyjechał. Przyszedł e-mail. Wróci jutro!

Naomi jednak nie zareagowała. Nadal siedziała bez ruchu, łzy płynęły jej po twarzy. Po dłuższej chwili odezwała się bardzo cicho:

– Czy Sally Kimberly dobrze się pieprzy?

21

John dotarł na uniwersytet kilka minut po dziewiątej, przemarznięty i drżący, z kotłowaniną ponurych myśli w głowie. Usiadł za biurkiem z filiżanką czarnej kawy, szklanką wody i połknął dwa tylenole.

Deszcz bębnił o szybę. Na dworze szalała wichura, marynarkę miał przemoczoną, mokre spodnie przylegały do nóg, w mokasynach chlupała woda, bo z chodnika wszedł prosto w głęboką kałużę.

O jedenastej miał wygłosić dla trzydziestu studentów wykład o obszarach, gdzie postęp medyczny wywierał negatywny wpływ na ewolucję człowieka. Z powodu najróżniejszych dokonań naukowych i medycznych w ciągu ostatnich kilku tysięcy lat, od prymitywnych technik stomatologicznych i soczewek kontaktowych po przeszczepy narządów i kontrolowanie chronicznych chorób w rodzaju cukrzycy, już nie tylko najsilniejsi i najlepiej przystosowani ludzie mogli liczyć na przetrwanie.

Dawniej linia genetyczna bezzębnych ludzi wymarłaby, ponieważ nie mogliby jeść; podobnie ludzie o słabym wzroku łatwiej padaliby łupem dzikich zwierząt i wrogów i również by wyginęli. Teraz sytuacja się zmieniła. Tacy ludzie mogli przetrwać ze swymi defektami, rozmnażać się i przekazywać defekty potomstwu. Podobnie ludzie z genami dysfunkcji narządów i chronicznych chorób żyją i rozmnażają się. Każdego roku na świat przychodzi więcej ludzi z defektami. Po kryjomu i bezwiednie nauka przejmowała darwinowskie zasady doboru naturalnego.

John przeprowadzał ze studentami eksperymenty na komputerowych modelach ewolucji w dwóch wariantach; w jednym uwzględniali wpływ postępu w medycynie, w drugim nie. Pozostawieni samym sobie, ludzie wyewoluowałiby w znacznie silniejszy gatunek niż obecny. John mówił studentom, że w kolejnym eksperymencie wzbogacą równanie o nowy element: inżynierię genetyczną. To jedyny sposób przeciwstawienia się stopniowej erozji naszego gatunku spowodowanej przez medycynę. Modele komputerowe pokazały, że bez inżynierii genetycznej w ciągu stu tysięcy lat – zaledwie trzystu pokoleń – ludzie z zamożnych społeczeństw staną się wyraźnie słabsi.

Wcześniej cieszył się z tego wykładu, ale wydarzenia ostatniej doby pozbawiły go całego entuzjazmu. Pragnął tylko – rozpaczliwie – wszystko naprawić.

Oskarżenie Naomi ugodziło go do żywego. Zakrył głowę dłońmi. Teraz histeryzowała, ale później się uspokoi. Przecież tylko rozmawiał z tą reporterką; nie miał żadnych wyrzutów sumienia. Ale co, do diabła, powiedział Sally Kimberly?

Okłamała go w sprawie przyjaźni z Naomi. Dlaczego? Żeby skłonić go do mówienia?

Nieoficjalnie. Rozmawiali nieoficjalnie. Prawda?

Zadzwoił do doktora Rosengartena i czekając na połączenie, sprawdził maile. W końcu odebrała sekretarka położnika. Przez całe przedpołudnie doktor Rosengarten jest na sali operacyjnej. Sekretarka zapisała numer Johna i obiecała, że poprosi doktora, żeby oddzwonił, kiedy będzie wolny.

Zerknął na nowe maile. W minionych tygodniach rozsyłał listy do instytutów i uniwersytetów, ale dziś rano nie było odpowiedzi. Jeśli nie otrzyma stałego angażu, straci pracę. Ponieważ całe oszczędności wydali na dziecko, które nosiła Naomi, zaczynała go ogarniać panika. Książkę mógł ukończyć dopiero za rok, ale zyski z niej i tak nie wystarczą. Niewykluczone, że zostanie zmuszony do porzucenia swojej dziedziny i przyjęcia pracy w dziale badawczo-rozwojowym

jakiejś firmy komputerowej w Dolinie Krzemowej. A to mu się nie uśmiechało.

Dwadzieścia po dziewiątej według czasu Los Angeles. Na Wschodnim Wybrzeżu było trzy godziny później. Dwadzieścia po dwunastej. Może Dettore już wrócił. John wybrał numer.

Po czterech sygnałach znowu odezwała się poczta głosowa:

– Dodzwonili się państwo do Kliniki Dettore. Proszę zostawić nazwisko, numer, nie zapominając o kierunkowym, oraz wiadomość. Wkrótce do państwa oddzwonimy.

Zostawił kolejną wiadomość i odłożył słuchawkę. Gdy sekretarka przyniosła mu pocztę, poprosił ją o szklanek wody. Potem wyjął z portfela wizytówkę Sally Kimberly i zadzwonił.

Od razu rozległ się jej nagrany głos:

– Hej, dodzwoniłeś się do Sally Kimberly. Aktualnie mnie nie ma, ale zostaw wiadomość lub zadzwoń na komórkę.

Poprosił, by skontaktowała się z nim jak najszybciej, po czym zadzwonił na jej komórkę, ale tam też natychmiast włączyła się poczta głosowa. Zostawił drugą wiadomość.

Kiedy się rozłączył, uświadomił sobie, co dręczyło go zeszłej nocy – poczucie, że w pomieszczeniu czegoś brakowało: fotografii Naomi, która zwykle stała na jego biurku. Jedno z jego ulubionych zdjęć żony, zrobione parę lat temu, gdy po raz drugi odwiedzili Turcję. Opalona Naomi, z włosami wybielonymi przez słońce i sól, stała na dziobie starej golety, z okularami słonecznymi zsuniętymi na głowę, parodiując Kate Winslet w *Titanicu*.

John wstał i powiódł wzrokiem po gabinecie. Fotograf musiał przestawić zdjęcie wczoraj wieczorem; robił tu niemałe przemeblowanie. Ale gdzie, do cholery, je położył?

Kiedy wróciła sekretarka, spytał ją o fotografię, ale zarzekała się, że nic z nią nie robiła. Usiadł, napił się wody i zaczął rozmyślać o doktorze Rosengartenie.

Musiał rozwikłać rzecz następującą: jeśli Rosengarten miał rację co do płci dziecka, to na ile poważną pomyłkę popełnił Dettore? Czy zmiana innych genów jest bardziej czy mniej

prawdopodobna? Czy popełnił tylko ten jeden błąd, czy geny ich dziecka zostały całkowicie pomieszane?

John otworzył plik z adresami, wstukał kluczowe słowo i odszukał nazwisko z numerem telefonu. Doktor Maria Annand. Specjalistka od niepłodności w szpitalu Cedars-Sinai. Na prośbę doktora Dettorego sześć miesięcy wcześniej John i Naomi udali się do niej w celu przeprowadzenia badań. Przed narażeniem ich na koszty Dettore chciał potwierdzenia, że Naomi może zająć w ciążę.

John wybrał numer. Miał szczęście: złapał lekarkę, gdy wychodziła na spotkanie.

– Pani doktor, mam jedno pytanie. Jeśli wybieramy płeć płodu, jakie są szanse trafnej oceny?

– Chodzi panu o wybór między płcią żeńską i męską?

– Tak.

– Robi się to regularnie u ludzi noszących geny chorób właściwych konkretnej płci. Zazwyczaj odbywa się to na etapie przed wszczepieniem zapłodnionej komórki. Gdy zarodek składa się z ośmiu komórek, pobiera się komórkę z blastocysty, co nie jest szkodliwe dla płodu, i znamy płeć. To bardzo proste.

– Jaki jest margines błędu? – spytał John.

– Nie rozumiem – odparła lekarka.

– Powiedzmy, że para chce mieć chłopca. Decydują się na wybór płci, potem jednak odkrywają, że to nie chłopiec, ale dziewczynka. Jakie jest prawdopodobieństwo takiej pomyłki?

– Niezmiernie niskie – odparła doktor Annand zdecydowanym tonem. – Błędy w określeniu płci płodu są znikome, to zupełnie podstawowa metoda.

– W nauce zawsze dochodzi do pomyłek – upierał się John.

– Zgoda, w laboratorium można coś pokręcić. Coś takiego stało się niedawno. W klinice leczenia bezpłodności pomyłono płód czarnej pary z płodem pary białej. Wszczepiono niewłaściwy embrion i białej parze urodziło się czarne dziecko. To może się zdarzyć.

– Niewłaściwy embrion? – powtórzył John.

- Mhm.
- Twierdzi pani, że tylko taka pomyłka jest możliwa?
- Proszę mi wybaczyć. Muszę pędzić, jestem już spóźniona.
- Jasne, dzięki za poświęcony mi czas.
- Jeśli chce pan jeszcze o tym porozmawiać, proszę zadzwonić później.
- Może tak zrobię. Czyli, żeby dokładnie zrozumieć: jedynym powodem może być niewłaściwy embrion? Cały embrion?
- Tak. To bardziej prawdopodobne niż błędne określenie płci.

22

John jakoś przebrnął przez wykład; na grad pytań studentów odpowiadał najkrócej, jak mógł. Potem pospieszył do gabinetu i zamknął drzwi. Usiadł za biurkiem i sprawdził pocztę głosową.

Naomi zostawiła wiadomość.

– Zadzwoń do mnie, John – mówiła płaczącym głosem, w którym dało się słyszeć panikę. – Proszę, zadzwoń, jak tylko będziesz mógł.

Odłożył słuchawkę. Co miał jej, do diabła, powiedzieć?

Zadzwoił do doktora Rosengartena i oznajmił sekretarce, że natychmiast musi z nim porozmawiać.

Po kilku minutach, umiłanych *Czterema porami roku* Vivaldiego, w słuchawce rozległ się zmęczony i rozdrażniony głos Rosengartena.

– Chodzi o pańską diagnozę w kwestii płci naszego dziecka – powiedział John. – Czy ma pan pewność, że to dziewczynka?

Lekarz kazał mu poczekać, aż sprawdzi dokumenty.

– Nie ma wątpliwości, doktorze Klaesson – oznajmił w końcu. – Pańska żona urodzi dziewczynkę.

– Nie mógł pan się pomylić?

Zapadło długie, chłodne milczenie. John czekał, ale położnik się nie odezwał.

– Czy pańska diagnoza dopuszcza margines błędu? – spytał John, nieco poirytowany.

– Nie, doktorze Klaesson, nie ma żadnego marginesu błędu. Czy mogę coś jeszcze zrobić dla pana i pańskiej żony?

– Chyba... nie. Dziękuję.

Rozgniewany arogancją Rosengartena, John odłożył słuchawkę. Raz jeszcze zadzwonił do Dettorego. Wciąż poczta głosowa. Ponownie zadzwonił na obydwa numery Sally Kimberly, tym razem nie zostawiając wiadomości. W końcu zatelefonował do żony.

– John – powiedziała nieswoim, drżącym głosem. – O Boże, John, słyszałeś?

– Co takiego?

– Nie widziałeś wiadomości?

– Miałem wykład. Jakich wiadomości?

Słowa Naomi docierały do niego z przerwami, jakby słuchał serwisu w źle nastrojonym radiu.

– Doktor Dettore... Helikopter... runął do morza... on nie żyje.

23

– Dysponujemy relacją naocznego świadka, który widział tę katastrofę z jachtu u wybrzeży stanu Nowy Jork.

John patrzył na poważnego prezentera wiadomości w eleganckim garniturze. Naomi siedziała obok na kanapie, mocno ściskając jego dłoń. Na ekranie pojawił się helikopter Bell JetBanger, identyczny jak ten, którym lecieli do kliniki Dettorego.

W telewizorze rozległ się męski głos z akcentem Nowej Anglii; relacja z radia pokładowego była urywana i pełna zakłóceń.

– Obserwowałem... – Głos zniknął, potem powrócił. – Leciał nisko, tuż pod pułapem chmur... – Znowu cisza. – Ekspłodował w ognistej kuli jak lecąca bomba... – Kolejna przerwa. – Potem, mój Boże... – Mężczyzna mówił zduszonym głosem. – To było straszne. – Znowu zakłócenie. – W powietrzu unosiły się fragmenty maszyny. Spadł około pięciu kilometrów od nas. Natychmiast tam popłynęliśmy... – Kolejna przerwa. – Nic. Nic tam nie było. Zupełnie nic. Tylko nieziemskie uczucie. Mówię wam, straszny widok. Zniknął. Po prostu zniknął.

Obraz helikoptera został zastąpiony zdjęciem statku *Serendipity Rose*, na którego tle pojawił się prezenter.

– Naukowiec miliarder wracał do swej pływającej kliniki, gdzie oferował projektowane dzieci ludziom gotowym płacić sześciocyfrowe ceny. W miniony weekend na konferencji Stowarzyszenia Zaangażowanych Naukowców w Rzymie doktor Dettore przedstawił swój bezkompromisowy artykuł, w którym niedawne wezwanie Watykanu, domagającego się międzynarodowych regulacji w związku z eksperymentami z ludzkimi embrionami, nazwał zbrodnią przeciwko ludzkości.

Prezenter przerwał i w tle pojawiło się niedawne zdjęcie Dettorego na mównicy, za szeregiem mikrofonów.

– Doktor Dettore był postacią kontrowersyjną. Jego pracę porównywano z eugenicznym programem Hitlera. „Time” poświęcił mu okładkę.

John wyłączył pilotem głos i posępnie wpatrywał się w ekran. Był w szoku.

– Co my teraz zrobimy, John?

– Dzwoniłem dziś do kliniki sześć razy, w nadziei że porozmawiam z kimś innym, na przykład z jego kolegą, doktorem Leu. Słyszałem nagranie, że numer jest wyłączony. Dwukrotnie napisałem maila. Oba wróciły z adnotacją, że nie można ich dostarczyć.

– Musimy uzyskać drugą opinię.

– Rozmawiałem z doktorem Rosengartenem.

– Co powiedział?

– Zarzekał się, że nie popełnił błędu.

– Raczej się do tego nie przyzna, prawda?

– Nie, ale... – John się zawahał. Naomi, blada jak płótno, wyglądała okropnie. Jak miał jej powtórzyć to, co sugerowała doktor Annand? Że Dettore najpewniej popełnił błąd, ale nie w kwestii płci, ale całego płodu?

Jak mógł jej powiedzieć, że może nosić cudze dziecko?

– Dlaczego helikopter wylatuje w powietrze, John?

– Nie wiem. Może nastąpić awaria silników. Silniki odrzutowe czasem eksplodują.

– Ten człowiek mówił, że to wyglądało na bombę.

John wstał, przeszedł przez niewielki salon, stanął przy kominku i spojrzał na zdjęcie Halleya uśmiechającego się promiennie w zabawkowym wozie policyjnym. Jedna z rzadkich beztroskich chwil w krótkim życiu. Nagle ogarnął go gniew. Gniew na Dettorego za to, że zginął – wiedział, że to irracjonalne uczucie, ale nic go to nie obchodziło. Był zły, że stracił szansę finansowania własnych badań, o czym rozmawiał z Dettorem. Zły na Rosengartena. Zły na Boga za to, co zrobił Halleyowi. Zły

za wszystkie gówniane karty, które najwyraźniej dostawał od losu.

Doskonale zrozumiał sugestię Naomi.

Bomba.

Na świecie roiło się od szaleńców. Fanatyków nienawidzących postępu, którzy wierzyli, że tylko ich droga jest słuszna. A także nieodpowiedzialnych naukowców, według których cały świat był ich laboratorium i mogli robić, co im się żywnie podoba: wysadzać małe atole na Pacyfiku, projektować kolejne generacje broni biologicznej, majstrować przy ludzkich genach, a wszystko w imię postępu.

Gdzieś pomiędzy znajdowali się ludzie, którzy pragnęli jedynie żyć. Czasem niewinni, jak Halley, przechodzący piekło za życia.

Nauka mogła zapobiec tragedii dzieci takich jak Halley. Postęp mógł pewnego dnia zlikwidować tego rodzaju choroby. Dettore miał rację, twierdząc, że zabranianie naukowcom eksperymentów z embrionami jest zbrodnią przeciwko ludzkości.

– Nigdy nie zapomnij, dlaczego to zrobiliśmy, Naomi – powiedział, a gniew w jego głosie zrodził się z bezbrzeżnej, bezradnej frustracji.

Naomi wstała, podeszła do męża i objęła go w pasie.

– Będiesz kochał nasze dziecko, prawda? Niezależnie od wszystkiego będziesz ją kochał?

Odwrócił się i delikatnie pocałował ją w usta.

– Naturalnie.

– Kocham cię – powiedziała Naomi. – Kocham i potrzebuję cię.

Taka była przestraszona, taka bezbronna.

– Ja też cię potrzebuję – wyznał ze ściśniętym sercem.

– Chodźmy coś zjeść, w jakieś wesołe miejsce.

– Na co masz ochotę? Meksykańskie? Chińskie? Sushi?

– Nic ostrego. Co byś powiedział na tę knajpę Off-Vine?

– To była pierwsza restauracja w Los Angeles, do której cię zabrałem. – Uśmiechnął się.

- Podoba mi się tam. Sprawdźmy, czy mają wolny stółik.
- Zadzwoń.
- Pamiętasz, co mi tam powiedziałeś? Kiedy siedzieliśmy na podwórzu? Powiedziałeś, że miłość to coś więcej niż więź między dwojgiem ludzi. Jest kręgiem, który tworzysz wokół siebie, chroniącym cię przed wszystkimi przeciwnościami. Pamiętasz?
- Tak – odparł.
- Od tej chwili tak właśnie musi być.

24

Tuż przed północą Naomi zaczęła gwałtownie wymiotować. John uklęknął przy niej w łazience i trzymał za głowę, jak robiła to jego matka, gdy był mały.

Po zwróceniu całej zawartości żołądka zaczęła wymiotować żółcią.

– Już dobrze – pocieszał łagodnie, próbując ignorować przykrą woń. – Już dobrze, kochanie.

Zwilżonym ręcznikiem otarł usta i oczy płaczącej żony i pomógł jej wrócić do łóżka.

– Lepiej się czujesz? – spytał niespokojnie.

Naomi przytaknęła. Przekrwione, beznamiętne oczy miała szeroko otwarte.

– Ile to jeszcze będzie trwać? Sądziłam, że to mdłości poranne.

– Może zjadłaś coś niezdrowego?

Pokręciła głową.

– Nie.

Zgasił światło i leżał bez ruchu, czując wilgotne ciepło bijące z ciała Naomi. Wciąż było mu trochę niedobrze od woni wymiotów.

– Jak myślisz, co to było? – spytała nieoczekiwanie.

– Co takiego?

– Ten wypadek helikoptera. Sądzisz, że to była bomba?

Zapadło długie milczenie. John wsłuchiwał się w oddech żony, coraz mniej urywany, coraz bardziej miarowy. Już myślał, że zasnęła, gdy nagle się odezwała:

– On miał wrogów.

– Wielu naukowców ma wrogów.

– Ty też, John?

– Ja nie jestem dostatecznie sławny. Gdybym był, na pewno pojawiłaby się cała zgraja fanatyków gwałtownie sprzeciwiających się moim poglądom. Każdy, kto ośmieli się wystąpić przed szereg, ma wrogów. Istnieje jednak spora różnica między antypatią wobec czyichś działań a wysadzaniem kogoś w powietrze.

– Jak myślisz, co się stanie z jego pływającą kliniką? – spytała po chwili.

– Nie wiem.

– Ktoś się tam bez wątpienia zajmuje sprawami administracyjnymi. Będą musieli odwołać pacjentów. Przecież na pewno jest ktoś, z kim zdołasz się skontaktować i poprosić, żeby przejrzał nasze akta i odkrył, co się stało.

– Rano spróbuję znowu. Postaram się porozmawiać z doktorem Leu. Wyglądało na to, że trzyma rękę na pulsie.

John zamknął oczy, ale czuł gonitwę myśli. Dettore musiał zapisywać szczegółowo wszystko, co robił z poszczególnymi embrionami. Te informacje muszą być w aktach. Doktor Leu będzie znał odpowiedź, na pewno.

– Może to dzieło Boga – powiedziała Naomi niewinnie jak dziecko.

– Dzieło Boga? Co to niby ma znaczyć?

– Może on się gniewa na to... wiesz... na to, co zrobiliśmy, na to, co ludzie próbują robić. W ten sposób wyrównał rachunki.

– Sprawiając, że wymiotujesz i zabijając doktora Dettorego?

– Nie, nie to mam na myśli. Chodzi mi o...

Zapadło długie milczenie.

John wstał z łóżka; potrzebował więcej wody, pigułek, snu. Rozpaczliwie potrzebował snu.

– Może Bóg uznał, że powinniśmy mieć dziewczynkę, a nie chłopca – ciągnęła Naomi.

– Skąd nagle to gadanie o Bogu? Sądziłem, że religia nie ma dla ciebie znaczenia.

– Po prostu myślę, że może to nie Dettore popełnił błąd. Może interweniował Bóg?

Zdawał sobie sprawę, że ciąża zaburza równowagę kobiecych hormonów, co może się rzucić na mózg. Może to był właśnie ten przypadek.

– Kochanie... – zaczął, siadając na łóżku. – Dettore pokpił sprawę. Nie sądzę, żebyśmy mieli tu do czynienia z boską interwencją. To naukowiec popełnił błąd.

– Nie wiemy tylko, jak poważny?

– Nie mamy pewności, że w ogóle tak się stało. Nadal sądzę, że Rosengarten jest arogantem, który mógł się pomylić, do czego nie chce się przyznać. Zdobędziemy drugą opinię. Na tym etapie nie powinniśmy się przesadnie martwić.

– Może zbadajmy... wszystkie jej geny?

– Pomijając koszt, nie chodzi tylko o zbadanie genów, ale o złożoną analizę wyników badań. Za prostatę odpowiada ponad tysiąc dwieście genów, za piersi siedemset, za jajniki pięćset. To kolosalne zadanie.

– Więc jakim cudem Dettore przeprowadzał analizę z takim wyprzedzeniem? I utrzymał to w tajemnicy?

– Podobne rzeczy często zdarzają się w nauce. Ktoś się wysforowuje, czasem tak daleko, że innym nie podobają się jego odkrycia. On jest... był niezmiernie inteligentny. Dysponował nieograniczonymi środkami finansowymi. – A także, pomyślał John, choć tego już żonie nie powiedział, nie chcąc jej niepokoić, Dettore niewątpliwie miał własny skryty plan. Nie zarabiał dość, by pokryć koszty pływającej kliniki, nie mówiąc już o zysku. I pomijając ogromne nakłady czasowe.

Altruizm? Dla dobra ludzkości? Albo...

John zapadł w niespokojny sen.

Gdy zadzwonił telefon, miał wrażenie, że spał zaledwie chwilę.

25

John obudził się raptownie. W głowie miał watę; przez chwilę nie wiedział, co się dzieje. Która godzina, do diabła?

Według zegarka szósta czterdzieści siedem.

Naomi poruszyła się.

Kto, u licha, dzwonił o tej porze? Pewnie ze Szwecji. Chociaż mieszkali tu już od ośmiu lat, matka wciąż zapominała o różnicy czasu. Po ich przyjeździe do Los Angeles kilkakrotnie dzwoniła do nich o drugiej albo trzeciej nad ranem. Po trzech kolejnych sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka.

Zamknął oczy i po chwili zasnął.

Pięć po siódmej telefon zadzwonił znowu.

– Jezu, mam, musimy spać! – zawołał.

– Może to coś ważnego – wymamrotała Naomi.

– Nic mnie to nie obchodzi.

Ktoś nagrał się na sekretarkę. Czy to matka? Jakież problemy? Mogły poczekać, musiały poczekać, cokolwiek to było. O dziewiątej miał spotkanie wydziałowe i rozpaczliwie potrzebował jeszcze trochę snu. Budzik nastawił na kwadrans po siódmej. Zamknął oczy.

Po chwili telefon rozbrzmiał ponownie. John leżał z zamkniętymi oczami, by ochronić się przed dziennym światłem zalewającym sypialnię. Poczł, jak łóżko się porusza. Naomi wstała. Telefon ucichł.

– Sprawdź, kto to – powiedziała.

– Zostaw to, kochanie, po prostu zostaw!

Wyszła z sypialni, ale po chwili wróciła.

– KTTV – oznajmiła. – Trzy wiadomości od jakiejś Bobby.

– Bobby? Nie znam nikogo takiego. Czego chciała?

– Nie wyjaśniła. Chce, żebyś oddzwonił. Mówi, że to pilne.

KTTV była jedną ze stacji telewizyjnych w Los Angeles, afiliowaną z Foxem. Kilka miesięcy wcześniej udzielił im wywiadu do programu o ewolucji.

– Jak można dzwonić do ludzi o takiej porze? – Był już rozbudzony, choć głowę miał ciężką ze zmęczenia i od proszków.

Telefon rozdzwonił się znowu.

– Nie do wiary! – wykrzyknął John i chwycił bezprzewodowy aparat przy łóżku.

W słuchawce rozległ się dziarski męski głos:

– Hej, tu Dan Wagner z KCAL. Czy mówię z doktorem Klaessonem?

– Ma pan pojęcie, która godzina?

– Hm... jasne, jest wcześnie, ale miałem nadzieję, że udzieli pan nam szybkiego wywiadu do programu porannego.

John przerwał połączenie i usiadł.

– Co się dzieje, do cholery?

Naomi, owinięta ręcznikiem, patrzyła na niego w osłupieniu.

– Jakieś ważne wydarzenie. Może dokonano dużego odkrycia w twojej dziedzinie. Masz szansę na rozgłos, a zachowujesz się jak wariat. Uspokój się!

Wstał z łóżka, poszedł do łazienki, włożył szlafrok i przejrzał się w lustrze. Patrzyła na niego nieprzytomna, blada twarz z podkrążonymi oczami; włosy sterczały jak świeże ściernisko. Miał godzinę, żeby się ogarnąć, wziąć prysznic, ogolić się, łyknąć trochę kawy, wsiąść do samochodu i zawlec się na uniwersytet.

A ten przeklęty telefon dzwonił znowu.

– Nie odbieraj! – ryknął do Naomi.

– John...

– Powiedziałem: nie odbieraj!

– John, co się z tobą...?

– Nie wyspałem się, jasne? Nie wyspałem się, nie kochałem się przez trzy miesiące, a moja żona nosi Bóg wie jakie dziecko. Coś jeszcze chciałabyś wiedzieć?

Telefon ucichł, ale natychmiast rozdzwonił się ponownie. Ignorując męża, Naomi podniosła słuchawkę.

– Mówi Jodi Parker z wiadomości KNBC. Czy dodzwoniłam się do państwa Klaessonów?

– Owszem, czym mogę służyć.

– Mogę rozmawiać z doktorem Johnem Klaessonem?

– Czy mogę mu powtórzyć, o co chodzi?

– Jasne. Chcielibyśmy przysłać po niego samochód, przywieźć do studia i przeprowadzić wywiad.

– Oddaję mu słuchawkę.

John przesunął palcem po szyi.

– Odbierz telefon – syknęła Naomi, zakrywając słuchawkę dłonią.

Pokręcił głową.

– John, na miłość boską...

Wyrwał jej telefon i przerwał połączenie.

– Dlaczego to robisz?! – krzyknęła.

– Bo jestem zmęczony, jasne? Bardzo zmęczony. O dziewiątej mam na wydziale zebranie, na którym muszę mieć jasny umysł. Przyjdą przynajmniej dwaj starsi pracownicy, od których zależy, czy otrzymam stały angaż. Jeśli go nie dostanę, za rok wyląduję na ulicy, gdzie będę grał na banjo albo mył szyby samochodowe na światłach, żeby zarobić na jedzenie dla naszego dziecka. Której części nie zrozumiałaś?

Naomi objęła męża. Gardło miała podrażnione od wymiotowania; po niemal bezsennej nocy pełnej zgryzot czuła się wyczerpana.

Po wszystkim, co przeszli, po bolesnych zastrzykach, dyskusjach, wyborach, upokorzeniach, udrękach, kosztach, śmierci Dettorego czuła strach, jakiego chyba nigdy wcześniej nie doświadczyła.

Wszystko się zmieniało. Ich wspólne życie w tym małym domu, stworzony przez nich świat, łączące ich sprawy, cudowna miłość... wszystko to nagle się zmieniło.

John wydawał się jej obcy.

Czy rosnące w jej łonie dziecko, z drobniutkimi rączkami i nóżkami, ta krucha, całkowicie zależna od niej istota... czy ona też okaże się obca? Widziałam cię w sobie, widziałam cię na ekranie, jak kręciłaś ślicznymi nóżkami i rączkami. Nie dbam o to, że jesteś dziewczynką, a nie chłopcem. Nic mnie to nie obchodzi. Chcę tylko, żebyś była zdrowa.

Poczuła – choć wiedziała, że musiała sobie to wyobrazić – delikatne poruszenie w ciele. Jakby potwierdzenie.

– John – szepnęła. – Nie pozwól, żeby to nas zniszczyło... nasze dziecko... nie...

Telefon dzwonił znowu.

Mąż przytulił ją mocno.

– Musimy być silni, kochanie. Ty i ja. Ochronny krąg, pamiętasz? Niczego na świecie nie kocham tak jak ciebie. Proszę, zignoruj ten telefon, wyłącz to cholerne dzwonicie choćby na dziesięć minut. Nie mogę się spóźnić na to zebranie. Proszę, żaden wywiad nie jest tak ważny jak to zebranie.

Naomi zdjęła słuchawkę z widełek. John wziął prysznic, ogolił się, pocałował ją w policzek, chwycił kluczyki do samochodu oraz torbę z laptopem i wybiegł z domu.

Na wilgotnym trawniku leżała poranna gazeta. Podniósł ją, rozłożył i spojrzał na pierwszą stronę. Jego wzrok przykuło coś znajomego, niewiarygodnie znajomego. Atrakcyjna kobieta w dużym zbliżeniu, z okularami słonecznymi zsuniętymi na głowę. Sprawiała wrażenie pewnej siebie bogatej suki, która wszystko ma gdzieś. Nagle pojął, czemu twarz wydała się mu znajoma.

To była Naomi.

Powyżej widniało jego zdjęcie, dwukrotnie większe. Patrzył w obiektyw na tle podwójnej helisy DNA.

Nagłówek na pierwszej stronie gazety „USA Today”, którą otrzymywał każdego ranka, brzmiał:

WYKŁADOWCA UNIWERSYTECKI Z LOS ANGELES PRYZNAJE: „SPODZIEWAMY SIĘ
DZIECKA ZAPROJEKTOWANEGO GENETYCZNIE”.

26

Gdy John szybkim krokiem zmierzał na zebranie wydziałowe, przed wejściem do budynku wydziału ujrzał cztery furgonetki dziennikarzy. Przed samochodami stała grupa ludzi z kamerami i mikrofonami. Usłyszał, jak ktoś wywołuje jego nazwisko, potem jeszcze raz, głośniej.

– Doktorze Klaesson?!

– Jesteś pewien, że to on? – usłyszał inny, pytający, głos.

– To doktor Klaesson!

Niska brunetka, którą skądś kojarzył, o atrakcyjnej, lecz zaciętej twarzy, podsunęła mu pod twarz mikrofon. Wtedy skojarzył, skąd ją znał: często widywał ją w wiadomościach.

– Doktorze Klaesson, czy może pan wyjaśnić, dlaczego zdecydowaliście się z żoną na dziecko projektowane genetycznie?

Drugi mikrofon niemal dźgnął go w twarz.

– Doktorze Klaesson, kiedy spodziewany jest poród?

I trzeci mikrofon.

– Doktorze Klaesson, czy może pan potwierdzić, że wybraliście z żoną płeć dziecka?

– Przepraszam, ale to sprawa osobista. Nie mam nic do powiedzenia – powiedział, przeciskając się przez tłum dziennikarzy. Zabrzmiało to uprzejmie, ale bynajmniej nie odzwierciedlało jego uczuć.

Gdy zamknęły się za nim drzwi windy, poczuł chwilową ulgę. Potem zaczął dygotać.

Roztrzęsiony, z dziesięciominutowym spóźnieniem dotarł na zebranie i pomyślał, że ludzie zachowali sporo prymitywnych

instynktów. Zanim człowiek nauczył się mówić, w ogromnym stopniu polegał na wyrazie oczu i obserwowaniu mowy ciała. Z postawy ciała, układu rąk i nóg, ruchów oczu dało się wyczytać wszystko.

Poczuł się, jakby wszedł do pomieszczenia, które uległo nieznacznemu przesunięciu. Tego ranka dziesięciu kolegów, z którymi przepracował ostatnie dwa i pół roku i sądził, że nieźle ich zna, przebywało w bardzo osobliwej przestrzeni. Czuł się jak intruz, który wszedł do prywatnego klubu.

Wymamrotawszy przeprosiny za spóźnienie, zajął miejsce przy stole konferencyjnym, z kieszeni wyjął blackberry, z torby laptopa i położył przed sobą. Koledzy czekali na niego w milczeniu. W tej chwili John wcale nie chciał siedzieć na tym zebraniu; wolałby pójść do swojego gabinetu i zadzwonić do reporterki.

Sally Kimberly.

Kurczę! Muszę do niej zadzwonić i umówić się na lunch!

Gniew na tę kobietę wprost go rozsadzał.

Nieoficjalnie. Rozmawiali, cholera, nieoficjalnie. Nie miała prawa drukować ani jednego słowa z tego, co powiedział.

– Wszystko w porządku, John? – spytał Saul Haranek z nosowym filadelfijskim akcentem.

John przytaknął.

Dziewięć par oczu spojrzało na niego z powątpiewaniem, ale nikt nie skomentował, więc przeszli do omawiania spraw bieżących. Wkrótce jednak, jak w ciągu ostatnich miesięcy stało się już tradycją, rozmowa zeszła na najbardziej dręczące wszystkich pytanie: Co się stanie z wydziałem i z każdym z nich pod koniec przyszłego roku? Saul Haranek miał stały angaż, ale pozostali nie mogli być pewni. Dotychczas żadna z rządowych agencji, instytucji, organizacji charytatywnych ani żaden z uniwersytetów, do których się zwrócili, nie okazał zainteresowania.

Wkład Johna w dyskusję był zerowy. Sądząc po twarzach kolegów, którzy z pewnością widzieli nagłówki porannych gazet,

nie był pewien, czy ma jakąkolwiek przyszłość w świecie akademickim.

Nie był też pewien, czy ma przyszłość w małżeństwie.

O wpół do dziesiątej schował telefon do kieszeni, chwycił komputer i wstał.

– Przepraszam – wykrztusił. – Proszę mi wybaczyć, ale... – Nie skończywszy zdania, wybiegł z sali.

W nadziei że nie napatoczy się na żadnego ze swych studentów, ze łzami w oczach popędził korytarzem do gabinetu, otworzył drzwi, wszedł i zamknął je za sobą.

Na biurku leżała sterta korespondencji, w poczcie głosowej zostawiono trzydzieści jeden nowych wiadomości.

Chryste.

Do tego pięćdziesiąt siedem maili.

Zadzwoił telefon. W słuchawce rozległ się wściekły głos Naomi:

– Bombardują mnie telefonami. Twoja nowa kochanka nieźle się spisała, udostępniając mój numer służbowy.

– Jezu, Naomi, ona nie jest moją cholerną kochanką! – wrzasnął i momentalnie poczuł się podle. Ona niczemu nie zawiniła, nie zrobiła nic, by na to wszystko zasłużyć; to była tylko jego przekłeta wina. Tylko jego. – Bardzo cię przepraszam, kochanie. Ja...

Odłożyła słuchawkę.

Cholera!

Wybrał jej bezpośredni numer, ale linia była zajęta.

Zrozpaczony spojrzął na telefon, ekran komputera, nagie ściany gabinetu. Sekretarka położyła mu na biurku poranną korespondencję, a na szczycie sterty dostrzegł podpisaną odręcznie torebkę foliową z jakimś twardym przedmiotem. Zaintrygowany, rozciął ją srebrnym nożem do papieru, który dostał na Gwiazdkę od Naomi, i wyjął zawartość: dwa spięte gumkami kawałki tektury.

Tektura chroniła zrobione w Turcji zdjęcie Naomi, które znikło z jego biurka. Właśnie ta fotografia znalazła się na

pierwszej stronie „USA Today”.

W kopercie znajdowała się jeszcze złożona kartka. Krótka, odręcznie napisana wiadomość, bez adresu i numeru telefonu.

Witaj, John!

Wspaniale było się z tobą spotkać. Dziękuję za pożyczenie zdjęcia!

Buziaczki

Sally Kimberly

Ty suko! Chryste, ty suko!

Drzwi gabinetu otworzyły się i wszedł Saul Harancheł. Na nogach miał sfatygowane tenisówki.

– Czy... hm... mogę zająć ci chwilę? – Zakołysał się i załamał rękę, jakby właśnie przyniósł wieści o końcu świata.

John spojrział na kolegę bez słowa.

– Jesteś bardzo skryty – zaczął Harancheł. – Ja... my... nie mieliśmy pojęcia, że ty i... – Znowu załamał rękę. – Posłuchaj, twoje życie osobiste to twoja prywatna sprawa, ale... ktoś pokazał mi gazetę... „USA Today”. – Nerwowo potrząsnął głową. – Jeśli nie chcesz o tym rozmawiać, po prostu powiedz, dobrze?

– Nie chcę o tym rozmawiać.

Kiwając głową jak automat, Saul Harancheł ruszył do drzwi.

– W porządku, zgoda...

– Słuchaj, Saul, nie chciałem, żeby to zabrzmiało w ten sposób, ale podejrzewam, że właśnie spieprzyłem sobie szansę na stały angaż, tak?

Telefon dzwonił znowu.

– Odbierzesz? – spytał Harancheł.

Sądząc, że to może być Sally Kimberly, John podniósł słuchawkę. Jakaś Barbara Stratton pytała, czy mógłby udzielić przez telefon krótkiego wywiadu dla radia. Znowu siląc się na uprzejmość, odparł, że nie może, po czym odłożył słuchawkę.

– Zachowałem się jak kretyn, Saul – wyznał.

– Czy to, co przeczytałem, jest prawdą? Ty i Naomi naprawdę pojechaliście do Dettorego?

Telefon rozbrzmiał znowu, ale John go zignorował.

– To prawda.

Haranek oparł dłonie na oparciu krzesła.

– O rany.

– Wiesz coś o nim?

– W latach osiemdziesiątych przez parę lat pracował na tym uniwersytecie. Nie, nie wiem o nim nic ponad to, co czytałem... A teraz nie żyje, tak?

– Tak. Co sądzisz o jego pracy?

– To był bystry gość, miał niewiarygodnie wysoki iloraz inteligencji. Ale wysoki iloraz nie zawsze czyni cię wielkim człowiekiem... czy przyzwoitym. Oznacza tylko, że możesz wykręcać w głowie numery, jakich inni nie potrafią.

John milczał.

– Słuchaj, to nie moja sprawa. Pytanie cię o to jest grubiaństwem z mojej strony. Ale prawdziwy problem polega na tym, że w świetle tego artykułu twoja wiarygodność naukowa wypada marnie, a pośrednio także wiarygodność naszego wydziału.

– Prawda przedstawia się całkiem inaczej niż w tym artykule, Saul. Wiesz, jak dziennikarze mogą wszystko przeinaczyć. Gazety uwielbiają pisać o tym, że nauka jest bardziej rozwinięta, niż jest w istocie.

Kolega patrzył na Johna z powątpiewaniem.

– Chcesz, żebym złożył rezygnację? O to chodzi?

– Absolutnie nie. – Haranek zdecydowanie pokręcił głową. – Wykluczone. Stała się rzecz niefortunna, i na tym poprzestańmy.

– Przepraszam, Saul. Czy jest jeszcze dla mnie jakaś szansa na stały angaż? Czy coś mogę zrobić?

Haranek spojrział na zegarek.

– Muszę wracać na zebranie.

– Przeproś ich w moim imieniu, dobrze, Saul?

– Załatwione. – Zamknął drzwi.

John znów spojrział na liścik od Sally Kimberly. Choć był na nią zły, jeszcze większą wściekłość czuł do siebie za własną głupotę. Taki był dla niej miły, otworzył się, w nadziei że

reporterka napisze przychylny artykuł o jego wydziale. Czemu, do diabła, zapomniał, że świat nie funkcjonuje w ten sposób?

Zrobił sobie kawę i kiedy tylko usiadł, znowu odezwał się telefon. Tym razem Naomi mówiła cichym, drżącym głosem:

– John, oglądałeś wiadomości w ciągu ostatnich trzydziestu minut?

– Nie. O co chodzi?

– O Dettorego. Zabili go fanatycy religijni. Przyjęli odpowiedzialność za zamach. Powiedzieli, że pracował dla Szatana. Podają się za Uczniów Trzeciego Tysiąclecia. Twierdzą, że podłożyli bombę w jego helikopterze. Ogłosili też, że każdy, kto majstruje przy genach, stanie się ich celem. John... ja naprawdę się boję.

W małej montażowni Naomi obejrzała roboczą wersję pierwszego odcinka serialu o ludziach ocalałych z katastrof, który miała promować. Potem ruszyła w drogę do domu.

Musiała się skoncentrować, wymazać z głowy nowiny o doktorze Dettorem, uporać się z lękiem o rosnące w niej dziecko, a także zdusić podejrzenia, że John spał z tą suką, reporterką Sally Kimberly.

Starła się ignorować spojrzenia znajomych z pracy. Zastanawiała się, kto z nich przeczytał artykuł albo o nim słyszał. Część osób z pewnością o nim wiedziała, ale nikt nie zająknął się ani słowem, co jeszcze pogarszało sprawę. Jediną przyjaciółką, która się z nią skontaktowała, była Lori.

– Kochanie, co za niezwykle wieści! – zaszczebotała nieswoim głosem. Jak zwykle entuzjastyczna, choć tym razem przesadnie, jak gdyby grała, jakby za wszelką cenę, bezskutecznie, próbowała ukryć niesmak. – Nic nam nie powiedziałaś!

Naomi odnosiła wrażenie, że w ciągu dwóch minionych dni całe jej życie wywróciło się do góry nogami. Miała urodzić dziewczynkę, nie chłopca. Dettore nie żył. Fanatycy grozili. Jej twarz znalazła się na pierwszej stronie największej amerykańskiej gazety. W dodatku nie mogła już ufać mężowi.

Z całego serca pragnęła wrócić do Anglii, do matki i siostry. John stale mówił o tym, że małżeństwo jest ochronnym kręgiem, którym człowiek odgradza się od świata, ale się mylił. Takim kręgiem są krewni. Tylko im można ufać. Nikomu innemu. Nawet nie mężowi.

Przypomniała sobie przeczytany przed laty wiersz o tym, czym jest dom. To miejsce, gdzie zawsze cię przyjmą.

Właśnie tam pragnęła się teraz znaleźć. W domu.

W angielskim domu.

Prawdziwym domu.

– Cholera.

Zahamowała gwałtownie. Wiekowa toyota zatrzymała się przy hydrancie przeciwpożarowym, a Naomi patrzyła ze zgrozą na samochody i furgonetki dziennikarzy zaparkowane na zadrzewionej ulicy przed ich domem. Na trawniku stała grupka ludzi wymachujących mikrofonami i kamerami.

Ze zdziwieniem spostrzegła volvo Johna na wąskim miejscu parkingowym. Osiemnasta dwadzieścia. Nigdy nie wracał do domu przed dwudziestą. Gdy skręciła na podjazd i zatrzymała się obok samochodu męża, reporterzy otoczyli ją jak dzika sfora. Otworzyła drzwi toyoty i ze wszystkich stron runęły na nią okrzyki.

– Pani Klaesson!

– Hej, Naomi, proszę spojrzeć w tę stronę!

– Jakie to uczucie: nosić pierwsze na świecie dziecko zaprojektowane genetycznie, pani Klaesson?!

– Czy śmierć doktora Dettorego będzie miała wpływ na...

– Jak zareagowała pani na śmierć Dettorego?!

Zaciskając usta, przepchnęła się przez tłum i weszła na werandę. Gdy pociągnęła siatkowane drzwi, drzwi wejściowe otworzyły się przed nią. Weszła do domu, a John, w szortach i podkoszulku, zatrzasnął je za nią.

– Pozbądź się ich! – rzuciła ostro.

– Przykro mi. – Pocałował ją, ale Naomi odsunęła się tak gwałtownie, że ledwie musnął jej policzek.

Rano deszcz przestał padać, nastąpiło upalne czwartkowe popołudnie, a w prognozach zapowiadano skwarny weekend. Wcześniej John włączył klimatyzację, dzięki czemu w domu panował miły chłód. Głośna muzyka chwytła za serce. Piąta

symfonia Mahlera – w trudnych chwilach lubił zatapiać się w muzyce.

– Po prostu zignoruj tych sukinsynów – poradził. – W końcu się znudzą i sobie pójdą. Nie możemy pozwolić, by zależli nam za skórę.

– Łatwo powiedzieć.

– Zrobię ci drinka.

– Nie wolno mi pić.

– Wiem, ale na co miałabyś ochotę? Na smoothie?

Jakaś chłopięca naiwność w jego głosie i wyrazie twarzy ujęła ją, przypominając o wielu rzeczach, które zawsze w nim kochała. John potrafił doprowadzić Naomi do szału, ale umiał też błyskawicznie ją rozbroić.

Patrzyli na siebie. Zagubiona para. Oblężona. Gniew nic nie da. Nie wolno im się kłócić; nie mogą dać się podzielić. Muszą znaleźć siłę, by stawić czoło sytuacji.

– Świetnie – powiedziała spokojniej. – Zrób to. Przynies mi coś odjazdowego bez alkoholu. Idę się przebrać.

Kilka minut później, ubrana tylko w długą koszulkę, wyrzała zza żaluzji. Paru reporterów rozmawiało, inni gadali przez komórki, niektórzy palili. Jacyś jedli burgery z dużej torby turystycznej. Sukinsyny, pomyślała Naomi. Nie możecie zostawić nas w spokoju?

Muzyka w korytarzu rozbrzmiewała teraz jeszcze głośniej. Z kuchni dobiegł grzechot kostek lodu, więc poszła w tamtą stronę.

John stał boso przy zlewie. Przed nim stała szklanka koktajlowa, butelka wódki, słoik z oliwkami oraz wytrawne martini. John mocno potrząsał srebrnym shakerem z koktajlem. Nie usłyszał, jak weszła.

Ujrawszy na podłodze kostkę lodu, Naomi kucnęła i ją podniosła. Pod wpływem impulsu podkrađła się do Johna i wepchnęła lód w szorty, przyciskając go do jego pośladków.

Krzyknął, wypuścił shaker, odwrócił się i wylądował prosto w jej objęciach.

– Jezu! – wykrztusił. – Przeraziłaś mnie...

Przestała myśleć. Po prostu rozpaczliwie go pragnęła, właśnie teraz. Ściągnęła mu szorty do kolan, uklękła i wzięła go w usta. Chwyciwszy go za pośladki, przez chwilę trzymała mocno, a potem przesunęła dłonie po szczupłym, silnym ciele męża, usłyszała, jak dyszy z rozkoszy, poczuła jego dłonie we włosach. Ogarnęło ją bolesne pożądanie.

Wstała, mocno pocałowała Johna w usta, objęła go za szyję, po czym powoli pociągnęła go na podłogę, na siebie. Przetoczyli się, całując się zapamiętane. Nagi John ściągał z niej ubranie, wreszcie w nią wszedł; poczuła, jak napiera, jak wypełnia ją jego olbrzymi, cudowny, niewiarygodny członek.

Przyciągnęła go jeszcze mocniej, wypychała w górę biodra, gdy wsuwał się w nią coraz głębiej, odurzona zapachem jego skóry, włosów, wody kolońskiej. Wewnątrz ochronnego kręgu byli bezpieczni, zupełnie bezpieczni, już nie dwoje ludzi, ale jedna trwała, niewiarygodna, piękna skała. Niemal oszalała z rozkoszy; zamruczała, gdy objął ją, uderzając jej ciałem o podłogę, wchodząc jeszcze głębiej, aż oboje zaczęli dygotać. Usłyszała, jak krzyknął, i przytuliła go mocniej, jęcząc z rozkoszy; pragnęła, by ta chwila trwała, by nigdy się nie kończyła, chciała, żeby na zawsze pozostali spleceni w jedno ciało, jedną skałę, by nie poruszali się po kres czasu.

Potem, wpatrzeni w siebie, leżeli na podłodze; uśmiechali się i kręcili głowami.

Później dom wypełniła woń palącego się węgla drzewnego i szczap hikory. John grillował na werandzie. Na kuchennym stole leżały dwa zamarynowane steki z tuńczyka, które kupił wcześniej. Naomi mieszała sałatę, rozkoszując się rzadką chwilą spokoju. Wszystkie lęki zostały zamknięte – choćby tymczasowo – w oddzielnej przegrodce.

Odzyskałam własne życie, pomyślała.

Telefon dzwonił chyba po raz dziesiąty. John, zajęty przekładaniem węgla dużymi szczypcami, nie reagował. Naomi zastanawiała się, czy poczekać, aż włączy się automatyczna sekretarka, ale nagle przyszło jej na myśl, że mogli dzwonić z kliniki Dettorego, więc podniosła bezprzewodowy aparat i odebrała.

– Słucham?

Powitał ją szum.

– Słucham? – powtórzyła, coraz bardziej licząc na to, że dzwoniło ze statku i wystąpiły problemy z połączeniem. – Halo?

– Czy to dom Klaessonów? – odezwał się niesympatyczny kobiecy głos z akcentem Środkowego Zachodu.

– Kto mówi? – spytała podejrzliwie Naomi.

– Pani Klaesson? Czy rozmawiam z panią Klaesson?

– Kim pani jest? – pytała Naomi.

– Pani Klaesson? – Głos kobiety stał się bardziej natarczywy.

– Proszę się przedstawić.

– Pani jest zła, pani Klaesson. Jest pani bardzo złą kobietą.

Nieznajoma odłożyła słuchawkę.

Zszokowana Naomi wpatrywała się w telefon. Drżącymi rękami wyłączyła go i odwiesiła na ścianę. Przeszedł ją dreszcz. Nagle poczuła, jakby niebo zasnuło się chmurami, ale silne wieczorne słońce za oknem rzucało na podwórze ostre, jak nadrukowane, cienie.

Już miała zawołać Johna, ale się powstrzymała. To był tylko żart. Paskudny żart.

Pani jest zła, pani Klaesson. Jest pani bardzo złą kobietą.

Ten głos odbijał się echem w jej głowie. Poczuła wzbierający gniew.

– Gotowe – oznajmił dziesięć minut później John. Na ozdobionym świecami stole postawił jej ulubione danie, po czym rozkroił, by zademonstrować, że ryba upiekła się dokładnie tak, jak Naomi lubiła: na zewnątrz przypieczona, w środku różowa.

– Ludzie nie zdają sobie sprawy, że tuńczyk dochodzi jeszcze po tym, jak zdejmie się go z ognia. W tym tkwi sekret!

Uśmiechnęła się, nie chcąc mu mówić, że zapach ryby przyprawił ją nagle o mdłości; wołała też nie wspominać, że ilekroć piekł tuńczyka, powtarzał to samo.

Usiadł naprzeciwko niej, nałożył Naomi na talerz sos majonezowo-musztardowy (przyrządzony według jego tajnego przepisu) i sałatę.

– Na zdrowie! – Wzniósł kieliszek zamaszystym gestem dyrygenta machającego batutą.

Naomi uniosła swój, trąciła kieliszek męża i w tym momencie zakręciło jej się w głowie. Pobiegła do łazienki i zwymiotowała.

Kiedy wróciła, John siedział nad nietkniętym jedzeniem.

– Już dobrze?

– Potrzebuję tylko... – Potrząsnęła głową.

Groszek, przyszło jej nagle do głowy.

– Potrzebuję czegoś, żeby uspokoić... – Wstała od stołu.

Poszła do kuchni, otworzyła zamrażarkę, wyjęła mrożony groszek i zaniósła do stołu.

– Chcesz groszek? Mam ci go ugotować?

Rozerwała torebkę, oddzieliła ziarnko groszku od zamrożonej masy, wrzuciła sobie do ust, poczekała, aż się rozmrozi, i rozgryzła. Potem zjadła jeszcze jeden i kolejny, i w końcu poczuła się trochę lepiej.

– Dobrze – rzuciła. – Jedz, bo ci ostygnie.

John ujął jej dłoń.

– Pamiętaj, że ciężarne kobiety mają rozmaite zachcianki – powiedział. – Może to właśnie coś takiego.

– To nie żadna zachcianka – odparła Naomi bardziej poirytowanym tonem, niż zamierzała. – Po prostu mam ochotę na mrożony groszek.

Zadzwoił telefon.

– Zostaw! – warknęła Naomi, gdy mąż wstał.

– To może być... – zaczął zaskoczony.

– Zostaw! Zostaw ten cholerny telefon w spokoju.

Wzruszył ramionami i usiadł. Zjadł trochę tuńczyka, podczas gdy Naomi odrywała kolejne ziarnka groszku i żuła.

– Jak ci minął dzień? – spytał w końcu.

– Dzwoniła Lori. Czytała ten artykuł.

– I?

– Czemu, do diabła, musiałeś powiedzieć to tej kobiecie? Całe miasto wie, cała Ameryka wie, pewnie cały cholerny świat wie. Czuję się jak dziwadło. Jak mamy tu normalnie wychować dziecko?

W niezręcznym milczeniu John wpatrywał się w swoje jedzenie.

– Może powinniśmy się przenieść, do Anglii albo Szwecji, byle stąd wyjechać – zaproponowała.

– Z czasem ta sprawa przycichnie.

– Naprawdę w to wierzysz? – Naomi nie odrywała od męża wzroku. – Sądzisz, że Sally Kimberly, a także wszystkie przekłete stacje telewizyjne i radiowe w kraju nie zaznaczyły sobie w kalendarzach daty za sześć miesięcy, kiedy dziecko ma się urodzić?

Nie odpowiedział. W głowie kołatało mu się pytanie: Kim, do cholery, są ci Uczniowie Trzeciego Tysiąclecia?

Na świecie nie brakuje fanatyków. Ludzi uważających, że ich przekonania religijne dają im prawo do mordowania. John myślał też o twarzach kolegów z pracy, z którymi spotkał się rano. Dopiero teraz dotarło do niego w pełni znaczenie tego, co się stało. On i Naomi robili coś, na co świat nie był gotowy. Wszystko byłoby w porządku, gdyby utrzymali to w tajemnicy.

Teraz jednak mleko się rozlało.

Przed domem trzasnęły drzwi samochodu. Nic nadzwyczajnego, gdyby nie...

Oboje to usłyszeli. Coś wyczuli.

Pewnie kolejni dziennikarze.

Nie zapalając światła, John wstał od stołu i przeszedł przez hol do salonu z oknem wychodzącym na ulicę. Ujrzał kilka samochodów i furgonetek reporterów wciąż stojących przed domem. Wśród nich pojawił się jednak nowy pojazd: zwykła szara furgonetka bez oznaczeń radiowych czy telewizyjnych, stojąca tuż przed domem, pod latarnią uliczną. Stara, sfatygowana i zakurzona, z wgnieceniem z boku. Tylne drzwi były otwarte, a troje ludzi – mężczyzna i dwie kobiety – wyjmowali coś, co wyglądało na drewniane paliki. Kilku reporterów, wciąż kręcących się na chodniku, ustąpiło miejsca nowo przybyłym i popatrywało na nich podejrziwie.

John poczuł ukłucie niepokoju.

Wysoki, chudy, lichy odziany mężczyzna miał długie siwe włosy ściągnięte w kucyk. Kobiety też wyglądały niechlujnie. Jedna, również wysoka, miała długie, proste kasztanowe włosy; jej koleżanka była pulchna i niska, z fryzurą niemal na jeża. Gdy unieśli paliki, John zorientował się, że to tablice.

Tych troje stanęło obok siebie na chodniku; trzymali tablice wysoko w górze, ale John nie widział napisów.

Wtedy przypomniał sobie o lornetce, którą miał w gabinecie. Po kilkuminutowym szperaniu znalazł ją, wyjął z futerału, zaniósł do salonu i skierował na tablice.

Jeden z napisów brzmiał: POWIEDZ „NIE” GENETYCE.

Drugi: ZAUF AJ BOGU, NIE NAUCE.

Na trzeciej tablicy widniał napis: DZIECI BOGA, NIE NAUKI.

Nagle usłyszał za sobą drżący głos Naomi:

– O, nie, John, zrób coś. Proszę cię, zrób coś. Wezwij policję.

– Nie zwracaj na nich uwagi – poradził, siląc się na buńczuczny ton, bo nie chciał dać po sobie poznać, że widok demonstrantów też wytrącił go z równowagi. – Banda świrów. Zależy im na rozgłosie. Oni chcą, żebyśmy wezwali policję i doprowadzili do konfrontacji. Ignoruj ich, wkrótce sobie pójda.

Ale nazajutrz demonstranci wciąż tam stali. W dodatku dołączył do nich drugi samochód, wiekowy minibus, zielony ford LTD z przyciemnionymi szybami. Dwie kobiety o wyglądzie twardzielek trzymały tablice z napisami:

TYLKO BÓG MOŻE DAWAĆ ŻYCIE!
NATYCHMIAST ZRÓB ABORCJĘ TEGO SZATAŃSKIEGO
POMIOTU!

John miał starego szkolnego przyjaciela, Kallego Almtorpa, jeszcze z rodzinnego miasta Örebro, który obecnie pracował jako attaché w ambasadzie szwedzkiej w Waszyngtonie. Rzadko się spotykali, ale pisywali do siebie maile. Kalle miał dobre kontakty.

John zwrócił się więc do niego z pytaniem, czy nie ma więcej informacji o śmierci Dettorego oraz osobliwej ciszy, jaka zapadła na pływającej klinice. Spytał go też, czy wie coś o organizacji przedstawiającej się jako Uczniowie Trzeciego Tysiąclecia.

Rano odebrał blisko dwieście maili i całą masę wiadomości pozostawionych w poczcie głosowej, zarówno numeru domowego, jak i służbowego. Wieść o ich zaprojektowanym genetycznie dziecku dotarła do Szwecji i najwyraźniej do wszystkich krajów świata. Dzwonili krewni i przyjaciele. Trzech wydawców błagało, by John i Naomi podpisali z nimi umowę, i obiecywali kokosy za prawa do książki o ich historii.

Kalle Almtorp odpowiedział po szwedzku, ponieważ zawsze porozumiewali się w języku ojczystym.

Jego informacje o śmierci doktora Dettorego nie wykraczały jednak poza to, czego John dowiedział się z mediów. Helikopter, podobnie jak statek, był zarejestrowany w Panamie, a do katastrofy doszło na wodach międzynarodowych. Ponieważ zarówno Dettore, jak i pilot byli obywatelami Stanów Zjednoczonych, sprawą zainteresowała się Federalna Administracja Lotnictwa. Na morzu prowadzono dokładne poszukiwania, a na miejsce katastrofy wysłano statek do wyławiania wraków. Dotychczas nie nawiązano kontaktu z *Serendipity Rose*, nie natrafiono też na ślady katastrofy.

Co do organizacji o nazwie Uczniowie Trzeciego Tysiąclecia, to Kalle nic o nich nie wiedział. Sugerował, że mógł to być dowcip. Jakiś świr – może fanatyk religijny – dowiedział się o wypadku helikoptera i przypisywał sobie odpowiedzialność. Kalle radził jednak Johnowi i Naomi, by przez pewien czas zachowali wzmożoną czujność, obiecał też, że jeśli się czegoś dowie, natychmiast się odezwie.

John podziękował przyjacielowi, po czym jego uwagę przykuł inny mail, od dawnego mentora z Anglii.

John,

zdaję sobie sprawę, że szanse są nikłe, bo pewnie bez reszty uwiodło Cię już kalifornijskie słońce. W internecie zauważyłem jednak szum, jaki wywołałeś projektowanym dzieckiem, i pomyślałem, że może chciałbyś zmienić miejsce zamieszkania. Nadarza się świetna okazja. Rządowe finansowanie, odludzie w hrabstwie Sussex, praktycznie gwarantowana dożywotnia posada, sowite wynagrodzenie. To prawdziwy raj dla naukowców. Osiemdziesięciohektarowy kampus. Kadra badawcza złożona z sześciuset osób. W budowie akcelerator cząstek mający rywalizować z tym z CERN-u. Wydział mikrozapisywania, gdzie mają urządzenie mogące zapisać trzysta wersów na ludzkim włosie... Właśnie powierzono mi kierowanie tym nowym wydziałem i aktywnie poszukujemy błyskotliwych naukowców zajmujących się życiem wirtualnym. Mógłbym zaproponować Ci Twoje własne laboratorium ze świetnym zapleczem i całkowitą wolnością.

Tak czy owak, napisz, co u Ciebie, stary wikingowski draniu.

Carson Dicks

Profesor. Wydział Fantomatyki. Brytyjski Rządowy Instytut Badawczy Morley Park. Storrington. Zachodnie Sussex. Wielka Brytania

John oparł się na krześle i w zamyśleniu utkwiał wzrok w mailu. Gdyby wspomniał o nim Naomi, dokładnie wiedział, co by powiedziała. Stanęłaby na głowie, byle móc wrócić do Anglii. Do domu.

Dla niego jednak oferta była mniej atrakcyjna. Owszem, mieszkał już w Sussex i całkiem mu się podobało. Blisko Londynu, morze, tętniące życiem i ładne Brighton, piękna przyroda.

Ale to Anglia. Okropna pogoda. Okropne podejście do naukowców. W głowie się nie mieściło, że kraj, któremu świat zawdzięczał tyle największych wynalazków, odnosi się z taką obojętnością i skąpstwem do badań naukowych. Po wybryku Sally Kimberly stały angaż na USC wydawał się problematyczny, ale John mógł zostać w Stanach, zaprzedać duszę i przyjąć posadę w przemyśle, w firmie software'owej lub farmaceutycznej.

Lubił Carsona Dicksa, ale przygnębiała go myśl o powrocie do Anglii. Z drugiej strony, przyznawał, że mogło to być rozwiązanie ich aktualnych kłopotów.

Ważąc słowa, odpisał profesorowi, że dobrze było przeczytać jego list, i obiecał, że się zastanowi.

Dziennik Naomi

Lori i Irwin są dla nas cudowni. Nadal sądzę, że nie zaakceptowali tego, co zrobiliśmy, ale nie dają tego po sobie poznać. Namówili nas, żebyśmy zamieszkali u nich w domku gościnnym do czasu, gdy wszystko przycichnie.

Mają dużą posiadłość na Lago Vista, niedaleko Coldwater Canyon. Leży u szczytu kanionu, nad hotelem Beverly Hills, a okna wychodzą na zachód na ocean oraz na wschód na centrum Los Angeles. „Domek” jest niebiański i większy niż nasz!

Czujemy się tu jak na wsi, jest mnóstwo dzikich zwierząt, a po drugiej stronie kanionu stoi wielka posiadłość, zdaniem Irwina wybudowana przez Aarona Spellinga (twórcę Dynastii!). Lori nie jest tego pewna i uważa, że dom Spellinga stoi dalej na wschód. Nieważne. Posiadłość musi mieć prawie pięć tysięcy metrów kwadratowych; są aż dwa korty tenisowe. Niesamowite! Postanowiłam, że sprawdzę, do kogo to naprawdę należy, ale wciąż o tym zapominam. Dokładnie wiem, do kogo się zwrócić.

Od śmierci Dettorego minęły cztery dni, a trzy, odkąd John i ja znaleźliśmy się na pierwszej stronie „USA Today”. Jest naprawdę ciężko. Obcy gapią się na mnie wszędzie; nawet kiedy stoję na światłach, dostrzegam spojrzenia ludzi i zastanawiam się, czy widzieli tę gazetę. Myślę wtedy: gdybym to ja przeczytała ten artykuł, to czy po czterech dniach pamiętałabym twarz kobiety? Co sprawia, że ludzie coś zapamiętują? Każdy dziennikarz chciałby znać odpowiedź.

Może zaczynam popadać w paranoję, ale wydaje mi się, że na zebraniach ludzie dziwnie na mnie patrzą.

John nie dostał odpowiedzi z Serendipity Rose. Maile wracają, nie można się tam dodzwonić. Kalle Almtorp, znajomy Johna z ambasady szwedzkiej w Waszyngtonie, powiedział, że amerykańska straż przybrzeżna nie znalazła ani wraku helikoptera, ani śladu statku. Są chwile, gdy nie mieści mi się w głowie, że doktor Dettore nie żyje; był takim inspirującym, pełnym życia człowiekiem. W innych momentach zaczynam podejrzewać, że John i ja jesteśmy ofiarami spisku.

John jest bardzo przygnębiony, co mnie martwi, bo zawsze miał takie pozytywne nastawienie, zawsze wiedział, co robić. Teraz jest zagubiony.

Kiedy byłam w ciąży z Halleyem, nie miałam żadnych zachcianek, o których się słyszy. Teraz jednak dostałam obsesji na punkcie mrożonego groszku! Budzę się w środku nocy, idę do zamrażarki i wyjmuję garść zimnego groszku. Wczoraj wieczorem Irwin zabrał nas do Ivy, gdzie udało mi się przekonać kelnera, że nie żartuję. Zamówiłam porcję mrożonego groszku. Kelner przyniósł groszek pięknie ułożony na lodzie, jak ostrygi.

Wariuję? Moi?

31

To miejsce jest rzeczywiście zabójczo piękne, pomyślała Naomi, wylegując się na leżaku na marmurowym tarasie przy basenie Irwina i Lori Shapirów. Słońce na bezchmurnym niebie ogrzewało ją przyjemnie.

Niedziela, środek dnia. Irwin zabrał jej męża do klubu na partię golfa, co bardzo uradowało Naomi. John musiał pobyć trochę na świeżym powietrzu, choć na kilka godzin oderwać się od problemów. Żył w dużym stresie; w nocy przewracał się z boku na bok niespokojnie, widziała też, że w ciągu dnia ma problemy z koncentracją. Poruszał się jak otępiały, nie wiedział, co robić, a to budziło w niej lęk. Kiedyś zawsze był silny psychicznie; owszem, czasami zamykał się w swoim świecie, ale panował nad sytuacją.

Obserwowała, jak dwie córeczki Shapirów, Chase i Britney chlapią się w basenie w nadmuchiwym foteliku, a synek, Cooper, poluje na owady w krzakach na skraju patio. Sześcioletni Cooper urodził się trzy tygodnie po Halleyu. Gdyby Halley żył, mógłby w za dużej czapce, uzbrojony w bambusowy kij, razem z Cooperem polować na owady, pomyślała ze smutkiem.

– Za dziesięć minut ruszamy! – zawołała Lori.

Wybierały się z jeszcze jedną koleżanką Lori na lunch do Barneya. Naomi niechętnie wstała z leżaka i weszła do domu. Gdy znalazła się w przestronnym salonie, spojrzała na telewizor, który u Shapirów był włączony na okrągło. Przed posiadłością w stylu kolonialnym stał policjant; za jego plecami widniała taśma odgradzająca miejsce zdarzenia. Przed domem roilo się od karettek pogotowia, a policjant posępnie rozmawiał z reporterem.

- Coś okropnego – powiedziała Lori, podnosząc wzrok znad listy zakupów, którą omawiała z latynoską służącą. – Oglądałaś?
- Nie, co się stało?
- Przebierz się, opowiem ci w samochodzie.

...

– Zamordowani... razem z dziećmi? – spytała Naomi dwadzieścia minut później, gdy w czarnym mercedesie Lori z opuszczanym dachem czekały na zielone światło u stóp Coldwater Canyon. – Ci ludzie w wiadomościach?

– Tak – potwierdziła jej przyjaciółka. – Chcesz przejechać obok swojego domu? Sprawdzić, czy świry ciągle tam stoją?

– Mamy czas? – Naomi spojrzała na zegarek i poczuła, jak przeszywa ją mroczny lęk.

– Jasne, Marilyn zawsze spóźnia się pół godziny.

– Dobrze – zgodziła się Naomi z wahaniem. Każdego ranka jeździła na koniec ich ulicy i z przykrością stwierdzała, że pięcioro intruzów z tablicami wciąż tam koczuje. U Irwina i Lori czuła się bezpiecznie. Całą posiadłość otaczały bramy elektryczne, kamery i tabliczki ostrzegawcze ODPOWIEMY Z BRONI PALNEJ.

– Co dokładnie się wydarzyło?

Światła się zmieniły. Lori skręciła w Sunset i przyspieszyła.

– Ten facet, Marty Borowitz, był bardzo bogaty – zaczęła opowiadać. – Irwin kiedyś go poznał. Był właścicielem sieci galerii handlowych i moteli. Znaleźli go martwego, wraz z żoną i rocznymi bliźniakami, w spalonym wraku samochodu na podjeździe ich domu. Mówią, że w samochodzie podłożono bombę. Po prostu straszne.

– Dlaczego? – spytała Naomi. – Czy ktoś zna powód?

– Nie powiedzieli.

Jechały Doheny South, minęły hotel Four Seasons, przecięły Wilshire i Olympic, a potem Pico. Naomi prawie się nie odzywała;

niewidzącym wzrokiem patrzyła na samochody, szosę, mijane domy. Zatopiona w myślach.

Tyle jest przemocy na świecie, tyle nienawiści. Twój syn zmarł na ohydną chorobę. Spróbowałaś zapewnić lepsze życie następnemu dziecku, ale choćbyś nie wiem jak się starała, są ludzie, którzy uważają, że mają prawo cię zabić albo wygnać z domu, bo nie aprobują twoich działań.

Świry z szarej furgonetki i starego LTD wciąż stały na chodniku, zaledwie kilkaset metrów od nich: gość z kucykiem i milczące kobiety, samozwańczy strażnicy wiary.

Ekipy dziennikarzy zniknęły; zostało tylko kilka samochodów. Za kierownicą jednego z nich siedział fotograf, który gdy podjechały, zaczął im robić zdjęcia przez teleobiektyw. Z drugiego wozu wysiadła młoda kobieta z małym mikrofonem.

– Chcesz wejść do środka? – spytała Lori, zwalniając tuż przed domem.

– Nie.

– Powinniśmy wejść i pokazać, że mamy ich gdzieś. Dopóki będą wierzyć, że wypędzili cię z domu, będą uważali, że zwyciężyli.

– Może zwyciężyli. Ja chciałam tylko zostać matką – odparła Naomi. – Nie zależało mi na roli męczennicy.

– Jeśli naprawdę tak się czujesz, to zarezerwuj sobie aborcję – poradziła jej przyjaciółka. – Bo nie tylko teraz będziesz musiała być dzielna, ale przez najbliższe dwadzieścia lat, niewykluczone, że dłużej. Może się okazać, że będziesz musiała walczyć z wrogością przez resztę życia. Chyba o tym wiesz, prawda?

– Zatrzymaj się na podjeździe – poleciła Naomi.

Przyjaciółka spełniła jej prośbę i wysiadły z samochodu.

– Halo, pani Klaesson?! Jestem Anna Marshall z...

Lori bluznęła na reporterkę jadem, jakiego Naomi nigdy u niej nie widziała.

– Pierdol się, suko! – wrzasnęła na młodą dziennikarkę, która aż się cofnęła kilka kroków. Naomi opróżniła skrzynkę na listy, po czym weszły do domu i zamknęły za sobą drzwi.

– To było bardzo skuteczne. – Naomi spojrzała na Lori.

– Trzeba do nich mówić językiem, który rozumieją.

Naomi, czując się nieswojo, zaśmiała się.

– Widzisz, nie pogryzły nas te świry religijne – rzuciła jej przyjaciółka.

– Pewnie są wegetarianami. – Po przejrzeniu korespondencji Naomi podeszła do okna w salonie i wyjrzała. Kiedyś nienawiść była jej obca. Owszem, odczuwała antypatię, nawet wściekłość, ale nienawiść była czymś nowym. A właśnie to czuła do ludzi z tablicami. Zapiękłą nienawiść, o którą sama się nie podejrzewała.

O siedemnastej, po lunchu i snuciu się za Lori po sklepach na Rodeo Drive, nie potrafiąc wykrzesać ani krztyny entuzjazmu, wróciła z przyjaciółką na Lago Vista, gdzie w progu czekał na nią blady jak płótno John. Przywitał ją z udawaną radością, ale od razu spostrzegła, że coś się stało.

– Dzwonił Kalle Almtorp – powiedział chwilę później, gdy znaleźli się w zaciszu domku gościnnego. – To małżeństwo zamordowane razem z bliźniakami... Borowitzowie... Widziałaś wiadomości?

– Tak?

– Kalle mówi, że media tego nie podały, ale FBI podejrzewa, że zamordowali ich ci sami ludzie, którzy zabili Dettorego. Fanatycy nazywający siebie Uczniami Trzeciego Tysiąclecia.

– O Boże. – Naomi poczuła, jak trzęsą się jej nogi, i usiadła na kanapie.

John wsunął ręce do kieszeni. Wyglądało na to, że chce coś dodać, ale milczał.

– Jak... to znaczy... czy on jest pewien?

– Tak. – Obszedł pokój i oparł dłonie na kanapie za plecami żony. – Carson zaproponował mi pracę w Anglii.

– Carson Dicks? Pracę? W Anglii?

– Gdybym ją przyjął, mógłbym zacząć natychmiast. Myślę, że w obliczu tego, co się dzieje, może powinniśmy się zastanowić nad opuszczeniem Ameryki.

– Nie muszę się nawet zastanawiać – odparła Naomi.

Rozparta na miękkim skórzanym siedzeniu, zmęczona po jedenastogodzinnym locie przez Atlantyk, Naomi czuła, jak usypia ją kołyszący ruch dużego mercedesa, który zabrał ich z lotniska Heathrow. John otworzył laptop, ale siedział z zamkniętymi oczami, w niedbalej pozie.

Naomi wracała po długiej nieobecności; zapomniała, jak zielona jest Anglia w porównaniu z Los Angeles. Fakt, że znowu znalazła się w swoim kraju, przynosił wielką ulgę; wszystko wyglądało tak spokojnie, nawet ruch na szosie sprawiał bardziej stateczne wrażenie niż chaotyczne amerykańskie autostrady.

Cieszyła się na spotkanie z matką i siostrą. Nie mogła też się doczekać gorzko-słonej kanapki z marmite, bo w ciągu minionej doby zrodziła się w niej nowa zachcianka.

Teraz Naomi zdała sobie sprawę, że stewardesa w samolocie linii Virgin musiała ją uznać za wariatkę, gdy usłyszała prośbę o mrożony groszek, a potem o marmite.

Samochód załatwił Carson Dicks, a ona doceniła ten gest. Jechali do Sussex; mieli się zatrzymać w Brighton. Nazajutrz John był umówiony na spotkanie w Instytucie Morley Park z Dicksem i ze swoim przyszłym zespołem. Później będzie musiał wrócić do Los Angeles, by pozamykać sprawy służbowe i zorganizować transport ich dobytku do Anglii.

W tym czasie Naomi będzie musiała rozejrzeć się za domem. Trudno było nadążyć za wydarzeniami. Od artykułu w „USA Today” minęły dwa tygodnie. Dwa tygodnie od dnia, gdy ich życie wywróciło się do góry nogami.

Jej matka zawsze powtarzała, że wszystko jest zapisane. Naomi w to nie wierzyła; uważała, że ludzie mogą panować nad swym przeznaczeniem. Była optymistką. Wystarczy zachować pozytywną postawę, a w końcu wszystko się uda.

Na przykład teraz.

A ty jak sądzisz, Phoebe?

Nie uzyskali jeszcze drugiej opinii lekarskiej – mogli ją mieć dopiero za dwa tygodnie – ale zdążyli się oswoić z faktem, że urodzi się dziewczynka. Zaczęli przeglądać imiona dla dziewcząt, a zeszłej nocy, w samolocie zdecydowali się na Phoebe.

W mitologii greckiej Phoebe była tytanidą, ogromną i silną. Imię wydawało się odpowiednie.

Naomi odwróciła się i spojrzała przez tylne okno na samochody na autostradzie M23, wypatrując pojazdów mogących ich śledzić. Środkowym pasem, którym jechali, podążała za nimi niebieska furgonetka. Po chwili jednak włączyła kierunkowskaz i ruszyła w stronę najbliższego zjazdu. Zza niej wyłonił się mały sportowy samochód. Za nim z kolei, w sporej odległości, jechały nieduży zielony sedan oraz czerwony range rover, oba jednak pozostawały w tyle.

Wiedziała, że zachowuje się paranoicznie. To samo przeżywała w samolocie. Szła między fotelami, przyglądając się twarzom pasażerów i zastanawiając się, który może ich śledzić.

Jak wyglądał Uczeń Trzeciego Tysiąclecia?

Gdy opuściła nieco szybę, szum zakłócił ciszę samochodu. Sierpień. Lato w Anglii. Parne powietrze lepilo się do skóry. Pośród ciemniejącej szarości migotały drobne fragmenty błękitnego nieba. Naomi przypomniała sobie, że tak właśnie wygląda zwykle niebo przed deszczem. Nie miała nic przeciwko temu. W Los Angeles deszcz był czymś piekielnym, ale nie w Anglii. Mógł sobie padać do woli. Jeśli tylko mogli się tu z Johnem przenieść, była gotowa poświęcić dowolną ilość słońca.

Jechali na południe. W oddali dostrzegła zielone fałdy South Downs. Właśnie tam pojechali z Johnem wkrótce po tym, jak się w sobie zakochali. Przywiozła go do Anglii, najpierw do Bath, by

poznał matkę i Harriet, które całkowicie urzekł. Potem on zabrał ją do Sussex, aby poznała Carsona Dicksa i kolegów z uniwersytetu. Obnosił się z nią jak z trofeum, ale nie miała nic przeciwko temu. Oboje byli nieprzytomni ze szczęścia.

Naomi pomyślała, że znów czuje się szczęśliwa. Szczęśliwsza niż...

Ból zaatakował ją bez ostrzeżenia. Jakby w ciele wyskoczył diabełek z pudełka, który tłukł pięścią, próbując wydostać się z jej brzucha. Wszystkie mięśnie napięły się, skręciły, po czym się rozluźniły. Naomi rzuciła się konwulsyjnie, aż pas wpił się w jej ciało. Krzyknęła. Potem z jej ust zaczęły się dobywać straszne, ciche jęki, nasilające się, w miarę jak ból się zaostrzał; zamknęła oczy, przygryzła wargi świadoma, że mercedes skręca gwałtownie; widziała, że laptop męża spada na podłogę. John obudził się i spojrzał na nią z przerażeniem, bo przez chwilę myślał, że mieli wypadek. Potem zobaczył wyraz twarzy Naomi i usłyszał jej krzyk.

– Kochanie? Kochanie?

Ból stawał się nie do zniesienia, jakby ktoś rozrywał jej wnętrzności rozżarzoną do białości nożem.

– Proooszęęę... och... prooooszęęę... nie...nie...

– Proszę się zatrzymać! – zawołał John.

Gwałtowne hamowanie. Klakson.

– Pomóż mi, pomóż mi, pomóż mi...

Mercedes stanął na poboczu. Kilka centymetrów od nich przetoczyła się z hukiem ciężarówka. Po poszarzałej twarzy Naomi ciekły łzy, z ust płynęła krew. Dygotała jak oszalałe zwierzę w klatce, straszliwe jęki były coraz częstsze.

Ona krwawi z ust. Chryste. Umiera. Jezu, nie, coś ty jej, kurwa, zrobił, Dettore.

– Kochanie, kochanie, Naomi, kochanie...

Jęki ustały.

Krew nie pochodziła z jej ust, ale z wargi.

Chwila ciszy. Zwróciła ku niemu twarz i spojrzała nieprzytomnym wzrokiem, jakby patrzyła na demona. Nie

potrafił odczytać emocji malujących się na twarzy żony: ból, nienawiść albo jedno i drugie.

– Pomóż mi – wyszeptała. – Proszę, John, pomóż. Nie znoję, nie znoję, nie znoję kolejnego...

Gwałtownie podskoczyła, oczy uciekły w tył głowy, wyła przez trzydzieści sekund, może minutę, może jeszcze dłużej; nie wiedział, rozpaczliwie próbował się skupić, pojąć, co się dzieje w ciele żony. Poronienie? Boże.

Położył dłoń na spoconym czole Naomi.

– Kochanie, już dobrze, wszystko będzie dobrze.

Gwałtownie trzęsąc głową, wybełkotała coś, ale nie zrozumiał słów, nie potrafił też nic wyczytać z szalonych oczu.

– Kochanie – mówił. – Proszę cię, uspokój się, powiedz mi, co się dzieje.

Naomi próbowała coś powiedzieć, ale głos uwiązł jej w gardle; znów zaczęła dygotać, przycisnęła nadgarstek do ust, przygryzła go, zamknęła oczy.

– Potrzebna jest karetka – zwrócił się John do kierowcy. – Albo... czy jesteśmy blisko szpitala?

– W Crawley. Dziesięć minut drogi stąd, nawet mniej, jest duży szpital.

– Jedź! – polecił John. – Jedź najszybciej, jak możesz. Zapłacę wszystkie mandaty. Proszę, jedź!

33

W małym białym pokoju, odgrodzonym zasłoną od głównego pomieszczenia ostrego dyżuru, pikały monitory, a wyświetlane liczby i krzywe informowały o funkcjach życiowych Naomi.

Leżała na stole wyłożonym skórą. John stał obok, niespokojnie wpatrując się w EEG. W świetle jasnych jarzeńówek blada cera Naomi wyglądała upiornie. Tak bardzo się o nią niepokoił, że nie dbał o to, że mogła poronić; chciał tylko, żeby jej nic się nie stało. Czuł się przy tym całkowicie bezradny.

Na białych półkach leżały fiołki, buteleczki, strzykawki w plastikowych torebkach. Unosił się zapach środka dezynfekcyjnego. Pielęgniarka w niebieskim fartuchu chirurgicznym poprawiała kroplówkę.

– Ciśnienie skurczowe osiemdziesiąt i rośnie – powiedziała inna.

Naomi patrzyła na niego oszołomiona. Wyglądała strasznie. W jednej chwili była spokojna, a w następnej zwijała się z bólu, drżała, krzyczała.

Proszę, niech nic jej się nie stanie. Proszę, niech będzie w porządku. Proszę...

Do pokoju weszła kobieta w białym fartuchu pielęgniarskim.

– Doktorze Klaesson?

– Sprowadźcie tu lekarza! Jezu! – wydarł się na nią. – Moja żona straci dziecko. Sprowadźcie dyżurnego położnika!

Kobieta nosiła identyfikator z napisem: A&E. ALISON SHIPLEY. PIEŁĘGNIARKA ODDZIAŁOWA.

– Doktorze Klaesson, czy mogę zadać panu kilka pytań?

– Wezwij tego pierdolonego położnika, na miłość boską!
– Doktorze Klaesson, pan Sharpus-Jones jest w drodze z sali operacyjnej. Będzie tu za kilka minut.

– John. – Głos Naomi. Taki spokojny. Tak pogodny.

Patrzył na żonę szeroko otwartymi oczami.

– Chodzi tylko o kilka drobnych formalności, proszę – powiedziała oddziałowa.

– John, błagam, uspokój się – wydyszała z trudem Naomi. – Czuję się już dobrze, naprawdę.

Spojrzał na przewody podłączone do piersi i nadgarstków żony i ucałował jej spocone czoło. Na świecie nie liczyło się nic prócz jej bólu.

– Kocham cię.

– Ja też cię kocham – wyszeptała, skinęła głową i wyciągnęła rękę. Ścisnął ją mocno.

– Już dobrze. Słowo harcerki.

Nagle zasłony się rozsunęły i do pokoju wkroczył wysoki mężczyzna w fartuchu chirurgicznym, białych chodakach, z maską dyndającą pod brodą.

– Dzień dobry. Pani Klaesson? – powiedział.

Naomi skinęła głową.

Lekarz zerknął na Johna, po czym znów spojrzał na nią.

– Przepraszam, że kazałem pani czekać. Jak się pani czuje?

– W porządku – odparła.

John chciał krzyknąć: „Nie jest w porządku, strasznie cierpiałaś, wcale nie jest w porządku, powiedz im prawdę!”. Zamiast tego jednak stał w milczeniu, podczas gdy Sharpus-Jones starannie ją zbadał, najpierw zewnątrz, uciskając brzuch, potem wewnątrz. Potem zaczął zadawać pytania o historię medyczną. Na część z nich Naomi odpowiadała od razu, na inne po ponagleniach Johna.

W końcu Sharpus-Jones zdjął rękawiczki i oznajmił:

– Cóż, dobra wiadomość jest taka, że szyjka macicy jest zamknięta i nie krwawi pani, co znaczy, że nie ma groźby poronienia...

Urwał i cofnął się zaskoczony, bo Naomi rzuciła się konwulsyjnie. Jej ręce wyskoczyły w górę, wygięła plecy, przewróciła oczami, a z ust dobył się krzyk, który rozrywał Johnowi serce.

Po chwili – miał wrażenie, że zaledwie po kilku sekundach – cały zespół medyczny przeniósł Naomi na łóżko na kółkach, po czym wywieźli ją z pokoju na korytarz.

– Dokąd ją zabieracie? – spytał ogarnięty paniką.

Nikt nie odpowiedział.

Ruszył za nimi, ale po kilku krokach został zatrzymany przez pielęgniarkę, Alison Shipley.

– Proszę tu poczekać – powiedziała, ujmując go za ramię.

– Nie ma mowy!

John wyswobodził rękę i pospieszył za nimi. Wtedy drogę zastąpił mu położnik.

– Panie Klaesson, rozumiem pański niepokój, ale muszę pana poprosić o oczekiwanie tutaj.

Nie była to prośba, ale niepodlegający negocjacji rozkaz wydany tonem zarazem przyjaznym i władczym.

– Dokąd ją zabieracie? – spytał John. – Co jej zrobicie?

– Najpierw zrobię badanie USG, potem zdecyduję, co dalej. Może będę musiał otworzyć brzuch i zobaczyć, co się dzieje. Lepiej będzie dla wszystkich, jeśli poczeka pan tutaj.

John wyszedł ze szpitala, by zadzwonić do matki Naomi i powiadomić ją o sytuacji. Musiał się z kimś podzielić swoją udręką.

...

Godzinę później położnik wrócił do pokoju, wciąż w fartuchu, z maską pod brodą, śmiertelnie poważny. John spojrzał na niego z przerażeniem i już miał wstać, gdy lekarz usiadł obok niego.

– O mały włos.

John wpatrywał się w położnika szeroko otwartymi oczami.

– Jest pan lekarzem, doktorze Klaesson?

– Nie, jestem naukowcem.

– Dobrze. Musieliśmy w trybie pilnym zrobić laparotomię... – Uspokajająco uniósł rękę. – Drobnie przecięcie brzucha zwane nacięciem Pfannenstiela. Pańskiej żonie nic nie jest, wszystko w porządku. Ból, z powodu którego cierpiała, powodowała cysta w prawym jajniku, która przemieściła się, blokując dopływ krwi do jajnika, przez co wdało się zakażenie. To była torbiel skórzasta. Pańska żona miała ją pewnie przez całe życie; dziwne, że nie wykryły tego badania USG. Czy państwo wiedzą o anomalii jej narządów rozrodczych?

– O anomalii? Jakiej anomalii?

– Pańska żona ma podwójną macicę.

– Podwójną macicę? Co... to znaczy? – Myśli Johna galopowały. Dlaczego doktor Dettore im o tym nie powiedział? Musiał wiedzieć. Musiał... może ukrywał to przed nimi. Czemu Rosengarten im nie powiedział? Odpowiedź na to drugie pytanie była prostsza: przeprowadził badanie w pośpiechu, jego myśli zaprzętały inne sprawy.

– To dość częsta przypadłość, występuje u jednej na mniej więcej pięćset kobiet, ale u pańskiej żony nie od razu ją wykryto. Tak czy inaczej, teraz żona czuje się dobrze, a dzieciom nic nie grozi.

– Dzieciom? Jak to: dzieciom?

– W każdej macicy jest jedno dziecko.

Na widok wyrazu twarzy Johna położnik zawahał się, po czym dodał:

– Pańska żona nosi bliźniaki. Chłopca i dziewczynkę. Chyba pan o tym wiedział, prawda?

*Dziennik Naomi**Bliźniaki!*

Mama i Harriet szaleją z radości. Ja wciąż jestem w szoku. Już wcześniej miałam wystarczająco dużo niespodzianek, a teraz nie mam pojęcia, co czuję. Usiłuję pojąć, co oznacza urodzenie bliźniaków. Znalazłam stronę internetową o tym, czego się spodziewać podczas ciąży, tydzień po tygodniu, oraz w pierwszym roku po porodzie. Nie będzie łatwo.

W miniony weekend Harriet przyniosła artykuł o istnej epidemii bliźniaków. Zdaniem autora bierze się ona stąd, że specjaliści od płodności umieszczają w łonie całe skupiska zapłodnionych komórek jajowych. Próbowałam wyjaśnić siostrze, że w klinice Dettorego odbywało się to inaczej; powinna być tylko jedna komórka. Ale Harriet chyba nie była tym zainteresowana.

Wyczuwam w niej pewną zazdrość. Ma trzydzieści dwa lata i świetną pracę – zajmuje się obligacjami – ale jest samotna. Z wielu rozmów, jakie prowadziłyśmy na przestrzeni lat, wiem, że niespecjalnie interesuje ją rodzenie dzieci. Teraz ma może nadzieję, że gdy urodzę bliźniaki, mama przestanie tak na nią naciskać, by dała jej wnuki!

Czasami leżę w nocy i myślę o Halleyu spoczywającym w trumience na tym ślicznym cmentarzu przy Sunset. Jest całkiem sam. Raz w tygodniu Lori zanosí mu kwiaty w naszym imieniu. Ciekawe, czy po naszym wyjeździe poczuł się bardziej samotny?

Kiedy nosiłam Halleya, ciąża sprawiała mi radość, w każdym razie do porodu, który okazał się koszmarem. Dobrze się czułam, byłam podniecona, pewna siebie. Teraz jestem ociężała, niezdarna, słaba, stale mi niedobrze. Bardzo się boję tego, co dzieje się w moim ciele. Czy John ukrywa coś przede mną, kiedy usiłuje mnie podnieść na duchu?

Zawsze mu ufałam. Czy zawarł z Dettorem jakieś tajne porozumienie? Kiedy dowiedział się o bliźniakach, sprawiał wrażenie równie zaskoczonego jak ja, ale potem stał się niemal podniecony.

Jedyną osobą, z którą mogę o tym wszystkim rozmawiać, jest Rosie. Znamy się od dziesiątego roku życia. Rosie Miller, dziś Whitaker. Zawsze była mądrzejsza ode mnie. John wściekłby się, gdyby się dowiedział, że jej powiedziałam; umówiliśmy się, że nikomu tego nie wyjawimy, ale musiałam się z kimś podzielić, żeby nie zwariować. Muszę przyznać, że jej reakcja mnie zaskoczyła. Zazwyczaj podchodzi do wszystkiego entuzjastycznie, ale poznałam po jej minie, że zaniepokoiła się tym, co zrobiliśmy.

Dlaczego bliźniaki, doktorze Dettore? Pomylił się pan? Czy zrobił to pan celowo?

Czy kiedykolwiek dowiem się prawdy?

35

– To jest bajeczne, jaka wielka sypialnia. Zapewniam, że nie znajdziecie wielu takich miejsc – powiedziała Suzie Walker.

W ślad za matką i siostrą Naomi weszła za agentką nieruchomości do wielkiego pomieszczenia z dębowymi belkami stropowymi. Promienie słońca wlewały się przez okno od południa, wychodzące na pola uprawne i łagodne zbocze Downs.

– Żeby uwierzyć w widoki, jakie się stąd rozpościerają, trzeba je zobaczyć – ciągnęła Suzie Walker. – Moglibyście oglądać domy przez kolejne trzydzieści lat, a nie znajdziecie żadnego, który mógłby się równać z tym.

– A jak jest z wiatrem? – spytała Harriet. – Dom jest dość odsłonięty, prawda?

W dzieciństwie starsza siostra imponowała Naomi. Zawsze była tą ładniejszą, a dziś, z kruczoczarnymi włosami obciętymi na pazia, z angielską rumianą cerą, wyglądała atrakcyjniej niż kiedykolwiek. Mądrzejsza, niż wynikałoby to z jej wieku, zawsze wiedziała, jak się ubrać. Dzisiaj miała na sobie nowiutką kurtkę Barbour, wełniany szalik od Cornelli James, džinsy i zielone botki, jakby zawsze mieszkała na wsi, choć rzadko opuszczała swój miejski azyl w Londynie.

Dla kontrastu ich matka, Anne, sprawiała wrażenie równie oszołomionej jak tamtej strasznej nocy, gdy weszła do sypialni Naomi, by oznajmić, że ojciec nie wróci, bo poszedł do nieba. Twarz matki wciąż zdradzała ślady urody, lecz napięcie przecinało ją zmarszczkami, a siwe włosy czesała staromodnie. Harriet umiała dostosowywać się strojem do otoczenia, ale

matka zawsze ubierała się zbyt formalnie. Dziś włożyła elegancki czarny płaszcz i czółenka, które nadawały się raczej na przyjęcie.

– Owszem – przyznała Suzie Walker. – Ale jeśli chce się pięknych widoków, trzeba się pogodzić z odrobiną wiatru. Poza tym wiatr jest korzystny. Osusza ziemię. A dzięki wzniesieniu nie ma tu zagrożenia powodzią.

Dom niezmiernie podobał się Naomi. Z niecierpliwością patrzyła na matkę i siostrę, pragnąc, by podzieliły jej zdanie. Modliła się w duchu, by tak się stało. Wciąż była w tej rodzinie małą dziewczynką, więc potrzebowała aprobaty matki i siostry.

Agentka była filigranowa, o długich jasnych włosach, schludnie ubrana. Przypominała Naomi porcelanową lalkę. Po obejrzeniu w minionym tygodniu ośmiu posiadłości w okolicy, z których każda okazywała się upiorniejsza niż poprzednia, trzy dni temu weszła zdesperowana do małej agencji Suzie Walker nieopodal ruin zamku w miasteczku Lewes we wschodnim Sussex i klapnęła na krzesło.

Agentka nachyliła się konspiracyjnie nad biurkiem, przytknęła palec do ust i powiedziała, że jest pewna posiadłość, której oficjalnie nie wystawiono jeszcze na rynek, ale chce ją pokazać Naomi, bo czuje, że będzie wprost idealna. Korzystna cena, jeśli ktoś szybko zdecyduje się na wynajem – może Naomi wyda się nieco wygórowana, ale każdy, kto zobaczy ten dom, po prostu się w nim zakocha.

Farma Dene Barn znajdowała się na końcu kilkusetmetrowego podjazdu ciągnącego się przez pola pszenicy i odchodzącego od cichej wiejskiej drogi, osiem kilometrów na wschód od Lewes. Posiadłość składała się z drewnianej stodoły przerobionej na dom z czterema sypialniami oraz oddzielnego spichlerza z krzemienia, przerobionego na podwójny garaż. Dene Barn przycupnęła na szczycie wzgórza, skąd na wiele kilometrów rozciągał się widok na pola uprawne. Najbliższą osadą była oddalona o trzy kilometry mała wieś.

Jedyny mankament stanowiła izolacja od świata. Jednak ważąc wszystkie za i przeciw, można było w niej dostrzec plusy.

Najbliższy dom, wiejska chałupa, stał ponad pół kilometra dalej. Czy czułaby się niespokojna, przebywając tu samotnie? Jak byłoby w nocy? Z drugiej strony, mieszkaliby na odludziu, bez sąsiadów zadających kłopotliwe pytania o dzieci, kiedy – jeśli w ogóle – w prasie znowu pojawiłyby się informacje na ich temat. Poza tym posiadłość byłaby istnym rajem dla dzieci.

No i dom był bajecznie piękny. Naomi wyobrażała sobie, jak razem z Johnem zakładają tu gniazdo rodzinne. W ogrodzie o powierzchni ponad pół hektara rosły głównie krzewy i trawa; był też młody sad z jabłonią, śliwkami i wiśniami. Oczami wyobraźni widziała grille z przyjaciółmi na tarasie, ogień trzaskający w piecu w przestronnym salonie. Wyobrażała sobie padający śnieg i bielusienki krajobraz rozciągający się jak okiem sięgnąć we wszystkich kierunkach.

Człowiek czuł się tu niewiarygodnie spokojnie.

Bezpiecznie.

John też okazał entuzjazm, gdy opisała mu wszystko przez telefon. Jeszcze miesiąc musiał spędzić w Los Angeles, pozamykać sprawy na uczelni, zorganizować transport ich rzeczy do Anglii. Powiedział, że w głowie się nie mieści, ile gratów zgromadzili w ciągu sześciu lat. Naomi poradziła, by wyrzucił wszystko, do czego nie czuje się emocjonalnie przywiązany.

– Do kogo właściwie należy ten dom? – spytała Harriet, zerkając na hinduskie łożo z rzeźbionego mahoniu.

– Wyjaśniałam to pani siostrze w... środę. Dom należy do Rogera Hammonda, który zmienił wyznanie. Właśnie wyjechał do Arabii Saudyjskiej na trzyletni kontrakt. Potem rozważają przeniesienie się do Australii. To, oczywiście, wiązałoby się z możliwością zakupu tego domu. Świetna inwestycja; garaż można przerobić na dodatkowe pomieszczenia mieszkalne. Tego rodzaju posiadłość trafia się raz na dziesięć lat albo rzadziej.

– Dobrze zaprojektowana łazienka – pochwaliła Harriet. – Dwie umywalki. Znakomicie.

Agentka poprowadziła je korytarzem.

– Następny pokój byłby wprost wymarzony dla pani bliźniaków!

Po oprowadzaniu ich po wszystkich pomieszczeniach Suzie Walker oświadczyła, że pozwoli im przejść się na własną rękę, i ruszyła do samochodu.

Naomi usiadła przy starym dębowym stole w kuchni i spojrzała na matkę i siostrę.

– No więc? – zapytała.

– W szafkach jest dużo miejsca – stwierdziła matka.

– Co będziecie robić, kiedy spadnie śnieg? – spytała Harriet.

– Hm... może się zdarzyć, że utkniemy tu na kilka dni. Myślę, że to może być całkiem romantyczne! – Naomi się uśmiechnęła.

– Nie, jeśli będziesz pilnie potrzebowała lekarza.

– A co ze szkołą? – zainteresowała się matka. – O tym powinnaś pomyśleć.

– I o tym, że będzie tu odizolowana od świata – dorzuciła siostra. – John przez cały dzień będzie w pracy. Jak zamierzasz sobie radzić, mając za towarzystwo tylko owce?

– Lubię owce – rzuciła Naomi.

– Potrzebny ci pies, kochanie – doradziła matka.

– Psy są utrapieniem – zaprotestowała Harriet. – A jeśli będziesz chciała wyjechać?

– Lubię psy – powiedziała Naomi. – Psy nie oceniają ludzi.

36

John czuł się tak, jakby coś utkwilo mu w gardle, szarpało od środka; mięśnie drgały ze zdenerwowania, nie tylko w gardle, ale i w brzuchu. Nie mógł usiedzieć spokojnie. Chciał, żeby wszystko wreszcie się skończyło, a przy tym umierał ze strachu. Bał się o Naomi, o dzieci w jej brzuchu. Bał się o przyszłość.

Do stołu operacyjnego podsunęli krzesło, na którym usiadł, gładził Naomi po czole i patrzył na zieloną płachtę przypiętą do jej piersi, zasłaniającą wszystko, co działo się pod rękami chirurga.

Czekali, aż znieczulenie zewnątrzoponowe zacznie działać. John spojrzął na okrągłą białą tarczę zegara ściennego. Minęło pięć minut. Uśmiechnął się do Naomi.

– Jak się czujesz, kochanie?

W luźnym fartuchu, z kroplówką umocowaną do nadgarstka i plastikową tabliczką z nazwiskiem wyglądała całkowicie bezbronne. W kąciку ust pojawił się pęcherzyk śliny; John otarł go chusteczką higieniczną.

– Dobrze – odpowiedziała bardzo cicho. – Ucieszę się, kiedy... – Zmusiła się do uśmiechu, potem nerwowo przełknęła ślinę. Oczy miała szeroko otwarte. Czasem zielone, czasem piwne, teraz mieniły się oboma kolorami. Uśmiech zniknął z jej twarzy, a jego miejsce, niczym mrugający płomień świecy, zajął wyraz powątpiewania.

– Ja też – odparł John. – Ucieszę się, gdy...

Gdy co? – pomyślał. Gdy oczekiwanie się skończy? Kiedy dzieci się urodzą i zaczniemy się dowiadywać, co naprawdę zrobił Dettore? Kiedy zaczniemy dostrzegać, jak mądrze postąpił?

– Co oni robią? – spytała.

– Czeka ją.

John wstał. Sala operacyjna wypełniła się ludźmi w zielonych fartuchach, większość gawędziła przez maski jak na przyjęciu. Próbował sobie przypomnieć, kim są. Konsultant położnik, położnik dyżurny, konsultant pediatra, anestezjolog, asystentka anestezjologa, pielęgniarki, położna. Ostre białe światło lampy padało na odsłonięty nabrzmiący brzuch Naomi. Na monitorach wyświetlały się odczyty.

Andrew Davey, wesoły i sumienny anestezjolog, dotknął wacikiem brzucha Naomi.

– Czujesz to, Naomi?

Pokręciła głową.

Następnie Davey ukłuł ją niedużym zaostrzonym przyrządem.

– A teraz coś czujesz?

Znow pokręciła głową.

Wtedy anestezjolog ujął spryskiwacz, psiknął wodą na jej brzuch, potem po obu stronach pępka. Nawet nie mrugnęła.

– Dobrze – zwrócił się anestezjolog do położnika. – Możemy zaczynać.

Konsultant położnik Królewskiego Szpitala Hrabstwa Sussex, pan Des Holbein, był krępy okularnikiem po czterdziestce. Ciemne włosy nosił przystrzyżone na jeża, a poważna twarz przywodziła na myśl dobrodusznego dyrektora banku. Podobnie jak wszyscy pozostali, nie wiedział nic o ich konszachtach z Dettorem, ale w ciągu minionych miesięcy uczynił wiele dla podniesienia ich na duchu, zwłaszcza Naomi.

John odnosił wrażenie, że przez ostatnie siedem miesięcy gabinety lekarskie, kliniki i szpitale stały się integralną częścią ich życia.

Ciąża Naomi przebiegała wyboiście. John postanowił dowiedzieć się więcej o podwójnej macicy, a w rozmowach z żoną raz po raz, do znużenia, wracali do pytania, dlaczego

Dettore nie powiadomił ich o tej anomalii i czemu wszczepił Naomi dwie zygoty?

Dlaczego doktor Rosengarten z Los Angeles nie dostrzegł na monitorze USG, że Naomi nosi w łonie bliźniaki? Gdy pytali o to Des Holbeina, odparł, że na tak wczesnym etapie, jeśli Rosengarten nie wiedział o drugiej macicy, jeżeli w dodatku chłopca zasłaniała dziewczynka, a położnik, jak twierdzili, się spieszył, bez trudu mogło dojść do przeoczenia.

John pozostawał w stałym kontakcie z przyjacielem, Kallem Almtorpem. FBI nie zbliżyło się do rozwiązania zagadki śmierci Dettorego, nie natrafiono też na ślad *Serendipity Rose*. Kalle powiedział Johnowi, że Uczniowie Trzeciego Tysiąclecia – jeśli w ogóle istnieli – zatopili statek w tym samym czasie, gdy spowodowali katastrofę helikoptera, i przypuszczalnie zabili wszystkich na pokładzie. Federalni nie zbliżyli się też do znalezienia zabójców Marty'ego i Elaine Borowitzów, a do tych morderstw również przyznawali się Uczniowie Trzeciego Tysiąclecia. Tajemnicza organizacja pojawiała się i uderzała bezgłośnie, po czym rozplątywała się we mgle.

FBI i Interpol miały twardy orzech do zgryzienia. Kalle doradził Johnowi, że najlepiej zrobią, jeśli się przyczają, będą unikać rozgłosu, zastrzegą numer telefonu i zachowają czujność. Jego zdaniem, wyjazd ze Stanów był mądrym posunięciem.

W Anglii podjęli decyzję, że oprócz matki i siostry Naomi nikomu nie powiedzą o wizycie w klinice Dettorego. Kilku dawnych kolegów Johna i niektóre przyjaciółki Naomi widziały artykuł, gdy przedrukowała go prasa światowa, ale John i Naomi umiejętnie umniejszali znaczenie tych rewelacji, mówiąc, że dziennikarze jak zwykle wszystko poplątali i robią z igły widły.

W osiemnastym tygodniu poranne mdłości, zamiast ustać, jak jej obiecywano, jeszcze się nasiliły. Naomi stale wymiotowała, nie była w stanie utrzymać jedzenia w żołądku i miała ochotę tylko na mrożony groszek i kanapki z marmite. Z powodu odwodnienia, zaburzenia poziomu elektrolitów, niedoboru sodu

i potasu we krwi w ciągu kolejnych dwóch miesięcy czterokrotnie lądowała w szpitalu.

W trzydziestym tygodniu zdiagnozowano u niej nadciśnienie tętnicze, które, niestety, rosło. W moczu wykryto białko, co powodowało przykre puchnięcie dłoni i kostek stóp; w końcu nie była w stanie włożyć butów.

W połowie trzydziestego siódmego tygodnia pan Holbein zasugerował, by wykonać cesarskie cięcie, zamiast czekać do końca ciąży, obawiał się bowiem, że łożyska nie funkcjonują właściwie, co mogło doprowadzić do śmierci dzieci. Naomi nie trzeba było długo przekonywać, podobnie zresztą jak Johna.

Rozmowy w sali operacyjnej nagle ucichły i lekarze w fartuchach jak jeden mąż skupili się wokół Naomi. John usiadł i wziął żonę za rękę. W ustach mu zaschło. Drżał.

– Zaczyna się – powiedział do żony.

Słyszał pobrzękiwanie narzędzi. Widział postacie pochylające się nad stołem, skupione i poważne oczy pod maskami. Wyciągając szyję, patrzył nad płachtą, jak Holbein przecina skalpelem podstawę wielkiego wybrzuszenia. John stracił zimną krew i odwrócił wzrok.

– Co widzisz? – dopytywała się Naomi.

Nagle nad płachtą pojawiła się twarz położnika.

– Chciałby pan widzieć narodziny dzieci? – spytał wesoło.

Pewny ton lekarza dodał Johnowi otuchy, spojrzał więc na Naomi.

– Co ty na to, kochanie?

– A ty jak sądzisz? – odparła. – Chciałbyś?

– Ja... Tak.

– Ja też.

Po chwili anestezjolog odpiął zieloną płachtę.

– Może pan przytrzymać żonę za głowę, żeby lepiej widziała – poradził Johnowi Holbein.

John delikatnie spełnił polecenie. Oboje ujrzeli pofałdowany ocean zielonych prześcieradeł i ręce chirurgów w fartuchach.

Chwilę później Phoebe Anna Klaesson, małeńka, pokryta grudkami żółtej mazi płodowej i krwią, z otwartymi oczkami, zapłakana, została ujęta pewną dłonią w gumowej rękawicy i wyciągnięta z ciepłego pulsującego łona matki. W porównaniu z jej dotychczasowym środowiskiem znalazła się w mroźnej i niesamowicie cichej sali operacyjnej.

John patrzył urzeczony, jak na jego oczach dziewczynka zmienia kolor z sinoróżowego na jasnoróżowy.

Ten płacz. Ten słodki odgłos życia, ich dziecka, ich stworzenia! Poczuł zarazem radość i lęk. W głowie zaczęły mu wirować wspomnienia o narodzinach Halleya. Jakaż wtedy przepełniała go duma i nadzieja. Proszę, bądź zdrowa, Phoebe. Będziesz zdrowa. O Boże, tak, będziesz!

Położnik podniósł noworodka, druga postać w fartuchu zacisnęła pępowinę dwoma klemami, a trzecia ją przecięła.

Holbein umieścił dziewczynkę na zielonym sterylnym prześcieradle, które podała mu położna. Owinąwszy nim Phoebe, przysunął ją do Naomi.

– Pani córka wygląda przepięknie!

Phoebe zaczęła się drzeć.

– Proszę tylko posłuchać! – uradował się Holbein. – To krzyk zdrowia.

– Dobra robota, kochanie – szepnął John do żony. W oczach miał łzy. Wycieńczona Naomi wpatrywała się w córeczkę w takim uniesieniu, że jego słowa do niej nie dotarły.

Położnik wręczył Phoebe położnej, a ta przekazała ją pediatrze stojącemu przy dwóch ruchomych stołach reanimacyjnych pod dużymi płaskimi lampami.

– A teraz drugie dziecko – zarządził położnik i pochylił się nad brzuchem Naomi. – Jest bardziej cofnięte i położone wyżej. To nie będzie takie proste. Mamy do czynienia z położeniem miednicowym, z główką wciśniętą w łono.

Wciąż podtrzymując głowę żony, John poczuł, jak znów ogarnia go niepokój. Patrzył, jak położnik się koncentruje, jego

dłonie wsuwają się w jamę brzuszną Naomi. Po minie lekarza poznał, że coś jest nie tak. Na czole Holbeina perlił się pot.

Atmosfera w sali nagle całkowicie się zmieniła. Wszystkie oczy wyrażały napięcie. Chirurg wciąż poruszał dłońmi. Coś powiedział pielęgniarce, ale zbyt cicho, by John mógł usłyszeć.

Kropla potu spadła z głowy położnika na okulary.

– Mamy tu mały problem – stwierdził anestezjolog. – Panie Klaesson, myślę, że powinien pan wyjść.

– Tak, to rozsądne – potwierdził Holbein.

– Co się dzieje? – John patrzył niespokojnie na żonę, bladą jak płótno.

– To bardzo trudne. Po pulsowaniu pępowiny widać, że praca serca dziecka osłabła. Lepiej będzie, jeśli wyjdzie pan do poczekalni.

– Wolę zostać – upierał się John.

Anestezjolog wymienił spojrzenia z położnikiem. John zerknął ze strachem na Holbeina. Czy dziecko umierało?

Anestezjolog znów przypiął płachtę, zasłaniając widok Naomi i Johnowi.

– Nie martw się, kochanie. Wszystko będzie dobrze – zapewnił John, całując żonę.

Uścisnęła jego dłoń. John wstał, a Des Holbein znowu podszedł do Naomi.

– Przykro mi, Naomi. Wcześniej starałem się ograniczyć cięcie do linii bikini, ale będę musiał cię przeciąć aż do pępka.

Słabo skinęła głową.

– Znieczulenie zewnątrzoponowe nie jest wystarczająco silne – oznajmił anestezjolog, a jego asystentka zawołała nagle niespokojnie:

– Sześćdziesiąt!

W sali dało się wyczuć panikę.

– Nie mogę czekać – powiedział chirurg.

– Muszę ją uspić! – niemal krzyknął anestezjolog. – Dajcie mi minutę!

John patrzył na obu mężczyzn z przerażeniem, gdy położnik rzucił:

– Do cholery, dziecku grozi niedotlenienie!

Anestezjolog wsuwał igłę do fiolki.

– Jeśli mamy uratować dziecko, muszę zaczynać! – zawołał rozpaczliwie Holbein.

– Poczekaj, na miłość boską, pozwól mi ją znieczulić.

Złany potem położnik uniósł zielone prześcieradła, odsłaniając cały brzuch Naomi.

– Ile czasu ci to zajmie?

– Parę minut.

– Nie mamy paru minut. – Holbein wrócił do Naomi. – Obawiam się, że jeśli chcesz ocalić dziecko, będzie trochę bolało. W porządku?

– Nie krzywdźcie Naomi – poprosił John. – Proszę... znacznie ważniejsze jest...

– Wszystko w porządku – zapewniła. – Róbcie, co trzeba, żeby uratować dziecko. Dam radę.

– Nie chcę, żeby zadawał pan jej ból – powtórzył John.

– Naprawdę sędzę, że lepiej będzie, jeśli pan wyjdzie – powiedział chirurg.

Anestezjolog wypuścił kilka kropli z igły, przetarł ramię Naomi i zrobił zastrzyk.

Po chwili John patrzył ze zgrozą, jak chirurg przecina skalpelem brzuch od spojenia łonowego do pępka, zostawiając stróżkę jaskrawoczerwonej krwi.

Naomi krzyknęła z bólu i wbiła paznokcie w dłoń Johna. Potem krzyknęła znowu i znowu; stał oniemiały z otwartymi ustami, kręciło mu się w głowie. Wziął głęboki wdech.

Anestezjolog podłączył przewód do wenflonu na nadgarstku Naomi i momentalnie zaczęła się uspokajać. Po chwili wyglądało na to, że przestała oddychać; leżała z szeroko otwartymi, niewidzącymi oczami.

Szybko wziął od asystentki rurkę intubacyjną, miał jednak problemy z umieszczeniem rury w gardle Naomi.

– Nie mogę jej wsunąć – rzucił. Pocąc się intensywnie, wyciągnął rurkę, spróbował ponownie, znów wyciągnął z gracją wędkarza usiłującego usunąć haczyk z przełyku szczupaka.

W tym momencie John zemdlął.

37

John miał wrażenie, że w głowę wbito mu tasak. Zdawał sobie sprawę, że leży, a ktoś przyciska mu do prawego oka coś zimnego. Otworzywszy lewe, przez chwilę widział tylko mgłę. Światło sprawiało mu ból, więc zamknął oko.

– Jak się pan czuje? – usłyszał radosny kobiecy głos.

Ponownie otworzył oko, wyostrzył wzrok. Twarz. Młoda kobieta, którą mgliście kojarzył. Ładna blondynka. Nagle sobie przypomniał: młodsza położna imieniem Lisa.

Wtedy przypomniał sobie całą resztę.

Ogarnięty paniką, próbował usiąść.

– Boże, co się stało?

– Proszę się położyć i odpoczywać. Chcę opanować tę opuchliznę.

Spojrzał na położną, która trzymała coś na kształt rękawicy chirurgicznej wypełnionej lodem.

– Moja żona... Co się stało? Nic jej nie jest?

– Czuje się zupełnie dobrze – zapewniła wesoło Lisa. – Podobnie pańskie dzieci. Wszyscy radzą sobie znakomicie.

– Naprawdę? Gdzie są... jest...?

Ulga i podniecenie sprawiły, że zakręciło mu się w głowie. Pokój zawirował. Potem tasak obrócił się i ból nasilił się do tego stopnia, że Johnowi zrobiło się niedobrze. Za wszelką cenę chciał wstać, na moment zdołał się dźwignąć, ale wtedy poczuł się jeszcze gorzej. Mógł jedynie zamknąć oczy i położyć się. Po chwili poczuł na oku rękawicę z lodem. Działała kojąco.

– Pańska żona jest na sali pooperacyjnej. Dostała pełne znieczulenie, więc dojdzie do siebie dopiero za kilka godzin.

Dzieci śpią na oddziale intensywnej terapii.

– To chłopiec? Drugie dziecko?

– Śliczny mały chłopczyk.

John znowu spróbował wstać, ale położna zbyt mocno naciskała oko.

– I moja żona naprawdę ma się dobrze?

Lisa energicznie przytaknęła.

John poczuł bezbrzeżną ulgę. Usłyszał, jak drzwi się otwierają, i po chwili doleciał go głos konsultanta położnika.

– Będzie pan miał niezłego siniaka pod okiem, doktorze Klaesson! – powiedział wesoło.

Znalazł się w polu widzenia Johna, saboty stuknęły o podłogę; nakrycie głowy i maska zniknęły, fartuch zwisał luźno.

– Ma pan na głowie cztery szwy, do tego podbite oko. Po latach będzie pan mógł mówić, że przynajmniej nie pozwolił pan żonie cierpieć samotnie przy porodzie!

John zmusił się do słabego uśmiechu.

– Ja naprawdę... Ja...

– Posłuchaj, przyjacielu, przykro mi z powodu zamieszania, ale twoja żona ma się dobrze, a dzieciom nic nie zagraża. Jak się czujesz?

– Nieco poturbowany.

– Przykro mi, że musiałeś przez to przejść, ale nie mieliśmy innego wyjścia, a twoja żona mnie wspierała. Drugiemu dziecku groziło niedotlenienie, więc musiałem działać szybko, bo w przeciwnym razie na pewno byśmy go stracili.

– Mogę je zobaczyć?

– Poważnie uderzyłeś się w głowę. Padając, zawadziłeś o krawędź stołu i urządzenie do znieczulania. Zrobią ci prześwietlenie, żeby się upewnić, że w środku wszystko jest na tip top. Do tego czasu Naomi się umyje i będzie na ciebie czekać w łóżku z dziećmi.

Świadom, że jego głos brzmi nieco dziwnie, jakby bełkotał pod wpływem alkoholu, John powiedział:

– Słyszałem coś o oddziale intensywnej terapii?

Chirurg przytaknął.

– Dlaczego? – spytał John podejrzliwie.

– W przypadku wcześniaków to nic niezwykłego. Twoja córeczka waży dwa kilo i sześćdziesiąt pięć deko, a chłopiec dwa kilo czterdzieści trzy. To niezła waga jak na bliźniaki urodzone w trzydziestym szóstym tygodniu. Wyglądają na bardzo – wręcz zadziwiająco – zdrowe, oddychają same. Mieliśmy szczęście, że nie ucierpiały z powodu niedotlenienia.

Położnik uśmiechnął się porozumiewawczo do Johna, on zaś zaczął się zastanawiać, czy Holbein wiedział, czy widział artykuł w jednej z angielskich gazet i zapamiętał ich nazwiska i twarze.

Lekarz odwrócił się i zniknął z jego pola widzenia.

– Muszę wracać na salę operacyjną – oznajmił. – Wpadnę pod wieczór sprawdzić, jak się czuje Naomi.

John usłyszał, jak drzwi się zamykają.

– Nie pan pierwszy zemdłał – pocieszyła go Lisa.

– To z powodu brutalności... Nie mogłem uwierzyć...

– Ważne, że pańska żona i dzieci mają się dobrze. To najważniejsze, prawda?

Długo nie odpowiadał. Myślał o tym, że wszystko, co wydarzyło się do tej pory, wydawało się nierzeczywiste. Oczywiście, Naomi cierpiała całymi miesiącami, ale w tym czasie dzieci znajdowały się w niej, dzięki czemu mógł sobie wyobrazić, że pewnego ranka obudzą się i stwierdzą, że jej wielki brzuch zniknął, a wszystko było błędną diagnozą, ciążą urojoną.

Teraz rzeczywistość docierała w końcu do jego obolałego mózgu. Nieodwracalność tego, co się stało. Oto sprowadzili na świat dwie ludzkie istoty, których genami Dettore być może manipulował w sposób, jakiego sobie nie życzyli. Nic nie mogli na to poradzić. Pozostawała modlitwa o to, że dzieci będą zdrowe.

John spojrział na radosną młodą pielęgniarkę i w odpowiedzi na jej pytanie niepewnie skinął głową.

Z pulsującą głową John patrzył przez szybę na Luke'a i Phoebe śpiących na plecach, otulonych w białe kocyki, z rurkami tlenowymi przy twarzach. Dzieci były jeszcze mniejsze, niż się spodziewał, bardziej pomarszczone, bardziej różowe, z rączkami jak małe rozgwiazdy.

Jeszcze piękniejsze.

Całkowicie niewiarygodne!

Gdy tak patrzył przez czysty pleksiglas na maleńkie istotki, kopie Naomi i jego samego, tym mniejsze, że otoczone wyspecjalizowanym sprzętem, wzruszenie zaparło mu dech w piersiach; był bliski łez.

Mimo pomarszczonych twarzyczek dostrzegał podobieństwo. Luke miał wyraźne rysy Naomi. W Phoebe John ujrzał siebie. Logicznie rzecz biorąc, powinno być na odwrót, pomyślał, ale przecież to nie miało znaczenia. Liczyło się tylko jedno, co dobitnie potwierdzały twarze dzieci.

Niezbity dowód, że ich najgorsze obawy okazały się nieuzasadnione. To niewątpliwie były ich dzieci, jego i Naomi.

Zamknął z ulgą oczy. Od wielu miesięcy to był ich największy lęk, pomimo wszystkich zapewnień, jakie John składał żonie.

Teraz stanęli przed innym zmartwieniem: jakie jeszcze błędy mógł popełnić Dettore? Albo jakie celowe modyfikacje genowe wprowadził bez ich wiedzy?

Ale przynajmniej dzieci były zdrowe. Silne. Wręcz zadziwiająco, powiedział położnik.

Myśli Johna powędrowały do Halleya, do przytłaczającej odpowiedzialności, jaką poczuł, gdy chłopczyk przyszedł na

świat. Ileż nadziei wiązał z synem, zanim dowiedział się o tykającej w nim bombie zegarowej. Jeszcze większą odpowiedzialność czuł w związku z bliźniakami, których sprowadzili z Naomi na świat, świadomi podejmowanego ryzyka. Z nadzieją, że Dettore nie zawałił przy tym jednym genie, który najbardziej się liczył.

Phoebe, z zamkniętymi oczkami, uniosła rozgwiadę dłoni, rozcapierzyła paluszki i zamknęła. Po chwili Luke zrobił to samo. Zupełnie jakby do niego machały.

Cześć, tato! Cześć, tato!

– Witajcie na świecie, Luke’u i Phoebe, moje maleństwa. – John uśmiechnął się i wyszeptał: – Jesteście przyszłością waszej mamy i moją. Będziemy kochali was bardziej, niż kiedykolwiek rodzice kochali swoje dzieci.

I znowu dłonie dzieci, najpierw Phoebe, potem Luke’a, uniosły się przez sen, paluszki rozprostowały się i zamknęły.

John wrócił do pokoju Naomi, by czuwać przy niej do chwili, aż rozbudzi się na tyle, by mogli ją zawieźć do dzieci.

39

Górskie powietrze różni się od każdego innego, jakie można znaleźć na tej planecie. W górskim powietrzu nie ma tego całego gówna, które trzeba wdychać gdzie indziej.

W dole, przyjacielu, znajduje się jeden wielki ściek, i nie mam tu na myśli tylko powietrza.

Oczywiście nie zawsze tak było. Pewnego dnia znowu będzie jak dawniej. Będziesz mógł spacerować ulicami miast i wdychać zapach kwiatów.

Powiedz szczerze, kiedy ostatnio czułeś w mieście zapach kwiatów?

Może w parku, ale tylko jeśli był to duży park, a kwiaty wydzielają bardzo intensywną woń. Jeśli tak, to pewnie zostały zmodyfikowane genetycznie.

Na wszystkim musimy położyć łapy, prawda? Posłuchaj: wchodzisz do supermarketu, gdzie mają jagody wielkości jabłek, jabłka wielkości melonów i te pomidory, na pewno wiesz, które mam na myśli, wielkie, zmutowane, ze świńskimi genami, które nadają im barwę i dłużej utrzymują świeżość, ale tego nie przeczytasz na metce.

Posłuchaj, przyjacielu: jeśli zejdiesz z tej góry i ruszysz ściekami dolin i równin, wkroczysz w świat, który może wyda ci się znajomy, ale wierz mi, wcale go nie znasz. Jest, na przykład, ogólnokrajowa sieć barów z burgerami, gdzie do bułek dodają poliester, żeby wyglądały na pulchniejsze. Każą ci jeść poliester, a ty myślisz: pieczywo, które tak świetnie wygląda, musi być dla mnie zdrowe!

Oto jak cyniczni są naukowcy, przyjacielu.

Wiesz, na czym polega nauka? Naukowcy udają, że na wiedzy, ale w istocie chodzi częściowo o władzę i zadawanie śmierci, przede wszystkim jednak o próżność i chciwość. Ludzie nie dokonują wynalazków dla dobra ogółu. Wynalazki mają zaspokoić ich ego.

Nauka uwodzi wszystkich. Wszystkich przywódców światowych, którzy mają nadzieję, że nauka znajdzie lekarstwo na AIDS, zapominając, że to nauka spowodowała pojawienie się tej choroby. Naukowcy wyleczyli dżumę i czarną ospę, ale co to dało ludzkości? Przeludnienie.

Pan ma własne metody radzenia sobie z przeludnieniem. Dzięki Niemu w przyrodzie panowała równowaga, dopóki nie pojawili się naukowcy i wszystkiego nie zaburzyli.

Pomyśl o tym, przyjacielu, gdy znów zejdiesz spacerować po ściekach i poczujesz, jak zatyka cię w płucach. Kto ponosi odpowiedzialność? Bóg czy naukowcy?

Pamiętaj słowa świętego Pawła do Tymoteusza. *O, Tymoteuszu, strzeż depozytu, unikając światowej czczej gadaniny i przeciwstawnych twierdzeń rzekomej wiedzy, jaką obiecując niektórzy odpadli od wiary*².

Tu kończy się Siedemnasty Traktat Czwartego Poziomu Prawa Uczniów Trzeciego Tysiąclecia.

W pomieszczeniu spartańskim jak mnisia cela, wysoko w Górach Skalistych, pięćdziesiąt kilometrów na północ od Denver, młody Uczeń odbywający czterdziestodniowe odosobnienie, siedząc przed komputerem na prostym drewnianym stołku, uczył się na pamięć Traktatów. Powtarzał w głowie słowa, które przysłano mu mailem i które wkrótce miały zostać wykasowane z komputera.

Wszystko należało zapamiętać. Nic nie zapisywać. Reguła Czwarta.

Nazywał się Timon Cort. Rude włosy ostrzygł na jeża. Ubrany był w świeżą koszulkę, szare bawełniane spodnie i sandały; nosił okulary w owalnych oprawkach. Dwa razy dziennie, bez zatrzymywania się, przebiegał trzykilometrową bieżnię do podnóża prywatnej góry i z powrotem. Kolejne dwie godziny dnia poświęcał na wyznaczone ćwiczenia mające utrzymać ciało w sprawności. Zgodnie z instrukcjami, pozostałą część czasu spędzał na nauce, lekturze Biblii, modlitwach i śnie.

Timon czuł się bezgranicznie szczęśliwy.

Po raz pierwszy od dwudziestu dziewięciu lat jego życie miało sens. Był potrzebny. Przyświecał mu cel.

Po zejściu z góry po inicjacyjnym odosobnieniu przejdzie Wielki Rytuał. Jeśli zakończy go pomyślnie, zostanie pełnoprawnym Uczniem. Ożeni się z Larą, kobietą swoich marzeń, o długich ciemnych włosach i skórze jak ciepły jedwab, z którą przed udaniem się na górę spędził jedną noc; tamta noc spędzona z nią w samotności dodawała mu sił, lecz zarazem stanowiła źródło udreki. Czasem, zamiast się modlić, liczył dni do ponownego spotkania z Larą. Potem zawsze modlił się o wybaczenie.

Wielki Rytuał, a potem wieczna miłość Boga wyrażona poprzez Larę. Niełatwo zrozumieć, jak to jest czuć się kochanym i chcianym, jeśli przez całe życie powtarzali ci, że jesteś do niczego. Z ojcem, który cię ignorował, bo twój brat był znacznie bystrzejszy, o wiele lepszy w baseballu, piłce nożnej i w ogóle w życiu. Jeśli matka cię olewała, ponieważ nie wybrałaś żadnej z dróg, jakie sobie dla siebie wymarzyła. Ponieważ przyłapano cię na kradzieży nieistotnych drobiazgów w sklepie. Ponieważ dostałaś sześć miesięcy w zawieszeniu za handlowanie marihuaną.

Ignorowany przez kolegów z klasy, którzy uważali cię za dziwadło, bo byłeś za niski, za słaby fizycznie i nigdy nie miałeś do powiedzenia nic wartościowego. Lekceważony przez nauczycieli, których zdaniem do niczego się nie nadawałeś, więc zamieniali cię w żalosnego jakałę, ilekroć usiłowałeś im pokazać, że nie jesteś tak durny, jak sądzili.

Wszystko to się zmieniło. Uczniowie go kochali. Jezus go kochał. Lara go kochała.

Teraz musiał tylko nauczyć się Czterdziestu Traktatów. Potem zejdzie z góry w celu dokonania Rytuału Przejścia: w imię Boże zabije jakiś szatański pomiot. Nazwisko ofiary zostanie mu podane. To może być jedno dziecko albo cała rodzina. Lub nawet kilka rodzin.

W nagrodę Bóg da mu Larę. Do końca swoich dni będą żyli po prawicy Boga. A potem na wieczność zamieszkają w Domu Bożym.

Dziennik Naomi

John przysięga, że Phoebe wygląda jak on, a Luke jak ja. Przykro mi, ale w ogóle tego nie widzę. Po pięciu tygodniach widzę tylko Tłustą Buzię i Chudą Buzię. Pana Naburmuszonego i Pannę Spokojną. Pana Hałaśliwego i Pannę Cichutką.

Zaczynam myśleć o wszystkich rzeczach, o które powinniśmy byli poprosić Dettorego. Na przykład o gen sprawiający, że dziecko przesypia dwadzieścia cztery godziny na dobę aż do osiągnięcia dorosłości. I w ogóle nie potrzebuje jedzenia.

Jestem wykończona. Odkąd, cztery tygodnie temu, Luke i Phoebe przyjechali do domu, nie miałam czasu na kąpiel! Poważnie! Kiedy John wraca z pracy, szybko biorę prysznic i to wszystko. Nieustannie myję buzie, karmię, przewijam, opróżniam i ładuję pralkę, prasuję. Żeby było jeszcze zabawniej, po przyjeździe do domu Luke dostał kolki i przez tydzień bez przerwy się darł.

Gdy przywieźliśmy bliźniaki ze szpitala, rozplakałam się ze szczęścia. To samo czułam, kiedy pielęgniarka wręczyła nam Halleya i nagle dotarło do nas, że jest naszym dzieckiem! Tylko naszym. Niewiarygodne uczucie.

Mama zamieszkała z nami i pomaga (przynajmniej czasami), Harriet spędziła tu parę dni i okazała się bardzo pomocna. Poza tym przez dom przetaczają się goście. Miło ich widzieć, ale przez to pracy jest jeszcze więcej. Chyba wszystkich fascynuje fenomen bliźniaków, jakby byli jakimiś dziwolągami.

Za tydzień matka Johna przyjedzie ze Szwecji, żeby zobaczyć wnuki. To miła pani, ale z powodu słabnącego wzroku raczej dołoży mi pracy, niż pomoże. Nawet na chwilę nie można jej zostawić samej w obcym domu. Mimo to jest ogromnie podniecona na myśl o zobaczeniu wnuków, niech ją Bóg błogosławi!

Nasze oszczędności, już wcześniej nadszarpnięte, są na wyczerpaniu. Wszystko trzeba kupować podwójnie. Bardzo chciałabym się dołożyć, ale w tej chwili nie mogę myśleć o pracy. Ledwo wlokę się od karmienia do karmienia. Bliźniaki rosną w niewiarygodnym tempie. Pediatra jest zdziwiony, ale mówi, że to dobry znak.

Zdecydowanie zaczynam żałować decyzji o zamieszkaniu na takim odludziu. Chętnie zobaczyłabym coś oprócz owiec, ptaków i drzew kołyszących się na wietrze. Po wyjściu gości przez chwilę czuję spokój, ale potem zaczynam wyczekiwać powrotu Johna.

Ten to ma dobrze! Cały dzień spędza w prawdziwym świecie, rozmawia z kolegami, je z nimi lunch, potem wraca do domu i swoich zabawek – dziątek i żoneczki.

Jedno z nich właśnie płacze. Co oznacza, że drugie za chwilę też włączy syrenę. Karmienie i przewijanie. Karmienie i przewijanie. Strasznie bolą mnie sutki. Czuję się jak dojna krowa. Jak ich służąca. Nie przypominam sobie, by Halley był tak wymagający.

Piszę jak ktoś udręczony. No bo jestem udręczona. Wychowywanie bliźniaków to nie jest dwukrotnie więcej pracy niż przy jednym dziecku. To dziesięć razy więcej pracy.

41

Jej głos, który przebił się przez dźwięki harfy na tle szumu fal, zaskoczył go.

– Na co patrzysz, John? Co próbujesz dostrzec?

Zrobił zdjęcie i zwrócił się do Naomi.

– Phoebe jest teraz miniaturką ciebie!

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie – odparła oschle.

Z zakłopotaniem odwrócił wzrok i rozejrzał się po pokoju. Ładny i wesoły, z wysokim sufitem wspartym belkami oraz wychodzącym na zachód oknem, dzięki któremu nawet w takie posępne dni panowała lekka, przyjemna atmosfera. Sami go urządzili; powiesili zasłony w prążki, ściany ozdobili motywami dżungli.

W ten sobotni poranek John zrezygnował z regularnego tenisa z Carsonem Dicksem, bo widział, jak wykończona jest Naomi, i chciał jej pomóc w weekend, ile tylko zdoła. W odróżnieniu od Naomi jej matka nie była dobrą gospodynią. Prawie nie umiała gotować, a większość urządzeń pozostawiała dla niej tajemnicą.

Pracowała w galerii w Bath i specjalizowała się w lokalnych mało znanych akwarelistach.

Czasami Anne Walters była bardzo skoncentrowana, ale zdarzało się, że przebywała we własnym świecie.

Opuszczając aparat, John objął żonę i przytulił. Przez miękką wełnę swetra wyczuł zebra. W ciągu ostatnich miesięcy Naomi bardzo schudła.

Na dworze drzewa i krzewy kładły się na silnym marcowym wietrze, deszcz bębnił o dach. W oknach falowało powietrze

ogrzone przez kaloryfery. John przytulił Naomi mocniej, opiekuńczo, patrząc jak Luke i Phoebe, otuleni kocykami, śpią w łóżeczkach tuż obok. Z uśmiechem patrzył na niewinne twarzyczki i niemal niewyobrażalnie małe dłonie. Luke zagruchał cicho, a po chwili Phoebe mu zawtórowała.

W pokoju panował słodkawy, mleczny zapach, który John ogromnie polubił. Woń pudru, wypranych ubranek, pościeli, pieluszek i jeszcze jeden przenikający wszystko aromat, który zdawał się pochodzić z ich ciał. Zapachy jego dzieci.

Pielęgniarka, która zaglądała, by sprawdzić stan zdrowia niemowlaków, była bardzo zadowolona z ich przybierania na wadze. Wspaniałe dzieci, mówiła Johnowi i Naomi, piękne, zdrowe i wesołe.

Na razie.

Na razie.

Lęk wisiał jak chmura sięgająca po horyzont jego życia. Kiedy naprawdę nabiorą pewności, że dzieci są zdrowe? Kiedy ujawni się to, co Dettore zrobił lub czego zaniechał? Jakie bomby zegarowe kryły się w bliźniakach?

John wiedział doskonale, że większość rodziców obawia się o swoje dzieci. Wielu żywi te same obawy co on. Ale nikt nie zrobił tego co on i Naomi.

Nad jego głową, uwiązany do belki stropowej, wisiał mobil ze zwierzątkami na karuzeli. Przeciąg delikatnie kołysał zabawką. Nad łóżeczkami rozciągnięto miękkie grzechotki, a w kilku książkach John czytał, że miesięczne dziecko powinno się nauczyć wydobywać z nich odgłosy. Dotychczas bliźniaki nie okazywały żadnego zainteresowania grzechotkami, ale wiedział, że to nic nie znaczy, nie ma powodów do niepokoju. Przynajmniej na razie.

– Wypatrujesz znaków? – spytała zgryźliwie Naomi. – Czekasz, aż na ich czołach pokaże się logo projektanta, które oznajmi światu, że to nie są zwyczajne dzieci?

John spróbował ją pocałować, ale się odsunęła.

– Kochanie, chcę być z nimi tak dużo, jak tylko mogę. Uwielbiam na nich patrzeć, mówić do nich, jak radzą w książkach, robić to samo co z Halleyem. Puszczając im muzykę, bawić się z nimi, kiedy nie śpią, pomagać ci w karmieniu, przewijać. Naprawdę uwielbiam z nimi przebywać!

– Pytałam matkę, czy mówiła do mnie, kiedy spałam w łóżeczku – powiedziała Naomi. – Nie robiła tego, podobnie jak nie puszczała mi muzyki. Jakoś jednak przeżyłam. Pewnie byłam tą, której się udało.

Phoebe poruszyła się, potem Luke drgnął i wyciągnął rączkę. John dotknął jej palcem, a po chwili paluszki Luke’a owinęły się wokół ojcowskiego palca i chwilę go przytrzymały. To było jedno z najbardziej zdumiewających doznań w życiu Johna.

– Widzisz? – szepnął do Naomi.

Z uśmiechem skinęła głową.

Luke trzymał jego palec jeszcze przez chwilę, po czym puścił. John pochylił się i pogłaskał dzieci po buziach, każde jedną dłonią.

– Tata i mama są z wami – powiedział. – Jak się macie, aniołki?

Nagle Phoebe otworzyła oczka, a Luke w tym samym momencie zrobił to samo. Johnowi wydawało się niepojęte to, że zawsze otwierali oczy jednocześnie. Teraz bliźnięta wpatrywały się w ojca.

– Witaj, Luke. Witaj, Phoebe. Witajcie, najdroższe aniołki – mówił, zmieniając pozycję, a obie pary oczu śledziły każdy jego ruch. W kącikach obu usteczek John zobaczył ledwie dostrzegalny uśmiech i odwzajemnił go. Potem nachylił się i trącił sznurek grzechotki Luke’a. Bliźnięta wciąż wpatrywały się w ojca, ale przestały się uśmiechać.

John trącił grzechotkę Phoebe w nadziei, że zachęci córeczkę do dotknięcia zabawki, ona jednak, podobnie jak brat, leżała nieruchomo, wpatrzona w ojca. Potem, jakby znudzone, dzieci jednocześnie zamknęły oczy.

Naomi odwróciła się i wyszła z pokoju. John ruszył za nią i przymknął za sobą drzwi, zostawiając niewielką szparę.

Kiedy jego kroki oddaliły się na schodach, dzieci jednocześnie otworzyły oczy. Tylko na mgnienie, potem zamknęły je znowu.

42

– Gratuluje, John – powiedział Carson Dicks, unosząc kieliszek.
– Za twoje pierwsze miesiące.

John rzadko pił podczas lunchu. Rzadko w ogóle wychodził na lunch; zadowalał się kanapką przy biurku. Dziś jednak Dicks chciał z nim przedyskutować pewne doświadczenie i zawiózł go do pobliskiego pubu.

Carson Dicks, niski, beczułkowaty mężczyzna po pięćdziesiątce, ze zmierzwioną czupryną, zaniedbaną brodą i szklami okularów nieprzeniknionymi jak dna butelek z winem, był żywą karykaturą szalonego profesora.

– Na zdrowie! – odparł John i również uniósł kieliszek. – Dziękuję.

– Skål!

– Skål! – John uśmiechnął się i pociągnął chilijskie sauvignon blanc.

– Więc jak ci się podoba życie w Morley Park?

Z chirurgiczną precyzją John usunął ości z soli.

– Jestem bardzo szczęśliwy. Mam świetny zespół, panuje tu akademicka atmosfera, choć brak polityki.

– Otóż to. Właśnie to mi się podoba. Oczywiście jest trochę polityki, jak wszędzie. Ale tutaj ona nie wadzi. Mimo wielkiej różnorodności wydziałów i dziedzin panuje jedność, wszyscy działają razem, pracują na rzecz wspólnych celów. – Dicks przerwał, by wsunąć do ust smażoną w panierce krewetkę królewską, po czym, żując, kontynuował: – Uprawiamy naukę w celach medycznych, obronnych, a także dla bardziej

nieuchwytnego i, rzecz jasna, dyskusyjnego, wyższego dobra. – Spojrzał porozumiewawczo na Johna.

– A jak definiujesz to wyższe dobro? – spytał John, który nagle poczuł się nieswojo.

Dicks popił jedzenie winem. Kawalek panierki dyndał mu na brodzie, a John patrzył, czekając, aż spadnie.

– Jeszcze o tym nie rozmawialiśmy. Wiele osób czytało tu ten niefortunny wywiad, jakiego udzieliłeś w Stanach. Ale wiesz, jacy są Brytyjczycy... Nie chcą cię wprowadzać w zakłopotanie, poruszając ten temat.

– Czemu nie wspomniałeś o tym wcześniej? – spytał John.

– Czekałem, aż sam to zrobisz. – Dicks wzruszył ramionami. – Szanuję cię jako naukowca. Jestem pewien, że nie zrobiłbyś niczego bez poważnego zastanowienia. – Oderwał kawałek bułki i posmarował masłem. – Poza tym oczywiście dziennikarze musieli wszystko pokręcić. Genetyczne projektowanie dzieci nie jest możliwe, jeszcze nie, prawda? – Dicks wpatrywał się w niego z szerokim uśmiechem, jakby szukał potwierdzenia.

– Absolutnie. Wszystko pokręcili. – John zaśmiał się głucho i sztucznie.

– Jak się mają Luke i Phoebe?

– Wspaniale.

– A Naomi?

– Jest wykończona. Ale cieszy się, że wróciła do Anglii.

Przez pewien czas jedli w milczeniu. Przerwał je w końcu Dicks.

– Jeśli kiedykolwiek będziesz chciał porozmawiać, całkowicie poufnie, zawsze możesz zwrócić się do mnie. Mam nadzieję, że o tym wiesz.

– Doceniam to – odparł John. – Dziękuję.

Dicks znowu sięgnął po kieliszek.

– Pamiętasz słowa Einsteina z lat trzydziestych? Dlaczego nauka przynosi nam tak niewiele szczęścia?

– Udzielił na to odpowiedzi?

– Owszem. Jego zdaniem jest tak, ponieważ jeszcze nie nauczyliśmy się wykorzystywać jej w sensowny sposób. – Dicks raz jeszcze zatopił w nim świdrujące spojrzenie.

John spojrział na jedzenie, potem dotknął kieliszka, bo kusił go, by zalać zakłopotanie alkoholem. Jednak już po pierwszym kieliszku trochę kręciło mu się w głowie, a ślubował sobie nigdy więcej nie popełnić błędu otwierania się przed kimkolwiek, nawet przed Carsonem Dicksem, którego darzył takim zaufaniem.

Przypomniawszy sobie, jak to często czynił, dlaczego podjęli z Naomi taką, a nie inną decyzję. Pomyślał o dwójce pięknych dzieci, które sprowadzili na świat. Dwójce dzieci, które nigdy by się nie urodziły, gdyby nie nauka.

– Einstein mylił się w wielu sprawach – rzucił.
Carson Dicks tylko się uśmiechnął.

43

Chwiejnym krokiem, z rękami w kieszeniach i kurtką zapiętą dla ochrony przed marcowym wiatrem, John szedł z szefem z parkingu do starego trzypiętrowego budynku z czerwonej cegły, znanego pod nazwą B11, gdzie mieścił się Ośrodek Sztucznego Życia. Weszli do obskurnego holu.

Niestety, nie dotrzymał złożonej sobie obietnicy poprzestania na jednym kieliszku; razem z Carsonem opróżnili dwie butelki, potem wypili jeszcze po brandy. Mimo to zdołali przygotować doświadczenie, nad którym John miał pracować przez kolejne trzy miesiące. Nie wiedział, jakim cudem Dicks poradził sobie za kierownicą, ale profesor nigdy nie wylewał za kołnierz, może więc alkohol słabiej na niego działał.

– W przyszły weekend są urodziny Caroline – oznajmił. – W sobotę urządzamy kolacyjkę. Czy ty i Naomi możecie przyjść?

– Brzmi świetnie. Sprawdzę z sekretarką. Dzięki – powiedział John.

Na ścianach z łuszczącą się farbą widniały ogłoszenia dotyczące bezpieczeństwa i zdrowia, żółty symbol promieniowania, plakat informujący o koncercie, ogłoszenie o wyprzedaży rzeczy używanych oraz lista nazwisk osób mających odbyć trzydniowe szkolenie w szwajcarskim ośrodku CERN-u.

Ignorując powolną i zdezelowaną windę, weszli po schodach na trzecie piętro. Na górze Carson Dicks gestem dobrego wujaszka otoczył Johna ramieniem.

– Mówiłem serio, John. Jeśli kiedykolwiek chciałbyś o czymś porozmawiać, wal jak w dym.

– Doceniam to. Solidna z ciebie firma.

– Cieszę się, że mam cię w zespole. W minionym półwieczu za dużo dobrych naukowców wyjechało z Anglii do Stanów. Mamy szczęście, że jednego odzyskaliśmy. – Poklepał Johna, jakby chciał dodać mu otuchy, po czym ruszył do swego gabinetu.

John przeszedł korytarzem do B111-404, długiego pomieszczenia pełnego komputerów; przy siedmiu z nich pracowali członkowie jego zespołu. Większość była tak skupiona, że ledwo zarejestrowała wejście szefa.

W gabinecie zdjął kurtkę i nie trafił nią na wieszak na drzwiach. Ze zdziwieniem patrzył, jak kurtka spada na podłogę.

– Ups – mruknął pod nosem, schylił się i podniósł. W głowie mu się kręciło. Niedobrze. Po południu czekało go sporo pracy; na początek musiał przeanalizować bardzo złożony zbiór algorytmów.

Najpierw jednak zadzwonił do Naomi, co robił kilka razy dziennie.

– Witaj, kochanie. Jak się masz?

Chłodny ton żony powiedział mu, że należało poczekać z telefonem, aż otrzeźwieje.

– Luke właśnie zwymiotował. Phoebe się drze. Słyszysz?

– Mhm.

– Właśnie tak się miewam.

– No tak, w porządku – odparł.

– Co to znaczy: „No tak, w porządku”?

– Ja... Ja tylko chciałem powiedzieć, że postaram się wrócić wcześniej – odparł po namyśle. – Aha, Carson pytał, czy w sobotę moglibyśmy przyjść do nich na kolację. To urodziny Caroline.

...

– Jasne – rzuciła Naomi po długim milczeniu.

Wyczuł w jej głosie wahanie. Wiedział, że przeintelektualizowana żona Carsona stanowi dla Naomi pewien problem.

– Kochanie, myślę, że powinniśmy pójść, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Nie mam.

– Świetnie. No to do zobaczenia koło szóstej.

– Szóstej? Uwierzę, jak cię zobaczę.

– Mówię serio, koch...

Ostre kliknięcie. Rozłączyła się.

Cholera.

John odłożył słuchawkę. Alkohol przestawał działać, zostawiał za to uczucie ociężałości i lekki ból głowy. Chciało mu się spać. Wstał i podszedł do okna. Gabinet nie był duży, ale mieściło się biurko, szafki i książki; starczyło też miejsca dla kilku gości.

Patrząc w dół, widział plac budowy, gdzie wyrastał budynek ze stali i szkła, mający pomieścić największy akcelerator cząstek w Wielkiej Brytanii.

Patrzył, jak dwaj mężczyźni w kaskach mocują dźwigar w obudowie do haka żurawia. Robotnicy. Trutnie. Podklasa genetyczna. Sformułowanie Dettorego wielokrotnie do niego wracało. Czy w przyszłości będzie się hodować ludzi do takich prac fizycznych? Czy Dettore słusznie przewidywał powstanie całej podklasy genetycznej mającej spełniać potrzeby reszty ludzkości? Jak to się działo obecnie? Jak powstawali dzisiejsi robotnicy? Z połączenia marnych genów i słabego wykształcenia? Z przypadku, okoliczności i doboru naturalnego?

Czy celowe tworzenie takich robotników byłoby gorsze? Zdaniem niektórych ludzi, tak. Ale czy rozważanie tego naprawdę było takie straszne? Jak wyglądałby świat, w którym wszystkich szykowano by na specjalistów od rakiet kosmicznych? Czy nie byłoby to nieodpowiedzialne ze strony nauki? Mieć możliwość stworzenia zrównoważonego świata, ale stchórzyć i wybrać łatwe rozwiązanie polegające na uczynieniu wszystkich inteligentnymi? Coś podobnego mogłoby przypaść do gustu idealistom, ale rzeczywistość okazałaby się katastrofalna.

Tylko czy alternatywa byłaby strawna dla kogokolwiek?

Usiadł, zastanawiając się nad kawą. Ale w pubie wypił już dwa espresso. Na początek zajmij się prostszymi rzeczami, nakazał sobie. Niech alkohol wyparuje. Sprawdź maile.

Zerknął na dwadzieścia nowych, które przyszły pod jego nieobecność. W większości nudne maile wydziałowe.

Potem dostrzegł wiadomość z załącznikiem od Kallego Almtorpa.

John, właśnie to odebrałem. Przykro mi, sądziłem, że sprawa przycichła, ale najwyraźniej się myliłem.

Otworzył załącznik. Skan wycinka z dzisiejszego „Washington Post”.

ŚMIERĆ RODZINY Z DZIEĆMI PROJEKTOWANYMI GENETYCZNIE WIĄŻE SIĘ
Z UCZNIAMI TRZECIEGO TYSIĄCLECIA

Przywarł wzrokiem do ekranu i czytał dalej.

Policja filadelfijska poważnie traktuje oświadczenie Uczniów Trzeciego Tysiąclecia, grupy religijnej, która przyznała się do zabójstwa waszyngtońskiego magnata nieruchomości Jacka O'Rourke, jego znanej w wyższych sferach żony Jerry oraz bliźniąt. Wracają mrozące krew w żyłach obrazy morderstw dokonanych na Sharon Tate i jej przyjaciółkach przez bandę Mansona. Okaleczone ciała O'Rourke'ów znaleziono w stojącej na odludziu, wartej dziesięć milionów dolarów willi na terenie ekskluzywnej posiadłości Leithwood w Wirginii. W zeszłym roku ta sama grupa przyjęła odpowiedzialność za śmierć milionera genetyka, doktora Leo Dettorego, a także biznesmena z Florydy Marty'ego Borowitza, jego żony Elaine i bliźniaków. Mimo zakrojonej na wielką skalę ogólnoswiatowej obławy policyjnej dotychczas nie natrafiono na ślad tej grupy.

John dostrzegł ikonkę ze zdjęciem i kliknął. Po chwili na ekranie pojawiła się fotografia dwojga przystojnych ludzi: mężczyzny po trzydziestce i nieco młodszej kobiety. John poznał ich natychmiast.

Ci ludzie przebywali na statku Dettore. Nie sposób było ich z nikim pomylić. Para z basenu na *Serendipity Rose*, która całkowicie ich zignorowała. Para, którą on i Naomi żartobliwie nazwali George'em i Angeliną.

George i Angelina. John usiadł za biurkiem i jak w transie patrzył na dwa zdjęcia pary na ekranie.

Jedno, przesłane przez Kallego, było fotografią ślubną. John O'Rourke w białym smokingu przypominał George'a Clooneya jeszcze bardziej niż na statku. Jego żona Jerry, z kręconymi włosami, w wytwornej białej sukni, nie przypominała tu Angeliny Jolie: chudsza, bardziej zacięta. Oboje wyglądali na ludzi próżnych, podobnie jak na statku, jakby doskonale wiedzieli, jak są piękni i bogaci, zdolni kupić, co tylko zapragną, włącznie z idealnymi dziećmi.

Drugie zdjęcie było zbliżeniem tego, które sam zrobił po kryjomu na pokładzie *Serendipity Rose*: para wylegująca się na leżakach przy basenie. Nie ulegało wątpliwości, że to ci sami ludzie.

Bliźniaki, przeczytał znowu.

Oni też mieli bliźniaki?

Johnowi zaschło w ustach; przełknął z trudem ślinę. Dłoń mu drżała, gdy kliknął na kolejną ikonę i ukazało się zdjęcie podjazdu prowadzącego do luksusowego domu z wysokimi filarami.

Byli uroczymi, dobrymi ludźmi, oddanymi sobie nawzajem, świata niewidzącymi poza dwumiesięcznymi bliźniakami – powiedziała zamieszkała w Scottsville Betty O'Rourke, matka zamordowanego. – Od dawna pragnęli założyć rodzinę, a narodziny pięknych bliźniąt uznali za prawdziwe błogosławieństwo.

Do gabinetu weszła sekretarka z listami do podpisania. John pospiesznie otworzył w komputerze tygodniowy plan zajęć, żeby

ukryć zdjęcia, i szybko złożył podpisy, prawie nie patrząc na listy; chciał, by sekretarka jak najszybciej wyszła, pozwalając mu wrócić do artykułu.

Gdy sekretarka zamknęła za sobą drzwi, przeczytał artykuł do końca, po czym zrobił to jeszcze raz.

John O'Rourke był prawdziwym rekinem, który zbudował miliardowe imperium nieruchomości. Jego żona Jerry pochodziła w prostej linii od pielgrzymów z *Mayflower*. Państwo O'Rourke'owie udzielali się w kołach politycznych Waszyngtonu, wręczyli Barackowi Obamie sowitą dotację, aktywnie zbierali fundusze dla demokratów. John O'Rourke sam miał ambicje polityczne.

Bliźniaki miały na imię Jackson i Chelsey.

Podobnie jak rodzice, zostały okaleczone.

Na ścianach wypisano ich krwią hasła i obsceniczne wyrazy.

Dłońmi tak drżącymi, że z trudem naciskał klawisze telefonu, zadzwonił do żony. Kiedy odebrała, usłyszał w słuchawce krzyk.

– To Phoebe – poskarżyła się Naomi. – Nie przestaje płakać. Nie wiem, co robić, John. Dlaczego ona nie przestaje? Czemu płacze?

– Może powinnaś wezwać lekarza.

– Zobaczę. Czego chcesz?

– Chcę?

– Tak... Dopiero co dzwoniłeś. Teraz dzwonisz znowu.

– Ja... Chciałem sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku, kochanie.

– Nie, nie jest w porządku! – krzyknęła. – Odchodzę od zmysłów! Wygodnie ci siedzieć w tej cholernej pracy?!

– Może mała złapała infekcję albo coś w tym rodzaju – podsunął bez przekonania. – Posłuchaj, czy...

Urwał w pół zdania. Dzwonienie i niepokoje jej było głupotą.

– Chryste! – zawołała Naomi. – Luke znowu wymiotuje. John, niech to szlag, oddzwonię.

Rozłączyła się.

Utkwił wzrok w ekranie komputera i nagle poczuł się potwornie osamotniony.

Po chwili wybrał numer Kallego Almtorpa w Waszyngtonie.

Przyjaciel powiedział mu, że Uczniowie Trzeciego Tysiąclecia są równie nieuchwytni jak przed rokiem, gdy przyjęli odpowiedzialność za śmierć Dettorego. Policja nie zna nazwisk żadnych członków, nie ma też pojęcia, gdzie znajduje się siedziba organizacji.

– Według mnie powinniście zachować czujność – poradził Kalle. – Policja nie wie, czy to prawdziwa organizacja, czy robota świrów kopiujących działania terrorystów. Cała ta historia z genetyką z pewnością wzbudza w ludziach silne emocje. Dobrze, że wyjechałeś ze Stanów, ale radzę ci zachować najwyższe środki bezpieczeństwa. Przyczaj się i trzymaj z dala od prasy.

– Możesz mi wyświadczyć przysługę, Kalle? Niech twoja sekretarka zdobędzie dla mnie numer niejakiej Betty O'Rourke ze Scottsville w Wirginii, dobrze? Muszę z nią jak najszybciej pomówić. Może mieć zastrzeżony numer... Jeśli tak, to pociągnij za sznurki.

Kalle oddzwonił po godzinie. Numer rzeczywiście był zastrzeżony, ale udało się go zdobyć.

Podziękowawszy przyjacielowi, John zadzwonił.

Po pięciu sygnałach w słuchawce rozległ się głos starszej kobiety:

– Słucham?

– Czy mogę mówić z panią Betty O'Rourke?

– Przy telefonie. – Udręczony żalem głos brzmiał nieufnie.

– Pani O'Rourke? Przepraszam, że niepokoję. Nazywam się doktor Klaesson, dzwonię z Anglii.

– Powiedział pan: doktor Gleeson?

– Tak... Ja... Moja żona i ja spotkaliśmy pani syna w zeszłym roku w klinice.

– W klinice? Przepraszam, ale o jakiej klinice pan mówi?

John zawahał się, nie wiedząc, do jakiego stopnia została wtajemniczona.

– Doktora Dettorego. W klinice doktora Dettorego.

– Doktor Dee Torego? – Nazwisko najwyraźniej było jej całkiem obce. – Jest pan dziennikarzem?

– Nie – odparł John, czując się coraz niezręcznie. – Jestem naukowcem. Moja żona i ja znaleźliśmy pani syna. Bardzo nam przykro z powodu smutnych nowin.

– Przepraszam, doktorze Gleeson, ale nie jestem w stanie z nikim rozmawiać.

– To ważne, pani O'Rourke.

– Wobec tego powinien pan raczej rozmawiać z policją, nie ze mną.

– Proszę mi pozwolić zadać tylko jedno pytanie. Czy pani syn planował bliźniaki? – Zdając sobie sprawę, jak kulawo sformułował pytanie, próbował uratować sytuację. – Chciałem powiedzieć...

– Skąd pan ma ten numer, doktorze Gleeson?

– To może mieć znaczenie w wyjaśnieniu tego, co się stało. Rozumiem, że teraz trudno jest pani rozmawiać, ale proszę mi uwierzyć...

– Rozłączam się. Do widzenia, doktorze Gleeson.

Połączenie zostało przerwane.

Niech to szlag!

John wpatrywał się w słuchawkę. Po jakimś czasie zadzwonił ponownie, ale numer był zajęty.

Przez następne pół godziny raz po raz dzwonił do pani O'Rourke. Numer pozostawał zajęty.

W końcu skapitulował. Wyjął z szuflady biurka grubą i ciężką książkę telefoniczną i otworzył ją na dziale Agencji Ochrony i Alarmy.

45

John jechał saabem wiejską drogą, słuchając z radia Chopina. Dwudziesta. Łomoczące wycieraczki pozostawiały na szybie matową warstwę mżawki. Z ciemności wyskoczyły na niego przednie światła, potem zmieniły się w czerwone tylne w lusterku i zniknęły w dali. Ciemność przed nim, ciemność za nim.

Ciemność zalegała także w jego sercu.

Utrzymywał równą prędkość stu kilometrów na godzinę; przednie światła wydobywały z mroku znajome punkty orientacyjne. Po omacku polował w głowie na myśli, próbując je uchwycić.

Przeprowadzili się tu z Ameryki. Czy kolejna przeprowadzka miała sens? A jeśli tak, to dokąd? Do Szwecji? Czy tam byliby choć trochę bardziej bezpieczni, czy znaleźliby się poza zasięgiem tych szaleńców? Ileś lat temu na ruchliwej ulicy zastrzelono premiera Szwecji. Gdzie na tym świecie człowiek mógł czuć, że nie zagrażają mu fanatycy?

John minął jasno oświetlony pub po prawej, potem szyld sklepu z artykułami rolniczymi, a następnie długi odcinek ciemnej drogi z żywopłotami po obu stronach. Za dwa tygodnie przesuną zegary do przodu. Wiosna zacznie się na dobre. Będzie wracał do domu w dziennym świetle. A dzieńne światło chroni lepiej niż mrok, prawda?

Rozdzwoniła się komórka. Zerknąwszy na ekran, zobaczył, że to Naomi.

– Witaj, kochanie – powiedział. – Już dojeżdżam. Za pięć minut będę.

– Jest tak późno. Martwiłam się o ciebie. – Miała dziwny, bardzo napięty głos.

– Przepraszam. Parę razy próbowałam się dodzwonić, ale rozmawiałaś.

– Obiecałeś, że wrócisz o szóstej.

– Utknąłem na zebraniu wydzia...

Połączenie się zerwało.

John zaklął pod nosem. W tej okolicy zawsze był marny zasięg. Bezskutecznie próbował dodzwonić się do żony. Po kilku minutach ujrzał światła stacji benzynowej i zjechał na nią.

Asortyment kwiatów okazał się kiepski. Najlepszy był bukiet czerwonych róż w celofanie. John kupił go i ruszył dalej. Pięć minut później skręcił z szosy w wąską drogę do wioski.

Caibourne, bardziej osada niż wioska, leżała szesnaście kilometrów na wschód od Brighton i sześć od Lewes, historycznej stolicy hrabstwa Sussex. Pub odwiedzali raczej miejscowi niż turyści, dach kościoła wymagał poważnego remontu, maleńka poczta pełniła też funkcję sklepu; działała prężna szkoła podstawowa oraz klub tenisowy z jednym kortem. Lokalna społeczność składała się głównie z pracowników rolnych i ludzi zatrudnionych w pobliskim szacownym Caibourne Place i mieszkających w domach należących do posiadłości.

Minął szereg domów pracowniczych, szkołę i kościół. Dwa kilometry za osadą skręcił w wąską polną drogę wiodącą do ich domu. Przed samochodem czmychnął zając, John zahamował gwałtownie, ale zwierzę ponownie wbiegło na drogę, kilka metrów biegło przed siebie, wreszcie dało susa w dziurę w ogrodzeniu i uciekło na zaorane pole. Poza obrębem przednich świateł panowała nieprzenikniona ciemność.

Morderstwa.

Okaleczeni.

Druga para, którą to spotkało.

W internecie znajdowała się masa informacji o Dettorem, ale szczególnie niepokoił blog osoby podającej się za dawnego

pracownika kliniki. Bóg jeden wie, jakie tajemnice wyciekły stamtąd do wiadomości publicznej.

Jeżeli ta organizacja, sekta, banda świrów, kimkolwiek byli, przejęła klinikę Dettorego, jeśli dysponowali informacjami niezbędnymi do znalezienia George'a i Angeliny oraz Borowitzów, to niemal na pewno mogli też znaleźć wszystkich innych.

John skręcił ostro w prawo i kilkaset metrów przed sobą ujrzał światła domu. Minąwszy ogrodzenie pastwiska, wyjechał na żwirowy podjazd i zaparkował obok subaru żony.

Gdy wysiadał, drzwi się otworzyły i w progu stanęła pobladła Naomi. John wziął z tylnego siedzenia torbę z laptopem i kwiaty, zatrzasnął drzwi samochodu i podszedł do żony. Nie zwracając uwagi na róże, objęła go i mocno przytuliła.

– Przepraszam – powiedział. – Próbowałem się do ciebie dodzwonić, ale...

Miała wilgotną twarz i oczy zaczerwienione od płaczu.

– Co się stało, kochanie? – spytał, choć wszystko mógł wyczytać z jej twarzy.

Weszli do środka. Naomi zamknęła drzwi, przekręciła klucz, założyła łańcuch.

– Dzwoniła Lori z Los Angeles.

Z telewizora w kuchni dobiegł śmiech. John położył torbę na podłodze, zrzucił płaszcz i powiesił na mahoniowym wiktoriańskim wieszaku. W domu przyjemnie pachniało mięsem.

– Jak oni się mają? Jak Irwin?

Naomi bez słowa spojrzała na kwiaty.

Oboje przeszli przez kuchnię. Na podłodze stał kojec, obok wały się zabawki. Na stole John dostrzegł do połowy opróżnioną butelkę czerwonego wina i kieliszek z niewielką ilością na dnie.

– Jak Luke? Dzwoniłaś do lekarza?

– Jutro jestem umówiona na wizytę. Lekarz mówił, że pewnie nie ma powodu do obaw, ale gdyby jutro rano Luke nadal źle się

czuł, mam go przywieźć.

– Wciąż wymiotuje?

– Przestał.

Włożyła kwiaty do zlewu i puściła wodę.

– Dziękuję, są piękne. Kiedy zaczęliśmy się spotykać, stale kupowałeś mi kwiaty. Pamiętasz?

– Naprawdę? – spytał z nagłym poczuciem winy.

– Tak.

Podszedł do elektronicznej niani i zaczął nasłuchiwać. Cisza.

– Śpią?

– Chyba tak.

– Tylko szybko na nie spojrzę. – Stąpając najciszej, jak umiał, wbiegł na schody, poszedł do pokoju dzieci i delikatnie pchnął drzwi. Bliźniaki smacznie spały; Luke z kciukiem w buzi, Phoebe z zaciśniętymi piąstkami i strużką śliny spływającą po brodzie.

John posłał im po całusie i wrócił na dół do kuchni.

Naomi dołała sobie wina. Gdy odwróciła się do męża, w jej szeroko rozwartych oczach był strach.

– Lori mówiła, że prasa trąbi o kolejnym zabójstwie. Następna para, która odwiedziła Dettorego i miała bliźniaki, tak jak my, John.

– Dzwonił Kalle – wyznał. – Mówił mi o tym. Właśnie to chciałem ci powiedzieć przez telefon.

– Czy on ma pomysł, co powinniśmy zrobić? – spytała, podchodząc do okna.

– Radził zachować czujność.

Uzmysłowił sobie, że potrzebuje się napić, więc wyjął z lodówki nienapoczętą butelkę białego wina.

– Musimy zainstalować alarm połączony z policją. Zamontować światła zapalające się, kiedy ktoś zbliży się do domu. Zamki w oknach, tego rodzaju rzeczy. Kalle mówił też, że może powinniśmy sobie sprawić psa obronnego. Poza tym... – Zawahał się.

– Tak? – ponagliła Naomi.

– Uważa, że powinniśmy mieć w domu broń.

– To jest Anglia, John, nie Ameryka.

– Pomyślałem, że wystąpię o pozwolenie na broń. Może się przydać na króliki. – Wyciągnął korek.

– Jesteś zbyt roztargniony. Nie podoba mi się pomysł trzymania broni w domu, zwłaszcza przy małych dzieciach. Może pies, kiedy trochę podrosną... wtedy możemy sobie sprawić psa obronnego.

Kiedy trochę podrosną. Słowa Naomi odbiły się echem w jego głowie. *Kiedy trochę podrosną.* Było w nich coś niewinnego, niemal dziecinnego. Przecież zarżnięto dwie rodziny. Banda szaleńców grasowała gdzieś w mroku nocy, może w Ameryce, może nawet w Sussex. Nie mogli czekać, aż Luke i Phoebe trochę podrosną!

– Na jutro rano wziąłem wolne – powiedział. – Przyjdą przedstawiciele kilku firm ochroniarskich, żeby udzielić rad i podać ceny. – Dolał sobie wina.

– Dobrze, zrobmy to. – Naomi skinęła głową. – Przepraszam, że zrobiłam ci scenę z powodu dzieci i twojego telefonu. Chcę tu zostać, John. Chcę, żebyśmy zapuścili korzenie w Anglii. Nie możemy stale uciekać, kryć się.

– To samo myślałem w drodze do domu. – Pocałował ją.

– Złapią ich. Nikomu nie upiecze się coś takiego, prawda?

Mimo to uchodziło im to na sucho ponad rok, pomyślał John. Włos nie spadł im z głowy. Nic podobnego nie powiedział jednak Naomi. Objął ją i mocno przytulił.

– Pewnie – odparł. – Kalle mówił, że FBI mocno się w to zaangażowało. Złapią ich.

Naomi spojrzała na niego z całkowitą ufnością.

– Tak powiedział?

– Tak – skłamał John.

– Kalle to dobry człowiek.

– Owszem.

Przytuliwszy ją jeszcze mocniej, potarł ustami jej ucho i szepnął:

– Luke i Phoebe śpią. Może wykorzystamy okazję?

Wzięła go za rękę i zaprowadziła do łóżka.

46

Ciszę nocy rozdarł wrzask udręki. Naomi zadrżała. Rozbudzona, zbyt rozbudzona, leżała z szeroko otwartymi oczami, z gonitwą myśli w głowie. Pokój spowijało ulotne światło księżycy sączące się między rozsuniętymi zasłonami, których nigdy nie chciało się im zaciągać, ponieważ nie mieli sąsiadów.

– Lis dopadł zająca – powiedział cicho John, objął żonę i przyciągnął.

– W życiu nie słyszałam bardziej upiornego odgłosu.

– To tylko natura w akcji.

Przekręciła się na bok i spojrzała na męża. Kolejny wybuch wrzasków, długi pisk, wreszcie cisza.

– Ty badasz naturę w pracy – powiedziała. – Symulujesz ją w programach komputerowych. Czy w twoich komputerach wrzeszczą zające?

– Nie – przyznał z uśmiechem.

– Dobry z ciebie człowiek – stwierdziła, całując go. – Jestem pewna, że nie skrzywdziłbyś nawet wirtualnego zająca. Nie chcę, żebyś kupował broń. Nie chcę, żebyśmy żyli w atmosferze strachu, jak oblężeni. Nie wolno nam zapominać o tym, dlaczego zrobiliśmy to, cośmy zrobili, John. Nie zrobiliśmy nic złego czy niemoralnego, nic, czego należy się wstydzić, prawda?

– Prawda – odparł cicho.

– Boję się. Od wiadomości o śmierci Dettorego nie było dnia, żebym się nie bała. Mam koszmarne sny, budzę się wykończona i nie wiem, gdzie jestem, ale czasem, gdy do pokoju wpada słońce, śpiewają ptaki albo po prostu ty oddychasz obok, przychodzą błogosławione chwile bez koszmarów, rzadkie

momenty prywatnego bezchmurnego nieba i spokoju. Po chwili wszystko wraca i myślę... myślę, że na drodze stoi samochód z uzbrojonymi w noże i broń palną fanatykami religijnymi, którzy w sercach nie mają nawet nienawiści, tylko swego rodzaju głęboki spokój, bo wiedzą, że robią to, co należy, wypełniają wolę bożą. Czy to budzi twój strach, John?

– Myślę o tym bez przerwy.

– Nadal uważasz, że człowiek powinien panować nad naturą?

– Owszem. Nie widzę powodu, żeby zmienić zdanie.

– Czy kochasz Luke'a i Phoebe tak bardzo jak... – zaczęła po dłuższej chwili, ale urwała.

– Jak co?

– Nieważne.

– Oczywiście. – Pogłaskał ją czule. – Kocham ich niewiarygodnie. Nie wiedziałem, że jestem zdolny do takiej miłości. Ja...

– Gdybyś musiał wybierać między ocaleniem mnie albo ich, kogo byś ocalił?

– Nigdy do tego nie dojdzie.

– Ale założmy – głos Naomi stał się odrobinę bardziej natarczywy – że jednak by do tego doszło... Kogo byś uratował? Luke'a i Phoebe czy mnie?

Pytanie zaskoczyło go, więc zastanawiał się dłuższą chwilę.

– Kogo? – ponagliła.

– Ciebie – odparł. – Ocaliłbym ciebie.

– Dlaczego?

– Ponieważ gdyby coś im się stało, moglibyśmy mieć jeszcze dzieci. A ciebie nikt by nie zastąpił.

– To piękne słowa. – Pocałowała go. – Mówisz serio?

– Tak.

– Dobrze. Pozwól, że zadam ci inne pytanie. Gdybyś musiał wybierać między ocaleniem ich a siebie, kogo byś wybrał?

– Ich – odpowiedział niemal bez wahania.

– Czyli naprawdę ich kochasz – powiedziała z ulgą. Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie.

- Czemu w to wątpisz?
- Czasami zastanawiam się, czy gdybyś mógł cofnąć czas...
- Nigdy. – Wzruszył ramionami. – Dobra, nie udzieliłbym tego cholernego wywiadu. Ale...
- Udałbyś się do Dettorego?
- Tak. A ty?
- Tak.
- Kochanie – powiedział John. – Na przestrzeni całej historii ludzkości byli tacy, którzy próbowali rzucać wyzwanie przyjętym poglądom i byli prześladowani. Nie wszyscy mieli rację, ale gdyby nikt nie próbował... hm... ludzkość nie dokonałaby zbyt dużego postępu. Może w ogóle nie przetrwalibyśmy tak długo, a już na pewno żylibyśmy w jakiejś mrocznej epoce.
- A nie żyjemy w mrocznej epoce? – spytała Naomi. – Fakt, że ci ludzie, Uczniowie Trzeciego Tysiąclecia, mogą swobodnie działać i wierzą, że mają prawo zabijać ludzi za przekonania... Według mnie, to oznacza, że tak zwana cywilizacja jest tylko bardzo cienką powłoką.
- Właśnie to usiłujemy zmienić. Po to udaliśmy się do Dettorego.
- Naprawdę? Sądziłam, że udaliśmy się do niego, żeby mieć dziecko, które w czwartym roku życia nie umrze na chorobę dziedziczną. Czyżby chodziło o coś innego? O coś, czego mi nie powiedziałaś?
- Absolutnie nie. Mówię ci o wszystkim.
- Naomi długo milczała
- Powiedziałbyś mi, gdyby... – odezwała się w końcu.
- Gdyby co?
- Gdybyście razem z Dettorem omawiali jakąś sprawę związaną z dziećmi.
- Co masz na myśli przez „jakąś sprawę”?
- Te wszystkie opcje, które nam przedstawił. Rubryki, które musieliśmy wypełnić. Nigdy bym się nie dowiedziała, jeśli postanowilibyście zrobić coś za moimi plecami.

– Wykluczone – zapewnił John. – Za żadne skarby bym tego nie zrobił, kochanie. Nie ufasz mi?

– Naturalnie, że ci ufam. Chodzi o Dettorego. Stale patrzę na Luke’a i Phoebe i zastanawiam się, co w sobie noszą, jakie niespodzianki nas czekają. Świetnie by było móc odczytać ich cały genom. Wtedy przynajmniej byśmy wiedzieli.

– A co byś zrobiła, gdybyś odkryła coś, co by ci się nie spodobało.

Naomi nie wiedziała, co odpowiedzieć.

47

Tu na dole, w ciemnym ścieku, jest tylko jedno światło, przyjaciele. Jego światło. On ukazuje drogę tym, którzy podążają, a jeśli postanowisz za Nim nie podążać, to twój wybór.

Jesteś potępiony.

Biada tym, którzy zło nazywają dobrem, a dobro złem, którzy zamieniają ciemności na światło, a światło na ciemności, którzy przemieniają gorycz na słodycz, a słodycz na gorycz!
[3](#).

Przyjaciele, mam wasze imiona spisane na papierze. Mam je zapisane w pamięci komputera i w głowie. Dzisiaj jesteście wszędzie, napawacie się i puszcycie dumnie. Ale wasze dni są policzone, przyjaciele. Nie tylko tu, na ziemi. Nie bójcie się mnie, który mogę zabić wasze ciała, ale nie mogę zabić waszej duszy. Bójcie się raczej Boga, który może unicestwić w Piekle wasze ciała i dusze.

Jak wam się podoba w Piekle, państwo O'Rourke'owie, z waszym obmierzłym pomiotem, Jacksonem i Chelsey? Zaczęliście już pokutę? Nie przejmujcie się, macie mnóstwo czasu, całą wieczność. Wszystko, co dzieje się na tym świecie, dzieje się wtedy, gdy Bóg tak postanowi. Was wybrał w pierwszej kolejności, państwo O'Rourke'owie. Wkrótce dołączą do was inni.

Uczeń siedział na twardym drewnianym krześle w mrocznej klasztornej celi i wyglądał przez okno na otoczony murem przykuchenny ogród w dole. Z zaoranej ziemi wychylały się małe zielone pędy. Jakiś czas temu posadził tam pomidory, brokuły, cukinie, sałatę, ziemniaki. Organiczne. Prawdziwe warzywa. Nie jak to gówno z supermarketu. Nie jak to gówno rosnące na polach pszenicy za klasztorными murami. Można bez trudu odróżnić pola z prawdziwą pszenicą od tych, gdzie posiał ją Diabeł. Prawdziwa pszenica złoci się w słońcu, ma bowiem Boże błogosławieństwo. Ta modyfikowana genetycznie jest brunatna; zawstydzona, wzrasta bowiem w wiecznym cieniu.

W cichym, ciepłym powietrzu poranka rozległ się ostry stukot. Wezwanie do modlitwy. Uczeń wstał posłusznie i zakrył głowę czarnym zawojem.

Opat wyznaczył mu funkcję pomocnika Mistrza Gości. Te obowiązki nie kłóciły się z jego myślami i planami. Tu, na odludziu stanu Iowa, odwiedzało ich niewielu pielgrzymów. Klasztorne obowiązki były niczym w porównaniu z powinnościami wobec Boga.

Musiał ukończyć Wielki Rytuał.
I otrzymać Boże błogosławieństwo.

Patrzę na imiona na mojej liście i widzę was wszystkich. Czytam wasze imiona i widzę w umyśle wasze twarze. Widzę wasze domy. Widzę wasze dzieci. Bóg ani na chwilę nie pozwala, bym przestał myśleć kolejno o was wszystkich.

Widzę na liście pańskie nazwisko, doktorze Klaesson. Doktor John Klaesson i pani Naomi Klaesson z Los Angeles w Kalifornii. Myślę o was w tej chwili i zastanawiam się, jak się czujecie? Już musieliście się rozmnożyć. Jak się ma wasz pomiot, państwo Klaessonowie?

Co czujecie w związku z tym, co zrobiliście?

Jesteście dumni? A może przejrzelście na oczy i ogarnęło was obrzydzenie?

Nie musicie się tym długo przejmować. Wkrótce uwolnię was z okowów winy.

I oddam w ręce Boga. Który nie będzie tak miłosierny jak ja.

Timon Cort zszedł po kamiennych schodach, minął okolony murem dziedziniec, przeciął mały trawnik, przeszedł obok fontanny i dołączył do rzędu poważnych braci pod drzwiami kaplicy.

Gdy zagłębił się w słodką woń kadzideł, spowiło go złociste światło z kościelnej nawy. Znak.

Podczas modlitwy Bóg potwierdził swój znak. Mówił mu, że nadszedł czas, by uczynić kolejny krok Wielkiego Rytuału.

Dziennik Naomi

Od dziś mam nową przyjaciółkę! Nazywa się Sandra Taylor. Przyjechała (zielonym range roverem, bo czym innym miała przyjechać?), żeby spytać, czy chcę zaprenumerować gazetę parafialną Caibourne, Firle i Glynde. Prenumerata kosztuje trzy funty rocznie. Okazja! Sandra ma troje małych dzieci, w tym jedno ośmiomiesięczne – w wieku Luke’a i Phoebe. We wsi działa grupa matek małych dzieci, spotykają się co środę. Pójdę sprawdzić.

Dzisiaj mama została z dziećmi, a ja wybrałam się na poszukiwanie wózka. Nie zdawałam sobie sprawy, że jest aż tyle różnych modeli wózków dla bliźniaków. Sprzedawca namawiał mnie na taki, w którym dzieci siedzą obok siebie; wyjaśniał, że dzięki temu każde może widzieć tyle samo. Wózek ma krótszą podstawę, co pozwala brać ostrzejsze zakręty. Trzeba jednak wziąć pod uwagę szerokość alejek w supermarketach...

Ogromnie się niepokoję. Po pierwsze, martwię się śmiercią łóżeczkową; kiedy śpią, nieustannie nasłuchuję odgłosów z dziecięcych głośników. W nocy budzę się przerażona tym, że nie słyszę, jak oddychają.

Po drugie, martwię się tym, że Luke i Phoebe rzadziej domagają się karmienia, niż piszą w książkach i niż mówi Megan, pielęgniarka środowiskowa. Także pediatra uważa, że to dziwne, ale zapewnia, że bliźniaki wyglądają całkiem zdrowo. Twierdzi, że są bardzo duże jak na swój wiek. Pamiętam, jak Dettore mówił, że

dzieci będą rosły i dojrzewały szybciej niż normalne, więc przesadnie się tym nie przejmuję.

Radzono nam, żebyśmy nadali im odrębne tożsamości, nie nazywali ich bliźniakami, a na pierwsze urodziny, które się zbliżają, dopilnować, żeby każde miało własny tort i prezenty.

Myślę o tym, jak dziwnie zmieniają się perspektywy. Wiem, że powinnam być wdzięczna za dwójkę zdrowych, uroczych dzieci. Jakże prawdziwe jest powiedzenie o tym, że trawa po drugiej stronie płotu zawsze wydaje się bardziej zielona. Mam wrażenie, że od opuszczenia Los Angeles upłynął milion lat. Milion lat temu żyłam.

49

O wpół do ósmej, stojąc przy oknie, Naomi patrzyła, jak John odjeżdża. Gdy dotarł do ogrodzenia pastwiska, ujrzała, jak zapalają się światła stopu, potem samochód z łoskotem potoczył się dalej. Środa.

Dzień spotkań młodych matek. Radość! W sumie tak.

Cotygodniowe atrakcje Naomi były dość skromne. Na środowych spotkaniach odbywających się w jednym z domów we wsi, na które zaczęła chodzić z Lukiem i Phoebe, spotykała inne matki i słuchała ploteczek. Czasem odwiedzały ją przyjaciółki lub matka. Herbata z pielęgniarzką środowiskową. W piątek rano przyjeżdżał Ron, Najmarniejszy Ogrodnik Świata, którego dostali w pakiecie razem z domem. Większość przedpołudnia spędzał na majsterkowaniu w garażu, po czym odjeżdżał. Był po siedemdziesiątce i nie mógł kopać w ogrodzie z powodu chorych pleców. Z tego samego powodu nie mógł kosić trawy. Nie dało się z nim rozmawiać i śmierdział jak stara wilgotna kanapa. Naomi zasugerowała agencji, by go wymienić. Agencja napisała do właściciela domu przebywającego w Arabii Saudyjskiej i czekała na odpowiedź.

Tok myślowy Naomi przerwała Phoebe tłukąca łyżką w talerz; po chwili Luke zaczął wrzeszczeć, zagłuszając melodię telewizyjnego poranka. Cisnął miskę na podłogę, rozchlapując zupkę mleczną po całej kuchni.

Naomi przygryzła z wściekłością wargę i spojrzała na bałagan. Oprócz pieluch, prześcieradeł, prania i codziennych obowiązków domowych musiała teraz zmywać tę cholerną zupkę z podłogi i ścian.

Miała ochotę wydrzeć się na dzieci. Znalazła gryzaczek i spróbowała wsunąć go Luke'owi do ust, odepchnął go jednak i zaczął krzyczeć jeszcze głośniej. Phoebe cisnęła łyżkę na podłogę i zawtórowała bratu.

Naomi chwyciła pilota i włączyła maksymalną głośność.

– Słucham tego wywiadu! – zawołała do dzieci buntowniczym tonem. – Lubię tego faceta, rozumiecie? To jeden z moich ulubionych aktorów. Chwila dla mamusi, dobrze?

Wypierając ze świadomości wrzaski dzieci, stanęła przed telewizorem i obejrzała cały wywiad; od kakofonii krzyków dzwoniło jej w uszach.

W końcu ściszyła telewizor, odwróciła się i ujrzała ze zdumieniem, że dzieci patrzą na nią w zupełnym milczeniu, z otwartymi buziami i szeroko otwartymi oczami.

– Świetnie. Czyli wiemy już, kto tutaj rządzi – powiedziała, pocałowała je, dała Luke'owi nową miskę i nakarmiła go. Bez sprzeciwu zjadł całe śniadanie. Dobrze. Aż za dobrze.

– Znakomicie – pochwaliła dzieci Naomi.

– Zjadłaś samodzielnie! Grzeczna dziewczynka! – powiedziała, wycierając zupkę z buzi Phoebe.

Jakby w synchronizacji z bratem, dziewczynka przez chwilę patrzyła na matkę pustym wzrokiem. Potem bliźniaki się uśmiechnęły.

Nadal milczały, gdy je podniosła i położyła na podłodze w łazience, żeby wziąć prysznic. Zazwyczaj, zanim skończyła, dwie główki zaglądały zza zasłony. Dziś jednak dzieci leżały nieruchomo tam, gdzie je położyła.

Gdy wróciła do kuchni i włożyła do pralki pierwszą partię, wciąż milczały. Zazwyczaj się kotłowały; czasem Luke włączył na Phoebe i przygwaździł ją do podłogi, czasem ona jego. Ale dzisiaj nic.

Naomi poczuła się trochę nieswojo.

O dziewiątej trzydzieści przewinęła dzieci, nakarmiła je w łóżku i na trochę przysnęła. Kiedy się obudziła, bliźniaki wpatrywały się w nią w milczeniu.

Naomi zaniósła dzieci do ich sypialni, umościła w łóżeczkach i zeszła do kuchni. Po przerwaniu prania do suszarki zrobiła sobie herbatę, posłuchała odgłosów z elektronicznej niani, żeby sprawdzić, jak dzieci oddychają, wreszcie usadowiła się przy kuchennym stole, by przeczytać „Daily Mail”. Przy odrobinie szczęścia mogła liczyć na całą boską godzinę dla siebie.

Wkrótce po zatrzymaniu się suszarki usłyszała, jak bliźniaki nawołują się z łóżeczek, jakby się w coś bawiły. Najpierw Luke gulgotał, co Phoebe witała chichotem, potem ona gaworzyła, a on reagował podobnymi chichotami.

Naomi weszła na górę. Czas je nakarmić i ubrać na spotkanie we wsi. Wchodząc do pokoju, spodziewała się, że wciąż będą hałasować, ale przywitało ją całkowite milczenie. Bliźniaki wpatrywały się w nią tak jak w kuchni, tylko z jeszcze większą intensywnością.

Zatrzymała się i przeszedł ją dreszcz. Przez chwilę czuła się tak, jakby to ona była niemowlęciem, a bliźniaki jej rodzicami.

50

Kiedy Naomi otworzyła drzwi, wyraz jej twarzy zaniepokoił Johna. Była blada i wyraźnie spięta.

– Dzieci w porządku?

– Tak. Śpią na górze.

– Jak było na spotkaniu?

– Żenująco.

Z głośnika dobiegło gaworzenie jednego dziecka, potem drugiego, jak odpowiedź.

– Żenująco?

– Tak, John. Czuję się zażenowana moimi dziećmi, naszymi dziećmi, naszymi cudownymi dziećmi zaprojektowanymi genetycznie.

Przytknął palec do ust.

– Co to ma niby znaczyć? – spytała. – Ściany mają uszy?

– Ustaliliśmy, że nigdy nie będziemy tego mówić. Mówienie tego w ich obecności jest niebezpieczne. Mogą zacząć to powtarzać, jak dorosną.

– Na miłość boską, czy są granice twojej paranoi?!

– Paranoi? – Spojrzał na żonę zaskoczony. Pomyślał o śmierci Dettorego, o całej rodzinie Borowitzów, o O'Rourke'ach. Oto moja paranoja, myślał. Nie możemy sobie pozwolić na rezygnację z paranoi. Naprawdę nie możemy.

Nigdy.

Przez chwilę wsłuchiwał się w elektroniczną nianię.

– Nie słyszę muzyki. Nie puszczasz im muzyki?

– Zgadza się. Nie puszczam im muzyki. Jestem na to zbyt wykończona. Może pójdziesz na górę i puścisz im muzykę. Może

sprowadzisz tu całą Londyńską Orkiestrę Symfoniczną, żeby im grała?

– Kochanie, najdroższa...

– Według mnie, puszczenie muzyki, całego tego gówna w stylu New Age, nie przynosi dzieciom nic dobrego. Ty chyba myślisz, że Luke'a i Phoebe można hodować jak cukinie w szklarni. Wystarczy posypać je muzyką i słowami, a wyskoczą z łóżek, wpadną do naszego pokoju i wyrecytują z pamięci *Republikę Platona*.

John ruszył do kuchni, bo musiał się napić. Wiedział, że Naomi przechodzi trudny okres, ale to się zmieni. Praca szła dobrze, zaczynali spłacać dług matce i siostrze Naomi, choć obie zarzekały się, że wcale nie muszą tego robić. Wkrótce będą mogli zatrudnić opiekunkę – jego matka już zaproponowała córkę przyjaciółki – choć chwilowo był to jeszcze zbyt duży wydatek. Poza tym Naomi stanowczo twierdziła, że nie chce nikogo do pomocy.

Wyjął z zamrażalnika tackę z lodem i wrzucił sześć kostek do miksera, który zeszłego wieczoru zostawili przy suszarce.

– Co takiego żenującego wydarzyło się na tym spotkaniu?

– Ach, to? – Naomi udała obojętny ton. – Wygląda na to, że nasz przyjaciel Leo Dettore przeoczył gen podstawowych zachowań społecznych.

– Były niegrzeczne?

– Nawet nie to. – Pokręciła głową. – Chodzi o to, jak reagowały, czy raczej o brak reakcji. Luke i Phoebe całkowicie ignorowały pozostałe dzieci, zresztą wszystkie bardzo słodkie. Działo się przy tym coś dziwnego. Kiedy podchodziło jedno z dzieci, bliźniaki patrzyły na nie zimno, a dziecko wybuchowało płaczem.

– One mają dziewięć miesięcy, kochanie. To o wiele za wcześnie, by oczekiwać po nich zachowań społecznych. Sądziłem, że idea tych spotkań polega na tym, żeby mamy mogły odetchnąć, żebyś mogła spotkać inne kobiety, wejść w społeczność.

– One doprowadzały inne dzieci do płaczu, John. Częścią problemu jest to, że Luke i Phoebe są znacznie większe od reszty.

– Dzieci zawsze płaczą... – Zawahał się, biorąc z suszarki kieliszek. Potem, wyjmując z lodówki oliwki, dodał: – Wydawało mi się, że w zeszłym tygodniu poradziły sobie dobrze.

– Owszem, w tym sensie, że zupełnie nic nie robiły. Myślałam, że może są onieśmiałe.

– A co z innymi dziećmi? Bawiły się razem?

– Niezupełnie. Ale reagowały na siebie nawzajem. Za to wcale nie reagowały na Luke'a i Phoebe. Wyglądało to tak, jakby zaczęły się ich bać.

– Raczej czuły się dezorientowane, bo ich jest dwoje. Naomi, nie możesz oczekiwać interakcji w tym wieku. Jezu, a mnie zarzucasz, że zbyt wiele oczekuję. Poza tym nie zapominaj o tym, że to bliźniaki. Ze wszystkich informacji, jakie posiadamy, wynika, że bliźnięta wolą własne towarzystwo, bo do tego są przyzwyczajone.

– Mnie też zrób drinka – poprosiła Naomi. – Dużego.

Spojrzał na nią z powątpiewaniem.

– Wiesz, co piszą o spożywaniu alkoholu przez karmiące matki. Że dostaje się do mleka...

Gwałtowność jej reakcji zaskoczyła go. Chwyciła za szyjkę butelkę wódki Absolut, drugą dłonią złapała wytrawny wermut i zaczęła nimi wywijać jak pałkami, krzycząc z furią:

– Mam to gdzieś, John, rozumiesz?! W dupie mam wszystkie książki i strony internetowe o tym, co trzeba robić, żeby mieć bystrzejsze dziecko. Zaczynij żyć, smutasie, a przy okazji pozwól też żyć swojej żonie.

Patrzył na nią pustym wzrokiem; po chwili podała mu obie butelki.

– Teraz karmię je piersią tylko raz dziennie. Wypiję dużego drinka, John, podwójnego, może nawet potrójnego, po brzegi, z czterema oliwkami. Oliwki są w porządku czy schrzanią mi mleko? Czy cztery oliwki w martini zamienią nasze dzieci w niedorozwoje?

Z monitora elektronicznej niani dobiegł perlisty śmiech. John i Naomi odwrócili się i spojrzeli na niego zdumieni. To było niesamowite, zupełnie jakby Luke i Phoebe zaśmiewali się z rodziców.

Dzieci śmiały się nadal, gdy mieszał drinki i nadziewał oliwki na wykałaczki koktajlowe. Radosne odgłosy, nawoływania, chichotanie. Ta dziecięca muzyka oraz pierwszy łyk drinka najwyraźniej uspokoiły Naomi.

Zabrali kieliszki na górę i stanęli przed drzwiami pokoju dziecięcego. Radosne pokrzykiwania i chichot nie ustawały. Kiedy jednak John pchnął drzwi, bliźniaki umilkły.

Phoebe, z kciukiem w buzi, leżała na boku, otoczona ulubionymi zabawkami – niedźwiedziem polarnym, wężem, zebłą i lwem. Najwyraźniej spała. Luke również leżał na boku z zamkniętymi oczami i oddychał głęboko, rytmicznie, jak we śnie.

Naomi i John spojrzeli po sobie, po czym dała mu znak oczami, żeby wyszli.

Na korytarzu cicho zamknął drzwi.

– Jak oni mogą w jednej chwili tak hałasować, a zaraz potem głęboko spać? – spytał żonę.

Nie odezwała się od razu. Nie mogła tego dokładnie określić, ale miała poczucie, że Luke i Phoebe są już o wiele inteligentniejsi, niż dają po sobie poznać.

– Nie wiem – odparła w końcu.

Luke zawołał z łóżeczka do Phoebe. Wysoki dźwięk, z wyższą częstotliwością niż gwizdanie na psa, niesłyszalny dla ludzkiego ucha, daleko poza skalą dziecięcego monitora.

Phoebe odpowiedziała bratu na tej samej częstotliwości.

51

Doktor Roland Talbot otworzył drzwi swego gabinetu na ulicy Wimpole, by powitać Johna i Naomi, trzymających za ręce Luke'a i Phoebe.

– Doktorze Klaesson, pani Klaesson, miło mi państwa widzieć.
– Uważniej przyjrzał się bliźniakom. – Cześć, Luke! Cześć, Phoebe! Jak się macie?

Luke wyrósł na istnego cherubinka, ze słodkim perkatym noskiem, kobaltowymi oczami i czupryną jasnych włosów nad czołem. Naomi ubrała go w żółtą koszulkę, niebieskie bawełniane spodnie i tenisówki. Phoebe, równie anielska, z nieco ciemniejszymi i znacznie dłuższymi włosami niż brat, miała na sobie białą bluzeczkę, czerwoną spódniczkę, białe skarpetki i sandaalki.

Dzieci zareagowały na psychiatrę tak, jak reagowały na większość ludzi. Ich spojrzenia wyrażały coś pomiędzy zaciekawieniem a wrogością.

Wciąż uśmiechnięty i niestropiony, lekarz zaprosił całą czwórkę na zarzuconą zabawkami kanapę w kształcie litery L, przed którą stał stolik. Sam zajął miejsce w fotelu naprzeciwko.

Wysoki, łysiejący, pałakowaty i przystojny psychiatra miał na sobie koszulkę rugbysty, która wydawała się o parę numerów za duża, brązowe sztruksowe spodnie i sfatygowane tenisówki. Gdy odchylił się na oparcie fotela, nogawki odsłoniły bezwłosą kostkę i luźne skarpetki ze Snoopym, które straciły gumkę. Choć zbliżał się do czterdziestki, Naomi pomyślała, że chyba donasza rzeczy po starszym bracie. Wyglądał jak duży odjechany dzieciak.

– Są wspaniali – powiedział.

– Dziękuję. – John spojrzał z dumą na syna i córkę.

– Mają dziewiętnaście miesięcy, tak? – spytał Talbot, marszcząc brwi.

– Dziewiętnaście i pół – sprostował John, uśmiechnął się do żony, ona zaś odwzajemniła się nerwowym uśmiechem. Owszem, dzieci były piękne i każdego dnia rozkwitały jeszcze bardziej.

– Dałbym im nieco więcej – przyznał psychiatra. Wychylił się do przodu i skrzyżował ręce na piersi. – Dobrze, w czym mogę pomóc?

John i Naomi spojrzeli po sobie.

– Chcesz, żebym zaczęła? – spytała.

– Jasne.

– W porządku.

Opowiedziała psychiatrze o ich troskach. Ilekroć nasłuchiwali przez interkom, Luke i Phoebe gaworzyli między sobą i wyglądało na to, że wesoło się bawią. Kiedy jednak wchodzili do ich pokoju, dzieci milkły, zupełnie jakby udawały, że śpią. Po drugie, porozumiewanie się i zabawy z innymi dziećmi zupełnie ich nie interesowały. Wreszcie, co może najważniejsze, po dziewiętnastu i pół miesiącach nic nie mówiły, nawet „mama” i „tata”.

– To typowe dla bliźniąt – uspokoił ich Talbot. – Są tak zaabsorbowane sobą nawzajem, że często później reagują na świat zewnętrzny niż inne dzieci. Wiele bliźniąt zaczyna mówić dopiero po ukończeniu drugiego roku życia, dlatego, na tym etapie, nie ma powodu do niepokoju. Jak jest z jedzeniem?

John i Naomi spojrzeli po sobie, bo ten temat wprawiał ich w zakłopotanie; nie wiedzieli też, jaki wpływ mógł mieć na to Dettore.

– Jedzenie ich nie interesuje – odparła Naomi. – Po urodzeniu jedli normalnie, ale teraz jedzą połowę tego, co powinni... zgodnie z tym, co mówi pediatra i piszą w książkach.

Przez pewien czas doktor Talbot przyglądał się na przemian to Luke'owi, to Phoebe.

– Według mnie, nie wyglądają na niedożywionych. Dzieci znajdują własny poziom spożywania pokarmów. Jak jest ze zdrowiem?

– Na razie, odpukać, świetnie – odpowiedziała Naomi.

– Żadnych przeziębień, nic – oświadczył z dumą John.

– Nie chcę kusić losu, ale wprost tryskają zdrowiem – dodała Naomi.

– Ani jednego przeziębienia w ciągu dziewiętnastu i pół miesiąca?

Pokręciła głową.

– Nadzwyczajne.

Doktor Talbot nawiązał kontakt wzrokowy z Lukiem, potem z Phoebe. Następnie, wpatrując się w stół, zakołysał się w przód i w tył.

– Dostrzegam zaciekawienie, wspólne dla wszystkich małych dzieci. Patrzą na mnie, próbując mnie rozgryźć, próbując rozgryźć to miejsce. To zdrowy objaw.

– Jest jeszcze coś, co ja... co zauważyliśmy u nich obojga – odezwał się nagle John. – Są zafascynowane zwierzętami.

– To prawda. – Naomi energicznie przytaknęła. – Wczoraj wyszliśmy do ogrodu, z płotu zeskoczył kot sąsiadki, a dzieci podreptały do niego, chichocząc. W zeszłym tygodniu w ogrodzie pojawił się zajac... skubany zjadał mi róże...a dzieci uznały, że wygląda niezwykle zabawnie.

– Może kiedy nieco podrosną, powinni państwo pomyśleć o sprawieniu im zwierzęcia domowego. Mogłyby wspólnie się nim opiekować. Zwierzęta znakomicie rozwijają poczucie odpowiedzialności.

– Ma pan na myśli na przykład złote rybki? – spytała Naomi, lecz Talbot się skrzywił.

– Złote rybki są ładne, ale nudne. Zawsze zalecam zwierzę, którego dzieci mogą dotykać, nawiązać z nim kontakt, wchodzić w interakcję. Na przykład myszosczek, chomik, szczeniaczek czy kot, nawet królik.

– Zastanawialiśmy się nad psem – przyznała Naomi.

– Pies to dobry pomysł – przytaknął psychiatra. – Jeśli nie macie nic przeciwko temu, chciałbym teraz przeprowadzić z nimi kilka testów związanych z rozwiązywaniem problemów, celami pośrednimi i sprawdzić, jak sobie radzą. Chciałbym to robić indywidualnie, poprosiłbym więc o wyprowadzenie jednego z dzieci z gabinetu.

John wyszedł z Lukiem na korytarz i usiadł na krześle. Naomi patrzyła, jak Roland Talbot rozkłada na stole dwa obrusy. Potem podniósł plastikową krowę i ścisnął; krowa zamuczała. Lekarz dostrzegł, że dziewczynka otwiera szerzej oczy; gdy wyciągnęła ręce do krowy, on gwałtownie cofnął zabawkę. Następnie położył krowę na obrusie, poza zasięgiem małej.

– Niech teraz sama po nią sięgnie – wyjaśnił Naomi.

Phoebe przysunęła się do stołu, chwyciła obrus z krową, ostro pociągnęła ku sobie, złapała zabawkę i ścisnęła. „Muu”.

– Brawo, kochanie! – pochwaliła ją matka.

Potem Talbot powtórzył doświadczenie, tym razem chowając krowę na obrusie za plastikową przegródką, poza zasięgiem dziewczynki. Przegródkę dało się usunąć jedynie poprzez złapanie przymocowanej do niej rączki.

Po kilku sekundach Phoebe uporała się z nią, chwyciła krowę i ścisnęła ją podniecona.

Przez następny kwadrans psychiatra stawiał przed Phoebe kolejne zadania, zdaniem Naomi coraz bardziej wymagające. Później powtórzył je z Lukiem.

Kiedy chłopczyk uporał się z ostatnim zadaniem, psychiatra zawołał Naomi i Phoebe z powrotem do gabinetu i poprosił, by usiadły na kanapie. Przez pewien czas siedział zamyślony. Phoebe zainteresowała się nagle włosami matki i zaczęła zaplatać je w warkocz. Luke wyciągnął rączki do klocków, które wcześniej układał, zły, że John mu je zabrał.

Psychiatra oparł się na krześle, zaplatając ręce za głową.

– Cóż, rzeczywiście macie się państwo czym przejmować, ale zapewniam, że nie chodzi o to, z czym do mnie przyszliście.

– Co pan ma na myśli? – spytała Naomi.

– Martwicie się, że Luke i Phoebe są opóźnieni w rozwoju, tak? Po chwili wahania John i Naomi przytaknęli.

– Mogę powiedzieć jedno: nie są ani trochę opóźnieni. Wiecie, czym bym się martwił, gdyby to były moje dzieci? Są tak inteligentne, że martwiłbym się, jak za kilka lat za nimi nadążę. – Lekarz spojrział na nich i czekał, aż przyswoją sobie jego słowa.

John i Naomi zerknęli na siebie.

– Te dzieci posiadają nadzwyczajne umiejętności jak na swój wiek. Rzekłbym, że w całej karierze nie spotkałem się z czymś podobnym. Nawet wyglądają na nad wiek rozwinięte. Są świetnymi wzrokowcami i słuchowcami, co pozwala im uczyć się na oba sposoby. Mój znajomy prowadzi program badawczy dla nieprzeciętnie uzdolnionych dzieci, więc za państwa zgodą chciałbym...

– Nie – przerwała mu Naomi zdecydowanym tonem, posyłając mężowi ostrzegawcze spojrzenie. – Nie chcę, żeby moje dzieci badano w ten sposób.

Przypominając sobie napomnienia Kallego Almtorpa, aby się nie wychylać, John powiedział:

– Przykro mi, ale zdecydowanie odmawiamy.

Uczniowie Trzeciego Tysiąclecia nie dawali o sobie znać od roku, ale to nie znaczyło, że John i Naomi mogli zrezygnować z czujności. Dopóki ci ludzie nie zostaną zidentyfikowani i uwięzieni, nie mogli się rozluźnić; zresztą może nawet i po ich uwięzieniu nie będą mogli tego zrobić. Zawsze znajdą się gdzieś fanatycy gardzący tym, na co zdecydowali się John i Naomi.

– Absolutnie nie ma sprawy, rozumiem. – Roland Talbot uniósł dłonie.

– Dziękuję – rzucił John.

– Sądzę jednak, że powinniście być przygotowani – dodał psychiatra. – Istnieje duże prawdopodobieństwo, że kiedy Luke i Phoebe pójdą do szkoły, zaczną się szybko nudzić. Może powinniście zadbać o specjalny tok nauczania, w przeciwnym razie będziecie je spowalniać i potem mogą mieć do was o to pretensję.

John spojrział na bliźniaki, zastanawiając się, ile z tego wszystkiego rozumiały. Luke i Phoebe nie okazywali żadnych reakcji.

Po wyjściu z gabinetu dzieci ruszyły przodem korytarzem, a John objął Naomi i mocno ją uściskał. Może wszystko, przez co przeszli, jednak się opłaci. Dzieci były zdrowe, co więcej, renomowany psychiatra potwierdził, że są inteligentne i nad wiek rozwinięte.

Z uśmiechem zwrócił się ku żonie, żeby ją pocałować, ona jednak odsunęła się, blada i wyraźnie zaniepokojona.

52

– Pani Klaesson?

Stojąca w progu kobieta ze śliniącym się niemowlakiem na ręce wyglądała na zaniedbaną i rozdrażnioną.

– Glisson? – powtórzyła z akcentem z Cleveland.

Zupełnie nie przypominała tej z fotografii, którą zapamiętał.

– Pani Naomi Klaesson?

Kobieta patrzyła na niego pustym wzrokiem.

– Szukam państwa Klaessonów – wyjaśnił uprzejmie. – Pani nie jest Naomi Klaesson?

– Naomi Glisson? Niby ja? Wykluczone, pomylił pan adres. Tu nie ma żadnej Naomi Glisson.

Za plecami kobiety mały chłopiec jeździł po korytarzu plastikowym traktorem. Telewizor huczał. Drobną kobietą miała trzydzieści kilka lat, okrągłą twarz i byle jak ułożone czarne włosy.

– Może pomyliłem domy. Szukałem South Stearns Drive tysiąc pięćset dwadzieścia sześć.

– To tutaj.

Kobieta przyglądała się nieznajomemu. Zbliżał się do trzydziestki, średniego wzrostu, poważny; miał rude włosy przystrzyżone na jeża, granatowy garnitur, czarne buty i czarną walizkę. Na ulicy stał mały niebieski sedan, bardzo czysty. Mężczyzna był ubrany jak sprzedawca, ale brakowało mu typowej dla sprzedawców pewności siebie. Może to mormon albo świadek Jehowy?

Zmarszczył brwi.

– Pracuję dla Federal North-West Insurance. Pani Klaesson posiada toyotę zarejestrowaną pod tym adresem. Miała stłuczkę z jednym z naszych klientów i nie odpowiada na wezwania.

– Nic o tym nie wiem.

Niemowlę zmarszczyło buzię i wzięło kilka gwałtownych wdechów. Wyglądało, jakby za moment miało się rozpłakać. Kobieta spojrzała na nie i zakołysała.

– Glisson? – powtórzyła.

– K-L-A-E-S-S-O-N – przeliterował.

– Klaesson? Doktor Klaesson? – powiedziała nagle. – Już rozumiem. Chyba kilka lat temu wynajmowali ten dom. Przychodziła do nich poczta.

– Doktor John Klaesson i Naomi Klaesson – potwierdził Timon Cort.

– Już tu nie mieszkają. Wyjechali. Dawno temu.

– Wie pani dokąd?

– Może pan spytać w agencji nieruchomości. Agencja Bryant Mulligan na Roxbury.

– Agencja Bryant Mulligan?

Niemowlę płakało coraz głośniej.

– Proszę tam zapytać. Może coś wiedzą – poradziła.

– Bryant Mulligan? – Cort przeliterował.

– Mhm.

– Dziękuję pani bardzo.

Kobieta zamknęła drzwi.

Uczeń wrócił do auta, wybrał w komórce numer 411 i spytał o numer agencji Bryant Mulligan. Potem tam zadzwonił.

W agencji nieruchomości nie znali jednak aktualnego adresu Klaessonów.

Było cudownie ciepło sobotnie popołudnie, trzy dni po wizycie u doktora Talbota. Naomi pomyślała, że to prawie na pewno jeden z ostatnich dni lata.

Stała na drabinie w sadzie, trzymając plastikowe wiaderko do połowy wypełnione śliwkami. Przez gałęzie popatrywała na Luke'a i Phoebe bawiących się w pobliżu na trawniku. Wcześniej pluskali się z Johnem w nadmuchiwanym baseniku, który dla nich postawił. Teraz przynieśli księcia i księżniczkę Barbie oraz chyba wszystkie pluszowe zwierzątka, usadowili je w półkolu i częstowali herbatą z zabawkowego serwisu.

Phoebe – w roli mamusi – nalewała herbatę, podczas gdy Luke podawał plastelinowe ciastka na talerzykach. Dzieci radośnie gawędziły między sobą i przemawiały do zabawek, na co miło było patrzeć. Zazwyczaj, gdy przebywały w sypialni, rozmawiały tylko między sobą.

Przy twarzy Naomi zabzyczała osa. Odgoniła ją i sięgnęła do skupiska cudownie dojrzałych śliwek Victoria. Od wizyty u doktora Talbota była ciągle napięta. John z podnieceniem przyjął wiadomość, że dzieci są inteligentne, ale ona czuła mniejszy entuzjazm. Nowiny potwierdziły jej podejrzenia, że John i doktor Dettore zgodzili się na więcej, niż jej powiedzieli. Może nawet podjęli decyzję o bliźniakach?

Poza tym coraz bardziej niepokoiły ją komentarze, że dzieci wyglądają na starsze, niż są, chociaż doktor Dettore uprzedzał, że tak może się stać.

I tak was kocham, maleństwa, pomyślała. Zawsze będę was kochać, na tyle, na ile mi pozwolicie.

Przy odrobinie szczęścia wieczór będzie dość ciepły, by wypić drinki na dworze. Zaprosili Carsona i Caroline Dicksów na przyrządzone przez Johna raki po szwedzku. Kultywowanie tradycji było dla niego bardzo ważne, co zawsze wydawało się Naomi ujmujące, choć może nieco dziwne u człowieka, który namiętnie wierzył raczej w przyszłość niż w przeszłość.

Po zejściu z drabiny Naomi uklękała, by pozbierać śliwki, które spadły z drzewa. Na trawie przetykanej cieniem i blaskiem słońca czuła się jak w sekretnej krainie. Przypomniało się jej dzieciństwo, gdy uwielbiała chować się w kryjówkach i spędzać całe godziny w samotności. Odgoniwszy kolejną osę, zaniósła prawie pełne wiaderko do Johna i dzieci.

Siedział na tarasie przy drewnianym stole, z egzemplarzem „Nature” przed sobą, z dziwnym wyrazem twarzy wpatrzony w Luke’a i Phoebe. W dłoni trzymał przedmiot, który w pierwszej chwili wzięła za kamerę, ale przyjrzawszy się bliżej, zobaczyła, że to magnetofon. Mikrofon kierował na dzieci. Ta jego obsesja zapisywania i rejestrowania niemal każdej chwili ich dzieciństwa, pomyślała.

– Popatrz, Luke. Phoebe, widzisz?! – zawołała wesoło.

Dzieci nie zwracały uwagi na matkę. Chłopczyk mówił do siostry, pewniej i płynniej niż zazwyczaj. Phoebe odpowiedziała równie potoczyście, po czym zwróciła się ku różowemu słonikowi z oklapłymi uszami.

– Obm dekarh cidnaaev hot nawoy fedied oevauoy.

Naomi zmarszczyła czoło, bo nie była pewna, czy się nie przesłyszała.

– Eka foe eipnod hyderlseh deegsomud – odparł Luke.

– Olaaeo evayeh gibra snahela – odpowiedziała Phoebe.

Naomi spojrzała na Johna, on jednak uniósł palec, dając jej do zrozumienia, żeby im nie przeszkadzała.

Nie zwracając uwagi na Naomi, dzieci jeszcze przez kilka minut rozmawiały w dziwnym języku, zwracając się do siebie nawzajem oraz do zabawkowych gości. Czując nagle, że nie chce więcej tego słuchać, Naomi weszła do kuchni i postawiła

wiaderko na stole. Choć nie potrafiła dokładnie określić przyczyny, ogarnął ją silny niepokój.

To nie było dziecinne gaworzenie. Luke i Phoebe płynnie się porozumiewali na pozór poprawnym językiem. Zupełnie jakby raptownie wskoczyli na wyższy poziom umiejętności językowych.

Przez okno widziała, że wciąż się bawią i rozmawiają, choć nie słyszała słów.

Zaskoczył ją głos męża, który nieoczekiwanie stanął tuż za jej plecami.

– Słyszałaś już, żeby tak rozmawiali?

– Nigdy.

John włączył magnetofon.

– Obm dekarh cidnaev hot nawoy fedied oevauoy.

– Eka foe eipnod hyderlseh deegsomud.

– Olaaeo evayeh gibra snahela.

Zatrzymał taśmę.

– Zupełnie nie rozpoznaję tego języka.

– To nie jest odmiana szwedzkiego?

– Nie. – Puścił taśmę i słuchali jeszcze przez kilka minut.

– Dzieci wymyślają języki – powiedziała Naomi. – Piszą o tym we wszystkich książkach, które czytałam. Bliźnięta robią to dość często. Wiesz, taki tajemny język.

– *Idioglossia* – powiedział John nieobecny tonem.

– *Idioglossia*?

– Wymyślony język.

Podniosła serwetkę z nadrukiem, rozłożyła, złożyła ponownie i odłożyła na stół.

– Czy to zabawa, John? Niewinna zabawa? Czy może...

– Czy co? – ponaglił ją.

Zabrała się za kolejną serwetkę.

– Czy robią to, żebyśmy nie rozumieli, o czym rozmawiają?

– W wieku dwudziestu miesięcy chyba nie mogą być aż tak przebiegli. – Uśmiechnął się.

– Jesteś tego pewien?

Spojrzeni na siebie i w kuchni zapadło niezręczne milczenie.

54

- *Helan går, sjung hopp faderallan lallan lej...*
- *Helan går, sjung hopp faderallan lallan lej...*
- *Och den som inte helan tar.*
- *Han heller inte halvan får...*
- *Helan gåaaarrr... sjung hopp faderallan lej!*

Wśród śmiechów i śpiewów nad stołem w salonie brzęknęły cztery kieliszki okowity ze Skåne.

– Skål! – wzniósł toast John.

– Skål! – zawtórowała Naomi.

– Skål! – dołączył się Carson Dicks, odkładając kartkę z piosenką.

Z nieco mniejszym zapalem, jakby zażenowana rubasznym zachowaniem męża, Carsona Caroline dorzuciła cicho:

– Skål!

W centralnym punkcie stołu królował ogromny talerz pełen karmazynowych raków przybranych świeżym koperkiem. Po jego jednej stronie umieszczono małą plastikową flagę Szwecji, wokół której paliły się świece. Na dwóch talerzach leżały grzanki z białego pieczywa, na trzecim ser Greve. Przed każdym nakryciem stały kieliszki sznapsa i wina, szklanki piwa i wody. Obrus miał nadrukowane raki; ten sam motyw występował na serwetkach przy każdym z czterech nakryć, a także na śliniakach na piersiach biesiadników.

John, rozochocony alkoholem, czuł się wybornie. Naomi postarała się, by stół prezentował się wspaniale. Wyglądała pięknie; Johna przepełniała duma. Oto siedział z najlepszymi

przyjaciółmi. Powietrze było aksamitne. Jak człowiek może nie być szczęśliwy w taki wieczór?

Wstał i unióś kieliszek.

– Pragnę wznieść toast za ciebie, najdroższa. Jesteś cudowną kobietą, fantastyczną żoną, niewiarygodną matką, kocham cię i wielbię.

Carson i Caroline unieśli kieliszki.

– Dziękuję – wyszeptała Naomi z zakłopotaniem.

– Za Naomi! – powiedział Carson.

– Za Naomi! – zawtórowała mu żona, pochyliła się i stuknęła kieliszkiem o jego kieliszek.

John dolał przyjacielowi sznapsa, ale Caroline zasłoniła kieliszek dłonią.

– Prowadzę – powiedziała.

Spojrzał na nią, jakby postradała zmysły.

– Nikt nie przyjeżdża samochodem na przyjęcie rakowe. Powinniście zostawić tu auto i wrócić taksówką!

Wstał od stołu i lekko się zataczając, podszedł do monitora dziecięcej niani. Tylko ciche trzaski. Spokój. Doskonale. Miał nadzieję, że ich śpiewy nie obudzą dzieci, ale w końcu doroczne przyjęcie rakowe powinno stać się integralną częścią życia Luke’a i Phoebe. Nieodłączny element szwedzkiej kultury.

– No więc jak ci się podoba w Instytucie Morley Park, John? – przerwał jego myśli Carson Dicks.

– Bardzo. Cieszę się, że mnie przekonałeś. Jestem naprawdę szczęśliwy. – John spojrzał na Naomi.

– Należą ci się gorące podziękowania za sprowadzenie nas z powrotem do Anglii – powiedziała.

– A ja się cieszę, że tu jesteście. – Carson łypał na Klaessonów przez grube szkła. – Pracować z Johnem to prawdziwa gratka, podobnie jak mieć was tu oboje. Wszystko zagrało. Twój mąż to wielki człowiek.

Caroline uniosła kieliszek.

– Kto to powiedział, że za każdym człowiekiem sukcesu stoi zaskoczona kobieta? – zażartowała.

Wszyscy się roześmiali.

John promiennie uśmiechnął się do profesora, za którym wprost przepadał. Na tę okazję Carson włożył koszulkę w niebiesko-żółte prążki – szwedzkie barwy narodowe – niewiarygodnie porozciągane spodnie i sandały. Wyglądał jak skończony głupek, a zarazem... niewyobrażalnie uroczo. John uniósł kieliszek i znów wstał.

– Caroline i Carsonie, jesteście naszymi prawdziwymi przyjaciółmi. Pomogliście nam na wiele sposobów. Pragnę wam podziękować. Uważam, że Naomi i ja mamy wielkie szczęście, mogąc zaliczać was w poczet przyjaciół. – Wychylił pół kieliszka, po czym usiadł.

Caroline uśmiechnęła się z niejakim zakłopotaniem. Jej mąż uniósł kieliszek.

– Czy znasz definicję prawdziwego przyjaciela, John?

– Nie, powiedz.

– To ktoś, kto wie o tobie wszystko, a mimo to nadal cię lubi.

– To chyba znaczy, że jesteś prawdziwym przyjacielem! – John zaniósł się gromkim śmiechem.

– Nie sądzisz, że w życiu odgrywa sporą rolę szczęśliwy traf? – spytała Caroline. – Że niektóre rzeczy są po prostu pisane?

– Według mnie, to wymówka mająca na celu uchylanie się przed odpowiedzialnością – stwierdziła Naomi.

Uprzedzając sprzeczkę, John wziął ze stołu kartę z piosenkami.

– Dobrze. Czas na popisy wokalne. Twoja kolej, Caroline!

Rumieniąc się, żona profesora wstała, uniosła kartę i heroicznie stawiała czoło szwedzkim słowom.

– *Tänk om jag hade lilla nubben...*

Kiedy skończyła, usiadła nagrodzona głośnymi brawami Johna i męża, którzy wychylili następną kolejkę.

John znowu napełnił kieliszki. Już miał siadać, gdy jego uwagę przykuł odgłos z głośnika elektronicznej niani. Przez chwilę sądził, że to zwykły szum, ale gdy się wsłuchał, rozpoznał bzyczenie. Naomi podniosła wzrok i pochwyciła spojrzenie męża.

– Jakiś problem? – spytała.

Nasłuchiwał. Nie ulegało wątpliwości: w dziecinnym pokoju rozlegało się gniewne bzyczenie.

– Pójdę do nich – rzucił.

W uspokajającym geście podniósł rękę i chwiejnym krokiem ruszył do holu. Zataczając się, pospieszył do dziecinnego pokoju. Otworzywszy drzwi, niemal natychmiast musiał się uchylić przed czymś małym i ciemnym, ledwo widocznym w słabym blasku lampki nocnej. To coś spadło na niego, bzycząc gniewnie, uderzyło o ścianę i odleciało w bok.

John zamrugał. W oczach trochę mu się dwoiło. Cholera.

Zapalił główne światło. Po chwili owad przeleciał nisko nad łóżeczkami, znowu wpadł na Johna, wreszcie wzbił się pod sufit. Pokąźnych rozmiarów osa, królowa, może nawet szerszeń.

Jezu.

Luke i Phoebe nie spali. W milczeniu wpatrywali się w ojca.

– Wszystko w porządku – uspokoił dzieci, rozglądając się za czymś, czym mógłby zatłuc owada. Wśród zabawek leżała książeczka; chwycił ją i zaczął wypatrywać intruza, ten jednak zniknął. John lustrował wzrokiem ściany, sufit, jasnożółte zasłony. Nic.

Po chwili przytknął palec do ust i zabełkotał:

– Cii. Tatusz tu jeszt.

Zataczając się, zaczął wymachiwać książką. Gdy ruszył do okna, owad wpadł na niego. John zamachnął się książką, ale chybił. Owad odbił się od ściany za jego plecami i ponownie przypuścił szturm na łóżeczka.

W tym momencie dłoń Luke'a wystrzeliła w górę. John patrzył, jak palec wskazujący i kciuk syna zamykają się niczym szczypce, i po chwili owad leżał, drgając, na dywanie.

John patrzył z niedowierzaniem. Uklęknął. Bezgłowa wielka osa rzucała się w agonii, bezsilnie wysuwając i chowając żądkło.

John wstał, nadepnął na nią, potem jeszcze raz, aż znieruchomiała. Wreszcie, wciąż nie wierząc własnym oczom, podszedł do łóżeczka Luke'a. Synek leżał z szeroko otwartymi

oczami, wyciągając palec wskazujący i kciuk do ojca niczym trofeum.

Na kciuku widniał maleńki czarny ślad. I wyraźna czarna plama na palcu. Przyjrząwszy się dokładnie, John rozpoznał głowę osy.

Drżąc, zdjął fragment insekta paznokciem kciuka.

– Luke... to jest... – Brakowało mu słów.

Twarz chłopca nie wyrażała żadnych emocji. Podobnie zresztą jak twarz Phoebe. Dzieci patrzyły na ojca, jakby to on był osobliwością.

John ucałował oboje i wydało mu się, że dostrzegł na ich twarzach cień uśmiechu. Może zaczynały okazywać ciepłe uczucia? Kiedy przygasił światło i wyszedł z pokoju, zaczął się zastanawiać, czy cała ta scena nie była tylko wytworem jego wyobraźni.

Znacznie później zaczął mieć nadzieję, że tak właśnie było.

W mroku nocy, ukryty za gęstymi krzewami, Uczeń słyszał śmiech. Przez parterowe okna domu światło wylewało się na trawnik, ale ginęło w ciemnościach, zanim zdążyło do niego dotrzeć.

Za to śmiech docierał i budził jego gniew.

Ci ludzie nie mieli się z czego śmiać.

Przez małą lornetkę wyraźnie widział mężczyznę i kobietę o twarzach pasujących do zdjęcia, które miał w kieszeni; była jeszcze jedna para – goście, którzy przyjechali szarym jeepem cherokee zaparkowanym przed domem. *O śmiechu powiedziałem: Szaleństwo!, a o radości: Cóż to ona daje?⁴*

Uczeń miał na sobie czarne spodnie, czarną kurtkę i czarne buty na gumowej podeszwie, dzięki czemu był niewidoczny dla domowników. Pod spodem nosił na całym ciele pończochę zakrywającą również głowę, prócz twarzy, dzięki czemu do minimum ograniczał ryzyko zostawienia skóry czy włosów mogących pomóc laborantom w wytropieniu go. Teraz żałował, że zdecydował się na wierzchnią warstwę. Wcześniej sądził, że czeka go chłodna noc, ale powietrze było parne.

W obwisłych kieszeniach kurtki miał rękawiczki z cienkiej skóry, wytrychy, pojemnik z gazem, maskę gazową, kanister szybkoschnącej pianki, kanister ciekłego propanu, rozkładaną wiatrówkę, noktowizor, latarkę i zapalniczkę. I oczywiście zdjęcie grzeszników. Na szyi nosił gogle noktowizyjne. Do paska przytroczył mały przecinak na oksyacetylen.

Z punktu obserwacyjnego Uczeń dostrzegał cztery osoby siedzące w domu przy stole; wyraźnie świetnie się bawili. Na

obręczach okna na piętrze widniało słabe światło; zastanawiał się, czy właśnie tam śpią bliźniaki.

Po karku spłynęła mu kropla potu.

Zamknawszy oczy, zmówił *Ojcze nasz*. Potem wstał i zaczął czuwać w ciszy, czekając, aż goście odjadą. Chociaż, pomyślał, skoro zabawiali się w domu grzeszników, niewątpliwie należeli do zastępów Szatana, więc zabijając ich, dobrze by się przysłużył.

Ale nie takie otrzymał rozkazy.

*Gdybyście jednak nie wykonali tego, zgrzeszycie wobec Pana i wieście, że grzech wasz dosięgnie was*⁵.

Dwudziesta druga. Uczeń czuł lekkie zdenerwowanie, ale Pan stał przy nim, a ta świadomość dodawała mu otuchy. Jeszcze więcej sił czerpał z wiedzy, że dzisiejszym uczynkiem dowiedzie Panu, jak bezgraniczne są jego oddanie i miłość.

*A sąd polega na tym, że światło przyszło na świat, lecz ludzie bardziej umiłowali ciemność aniżeli światło: bo złe były ich uczynki*⁶.

Kilka minut po dwudziestej trzeciej przez ogród przemknął lis, uruchamiając silne reflektory, które omiotły trawnik i spowiły okoliczne krzewy białym światłem. Uczeń nie poruszył się; w oknie pojawił się grzesznik; przez pewien czas wyglądał na dwór, w końcu odszedł. Nic więcej się nie stało. Trzy minuty później reflektory zgasły.

Wkrótce potem cztery osoby wstały od stołu i przeszły na kanapę w głębi pokoju. Przez lornetkę widział, jak grzesznica nalewa płyn wyglądający jak kawa. Teraz Uczeń słyszał muzykę. W ogrodzie rozbrzmiewała całkiem głośno, domyślił się więc, że w domu jest jeszcze głośniejsza. Cole Porter. Dekadencka muzyka.

Chwila była odpowiednia. Uczeń złożył wiatrówkę, umocował noktowizor, nacisnął zbiornik ze sprężonym powietrzem i umieścił w magazynku dziesięć naboju kalibru .22.

Następnie, używając sztywnej gałęzi jako podpórki, spojrział przez noktowizor i na zbliżeniu zobaczył ścianę domu w zielonkawej poświacie. Po chwili w celowniku znalazł się

pierwszy reflektor. Wciąż rozgrzana żarówka płonęła jaskrawopomarańczowym światłem, niemal oślepiając Ucznia.

Miesiąc spędzony samotnie na górskim ranchu w Kolorado dał mu dość czasu, by ćwiczyć strzelanie, ale tak naprawdę to Bóg nakierował pocisk na cel. Uczeń nacisnął spust, usłyszał łoskot uwalnianego powietrza i po ułamku sekundy reflektor zadzwonił cicho; odłamki szkła wyglądały w noktowizorze jak snop iskier.

Po chwili Bóg pomógł mu bez trudu zdjąć jednym strzałem drugi reflektor. Mało prawdopodobne, by kiedykolwiek odkryto parę rozbitych żarówek i dwa spłaszczone naboje z wiatrówki.

Godzinę później muzyka ucichła. Cała czwórka wstała. Uczeń patrzył, jak się żegnają, całują. Wyszli z pokoju, znikając z jego pola widzenia.

Niedługo potem usłyszał warkot silnika; domyślił się, że jeepa. Samochód odjechał. Grzesznicy wrócili do domu i zaczęli sprzątać ze stołu.

W końcu wyszli z pokoju i zgasili światła. W oknie na piętrze rozbłysło światło. Na chwilę Uczeń ujrzał w oknie grzesznicę. Wyglądała w noc, gdy mąż podszedł do niej, objął i zaczął całować.

Zostaw ją w spokoju, dupku. Idź spać. Zgaś światło. Zachowujesz się samolubnie. Każesz mi za długo czekać.

Mąż oddalił się od okna, wkrótce potem kobieta. Wreszcie – miał wrażenie, że trwało to wieki – światła pogasły.

Uczeń przeszedł przez trawnik. Przyświecając sobie małą latarką trzymaną w zębach, wytrychem otworzył zamek kuchennych drzwi. Nie pchnął ich jednak, ale obszedł dom i wspiał się po rynnie do skrzynki alarmu umieszczonej tuż pod okapem. Wywierciwszy w skrzynce mały otwór, wypełnił ją pianką szybkoschnącą i zeskokczył na ziemię.

Krążąc wokół domu, w końcu znalazł stalową obudowę przewodu telefonicznego. Zapalniczką zapalił przecinak oksyacetylenowy i w kilka sekund przeciął przewód. Z domu dobiegły sygnały ostrzegające o usterce linii.

Szybkim ruchem pchnął drzwi kuchenne i wszedł. Do sygnałów ostrzegawczych telefonu dołączyła znacznie głośniejsza syrena antywłamaniowa. Z dworu nie dochodził żaden odgłos. Uczeń wyjął z kieszeni pojemnik z gazem, naciągnął maskę gazową i wbiegł na piętro.

W chwili gdy dotarł już prawie do drzwi sypialni, w progu stanął nagi grzesznik. Uczeń wycelował pojemnik z gazem w jego twarz i mężczyzna bezgłośnie osunął się na podłogę. Uczeń przestąpił leżącego i zobaczył grzesznicę szukającą po omacku włącznika światła. Kiedy potraktował ją gazem, opadła z powrotem na poduszkę. Oboje mieli pozostać nieprzytomni przez dobre trzydzieści minut. Więcej, niż potrzeba.

Uczeń zszedł do kuchni, nie zważając na alarm, bo domyślał się, że na dworze jest prawie niesłyszalny. Po chwili znalazł czajnik elektryczny. Idealnie. Odkręcił wyłącznik czajnika, rozmontował przerywnik, po czym na powrót skręcił mechanizm. Następnie wylał z czajnika wodę, włączył go, wokół podstawy położył kilka suchych ręczników, cofnął się i czekał.

Po paru minutach poczuł woń rozgrzanego plastiku. Kolejna minuta przyniosła smutki dymu. Czajnik elektryczny stanął w płomieniach.

Uczeń cofnął się do zamkniętych drzwi, wyjął z kieszeni kanister z ciekłym propanem i odkręcił zawór. Gaz trysnął na czajnik i niemal natychmiast do sufitu buchnęła ściana ognia.

Wtedy otworzył drzwi i wyszedł w noc. Wlatujące powietrze zamieniło kuchnię w ognistą kulę.

Gdy znów znalazł się w bezpiecznym azylu krzewów w głębi ogrodu, zdjął maskę gazową i patrzył na rozprzestrzeniające się płomienie. Wkrótce poczuł woń palącego się drewna i farby. Słyszał trzaskający ogień. Potem jeszcze słodszy odgłos. Płacz dwojga dzieci.

Uczeń przelazł przez ogrodzenie i ruszył bezpieczną drogą, którą Bóg pokazał mu dwie noce wcześniej: przez pola na parking za sklepem, gdzie w cieniu czekał jego mały samochód z wypożyczalni.

56

Od: Kalle Almtorp, Ambasada Szwecji, Waszyngton

Do: John Klaesson. bklaesson@morleypark.org

Temat: Uczniowie

John, powinieneś wiedzieć, że Uczniowie mogli znowu się uaktywnić. Dwa dni temu w spalonym domu na ranczu znaleziono zwłoki doktora Laurence'a i Patty Morrisonów oraz ich dwuipółrocznych bliźniaków, Nathana i Amy. Morrisonowie również odwiedzili klinikę Dettorego. Ogień wyrządził spore szkody i choć policja nie odkryła jeszcze przyczyny pożaru, uznałem, że powinienem Cię o tym powiadomić.

Trzy zamordowane małżeństwa z bliźniakami, wszystkie leczące się w klinice Dettorego, jeszcze niczego nie dowodzą, ale radzę Ci nadal zachowywać czujność. Oczywiście będę cię na bieżąco informował. Dotychczas nie poczyniono żadnych postępów w identyfikacji tak zwanych Uczniów Trzeciego Tysiąclecia ani osób, które mogą za nimi stać. Organizacja pozostaje tajemnicą.

Mam nadzieję, że Ty i Naomi dobrze się macie. Pod koniec roku przenoszę się z Waszyngtonu na placówkę w Malezji, ale nadal będę dla Ciebie czuwał.

Hålsningar!

Kalle

Reggie Chetwynde-Cunningham wyglądał dokładnie jak człowiek, którego agencja castingowa mogła zaproponować reżyserowi szukającemu typowego ekscentrycznego angielskiego profesora. Zza maleńkiego biurka w zagraconym gabinecie w Ośrodku Lingwistyki w budynku B4 w Morley Park łąpał na Johna przez monokl niczym ptak z rodziny jastrzębiowatych.

Językoznawca po sześćdziesiątce miał pomarszczoną twarz pokrytą siateczką pękniętych naczynek krwionośnych i zmierzwioną czuprynę. Złachany garnitur z zielonego tweedu ze skórzanymi łatami na łokciach urozmaicała muszka ze wzorem paisley oraz kraciasta koszula marki Viyella.

Ściany zatłoczonego gabinetu zdobiły mapy dawnej Brytanii, zdjęcie profesora ściskającego dłoń księcia Filipa oraz oprawione hasło: JĘZYK TO DIALEKT Z ARMIĄ I MARYNARKĄ WOJENNĄ – DOKTOR JOHNSON.

– Tak – powiedział Chetwynde-Cunningham. – Kurczę, no tak, hm... – Biurko z drewna wiśniowego było zasłane okruchami biszkoptów. Kolejna lawina posypała się teraz, gdy podsunął Johnowi paczkę, wyjął też sobie jednego i zamoczył w kawie. – Naprawdę fascynujące!

Jedną z rzeczy, jakie Johnowi szczególnie podobały się w Morley Park, był fakt, że w odróżnieniu od innych uniwersytetów, gdzie pracował i gdzie średnia wieku wynosiła około dwudziestu lat, co czyniło go sędziwym pracownikiem, tu średnia wieku była bliższa pięćdziesiątki. Miło było zaliczać się do

młodszej kadry, nawet jeśli różnica nie była zbyt wielka. John ugryzł biskopka.

Kilka lat wcześniej Reggie Chetwynde-Cunningham otrzymał tytuł szlachecki za wkład w bezpieczeństwo narodowe. Jego poprzednia praca w Rządowej Bazie Komunikacji polegała na pisaniu programów komputerowych potrafiących wychwytywać głosy znanych terrorystów spośród milionów rozmów telefonicznych monitorowanych każdego dnia. Obecnie kierował w Morley Park wydziałem opracowującym systemy, które pozwalały kontrolować urządzenia za pomocą myśli lub mowy.

– Jeszcze raz puść oryginał!

Stojący za językoznawcą zaawansowany system hi-fi włączył się i w gabinecie rozbrzmiały wyraźne głosy Luke'a i Phoebe.

– Obm dekcarh cidnaev hot nawoy fedied oevauoy – powiedziała Phoebe.

– Eka foe eipnod hyderlseh deegsomud – odparł Luke.

– Olaaeo evayeh gibra snahele.

– Stop! – warknął Chetwynde-Cunningham, po czym zwrócił się do Johna rozpromieniony: – Wiesz, to jest naprawdę imponujące.

– Co to za język? Udało ci się go zidentyfikować?

Językoznawca pokręcił głową.

– Wczoraj trochę się nim bawiłem, puściłem nagranie paru młodszym kolegom, w tym kobiecie, która też ma małe dzieci. Wszyscy stwierdzili zgodnie, że można tu wyodrębnić wzorce języka, ale nikt nie potrafił go nazwać. Dla pewności przepuściliśmy nagranie przez program mogący zidentyfikować wszystkie znane języki świata, sześć tysięcy dwieście siedem – dodał z nutką dumy. – Ale nie dopasowano żadnego, czego, rzecz jasna, należało się spodziewać.

– Dlaczego? – John upił kawy i uprzejmie odmówił przyjęcia kolejnego biskopka z paczki, którą pchnął ku niemu profesor.

– Cóż, słyszy się o dzieciach, które rodzą się z umiejętnością mówienia innymi językami. Ludzie powołują się na to zjawisko jako na dowód poprzednich wcieleń – powiedział lekceważąco

językoznawca. – Nigdy jednak nie słyszałem, by małe dziecko przekonująco mówiło w obcym języku. Czasami, gdy ma mieszanych rodziców, jak w przypadku ciebie i twojej żony, może złapać trochę z języków matki i ojca.

– Czy jest w tym szwedzki? Moja żona i ja chcemy...

– Nie, szwedzki nie. – Językoznawca zdecydowanie pokręcił głową. – Nie ma tu ani trochę szwedzkiego. – Wyjął biszkopta i zawiesił go nad kawą. – Istnieje oczywiście zjawisko bliźniąt, zwłaszcza bliźniąt jednojajowych, które tworzą własny język, by nie dopuszczać rodziców i w ogóle świata zewnętrznego. Chyba z tym właśnie mamy tu do czynienia.

– Ich własny język?

Chetwynde-Cunningham przytaknęła.

– Czy potrafisz wychwycić sens tego, co mówią? – spytał John.

– O, tak. Wystarczy znaleźć klucz, a wtedy wszystko staje się proste, jak w przypadku każdego szyfru.

– Szyfru?

– Wydrukuj oryginał na ekranie! – zwrócił się językoznawca do komputera.

Po chwili pojawił się napis.

Obm dekcarh cidnaaev hot nawoy fedied oevauoy.

Eka foe eipnod hyderlseh deegsomud.

Olaaeo evayeh gibra snahele.

John uważnie przyglądał się tekstowi, próbując wychwycić to, na co językoznawca najwyraźniej już wpadł. Po kilku minutach musiał jednak skapitulować.

– Nie widzę tu żadnego klucza.

– Hm... wcale mnie to nie dziwi. Przyjrzyj się pierwszej linijce.

John utkwiał wzrok w dziwacznych słowach.

Obm dekcarh cidnaaev hot nawoy fedied oevauoy.

– Teraz odwróć szyk i uporządkuj angielski – polecił profesor komputerowi.

Na ekranie pojawił się napis:

You ave o deide f yo wan to hve a andich r cke, Dmbo.

Słowa zaczynały nabierać sensu dla Johna, ale wciąż niedokładnie.

– Wstaw brakujące litery! – polecił językoznawca.

Trzeci wers wyglądał następująco:

You have to decise if you want to have a sandwich or a cake, Dumbo.

„Musisz się zdecydować, czy chcesz kanapkę, czy ciasto, Dumbo”.

– Jezu! – John zmarszczył nagle brwi. – To było podczas podwieczorku. Dzieci...

Chetwynde-Cunningham kazał komputerowi przetłumaczyć dwa kolejne wersy. John odczytywał słowa pojawiające się na ekranie.

Dumbo jest łakomczuchem, zjadł już kawałek ciasta.

Słonie są duże, muszą mnóstwo jeść.

– Chcesz powiedzieć, że mówiły to spontanicznie? – spytał profesor. – Nie opracowały tego wcześniej, John?

– One nie mają jeszcze dwóch lat – odparł John. – Nie sądzę, żeby mogły opracować coś takiego. To znaczy... – Wzruszył ramionami, nie mając pewności, co o tym wszystkim myśleć.

– Takie tłumaczenie symultaniczne dokonywane na bieżąco byłoby nie lada wyczynem. Gdyby chodziło tylko o jedno dziecko, można by podejrzewać pewne zakłócenie pracy mózgu, formę autyzmu czy padaczki skroniowej, powodujące spięcie połączeń nerwowych. Rachunek prawdopodobieństwa każe jednak wykluczyć wystąpienie tych samych objawów u dwojga dzieci.

W gabinecie zapadło długie milczenie. John wpatrywał się w słowa, wciąż nie mogąc pojąć, jakim cudem dzieciom się to

udawało. Językoznawca przerwał jego rozmyślenia.

– Jeśli robią to spontanicznie, John, masz chyba dość niezwykle dzieci. Posiadają wyjątkowy talent. Nigdy wcześniej nie spotkałem się z czymś takim. – Posłał Johnowi spojrzenie, które powinno wbić go w dumę.

John jednak poczuł się bardzo nieswojo.

– Uważam, że powinniśmy znowu zaprowadzić ich do doktora Talbota. Co o tym sądzisz, John?

Siedział przy stole kuchennym z kieliszkiem martini w dłoni. Wciąż czuł się zaniepokojony i zdezorientowany tym, co usłyszał od Reggiego Chetwynde-Cunninghama; martwił się też mailem od Kallego Almtorpa.

Zamordowano trzy małżeństwa, które odwiedziły klinikę Dettorego.

Chryste.

Trzy małżeństwa, które odwiedziły klinikę, miały bliźniaki. Do zabójstw doszło w Ameryce. Odległość stanowiła pewną pociechę.

Na razie.

– Czy twój znajomy językoznawca wyjaśnił, jakim cudem potrafią tak mówić? Po angielsku, ale od tyłu, opuszczając co czwartą literę?

John pokręcił głową.

– Nie wyjaśnił.

– Czekaliśmy, aż powiedzą do nas pierwsze słowa, na przykład „tata” czy „mama”, ale one nie powiedziały nic. Za to między sobą rozmawiają poprawną angielszczyzną, tyle że zaszyfrowaną. Czy to nie napędza ci stracha? Bo mnie owszem.

– Tak – odparł w zamyśleniu. – Ale to takie dziwne.

– Myślisz, że Dettore coś zrobił? Spieprzył coś z istotnymi genami, przez co ich mózgi funkcjonują wadliwie?

– Według mnie, jest za wcześnie, by snuć domysły. Jeśli nadal będą mówić w ten sposób, powinniśmy je zabrać do neurologa.

– Nie sądzisz, że już powinniśmy to zrobić?

John podszedł do ściany z monitorem elektronicznej niani i zaczął nasłuchiwać.

– Czy one śpią?

– Tak. Czekałam, aż wrócisz, żebyśmy mogli je razem wykąpać. – Naomi, pobladła, usiadła przy stole.

John patrzył na żonę. Czuł się fatalnie. Schowała twarz w dłoniach.

– Po wszystkim, co przeszliśmy. Boże, czemu życie jest takie niesprawiedliwe.

– Mamy dwoje pięknych dzieci, kochanie.

– Dwoje pięknych dziwolągów.

John podszedł do żony, położył dłonie na jej ramionach i pocałował ją w szyję.

– Nigdy tak nie myśl. Luke i Phoebe są tym, czego pragnęliśmy. Są inteligentne. Znacznie inteligentniejsze niż rówieśnicy. Musimy tylko się do tego przystosować.

– Czemu rozmawiają szyfrem? Ludzie mówią szyfrem, kiedy mają sekrety. Dlaczego to robią? Coś jest z nimi nie tak czy są inteligentniejsze, niż przypuszczamy?

– Nie wiem – odparł bezradnie.

– Popełniliśmy błąd, prawda? – Naomi wpatrywała się w męża.

– Nie.

– Chciałabym tylko, żebyśmy... mieli... no wiesz... normalne życie. Normalne dzieci.

– Normalne dzieci... takie jak Halley.

Zapadło długie milczenie. John znów spojrzał na cichy monitor, po czym sięgnął po kieliszek.

– Nie to miałam na myśli i dobrze o tym wiesz – powiedziała w końcu Naomi.

Kręcił oliwkami na wykałaczce, przyglądając się im w zamyśleniu, jakby próbował je odczytać jak runy.

– Czasami tylko na mnie patrzą – ciągnęła. – Patrzą tak, jakbym była powietrzem. Albo maszyną, która istnieje po to,

żeby je karmić i usługiwać im.

Weszli na górę, a gdy zbliżali się do pokoju dziecinnego, Naomi dodała:

– Chyba powinniśmy pomyśleć o umieszczeniu ich w oddzielnych pokojach. Doktor Talbot wspominał o tym. To może im pomóc w rozwinięciu własnych tożsamości.

– Mówił, żeby to zrobić, jak trochę podrosną.

– Wiem, ale według mnie dobrze byłoby je rozdzielić już teraz.

Przytknął palec do ust, by ją uciszyć, i stanął pod drzwiami. Z pokoju dobiegały odgłosy ożywionej rozmowy Luke'a i Phoebe; najwyraźniej gawędzili szyfrem.

Gdy otworzył drzwi, dzieci momentalnie ucichły.

– Cześć, Luke, cześć, Phoebe! – powiedział.

Podniosły wzrok z podłogi, gdzie bawiły się klockami. Luke w prążkowanym sweterku, luźnych džinsach i tenisówkach, z szopą jasnych włosów nad czołem. Phoebe na bosaka, w liliowym dresie, ze schludnie uczesanymi włoskami. Błękitnookie aniołki, uosobienie całkowitej niewinności. John zerknął na żonę, która, zdumiona nie mniej niż on, patrzyła na skomplikowany, idealny wzór Mandelbrota, niczym miniaturowe kręgi zbożowe, ułożony przez dzieci na podłodze.

– Ebohph ekip – powiedział John, patrząc to na Luke'a, to na Phoebe. Zero reakcji.

– Ładny wzór! – pochwaliła Naomi.

John wyszedł z pokoju, pospieszył do sypialni i wrócił z aparatem fotograficznym.

– Czas na kąpiel! – zawołała wesoło Naomi.

John zrobił zdjęcie dzieciom i ich dziełu.

– To jest piękne, Luke. Piękne, Phoebe. Razem wymyśliliście ten wzór?

Dzieci nadal patrzyły na ojca w milczeniu. Nagle, jakby wcześniej się umówiły, zaczęły się do nich uśmiechać i śmiać. Bliźniaki robiły to rzadko i tylko wobec rodziców.

– Ślicznie! – chwaliła Naomi. – Jesteście parą spryciarzy! – Spojrzała na męża, jakby w poszukiwaniu wyjaśnienia, on jednak

żadnego nie miał. – Mama przygotowuje wam kąpiel!

Wyszła z pokoju, a John został i zrobił więcej zdjęć. Dzieci siedziały bez ruchu, wpatrzone w ojca. Po chwili usłyszał szum wody.

Chowając aparat do kieszeni spodni, klęknął, przytulił Phoebe i pocałował.

– Mądra dziewczynka!

– Mittab – odparła z uśmiechem.

– Mittab! – zaszcebiotał John, potem zaniósł córkę do łazienki i wręczył Naomi. Gdy wrócił po Luke’a, ten w głębokim zamyśleniu przyglądał się klockom na podłodze.

– Czy to ty ułożyłeś ten wzór czy twoja siostra?

Chłopczyk z uśmiechem wskazał na siebie.

John wziął go na ręce i pocałował w czoło. Potem popatrzył w jego duże niebieskie oczy.

– To bardzo sprytne, wiesz? Naprawdę bardzo sprytne!

Twarz Luke’a rozjaśnił uśmiech, a John poczuł, że wybucha w nim słoneczna radość.

– Jesteś superinteligentnym gościem, wiesz? Mama i tata są z ciebie bardzo dumni!

Kiedy zaniósł syna do łazienki, zobaczył, jak Naomi, z podwiniętymi rękawami, sprawdza palcem temperaturę wody. Na wpół rozebrana Phoebe siedziała na podłodze i przyglądała się matce. John rozebrał Luke’a, odczekał, aż temperatura zadowoli Naomi, po czym delikatnie umieścił syna w wannie. Rozpromieniony Luke zamachał rączkami, próbując zatopić żółtą plastikową kaczkę i stateczek. Naomi ściągnęła spodnie dresowe Phoebe i włożyła ją do wody.

W tym momencie zadzwonił telefon.

– Możesz odebrać? – zwróciła się do męża.

John poszedł do sypialni i chwycił aparat bezprzewodowy. Dzwoniła Rosie.

– Cześć – powiedział. – Jak się masz?

– Wczoraj jadłam lunch z Naomi. Wygląda okropnie. – Rosie jak zwykle waliła prosto z mostu. – Musisz dać jej odetchnąć, bo

się załamie.

– To grozi chyba nam obojgu.

– Wyjedźcie na wakacje, zabierz ją w jakieś ładne miejsce, na słońce, zadbaj o nią. To wspaniała dziewczyna, John, zasługuje na to, by o nią dbać. Trochę czułości nie zawadzi.

– To nie takie proste.

– Mylisz się, to jest bardzo proste. Przywieź dzieci do nas, zajmiemy się nimi, a ty wyjedź z Naomi.

Wtedy usłyszał krzyk.

O Boże.

– Johnnnnnnnnnnnnnnnnnnnnn!

– Oddzwonię – powiedział, upuścił telefon i pobiegł.

Gdy wpadł do łazienki, Luke darł się wniebogłosy. Naomi, z wytrzeszczonymi histerycznie oczami, z zakrwawioną twarzą i ubraniem, trzymała w objęciach córkę. Woda w wannie miała ciemnoczerwony kolor. Krew ciekła po nogach Phoebe i kapała na wannę.

– Pomóż mi! – wołała Naomi. – John, na miłość boską, pomóż mi!

59

– Już dobrze, kochanie – mówiła Naomi. – Już dobrze, już dobrze!

W gabinecie pediatry Phoebe trzymała się kurczowo matczynego swetra jak tratwy ratunkowej na wzburzonym morzu i darła się co sił w płucach.

Doktor Clive Otterman, niski mężczyzna o łagodnym wyglądzie, nieustannie marszczył czoło, przywodząc Naomi na myśl Bustera Keatona. Stojąc przy kanapie dla pacjentów, unosił brwi, jakby z niczym mu się nie spieszyło.

Naomi objęła córkę i pocałowała.

– To miły pan, kochanie. Widziałas go już wiele razy, nie zrobi ci krzywdy.

Phoebe nie przestawała krzyczeć. Naomi spojrzała na stojącego obok bezradnie męża. Luke'a zostawili w domu z jej matką, która przyjechała na cały dzień.

Doktor Otterman w szarym garniturze stał cierpliwie z rękami założonymi z tyłu i uśmiechał się jak ktoś, kto zniesie każde zachowanie dziecka.

– Pan doktor nie zrobi ci krzywdy. Mamusia ci obiecuje!

Dziewczynka zawyła jeszcze głośniejsze. Naomi patrzyła na Johna. Sama chciała krzyczeć. Jesteś jej ojcem, na miłość boską. Zrób coś!

On jednak tylko wzruszył ramionami.

Zaniosła córkę na kanapę i próbowała ją położyć, ale mała darła się coraz głośniejsze i z całych sił szarpała matczyne golf.

– Kochanie! – powiedziała Naomi. – Ten miły pan doktor chce cię tylko zbadać!

Płacz się nasilił. Spojrzała z rozpaczą na lekarza, który uśmiechał się ujmująco i unosił brwi. No, dalej, jesteś pediatrą, na Boga, powinieneś umieć radzić sobie z dzieckiem!

Nagle doktor Otterman podał Phoebe różową lalkę Barbie. Efekt był natychmiastowy. Mała wyciągnęła rączki, a lekarz wsunął jej lalkę w dłonie. Dziewczynka uśmiechnęła się szeroko, ściągnęła usta w ciup i powiedziała:

– Barbie!

Przez chwilę Naomi nie mogła uwierzyć oczom i uszom. Szukając potwierdzenia, spojrzała na Johna, który, nie mniej zaskoczony, patrzył na nią oniemiały.

Phoebe przemówiła! Jej pierwsze słowo.

John promieniał.

– Barbie? – spytał doktor Otterman. – Lubisz Barbie, Phoebe?

– Barbie! – powtórzyła mała i zachichotała.

Naomi poczuła, jak miejsce niepokoju zajmuje kolosalne szczęście. Ona mówiła! Jej córeczka mówiła! Mówiła normalnie! Niewiarygodne! Spojrzała na męża i zapragnęła zarzucić mu ręce na szyję.

– Lubisz lalki Barbie? – pytał pediatra. – Lubisz się bawić z Barbie?

– Barbie! – powiedziała Naomi do Phoebe. – Kochanie, Barbie! – Potem, nie posiadając się z radości, zwróciła się do pediatry: – Ona mówi! Jej pierwsze słowa! – Ze szczęścia gotowa była go uściskać.

– Barbie! – powiedział John do Phoebe.

– Barbie! – powtórzyła dziewczynka, chichocząc, jakby to była najśmieszniejsza rzecz na świecie. – Barbie! Barbie!

Łzy napłynęły Naomi do oczu. John objął ją i przytulił.

– Niewiarygodne! – wykrztusiła.

– Mówiłem ci, że są zdrowe. Są zdrowe!

– Tak – przytaknęła zapłakana.

Chichocząca Phoebe nie protestowała, gdy pediatra, wspomagany przez Naomi, ją rozebrał. Raz po raz powtarzała

słowo „Barbie”, jakby właśnie dokonała najważniejszego odkrycia w życiu.

Doktor Otterman dokładnie ją zbadał, po czym, ku zdziwieniu Naomi, mała pozwoliła mu pobrać próbkę krwi i przeprowadzić inne badania. Następnie lekarz delikatnie umieścił chusteczkę higieniczną między nogami dziewczynki, a gdy ją cofnął, Naomi ujrziała ślady krwi.

– Barbie! – powtórzył, jakby to był ich tajny szyfr.

– Barbie! – zawtórowała Phoebe.

Pediatra zdjął rękawiczki, umył ręce, pomógł Naomi ubrać małą i wrócił za biurko.

Zanotowawszy coś, odłożył długopis i zmarszczył czoło. Po chwili znów sięgnął po długopis i oparł się na krzesło.

– Co do tego krwawienia wczoraj w nocy... Czy to była bardzo gorąca kąpiel?

– Nie była cieplejsza niż zazwyczaj.

– Oddam krew do analizy. Wyniki będą za parę dni.

– Jak pan myśli, co jej dolega? – spytała Naomi. – Czy ona jest poważnie chora? Krwawienie wewnętrzne... Myśli pan, że mogło zostać spowodowane za gorącą kąpielą czy też...

– Uważam, że z wyciąganiem wniosków powinniśmy poczekać na wyniki badań laboratoryjnych – oświadczył pediatra, który jakby stracił rezon.

– Ja... Jakich wniosków? – spytała niespokojnie Naomi.

– Naprawdę nie chcę, żebyście państwo niepotrzebnie się martwili – powiedział doktor Otterman, wstając. – Zadzwoń, jak tylko otrzymam wyniki.

– Ale jak pan sądzi, co to może być? – naciskał John.

– Krwawienie wewnętrzne nie może oznaczać nic dobrego, prawda? – spytała Naomi.

– Istnieje kilka możliwości. Poczekajmy.

– Inną sprawą jest język, którym rozmawiają z Lukiem – dodał John. – Co pan sądzi na ten temat?

– Jestem tym zdumiony – przyznał lekarz, unosząc dłonie. Spojrzał na notatki. – Parę miesięcy temu odwiedzili państwo

psychiatrę, doktora Rolanda Talbota, tak?

– Zgadza się.

– Doktor Talbot uważa, że wasze dzieci są ponadprzeciętnie uzdolnione. Nie zawracałbym tym państwu głowy, choć muszę przyznać, że wzór ułożony na podłodze jest niezwykle wyczynem matematycznym. Nasze rozumienie funkcjonowania ludzkiego mózgu jest wciąż w powijakach. Znamy kilka przypadków niezwykle porozumiewania się między bliźniakami. Statystyki wskazują czasem na autyzm...

– Autyzm? – przerwała mu Naomi. – Sądzi pan, że są autystyczne?

– Jedną z możliwości jest to, że znajdują się gdzieś w spektrum autyzmu, choć osobiście w to wątpię. Nie możemy jednak wykluczać takiej ewentualności. – Po chwili milczenia ciągnął: – Jakimś cudem dzieci znalazły dostęp do połączeń nerwowych, które umożliwiają im posługiwanie się tym językiem. Nam wydaje się to niewiarygodne, ale dla nich to bułka z masłem. Między pewnym etapem życia płodowego a siódmym rokiem życia nasze mózgi wykształcają układ oprogramowania. To może być jedynie etap przejściowy. Za rok mogą utracić tę umiejętność. Jeśli tak się nie stanie, w Brighton jest bardzo dobry psycholog dziecięcy, behawiorysta. Sugerowałbym, żebyście się państwo do niego udali, ale podejrzewam, że to nie będzie konieczne.

– Mam cholerną nadzieję, że pan się nie myli – przyznała Naomi. – Wszystko to jest nieco zbyt dziwne.

Pediatra odprowadził ich do drzwi.

– Zadzwoń, jak tylko czegoś się dowiem. Tymczasem proszę się nie martwić.

Zadzwoił dwa dni później. Ton jego głosu przestraszył Naomi. Pediatra zaproponował, by jak najszybciej przyjechała do niego z mężem, najlepiej bez dzieci.

Gabinet zmienił się od ich ostatniej wizyty. Wtedy, w poniedziałkowy poranek, żółte ściany i wielkie okna nadawały mu lekkości i jasności. Teraz pomieszczenie sprawiało wrażenie mrocznego i przytłaczającego. Naomi i John siedzieli przed biurkiem pediatry, który wyszedł, by odpowiedzieć na jakieś pytania sekretarki. Wiatr łomotał w szyby. Naomi patrzyła, jak deszcz siecze ulicę. Wichura równonocy jesiennej wzięła w posiadanie miasto, okolicę, morze.

Zimny wiatr wiał też w niej. Zadrzała. Arsenał natury był tak cholernie bogaty: huragany, tornada, trzęsienia ziemi, wulkany, tsunami, powodzie, meteoryty, asteroidy. Choroby.

Wzięła męża za rękę, a on uścisnął jej dłoń i zwrócił się ku niej, jakby zamierzał coś powiedzieć. Właśnie wtedy do gabinetu wrócił doktor Otterman i zamknął drzwi.

– Przepraszam – rzucił.

Oboje patrzyli niespokojnie, jak pediatra sadowi się za biurkiem. Spojrzał na ekran komputera, potem z czarnego kubka wyjął długopis i zaczął nim przesuwając między palcami.

– Dziękuję, że państwo przyszli – zaczął. – Czułem, że lepiej będzie, jeśli usłyszycie to osobiście, ponieważ... cóż... to bardzo niezwykła sytuacja... Nie zagraża życiu, ale nie wolno jej lekceważyć.

Naomi i John czekali w milczeniu na ciąg dalszy.

– Dotyczy to... jak to ująć... bardzo małej grupy dzieci na świecie. Aby uzyskać całkowitą pewność, musimy zrobić elektroencefalogram, ale ja raczej nie mam wątpliwości.

Do tunelu, pomyślała posepnie Naomi. Wracamy do tego cholernego tunelu, gdzie byliśmy z Halleyem. Badania. Szpitale. Kolejne badania. Kolejni specjaliści. Kolejne szpitale.

Pediatra odłożył długopis do kubka, chwilę medytował, po czym sięgnął po niego znowu, zerkając to na Johna, to na Naomi.

– Co do krwawienia... nie chciałem przedstawiać diagnozy, zanim nie uzyskam pewności. Otrzymałem wyniki badań patologicznych, ale nie są ostateczne. Objawy u Phoebe wskazują na pewną odmianę tak zwanego syndromu McCune-Albrighta.

John i Naomi wymienili zaskoczone spojrzenia.

– Przepraszam, ale nigdy o tym nie słyszałem... Syndrom MacEwan-Albrighta?

– Tak – powiedział doktor Otterman nastroszonym tonem. – Zgadza się, tak, syndrom McCune-Albrighta. – Poczzerwieniał na twarzy. – Znany też jako przedwczesne dojrzewanie płciowe.

– Powiedział pan: dojrzewanie płciowe? – powtórzyła Naomi, a pediatra przytaknął.

– Jest to wrodzona anomalia powodująca różne formy wczesnej dojrzałości płciowej u dzieci oraz inne zmiany fizjologiczne.

– Dojrzałość płciowa? – Naomi podniosła głos z niedowierzania. – Co pan właściwie mówi? Phoebe nie ma jeszcze dwóch lat, a pan twierdzi, że osiągnęła dojrzałość płciową?

Pediatra spojrział na nią bezradnie.

– Niestety, mówię właśnie to. Jakkolwiek wydaje się to niezwykle, Phoebe ma swój pierwszy okres.

Później John i Naomi siedzieli oniemiała w samochodzie w całkowitym milczeniu. John wsunął kluczyk do stacyjki, ale nie uruchomił silnika, tylko oparł dłonie na kolanach. Wiatr kołysał wozem.

Przedwczesne dojrzewanie.

Naomi potrząsnęła głową, wpatrzona w przednią szybę pokrytą kroplami deszczu.

Rozwój kości będzie przyspieszony, estrogen na poziomie okresu dojrzewania lub dorosłości. Estrogen hamuje wzrost. Wiele dzieci z tym syndromem przestaje rosnąć. Wczesny rozwój piersi. Bez leczenia pięcioletnia dziewczynka osiągnie dojrzałość płciową nastolatki.

– Lekarstwa przyniosą efekt – próbował uspokoić żonę John. – Nie martw się.

– On powiedział, że mogą przynieść efekt. Mogą spowolnić syndrom, ale go nie wyleczą, John, to powiedział. Czasami lekarstwa pomagają. Czasami.

– Przynajmniej nie ma zagrożenia dla życia. Wszyscy nam mówią, że bliźniaki są duże jak na swój wiek. Phoebe nie byłaby taka duża, gdyby miała zahamowany wzrost.

– A Luke? Czemu jest taki duży?

– Nie wiem. Nie wiem, dlaczego tak rosną.

– Doktor Otterman powiedział, że ich fizjologia jest na poziomie trzylatków, nawet czterolatków, nie dwuletnich dzieci.

– Ale mówił też, że tempo wzrostu prawdopodobnie spadnie.

– A jeśli nie? – spytała.

– Jestem pewien, że spadnie.

– Skąd masz taką pewność, John? Wierzysz w uczciwość Dettorego? Na tym opierasz swoją pewność?

Nie odpowiedział.

– Chcę, żeby dzieci przeszły wszystkie możliwe badania – oświadczyła Naomi. – Chcę wiedzieć, jakie czekają nas jeszcze niespodzianki. Co jeszcze zrobił im ten szaleniec.

Uruchomił silnik i zaczął wyprowadzać saaba z parkingu.

– Doktor Otterman powiedział, że to na nią nie wpłynie – odezwał się cicho. – Będzie mogła prowadzić normalne życie.

– Dla większości kobiet, John, normalne życie polega na rodzeniu dzieci. Wyobrażasz sobie, co ona będzie czuła jako nastolatka, kiedy jej przyjaciółki zaczną dorastać? Kiedy Phoebe zacznie chodzić na randki? Co się stanie, jak się zakocha? Jak wytłumaczy komuś za dwadzieścia lat: A, tak na marginesie, pierwszą miesiączkę miałam przed ukończeniem drugiego roku życia, a menopauzę, jak skończyłam czternaście lat?

– On tego nie powiedział, kochanie. Twierdził, że ten syndrom nie wpływa na menopauzę, że ona nie będzie miała wczesnej menopauzy.

– On tego nie wie, John. Zaznaczał, że więcej się dowie po przeprowadzeniu skanu. Mówił, że nie ma dwóch takich samych przypadków. – Wyjęła z torebki chusteczki higieniczne i wytarła nos. – Zahamowany wzrost. No super! Powiedzieliśmy Dettoremu, że chcemy, by nasz syn był wysoki, a teraz nasza córka zostanie karlicą.

– Dotąd martwiłaś się, że Phoebe jest za duża jak na swój wiek. Ona nie będzie karlicą.

– Skąd wiesz?

– Posłuchaj, w ciągu następnych dwudziestu lat medycyna zrobi postępy. Jeśli odkryjemy, że...

– Jasne – przerwała mu. – Phoebe jest ofiarą jednego z tych postępów. Dobrze wiedzieć, że nasza córka jest królikiem doświadczalnym i dziwadłem.

– Według mnie „dziwadło” to zbyt mocne słowo. Ona nie jest dziwadłem.

– Więc czym? Jaki eufemizm ci się podoba? Zakłócony proces dojrzewania? Zaburzenia wzrostu? Może to zbyt realistyczne określenie, ale ona tym właśnie jest, to jest rzeczywistość, której musimy stawić czoło. Dzięki uprzejmości Dettorego, naszym oszczędnościom i pożyczce od rodziny spłodziliśmy dziwadło. Jak się z tym czujesz?

– Wolałabyś, żeby Phoebe się nie urodziła? Żeby żadne z nich nie przyszło na świat?

– Sama już nie wiem. Nie wiem, co czuję. Powiedz, co ty czujesz. Nigdy nie wiem, co myślisz.

– Chciałem tylko... – Zamilkł.

– Czego chciałeś, John? Powiedz, zamieniam się w słuch. Poza tym włącz wycieraczki, to może zobaczysz, dokąd jedziesz.

Włączył wycieraczki i wyjechał na jezdnię.

– Nie wiem – rzucił. – Sam już, do cholery, nie wiem, czego chciałem. Chyba tego, co najlepsze dla naszych dzieci, dla ciebie. Próbowałem zrobić to, co najlepsze dla nas.

– Naprawdę tak chcesz myśleć?

– Nie rozumiem.

– Naprawdę chciałeś postąpić najlepiej dla nas? Czy zaspokoić swoje zapędy naukowe?

Na końcu ulicy zahamował gwałtowniej, niż musiał.

– Ty mi nie ufasz, prawda?

– Ja już nie wiem, co myśleć, John.

– To bardzo boli.

Wzruszyła ramionami.

– Naomi, zawsze mówiłem ci prawdę. Kiedy usłyszałem o Dettore, powiedziałem ci wszystko, co wiedziałem. Uprzedzałem cię, że wizyta u niego wiąże się z ryzykiem. Oboje zgodziliśmy się zaryzykować.

– Może nie powiedziałeś mi tego wystarczająco głośno – odparła z goryczą.

– Może nie słuchałaś wystarczająco uważnie – odparował łagodnie.

Odwróciła się i spojrzała na męża. Na człowieka, którego kiedyś kochała szaleńczo, dziko, nieprzytomnie. Człowieka, z którym tak wiele przeszła. Człowieka, który dał jej siłę, by uporać się ze stratą syna i żyć dalej.

Patrzyła na niego z tak intensywną nienawiścią, że święcie wierzyła, że gdyby miała w dłoni nóż, w tej chwili mogłaby go dźgnąć.

W klasztorze Perivoli Tis Panagias dzień zaczął się tak samo jak każdego ranka od jedenastu stuleci. O drugiej trzydzieści pod rozgwieżdżonym niebem rozległ się stukot drewna o drewno. Wezwanie na jutrznię.

W marmurowym blasku księżycy to surowe bębnienie narastające do szalonego crescendo przypominało bardziej szamański rytuał niż klasztorny gong. Łoskot wypełniał ocieniony dziedziniec, odbijał się echem od wytartych płyt chodnikowych oraz popękanych, łuszczących się fortecznych murów otaczających rozsypujące się zabudowania.

Opat wstał w swojej celi z wąskiego łóżka, zapalił lampkę oliwną na komodzie, przeżegnał się przed obrazem Najświętszej Paniarki i szybko przywdział czarne szaty.

Przed sześćdziesięcioma czterema laty, kiedy wstąpił do tego klasztoru jako młody nowicjusz, zadanie Yanniego Anoupolisa polegało właśnie na budzeniu się w pierwszej kolejności i wzywaniu braci na modlitwę. W tym celu uderzał pałką w starodawną tekową deskę zawieszoną na dziedzińcu na zardzewiałych łańcuchach. Yanni miał wówczas dwadzieścia dwa lata i tak mocno pragnął służyć Bogu, że aż bolało go serce.

Dzisiaj bolało go nie tylko serce, ale wiele innych części ciała, głównie kolana i biodra. Ciało, które zamieszkiwał, rozsypywało się, podobnie jak budynki dające schronienie nielicznym pozostałym tu mnichom. Z miesiąca na miesiąc pogarszał mu się wzrok, brakowało sił; nie wiedział, ile jeszcze czasu podaruje mu Bóg. Otuchy dodawała jedynie myśl, że po latach niepewności przyszłość klasztoru, który przycupnął wysoko na skalnym atolu

na Morzu Egejskim, dwadzieścia kilometrów na południe od Grecji kontynentalnej, była bezpieczna.

Ojciec Yanni naciągnął na głowę kaptur habitu, po czym podpierając się laską, zszedł po kamiennych schodach na dziedziniec. Woń oliwy palącej się w lampkach w kościelnym przedsionku nieco łagodziła ostre, wilgotne morskie powietrze. Za plecami usłyszał kroki trzech czy czterech mnichów, którzy pozostali z pierwotnej kongregacji liczącej, kiedy tu przybył, sto dziewięćdziesiąt osób.

Wchodząc do kościoła tylnymi drzwiami, ponownie się przeżegnał i przez chwilę stał w pokornym milczeniu przed piękną ikoną Madonny z Dzieciątkiem. Błogosławiona Dziewica! Ochroniała ich wszystkich na tej wyspie. Teraz nagrodziła Yanniego za oddanie całego życia, przysyłając im Amerykanina, który ich ocali.

Ojciec Yanni zastanawiał się, czy Amerykanin dołączy do nich na jutrznię. Czasami siedział obok ojca, zazwyczaj w towarzystwie kilku nowicjuszy. W inne ranki Amerykanin, jak sam mu powiedział, wolał samotnie czuwać w swojej celi.

Widok nowicjuszy napełniał serce ojca Yanniego wielką radością: tacy łagodni, grzeczni młodzi ludzie. Tak szczerzy, bogobojni, oddani; modlili się żarliwie i z ferworem. Energia młodości!

Amerykanin nazywał się Harald Gatward. Opat wiedział, że jest dobrym człowiekiem, ale niewiele więcej. Tylko tyle, że do klasztoru sprowadziła go Najświętsza Paniienka, a więcej ojciec Yanni wiedzieć nie potrzebował.

Klasztor Perivoli Tis Panagias wybudowano w dziewiątym wieku na odległej odnodze Świętej Góry Athos, by mogli w nim znaleźć schronienie greccy mnisi prawosławni. Bracia wiedli tu ascetyczny żywot. Doczesne przyjemności były surowo zakazane – za ich pomocą Szatan rozprasza i sprowadza na złą drogę. Do takich zakazanych przyjemności zaliczano plotkowanie. Rozmowy ograniczały się do ważnych tematów. Bezmyślne gadanie prowadzi do niezadowolenia i grzechu.

Opat był jedynym mnichem na wyspie znającym trochę angielski, zresztą w stopniu ograniczonym, z mocno przestarzałym słownictwem. Domyślał się, że Amerykanin musi być bardzo zamożny. Kiedy Rada Greckiego Kościoła Prawosławnego podjęła decyzję, że nie może dłużej utrzymywać Perivoli Tis Panagias dla zaledwie pięciu mnichów i wystawiła wysepkę na sprzedaż, w nadziei że skusi dewelopera, który wybuduje na niej kurort, Amerykanin przelicytował wszystkich. Ten cudowny człowiek zapewnił opata, że z woli Bożej on i jego czterej bracia powinni w spokoju dożyć tu końca swoich dni.

Oczywiście wprowadzono pewne zmiany. Do największych należało zaliczyć nowe budynki oraz pojawienie się na wyspie kobiet. Mieszkały one jednak poza klasztorными murami i żadna nigdy nie przestąpiła progu kościoła ani refektarza.

...

W maleńkiej celi, skromniejszej nawet niż cela opata i oświetlonej pojedynczą świeczką, Harald Gatward uklęknął przy łóżku, ukrył twarz w dłoniach i połączył się z Panem w modlitewnym czuwaniu, które, z krótką przerwą na sprawdzenie maili, prowadził od dwudziestej trzeciej poprzedniego wieczoru.

Gatward był potężnie zbudowanym, dwumetrowym mężczyzną o byczym karku i dziecięcej twarzy zadającej kłam jego pięćdziesięciu ośmiu latom. Po obu stronach łysej głowy zwisały zmierzwione siwe włosy. Były pułkownik Pięćdziesiątego Pierwszego Pułku Powietrznego, został odznaczony za odwagę na polu bitwy w Wietnamie.

Jeszcze tego samego roku, na polu, gdzie dowiódł swej odwagi, trzymał w ramionach zwęglone ciało umierającej narzeczonej. Nadgorliwa załoga amerykańskiego helikoptera wojskowego bezwiednie zrzuciła kilkadziesiąt litrów samozapalającego się defoliantu na szpital polowy wraz

z personelem, kiedy Harald przyjechał, by zabrać Patty po dyżurze.

Wołając o pomoc, Patty pobiegła do niego z płonącym ubraniem. Płomienie obejmowały jej włosy, dłonie, nogi i twarz. Przewrócił ją na ziemię, zdarł z siebie ubranie i próbował zdusić ogień. Ten jednak, gdy tylko zgasł, zapalał się znowu niczym zabawkowa świeczka na torcie.

Później, długo po tym, jak płomienie zgasły i Patty zaczęła stygnąć, skóra nagle zsunęła się z jej piersi i rąk, jakby Harald pomagał jej zdjąć płaszcz.

– Dobry Boże – modlił się, teraz klęcząc przy łóżku. – Kiedy stworzyłeś człowieka, stworzyłeś go na swój obraz i podobieństwo. – Po krótkiej chwili milczenia powtórzył: – Dobry Boże, kiedy stworzyłeś człowieka, stworzyłeś go na swój obraz i podobieństwo.

Harald Gatward był przekonany, że żaden człowiek nie powinien umierać taką śmiercią jak Patty. Zabiły ją chemikalia. Ludzie majstrujący przy chemikaliach powodowali na świecie najróżniejsze problemy. Całe to gówno. To Szatan wkładał im do głowy wzory chemiczne. A teraz durny, zadufany człowiek majstrował już nie tylko przy chemikaliach, ale zabawiał się samym ludzkim życiem. Kombinował z genami.

Bóg przemawiał do Haralda Gatwarda od zawsze. Powiedział mu, jak zamienić majątek odziedziczony po ojcu, który dorobił się na produkowaniu w Azji części zamiennych do samochodów, na wielomiliardowe globalne imperium. Bóg powiedział mu, że dobrze jest pojechać do Wietnamu i walczyć za swój kraj. Na przestrzeni lat wyjawiał Haraldowi wiele tajemnic, zsyłał mu wizje i pokazywał drogę. To On przywiódł Haralda do klasztoru Perivoli Tis Panagias, by ocalił mnichów. Owszem, to było ważne, ale stanowiło jedynie małą część powodu, dla którego tu przybył.

Bóg wyjaśnił mu prawdziwy powód. Właśnie na tej wyspie Harald Gatward miał rozpocząć misję uwalniania świata od naukowców.

Słońce już nigdy nie zajdzie, a księżyc się nie umniejszy; Pan będzie twoim światłem na

wieki, a dni twego strapienia się skończą. Wówczas wszyscy twoi ludzie staną się sprawiedliwi i na zawsze wezmą ziemię w posiadanie. Oni są pędem, który posadziłem, są dziełem moich rąk dla mej chwały. Każda garstka was stanie się tysiącem, a najmniejsi potężnym narodem. Jam jest Pan: gdy wypełni się czas, uczynię to niezwłocznie.

Będziecie się nazywali Uczniami Trzeciego Tysiąclecia.

Naomi zjadła lunch z Rosie i tak zaabsorbowało ją opowiadanie o najświeższych wydarzeniach, że straciła rachubę czasu. Dziesięć minut spóźnienia. Cholera!

Wjechawszy do Caibourne w ulewnym deszczu, spostrzegła z ulgą, że nie jest ostatnia. Dwa duże wozy terenowe parkowały przed nią przed przytulnym, choć nieco zniszczonym domem przy wiejskim kościele, gdzie ostatnio dwa razy w tygodniu spotykały się matki z dziećmi. Przed domem stał już szereg aut.

Niedbale zaparkowała z jednym kołem na chodniku, pchnęła drzwi subaru, na które wiatr napierał z wielką siłą, i po namyśle wrzuciła do ust gumę do żucia, by pozbyć się zapachu alkoholu. Nie lubiła się spóźniać. Punktualność stanowiła jedną ze szwedzkich cech Johna, które się jej udzieliły.

Nie powinna była pić, skoro prowadziła, ale, kurczę, pomyślała, przez ostatnie dwa i pół roku nie miałam własnego życia. Teraz, gdy Luke i Phoebe trochę podrośli, znowu zamierzam żyć. Zresztą to były tylko dwa kieliszki do lunchu, w ciągu ponad dwóch godzin. Trudno to nazwać pijaństwem.

Na ścieżce do drzwi wejściowych lał deszcz, kłębiły się matki z dziećmi, plątały się parasole. Pozdrowiwszy kilka znajomych, Naomi precyzyjnie przecisnęła się przez tłum z pochyloną głową i schroniła się w domowym zaciszu.

Ściany holu zdobiły zawieszony jak dziecięce rysunki oraz kilka oprawionych certyfikatów. Przeciskając się przez tłum matek, które próbowały zakładać dzieciom kurтки, Naomi wkroczyła przez otwarte drzwi do głównej sali zabaw. Na mocno podniszczonej kanapie podskakiwała mała dziewczynka ze

słuchawkami walkmana. Inna dziewczynka bawiła się przy stole plastikowymi straszidłami i prehistorycznymi potworami. Dwaj chłopcy, jeden w zielonym kasku, drugi w czapce baseballowej założonej daszkiem do tyłu, ustawiali pojazdy na wielopoziomowym parkingu na podłodze.

Ani śladu Luke'a i Phoebe.

Przeciskając się z powrotem do zatłoczonego holu, Naomi dostrzegła jedną ze znajomych matek, która odnosiła się wobec niej bardzo przyjaźnie. Właśnie wciskała synka imieniem Nico w czerwoną kurteczkę.

– Cześć, Lucy! – powiedziała Naomi. – Okropna pogoda. Wrzesień jest zazwyczaj...

Lucy, w plastikowym kapeluszu przeciwdeszczowym i przemoczonej kurtce Barbour, pospiesznie skinęła jej głową i pociągnęła za sobą chłopca w stronę drzwi. Zanim Naomi zdążyła zareagować, stanęła przed nią prowadząca grupę Pat Barley, krępa kobieta o wesołym wyglądzie, ostrzyżona jak pod garnek, sporo od niej niższa.

– Dzień dobry, pani Klaesson – powiedziała. – Czy mogłybyśmy zamienić kilka słów?

– Naturalnie – odparła Naomi, nieco zdziwiona poważnym, oficjalnym tonem Pat. – Gdzie są Luke i Phoebe?

Natychmiast dostrzegła wyraz zakłopotania na twarzy kobiety.

– Tutaj, w małej sali – powiedziała Pat Barley, wskazując na drugie drzwi.

Naomi zajrzała. Luke i Phoebe, ze wzrokiem utkwionym przed siebie, siedzieli w całkowitym milczeniu na małej kanapie.

– Cześć, skarby – pozdrowiła dzieci.

Bliźniaki nie zareagowały.

Naomi zerknęła na Pat Barley, która dała jej znak ręką, by poszła za nią.

Weszły do kuchni, gdzie stał długi stół przykryty papierem poplamionym farbą, pełen styropianowych kubków z farbą i pomalowanych i posypanych brokatem figurek z ciastoliny.

Pomocnica wycierała gąbką czerwone i żółte smugi z twarzy małej dziewczynki.

– Proszę posłuchać, pani Klaesson, to dla mnie dość niezręczne – zaczęła Pat Barley, załamując dłonie i patrząc w podłogę. – Proszę nie rozumieć tego opacznie, ale niestety, były skargi.

– Skargi? – Radosny nastrój momentalnie opuścił Naomi.

– Niestety. – Pat Barley ścisnęła dłonie, jakby próbowała z nich coś wycisnąć. – Widzi pani, problem w tym, że dzisiejsi rodzice są bardzo wrażliwi. To nic osobistego... – Zawahała się. – Mój Boże... nie wiem, jak to pani powiedzieć. Wiem, że jesteście tu nowi i powinniśmy robić, co w naszej mocy, by pomóc wam się zaadaptować. Sęk w tym, że otrzymałam... cóż... nie jedną czy dwie skargi, ale z pięć.

– Na Luke’a i Phoebe?

– Tak.

– Jakiego rodzaju skargi?

W kuchni zapadło długie milczenie. Pomocnica, wysoka, chuda kobieta z dziwnym uśmiechem przyklejonym do ust, najwyraźniej podsłuchiwała, co dodatkowo wzmagало zakłopotanie Naomi.

– Chodzi o relacje Luke’a i Phoebe z innymi dziećmi. Należą do najmłodszych, ale nie wyglądają tak ani tak się nie zachowują. Są wyrośnięci jak na swój wiek, a ich zachowanie nie jest typowe dla dzieci w tym wieku. Z braku lepszego słowa powiedziałabym, że terroryzują innych.

– Terroryzują? Ależ to śmieszne! – wybuchła Naomi.

Pat Barley przytaknęła.

– Tak, wiem, że to brzmi śmiesznie, ale dziś przyglądałam się im przez cały czas i muszę stwierdzić, że zachowują się aspołecznie. Kiedy tylko tu przyszły, usiadły przy komputerze i nie dopuściły do niego innych dzieci. Ilekroć któreś z dzieci próbowało się do niego dostać, Luke lub Phoebe warczały na nie tak gwałtownie, że większość dzieci wybuchła płaczem. Zeszłym razem było tak samo. Pani dzieci nie chcą się dzielić z innymi

albo nie potrafią pojąć, że pozostałe dzieci również mają prawo bawić się wszystkim.

– Porozmawiam z nimi – obiecała Naomi. – Muszą się oduczyć samolubstwa. Naprawdę przepraszam, ja...

Pat Barley pokręciła głową.

– Przykro mi, ale sytuacja jest taka, że dwie matki nie przyprowadziły dziś swoich dzieci, ponieważ mieli tu być Luke i Phoebe. Kilka innych oświadczyło, że będą musiały przestać przyprowadzać dzieci. – Zrobiła niezwykle strapioną minę. – Naprawdę mi przykro. Wiem, że to okropne, ale muszę panią prosić o zabranie ich z tej grupy. Może proszę spróbować w starszej grupie. Z pewnością daliby sobie radę z pięcio- czy sześciolatkami. Niezmiernie mi przykro, ale nie są tu już mile widziane.

W drodze powrotnej Naomi obserwowała twarze dzieci w lusterku wstecznym. Przypięci pasami do fotelików, Luke i Phoebe siedzieli w milczeniu. Ilekroć na nie patrzyła, dwie pary oczu kierowały się na nią. Z trudem koncentrowała się na szosie.

– Mama nie jest z was zadowolona – powiedziała, trzęsąc się w środku od splątanych emocji. – Podobno nie byliście miłe dla innych dzieci. Czy to prawda, Luke? Phoebe?

Cisza.

Wyprzedziła dwóch rowerzystów.

– Luke? – rzuciła ostrzej. – Phoebe? Mówię do was. Zadałam wam pytanie. Oczekuję odpowiedzi. Tak czy nie?

Na tylnym siedzeniu trwało milczenie. Naomi skręciła na podjazd, podjechała pod dom i gniewnie zahamowała przed drzwiami. Wsiadła z samochodu.

– Chcecie się bawić? Świetnie, do cholery, to się bawcie.

Zatrzasnęła drzwi, zablokowała zamki i pomaszerowała do domu. Z werandy spojrzała na samochód. Deszcz lał się strumieniami; przez boczną szybę widziała nieruchomą postać Phoebe.

Potem weszła do domu i zatrzasnęła drzwi. Możecie tam czekać! Szlag by to! Zobaczycie, jak to jest, gdy choć raz nie postawicie na swoim. Muszę wam wpoić trochę dobrych manier, zanim zaczniecie wyrastać na dwoje bardzo niesympatycznych ludzi.

Odwiesiwszy mokry płaszcz na wieszak, podniosła z wycieraczki lokalną gazetę i powoli ruszyła do kuchni. Mętlik w głowie nie pozwalał się jej skupić na gazecie. Nalała wody do

czajnika, włączyła, wsypała kawę do kubka, usiadła i objęła głowę dłońmi, zastanawiając się, co robić.

Wyrzuceni z cholernej grupy. Ożeż!

Zadzwoiła do Johna, ale włączyła się poczta głosowa.

– Oddzwon – poprosiła. – Mamy problem. Muszę z tobą pomówić.

Woda zagotowała się, czajnik się wyłączył. Naomi siedziała w zamyśleniu. Zabrać ich z powrotem do psychologa, doktora Talbota, który uważał, że są bardzo bystre? Ktoś musi im pomóc, ta sytuacja...

Zadzwoił telefon. Licząc na Johna, wstała i chwyciła za słuchawkę.

– Słucham? – powiedziała ostro, świadoma gniewu w swoim głosie, ale nie dbała o to.

– Czy dodzwoniłem się do państwa Klaessonów? – usłyszała miły, dość nagły głos z amerykańskim akcentem.

– Tak.

– Chciałbym rozmawiać z panią Klaesson.

– Tak, to ja.

– Pani Naomi Klaesson?

Poczuła lekkie ukłucie niepokoju.

– Kto mówi? – spytała po chwili wahania.

– Czy rozmawiam z panią Naomi Klaesson?

– Chciałabym wiedzieć, z kim mówię.

Połączenie przerwano.

Wpatrywała się w słuchawkę, a gniew szybko zamienił się w przerażenie wypełniające brzuch. Odłożyła słuchawkę, poczekała na ciągły sygnał, potem wybrała jeden, cztery, siedem, jeden. Po chwili wysłuchiwała automatycznego głosu:

„Dzwoniono do państwa dzisiaj o piętnastej jedenaście. Nie mamy numeru osoby dzwoniącej”.

Przypomniała sobie, że John ma w gabinecie urządzenie do identyfikacji numeru, z którego dzwoniono. Gdy je odnalazła, ujrzała migającą czerwoną lampkę. Włączyła wyświetlacz. Na małym ekranie LCD pojawiły się słowa:

Poczuła dreszcz.

Jakby upiorna macka sięgnęła przez Atlantyk i owinęła się wokół jej duszy.

Czy rozmawiam z panią Naomi Klaesson?

Kim, do diabła, jesteś? Czego chciałeś?

Uczniowie? Uczniowie Trzeciego Tysiąclecia?

Naomi pobiegła do holu, chwyciła kluczyki do samochodu, wypadła na dwór, pilotem odblokowała centralny zamek, a gdy dobiegła do auta, szarpnęła tylne drzwi.

Luke'a i Phoebe nie było.

Czas się zatrzymał. Naomi patrzyła tępo na puste foteliki. Przerażona, powiodła wzrokiem po stodole z podwójną bramą garażową, spojrzała na dom i dziko falujące krzewy.

– Luke! – zawołała! – Phoebe!

Deszcz siekł ją z ogromną siłą.

– Luke! – zawołała głośniejszym, z panicznym strachem. – Phoebe!

Luke! Phoebe!

Podbiegła do ogrodzenia pastwiska i spojrzała na długą pustą drogę. W ciemnych krzakach łopotała biała plastikowa torba. Ani śladu dzieci. W skrajnej rozpaczycy zawróciła do domu.

– LUKE! PHOEBE!

Potykając się, pobiegła wzdłuż bocznej ściany domu, potem przez mokrą, rozmiękłą trawę, raz po raz wołając dzieci.

Sparaliżowana strachem, przemoczona, stanęła przed tylnymi kuchennymi drzwiami.

Dzieci zniknęły.

– Proszę, Boże, nie rób mi tego. Gdzie one są? Proszę, gdzie one są?

Wbiegła do domu, gdzie właśnie dzwonił telefon. Dała susa do gabinetu Johna, chwyciła słuchawkę.

– Tak, słucham?

John.

– One znikły! – krzyknęła. – Ktoś do mnie zadzwonił, a one znikły! Chryste...

– Kochanie? Co to znaczy? Znikły?
– DZIECI ZNIKŁY, JOHN, ONE, KURWA, ZNIKŁY. ZOSTAWIŁAM JE W SAMOCHODZIE PRZED DOMEM... BOŻE...
– Naomi, kochanie, powiedz mi, co to znaczy. Jak to znikły?
– ROZPŁYNEŃY SIĘ, GŁUPKU. TAK TO. KTOŚ JE ZABRAŁ.
– Ktoś je zabrał? Jesteś pewna?
– Sama nie wiem. Znikły.
– Kiedy? Gdzie... to znaczy, gdzie szukałaś?
– Wszędzie!
– Szukałaś w domu?
– One były na dworze, w samochodzie, na miłość boską!
– Sprawdź w domu. Przeszukałaś dom?
– Neeee – załkała.
– Naomi, kochanie, sprawdź w domu. Dokładnie przeszukaj dom. Nie rozłączam się, ale przeszukaj wszystkie pokoje.
Pobiegła do salonu. Potem na górę korytarzem; woda spływała jej po twarzy. Drzwi sypialni dzieci były zamknięte. Pchnęła je i zamarła.
Luke i Phoebe siedzieli na podłodze i w najlepsze budowali wieżę z klocków Lego.
Patrzyła na nich z mieszaniną ulgi i bezbrzeżnego niedowierzania.
– Znalazłam je – powiedziała. – Nic im nie jest. Znalazłam je.
– Nic im nie jest?
Wycofując się z pokoju, mówiła cicho:
– Wszystko w porządku.
– Gdzie byli?
Zdezorientowana, nic nie odpowiedziała. Czyżby przyprowadziła je do domu, zostawiła w sypialni i zapomniała?
Wykluczone.
– Gdzie one były? Kochanie?
– W swoim pokoju – warknęła. – W swoim cholernym pokoju.
– Nic im nie jest?
– Luke’owi i Phoebe? O, tak, John, wszystko z nimi w porządku. Wyrzucono je ze świetlicy, potrafią wydostać się

z samochodu z zablokowanymi drzwiami i nie odzywają się do mnie ani słowem. Jeśli to ma być w porządku, to są w jak najlepszym porządku. Nasze zaprojektowane genetycznie maleństwa mają się świetnie. Najwyraźniej przyszły na świat ze wszystkimi właściwymi genami.

– Odwołuję spotkanie i wracam do domu, skarbie. Będę za pół godziny.

– Idź na spotkanie. Nie odwołuj. Mamy już dość problemów. Idź na spotkanie.

– Mogę natychmiast wrócić do domu.

– Idź na swoje cholerne spotkanie, John! – wrzasnęła. – Twoje dzieci cię nie potrzebują. Nie potrzebują mnie. Nie potrzebują nikogo.

65

John usiadł na krześle w pokoju dziecięcym, przygotowując się do czytania im jak co wieczór. W ciągu minionych kilku tygodni przeczytał im *Grufolaka*, *Kubusia Puchatka*, *Kopciuszka*, *Rumpelsztyka* oraz historyjki z serii *Mister Men*.

Blizniaki leżały w milczeniu z otwartymi oczami; nie miały pojęcia, czy słuchają. Kiedy skończył, w żaden sposób nie zareagowały.

Pocałowałwszy dzieci na dobranoc, z ciężkim sercem zszedł na dół i zrobił sobie w kuchni drinka. Naomi rozmawiała przez telefon z matką.

Nagle przyszła mu do głowy dziwna myśl. Czyżby dzieci karały ich za to, co zrobili? Za manipulowanie ich genami? Natychmiast odegnał to niedorzeczne przypuszczenie. Z drinkiem w dłoni poszedł do gabinetu, usiadł przed laptopem i patrzył, jak wyświetla się kilkanaście nowych maili.

Jeden pochodził od przeciwnika szachowego, Gusa Santiano z Brisbane.

Cholera. Od ostatniego posunięcia Gusa musiał minąć tydzień. Z poczuciem winy John otworzył mail.

Ty sukinsynu! Skąd, do diabła, wytrzasnąłeś taki ruch? Łykałeś w tym tygodniu jakieś tabletki? Brałeś lekcje? Korzystałeś z pomocy Kasparowa? Zgadzam się, to mat. Twoja kolej, żeby zacząć nową partię.

John uniósł brwi. Czy ten facet się upił? Jego ostatnim posunięciem był obronny ruch pionkiem przeciwko wczesnemu

atakowi gościem. Czyżby Gus Santiano rozgrywał z kimś inną partię i pomieszały mu się ruchy?

Odpisał, że nie rozumie.

Ze zdziwieniem już po dziesięciu minutach otrzymał odpowiedź z załącznikiem.

Musisz mieć wczesnego alzheimera, John. Oto ruchy, które przysłałeś mi w zeszłym tygodniu.

John otworzył załącznik. Ze zdumieniem ujrzał sześć maili od siebie do Santiano, wysyłanych codziennie w ciągu ostatniego tygodnia, wraz z odpowiedziami.

Niemożliwe! Nie mógł tego zrobić i zapomnieć; wykluczone.

Za pomocą programu szachowego przeanalizował ostatnią partię. Ruchy, które przypisywał mu Gus Santiano, były inteligentne. Nawet bardzo.

Ale on ich nie zrobił.

Ponownie sprawdził maile. Wszystkie wysłano z jego komputera. Ale tylko on z niego korzystał; nawet Naomi nie, zresztą ona nie grała w szachy.

W zamyśleniu wyłowił z drinka oliwkę i zaczął żuć. Sześć ruchów. Czyżby haker? Niewykluczone, ale przecież nie zostawiał komputera połączonego z internetem ani tu, ani w pracy.

Otworzył folder WYŚLANE i znalazł wszystkie te maile. Zaznaczył jeden i sprawdził źródło. Wysłano go z jego komputera w zeszłą sobotę o drugiej czterdzieści pięć. Następny w niedzielę o trzeciej. Kolejny w poniedziałek o drugiej czterdzieści osiem. Następne o podobnych godzinach we wtorek, w środę i czwartek, czyli dzisiaj.

Czyżbym wariował? Lunatykuję i gram w szachy?

Jednym haustem wypił większość martini, ale w głowie nie zaszumiało mu tak jak zawsze po szybko wypitym drinku. W środku nocy ktoś grał za niego w szachy, korzystając z jego komputera. Albo haker, albo...

Utkwił wzrok w suficie. Jasne, John, twój syn i córka, które mają dwa i pół roku, w środku nocy zakradają się na dół i grają w szachy, tłukąc półfinalistę zeszłorocznego otwartego turnieju w Queensland. Potrafisz to wyjaśnić?

Nie potrafił. Nie miał żadnych wyjaśnień. Zabito mu ćwieka.

– Nie chciałam cię jeszcze bardziej niepokoić, ale po południu odebrałam dziwny telefon – powiedziała z wahaniem Naomi. – To pewnie nic takiego.

John przeżuwał kęs dorsza. Podobnie jak niemal wszystko, czego dotykała w kuchni, przyrządziła go znakomicie. Jednym uchem słuchając wiadomości w telewizji, odparł:

– Dlaczego dziwny? A tak przy okazji, to jest pyszne.

– Dzięki. Wypróbuję nowy przepis. Sos grzybowy nie jest za ciężki?

– Nie, to naprawdę doskonałe. Kto dzwonił?

– Ktoś ze Stanów. Pytał, czy to dom Klaessonów i czy jestem Naomi Klaesson. Mężczyzna. Potem się rozłączył.

John spojrział na żonę, teraz już w pełni skoncentrowany na jej słowach.

– Kiedy to było?

– Około piętnastej.

– Nie przedstawił się?

– Nie.

John skierował wzrok na okno. Niepokój podniósł się w nim niczym muł we wzburzonym stawie.

– Piętnasta? Masz pojęcie, skąd dzwonił?

– Sprawdziłam. Wyświetliło się tylko: „międzynarodowa”. Czemu pytasz?

John obliczał w myślach. Czas Wschodniego Wybrzeża. Czas centralny. Czas pacyficzny. Wczoraj w biurze odebrał podobny telefon. Jakiś młody człowiek spytał z amerykańskim akcentem, czy rozmawia z doktorem Klaessonem. Kiedy John potwierdził,

tamten się rozłączył. W gabinecie siedział kolega i choć przez chwilę John niepokoił się dziwnym telefonem, wkrótce w ferworze pracy o nim zapomniał.

Teraz niepokój wrócił z pełną mocą.

Tajemniczy rozmówca telefonował do niego o czternastej czterdzieści pięć. Na Zachodnim Wybrzeżu była wtedy szósta czterdzieści pięć. Na Wschodnim dziewiąta czterdzieści pięć. Może Nowy Jork? Mógł dzwonić z każdego miejsca. Reporter próbujący tropić dalej historię Dettorego? Może. Należało mieć nadzieję, że tylko tyle.

Ale reporter zadzwoniłby ponownie.

John odkroił kawałek ryby, zanurzył w sosie i zastanawiał się, czy powiedzieć żonie. Po chwili uznał, że po przejściach w świetlicy nie jest to dobry moment, by mówić jej o telefonie. Ani o ostatniej partii szachów z Gusem Santiano.

– Ile urosła Phoebe w ciągu ostatniego roku? – spytał, żeby zmienić temat.

– Sześć centymetrów.

– Tak samo jak Luke?

– Tak.

– A ile razy miesiączkowała?

– Raz.

– Pigułki najwyraźniej działają – stwierdził.

– Na razie.

– Tak, na razie. Co oznacza, że mogą działać nadal. Jeśli tak, Phoebe nadal będzie rosła normalnie. Zgadza się?

Naomi niechętnie skinęła głową.

– Zachowajmy optymizm.

Po kolacji John poszedł do gabinetu. Nigdy nie zawracał sobie głowy zabezpieczaniem laptopa hasłem, ale teraz wszedł w panele kontrolne i je utworzył.

Następnie wrócił do programu szachowego, wykonał pierwsze posunięcie nowej partii z Gusem Santiano i wysłał. Potem usiadł do pracy.

Kilka minut po północy zamknął komputer i poszedł do kuchni, by wsłuchać się w głośnik niani elektronicznej. Dobiegały jedynie miarowe oddechy śpiących bliźniaków. Na palcach zakradł się na górę, otworzył drzwi do pokoju Luke'a i Phoebe i zajrzał.

W słabym świetle lampki w kształcie Boba Budowniczego widział ich oboje, pogrążonych w głębokim śnie. Posłał dzieciom po całusie, po czym poszedł do sypialni. Naomi spała przy zapalanej lampce nocnej, z otwartą książką na kołdrze. Gdy wszedł, poruszyła się.

– Czas na kąpiel? – spytała przez sen.

– Jest tuż po północy.

– Śniło mi się, że ciebie i mnie gonią Luke i Phoebe. Oni jechali samochodem, my na rowerach. Powtarzali, że nie chcą nas skrzywdzić, bo nas kochają, ale jeśli nie będziemy mocniej pedałowac, będą musieli nas rozjechać.

Pochylił się i pocałował żonę.

– To mi wygląda na klasyczny sen lękowy.

– Straszne. Mówiłam im na okrągło: „Jesteście naszymi dziećmi, macie nas kochać, a nie rozjeżdżać samochodem”.

– I co one na to?

– Tylko chichotały.

– Zaśnij – powiedział łagodnie, rozebrał się, włożył szlafrok i poszedł do łazienki umyć zęby.

Po powrocie do sypialni, zamiast położyć się do łóżka, z szuflady stolika nocnego wyjął latarkę, zgasił lampkę Naomi i najciszej, jak umiał, zszedł do gabinetu.

Przyświecając sobie latarką, rozwinął śpiwór, który wcześniej wyjął z szafy na pościel, wczołgał się do niego i ułożył na małej kanapie.

O piątej rano, po kilku godzinach niespokojnego snu, obolały od skurczu, zrezygnował z czuwania i poszedł do łóżka.

Uczeń był szczęśliwy. Strach w głosie grzesznicy brzmiał słodko. *Niech twoje serce nie zazdrości grzesznikom, lecz zabiega tylko o bojaźń Pańską⁷.*

Strach grzesznicy wciąż krążył w jego żyłach, dodawał mu energii niczym paliwo. Dawał Uczniowi moc i siłę; był tak wspaniały, że kusilo go, by zadzwonić do niej znowu i sycić się jej strachem. Ale to byłoby chciwością, chciwość zaś stanowiła grzech. Bóg okazał mu dobroć, pokazując miejsce zamieszkania grzeszników. Nie wolno odpłacać Mu folgowaniem sobie.

Tak więc Uczeń, napawając się strachem pani Naomi Klaesson, usiadł przy biurku z otwartym laptopem, wszedł do internetu i wybrał stronę Google Earth. Na ekranie pojawiła się kula ziemiska.

Przesuwając kursorem, wpisał nazwę Sussex, kliknął i powiększył, aż ekran wypełniło hrabstwo Sussex i fragmenty sąsiednich. Chciwie pożerał wzrokiem nazwy miejscowości w pobliżu domu grzeszników.

Worthing. Brighton. Lewes. Eastbourne.

Uczeń nigdy nie był w Anglii. Przypomniał sobie, że w Ameryce jest Brighton – Brighton Beach. Poza tym nazwy nic mu nie mówiły. Sussex i nazwy miasteczek wyglądały na ekranie tak namacalnie, tak realnie, że czuł, jakby mógł je schować w sercu.

Wtedy wpisał Caibourne.

Caibourne! Wymówił nazwę na głos, powtórzył.

– Caibourne!

W tej chwili był to najśłodszy dźwięk na świecie.

Uczeń powiększył obraz, aż ujrzał zdjęcie z lotu ptaka przedstawiające skupisko domów. Jeden z nich należał do Johna i Naomi Klaessonów. Po wpisaniu kodu pocztowego powiększył jeszcze bardziej.

Podniecony, triumfalnie wyrzucił w górę pięść. Po chwili poczerwieniał ze wstydu. Takie uleganie uczuciom było niedobre. Musiał się opanować. Na razie wszelkie emocje były zakazane. Na radość przyjdzie czas później.

*Którzy we łzach sieją, żąć będą w radości*⁸.

Ale przecież odrobina przyjemności nie może być grzechem, prawda? Tu, w mieszkaniu, które znalazł dla niego Bóg, w niskim budynku zamieszkanym głównie przez starsze osoby pilnujące własnego nosa, na cichych przedmieściach Rochester w stanie Nowy Jork, właśnie to odczuwał teraz Timon Cort.

Boską przyjemność.

Wiele czasu upłynęło, odkąd zszedł z góry w Kolorado w rynsztoki dolin i równin. Dwa i pół roku temu po raz pierwszy wszedł do kafejki internetowej w Boulder w Kolorado, by pobrać instrukcje. Imiona pierwszej pary i ich pomiotu, których miał zabić, oraz miejsce, gdzie miał odebrać kolejne polecenia.

Teraz pozostawał do spełnienia tylko jeden czyn, by Wielki Rytuał się dopełnił. Wtedy zostanie pełnoprawnym Uczniem, a Bóg da mu w nagrodę piękną kochającą Larę, która cierpliwie czekała na niego przez dwa i pół roku i będzie czekała tak długo, jak będzie trzeba. Potem dożyją kresu swoich dni w Raju, po prawicy Boga.

Od tamtej pory upłynęło wiele czasu, a zarazem czas stał w miejscu. Timon Cort nadal strzygł włosy bardzo krótko i nosił prosty strój jak wszyscy Uczniowie: luźną białą koszulkę, szare bawełniane spodnie i plastikowe sandały. Dni upływały mu na modlitwie, lekturze Biblii, skromnych posiłkach i powtarzaniu z pamięci Czterdziestu Traktatów.

Na spotkania z ludźmi miał garnitur, krawat i czarne mokasyny, ale oprócz ubrań i Biblii jego cały dobytek stanowił solidny laptop, za pomocą którego kontaktował się

z Nauczycielem. Również przez laptop informowano Ucznia o postępach Wielkiej Misji Zbawienia.

Technologia zawarta w komputerze dawała mu moc. Do powstania tego urządzenia przyłożył rękę Bóg. Bóg rozumiał, że człowiek potrzebuje broni do walki z Szatanem.

Przygotuję niszczycieli na ciebie, każdego ze swym sprzętem, by ścięli najlepsze z twoich cedrów i rzucili w ogień⁹.

Naomi Klaesson pochodziła z Anglii. Właśnie tam grzesznicy rozpoczęli wspólne życie. Teraz spotka ich tam kres!

W hrabstwie Sussex. W wiosce Caibourne.

W domu, na który właśnie patrzył.

Timon Cort uklęknął i złożył przed twarzą dłonie w błagalnym geście. Po twarzy płynęły mu łzy radości.

– Dziękuję, Boże, za pokazanie mi, gdzie mieszkają.

On możnych obraca wniwecz, unicestwia władców ziemi. Ledwie ich wszczepiono, ledwie posiano, ledwie się w ziemi pień ich zakorzenił, On powiał na nich i pousychali, a wichur gwałtowny porwał ich jak słomkę¹⁰.

John, z futerałem aparatu fotograficznego na szyi, stał w środku. Luke, w futrzanej kurtce, stał po jego lewej, Phoebe, w płaszczyku z grubego sukna, po prawej. Za nimi skakały w klatce dwa wrzeszczące gibony.

John mocno trzymał małe dłonie dzieci w rękawiczkach. Bliźniaki zostały porządnie opatulone przed ostrym listopadowym wichrem. Deszcz ze śniegiem fruwał wokół nich jak popiół. W powietrzu unosił się kwaśny odór odchodów i karmy dla zwierząt zmieszany z wonią smażonej cebuli i burgerów.

Naomi wycelowała aparat. Wiatr wyrywał jej kosmyki włosów spod czapki.

– Dobra! Uśmiech! Luke, Phoebe, wszyscy się uśmiechamy!

Patrzyła przez obiektyw, jak mąż uśmiecha się szeroko. Dzieci się zawahały; bezgłośnie coś jej odpowiedzieli, po czym, budząc bezgraniczny zachwyt Naomi, wyszczerzyli zęby w uśmiechu. Kliknęła, opuściła aparat i spojrzała na niego zdziwiona.

– Nie jestem pewna, czy się zrobiło – powiedziała. – Nie słyszałam piknięcia.

– Spróbuj jeszcze raz, kochanie.

– Dobrze. Jeszcze raz, gotowi?

Mimo chłodu oraz faktu, że widok zwierząt w zoo zawsze budził jej niepokój, tego popołudnia czuła się szczęśliwa. Dzieci naprawdę uśmiechały się do zdjęcia! Po raz pierwszy miała szansę zrobić fotografię, na której się uśmiechały.

Ponownie ich skadrowała, ustawiła zoom i zawołała, żeby spojrzeli w obiektyw.

– Doskonale! – rzuciła i oddała aparat mężowi.

Ten kliknął przycisk i pokazał zrobione zdjęcie Luke’owi i Phoebe.

– Widzicie tych dwoje małych ludzików? – spytał. – Kim oni są?

Luke przyglądał się obrazowi. Phoebe odwróciła się, bardziej zainteresowana małpami.

– Widzisz? – dopytywał się John.

Syn spojrział na niego szeroko otwartymi, zgnębionymi oczami, które zdawały się mówić: „Tak, widzę, ale o co tyle szumu?”.

– Stań z nimi, kochanie, zrobię zdjęcie waszej trójki.

– Poszukajmy innego tła – zaproponowała Naomi.

– Dobra.

Luke i Phoebe uwolnili ręce i pomaszerowali z powrotem do klatki z gibbonami.

– Nie podchodźcie zbyt blisko, kochani – zaniepokoiła się matka, pospieszyła za dziećmi i objęła je opiekuńczo. Bliźniaki chichotały, ogromnie z siebie zadowolone, a potem powiedziały do siebie coś, czego nie zrozumiała. Brzmiało jak ten ich szyfr.

Po paru minutach wyczuła, że przestają się interesować małpami.

– Co byście chciały teraz zobaczyć?

– Może sowy? – podsunął John. – Chcecie zobaczyć sowę? Czasami słyszymy je w nocy. Chcecie zobaczyć, jak wygląda sowa?

Dzieci niemal jednocześnie przytaknęły. Pochwycił spojrzenie żony; wymienili uśmiechy.

John ujął małą, kruchą i ciepłą rączkę Luke’a, drugą dłoń podał Phoebe. Naomi trzymała dziewczynkę za drugą rękę. Mroźny wiatr dął z wielką siłą, ale John prawie go nie czuł, bo rozgrzewało go bezbrzeżne szczęście. W końcu, po tak długim czasie, zaczynał nawiązywać kontakt z dziećmi. Reagowały na to miejsce, cieszyły się z wyprawy do zoo; najwyraźniej wychodziły z tej dziwnej przestrzeni, w której dotychczas przebywały.

– Podczas gdy cała rodzina kopie w ziemi, opala się, bawi, jedna surykatka zawsze stoi na straży. – Naomi zwróciła się do dzieci. – Luke, Phoebe, widzicie tę, która na nas patrzy? Właśnie ona jest strażniczką!

Chłopczyk zachichotał. Jego siostra, również się śmiejąc, pokazała ręką.

– Sukatka!

– Surykatka! – poprawiła Naomi.

– Sukatka! – wrzasnął Luke.

Potem obejrzeliby sowy i długo przyglądali się śpiącemu do góry nogami leniwcowi.

– Chciałbyś umieć wisieć głową w dół, Luke?

Phoebe znów zachichotała, powiedziała coś do brata, a on zaniósł się śmiechem.

John i Naomi wymienili spojrzenia. To wspaniałe! Zdumiewające! Po prostu zdumiewające! Może nasze obawy były bezpodstawne.

Znowu wyszli na dwór, obejrzeliby lamy, wielbłądy, niedźwiedzie, weszli do pawilonu owadów, gdzie stanęli przed szklanym terrarium z dwiema tarantulami. Luke i Phoebe szybko się cofnęli i mocno ścisnęli Johna za ręce.

– Nie przepadacie za nimi? Ja też nie.

– Ani ja. – Naomi się wzdrygnęła.

Rodzina ruszyła dalej i przystanęła przed wielkim szerszeniem wschodnioafrykańskim.

John przyklęknął i szepnął do syna:

– Powiedz, co sądzisz o robalach? Widzisz te? Są większe niż osa, którą zabiłeś zeszłego lata. Pamiętasz?

Na moment nawiązał kontakt wzrokowy z chłopcem, ale ten zaraz spojrział w bok, jakby uchylał się przed odpowiedzią.

– Jesteście głodni? Chcecie coś przekąsić? Lody? Macie ochotę poszukiwać złota? Pobawić się w wannie z bąbelkami? Przejechać się kolejką?

– Ldy – powiedziała Phoebe.

– Ldy – zawtórował Luke.

Kupili im po wielkim rożku lodów z czekoladową posypką. Po chwili John i Naomi mieli pełne ręce roboty, bo musieli wycierać lepkaż mał z dziecięcych buzi. John mocno przytulił żonę, ona odwzajemniła uścisk. Nagle, gdy tak stał, z wiatrem siekącym go w twarz deszczem ze śniegiem i piachem, poczuł niemal deliryczne szczęście. Wreszcie mógł się cieszyć życiem tak bliskim ideału, jak to tylko możliwe. Ubóstwiana żona, dwoje pięknych dzieci. Wspaniale rozwijająca się kariera.

Widok poplamionej czekoladą buzi Luke'a zanurzającej się w rożku, Naomi ocierającej lody z noska Phoebe wzbudził w nim radość, o jakiej nie sądził, że jest dostępna człowiekowi.

Po chwili jednak powróciły cienie. Uczniowie Trzeciego Tysiąclecia. Tajemniczy haker, który wysyłał za Johna maile do Gusa Santiano. Osobliwe telefony, które on i Naomi odebrali w zeszłym tygodniu.

Na chwilę, na te kilka drogocennych godzin, gdy byli po prostu zwykłą rodziną na spacerze, John odpędził troski.

W poniedziałek rano Uczeń ubrał się ciepło. W nocy temperatura spadła do dwudziestu sześciu stopni poniżej zera, w dzień miała wzrosnąć do minus szesnastu. Włożył grube dżinsy, buty z futrem, sweter, ciężki bezrękawnik, kurtkę z misiem, czapkę z pomponem, wełniane rękawice, zarzucił plecak i wyszedł z mieszkania.

Przez zamarznąłą breję ruszył do oddalonego o dziesięć przecznic dworca autobusowego Greyhounda, gdzie nabył bilet w jedną stronę do Nowego Jorku. Jedną z zasad obowiązujących Uczniów zakazywała posiadania biletu powrotnego. Jeśli wpadniesz w ręce Nieprzyjaciela, niech posiada jak najmniej informacji.

O szesnastej, w szybko zapadającym zmroku, Timon Cort wysiadł z autobusu na Times Square, kupił mapę miasta, po czym piechotą ruszył Broadwayem. Szedł ostrożnie, jak najmniej oddychając, jak człowiek idący kanałem ściekowym. Po niespełna dziesięciu minutach dotarł do kafejki internetowej, którą poprzedniego dnia znalazł w necie.

Zalogował się i zabrał do zakładania konta na Hotmailu; podał fałszywe nazwisko i inne dane. Już wcześniej postanowił, że połączy imię starotestamentowe z nowym. *Joel Timothy*, wstukał.

Pierwszego maila zaadresował na pierwsze konto w całym łańcuchu, który miał go przepuścić przez skomplikowaną sieć kilkudziesięciu anonimowych serwerów, aby ukryć pierwotne źródło. W końcu napisał główną wiadomość.

Jeśli wzbiję się na skrzydłach świtu, jeśli wyląduję za morzem, nawet tam Twoja dłoń będzie mnie prowadzić, Twoja prawica będzie mnie mocno wspierać.

Wysłał maila, zapłacił za skorzystanie z sieci, wyszedł z kafejki i wtopił się w tłum. Idąc, co kilka minut oglądał się przez ramię. Pewien, że Bóg kroczy wraz z nim, nigdy dotąd się nie denerwował, ale może nadzieja, że oto czeka go ostatnie zadanie, burzyła wewnętrzny spokój.

Zrób to, a potem Lara.

Tylko to.

Od tak dawna jej nie widział, tyle czasu upłynęło, odkąd trzymał ją w ramionach. Zdarzało się, że – nawet z Bożą pomocą – z trudem przypominał sobie jej twarz, musiał więc wyjmować z portfela pomięte zdjęcie i znowu uczyć się jej na pamięć. Ilekroć to robił, serce skręcało mu się z bólu.

Teraz jednak nie powinien się koncentrować na Larze, ale na miejscu, w którym się znajdował.

Otoczające Ucznia hałasy rozpraszały go. Szum opon niekończącej się rzeki żółtych taksówek, jazgot klaksonów, basowy łoskot muzyki z głośników sklepu z płytami, łomot muzyki z głośników w furgonetce z przyciemnionymi szybami, bicie otaczających go serc, stukot skórzanych podszew na chodniku, szelest ubrań.

Zakrył uszy dłońmi i wszedł do autobusu. Silnik zawył. Uczeń słyszał dochodzący z tyłu nieprzerwany wizg ze słuchawek odtwarzacza MP3. Odwróciwszy się, napotkał twarde spojrzenie potężnie zbudowanego czarnoskórego z szatańskim symbolem ankh wytatuowanym na czole. Mężczyzna mówił do siebie. Uczeń odwrócił się twarzą do kierunku jazdy, zamknął oczy, wyparł wszystko prócz kołysania autobusu i do końca jazdy powtarzał Ojciec Nasz.

W Central Parku poczuł się lepiej. Szedł ścieżką, z dala od zapachów i dźwięków rynsztoka, z dala od człowieka ze znakiem ankh. I oni nazywali to miastem! Jak śmieli? Było tylko jedno miasto – Miasto Boga.

Przystąpiliście do Boga, który sędzi wszystkich, do duchów sprawiedliwych, które już doszły do celu, do Pośrednika Nowego Testamentu – Jezusa, do pokropienia krwią, która przemawia mocniej niż krew Abła¹¹.

Doktor Sheila Michaelides była drobną, energiczną, bardzo pewną siebie kobietą po czterdziestce, o oliwkowej cerze i prostych czarnych włosach; nosiła okulary w kwadratowych oprawkach. Ubrana schludnie w obcisły sweterek, kremową bluzkę i brązowe spodnie.

Gabinet z przeszklonymi drzwiami wychodzącymi na zadbane, otoczony murem ogród znajdował się na tyłach imponującego wiktoriańskiego domu z czerwonej cegły, który podzielono na gabinety lekarskie. Spore pomieszczenie z wysokim stiukowym sufitem umeblowano w kontraście do architektury: nowoczesne sosnowe biurko z komputerem i oprawionymi zdjęciami dwójki roześmianych dzieci, kanapy po obu stronach sosnowego stolika, przy którym siedzieli pani psycholog dziecięca, John i Naomi.

Naomi zastanawiała się, czy każdy pediatra i psycholog dziecięcy musi ozdabiać swój gabinet przesłodzonymi zdjęciami maluchów.

John przedstawiał doktor Michaelides historię Luke'a i Phoebe, oczywiście z pominięciem roli Dettorego. Naomi uzupełniała szczegóły. Opowiedzieli historię z osą, wspomnieli o osobliwym języku dzieci, opinii Reggiego Chetwynde-Cunninghama o talentach lingwistycznych bliźniaków, mówili o ich podnieceniu podczas sobotniej wyprawy do zoo oraz jeszcze większej ekscytacji wczoraj, w niedzielę, gdy udali się do sklepu ze zwierzętami i kupili dzieciom po śwince morskiej.

John ani słowem nie wspomniał o swoich podejrzeniach, że dzieci mogą w nocy grać w szachy na jego komputerze, ponieważ

na razie zataił to przed żoną.

Kiedy skończyli, neutralne zachowanie Sheili Michaelides nieco się zmieniło. Spojrzała na Johna i Naomi wyraźnie sceptycznie.

– Ten język, którym jakoby się posługują... Naprawdę w to wierzycie?

– Zdecydowanie tak – potwierdził John.

– To, co mi mówicie, jest po prostu niewiarygodne.

– Z pewnością – przyznała Naomi. – O ile nie jest to pewna forma autyzmu...

Psycholog pokręciła głową.

– Nawet gdybyście mieli jedno dziecko z autyzmem, zdolne do niezwykłych wyczynów matematycznych, jest niewiarygodne, by coś takiego występowało u dwojga dzieci.

– Nawet u bliźniaków jednojajowych?

– Luke i Phoebe nie są bliźniakami jednojajowymi – powiedziała Sheila Michaelides.

– Więc jak to pani tłumaczy? – zapytał John.

– Jesteście pewni, że to nie jest myślenie życzeniowe. – Psycholog przekrzywiła głowę.

– Co pani ma na myśli? – rzuciła Naomi wyzywająco.

Doktor Michaelides przyjrzała się własnemu paznokciowi.

– Sposób, w jaki opowiadacie o swoich dzieciach, sugeruje, że jesteście niezwykle ambitnymi rodzicami. Pan jest pracownikiem akademickim, doktorze Klaesson, pani zaś jest bez wątpienia bardzo inteligentną kobietą. Czuję, że oboje macie wielkie oczekiwania wobec dzieci. Czy to słuszny wniosek?

– Nie mam żadnych oczekiwań – zapewniła pośpiesznie Naomi, wyprzedzając męża.

– Chcemy tylko, żeby były normalne – dodał John.

– I zdrowe.

Pani psycholog przygryzła paznokieć.

– Straciliście syna, kiedy miał cztery lata – przypomniała im. – Uwielbialiście go. Jesteście pewni, że nie szukacie w bliźniakach czegoś, co by go przebiło, jakiejś kompensacji?

– Ależ to śmieszne! – wybuchła Naomi. – Po prostu śmieszne!

– Całkowicie! – zgodził się John. – Proszę posłuchać: staramy się zrozumieć nasze dzieci, dlatego tu przyszliśmy, a pani najwyraźniej nas atakuje.

– Nic podobnego. Próbuję tylko powiedzieć, że to, co opowiadacie o dzieciach mówiących od tyłu, z pominięciem co czwartej litery, jest zupełnie niemożliwe! Nie znamy takiego modelu! Przypisujecie swoim dzieciom talenty językowe, jakich nie posiada żaden człowiek na świecie. Zastanówcie się tylko nad prawdopodobieństwem.

– Proszę więc podać nam własne wytłumaczenie – zaproponował John.

– Nie mam żadnego. Proszę mi wierzyć, chciałabym mieć, ale nie mam. – Psycholog spojrzała twardo na nich oboje.

Pod wpływem jej badawczego spojrzenia Naomi poczuła się nieswojo.

– Jakim cudem lingwista może mówić nam jedno, a pani coś innego?

Doktor Michaelides w zamyśleniu skinęła głową.

– Czy któremuś z was mówi coś termin „ograniczenie epistemologiczne”?

– „Ograniczenie epistemologiczne”? – powtórzyła Naomi, kręcąc głową.

– Owszem, znam ten termin – odparł John.

– Czy mógłby pan go wyjaśnić żonie?

Wzruszył ramionami i po chwili wahania zwrócił się do Naomi:

– Oznacza to mniej więcej tyle, że ludzka inteligencja jest ograniczona. Że ludziom dany jest pewien maksymalny pułap inteligencji. Istnieją ograniczenia biologiczne, podobnie jak w przypadku innych aspektów ludzkiej egzystencji.

John spojrzał na panią psycholog, oczekując potwierdzenia. Ta skinieniem głowy dała znak, by kontynuował.

– Weźmy na przykład bieg na tysiąc pięćset metrów. Rekord wynosi nieco poniżej trzech i pół minuty. Wiemy, że można

poprawić wynik o kilka sekund, ale żaden człowiek nie przebiegnie tego dystansu w minutę. Pewnie nawet nie w trzy minuty. – Czując się niezręcznie, spojrzał na Naomi.

Dzieci, przy których manipulował doktor Dettore, dałyby radę, mówiła jej twarz.

– Podobnie jest ze wzrostem – ciągnął John. – Większość ludzi plasuje się w pewnym przedziale. Owszem, zdarzają się wyjątki, ale dwa i pół metra to chyba górna granica, nie spotkasz człowieka pięciometrowego. – Spojrzał na psycholog. – Jeśli dobrze rozumiem, sugeruje pani, że dokonanie językowe Luke’a i Phoebe można porównać z przebiegnięciem tysiąca pięciuset metrów w minutę czy z pięciometrowym wzrostem?

– Otóż to.

Pochwycił spojrzenie żony i gwałtownie odwrócił wzrok. Dotychczas nie zdawał sobie w pełni sprawy ze znaczenia tego, co robią bliźniaki, a teraz, gdy to do niego dotarło, nie był pewien, co właściwie czuje.

– Więc dlaczego Chetwynde-Cunningham nie powiedział ci o tym? – spytała Naomi.

John spojrzał na żonę, potem na doktor Michaelides, znowu na Naomi.

– Powiedział. Dokładnie to powiedział. Sądziłem, że może przesadza, ale teraz rozumiem, że nie.

– Twierdzi pani, że nasze dzieci dokonują wyczynu matematycznego, do jakiego nie jest zdolny żaden człowiek.

– Żaden człowiek, który dotychczas żył, pani Klaesson. – Psycholog patrzyła na małżonków z powątpiewaniem. – Sądzę, że teraz powinnam się spotkać z Lukiem i Phoebe. Najlepiej, gdybym mogła przyjrzeć się im w świetlicy.

Naomi poczuła, jak płoną jej policzki.

– Przyszliśmy do pani głównie dlatego, że... – Wzrokiem poszukała wsparcia u męża, po czym znów spojrzała na doktor Michaelides. – Poproszono nas, żebyśmy nie przyprowadzali ich więcej do świetlicy.

– Tak, ale sądzę, że mogłabym zamienić słówko z dyrektorką i poprosić, by pozwoliła im wrócić na czas obserwacji. Robiłam to już kilkakrotnie i raczej nie było problemów.

– Będziemy wdzięczni za każdą pomoc – zapewniła Naomi.

Po wyjściu Klaessonów doktor Michaelides przepisała notatki na komputerze. Przeczytała też faks od doktora Rolanda Talbota.

Apodyktyczni, ambitni rodzice.

Ojciec kompensuje długie godziny pracy, nazywając je „czasem wysokojakościowym”.

Inteligentni ludzie. Doktor Klaesson to typowy pracownik akademicki. Intelktualnie góruje nad żoną, choć ustępuje jej obyciem. Te bzdury o języku to wyraźny przejaw ambicji w stosunku do Luke’a i Phoebe. Duże niebezpieczeństwo, że ich postawa wyrządzi dzieciom krzywdę – widać to już w zachowaniu bliźniaków. Może doprowadzić do lęku przed szkołą.

Czy wycofanie bliźniaków wskazuje na przemoc? Rodzice niewątpliwie coś ukrywają – widać to w ich mowie ciała.

Podobnie jak wiele klasztorów na półwyspie Athos, Perivoli Tis Panagias był wielkim skupiskiem budynków w rozmaitych stylach architektonicznych, otoczonych klasztornymi murami. W średniowieczu biedni mnisi mieszkali w celach w głównym budynku, podczas gdy zamożniejsi przybysze stawiali własne domy – najczęściej z drewna lub kamienia – i malowali je według uznania.

Patrząc przez okno celi na brukowany dziedziniec, nad którym górował kościół z kopułą – z przylegającymi po jednej stronie domami pasującymi raczej do San Francisco czy Bostonu, po drugiej z murami zwieńczonymi wieżyczkami i blankami – Harald Gatward myślał, jak często zdarzało mu się podczas kontemplacji, że w nocy to miejsce przypomina opuszczone studio filmowe.

Tyle że klasztor nigdy nie był opuszczony. Duch Boży nigdy go nie opuszczał; czujnie strzegły go oczy ich umiłowanego Anioła Stróża – Najświętszej Paniienki.

Ojciec Yanni rzadko pozwalał, by intruzi przekraczali wysoką bramę klasztorną. Zgodnie z monastyczną tradycją gościnności, pielgrzymi byli oczywiście mile widziani, ale opat przypominał sobie, że od dwudziestu lat, może nawet dłużej – musiałby sprawdzić w księdze – żaden pielgrzym nie przepłynął statkiem dwudziestu kilometrów dzielących klasztor od lądu. Czasem przepływał statek pasażerski lub jacht, ale te zawsze trzymały się z daleka, choć opat podejrzewał, że bardziej z powodu czterech nieoznakowanych podwodnych raf niż z szacunku dla prywatności mnichów.

Jednym z ustępstw, na które zezwolił, był laptop, stojący obok Biblii na prostym drewnianym stole w ciasnej celi Haralda Gatwarda. Ojciec Yanni uważał, że to dziwna prośba, ale kimże on był, by odmawiać czegokolwiek Amerykaninowi, którego przysłała tu Najświętsza Maria Panna, by ocalił ich klasztor?

Wszelkie inne akcesoria współczesnego świata znajdowały się w wiosce nieopodal murów klasztornych. Tam, w dole, Uczniowie mieszkali ze swymi kobietami. Uczniowie mogli się modlić w klasztornej kościele i spożywać posiłki z opatem i czterema mnichami we wspólnym refektarzu ze ścianą ozdobioną freskami, ale kobiety nie miały do tego prawa. Szanując mnisie obyczaje, Gatward nie pozwalał kobietom przekraczać bramy.

Zgodnie ze swym rytuałem, o północy Harald Gatward przerwał modlitewne czuwanie. Bardzo był rad z pracy Uczniów. Zlikwidowali już pięć skupisk szatańskiego pomiotu. Trzy akcje trafiły do prasy światowej, ale czwarta – wypadek samochodowy we Włoszech – przeszła bez echa, podobnie jak piąta, katastrofa helikoptera w Singapurze. Mimo to Gatward uznał, że rozsądnie będzie wezwać Uczniów do bazy i zatrzymać ich tu do czasu, aż szum przycichnie.

Obecnie w terenie pozostawał tylko jeden Uczeń. Świetny, bardzo żarliwy. Wkrótce trzeba będzie wezwać go do bazy i dać mu nagrodę, cierpliwą i pobożną Larę, miłą dziewczynę czekającą w wiosce.

Timon Cort właśnie napisał e-mail.

Jeśli wzbiję się na skrzydłach świtu, jeśli wyląduję za morzem, nawet tam Twoja dłoń będzie mnie prowadzić, Twoja prawica będzie mnie mocno wspierać.

Harald Gatward zamknął oczy i poprosił Najświętszą Panią, by podyktowała mu odpowiedź.

Luke i Phoebe klęczeli na kuchennej podłodze, całkowicie zaabsorbowani dwiema świnkamiorskimi.

Krówka miała beżowo-białe pasy, Czekoladka była biała w ciemnobrązowe łaty. Obie słodkie, miały gładziutkie futerka, czarne bezwłose uszka, drobne łapki i wydawały osobliwe piski.

Naomi patrzyła z czułością, jak dzieci bawią się z nimi i karmią je marchewką. Po raz pierwszy widziała, by bliźniaki okazywały sympatię, choć zastanawiała się, jak szybko znudzą się zwierzątkami.

Za pięć tygodni Gwiazdka. Naomi uwielbiała święta, uwielbiała ubierać choinkę, przygotowywać jedzenie, kupować i pakować prezenty. Tego roku Luke i Phoebe byli już wystarczająco duzi, by docenić świąteczną atmosferę.

Naomi miała nadzieję na śnieg, bo białe Boże Narodzenie tutaj byłoby wspaniałe. Matka i siostra miały przyjechać na Wigilię i zostać do drugiego dnia świąt; matka Johna przyjeżdżała ze Szwecji na cały świąteczny tydzień. Carson i Caroline z dziećmi zostali zaproszeni na suto zakrapianą szwedzką kolację wigilijną, podobnie jak Rosie i Gordon z dziećmi. Będzie świetnie, chaotycznie, ale świetnie!

Gdy tak siedziała, gniew, jaki narastał w niej po spotkaniu z doktor Michaelides, zaczynał słabnąć.

Psycholog potraktowała ją lekceważąco. W samochodzie, po wyjściu od niej, John powiedział Naomi, że jest przewrażliwiona, ale nie zgodziła się z tą opinią. Czuła, że ta kobieta potraktowała ich jak podejrzanych. To prawda, nie powiedzieli jej o Dettorem, ale...

Jej myśli przerwał powrót Johna, zziąjanego i spoconego po długim biegu po Downs. Gdy wrócili od doktor Michaelides, po południu został w domu i Naomi ucieszyła się, że wyszedł pobiegać. Ostatnio pracował jak szalony i ćwiczył mniej niż dawniej.

– Cześć, Luke! Cześć, Phoebe! Cześć, Krówko! Cześć, Czekoladko! – wydyszał.

Dzieci go zignorowały.

– Dobrze się biegało? – spytała Naomi.

– Dziesięć kilometrów! Cudownie! – Otarł czoło i pociągnął nosem. Twarz miał zaczerwienioną z wysiłku, włosy zmierzwił. Podobał się jej taki. – Pięćdziesiąt dwie minuty, ale w tym prawie kilometr pod górę.

– Nieźle! – stwierdziła. – Dzwoniły do ciebie trzy osoby: Carson i jeszcze dwaj ludzie z pracy. Zostawiłam ci wiadomości na biurku.

– Dzięki. – John zerknął na zegarek, potem spojrzął na dzieci. – Jak się miewa Krówka, Phoebe?

Po długim milczeniu Luke, nie patrząc na ojca, powiedział:

– Krówka to moja świnka morska. Świnka Phoebe to Czekoladka.

– No tak. Tatusiowi się pomyliło. Więc jak się miewa Krówka, Luke?

Chłopczyk droczył się ze świnką morską za pomocą kawałka karmy przywiązanego do nitki; stale odsuwał jedzenie tak, że zwierzątko nie mogło go dosięgnąć. Sfrustrowana świnka wydała pisk, jakby ktoś przejechał pilnikiem po szkle. Luke zaśmiał się i znowu pociągnął za nitkę.

John uklęknął obok syna, odsuwając leżącą na podłodze książkę.

– Czasem powinienes dać jej nagrodę, bo inaczej się znudzi i przestanie się bawić.

Świnka morska podeszła, a Luke znów pociągnął za nitkę, całkowicie ignorując ojca. Phoebe przywiązała nitkę do karmy i zaczęła tak samo droczyć się z Czekoladką.

John poczuł się wykluczony. Dzieci znowu odgradziły się od rodziców cholernym murem.

– Czas spać, kochani – oznajmiła Naomi.

Luke i Phoebe nie zareagowali.

– Przygotujcie świnki do snu, Luke i Phoebe, potem czas na was! – dodała matka.

Phoebe wyjęła z klatki miseczkę, podeszła z nią do zlewu, stanęła na krześle i odkręciła kurek. Palcem wskazującym sprawdziła wodę, odczekała, aż zrobi się zimna, nalała wody do miseczki i wstawiła ją do klatki.

Mimo gniewu, jaki wezbrał w nim przed chwilą, John patrzył z dumą. Oto jego córka samodzielnie troszczyła się o swoje zwierzątko!

Luke sięgnął po pudełko z karmą i nasypał do plastikowej tacki. Potem klęknął, podniósł Krówkę i postawił na wyłożonej słomą podłodze klatki. Phoebe jeszcze raz skusiła Czekoladkę pokarmem, potem podniosła ją, pocałowała w pyszczek i postawiła na słomie klatki tak delikatnie, jakby kładła bezcenną porcelanową ozdobę.

John i Naomi wykąпали dzieci, potem John ułożył je do snu.

– Powiesz Krówce dobranoc? – spytał Luke.

– Jasne.

– Powiesz Czekoladce dobranoc? – zapytała Phoebe.

– Oczywiście, kochanie.

Rozpromieniony John wyszedł z sypialni i zamknął drzwi. Dzieci poprosiły go o coś! Kurczę! Postęp!

Zbiegł po schodach, wszedł do kuchni i klęknął przy klatce. Świnki zwinęły się w kłębek na podłodze.

– Luke i Phoebe prosiły, żebym powiedział wam dobranoc!

W kuchni unosił się smakowity zapach jedzenia. Mieszając coś na patelni, Naomi spojrzała na męża z roztargnieniem.

– Umieram z głodu – powiedział. – Co jest?

– Nasza specjalność zakładu: smażona świnka morska na placku z mąki gryczanej, podawana ze słodyczami pani

psycholog dziecięcej – odparła Naomi. – Zamierzałam zrobić gulasz z jej mózgu, ale było go za mało.

– Nie bądź dla niej zbyt surowa. – John objął żonę. – Przynajmniej da im jeszcze jedną szansę w świetlicy.

– Zachowała się jak suka.

– Postaw się w jej położeniu.

– I co? – Naomi spojrzała na niego wyzywająco.

– Przecież coś przed nią ukrywamy.

– John, ona oskarżała nas o to, że odpowiadamy za to, jakie są dzieci. Nie wyraziła tego wprost, ale sugerowała, że wszystkie problemy z Lukiem i Phoebe biorą się stąd, że jesteśmy głównianymi rodzicami. To nieprawda i dobrze o tym wiesz.

– Radzą sobie coraz lepiej. Trochę więcej mówią. Może nie potrzebujemy psychologa, może potrzeba nam tylko więcej czasu. Spójrz na nie: widziałaś, jak bawiły się ze świnkami, jak je uwielbiają. Tak?

– Miło na to patrzeć. Byłoby też miło, gdyby i nam okazywały tyle uczuć. Wiem, że z wiekiem trochę się poprawiły. Szkoda tylko, że więcej się nie uśmiechają. Mają takie urocze uśmiechy.

Uczeń spędził noc w schronisku młodzieżowym na Bowery, gdzie trzymał się na uboczu, a jego wyjście w mroźny poranek było równie niezauważalne jak przybycie. Po kilku tygodniach nikt nie będzie tam o nim pamiętał.

Po skromnym śniadaniu w zatłoczonej kafejce pojechał metrem na West Village i wyszedł na rojną ulicę z setkami zapachów i kakofonią tysiąca rozmaitych dźwięków. Zaczął padać śnieg, lecz białe płatki szybko zamieniały się w brudną szarą breję.

Po paru minutach znalazł drugą kawiarnię internetową z listy. Wszystkie komputery były zajęte, musiał więc czekać. Młoda kobieta w podniszczonym ubraniu próbowała nawiązać z nim rozmowę. Na imię miała Elaine, ale przyjaciele mówili na nią Ellie. Gdy spytała go, gdzie mieszka, odpowiedział, że w New Jersey. Drażyla dalej, co zaczęło drażnić Ucznia. Spytała, co robi, na co odparł, że pracuje dla Pana.

Mówiła dalej, zerkając na niego w sposób, który wprawiał go w zakłopotanie, przysuwała się bliżej, wysyłała sygnały. Kusila go. Bez trudu rozpoznał, że przysłał ją Szatan; przysłał ją, żeby zniszczyła jego miłość do Lary.

Kiedy tylko zwolnił się komputer, Uczeń oddalił się od kobiety, zmawiając modlitwę dziękczynną do Boga. Joel Timothy wpisał nazwę użytkownika i hasło, po czym zalogował się do poczty na Hotmaila.

Czekała na niego jedna wiadomość.

Pan będzie go ochraniał i zachowa jego życie. Pobłogosławi go na obczyźnie i nie wyda go na pastwę nieprzyjaciół.

Uczeń skasował e-mail, wylogował się i z uśmiechem wyszedł z kawiarni. Gdy szybkim krokiem wracał do metra, nie dbał o to, ile powietrza wdycha, nie dbał o dźwięki; głowę wypełniały mu ważniejsze myśli. Plany podróży. Jeszcze nigdy nie opuszczał Stanów Zjednoczonych.

Teraz leciał do Anglii.

Świetlicę wciąż zdobiły gwiazdkowe dekoracje. Na jednej ze ścian wisiały wykonane przez dzieci poprawne politycznie plakaty z Trzema Królami, każdym z innej grupy etnicznej. Sheila Michaelides, trzymając się na uboczu, patrzyła, jak Naomi pomaga swoim dzieciom się rozebrać, wiesza kurtki na wieszakach i wychodzi.

Psycholog natychmiast zauważyła zmianę w zachowaniu bliźniaków. Zupełnie jakby odejście matki dodało im energii. Luke wszedł do świetlicy, siostra tuż za nim. Doktor Michaelides podeszła do drzwi, by obserwować, a to, co ujrzała, naprawdę ją przeraziło.

W sali przebywało kilkanaścioro dzieci, w większości w małych grupkach, oraz opiekunka, kobieta po trzydziestce w dżinsach i wełnianym etnicznym wdzianku. Gdy tylko Luke i Phoebe weszły, wszelka działalność i odgłosy ustały jak po wciśnięciu guzika. Żaden maluch nie nawiązał kontaktu wzrokowego z bliźniakami i choć dzieci się nie odsunęły, zdawały się kurczyć w sobie. Grupa zastygła jak żywy obraz.

Psycholog patrzyła na opiekunkę, która nieufnie wpatrywała się w Luke'a i Phoebe.

Luke ruszył prosto do stołu, gdzie chwilę wcześniej dwaj chłopcy wyrywali sobie rycerza na koniu; odebrał im go bez słowa, a żaden z nich nawet nie spojrział na Luke'a. Ten popatrzył z pogardą na rycerza, po czym cisnął go na stół. Phoebe uklękła na podłodze i przyjrzała się lalkom. Michaelides widziała, jak dwie dziewczynki zastygają i zaczynają się trząść.

Tymczasem Luke podszedł do stołu, gdzie czwórka dzieci bawiła się klockami Lego. Jego dłonie poruszały się z taką szybkością, że psycholog nie widziała, co robi. Dostrzegła jedynie błyskawiczny ruch, kolorowe klocki, spojrzenie opiekunki i pozostałe dzieci znieruchomiałe z wyrazem lęku na twarzach. W końcu Luke się oddalił.

Doktor Michaelides mimowolnie przytknęła dłoń do ust. Wieża z lego, jeszcze przed chwilą koślawą, teraz stała idealnie prosto, o kilka centymetrów wyższa, z każdą z czterech ścian w innym kolorze, niczym pionowa kostka Rubika z doskonale symetrycznym spadzistym dachem.

Po chwili psycholog musiała się odsunąć, bo bliźniaki wymaszerowały na korytarz. Niczym stworzenia wychodzące z hibernacji, dzieci kolejno zwróciły głowy w stronę drzwi, jakby upewniając się, że ta dwójka wyszła.

Sheila Michaelides poczuła, jak włosy jeżą się jej na karku.

Patrzyła, jak Luke i Phoebe podchodzą do chłopca, który grał na komputerze. Stanęli po jego obu stronach, po czym zwrócili się ku sobie i coś powiedzieli.

Chłopiec momentalnie zeskoczył z krzesła i z krzykiem pobiegł korytarzem. Z kuchni wyszła Pat Barley, z niepokojem zerknęła na psycholog i objęła chłopca.

– Co się stało, Matthew? Co takiego?

Wtulił się w jej objęcia, krzycząc jak przestraszone zwierzę.

Przerażenie chłopca udzieliło się Sheili Michaelides; dostała gęsiej skórki. Próbowwała usłyszeć, co mówi chłopiec, ale bełkotał niewyraźnie. Jednocześnie obserwowała bliźniaków, całkowicie pochłoniętych komputerem, który zajęli.

Co takiego Luke powiedział chłopcu?

Po pewnym czasie do holu wyszła Pat Barley i oczami dała znak doktor Michaelides, by oddaliły się od bliźniaków.

– Co mówił Matthew? – dopytywała się psycholog. – Czym Luke i Phoebe tak wytręcili go z równowagi?

– Nie wiem – odparła opiekunka. – Zawsze to samo. Inne dzieci też prześladują. Według mnie, chodzi nie tyle o to, co

mówią, ale jak. Poza tym wyglądają bardzo poważnie jak na swój wiek.

– Widywałam wiele dzieci z okropnymi problemami behawioralnymi – zaczęła cicho Sheila Michaelides. – Dzieci gwałtowne, dzieci, nad którymi nie dało się zapanować, dzieci poważnie wycofane, ale nigdy nie widziałam czegoś takiego jak tutaj w ciągu ostatnich kilku minut.

– Ja nie widziałam nic, co przypominałoby to choćby w przybliżeniu. A proszę mi wierzyć, że widywałam sceny mrożące krew w żyłach.

– Czy bliźniaki stosują przemoc fizyczną? Czy któreś z nich atakowało inne dzieci?

– Nie, nikt z nas tego nie widział. To sprawa psychiczna, one manipulują. Kiedy próbuję z nimi rozmawiać, albo milczą, albo bełkoczą bez ładu i składu.

– Bardzo dziękuję za to, że pozwoliła mi pani tu przyjść i przyjrzeć się im – powiedziała psycholog.

– Może teraz już pani rozumie, dlaczego musiałam je wykluczyć?

– Tak.

Przez chwilę obserwowały Luke’a i Phoebe. Od tyłu wyglądali jak zwyczajne szczęśliwe dzieci, które się bawią.

– Bóg jeden wie, co z nich wyrośnie – rzuciła Pat Barley.

Dziennik Naomi

Śnieg! Dziesięć centymetrów. Jak okiem sięgnąć, biel! Wspaniały początek nowego roku! John kupił tobogan i zabrał L & P na Downs. L bardzo spodobała się przejażdżka, P marudziła. Jak to możliwe? Jak dziecko może nie lubić śniegu?

W przyszłym tygodniu zaczynają chodzić do nowej, specjalnej świetlicy polecanej przez Sheilę Michaelides (SM to odpowiednie inicjały dla sadystki!).

W okresach przygnębienia, kiedy martwię się tym, co zrobiliśmy – czy raczej tym, co zrobił Dettore – potrafię siebie przekonać, że w gatunku ludzkim nie ma nic szczególnie wspaniałego czy wyjątkowego. Całe to gadanie o wartości, świętości życia... Może w przypadku pewnej części ludzkości, tej zamieszkującej kraje rozwinięte. Ale co powiedział Dettore? Niespełna dwadzieścia procent ludzi na świecie umie czytać i pisać? Nie jestem pewna, jak wyjątkowe wydawałoby mi się życie, gdybym spędzała dni, stojąc po kostki w wodzie na polu ryżowym, a noce w blaszanej chacie z dziewiątką dzieciaków. Chyba w ogóle nie nazywałabym tego życiem, raczej wegetacją.

Bliźniaki wkrótce skończą trzy lata. Co im kupić? Zastanawiam się nad urządzeniem przyjęcia i zaproszeniem dzieci z okolicy. Nie wiem, ile matek przysłałoby swoje pociechy – to mogłoby być żenujące. Zwłaszcza gdyby Luke i Phoebe ignorowali gości.

Luke siedział skupiony na podłodze w salonie, z joystickiem playstation w dłoni. Phoebe, równie skoncentrowana, klęczała obok niego, wpatrywała się w ekran i co kilka minut wydawała bratu rozkaz.

Człowiek w długiej szacie wchodził po niekończących się gotyckich schodach; dębowe drzwi otwierały się i zamykały, ukazując dziwaczne stwory, jedne straszne, inne piękne, jeszcze inne po prostu bardzo osobliwe. Czasami, na rozkaz siostry, Luke naciskał guzik i człowiek w szacie się uchylał. W innych momentach raptownie odwracał się o sto osiemdziesiąt stopni.

Naomi nie była pewna, czy tylko jej się wydaje, ale odnosiła wrażenie, że doktor Sheila Michaelides zaczęła odnosić się do niej i Johna z większą sympatią. Pani psycholog, nie rzucając się w oczy, stała w głębi salonu, obserwowała życie rodziny, co pewien czas notując coś w zeszycie. Dwa dni spędziła w świetlicy, obserwując Luke'a i Phoebe, teraz poświęciła dzień na przyjrzenie się życiu domowemu.

Naomi spodziewała się, że przynajmniej po raz pierwszy uzyskają wyczerpującą opinię na temat dzieci i może nawet konkretne rady, jak powinni je traktować.

Sheila Michaelides stała w drzwiach łazienki i przyglądała się, jak rodzice kąpią i wycierają bliźniaki. Luke i Phoebe akceptowali podobnie jej obecność, jak akceptowali większość rzeczy – ignorując ją. Dla nich mogłaby być niewidzialna.

Po zejściu na dół usiedli przy stole w kuchni. Wyraźnie skrepowana, położyła przed sobą zeszyt. Zamieszała kawę i przyjęła od Naomi pierniczek.

– Muszę przyznać – zaczęła – że niezmiernie martwię się o Luke’a i Phoebe. Według mnie, mogą państwo dokonać pewnych poprawek w swoim zachowaniu wobec dzieci, ale z moich obserwacji wynika, że nie to stanowi sedno problemu.

– Jakich poprawek? – spytała Naomi defensywnie.

– Co pani ma na myśli, mówiąc o „sednie” problemu? – odezwał się John.

– Cóż... – Psycholog odłożyła ciastko na talerzyk i utkwiała zamyślony wzrok w parującej kawie. – Muszę przemyśleć wszystko, co widziałam, chciałabym też porozmawiać z kolegami. Jedno spostrzeżenie narzuca się natychmiast: dzieci nie okazują wam takiej miłości i sympatii, jakiej należałoby się spodziewać. Bliźniaki często pozostają samowystarczalne znacznie dłużej niż inne dzieci, ale Luke i Phoebe mają już prawie trzy lata. – Zamilkła, zerknęła na ich twarze, po czym dodała: – Wydają się chłodne, bardzo wycofane, co zazwyczaj sugerowałoby pewne nieprawidłowości w rodzicielskim...

– Nieprawidłowości? – wtrąciła Naomi. – Co pani ma na myśli?

– Możliwość molestowania – odparła Sheila Michaelides.

Naomi otworzyła usta, gotowa wybuchnąć, ale mąż chwycił ją za rękę.

– Uspokój się, kochanie!

– W żadnej mierze nie sugeruję, że mamy tu do czynienia z molestowaniem, nie zaobserwowałam nic podobnego. Uważam, że jesteście bardzo kochającymi i troskliwymi rodzicami.

W pełnym napięcia milczeniu doktor Michaelides wertowała notatki.

– Co to znaczy, że moglibyśmy dokonać pewnych poprawek w swoim zachowaniu wobec dzieci? – spytała Naomi.

– Weźmy na przykład moją pierwszą wizytę u państwa, przed świetlicą. Wyszliście z kuchni, zostawiając mnie z dziećmi. W ogóle nie okazywały lęku przede mną, zupełnie obcą osobą. Dzieci mocno związane z rodzicami obawiają się obcych znacznie bardziej niż takie, które są z nimi słabo związane.

– Ależ odkąd przyszły na świat, próbujemy zbudować z nimi więź! – powiedziała Naomi.

Psycholog skinęła głową, ale wyraz troski na jej twarzy się pogłębił.

– Sądzę, że w tej sprawie mogę państwu nieco pomóc. Są jednak problemy głębszej natury, według mnie niebiorące się z niedostatecznej więzi.

Naomi przyglądała się doktor Michaelides, zaniepokojona jej mową ciała. Kiedy odwiedzili ją po raz pierwszy, pewność siebie tej kobiety graniczyła z arogancją, teraz jednak okazywała zdenerwowanie, bawiła się ciastkiem, zajmowała się własnymi dłońmi, marszczyła brwi, co kilka minut jej twarz tężała, jakby pani doktor zmagala się z wewnętrznym demonem.

– Widziałam Luke’a i Phoebe oddzielnie oraz razem. Patrzyłam, jak rozwiązują łamigłówki, próbowałam, mimo braku komunikacji werbalnej, badać ich pamięć i zdolność rozumowania. Odkryłam, że jeśli chodzi o inteligencję i umiejętności, są nad wiek rozwinięci. Niekiedy odnosi się wrażenie, że testują otoczenie. Najczęściej są bardzo wycofani; czasem próbują narzucić swoją wolę każdemu, z kim się kontaktują: dzieciom w świetlicy, wam, a ponieważ świnki morskie nie stawiają im oporu, bliźniaki droczą się z nimi i sprawdzają, jak daleko mogą się posunąć. Zupełnie jakby sprawdzali wytrzymałość wszystkiego, co napotkają. Mam wielki problem z określeniem ich umysłowości. Reagują na zupełnie inne bodźce, niż dzieje się to normalnie, ich wzorzec porozumiewania się znajduje się poza znaną mi skalą.

– Mówi pani o dziwnym języku, jakiego używają? – spytał John.

– To część problemu. Kiedy pierwszy raz powiedzieliście mi o nim, byłam sceptyczna. Teraz zaczynam wierzyć.

– Jak pani to tłumaczy? – pytał John.

– Fakt, że są tak zaabsorbowane sobą nawzajem, że rzadko reagują na was, a na inne dzieci wcale, w połączeniu z niezwykle wysokimi zdolnościami sugeruje autyzm. Wcześniej

odrzucałam tę ewentualność, teraz jednak chciałabym się jej bliżej przyjrzeć. Sugerowałabym tomografię mózgu.

– Autyzm? – wykrztusiła Naomi z przerażeniem. – Naprawdę pani sądzi, że mogą być autystyczne?

– Obawiam się, że to jedna z możliwości. Z pewnością dzieje się coś, co musimy zdiagnozować.

Naomi spojrzała na Johna; uścisnął jej dłoń.

– W mózgu – ciągnęła doktor Michaelides – istnieją bardzo prymitywne systemy percepcyjne, które wykrywają i reagują na wzorce zachowań społecznych. Jeden z przeprowadzonych przeze mnie testów wykazał, że u Luke’a i Phoebe ta zdolność jest albo nieobecna, albo inaczej zaprogramowana.

– Co to dokładnie oznacza? – spytał John.

– Nie wiem, czy państwa dzieci potrafią rozróżniać pewne aspekty tego, co w naszym społeczeństwie uchodzi za normalne zachowanie.

John mocniej ścisnął dłoń żony i spojrzał na psycholog.

– I co teraz?

– Muszę to przemyśleć. Jedną z opcji to umieszczenie Luke’a i Phoebe pod obserwacją w zakładzie psychiatrycznym.

– Wykluczone! – wybuchła Naomi i spojrzała na męża, szukając wsparcia. Po chwili wahania John skinął głową na znak, że zgadza się z żoną.

– Moja propozycja w żadnej mierze nie oznacza krytyki was jako rodziców. Jeżeli wasze dzieci są, jak podejrzewam, wybitnie inteligentne i otrzymują za mało bodźców stymulujących, może skorzystałyby na przebywaniu w towarzystwie uzdolnionych dzieci. Mogłabym polecić bardzo dobry zakład...

– Przykro mi, ale to nie wchodzi w grę – przerwała jej Naomi.

– Jesteśmy ich rodzicami. Bez względu na to, jakie problemy będą musiały pokonać, to my pomożemy im je przezwyciężyć.

– Cóż... inna możliwość to zmiana ich zajęć w domu. Może zaprojektowanie dla nich nowego treningu.

– Na przykład? – zaciekawiał się John.

– Dać im zabawki i gry dla starszych dzieci. Według mnie, powinni państwo udostępnić im komputer. Są zafascynowane komputerami, dlatego zawłaszczają ten w świetlicy.

– Proszę powiedzieć szczerze – odezwał się John. – Co by pani zrobiła na naszym miejscu, gdyby to były pani dzieci?

– Muszę się zastanowić – odparła. – Muszę to przedyskutować z kolegami, oczywiście z zachowaniem poufności. Chciałabym trochę poszperać. Bardzo chciałabym podsunąć wam magiczne rozwiązanie, ale nie ma takiego. Czeka was niełatwe życie.

Frontowe drzwi się otwierały. Uczeń położył palec na przycisku uruchamiającym stoper: dziewiętnasta trzydzieści dwie. Ciemno. Z domu wyszedł ktoś z dużym parasolem. Przez lornetkę noktowizyjną Uczeń rozpoznał grzesznika. Po chwili, gdy czujniki wychwyciły ruch, zapaliły się światła przed domem.

Teraz!

Uczeń uruchomił stoper. Stał ukryty w mroku, na mokrym polu, w tych samych wyłożonych futrem butach, w których brnął po chodnikach Rochester i Nowego Jorku. Okutał się w ciepłą odzież, ale czarna czapka baseballowa ściągnięta na czoło tylko w nikłym stopniu chroniła twarz przez bezlitosnym wiatrem i deszczem kłującym jak igły.

To był wciąż ten sam deszcz, padający nieustannie, nieustannie wsysany na powrót przez chmury i padający znowu. Wysysany ze ścieku, padał, znów wysysany, nie było ucieczki, bez względu na to, w jakiej części świata się znajdowałeś, padał śnieg stworzony ze ścieków, deszcz ze ścieków, nigdzie nie byłeś od niego wolny, nigdy nie będzie takiego miejsca, dopóki nie oczyścisz ścieków, póki nie uwolnisz miast, dolin i równin z nieczystości aż do ostatniego atomu.

Uczeń sprawdził, czy wskazówka stopera się porusza, potem znów spojrział przez lornetkę: w blasku reflektorów obraz jarzył się na czerwono. Grzesznik odprowadził kobietę w średnim wieku w powiewającym na wietrze płaszczu do małego japońskiego samochodu, przytrzymał jej drzwi, gdy wsiadała, zatrzasnął i pospieszył z powrotem na werandę. Teraz Uczeń

dostrzegł również grzesznicę stojącą w progu. Oboje machali za oddalającym się autem. Ani śladu psa: jeden problem z głowy.

Zastanawiając się, kim jest odjeżdżająca kobieta, patrzył na światła omiatające żywopłot, gdy samochód potoczył się długą wiejską drogą i zniknął w nocy, w kolejnej części ścieku. Następnie podniósł lornetkę i spojrzął przez ulewę na dom. Grzesznicy zamknęli drzwi.

Uczeń opuścił lornetkę, położył palec na przycisku stopera i czekał. Miał wrażenie, że upłynęły wieki, zanim światła przed domem pogasły.

Niezwłocznie wcisnął przycisk i spojrzął na stoper. Trzy minuty.

Ruszył przez pole. Do rana deszcz zatrze jego ślady. Na parterze zapaliło się światło, więc uniósł lornetkę i wyłączył podczerwień. Grzesznik siedział przed komputerem; zapalił lampę na biurku, podniósł do ust kieliszek na wysokiej nóżce i napił się.

Upokorz się przed Panem i Jemu zaufaj! Nie oburzaj się na tego, komu się szczęści w drodze, na człowieka, co obmyśla zasadzki. Zaprzestań gniewu i porzuć zapalczywość; nie oburzaj się: to wiedzie tylko ku złemu. Złoczyńcy bowiem wyginą, a ufający Panu posiadą ziemię¹².

Uczeń zatrzymał się w małym, smaganym przeciągami pokoju w starym hotelu na nabrzeżu w kurorcie Brighton and Hove. Okna wychodziły na wietrzną promenadę, zrujnowane molo i ciemne morze, wzburzone i niespokojne jak jego serce, odkąd tu przybył przed trzema dniami.

To było takie proste: poczekać, aż światła w domu pogasną, spełnić obowiązek i odejść, jeszcze tej nocy wsiąść do wynajętego samochodu i przepłynąć promem przez kanał. Jutro wieczorem zasnąłby w objęciach Lary i Pana.

Ale nie. Jego cierpliwość, niczym cierpliwość Hioba, musiała zostać wystawiona na jeszcze jedną próbę. Nauczyciel, Harald Gatward, polecił mu w mailu jeszcze trochę się wstrzymać,

przygotować się dokładniej, poczekać na odpowiednią chwilę. Bóg ostrzegał, że teraz grozi niebezpieczeństwo.

Pouczę cię i wskażę drogę, którą pójdziesz; umocnię moje spojrzenie na tobie¹³.

Uczeń opuścił lornetkę. Wsłuchał się w odgłosy nocy, szum wiatru w zimowej trawie, skrzypienie bramy, odległy turkot pociągu; czuł deszcz na twarzy, wilgoć przenikała go do kości, ale w sercu rozchodziło się ciepło. Klaessonowie i ich pomiot znajdowali się za ścianami tamtego małego domu.

Gdy nadejdzie rozkaz, Uczeń znajdzie się w objęciach Lary i Pana, zanim ktokolwiek znajdzie ich ciała.

78

Od: Kalle Almtorp, Ambasada Szwecji, Kuala Lumpur, Malezja

Do: John Klaesson bklaesson@morleypark.org

Temat: Uczniowie

John,

mam nadzieję, że ten mail zastanie Cię w dobrym zdrowiu i że jakoś znosisz ten okropny brytyjski klimat! Tu, w Malezji, jest dobrze, chociaż przystosowanie się do upału zajęło mi trochę czasu. Jak się miewasz? Co u Naomi? Jak Luke i Phoebe? Mam dla Ciebie potencjalnie dobre wieści. Mój kontakt w FBI powiadomił mnie (ściśle poufnie!), że mogą mieć trop w sprawie Uczniów Trzeciego Tysiąclecia. To bardzo wczesna faza, ale (proszę, nikomu tego nie powtarzaj) pewne dowody wskazują na sektę religijną z siedzibą w odległym zakątku Europy. Niewykluczone, że działalność tych ludzi finansuje spadkobierca jednej z najzamożniejszych amerykańskich rodzin, lecz dowody są jeszcze niepotwierdzone.

Jak tylko zdobędę nowe informacje, dam ci znać. Dobrze by było, gdybyś się odezwał. Straszne, jak szybko leci czas. Ile to już lat minęło od naszego ostatniego spotkania?

Hälsningar!

Kalle

John uniósł pięść.

– Tak!!!

Zdjął z wykałaczki ostatnią oliwkę, zjadł i dopił martini.

Deszcz bębnił o szybę przed biurkiem. Okropna noc, a wiatr najwyraźniej przybierał na sile. Świetne wieści! Dopadną tych sukinsynów, a oni w końcu będą bezpieczni.

Potrzebował podniesienia na duchu po ponurych prognozach doktor Michaelides, która odjechała pół godziny wcześniej.

Przechylił kieliszek, wysączając ostatnie krople. Rzeczywistość powróciła. Jezu, co mieli teraz zrobić?

Poczekać. Poczekać na powrót psycholog – nic więcej nie mogli uczynić.

Poszedł do kuchni i próbując rozweselić żonę, powiedział o dobrych wiadomościach od Kallego Almtorpa. Nieco je upiększył, mówiąc, że FBI za kilka dni aresztuje wszystkich członków tej przeklętej sekty.

Ale Naomi, która nie wypila przed chwilą dużego martini, była całkiem trzeźwa. Nie podzielała radości i podsycanego alkoholem optymizmu męża.

Powiedziała tylko, że życie jest paskudne.

Sheila Michaelides spieszyła do swego wiktoriańskiego domu w centrum Brighton uzbrojona w małą parasolkę, bezużyteczną w ulewnym deszczu, a gdy w końcu schroniła się w holu, była przemoczona do suchej nitki. Po przebraniu się w suche dzinsy i sweter zaparzyła kawę, wyjęła z lodówki sałatkę z tuńczykiem z Marksa & Spencera, zaniósła tacę na górę do małego gabinetu, usiadła przy biurku i włączyła komputer.

Gdy wbijała widelec w makaron, jej myśli wirowały, niepokój uciskał żołądek. Cały dzień nie miałam nic w ustach, muszę coś przełknąć! Gryzła wolno, każdy kęs stanowił walkę, zmuszała się do przełykania przez suche ściśnięte gardło.

Deszcz walił w szyby, a w ciemności dostrzegała zarys sąsiedniego domu za tylnym podwórzem.

Nagle wstała, pochyliła się i odwiązała sznurek z haczyka, by opuścić żaluzje.

Drżała. Wprost dygotała ze strachu, którego nie potrafiła określić, a przecież zawsze była taka opanowana. Po raz pierwszy straciła grunt pod nogami. W syndromie Luke'a i Phoebe Klaessonów było coś, z czym nigdy dotąd się nie zetknęła. To coś budziło w niej coraz silniejszy lęk.

Zaczęła pisać.

Obserwacja Luke'a i Phoebe Klaessonów. Dzień trzeci. To nie są znane mi istoty ludzkie. Bliźniaki manipulują ludźmi i są skryte. Wyraźne objawy socjopatii, ale jest coś jeszcze...

Przerwała, żeby zebrać myśli. Musiała porozmawiać o tym z innymi psychologami. Ale z kim?

Monstera wypełniająca niewielką przestrzeń między biurkiem a ścianą wyglądała mizernie; wyraźnie domagała się podlania. Nie przestając rozmyślać, Sheila zeszła na dół, napełniła konewkę wodą, wróciła i podlała suchą ziemię.

Podjęła pisanie.

Autyzm? Jak wytłumaczyć język, którym porozumiewają się między sobą?

Jak?

Niechętnie wsunęła do ust kolejną porcję makaronu i zaczęła żuć w zamyśleniu. Myślała... Przecież gdzieś w literaturze medycznej muszą być opisane podobne przypadki.

Należała do internetowego forum psychologów dziecięcych, gdzie co tydzień pisano o przypadkach chorób, nowych rodzajach terapii, nowych lekach, zamieszczano informacje. Grupa była rzetelna. Dotychczas Sheila zawsze otrzymywała wiarygodne odpowiedzi na wszystkie pytania.

W mailu streściła swoje spostrzeżenia na temat Luke'a i Phoebe i zapytała, czy ktokolwiek spotkał się w swojej praktyce z podobnym przypadkiem.

Nazajutrz ze zdziwieniem otrzymała maile od dziesięciu psychologów. Pięć ze Stanów Zjednoczonych, jeden ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich, jeden z Brazylii, jeden z Włoch, jeden z Niemiec i jeden ze Szwajcarii.

Czworo z tej dziesiątki psychologów poinformowało ją, że mieli do czynienia z bliźniakami o podobnych cechach, a wszystkie te dzieci zostały poczęte na pokładzie pływającej kliniki zamordowanego amerykańskiego genetyka, doktora Leo Dettorego.

Sheila wpisała do Google'a: *Dr Leo Dettore*.

W pierwszej partii znalezionych stron natrafiła na:

„USA Today”. Lipiec 2007.

DR J. KLAESSON, WYKŁADOWCA UNIWERSYTECKI Z LA, PRYZNAJE:
„SPODZIEWAMY SIĘ DZIECKA PROJEKTOWANEGO GENETYCZNIE”.

Pan Ananas miał czerwony nos, nosił spodnie w prążki, ogromniaste buty i skórzaną czapkę w kształcie ananasa. Robił furorę, w każdym razie czworo dzieci, które przyszły na trzecie urodziny Luke'a i Phoebe, tarzały się ze śmiechu. Wyglupy Pana Ananasa bawiły też do łez Johna, Naomi, jej matkę i siostrę Harriet oraz Rosie.

Tylko Luke i Phoebe się nie śmiali. Siedząc na podłodze, wpatrywali się w Pana Ananasa w całkowitym milczeniu i odrzucali wszystkie jego próby wciągnięcia ich do wspólnego robienia sztuczek.

John i Naomi nie zdołali sprowadzić na przyjęcie innych dzieci. Jane Adamson, przyjaciółka Naomi z wioski, skwapliwie przywiozła swego synka Charliego, który przyszedł z wyraźnym oporem, w jednej dłoni ściskając prezent, drugą trzymając matkę za rękę i zerkając nerwowo na bliźniaki. Naomi ściągnęła też nieśmiałą dziewczynkę Bethany, której rodzice sprowadzili się do wsi dopiero tydzień wcześniej i nikogo nie znali. Rosie przyprowadziła najmłodszą córkę, Imogenę, natomiast znajomy Johna swego wesołego synka Bena.

Nagle, w połowie występu Pana Ananasa, Luke i Phoebe wstali i wyszli z pokoju.

Naomi wymieniła spojrzenia z mężem, który pstrykał z boku zdjęcia, wyszła za bliźniakami do holu i zamknęła za sobą drzwi.

– Luke! – zawołała. – Phoebe! Dokąd idziecie?

Dzieci zignorowały matkę i podreptały po schodach na górę.

– Luke! Phoebe! – krzyknęła głośniej. – Natychmiast wracajcie! To bardzo niegrzeczne zostawiać przyjaciół!

Absolutnie nie wolno wam tego robić!

Wołając je, rozgniewana wbiegła za nimi po schodach. Gdy ujrziała, że znikają w małym pokoju, weszła za nimi.

Bliźniaki przykucnęły obok stojącego na podłodze komputera, który rodzice kupili im na urodziny. Tego ranka John rozpakował go i tymczasowo tam postawił.

– Luke! – zawołała Naomi.

Ignorując matkę, chłopiec dotknął klawiatury i na ekranie pojawił się pusty dokument w programie Word.

Phoebe powiedziała coś do brata, po czym szybko postukała w klawisze jak zawodowa sekretarka. Naomi zdębiała ze zdumienia do tego stopnia, że przez chwilę nie potrafiła nawet się złościć. W końcu jednak podeszła do ściany i wyrwała wtyczkę z gniazdka.

Bliźniaki nie spojrzały na matkę.

– Luke i Phoebe, to jest wasze przyjęcie – powiedziała. – Przyszli wasi przyjaciele. Mama i tata specjalnie sprowadzili dla was Pana Ananasa. Wychodząc podczas jego pokazu, zachowaliście się bardzo niegrzecznie. Bardzo niegrzecznie było zostawiać przyjaciół. Teraz macie wstać i natychmiast zejść na dół!

Zero reakcji.

Wściekła, złapała dzieci za ręce i pociągnęła. Luke i Phoebe nadal nie reagowali, tylko stali ponuro.

– NA DÓŁ! – ryknęła.

Krzyk nie wywołał najdrobniejszej reakcji.

Chociaż próbowała pociągnąć dzieci do drzwi, stwierdziła zszokowana, że nie jest w stanie. Bliźniaki opierały się zbyt mocno.

Puściła dłoń córki i z całej siły szarpnęła syna, żeby stracił równowagę. Chłopiec stał dalej. Lśniące czarne buciki drgnęły tylko nieznacznie, ale po chwili wbiły się mocno w dywan.

Bliska utraty kontroli, wrzasnęła:

– Jeśli natychmiast nie zejdzicie na dół, idziecie do łóżek! Koniec z komputerem i całą resztą. ROZUMIECIE?

– Co się dzieje? – zapytał John, który stanął w drzwiach z aparatem w dłoni.

– Doktor Michaelides ma rację – odparła. – Powinniśmy je umieścić w cholernym zakładzie, żalosne małe bachory.

Puściła rękę Luke’a, a John przyklęknął, spojrzał na syna i delikatnie, lecz stanowczo ujął go za dłonie.

– Posłuchaj, mały: ty i twoja siostra macie przyjęcie urodzinowe. Przyszli wasi przyjaciele i świetny kłown. Chcę, żebyście zeszli na dół i zachowywali się tak, jak na gospodarzy przystało. Dobrze?

Naomi patrzyła na Luke’a. W marynarskich spodenkach, białej koszuli i krawacie, czarnych sznurowanych bucikach, z poważną twarzą, bardziej przypominał małego dorosłego niż dziecko. Phoebe, w sukience w kwiaty z koronkową krezą, stała z lodowatym wyrazem twarzy. Wy nie jesteście dziećmi, pomyślała Naomi i przeszedł ją dreszcz. Jesteście wrednymi małymi dorosłymi.

Boże, kim wy, do diabła, jesteście?

John wstał. Bliźnięta wymieniły spojrzenia, których sens był dla rodziców niezrozumiały. Po chwili wahania Luke ruszył za ojcem po schodach. Phoebe, z zaciśniętymi ustami, poszła za nimi.

Weszli do salonu, poważnie podreptali na środek, usiedli na podłodze przed grupką gości, skrzyżowali ręce na piersiach i utkwili wzrok w Panu Ananasie. Wcześniej kłown namówił Bena, by pomógł mu kręcić talerzami na patykach.

– Wszystko w porządku? – szepnęła Harriet do siostry.

Nie, chciała odpowiedzieć Naomi. Wcale nie jest w porządku.

Ale uśmiechnęła się i skinęła głową.

W porządku. Absolutniewmordęświetnie.

...

Tej nocy, gdy jej matka i Harriet poszły spać, Naomi stała na miękkich nogach w kuchni, wyjmowała ze zmywarki naczynia

i podawała Johnowi, który odstawiał je do szafek. Krówka i Czekoladka nie spały; przyciskały śmieszne pyszczki do prętów klatki, wydając ciche popiskiwanie podobne do odgłosu giemzowej ściereczki polerującej szkło.

Naomi naląła sobie sporo wina.

– Może jednak powinniśmy się zastanowić nad tym zakładem, o którym wspominała doktor Michaelides. Jestem na skraju załamania, John. Już nie wiem, co robić. Może Luke i Phoebe lepiej reagowałiby na dyscyplinę, gdyby wprowadzała ją osoba, której nie znają. Może po paru tygodniach doszliby do rozumu.

Wzięła kieliszek i jednym haustem wypła połowę wina.

– Nie sądziłam, że kiedykolwiek to powiem, ale tak właśnie czuję – dodała. – Nie wiem, co innego można zrobić.

– Oni się dzisiaj nudzili – odparł John. – Myślę, że na tym polegał problem. Harriet uważa to samo.

– Harriet nie ma pojęcia o dzieciach – rzuciła Naomi nieco kąśliwie. – Rozpieszcza bliźniaki.

– Czy ona mówi ci coś o nich? Na przykład jak na nią reagują?

– Moja siostra uważa, że przechodzą pewien etap rozwoju.

John zastanawiał się przez chwilę, gdzie odstawić dzbanek.

– Miejmy nadzieję, że doktor Michaelides ma rację – powiedział. – Luke i Phoebe potrzebują większej stymulacji intelektualnej. Może popełniliśmy błąd, zapraszając kłowna; może należało sprowadzić astrofizyka, żeby opowiadał o strukturach molekularnych rozmaitych rodzajów paliwa raketowego albo o zmianach klimatycznych.

– To jest prawie zabawne. – Naomi posłała mu zmęczony uśmiech.

O szóstej rano John był w pełni rozbudzony po niespokojnej nocy. Naomi cały czas się wierciła; dwukrotnie zbudził go szelest i odgłos wyjmowania tabletek paracetamolu z opakowania. Teraz spała głęboko, jak zwykle zajmując część jego połowy łóżka, przez co niemal zwiślał na brzegu.

Najostrożniej, jak umiał, wstał, starając się jej nie zbudzić, podreptał do okna i wyjrzał w mrok. Do świtu została jeszcze blisko godzina. Naciągnął szlafrok, wsunął stopy w klapki i po ciemku zszedł po schodach.

Usłyszawszy włączony telewizor i ujrawszy światło sączące się pod drzwiami salonu, zrozumiał, że ktoś inny też nie śpi. Przez chwilę myślał, że to siostra Naomi, choć Harriet zazwyczaj wstawała późno. Otworzył drzwi i zajrzał do środka.

Luke i Phoebe, oboje w szlafroczkach, siedzieli na podłodze oparci plecami o kanapę, całkowicie pochłonięci programem telewizyjnym. Nie oglądali jednak filmu dla dzieci, jaki włączyłaby im Naomi, ale wykład dla dorosłych w ramach Otwartego Uniwersytetu. Stojący przed trójwymiarowym modelem skomplikowanej struktury atomowej wykładowca mówił o tworzeniu się halogenu. Wyjaśniał działanie przednich świateł halogenowych w samochodzie.

– Dzień dobry, Luke, dzień dobry, Phoebe – powiedział John.

Dzieci zerknęły na ojca jak na intruza, po czym ponownie wlepiły wzrok w ekran.

– Macie ochotę na śniadanie?

Luke podniósł rękę, dając mu znak, by zamilkł i przestał im przeszkadzać. John wpatrywał się w syna, nie do końca wierząc

własnym oczom. Oto jego trzyletni syn siedział przed telewizorem o szóstej rano w sobotę, całkowicie zaabsorbowany wykładem o gazie halogenowym.

John wycofał się z salonu i w zamyśleniu ruszył do kuchni, żeby zrobić kawę. Jak inteligentne były bliźniaki? Czy to one logowały się do jego komputera i wygrały partię szachów z Gusem Santiano?

Z pewnością powinni pozwolić psycholog na przeprowadzenie testów. Poza tym zamierzał porozmawiać z Naomi o wysłaniu bliźniaków do specjalnego ośrodka. Przecież musiały istnieć miejsca, gdzie nie trzeba zostawiać dzieci na stałe. Mogliby codziennie zawozić bliźniaki na zajęcia, a oprócz tego prowadzić życie rodzinne i oddawać się takim fajnym czynnościom jak wspólne poznawanie struktury molekularnej halogenu.

Nalał wody do czajnika i włączył. Potem wsypał trochę kawy do kubka i wyjął z lodówki butelkę mleka. Dziwne; jakoś za cicho, jakby czegoś brakowało. Po chwili dotarł też do niego silny nieprzyjemny zapach.

Zepsute mięso.

Zmarszczył nos, otworzył lodówkę i powąchał. Zwykle wonie lodówkowe – nic się tu nie zepsuło. Zamknął drzwi lodówki i zaaferowany, poniuchał mocniej. Sprawdził zamrażarkę, przytykając nos do jej szuflad, ale tu też nie znalazł nic zgniłego.

Czajnik zabulgotał głośniej, po czym się wyłączył. John nalał wrzątku do kubka, dodał mleka i wymieszał.

Gdy odwrócił się z kubkiem w dłoni, wreszcie to zobaczył.

Kubek wyslizgnął mu się z palców, roztrzaskując się na podłodze; kawałki porcelany i gorąca kawa rozprysły się po całej kuchni. John ledwo zwracał na to uwagę, bo nie mógł oderwać oczu od leżących na podłodze dwóch stron z gazet obok klatki świnek morskich.

Na jednej z nich, w plamie zaschniętej krwi, leżała na grzbiecie Krówka, z łapkami w górze, z ciałem rozplatanym od szyi do ogonka; obok, w równym rzędzie, leżały narządy

wewnętrzne. Na drugiej kartce była Czekoladka, podobnie rozcięta i wypatroszona.

Z szalejącą w głowie burzą urywanych myśli John zastanawiał się, czy do domu mógł się zakraść kot. Gdy jednak podszedł bliżej i przyjrzał się uważniej, stwierdził, że to wykluczone. Obok każdej świnki morskiej leżała kupka jelit, a obok w rządках – nerki, wątroby, trzustki, serca oraz płuca. Z chirurgiczną precyzją usunięto górne fragmenty czaszek, przy łebkach położono małe mózgi. Niektóre narządy bardzo schludnie przepołowiono, jelita pokrojono.

John odwrócił się z obrzydzeniem. Myśli mu wirowały, rósł w nim niepokój. Takie słodkie stworzonka, takie przyjazne; cudownie było patrzeć, jak Luke i Phoebe bawią się ze świnkami morskimi, całują, dbają o nie. Kto to, do diabła, zrobił?

Kto, na Boga, mógł zrobić coś takiego?

Do głowy cisnęła się nieunikniona odpowiedź, lecz nie chciał jej przyjąć. Pragnął jedynie posprzątać, usunąć wszystko, zanim Naomi to zobaczy; tego by nie zniosła. Nie chciał również, by zobaczyła to teściowa czy ktokolwiek inny.

Z szafki pod zlewem kuchennym wyjął rolkę worków na śmieci, oderwał jeden; zatykając nos przed smrodem jelit i żołądków, ostrożnie podniósł kolejno obie gazety, zawinął i włożył do worka. Potem zawiązał go, wyniósł na dwór, wrzucił do jednego z pojemników na śmieci i dokładnie zamknął pokrywę.

Po powrocie do domu cały się trząsał. Najlepiej, jak umiał, posprzątał kawałki kubka i rozlaną kawę, po czym poszedł do salonu i otworzył drzwi. Telewizor i światła były pogaszone. Po bliźniakach ani śladu.

Ruszył na górę, żeby sprawdzić, czy Luke i Phoebe wrócili do swojej sypialni. Przez szparę pod drzwiami małego pokoju sączyło się światło. Szybko podszedł i pchnął je. Nowy komputer dzieci był włączony; na ekranie ujrzał stronę internetową. Klęknął, by lepiej się przyjrzeć.

Przed oczami miał stronę *Anatomii* Graya, biblii anatomicznej wszystkich studentów medycyny. Ilustracja przedstawiała rozciętą nerkę; w punktach wyliczono istotne elementy do obserwacji podczas sekcji.

John, bardzo wzburzony, postanowił się przebiec, aby uspokoić myśli i zrozumieć, co się stało. Czy powinien był złapać bliźniaki, zawlec je do martwych świnek morskich i wbić trochę rozumu do głowy? Czy to na cokolwiek by się zdało?

Był bezchmurny, mroźny poranek. Szron migotał we wczesnym słońcu, zamarznęte kałuże skrzypiały pod butami sportowymi, gdy biegł zrytą koleinami wiejską drogą w stronę wzgórz.

W połowie wysokości zatrzymał się, by zaczerpnąć tchu, i spojrzął w tył na rozległą dolinę, na wiejskie domy, drogi, ścieżki, wieżę z zegarem przy posiadłości na szczycie dalekiego wzgórza. O wpół do ósmej w niedzielny poranek większość ludzi jeszcze nie wstała; wokół panowała niemal nadprzyrodzona cisza. Z oddali dobiegło beczenie owcy. Potem, z równie daleka, usłyszał basowe muczenie krowy. Wysoko w górze widział smugę kondensacyjną odrzutowca lecącego w kierunku kanału La Manche.

W linii prostej między sobą a wiejskim kościołem John widział ich maleńki dom. Z tej wysokości wszystko wydawało się małe, niczym zabawkowy świat. Miniaturowe poletka, miniaturowe owieczki, krówki, stodoły, samochodziki, dróżki, latarenki, światła drogowe, wieżyczki. Takie małe i nieistotne.

Świnki morskie też były małe i nieistotne. Miały drobniutkie narządy wewnętrzne, ot, maleńkie plamki, trzeba było dobrze się przyjrzeć, by zobaczyć dokładnie. A jednak...

Żadne życie nie jest nieistotne. Pewne owady zabija się, bo stanowią zagrożenie: komary albo osę w dziecięcej sypialni, albo

coś brudnego i nieproszonego jak karaluch. Dzikie zwierzęta zabija się, ponieważ stanowią zagrożenie dla ciebie lub twego gospodarstwa; inne hoduje się po to, by je zabić i zjeść.

Ale odbierać życie z czystej ciekawości?

Oczywiście robi się to w laboratoriach. Muszki owocowe, myszy, żaby – w celach szkoleniowych, w imię postępu medycznego przeprowadza się sekcję najróżniejszych stworzeń. John nie miał z tym problemu; choć nie przepadał za widokiem martwych stworzeń, to dostrzegał racjonalne powody przeprowadzania takich doświadczeń.

Kiedy wracał pamięcią do dzieciństwa, przypominał sobie okres, gdy strzelał z procy do dzikich zwierząt. Pewnego dnia trafił wróbla, zabił go jednym strzałem. Patrzył, jak ptak spada z gałęzi na trawę. Podbiegł i ujrzał w dziobku krople krwi. Wziął w ręce ciepłe ciało, próbował postawić wróbla, poruszał skrzydłami; chciał, by ptak odleciał i wyzdrowiał. Potem, zapłakany, umieścił wróbla na gałęzi, by nie zjadł go kot. Miał nadzieję, że biedak wydobrzeje i odleci.

Nazajutrz, gdy wrócił do drzewa, wróbel wciąż tam tkwił, zimny i twardy – niczym kupka piór przyklejonych do kamyka. Zawstydzony, zaniósł ptasie ciało do lasu, dłońmi wykopał płytki grób i przykrył go kamieniem oraz liśćmi.

John wiedział, że dzieci często zabijają zwierzęta. To część procesu dorastania, jeden z rytuałów przejścia. Może egzorcyzmowanie uśpionych genów zbieracko-łowickich. Ale czy zabiłby zwierzątko domowe? Stworzenie, o które dbał, karmił, tulił, z którym się bawił, całował na dobranoc, jak Luke i Phoebe robili z Krówką i Czekoladką?

W jego głowie raz po raz rozbrzmiewały słowa doktor Michaelides:

„Nie wiem, czy państwa dzieci potrafią rozróżnić pewne aspekty tego, co w naszym społeczeństwie uchodzi za normalne zachowanie”.

Czy w niezbyt zawołowany sposób sugerowała, że ich dzieci są psychopatami?

Kiedy wrócił, w domu panowała cisza. Jeszcze nikt nie wstał. Dobrze. Dzieci należało ukarać. Ale jak? W jaki sposób unaocznic im, że uczyniły coś złego? Jak do nich dotrzeć?

Nie zdejmując dresu, spocony, szybko dochodził do siebie po biegu. Zrobił dla żony tradycyjną niedzielną herbatę, posmarował grzankę pastą Marmite, położył na tacy wraz z gazetami i zaniósł na górę.

Naomi siedziała na łóżku i oglądała w telewizji wywiad Andrew Marra z ministrem finansów. John wziął pilota, ściszył głos i choć nie chciał jej psuć poranka, opowiedział o świnkach morskich.

Po długiej chwili milczenia, z pobladłą twarzą, chwyciła go za rękę i powiedziała:

– Czy możemy nie mówić o tym Harriet i mojej matce? Możemy to zachować dla siebie?

Usiadł obok niej na łóżku, zerkając na nagłówek „Sunday Timesa”.

– Nie chcę, żeby wiedziały – odparł.

– Moglibyśmy im powiedzieć, że... że dzieci nie zamknęły klatki i świnki morskie uciekły, prawda?

– Właśnie wyniosłem klatkę na dwór – odparł John. – Twoja matka i tak nie zauważy. A jeśli Harriet coś powie, wyjaśnię, że wystawiłem świnki na dwór i nie zamknąłem dokładnie klatki.

– Trzeba porozmawiać z Lukiem i Phoebe. Trzeba im wytłumaczyć, że zrobiły coś niewłaściwego. Musimy do nich dotrzeć, John; one muszą zrozumieć. Powinniśmy je ukarać za to, co zrobiły.

– Poradź mi, jak to zrobić, bo nie wiem. Doktor Michaelides powiedziała...

– Doskonale pamiętam, co mówiła. Ale to my jesteśmy ich rodzicami, sprowadziliśmy je na ten świat. To nasza odpowiedzialność. Na miłość boską, one mają dopiero trzy lata! Co zrobią, jak będą miały cztery? Albo pięć? Zaczną nam robić sekcję, żeby zobaczyć, jak wyglądają nasze narządy?

Poszła do łazienki i zamknęła drzwi. John wertował gazetę, ale nie mógł się skupić na żadnym artykule. Po kilku minutach wyszła w szlafroku, uczesana, z oddechem pachnącym miętową pastą do zębów. Z marsową miną wsunęła stopy w kapcie i przeszła przez korytarz do małego pokoju. Luke i Phoebe, w piżamkach, siedzieli ramię w ramię na podłodze przed komputerem, wpatrzeni w partię szachów. Bez ostrzeżenia złapała córkę za rękę i zaczęła ją ciągnąć na korytarz.

– Porozmawiamy sobie, Phoebe, ty i ja porozmawiamy, nawet gdyby miało nam to zająć cały dzień. Twój tata porozmawia z Lukiem. Choćby to trwało cały dzień. Choćby miało trwać dzień i noc.

– Luke! – powiedział John.

Nie zwracając uwagi na ojca, chłopiec zacisnął usta i poruszył myszką komputera.

Czy to dlatego, że udzieliła mu się wściekłość żony, czy może jego tłumiony gniew w końcu eksplodował, w każdym razie John chwycił syna gwałtowniej niż kiedykolwiek, wywlókł go za drzwi i w ślad za Naomi i Phoebe ruszyli na dół po schodach.

Ciągnął milczącego chłopca jak bezwładny przedmiot, minął hol, kuchnię, wyszedł za żoną tylnymi drzwiami i powlókł Luke'a przez trawnik do pojemników na śmieci.

Wciąż trzymając Phoebe za rękę, Naomi podniosła pokrywę pojemnika, wyjęła czarną plastikową torbę i spojrzała na Johna.

– To ta? – spytała.

– Możliwe – odparł, wzruszając ramionami.

Puściwszy dłoń córki, która położyła się nieruchomo na oszronionym trawniku, Naomi rozwiązała torbę i wysypała

zawartość. Na trawę poleciały truchła Krówki i Czekoladki wraz z narządami wewnętrznymi.

Powstrzymując łzy, Naomi spojrzała na syna, potem na córkę i powiedziała:

– To były wasze zwierzątka. Kochaliście je. Całowaliście. Mieliście o nie dbać. Wydawało się, że je kochacie. Czemu je zabiliście? Dlaczego im to zrobiliście? Dlaczego? Nie rozumiecie, co zrobiliście?

Luke nigdy wcześniej nie mówił tak klarownie i spokojnie jak teraz.

– One są bardzo niską formą życia.

Naomi spojrzała na męża. Ten, zdumiony przytomną odpowiedzią syna, usiłował zachować spokój i drążył:

– Dlaczego to daje ci prawo do zabijania ich, Luke?

– Sam dałeś nam te świnki morskie, tato – odparł chłopiec.

John chciał jednocześnie śmiać się i płakać. Luke do nich mówił! Odpowiadał! Oto nastąpił niewiarygodny przełom, a jednak było to straszne. Nie było się z czego cieszyć. Zerknął na Naomi, a ona dała mu wzrokiem do zrozumienia, że podziela jego zdumienie.

– Luke, daliśmy wam świnki morskie, żebyście o nie dbali, nie po to, żebyście je zabili – powiedział.

– Świnki morskie i tak żyją tylko pięć lat – wtrąciła Phoebe.

Rodzice spojrzeli na dzieci w zupełnie nowym świetle. Bliźniaki się z nimi porozumiewały! Już to było nadzwyczajne. Nie umniejszało jednak wagi tego, co zrobili.

– Nie uważasz, że świnki miały prawo przeżyć te pięć lat? – spytał John. – Jesteś człowiekiem. Ludzie żyją osiemdziesiąt lat.

– Czekoladka miała mniejszą wątrobę niż Krówka – stwierdziła Phoebe.

– Krówka i tak umarłaby w wieku dwóch lat z powodu zbyt wysokiego poziomu kreatyniny, co prowadzi do choroby nerek – oświadczył Luke poważnie.

I autorytatywnie.

Niewiarygodnie autorytatywnie.

– Kreatynina jest metabolitem filtrowanym przez nerki. U Krówki poziom kreatyniny był za wysoki, co znaczy, że zachorowałyby na nerki – dodała Phoebe, patrząc na matkę jak na debilkę.

– A co z Czekoladką? – spytała Naomi. – Co z jej poziomem kreatyniny?

– Był w normie – odparła córka.

– To czemu ją zabiłaś? – spytała matka.

– Nie zabiłam jej – obruszyła się Phoebe.

– Rozumiem – powiedziała Naomi. – Rozpłatałaś ją i wyjęłaś jej wnętrzności. Ale jej nie zabiłaś. Tak?

– Nie, ona umarła. Była nieposłuszna. Nie powiedzieliśmy, że może umrzeć, nie pozwoliliśmy jej umrzeć.

84

John wszedł za Naomi do domu, ruszył prosto do małego pokoju, wyciągnął z gniazdka przewód i wyniósł komputer. Dobrze pamiętał, że gdy w dzieciństwie coś przeskrobał, ojciec konfiskował mu rower, najcenniejszy skarb. Taka kara bardzo bolała, bo pozbawiała go mobilności i w praktyce uziemiała. Może odebranie komputera wywrze wpływ na bliźniaki. John i Naomi pilnie potrzebowali znaleźć coś, co do nich przemówi.

Postawiwszy komputer na podłodze w swoim pokoju do pracy, włączył go, ciekaw, co jeszcze dzieci ściągnęły z internetu.

Na ekranie pojawiło się polecenie:

WPROWADŹ HASŁO

Zabezpieczyliście komputer hasłem, małe dranie! – pomyślał z mimowolnym podziwem.

W pierwszej chwili chciał znaleźć bliźniaki i zażądać, by je podały, potem jednak przyszło mu do głowy coś innego. Skoncentrował się i wystukał na klawiaturze sekwencję liter.

ebohpkul

Komputer poinformował jednak:

NIEPOPRAWNE HASŁO – SPRÓBUJ PONOWNIE

Po chwili namysłu John odwrócił kolejność imion.

eklebohpk

Tak! John uśmiechnął się triumfalnie. Bliźniaki posługiwały się swoim tajnym językiem; połączyły imiona, opuszczając co czwartą literę, i zapisały całość od końca.

Uśmiech szybko jednak znikł z jego twarzy. No super! Podniecam się, bo nie dałem się przechytrzyć trzylatkom!

Wszedł w ustawienia sieciowe, które powinny być puste, ale, zgodnie z jego przypuszczeniami, nie były. Na imię Luke'a założono konto na MobileMe, na Phoebe konto hotmailowe. Dzieci założyły sobie darmowe konta do poczty elektronicznej!

Jeszcze niedawno ogarnęłoby go niedowierzenie, ale teraz już nie. Sam nie miał pewności, co czuje. Niekiedy pragnął z całego serca, by to wszystko było snem. Pewnego dnia obudzi się i stwierdzi, że Naomi i on mają normalne, szczęśliwe dzieci, które w niedzielne poranki wpełzają do ich łóżka, nie oglądają w telewizji programów o gazach halogenowych i nie mordują zwierzątek domowych.

W innych chwilach próbował myśleć pozytywnie i rozważał niezwykle możliwości, jakie otwierały się przed Lukiem i Phoebe. Niezależnie od tego, co zmajstrował Dettore, ich głód wiedzy oraz umiejętności były niewiarygodne. Może bliźniaki potrzebowały tylko silniejszej ręki, bardziej zdecydowanego przewodnictwa, lepszego zrozumienia? On i Naomi musieli uzmysłwić sobie poziom inteligencji dzieci i zacząć w tym widzieć coś pozytywnego.

Dwukrotnie kliknął na ikonę wyszukiwarki internetowej. Czekając, aż się otworzy, wrócił pamięcią do dzieciństwa, szukając okresu, w którym zrozumiał, że zabijanie żywych stworzeń jest czymś niewłaściwym. Z pewnością podpowiedziało mu to jego własne sumienie, prawda? Do dziś nosił w sobie odrobinę poczucia winy z powodu zabicia tamtego wróbla. Dzieci nie trzeba uczyć, że zabijanie jest złe. Każde wie to instynktownie.

A może nie?

Otworzył historię, by sprawdzić, jakie strony internetowe otwierali Luke i Phoebe, i ogarnęło go bezgraniczne niedowierzanie. Dzieci dostały komputer dopiero dwadzieścia cztery godziny wcześniej, ale zdążyły już odwiedzić mnóstwo stron. Wszystkie miały charakter edukacyjny, najczęściej naukowy; część zaadresowana do dzieci, część do nastolatków, inne bardzo zaawansowane. Medycyna, biologia, fizyka, matematyka, chemia, biochemia, kilka stron z dziedziny antropologii, historii oraz biografii.

Kucając na podłodze, całkowicie pochłonięty tym, co widzi, nie zdawał sobie sprawy z dwóch poważnych twarzączek i dwóch par oczu przyglądających się mu od drzwi.

Z zamyślenia wyrwał go głos Naomi wołającej z dołu, że śniadanie gotowe.

John ustawił nowe hasło, by dzieci nie mogły korzystać z komputera. Potem zdał sobie sprawę, że nadal ma na sobie wilgotny, przepocony dres. Szybko go zdjął i wszedł pod prysznic. Kilka minut później, wciąż głęboko zamyślony, zbiegł na dół, przebrał się w golf, dzinsy i sfatygowane skórzane mokasyny, które zawsze dodawały mu otuchy.

Reszta rodziny siedziała już przy dużym dębowym stole zastawionym płatkami śniadaniowymi, miskami z sałatką owocową i jogurtami; stał tam kosz z bułeczkami, drugi pełen grzanek oraz duży talerz jajecznicy, boczku, kiełbasek i pomidorów. Luke właśnie sypał sobie do miski Rice Krispies, precyzyjnie radząc sobie z dużą paczką. Phoebe, niczym mała dama, nakładała łyżką jogurt czekoladowy z dzbanuszka.

John ucałował na dzień dobry teściową i Harriet zatopioną w lekturze „Financial Times”.

– Jak spałyście? – zapytał, siadając.

Teściowa włożyła garsonkę, jakby wybierała się do kościoła. Już wcześniej zauważył, że w niedzielę zawsze ubiera się elegancko – wpływ surowego religijnego wychowania.

– Dziękuję – odpowiedziała nieśmiało. – Spałam jak kamień. Tutaj zawsze dobrze sypiam.

Harriet, w luźnym swetrze, z rozczochranymi czarnymi włosami, podniosła wzrok znad gazety i postukała w nią palcem.

– Czytasz czasem felietony Arniego Wilsona? – spytała. – Nikt tak nie pisze o narciarstwie. Jest całkiem zabawny artykuł o nartach karwingowych.

– Nie, nie czytałem – odparł John. Uśmiechając się z roztargnieniem, nałożył sobie sałatki owocowej i patrzył, jak Luke sypie do płatków niewiarygodne ilości cukru.

– Wystarczy, kochanie – powiedziała Naomi.

Nie zwracając uwagi na matkę, chłopiec wsypał kolejną łyżkę.

Poirytowana Naomi wyrwała mu cukiernicę.

– Powiedziałam: wystarczy!

Luke spojrzał na matkę wyzywająco. Przy stole zapadło niezręczne milczenie.

– Dobrze spaliście, Luke i Phoebe, moje maleństwa? – spytała ich babcia.

Bliźniaki zignorowały pytanie.

– Odpowiedzcie babci – powiedziała Naomi, wlewając mleko do płatków syna.

Phoebe oblizła łyżkę do czysta, po czym wysunęła przed siebie, jakby ją sprawdzała.

– Spanie jest głupie – stwierdziła.

Luke przeżuł płatki i dodał:

– Ja nie sypiam.

– Naprawdę? – spytała babcia. – Nie sypiasz?

Chłopiec włożył do ust kolejną porcję Rice Krispies i zaczął powoli gryźć. Przez pewien czas chrzęst płatków był jedynym odgłosem przy stole.

John i Naomi wymienili spojrzenia. John dawał jej do zrozumienia wzrokiem: „Hej, przynajmniej mówią. To jest przełom, to jest postęp! W każdym razie pewien postęp...”.

– Dlaczego nie sypiasz, Luke? – zainteresowała się Harriet, przewracając stronę gazety.

– Bo tylko martwe rzeczy śpią – odpowiedział chłopiec.

Tym razem John unikał spojrzenia żony. Nadział na widelec kawałek mango i zjadł, nie czując smaku. Wpatrzony w szwagierkę, czekał na jej reakcję.

– Ja spałam w nocy – powiedziała Harriet. – I nie wydaje mi się, żebym była martwa!

– Ja też spałam – dodała babcia Luke’a. – Ale to nie znaczy, że umarłam, prawda, kochanie?

Luke włożył łyżkę w płatki i powiedział nonszalancko:

– Niedługo umrzesz, babciu.

Dziennik Naomi

Czy popełniam błąd, nieustannie porównując L & P z Halleyem? Mój biedny, niewinny Halley. Dobrze, wszyscy wiedzą, że dzieci mówią dziwne rzeczy, a mama przyjęła to z humorem. Mimo to dziękuję Bogu, że ani ona, ani Harriet nie zauważyły zniknięcia świnek morskich. Z jakiej ja spostrzegawczej rodziny pochodzę!

Halley, mój maleńki, tak bardzo za tobą tęsknię. To może zabrzmie nienormalnie, ale wiesz, na co miałam nadzieję, gdy po raz pierwszy udaliśmy się do kliniki doktora Dettorego? Że odzyskamy cię, tylko poprawionego. Liczyłam na to, że nasze nowe dziecko będzie tobą w nowym, zdrowym wcieleniu. Tymczasem w Luke'u i Phoebe nie ma ani śladu ciebie, przynajmniej ja tego nie widzę. Byłeś taki łagodny, słodki, pełen miłości. Czasem mówiłeś zabawne rzeczy, ale nie wyobrażam sobie, byś mógł powiedzieć to, co Luke powiedział do babci dziś przy śniadaniu. Nie wyobrażam sobie, żebyś mógł kogoś zabić.

Może uznasz, że to dziwne, ale niekiedy wyczuwam twoją obecność; czuję, że trzymasz mnie za rękę, mówisz, żebym się nie martwiła. Gdyby nie to, chyba naprawdę bym się załamała. John jest znacznie silniejszy ode mnie. Szkoda, że nie mam jego spokoju, jego siły wewnętrznej, pewności, że wszystko się ułoży.

Urodziłeś się w niedzielę i umarłeś w niedzielę. Wielu ludzi lubi niedziele, ale nie ja. Czasami w niedzielę czuję się taka przygnębiona. Na przykład dzisiaj. Był taki piękny poranek, ale zrujnowało go to, co spotkało Krówkę i Czekoladkę. Teraz jest

deszczowe, wietrzne popołudnie. Babcia ogląda w telewizji film na podstawie Agathy Christie, a ciocia Harriet wróciła do domu. P siedzi przede mną na podłodze w kuchni i układa trójwymiarowe puzzle; w salonie John gra w szachy z L. Dopiero szesnasta, a już jest ciemno. O osiemnastej trzydzieści w wiejskim kościele jest nabożeństwo wieczorne. W każdą niedzielę. Czasami, jak teraz, ciągnie mnie, żeby tam pójść. Czy to ty mnie tam ciągniesz?

A może pogrążam się w rozpacz i chwytam się czegokolwiek?

John nie mógł dojść do siebie po całkowitej klęsce, jaką poniósł w partii szachowej z synem.

– Tego właśnie chciałeś, John, prawda? – rzuciła Naomi. – Całe to wychowanie pod kloszem w pierwszych miesiącach życia bliźniaków. Długie godziny spędzane w ich pokoju, gdy puszczałeś im muzykę New Age, rozmawiałeś z nimi, podsuwałeś im zabawki rozwijające zmysł dotyku. Chciałeś, żeby były inteligentne, to masz.

Siedzieli sami w kuchni w niedzielny wieczór. Matka Naomi cierpiała na migrenę, więc przeprosiła ich i wcześniej poszła spać. W niedzielne wieczory John zawsze szykował kolację, zazwyczaj coś lekkiego i prostego; jedli z tac trzymanyh na kolanach przed telewizorem. Dzisiaj robił omlety z grzybami i sałatkę grecką.

– Nigdy nie chodziło mi o coś takiego – powiedział.

– Wtedy wyśmiewałeś się z moich obiekcji. Teraz jesteś wkurzony, bo Luke wygrał z tobą w szachy.

Zauważywszy na podłodze pudełko karmy dla świnek morskich, Naomi podniosła je i odstawiła do szafki.

– Naomi, on ma trzy lata, na miłość boską! Mnóstwo dzieciaków w tym wieku jeszcze nie umie korzystać z nocnika! Poza tym on nie tylko mnie pokonał. Rozjechał mnie na miazgę. Tempo, w jakim wykonywał posunięcia, dosłownie zapierało dech.

– Kilka lat temu, gdy popularne stały się kostki Rubika, dorośli mieli problemy z układaniem ich, ale małe dzieci radziły sobie w kilka minut. Pamiętam, jak ktoś tłumaczył, że dzieje się tak, ponieważ nikt nie powiedział dzieciom, że ułożenie kostki jest

niemożliwe! Czy dzieci mają dryg do łamigłówek, który potem z wiekiem tracą? Szachy są w pewnym stopniu łamigłówką, prawda?

Stojąc nad patelnią, John skoncentrował się, by przykryć połową omletu drugą połowę. Zazwyczaj uwielbiał zapach grzybów, ale dziś niepokój uciskał mu żołądek i odbierał apetyt.

– Częściowo chodzi o to, że dzieci w tym wieku mniej myślą o różnych sprawach, mniej filtrują je przez intelekt. Po prostu biorą się do roboty.

– Może to samo dotyczy szachów? Nikt nie powiedział Luke'owi, że nie da się ciebie pokonać, więc to zrobił. Sam mi mówiłeś, że w wieku siedmiu lat pokonałeś dziadka, a on był jakimś mistrzem szachowym, prawda?

– Wygrałem z nim jeden raz – odparł. – Po wielu miesiącach rozgrywek. Zresztą... – Wzruszył ramionami. – Może celowo dał mi wygrać.

Szpatułką przepołowił omlet, nałożył kawałki na talerze, zdjął patelnię z pieca i położył na niej pokrywkę.

– Gotowe.

Zabrali talerze na tacach do salonu, po czym John wrócił do kuchni po dwa kieliszki wina Shiraz. W milczeniu jedli przed telewizorem, oglądając *Antiques Roadshow* z przyciszonym głosem.

– Jesteś mistrzem omletów – pochwaliła męża Naomi, nagle weselejąc. – Może powinniśmy chodzić więcej z bliźniakami w różne miejsca. Doktor Michaelides może mieć rację: za bardzo zamykamy je w dziecięcym świecie. W zoo im się podobało.

– Faktycznie, wynieśli stamtąd prawdziwą miłość do zwierząt, co? – zaripostował John.

Naomi znowu zamilkła i skupiła się na jedzeniu.

– Przepraszam, kochanie – powiedział. – Nie powinienem był tego mówić.

Wzruszyła ramionami. Oboje patrzyli na łagodnego brodacza stojącego przed tacą pełną narzędzi chirurgicznych z czasów wiktoriańskich.

– Może powinniśmy zabrać je na sekcję zwłok – odezwał się John. – Z pewnością bardziej by je to rozbawiło niż Pan Ananas. Albo zaprowadzimy je do sali sekcyjnej na wydziale anatomii.

– Głupstwa gadasz.

– Chyba nie, i na tym polega problem. Sekcja zwłok naprawdę mogłaby im się podobać. Według mnie, Luke i Phoebe interesują się sprawami dorosłych.

– Przecież pracujesz w jednym z najbardziej zaawansowanych ośrodków badawczych w Anglii. Może oprowadź ich po Morley Park. Pokaż im akcelerator cząstek, laboratorium zimnej fuzji.

Odstawił tacę na podłogę.

– Co się stało?

– Nie jestem głodny. Nie mogę jeść. Czuję się naprawdę... sam nie wiem... Zastanawiam się, jak damy sobie radę. Co teraz?

Przez chwilę wpatrywał się w telewizor. Drobną staruszką w welwetowym kapeluszu pytała o wartość puzderka zdobionego markietażem.

– To jest najcenniejszy przedmiot w Tunbridge Wells – mówił ekspert w tweedach. – Co wiecie o jego historii?

– Czy zwróciłeś uwagę, że w tym programie przywiązują wielką wagę do historii danego przedmiotu i jego pochodzenia? – spytała Naomi. – Wyobraź sobie, że występujemy w *Antiques Roadshow*. Co moglibyśmy powiedzieć o pochodzeniu Luke'a i Phoebe?

– To raczej nas pokazywaliby w tym programie jako antyki – odparł John. – Relikty wymarłego gatunku. *Homo sapiens* z początku dwudziestego pierwszego wieku. Jedna piękna kobieta, Angielka, w doskonałym stanie. Dość zmęczony Szwed z mózgiem w zaniku, wymaga renowacji. Za to z dużym fiutem.

Naomi zachichotała, po czym odwróciła się i pocałowała go w policzek.

– Damy radę. Wychowamy ich na dobrych ludzi, ponieważ my jesteśmy dobrymi ludźmi. Ty jesteś dobrym człowiekiem. Cała ta dyskusja „geny czy wychowanie”... Musimy szukać sposobów na pokierowanie bliźniakami, trzeba wywierać wpływ.

John uśmiechnął się, ale miał smutny, oszołomiony wyraz twarzy.

– Dziś po południu Luke mnie przestraszył. Serio, napędził mi stracha; czułem, że nie gram z dzieckiem, nie gram z człowiekiem. Miałem wrażenie, że gram przeciwko maszynie. W końcu cała gra straciła sens, przestała być zabawna.

– Może powinniśmy pomyśleć o zapisaniu go na turniej szachowy – zasugerowała Naomi i napiła się wina. – Zobaczmy, jak sobie poradzi z prawdziwym wyzwaniem.

– Chcesz, żeby trafił do gazet? O trzyletnim geniuszu szachowym zrobiłoby się głośno w całym kraju, kochanie. Uczniowie Trzeciego Tysiąclecia namierzyliby go bez trudu. Nie wolno tego robić. Musimy natomiast zastanowić się nad specjalnym programem nauczania.

– Czy istnieją szkoły dla maszyn? – spytała, tylko częściowo żartem.

John objął żonę i uściskał jej ramię.

– Jak myślisz, co z nich wyrośnie za dziesięć lat?

– Dziesięć? Co będzie za trzy lata? Już są jak miniaturowi dorośli. Jak sądzisz, co teraz robią w swoim pokoju? Czekają, aż położymy się spać, żeby mogli przez całą noc surfować po internecie? Opracowują nowy silnik rakietowy? Poprawiają brytyjską konstytucję?

Naomi skończyła omlet.

– Zadzwonisz rano do doktor Michaelides? – spytała. – Powiesz jej o świnkach morskich? Chciałabym poznać jej zdanie.

Skinął głową i wstał.

– Idę do siebie – rzucił.

– Musisz pracować dziś w nocy? Wyglądasz na zmęczonego.

– Korekta książki... Do końca tygodnia muszę ją odesłać do Stanów.

...

W swoim gabinecie na górze John otworzył wyszukiwarke internetową w komputerze i zaczął przeglądać historie. Jako początek poszukiwań ustawił datę poprzedzającą dzień, gdy bliźniaki dostały komputer, potem zaczął się cofać do wcześniejszych miesięcy.

Przed oczami ukazały się strony internetowe, których nigdy nie odwiedzał. Podobnie jak w komputerze bliźniaków, znalazł mnóstwo stron z dziedziny matematyki, fizyki i innych nauk. Historia, antropologia, geologia. Nie było końca.

Nic rozrywkowego. Jego trzylatki nie surfowały po necie w tak nudnym celu jak logowanie się na stronach dla dzieci i do czatowania. Najwyraźniej Luke'a i Phoebe popychał nienasycony głód wiedzy.

Cofnąwszy się o trzy miesiące, trafił na strony szachowe. Luke, albo on i jego siostra, odwiedzili dziesiątki stron, od tych poświęconych nauce gry do zaawansowanych strategii.

John klęknął i włączył stojący na podłodze komputer bliźniaków. Po chwili na ekranie pojawiło się żądanie hasła. Wprowadził to, które ustawił rano, by dzieci nie mogły korzystać z komputera w okresie konfiskaty. Na ekranie pojawiła się wiadomość:

HASŁO NIEPOPRAWNE - SPRÓBUJ PONOWNIE

Celowo ustawił trudne hasło, którego nie dało się złamać przypadkiem. Może teraz wpisał je błędnie? Spróbował jeszcze raz.

B*223*&65&*

HASŁO NIEPOPRAWNE - SPRÓBUJ PONOWNIE

Wcześniej zapisał nowe hasło na karteczce i schował ją do kieszeni spodni. Teraz sprawdził; było poprawne. Wpisał je znowu.

HASŁO NIEPOPRAWNE - SPRÓBUJ PONOWNIE

Z niedowierzaniem kręcąc głową, spróbował ponownie, bez powodzenia. Już wiedział, co się stało.

Dzieci, albo jedno z nich, musiały się tu zakraść, złamać jego hasło i wprowadzić nowe.

Pokój był mały, ramy okienne tak spróchniałe i przesiąknięte wodą, że farba ledwo się trzymała, a kit się kruszył. Szyby trzęsły się na wietrze. Z szarego nieba kropił deszcz, morze za barierką promenady falowało złowieszczo.

W pokoju stało pojedyncze łóżko, telewizor, którego nigdy nie włączał, stół, stojak z miską do mycia, lustro, parę krzeseł i jego Biblia. Jego krzyż wisiał na ścianie w miejscu reprodukcji *Wozu na siano* Constable'a, którą zdjął i schował do szafy.

Codziennie rano budził się w tym małym zimnym pokoju, w obcym mieście, modlił się, otwierał laptop i z nadzieją logował się do internetu. Codziennie z obrzydzeniem patrzył na przepływ informacji. Do jego skrzynki trafiało wiele maili. Codziennie oferowano mu nowe okazje do zbicia majątku, kobiety pragnęły zwabić go na swoje strony. Zauważał je, wzbudzały jego gniew, zasmucały i radowały.

Cieszył się, że wkrótce to wszystko porzuci, żeby zgniło. Wkrótce znajdzie się w objęciach Lary, będą płodzić dzieci, będą je płodzić na swój własny sposób, po Bożemu, nie tak jak Szatan płodzi swój pomiot.

Dzieci, bądźcie posłuszne w Panu waszym rodzicom, bo to jest sprawiedliwe. Czcij ojca twego i matkę – jest to pierwsze przykazanie z obietnicą, aby ci było dobrze i abyś był długowieczny na ziemi¹⁴.

Nie powinien tego mieć, ponieważ był to grzeszny przedmiot, ale nie potrafił się z nim rozstać. Jedyne rzecz z nią związana. Lara podarowała mu ją w dniu, kiedy się rozstali. Mała kolorowa fotografia przedstawiająca ją w prostej letniej sukience na tarasie

domu na kalifornijskim ranczo, gdzie się poznali. Lara uśmiechała się, długie czarne włosy opadały na nagie ramiona, na jedwabistą skórę. Od tamtego dnia minęły ponad trzy lata, ale on wciąż pamiętał zapachy jej ciała, każdą woń, każdy dotyk, każde słowo, obietnicę, każdą pieszczotę oddechu Lary na jego twarzy. *Będę na ciebie czekała, Timonie, kochany aniele, będę czekała na ciebie po kres czasu.*

Już niedługo, Laro, jeśli Bóg tak zechce, już niedługo!

Siedząc przy drewnianym stole, obok marnego kaloryfera dającego niewiele ciepła, przeglądał nowe maile, wertował śmieci, gdy nagle, właśnie dziś, w poniedziałkowy poranek, z podnieceniem przeczytał mail wysłany z nieznanego adresu.

**Rzeki zamienia On w pustynię,
oazy na ziemię spragnioną,
ziemię żyzną na słony ugór
skutkiem niegodziwości jej mieszkańców.
Pustynię zamienił w zbiornik wody,
a ziemię suchą w oazę.
I tam osiedlił zgłodniałych,
i założyli miasta zamieszkałe.
Obsiali pola, zasadzili winnice
i zyskali zbiory owoców.
Pobłogosławił im,
a bardzo się rozmnożyli,
i dał im bydła niemało¹⁵.**

We wtorek przed południem doktor Sheila Michaelides siedziała przy biurku z sosnowego drewna w swoim gabinecie. Wiało od niej chłodem.

Naomi patrzyła, jak za oknem za plecami psycholog pada deszcz na bujny ogród otoczony murem. Na trawie dostrzegła drozda, który wyciągał dziobem opierającą się dżdżownicę.

– Dlaczego żadne z was nie powiedziało mi prawdy o waszych dzieciach? – spytała doktor Michaelides.

– Przepraszam, ale nie rozumiem – odparła Naomi.

– Nie? Doktor Dettore? To nazwisko coś chyba wam mówi, prawda? – Twarz pani psycholog stężała.

John i Naomi spojrzeli po sobie; czuli się coraz niezręcznie.

– Owszem, udaliśmy się do niego – przyznał John.

– Ale nie z powodów, które pani ma na myśli – dodała Naomi.

– Jakież to powody mogłam mieć na myśli, pani Klaesson?

Naomi splotła dłonie.

– Że... że... chcieliśmy mieć...

– Dzieci projektowane genetycznie? – dokończyła za nią psycholog.

– Nie – zaprzeczyła Naomi. – Wcale nie.

– Czyżby?

Naomi wskazała na stojące na biurku dwa zdjęcia małych roześmianych chłopców.

– Czy to pani synowie?

– Tak.

– Są zdrowymi, normalnymi małymi chłopcami?

– Nie są tacy mali. Louis ma dwadzieścia lat, Philip dwadzieścia dwa.

– Ale są zdrowi, normalni? – drążyła Naomi.

– Skoncentrujmy się na pani dzieciach, pani Klaesson, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu. Przecież w tej sprawie państwo do mnie przyszli.

– Szczerze mówiąc, mam coś przeciwko temu – odparła gniewnie Naomi.

– Złotko – powiedział John ostrzegawczo.

– Nie mów do mnie „złotko” – warknęła, po czym zwróciła się do doktor Michaelides: – Udaliśmy się do doktora Dettorego, ponieważ dał nam nadzieję... był jedynym lekarzem na świecie, który mógł nam dać nadzieję. Jasne?

– Jaką nadzieję wam dał?

– Na normalne dziecko. Dziecko wolne od okropnego genu, który nosi zarówno John, jak i ja. Tylko po to do niego poszliśmy. Żeby dał nam dziecko bez tego genu.

– Namówił was na bliźniaki?

– Nie – odparł John. – Chcieliśmy syna, to wszystko. Nigdy nie prosiliśmy o bliźniaki.

Po długim milczeniu psycholog zapytała:

– Czy wiecie o innych dzieciach spłodzonych przez rodziców, którzy odwiedzili doktora Dettorego?

– O kilku – odparł John.

– Trzy pary bliźniąt, wszystkie spłodzone przez rodziców, którzy odwiedzili klinikę Dettorego, zostały zamordowane w ciągu paru ostatnich lat – powiedziała Naomi. – Istnieje powiązanie z jakąś grupą fanatyków religijnych.

– Dlatego nie chcemy o tym rozmawiać – dodał John. – Doradzono nam, żebyśmy zachowali milczenie.

– To dość trudne zadanie, skoro piszą o tym w internecie – stwierdziła doktor Michaelides.

– Z tego powodu się nie wychylamy – wyjaśnił John.

– Co to dla pani za różnica? – spytała ostro Naomi. – Czy Luke i Phoebe są obywatelami drugiej kategorii, dlatego że zostali

poczęci inaczej? To właśnie chce nam pani powiedzieć?

– Wcale nie. Jeśli jednak pamiętacie, zapytałam, czy możecie mi powiedzieć o czymś, co mogłoby mieć wpływ na zachowanie waszych dzieci. Nigdy nie wspomnieliście, że zaprojektowaliście ich geny. Sądzę, że byłoby pomocne, gdybyście od tego właśnie zaczęli. Nieprawdaż?

– Nie, ja... – Naomi urwała, bo John uspokoił ją gestem dłoni.

– Skarbie, pani doktor ma rację. Należało jej powiedzieć.

Wpatrywała się w dywan smętnym wzrokiem. Czuła się, jakby wróciła do szkoły i besztala ją nauczycielka.

– Pani doktor – powiedziała. – Teraz może wygląda to dla pani inaczej. Chcieliśmy tylko, żeby doktor Dettore usunął te złe geny.

– To wszystko?

– Mniej więcej – odparła Naomi.

– Mniej więcej? – powtórzyła doktor Michaelides.

W gabinecie zapadło niezręczne milczenie. Przerwał je John.

– Zgodziliśmy się na wprowadzenie kilku pozytywnych zmian, aby wzmocnić umiejętności naszego dziecka w pewnych dziedzinach.

– W jakich konkretnie dziedzinach? – zapytała sceptycznie psycholog.

Poczuł nagle, że się broni, jakby i jego wezwała na dywanik nauczycielka.

– Odporność na choroby... Wzmocniliśmy ich system immunologiczny.

– Kiedy mówimy: oni, to nie jest całkiem prawda. Gdy udaliśmy się do kliniki Dettorego, chcieliśmy mieć tylko jedno dziecko...

– Chłopca – dodał John. – Drugiego syna.

– Ale doktor Dettore namówił was na bliźniaki?

– Nie uprzedził nas, że urodzą się bliźnięta – odparł John. – Dopiero gdy żona była w zaawansowanej ciąży, odkryliśmy, że nosi w brzuchu dwoje dzieci. Wybraliśmy tylko drobne modyfikacje. Chcieliśmy mieć pewność, że urodzi się nam dość wysoki syn, z dobrym wzrokiem i słuchem. Zgodziliśmy się na

opcję, dzięki której będzie potrzebował mniej snu, gdy dorośnie. Oraz opcję, dzięki której mniejsza niż u przeciętnego człowieka ilość pokarmu da mu wyższy poziom energii.

– Zgodziliśmy się też na pewne usprawnienia jego zdolności przyswajania nowych informacji – uzupełniła Naomi.

– Mniej snu – powiedziała psycholog. – Usprawnienie zdolności przyswajania nowych informacji. Teraz martwicie się, ponieważ nie śpią po nocach i chcą się więcej uczyć? Czego właściwie się spodziewaliście?

– Nie tego – odpowiedziała Naomi. – Chcieliśmy tylko zapewnić im dobry start życiowy. Nigdy nie zamierzaliśmy zamienić ich w...

Zamilkła raptownie, ale doktor Michaelides czekała cierpliwie.

– W dziwołagi – dokończył za Naomi John. – Myślę, że tego słowa moja żona nie chce wymówić.

– Czy tak właśnie zaczyna pani postrzegać swoje dzieci, pani Klaesson? Jako dziwołagi?

– Nie w takim sensie, w jakim mówi się o dziwołagach w cyrku. Mam na myśli to, że różnią się od innych dzieci. Zupełnie jakby zostały... inaczej zaprogramowane.

– Według mnie, one są inaczej zaprogramowane – powiedziała doktor Michaelides.

W gabinecie zapadło długie milczenie.

– Jeśli mam wam pomóc, od tej pory musicie być ze mną całkowicie szczerzy – odezwała się w końcu psycholog. Kolejno spojrzała im w oczy. – Powiedzcie, czy kiedy udaliście się do tej kliniki, Dettore zaproponował wam standardowy pakiet?

– W jakim sensie? – spytała Naomi.

– Zawierał umowy ze swoimi pacjentami... albo klientami. – Doktor Michaelides uniosła rękę i zaczęła wyliczać na palcach: – Określony iloraz inteligencji, zagwarantowany wzrost, konkretne zdolności sportowe. Czy nie odnieśliście wrażenia, że pewne opcje mógł załatwiać łącznie?

– Nie – odparł John. – Mieliśmy wielki wybór.

– Za duży wybór – dodała Naomi. – Wprost przytłaczający.

Wymienili wszystkie wybrane opcje genetyczne, które mogli sobie przypomnieć. Gdy skończyli, psycholog przez kilka minut pracowała przy komputerze. W końcu oparła się na krześle i w zamyśleniu spojrzała na małżonków.

– Zrobiłam małe rozeznanie. Od naszego ostatniego spotkania pod koniec zeszłego tygodnia otrzymałam, przez telefon lub pocztą elektroniczną, dwadzieścia sześć wiadomości od psychologów, którzy zajmują się dziećmi poczętymi na pływającej klinice doktora Dettorego.

– Sądziłam, że to są poufne informacje – powiedziała Naomi.

– Owszem – odparła doktor Michaelides. – Dlatego ludzie, z którymi się porozumiałam, spytali rodziców o zgodę na to, abym się do nich zwróciła.

Znów spojrzała na ekran, oparła dłonie na biurku i wychyliła się do przodu.

– Wszystkie dzieci to bliźniaki, w każdym przypadku było to dla rodziców zaskoczenie. Wszystkie mają jednakowy, wysoki, iloraz inteligencji, wyglądają dojrzałe jak na swój wiek i borykają się z takimi samymi problemami w zachowaniu jak Luke i Phoebe.

John i Naomi przez minutę siedzieli w milczeniu, chłonąc to, co usłyszeli.

– Sugeruje pani, że nasze dzieci są klonami? – spytał John, czując nagły ucisk w gardle.

– Nie. Poprosiłam kilku rodziców, żeby przysłali mi zdjęcia, ponieważ sama się nad tym zastanawiałam. – Doktor Michaelides się uśmiechnęła. – Widuję wielu rodziców i dzieci, i mogę was zapewnić, że Luke i Phoebe są do was bardzo podobni.

– Dzięki Bogu – odetchnęła z ulgą Naomi.

– Ta sama inteligencja, ten sam dojrzały wygląd, te same problemy behawioralne u wszystkich bliźniaków... Jak to możliwe? – spytał John. – My wybraliśmy tylko pewne opcje. Inni rodzice z pewnością dokonali innych wyborów, pewnie niektórzy znacznie bardziej radykalnych niż nasze. Jakim cudem wszystkie dzieci są tak do siebie podobne?

– Może z tego samego powodu, dla którego wszystkim parom, chociaż chciały mieć tylko jedno dziecko, urodziły się bliźnięta? – odparła psycholog z zagadkowym wyrazem twarzy.

– Nie bardzo rozumiem – przyznała Naomi.

– Pani doktor sugeruje, że Dettore mógł mieć własny plan – wyjaśnił jej mąż.

– Wiesz, tak właśnie czułam, odkąd Luke i Phoebe przyszły na świat.

– Ten wasz doktor Dettore ma w środowisku naukowym reputację osobnika pozbawionego skrupułów – powiedziała doktor Michaelides. – Wystarczy przeczytać wywiady prasowe, jakich udzielał w ostatnich latach, by przekonać się, że był

człowiekiem z klapkami na oczach, bez poszanowania dla etyki lekarskiej, gardzącym krytykami.

– Myśli pani, że wykorzystał moją żonę oraz dziesiątki innych matek, aby bezwiednie użyczyły mu łon do doświadczenia?

– Obawiam się, że istnieje duże prawdopodobieństwo, że tak właśnie się stało.

John i Naomi spojrzeli po sobie; obojgu na chwilę zabrakło słów.

– Nie powinno to jednak wpływać na wasze relacje z dziećmi – ciągnęła doktor Michaelides. – Nawet jeśli ich geny nie pokrywają się z tym, co planowaliście, to są to wasze dzieci, z krwi i kości.

– Co teraz? – spytała pośepnie Naomi. – Czekają nas niekończące się eksperymenty społeczne? Czy Luke i Phoebe mają zostać królikami doświadczalnymi światowych psychologów i naukowców?

– Co z całą dyskusją „wychowanie czy geny”? – spytał John. – Dettore powiedział nam, że niezależnie od tego, co zrobimy z genami naszego dziecka... dzieci... będzie to stanowiło tylko drobny fragment całości. Mówił, że przeważającą rolę w procesie kształtowania dziecka będziemy odgrywać my, rodzice. Jeśli będziemy je kochać wystarczająco mocno i troszczyć się o nie, to może z czasem zdołamy je ukształtować? Czy na dłuższą metę ja i moja żona nie staniemy się dla nich ważniejsi niż wszystko, co zrobił Dettore?

– W normalnych warunkach zgodziłabym się z tym, do pewnego stopnia. W zeszłym tygodniu rozmawialiśmy o ograniczeniu epistemologicznym, czyli o sposobie zaprogramowania ludzi i ograniczeniach mocy mózgu normalnego człowieka. Wzorce behawioralne waszych dzieci sugerują jednak, że brakuje im normalnej powściągliwości. Luke i Phoebe w wieku trzech lat wykazują cechy, których spodziewałabym się u nastolatków.

Doktor Michaelides otworzyła butelkę i nalała wody mineralnej do szklanki na biurku.

– Najważniejszą rzeczą dla rodziców jest nawiązanie kontaktu z dzieckiem, zbudowanie więzi. Według mnie, tego wam brakuje i tego szukacie. Czy to uczciwe postawienie sprawy?

– Tak – potwierdziła Naomi. – Zdecydowanie tak. Jestem ich służącą, to wszystko. Myję bliźniaki, karmię, sprzątam po nich. Tylko tyle mogę zrobić i najwyraźniej niczego więcej ode mnie nie oczekują. Niedawno Luke się skaleczył, ale nie przyszedł do mnie, żebym go przytuliła; poszedł do Phoebe i pokazał jej skaleczenie. Nawet mi nie podziękował, kiedy przyklepiłam plaster.

– Chyba dobrze by było, gdybyście porozmawiali z innymi rodzicami, jeśli się zgodzą.

– Czy są jakieś pary w Anglii? – spytała Naomi.

– Jeszcze nic mi o nich nie wiadomo, ale musi być mnóstwo rzeczy, o których jeszcze nie słyszałam.

– Chętnie porozmawiam z rodzicami, gdziekolwiek się znajdują – zapewniła Naomi.

Psycholog napiła się wody.

– Zobaczę, co zdołam załatwić, ale muszę was przestrzec: nie oczekujcie magicznych odpowiedzi. Wszyscy psychologowie, z którymi rozmawiałam, twierdzą, że inni rodzice są w takiej samej sytuacji jak wy.

– Czy tamte dzieci zabiły swoje zwierzątka domowe, tak jak Luke i Phoebe? – spytał John.

– Nie przeprowadziłam szczegółowych rozmów z wieloma parami, ale bliźnięta w La Jolla na południu Kalifornii udusiły należącego do rodziny spaniela po tym, jak ich ojciec poskarżył się, że pies nieustannie szczeka. Bliźniaki sądziły, że tata ucieszy się z tego, że rozwiązały za niego problem. Bliźnięta z Krefeld w Niemczech poderżnęły gardło kotu po tym, jak ich matka krzyknęła, gdy wniósł do kuchni mysz. Obawiam się, że cechą wspólną może być niezdolność odróżniania żywych stworzeń od przedmiotów. Nie oznacza to, że te dzieci są złe, raczej, że mają zupełnie inny system wartości. Nie dostrzegają tego, co wy i ja uważamy za normalne.

– Przecież musimy je ukształtować – rzuciła Naomi. – Musi istnieć sposób dotarcia do nich. Musi nam pani pokazać ten sposób.

– Myślę, że rozmowa z innymi rodzicami bardzo by pomogła – potwierdził John. – Kochanie, powinniśmy skorzystać z propozycji pani doktor. Uważam, że należy porozmawiać z tyloma rodzicami, z iloma się da.

– Pani doktor, najwyraźniej ma pani szczęśliwe dzieci, które odniosły sukces – powiedziała Naomi. – Pewnie nie potrafi pani zrozumieć, jak bardzo czuję się odrzucona. Pusta. Niczym porzucony pojazd, którym bliźniaki się przejechały. Chcę odzyskać dzieci, które urodziłam. Chcę mieć dzieci, nie dziwolągi. Tego od pani oczekuję.

Psycholog uśmiechnęła się do niej ze współczuciem.

– Rozumiem. Tego chciałaby każda matka, ale nie jestem pewna, czy mogę to pani dać. Zanim zdoła pani posunąć się dalej w relacjach z Lukiem i Phoebe, musi pani zmienić swoje cele. Kilka spraw należy zdefiniować na nowo.

– To znaczy?

– Po pierwsze, dobrze by było, gdybyście zaczęli o nich myśleć nie jako o dzieciach, ale jako o dorosłych. Wynajęliście kłowna na ich urodziny, tak? – Doktor Michaelides utkwiała wzrok w Johnie i Naomi.

– Sądzi pani, że to był błąd?

– Według mnie, musicie całkowicie zmienić swój sposób myślenia. Jeśli chcecie do nich dotrzeć, może trzeba będzie zacząć traktować bliźniaki jak nastolatków, ponieważ tym właśnie są pod względem intelektualnym.

– Ale co z ich dzieciństwem? – spytała Naomi. – Jaki nastolatek miałby się nimi zainteresować. To jest... to znaczy... – W rozpaczy potrząsnęła głową. – Wiem, że były genialne dzieci, które w dwunastym roku życia przyjmowano na uniwersytet, ale kiedy czyta się o ich późniejszych losach, okazuje się, że zazwyczaj około trzydziestki się wypalały. Pani radzi nam wyrzucić do kosza wszystkie reguły.

– Pani Klaesson, nie ma żadnych reguł – sprostowała psycholog łagodnie, lecz stanowczo. – Obawiam się, że sami wszystkie wyrzuciliście, kiedy udaliście się do doktora Dettorego.

Styczeń, pomyślała posępnie Naomi, patrząc przez przednią szybę samochodu na podmokłą okolicę. Puste tygodnie po Bożym Narodzeniu, kiedy zdjęto już gwiazdkowe ozdoby, cała radość z zimy ulotniła się, a człowiek ma przed sobą luty i sporą część marca, zanim pogoda wreszcie się zlituje.

Dopiero czternasta, a już zaczął zapadać zmrok; za parę godzin całkiem się ściemni. Kiedy John skręcił na podjazd, saab wpadł w głęboką kałużę i woda ochlapała przednią szybę. Wycieraczki oczyściły błoto. Naomi spoglądała na ponure, ogołoczone z liści żywopłoty. Skrajem trawnika przebiegła zgnębiona samica bażanta, podobna do zabawki na baterię, która się wyczerpywała.

Pod kołami załomotała kratownica zabezpieczająca przed bydłem, potem opony zazgrzytały na żwirze. John zaparkował przed domem, między utyłanym białym subaru żony a nissanem micra należącym do jej matki.

Gdy Naomi wyłączyła wycieraczki, krople deszczu szybko pokryły przednią szybę. Zaniepokoił ją przygnębiony wyraz twarzy męża, wyraz klęski.

– Kochanie, wiem, że nie chciałam, by ktokolwiek zajmował się dziećmi na stałe. Tydzień temu całkowicie odrzuciłam sugestię doktor Michaelides, żeby posłać bliźniaki do szkoły specjalnej, ale po dzisiejszej wizycie zmieniłam zdanie. Ona może mieć rację: może Luke i Phoebe potrzebują specjalistycznej opieki, nauczania, jakkolwiek to się nazywa.

– Nie uważasz, że to jest przyznanie się do klęski? – spytał.

– Gdybyśmy pozwolili sobie na przygnębienie z powodu bliźniaków, oznaczałoby to przyznanie się do klęski. Musimy przestać czuć, że ponieśliśmy porażkę. Musimy znaleźć sposób, by pozytywnie odmienić życie dzieci i własne.

John siedział w milczeniu. Potem dotknął dłonią jej policzka.

– Kocham się – powiedział. – Naprawdę cię kocham. Przepraszam za wszystko, co musiałaś przeze mnie przejść.

– Ja też cię kocham. Dzięki twojej sile przeżyłam śmierć Halleya. – Uśmiechnęła się przez łzy. – Teraz mamy dwoje zdrowych dzieci. Musimy... – Pociągnęła nosem. – Musimy optymalnie wykorzystać naszą sytuację, prawda?

– Jasne – przytaknął John. – Masz rację, to właśnie należy zrobić.

Chyląc głowy przed deszczem, pobiegli do drzwi frontowych. Naomi ściągnęła płaszcz i zawołała:

– Hej! Wróciliśmy!

John usłyszał głosy, amerykański akcent. Z trudem zdjął mokry płaszcz, odwiesił na wieszak, po czym ruszył za żoną do salonu.

Matka Naomi, w stanowczo za dużym swetrze z warkoczowym splotem, siedziała na kanapie, wyszywała makatkę i oglądała w telewizji czarno-biały film. Odbiornik huczał ogłuszająco, tak jak lubiła.

– Jak poszło? – spytała.

– Dzięki, w porządku – odparła Naomi i ściszyła telewizor. – Gdzie oni są?

– Na górze, grają na komputerze.

– Dzwonił ktoś?

– Nie było żadnych telefonów. Telefon milczał – odpowiedziała matka i przez chwilę wpatrywała się w makatkę, w zamyśleniu marszcząc brwi. – Ale jakąś godzinę po waszym wyjściu mieliśmy gościa.

– Tak? – zaciekawiała się Naomi.

– Bardzo miły człowiek. Chyba Amerykanin.

– Amerykanin? – powtórzyła lekko zaniepokojona Naomi.

– Trafił pod zły adres. Szukał jakiejś tam farmy, dokładnie nie pamiętam, nigdy o niej nie słyszałam.

– Jak wyglądał ten facet? – spytał John.

– Ładnie ubrany, bardzo miły – odpowiedziała teściowa po namyśle. – W ciemnym garniturze, krawacie... Ale zauważyłam jedną rzecz: zrobił coś, co często robił twój ojciec, wiesz? Twój ojciec wiązał krawat, lecz w pośpiechu zapominał zapiąć kilku guzików koszuli. Ten młody człowiek zapomniał zapiąć dwóch guzików i zauważyłam, że pod spodem miał taki krzyż religijny... no, jakże one się nazywają... Ostatnio pamięć mnie zawodzi, zapominam słów! Jak one się nazywają? Prawda, jaka jestem niemądra? Krucyfiks!

Amerikanin. Krucyfiks.

John siedział w swoim gabinecie, drżąc na całym ciele.

Ten człowiek nie musiał wróżyć nic złego, jego wizyta nie musiała oznaczać, że...

Tyle że banda świrniętych amerykańskich fanatyków nazywających się Uczniami, mordowała małżeństwa, które odwiedziły klinikę Dettorego. Tym parom urodziły się bliźnięta, a teraz Amerikanin noszący na szyi krucyfiks pojawił się w angielskim domu na odludziu, gdzie akurat mieszkało małżeństwo, któremu po wizycie w klinice Dettorego urodziły się bliźniaki.

John zastanawiał się, jakie jeszcze środki bezpieczeństwa może przedsięwziąć. Już wcześniej wstawili w oknach grubsze szyby. Zamki okienne. Światła bezpieczeństwa. Wysokiej jakości zamki w drzwiach. Alarm połączony z agencją ochrony. Przyciski alarmowe. Może powinien zabrać stąd Naomi i dzieci, przynajmniej na jakiś czas. Na przykład do Szwecji?

Albo przenieść się do hotelu? Ale na jak długo?

Rozważali nabycie psów obronnych. Pozostała też jeszcze jedna opcja, na którą dotychczas się nie zdecydowali. Firma, która zainstalowała w domu alarm i całą resztę, oferowała dodatkową usługę, ale była dość kosztowna i wtedy nie widzieli potrzeby, by z niej skorzystać. Teraz John żałował. Podeszedł do szafki, wyciągnął dolną szufladę i wyjął teczkę z napisem *Systemy alarmowe*.

Potem zadzwonił do firmy ochroniarskiej i spytał, jak szybko mogliby zainstalować kamery. Usłyszawszy, że trwałoby to około

dziesięciu dni, powiedział, że jeśli zrobią to następnego dnia, natychmiast złoży zamówienie. Kazano mu poczekać parę minut, wreszcie usłyszał, że nazajutrz o dziewiątej przyjadą i zamontują kamery.

Po rozłączeniu się napisał mail do Kallego Almtorpa z ambasady szwedzkiej w Kuala Lumpur.

Kalle, mam nadzieję, że miło spędziłeś Boże Narodzenie i Nowy Rok. Pewnie nie macie śniegu?

W grudniu napisałeś, że Twój kontakt w FBI twierdzi, iż mają trop w sprawie Uczniów Trzeciego Tysiąclecia. Pytam o to, ponieważ zaistniała tu potencjalnie niepokojąca sytuacja. Muszę wiedzieć, jak bardzo powinienem się martwić. Byłbym wdzięczny za wszelkie informacje w tej sprawie; to pilne.

Ucałuj Annę i dzieciaki.

Hälsningar!

John

Po wysłaniu maila poszedł na górę do małego pokoju, gdzie Luke i Phoebe siedzieli na podłodze przed komputerem. Najwyraźniej usłyszeli, że nadchodzi, bo wchodząc, ujrzał na ekranie błysk, jakby pospiesznie zmienili stronę internetową.

– Cześć! – powiedział.

Żadne z dzieci nie spojrzało na ojca.

– Luke! Phoebe! Halo! – rzucił głośniej.

Jednocześnie bardzo powoli odwrócili głowy i odpowiedzieli:

– Halo! – Wpatrywali się w niego z uśmiechem, reagując tak, jak tego od nich oczekiwano.

Johna zmroziło. Dzieci były zbyt schludne i czyste, zbyt nienaganne. Phoebe miała na sobie ciemnozielony dres i białe tenisówki. Luke założył granatową bluzę z golfem, starannie wyprasowane džinsy i nieskazitelnie czyste tenisówki. Włosy mieli starannie uczesane. Przez chwilę miał wrażenie, że nie patrzy na prawdziwych ludzi, na własne dzieci, lecz na roboty. Chciał wyjść z pokoju, ale przypomniał sobie słowa doktor Michaelides i postanowił wcielić je w życie.

Tak beztrosko i radośnie, jak tylko potrafił, uklęknął i zbliżył policzek, najpierw do Luke'a, potem do Phoebe. Dzieci gwałtownie odsunęły twarze.

– Nie pocałujecie tatusia?

– Całowanie prowadzi do seksu – odparł Luke i ponownie spojrzął na ekran komputera.

– Co? Co powiedziałaś? – spytał zaskoczony John. W jego głowie rozbrzmiały dzwonki alarmowe; miał nadzieję, rozpaczliwą nadzieję, że się przesłyszał. Po chwili jednak Phoebe dowiodła, że usłyszał właściwie.

– My się nie całujemy – oświadczyła wyniośle. – Nie chcemy, żeby ktoś nas wykorzystał. – Po czym, śladem brata, również wlepiała oczy w ekran.

– Hej – wykrztusił John, szukając odpowiedzi. – Hej, posłuchajcie. – Spojrzął na błyszczącą obudowę komputera, klawiaturę, mysz, wielobarwną podkładkę pod mysz; poczuł ostrą woń plastiku. Cały zdrętwiał.

Luke poruszył myszą, a John ujrzał, jak kursor przesuwa się ku górze ekranu i zatrzymuje na kwadraciku. Chłopiec kliknął dwa razy i kwadracik otworzył się niczym miniaturowe okienko, z którego wysypał się ciąg liczb.

John wstał, podszedł do ściany i wyciągnął wtyczkę z gniazdka. Dzieci spojrzały na niego bez cienia zdziwienia.

– Przepraszam, ale co to za bzdury o wykorzystywaniu? – spytał. – Skąd je wzięliście? Z internetu?

Milczenie.

– Myślicie, że ja i mama was wykorzystamy? To nie jest zabawne.

Bliźniaki wstały i wyszły z pokoju.

– Luke! Phoebe! – zawołał John, z trudem tłumiąc wściekłość.

– Wracajcie, mówię do was!

Wypadł z pokoju i pognał za dziećmi, wołając:

– LUKE! PHOEBE! W TEJ CHWILI MACIE TU WRÓCIĆ!

Ignorując ojca, bliźniaki schodziły po schodach.

Stanął i odprowadzał je wzrokiem. Co miał z nimi począć? Czuł się tak, jakby miał do czynienia z humorzystami nastolatkami. Czy tym właśnie byli?

Drżał na całym ciele, gniew mącił mu myśli. Chciał złapać dzieci, potrząsnąć nimi, potrząsnąć gnojkami, aż wydusi z nich prawdę. Sheila Michaelides uprzedzała jednak, że konfrontacja z bliźniakami sprawi tylko, że jeszcze bardziej się zamkną. Zupełnie jak nastolatki, pomyślał.

Jasne, łatwo powiedzieć, pani doktor, ale jak, do diabła mamy się nie złościć, kiedy wygadują takie rzeczy?

Przypomniawszy sobie, po co poszedł na górę, ruszył do sypialni, wyjął klucze spod chusteczek, otworzył szafę i stukając wieszakami, przesunął na bok garnitury i koszule, odsłaniając wbudowaną w ścianę skrytkę na broń. Przekręciwszy klucz w zamku, wyjął ciężką strzelbę.

Rosyjską broń kalibru dwanaście kupił z drugiej ręki po trzymiesięcznym oczekiwaniu na pozwolenie, w tym samym czasie, gdy w domu zainstalowano alarm i inne środki bezpieczeństwa. Dotychczas ani razu nie użył strzelby, a Naomi mocno sprzeciwiała się jej zakupowi. Mimo to w nocy czuł się lepiej, wiedząc, że broń jest pod ręką.

Teraz wydała mu się cięższa, niż zapamiętał; kolba była ciepła, lufy – zimne jak lód. Otworzył strzelbę, podziwiając wspaniałą rusznikarską robotę pozwalającą na zgrabny ruch, potem, mrużąc oczy, zajrzał w błyszczące lufy. Gdy ponownie zamknął strzelbę, usłyszał dodający otuchy szcęk. Uniósł broń, popatrzył przez celownik i pociągnął za spust.

Nic się nie stało.

Bezpiecznik! – przypomniał sobie. Odbezpieczywszy broń, wycelował w okno, mocno ujął strzelbę i pociągnął najpierw za prawy, potem za lewy język spustowy, za każdym razem słysząc ostry szcęk.

Uklęknął i wsunął strzelbę pod łóżko tak, by nikt nie mógł jej zauważyć. Potem wyjął ze skrytki pudełko z amunicją, otworzył i schował cztery naboje do szuflady swojego stolika nocnego.

Pudełko z amunicją odłożył do skrytki, zamknął ją, a klucz schował z powrotem pod chusteczkami.

Przez jakiś czas siedział na łóżku, zastanawiając się, co jeszcze może zrobić, jakie środki bezpieczeństwa przedsięwziąć; miał nadzieję, że nadmiernie przejmuje się mężczyzną z amerykańskim akcentem. Najpewniej niepokoił się niepotrzebnie. Cholera, jego teściowa nigdy nie była w Stanach, nie lubiła latać; mogła się pomylić co do akcentu.

John zszedł do kuchni, gdzie Naomi szykowała spóźniony lunch dla wszystkich, a Luke i Phoebe i ich babcia siedzieli przy stole.

Opierając się o piec, aby się ogrzać, zwrócił się do teściowej:

– Anne, czy ten człowiek, który tu dziś zaszedł, był na pewno Amerykaninem?

– Z całą pewnością – odparła.

– Mówiłaś, że szukał jakiegoś adresu. Zgubił się?

– Tak – potwierdziła. – Komuś, kto przyjeżdża tu pierwszy raz, trudno się połapać. Sama się pogubiłam. Oznakowania nie są zbyt dobre.

– Nie sądzę, żeby on zabłądził – oświadczyła ostro Phoebe, nie odrywając wzroku od telewizora.

Po krótkiej chwili milczenia Naomi spytała:

– Widziałaś tego człowieka, Phoebe?

– Nie trzeba kogoś widzieć, żeby wiedzieć, że nie zabłądził – powiedziała z pogardą dziewczynka.

– Czemu więc uważasz, że nie zabłądził, Phoebe? – zapytał John.

Nie odrywając wzroku od telewizora, mała niecierpliwie machnęła ręką.

– Oglądamy program, nie przeszkadzajcie nam, proszę.

John i Naomi spojrzeli po sobie. John ujrzał, jak teściowa uśmiecha się na impertynencję wnuczki.

Na jej arogancję.

Powinien dać Phoebe klapsa, Naomi też powinna to zrobić, ale sam fakt, że skłonili dzieci do mówienia, stanowił już niemały

wyczyn.

– Czy ten człowiek szukał jakiejś farmy? – spytał John.

– Chyba tak właśnie powiedział. Aha, pasza!

– Pasza?

– Sprzedawał paszę dla zwierząt! – powiedziała teściowa, po chwili jednak zmarszczyła czoło. – Muszę przyznać, że nie wyglądał na człowieka ze wsi.

John poszedł do gabinetu i obdzwonił pięciu znajomych sąsiadów. Trzech odebrało telefon i zapewniło, że nie odwiedził ich człowiek o opisywanym przez niego wyglądzie. Obiecali, że zawiadomią go, gdyby Amerykanin się pojawił. W dwóch miejscach połączył się z pocztą głosową i zostawił wiadomość.

Potem próbował się skupić na pisaniu książki i wykorzystać to, że nie poszedł dzisiaj do pracy, ale cała sprawa była beznadziejna. Nie potrafił się skoncentrować; za bardzo niepokoił go Amerykanin z krucyfiksem.

W końcu Naomi zawołała go, żeby zszedł na lunch. Kiedy zjadł, włożył płaszcz, kapelusz przeciwdeszczowy i kalosze, po czym ruszył na przechadzkę polami wokół domu, trzymając się dość blisko, by w razie potrzeby dobiec do podjazdu wcześniej, niż jakikolwiek samochód zdążyłby dojechać do domu.

Jedna myśl kołatała mu się w głowie.

Co by się stało, gdyby byli w domu, kiedy przyszedł ten Amerykanin?

Po południu przyszła odpowiedź na mail do Kallego. Automatyczne powiadomienie informowało, że Kallego nie będzie w biurze przez dziesięć dni. Wkrótce potem oddzwonili dwaj sąsiedzi. Żaden z nich nie miał dziś gości.

O siedemnastej trzydzieści Anne ruszyła w drogę powrotną do Bath. Zapadł już zmrok, a deszcz wciąż kroił. Założywszy płaszcz i kalosze, John wziął parasol i odprowadził teściową do samochodu. Pocałował ją, potem stał z Naomi na werandzie, dopóki tylne światła nie znikły im z oczu.

Chociaż dogadywał się z Anne, zazwyczaj czuł ulgę, kiedy wyjeżdżała. Dobrze było znów mieć dom dla siebie.

Zazwyczaj.

Dziś jednak ogarnął go silny niepokój i żałował, że matka Naomi nie mogła zostać dłużej. Z latarką obszedł cały dom, sprawdzając czujniki; nieco mu ulżyło, gdy wszystkie fotokomórki się włączyły.

W salonie Naomi klapnęła na kanapę, wdzięczna za kilka minut spokoju. Sięgnęła po gazetę, ale ból głowy, który poczuła już wcześniej, z każdą chwilą się nasilał. Luke i Phoebe usadowili się na drugiej kanapie i oglądali w MTV stary wideoklip zespołu Corrs.

– *Thunder only happens when it's raining* – śpiewały bliźniaki. „Pioruny biją tylko podczas deszczu”.

Nagle Phoebe chwyciła pilota i ściszyła głos.

– To nieprawda! – stwierdziła. – Pioruny biją nie tylko podczas deszczu. Dlaczego oni to mówią, mamó? Dlaczego tak mówią?

Naomi opuściła gazetę, miło zdziwiona tym, że córka zwraca się do niej.

– Mówią, że pioruny biją tylko podczas deszczu. Wszyscy wiedzą, że burza z piorunami to burza, której towarzyszą widoczne błyskawice i słyszalne pioruny. Układ burz w obrębie

dowolnego spektrum zależy od prądu wstępującego, względnej częstości mocy prądu wstępującego w zależności od kategorii oraz względnej możliwości występowania prądów wstępujących. Czy oni mówią o pojedynczych komórkach burzowych, burzach wielokomórkowych czy superkomórkach burzowych? Te ostatnie wywołują ekstremalne warunki pogodowe, tak? Ale to tylko ułamek większej całości. Na świecie dochodzi do czterdziestu tysięcy burz dziennie, co daje ćwierć miliona błysków na minutę. Więc co, do kurwy nędzy, oni wiedzą?

– Phoebe! – Naomi była oszołomiona zasobem wiedzy córki i przerażona mocnym przekleństwem. – Nie odzywaj się w ten sposób, to okropne.

Dziewczynka wzruszyła ramionami jak typowa nastolatka.

– Czy któreś z was mogłoby coś dla mnie zrobić? – spytała Naomi. – Głowa pęka mi z bólu. Możecie pobiec na górę i przynieść paracetamol? W szafce w sypialni, tej z lustrem, jest opakowanie.

– Jaki ból głowy ci doskwiera, mamo? – spytał Luke.

– Ostry.

– Czy jego przyczyną jest szok czy może stres? – dopytywała się Phoebe.

– A może zaburzenie wewnątrzczaszkowe? – dorzucił Luke.

– Albo migrena? – podsunęła Phoebe. – Trzeba się tego dowiedzieć.

Ledwo wierząc własnym uszom, Naomi przyglądała się dzieciom. Wreszcie udzieliła odpowiedzi, jaką – przynajmniej taką miała nadzieję – zaaprobowałyby Sheila Michaelides.

– To jest ból głowy na dwa paracetamole, jasne?

Po chwili milczenia Luke powiedział:

– W takim razie nie rozumiem.

– Ja też nie – przyznała Phoebe.

– Czego nie rozumiecie? – spytała Naomi.

– Cóż. – Luke ściągnął usta w zamyśleniu. – Jeśli dobrze rozumiemy, chcesz, żeby jedno z nas poszło na górę po dwa paracetamole, ponieważ boli cię głowa.

– Tak, Luke, dobrze rozumiesz.

Chłopczyk znowu ściągnął usta. Po chwili odwrócił się do siostry i szepnął jej coś na ucho. Phoebe zerknęła na matkę, zmarszczyła czoło i odszepnęła do brata.

– Naprawdę nie wiemy, co o tym myśleć, mamó – powiedział Luke do Naomi.

– Czego nie rozumiesz, kochanie? – spytała, tłumiąc irytację. – To dość proste. – Ból się nasilił. Skierowała wzrok w górę, opuściła głowę i przycisnęła palce do skroni. Byłaby wdzięczna, gdyby jedno z dzieci poszło na górę po dwa paracetamole.

– Pozwól, że wyjaśnimy, czego nie rozumiemy – powiedział Luke. – Boli cię głowa. Ból głowy nie wpływa na nogi, mamó. Dlatego możesz sama pójść na górę do łazienki.

Naomi ujrzała przelotny bezczelny uśmiezek na twarzy syna, tak przelotny, że nie była pewna, czy rzeczywiście go zobaczyła. Po chwili Luke wstał, poszedł na górę i wrócił z dwiema pigułkami paracetamolu.

...

Po jakimś czasie Naomi obudziła się nagle na kanapie. Z telewizora dobiegała muzyka nieznanego jej zespołu rockowego; głos był przyciszony. W powietrzu unosił się kuszący zapach pieczonego mięsa. Czyżby John szykował kolację?

Z trudem wstała, poszła do kuchni i zamarła.

Phoebe stała na stołku i smażyła coś na patelni. Na drugim stołku siedział Luke i kroił w kostkę ziemniaki; obok siebie położył otwartą książkę kucharską.

Jakby wyczuwając obecność matki, Phoebe odwróciła się ze słodkim uśmiechem.

– Cześć, mamó! – powitała ją radośnie.

– Co... co się dzieje? – zapytała z uśmiechem Naomi.

– Tata pracuje. Ponieważ nie czujesz się najlepiej, Luke i ja postanowiliśmy dziś zrobić kolację. Szykujemy szwedzkie

klopsiki i Pokusę Jansena, ziemniaki ze śmietaną i anchois, które jecie na Wigilię. Wiemy, że to uwielbiacie.

Naomi odebrało mowę.

Lara drżała z zimna. Przemarznięta, leżała w łóżku w schronisku u stóp zbocza pod klasztorem. Na dworze szalała burza. Niespełna sto metrów w dół Morze Egejskie tłukło o skały, jakby chciało pochłonąć dom, może nawet cały półwysep. Potężne uderzenia wody brzmiały jak grzmot.

Bóg mnie kocha, Jezus mnie kocha, Najświętsza Panienka też mnie kocha.

Mój Uczeń mnie kocha.

Nie jestem samotna.

Wszystko to było dla Lary bardzo ważne. W dzieciństwie zawsze czuła, że należy do wyższej sfery niż otaczający ją ludzie. Nie była związana z rodziną, w szkole nie potrafiła włączyć się do grupy rówieśników. Stale samotna, nie cierpiała samotności. Chciała tylko dokądś należeć. Być częścią czegoś, poczuć, że jest chciana, potrzebna.

Kochała ludzi, do których przystała; kochała ich wizję. Podzielała ich poglądy. Głęboko poruszało ją ich przekonanie, że człowiek nie może tak po prostu odciąć się od świata, ale czasem trzeba ruszyć przed siebie, kroczyć ryzostokami i walczyć z Szatanem pod sztandarami Pana.

Nagle, mimo huku fal, usłyszała dudnienie drewnianego gongu wzywającego mnichów na jutrznię; łoskot odbijał się echem od klasztornych murów w górze. Druga trzydzieści.

To już trzeci styczeń Lary w tym miejscu; każdy był równie surowy. Choć zamknęła okno w pokoju, czuła na twarzy lodowaty podmuch, więc szczelniej otuliła się kołdrą.

Złączyła dłonie do modlitwy.

Modliła się za człowieka ze zdjęcia na drewnianej toalecie. Modliła się z gorącym sercem i zimnymi dłońmi, czerwonymi i szorstkimi od pracy fizycznej. Za tego cudownego Ucznia o łagodnym głosie, delikatnym dotyku. Przypominała sobie wszystkie obietnice, jakie sobie składali.

Timon.

Wspomnienia tygodnia wspólnych modlitw w kaplicy i jednej nocy, którą pozwolono Larze z nim spędzić, wciąż dodawały jej sił, nawet po trzech latach. Zostały zachowane w jej sercu dzięki miłości, jaką Najświętsza Paniienka darzyła ją, ich troje: Larę, pięknego Timona oraz pięknego Saula śpiącego w kołysce w nogach łóżka, który wkrótce skończy dwa i pół roku.

Chłopiec nie widział jeszcze ojca.

Lara uśmiechnęła się, wyobrażając sobie minę Timona, gdy ujrzy syna, swego syna, swego chłopca, piękne dziecko zesłane im przez Boga i Najświętszą Paniienkę. Tę samą Najświętszą Paniienkę, dzięki której Lara nie musiała zabić rodziny grzeszników, Cardellich, w Como. Gdy Lara była w ciąży, Bóg przysłał ją do tego klasztoru, gdzie miała czekać na Jego znak i uderzyć w rodzinę: bliźniaki – chłopca i dziewczynkę – szatański pomiot, oraz ich rodziców.

Najświętsza Paniienka zesłała jednak lawinę na samochód Cardellich, gdy przejeżdżali przez przełęcz w Dolomitach. Wóz zleciał z szosy w głęboki wąwóz, gdzie przykryła go pierzyna czystych, białych płatków śniegu.

Chodźcie i spór ze Mną wieźcie! – mówi Pan. Choćby wasze grzechy były jak szkarłat, jak śnieg wybieleją; choćby czerwone jak purpura, staną się jak wełna¹⁶.

Lara modliła się dzień i noc tak samo.

Proszę, Boże, Słodki Jezu i Błogosławiona Maryjo, sprowadź do mnie Timona.

Ażebym mogła poczuć, jak wpływa we mnie jego nasienie, z którego wyrosną dzieci, tu, z dala od nieczystego świata. Dzieci, które będziemy mogli wychowywać z Timonem, aby wyrosły obok

innych tutejszych dzieci i pewnego dnia zasiliły armię, która wyruszy w świat i zniszczy zło.

Proszę, sprowadźcie go wkrótce do domu.

Deszcz siekł niemiłosiernie samochód Ucznia. Dokładnie o taką pogodę się modlił. W taką noc żaden wścibski wieśniak nie będzie wyprowadzał psa i nie zacznie się zastanawiać, co na parkingu za szkołą robi nieznaną samochód.

W małym wynajętym fordzie deszcz walący w samochód brzmiał tak, jakby ktoś wysypywał na dach kamyki z worka. Pachniało plastikiem, welurem i mokrą odzieżą. Wszędzie go swędziało; dostał wysypki.

Nerwy.

Poczuł nagle dojmujące osamotnienie, jakby Bóg poddał go ostatniej próbie, tu, w tę okropną noc, w obcym kraju, gdzie deszcz chłostał czarne jak smoła kałuże. Ale robi to. Robi to dla Boga i swego Nauczyciela, robi to z miłości do Lary.

W marnym świetle lampki rozłożył plany domu grzeszników, które skserował we wtorek rano w Urzędzie Planowania w Lewes; uważnie przyjrzał się im po raz ostatni. Parter. Pierwsze piętro. Północna ściana. Wschodnia. Południowa. Zachodnia.

Plan był prosty: wyraźnie zaznaczono na nim główną sypialnię; pomiot na pewno spał w jednym z mniejszych pomieszczeń. Decydujące znaczenie miała szybkość. Podczas szkolenia trzy lata temu – pamiętał je tak dobrze, jakby odbyło się przed kilkoma godzinami – jego Nauczyciel podkreślił rolę szybkości. Pamiętać o tykającym zegarze. Nigdy nie zapominać, że każdej misji towarzyszy tykanie zegara.

Na tę nocną misję mógł przeznaczyć najwyżej sześć minut. Wcześniej, podczas wtorkowego rekonesansu, znalazł nazwę firmy ochroniarskiej na skrzynce alarmu przed domem. Dalej

poszło łatwo. Zadzwoił do firmy, podał się za grzesznika i wyjaśnił, na czym polega problem z systemem alarmowym. Uzyskana odpowiedź powiedziała mu wszystko o całym systemie.

Na tej podstawie wywnioskował, że będzie miał sześć minut na wyjście z domu i bieg przez pola do samochodu.

A potem...

Rezerwacja na pociąg Eurotunnel Shuttle o wpół do czwartej. W niedzielę i poniedziałek w nocy przećwiczył trasę. Przy minimalnym ruchu o tej porze, jeśli będzie przestrzegał wszystkich ograniczeń szybkości, droga nie powinna zająć więcej niż dwie godziny.

O wpół do piątej znajdzie się na autostradzie do Paryża. Forda zostawi na parkingu długoterminowym na lotnisku Charles'a de Gaulle'a i przesiądzie się na autobus na lotnisko Orly. Mnóstwo czasu, by zdążyć na samolot do Aten o jedenastej pięć. Dwie godziny później lot do Salonik. Stamtąd taksówką do portu Uranupoli, gdzie po zmroku będzie czekał statek jego Nauczyciela, by przewieźć Ucznia przez Morze Egejskie. Po przepłynięciu dwudziestu kilometrów znajdzie się na wyspie z klasztorem.

W ramionach Lary.

Uczeń spojrział na zegarek. Dwudziesta druga trzydzieści. Za niespełna dobę znajdzie się w objęciach ukochanej, u progu nowego życia, na Ziemi Obiecanej. Przed obliczem Boga.

Timon złożył plany, schował do kieszeni i ostatni raz sprawdził listę. Wiatrówka z celownikiem i noktowizorem. Latarka. Nóż armii szwajcarskiej. Rękawiczki. Narzędzia. Kanister ciekłego propanu. Pojemnik ze sprężoną ketaminą (kupiony w Brighton), która powoduje trzydziestominutowy paraliż. Zapalniczka. Beretta kalibru trzydzieści osiem, z pełnym magazynkiem i tłumikiem.

Czuł znacznie większe zdenerwowanie niż przed którymkolwiek amerykańskim zleceniem. Z kieszeni kurtki

wyjął ciężki pistolet i przez chwilę wpatrywał się w matowy czarny metal. Mocno ujął kolbę i położył palec na spuście.

Nauczyciel powiedział wyraźnie, że może użyć broni tylko w ostateczności. Jeśli oddasz strzał, pewnego dnia ktoś może cię połączyć z pistoletem. Użycie broni oznacza przekroczenie Rubikonu. Potem nie ma już powrotu; nie można już walczyć jako żołnierz w armii Pana.

Timon był znużony służbą w szeregach Pana.

Pragnął wrócić do domu.

Jutro w nocy chciał zasnąć w ramionach Lary.

Dlatego w świetle lampki wynajętego forda przykręcił tłumik. Drżącym palcem wskazującym wcisnął bezpiecznik i schował cięższą broń do kieszeni kurtki.

Trzykrotnie sprawdzał dom w minionym miesiącu, za każdym razem światło w sypialni grzeszników gasło około dwudziestej trzeciej trzydzieści. Teraz była dwudziesta druga trzydzieści. Uczeń postanowił, że o północy przejdzie przez pola i zakradnie się do domu.

Zamknął oczy, złączone dłonie uniósł przed twarzą i zmówił *Ojcze nasz*. Zaczynała się jego półtoragodzinną modlitwa o siłę.

Na przedniej szybie pokrytej kroplami deszczu nagle rozbłysło światło, najpierw białe, potem niebieskie. Uczeń zamarł z dłońmi złożonymi do modlitwy.

Policja?

Samochód przejechał przed nim, rozpryskując głębokie kałuże na parkingu. Uczeń usłyszał basowy rytm muzyki: ke-bum-ke-ke, ke-bum-ke-ke, ke-bum-ke-ke, ke-bum-ke-ke. To nie policja, ale jeden z tych szpanerskich samochodów sportowych z halogenowymi światłami, które połyskują błękitem, gdy spojrzy się na nie pod pewnym kątem.

Kim ty, do diabła, jesteś? Co tu robisz? To mój parking, moja przestrzeń.

Sportowy samochód odjechał w głąb parkingu i zatrzymał się pod dębem rosnącym przy ogrodzeniu. Dalej ciągnął się park oraz miejskie korty tenisowe.

Światła samochodu sportowego zgasły.

Uczeń uniósł lornetkę z noktowizorem i spojrzał przez tylną szybę szpanerskiego auta. W zielonej poświacie dostrzegł mężczyznę i kobietę zwróconych ku sobie twarzami. Pospiesznie zerknęli za siebie, w jego kierunku, po czym zaczęli lizać się po twarzach.

Cudzołożnicy. Ludzie z rynsztoka.

Uczeń wciąż słyszał pulsowanie basu, chociaż znacznie cichsze.

To jest moja przestrzeń. Bóg ją dla mnie znalazł. Nie powinno was tu być, naprawdę.

Wsunąwszy prawą rękę do kieszeni kurtki, zacisnął palce na zimnej, twardej rękojeści pistoletu. Zlikwidowanie tej pary nie nastręczałoby trudności; miał dość nabojów. Bóg zaakceptowałby takie rozwiązanie, bo wszystko, co stało między Uczniem a grzesznikami i szatańskim pomiotem, należało wyeliminować.

Pot ściekał mu po plecach. Ci ludzie nie powinni się tu pojawić. Mógł przełożyć zakończenie misji, odjechać, wrócić jutro. Ale dziś pogoda była idealna, Lara czekała, czemu więc miał przedłużać to o cały dzień z powodu tych obcych? Już wcześniej napisał maila do Nauczyciela. Poczyniono plany. Zbyt wiele trzeba by zmienić.

Uczeń dygotał tak mocno, że nie potrafił klarownie myśleć.

Coś kazało mu przekręcić kluczyk w stacyjce, wrzucić bieg, zapalić światła, opuścić parking i ruszyć w lewo, przejechać przez wioskę, obok rojnego pubu ze stojącymi przed nim samochodami, i skręcić w uliczkę wiodącą do domu grzeszników.

Mógł po prostu odbić w prawo na podjazd i podjechać pod sam dom.

Czyste szaleństwo.

Zatrzymał się przed wejściem, zawrócił i ruszył z powrotem do wioski. Myślał. Myślał. Rozpaczliwie usiłował wywietrzyć z głowy czerwoną mgłę gniewu. Myślał.

Dobrze. Dobrze. Dobrze.

Przejechawszy przez wioskę w kierunku głównej szosy, ściał zakręt w prawo i musiał skręcić gwałtownie, by uniknąć zderzenia czołowego. Samochodem zarzuciło i wylądował na poboczu.

Zahamował i na sekundę zamknął oczy.

Proszę, Boże, powiedz mi, co robić. Poprowadź mnie.

Bóg poprowadził go na główną szosę. Po przejechaniu ośmiu kilometrów Uczeń dotarł do ronda i objechał je dwukrotnie. Wszystko szło nie tak. Nie taki był plan. Bóg poddawał go próbie.

Czy nie wypróbowałeś mnie już dostatecznie?

Tuż przed nim pojawił się samochód; Uczeń zahamował, koła zabuksowały i mały ford wpadł w poślizg, o mały włos nie

zderzając się z tym drugim pojazdem.

Zjechał z ronda pierwszym zjazdem, nie wiedząc nawet, gdzie się znajduje, po czym zatrzymał się w zatoczce. Zaciągnął hamulec ręczny, pochylił głowę i zaczął gwałtownie oddychać w ataku paniki.

Zegar na tablicy rozdzielczej majaczył mu przed oczami. Niczego nie widział wyraźnie. 23:12.

Uczeń zapalił lampkę, wyjął zdjęcie Lary i utkwiał w nim wzrok. Słodka, przesłodka Lara. Widok jej uśmiechniętej twarzy go uspokoił, dał mu siłę. Pomógł zebrać myśli.

W lusterku wstecznym rozbłysły przednie światła jakiegoś pojazdu. Zesztywniał. Po chwili obok niego przemknął z rykiem silnika samochód.

Uczeń ruszył i po pokonaniu kilku kilometrów dotarł do skraju nieznanej wioski. ALFRISTON, przeczytał na tablicy.

Zahamował ostro, zawrócił i powoli pojechał po własnych śladach. Zatrzymał się na terenie nieoświetlonego gospodarstwa, wyłączył silnik oraz światła i siedział bez ruchu, próbując się uspokoić i zebrać myśli.

Szpanerski samochód z kochankami, który pojawił się na szkolnym parkingu, był sprawdzianem. Bóg sprawdził Hioba, a teraz sprawdzał Ucznia. Albo go ostrzegał. Jeśli samochód sportowy nadal tam jest, będzie to znak, by tej nocy zrezygnować z misji; jeśli zniknie, będzie to oznaczało zielone światło.

Kwadrans przed północą Uczeń znowu wjechał do Caibourne i skręcił na parking za szkołą.

Kochankowie zniknęli.

Deszcz ustawał. Wciąż padał, ale słabiej, chociaż wiatr się wzmacniał. Świetnie. Uczeń włożył cienkie skórzane rękawiczki, wysiadł z auta, zamknął drzwi i wyjął z bagażnika strzelbę. Ruszył przez parking, minął szkołę, uważnie sprawdził, czy droga jest wolna, a potem pobiegł ścieżką dla koni prowadzącą przez rżysko kukurydziane na pastwisko przylegające do ogrodu grzeszników.

Uczeń trzymał latarkę, ale zapalał ją tylko na chwilę co kilka kroków. Nierówna ścieżka była zryta końskimi kopytami. Kilkakrotnie się poślizgnął, prawie padając; dwa razy zaklął, gdy zawadził kurtką o ciernie.

Chociaż był bardzo sprawny, stromizna, zdenerwowanie i zimno dawały mu się we znaki. Z wysiłkiem oddychał, pocąc się pod ciepłym ubraniem i ciężkim ładunkiem. Mimo to w sercu czuł gorący żar.

W końcu dostrzegł dom grzeszników! Mroczne kontury majaczyły dwieście metrów przed nim. Palilo się tylko jedno światło, w głównej sypialni. Nagle, cóż za radość! Zobaczył, jak światło gaśnie.

Ciemność!

Adrenalina krążyła w jego żyłach; z trudem opanowywał podniecenie.

Coś przeleciało nad jego głową – nietoperz albo sowa. Przez chwilę wsłuchiwał się w wycie wiatru w trawie, drzewach i krzewach, słuchał skrzypienia zawiasów bramy, która otworzyła się, zamknęła, otworzyła się, zamknęła; miarowo łomotały niezabezpieczone drzwi. Tyle odgłosów tłumiących hałas, jaki robił!

Spojrzał w czarne jak asfalt niebo i pomyślał: tak, wyznaczono właśnie tę noc! Oparty o metalowe ogrodzenie, uniósł lornetkę z noktowizorem, nakierował na okno głównej sypialni i ustawił ostrość. Przypomniawszy sobie słowa Nauczyciela.

Obserwuj parę. Kiedy temperatura na dworze jest niższa niż w domu, na szybach zbiera się para. W miarę obniżania się temperatury w domu, para na szybach powoli znika. Kiedy para zniknie całkowicie, można założyć, że mieszkańcy zasnęli.

Okna głównej sypialni grzeszników były pokryte parą, ale Uczeń widział, jak stopniowo znika.

...

W sypialni bliźniaków panował mrok. Rodzice nie zostawiali już lampki z Bobem Budowniczym, ale to nie miało znaczenia. Jeden zmysł zawsze kompensował inny. W ciemności wyostrzał się węch. Podobnie jak dotyk i słuch.

Dzieci wyczuły zapach Ucznia. Usłyszały go.

Wkrótce go dotkną.

W małych, stojących obok siebie łóżeczkach, w ciemnym pokoju w domu, gdzie mieszkali – choć nie miało to już długo trwać – głosem o tak wysokiej częstotliwości, że ludzkie ucho nie mogło go usłyszeć, Luke zawołał do siostry. Tylko jedno słowo wymówione od tyłu, bez czwartej litery.

– Awtog?

Ułamek sekundy później Phoebe odpowiedziała głosem równie niesłyszalnym dla ludzkiego ucha:

– Awtog.

Z wygodnej odległości obserwowali postać w ciemnej czapce z pomponem, kurtce i wysokich butach. W tej chwili patrzył na dom przez lornetkę; strzelbę oparł o ogrodzenie. Znajdowali się za daleko, by dostrzec, czy jest to wiatrówka, czy strzelba myśliwska.

Odległość między nimi a nim wynosiła dwieście metrów. Utrzymywali ten dystans, odkąd ujrżeli, jak wychodzi z parkingu za szkołą, przecina drogę i idzie ścieżką. Ani razu się nie obejrzał.

Podobnie jak on mieli noktowizory, ale dysponowali znacznie lepszym sprzętem. Oboje nosili gogle, mieli też lornetki. Dzięki goglom czuli się tak, jakby kroczyli w zielonym dziennym świetle. Przez chwilę patrzyli, jak sowa nurkuje na polu i wznosi się z myszą wijącą się w dziobie.

Na wypadek gdyby się odwrócił, skryli się za żywopłotem i obserwowali mężczyznę, który opuścił lornetkę i po paru minutach znów się do nich zbliżył. Zastanawiali się, na co czeka, i zakomunikowali to sobie zdziwionymi spojrzeniami. Nie odzywali się; nieznajomy znajdował się od zawietrznej. Mimo wichury nie chcieli ryzykować choćby szeptu.

...

Para na szybach prawie zniknęła! Uczeń zaczął się uspokajać; serce nie łomotało mu już w piersiach; biło równo i mocno, rozprowadzając adrenalinę pozwalającą zachować czujność, pompując endorfiny, dzięki którym czuł się tak dobrze. Zerknął na zegarek.

Dwadzieścia dwie po północy.

Już czas!

Gdy przełaził przez ogrodzenie na pole przylegające do posiadłości grzeszników, przez kilka wspaniałych chwil czuł się niepokonany. Chcąc zminimalizować ryzyko, że ktoś może go dostrzec z domu, kucnął, po czym, najszybciej jak śmiał, zaczął się skradać – ostrożnie, by nie skrócić kostki w króliczej norze – po rozmiękłym od deszczu polu.

Serce znowu łomotało jak szalone, gdy dotarł do ogrodzenia; dalej nie odważył się zapuścić. Wysoki, mroczny dom majaczył najwyżej szesnaście metrów przed nim. Wszystkie światła pogaszono, zamknięto okna. Świetnie. Uczeń spojrzał na stojące na żwirowym podjeździe samochody grzeszników. Tylko saab i subaru. Żadnych gości na noc. Znakomicie. Utkwił wzrok wysoko na ścianie, gdzie podczas poprzedniej wizyty zauważył czujnik.

Przyklęknął, wyjął strzelbę i położył lufę na paliku ogrodzenia. Pokrywki noktowizora zdjął i schował do kieszeni kurtki, po czym spojrzał przez noktowizor. Po chwili dostrzegł fotokomórkę – mały, wypukły kawałek szkła czy pleksiglasu osadzony w białym plastiku – jakieś trzy metry nad ziemią, dokładnie ponad jednym z licznych reflektorów, które uruchamiała.

Cholerne dłonie drżały jak nigdy dotąd. Biorąc głęboki wdech, spróbował się uspokoić, nakierował celownik na fotokomórkę, ale podziałka natychmiast odsunęła się od celu. Uczeń nieznacznie zmienił pozycję, mocniej oparł lufę o palik i wycelował ponownie. Już lepiej. Solidniej, ale wciąż nie tak solidnie jak podczas ćwiczeń, nie tak jak w domu w Iowa, gdzie robił dokładnie to samo.

Gdy położył palce na spuście, celownik odsunął się od fotokomórki, więc potem wolno, z rozmysłem, rozpaczliwie próbując powstrzymać drganie strzelby, osłaniając się od wściekłych podmuchów wiatru, nakierował celownik na fotokomórkę i nacisnął spust.

Z ostrym „fut!” cylinder gazowy wyrzucił pierwszy z dziesięciu naboju w magazynku, po czym, niemal natychmiast, rozległo się okropne „pac”, kiedy pocisk ugrzązł w brudnej drewnianej ścianie stodoły, kilka centymetrów na lewo od fotokomórki.

Uczeń wstrzymał oddech; drząc jeszcze bardziej, niespokojnie spojrzął w okno głównej sypialni. Nie dostrzegł ani śladu ruchu i poczuł wyraźną ulgę. Jak mógł tak fatalnie spudłować? Wczoraj pojechał na odludzie i ustawił celownik dokładnie na tę odległość. Na sto strzałów dziewięćdziesiąt siedem razy trafił w sam środek celu.

Ponownie złożył się do strzału, ale tym razem trafił w obudowę pod fotokomórką. Pot znowu zaczął ściekać mu po ciele; głowa pod czapką się rozgrzała, palce lepiły się w rękawiczkach. Spodziewając się zapalanego światła lub ruchu zasłon, wpatrywał się w okno głównej sypialni. Nic. Co za ulga! Wichura niosła tyle odgłosów, że jeden drobny pocisk kalibru .22 pewnie się nie liczył, choć stąd, z dołu, brzmiało to inaczej.

Uczeń strzelił po raz trzeci.

Jeszcze dalej od celu.

– Nie! – okrzyk wydarł się mu z krtani, nim zdążył go stłumić.

Oczy zaczęły mu łzawić od ostrego, lodowatego wiatru, ale jeszcze bardziej z frustracji. Zostało siedem naboju. Siedem. Wystarczy jeden.

Otworzył oczy, zamrugnął, żeby pozbyć się łez, otarł je wierzchem skórzanej rękawiczki i starannie wycelował. Teraz przepełniała go pewność siebie; gdy fotokomórka znalazła się w celowniku, pociągnął za spust. Pocisk poszybował za bardzo w lewo i musiał trafić w metal, bo rozległ się cholernie głośny brzęk. Uczeń przypadł do ziemi i czekał, wpatrzony w okno głównej sypialni oraz w inne okna, przerażony tym, że kogoś obudził.

Tylko szesnaście metrów! Jak mogę pudłować z szesnastu metrów? Jak? Przecież to niemożliwe.

Proszę, Boże, nie opuszczaj mnie teraz.

Odczekał kilka minut, aż nabrał pewności, że w domu panuje cisza. Znowu wycelował i pociągnął za spust. Niemal krzyknął z radości, gdy szkło pękło i odłamki posypały się na żwir z ledwo słyszalnym brzękiem. Przepołowiony biały plastikowy czujnik zwisał na przewodach. Uczeń uniósł lornetkę i skierował na czujnik, by sprawdzić, czy przypadkiem nie pękła tylko obudowa. Ale zniszczenia wyglądały na totalne. Czujnik został rozbity.

W ustach zaschło mu z niepokoju. Odłożywszy strzelbę, poklepał pistolet w kieszeni. Z lewej kieszeni wyjął skórzany woreczek z wolframowymi wytrychami. Wnętrznosci mu dygotały, czerwona mgiełka wcześniejszej paniki powracała; musiał zachować spokój i trzymać się planu.

Nauczyciel polecił mu, że wszystko ma wyglądać na wypadek, na pożar. Wiązało się to jednak ze zbyt dużym ryzykiem; mogli go złapać i uwięzić. Nie, wykluczone. Ci grzesznicy z rynsztoka nie zasługiwali na takie ryzyko. Skosi ich jak robactwo razem z ich pomiotem. Dopiero wtedy spali dom. Nauczyciel może nie będzie zadowolony, ale już nigdy nie będzie mógł go wysłać na akcję. Czasami człowiek musi sam podejmować decyzje.

Uczeń przelazł przez ogrodzenie na wąski trawnik. Niespokojnie spojrzął na dom. Ostrożnie, jakby stąpał w nieznannej wodzie, postawił nogę na żwirze. Potem drugą.

Chrzęst.

Zamarł. Następnie zrobił kolejny krok, jeszcze jeden, modląc się o to, by były bezgłośnie, ale za każdym razem beznadziejnie hałasował. W tej burzy nie usłyszą. Przestań się martwić.

W końcu dotarł do werandy. Podczas poprzedniej wizyty sprawdził, że ma do czynienia z solidnym zamkiem z rygłem z kluczem gniazdowym. W woreczku miał romboidalny wytrych, idealnie nadający się do tej roboty. Tysiące razy ćwiczył na identycznym zamku kupionym przed kilkoma dniami.

Z kieszeni na piersi wyjął latareczkę, zapalił i trzymając ją w lewej dłoni, skierował światło na zamek. Prawą wsunął romboidalny wolframowy wytrych w dziurkę od klucza. Majstrując delikatnie, przepychał wytrych, szukając pierwszego

bolca. Nagle znieruchomiał. Spróbował znowu. W końcu pojął, na czym polega problem.

Ktoś zostawił klucz w zamku.

W tym samym momencie usłyszał przed sobą metaliczny odgłos. Zgrzyt mosiężnych bolców ustawiających się równo. Tępy, ołowiany odgłos klucza obracanego w zamku.

Uczeń upuścił wytrych i sięgnął po berettę, ale pistolet zaczepił się w kieszeni! Panicznie szarpał broń, a wtedy drzwi się otworzyły. W środku panowała ciemność, więc ledwo dostrzegł dwie małe postaci w butach i zimowych kurtkach.

Szatański pomiot.

Stali tuż przed nim.

W ich oczach migotała ciekawość; przez chwilę miał wrażenie, że patrzą przez niego na wskroś. Cofnął się kilka kroków. O wiele za późno pojął, że patrzyli na ludzi stojących za nim.

Uczeń nie usłyszał wystrzału. Wyczuł jedynie szybki parzący podmuch i towarzyszący mu nieziemski świst, od którego oczy wyszły mu z orbit. Nie poczuł kuli, która wbiła się w podstawę czaszki, częściowo przerywając rdzeń kręgowy. Przeszła przez lewą półkulę, zagłębiła się w prawą, przebiła płat czołowy, wyleciała nad prawym okiem, odbiła się od ceglanego obmurowania werandy i wydrążyła niewielki otwór w betonie.

Na chwilę ujrzał Larę stojącą w jasnym, mlecznym świetle na końcu długiego tunelu, potem przesłoniły ją twarze szatańskiego pomiotu. Malował się na nich obrzydliwy triumfalny uśmieszek, w oczach płonęła nienawiść. Dzieci szły ku niemu, a może to on zbliżał się do nich.

– Lara! – zawołał rozpaczliwie.

Jej imię rozbrzmiało echem w ciemności i wtopiło się w chichot pomiotu – dźwięczne, ogłuszające dziecięce śmiechy. Jedyne światło pochodziło teraz z dwóch par oczu, z czterech połyskliwych, bezbarwnych krążków suchego lodu. Oczy się cofały. Uczeń upadł na miękki żwir.

Pochylały się nad nim dwie twarze, sylwetki w mroku, w których było coś znajomego. Zerwane połączenia nerwowe oświetliły rysy twarzy, ukazały je w zieleni noktowizora. Wtedy, przez mętlik myśli i gasnącą świadomość, gdy krew wyciekała na żwir, zaczęła powracać pamięć. W zamęcie wykielkowało ulotne zrozumienie. Uczeń pojął, dlaczego tamta para wydała się mu znajoma.

W szpanerskim samochodzie sportowym na parkingu za szkołą. Oglądane przez noktowizor profile zwrócone ku sobie w pocałunku. Mężczyzna i kobieta.

To byli oni.

Halley siedział w swoim małym wozie policyjnym na baterię. W czapce baseballowej założonej daszkiem do tyłu, z szerokim uśmiechem jeździł w kółko po trawniku za domem. Okręzał nadmuchiwany basen, skręcał, by nie najechać na zabawki, migał światłami, trąbił. Wreszcie nastąpiły jego trzecie urodziny i czuł się znakomicie.

Patrząc na synka, Naomi też się uśmiechała. W ciepłym kalifornijskim słońcu radośnie chwyciła dłoń Johna. Dzień doskonały, choć wiedzieli, że synowi został niespełna rok życia.

Sen ulatywał. Naomi nie otwierała oczu, próbując znowu zagłębić się w sen. Na twarzy poczuła zimny powiew. Poza tym musiała się wysuszać. Otworzyła oczy. Zegarek w ciemnym pokoju wskazywał 06:01.

John nadal głęboko spał. Przez jakiś czas leżała bez ruchu, walcząc z potrzebą wysikania się; naciągnęła kołdrę na twarz, chroniąc się przed zimnem, zamknęła oczy i usiłowała wrócić do tamtego kalifornijskiego letniego popołudnia. Jednak całkiem się rozbudziła, a wszystkie kłopoty na powrót zalewały jej umysł.

Co dziś za dzień? Piątek. Mieli zabrać Luke'a i Phoebe do doktor Michaelides i pomówić o szkołach specjalnych. Po południu mieli odwiedzić paru hodowców psów. Jeden miał szczeniaki rasy rhodesian ridgeback, innemu trafił się miot owczarków alzackich spłodzonych przez psa policyjnego.

Starając się nie obudzić Johna, wyślizgnęła się z łóżka, poczłapała do łazienki, narzuciła szlafrok i wsunęła stopy w kapcie. Po wysikaniu się umyła ręce, twarz i zęby.

Upiorne wory pod oczami.

Naomi uważniej przejrzała się w lustrze. Coraz więcej zmarszczek. Najwyraźniej codziennie przybywały nowe. Niektóre upodabniały się do rozpadlin. Spójrzmy prawdzie w oczy, mała, starzejesz się. Za dziesięć lat będziesz pomarszczoną staruszką. Potem jeszcze parę i zamienisz się w niedołęgę. Ani się obejrzysz, a Luke i Phoebe będą cię pchać na wózku, z pledem na kolanach, po nabrzeżu. Tak, to ty, z siwymi zmierzwionymi włosami i śliną ciekącą z ust.

Tylko że...

Czy Luke i Phoebe kiedykolwiek będą mogli zadbać o nią i Johna? Czy będą się wystarczająco o nich troszczyć? Czy nie to właśnie mają robić dzieci? Czy nie na tym polega życie? Co było napisane na tej naklejce na zderzaku? ODEGRAJ SIĘ! ŻYJ DOŚĆ DŁUGO, BY STAĆ SIĘ PROBLEMEM DLA SWOICH DZIECI!

Zamknęła za sobą drzwi sypialni i zapaliła światło na schodach. Drzwi sypialni bliźniaków były zamknięte. Zazwyczaj o tej porze już nie spały.

Ale dziś rano cisza.

Ostrożnie schodziła po potwornie skrzypiących schodach, starając się nie zbudzić Johna. Dotarwszy do holu, nagle poczuła się nieswojo. Łańcuch na drzwiach frontowych, który zawsze zakładali, wisiał luzem.

Czyżby wieczorem zapomnieli to zrobić? Przypuszczała, że tak właśnie się stało, i postanowiła powiedzieć o tym mężowi. Muszą przecież zachowywać szczególną ostrożność.

Potem jej uwagę przykuło coś innego. Odwróciwszy się, spojrzała na wiktoriański wieszak na ubrania, bardziej pusty niż zwykle. Gdzie się podziały kurtki dzieci? Zerknęła na podłogę, tam gdzie trzymali obuwie. Niebieskie kalosze Luke'a i czerwone Phoebe zniknęły.

Niepokój Naomi się nasilił. Czy bliźniaki poszły na spacer? O tej porze, w ciemności i przy tej okropnej pogodzie?

Zmagając się z silnym, porywistym wiatrem, kuląc się przed siekącym deszczem, mocno pchnęła ciężkie dębowe drzwi i wyjrzała w mrok.

Zamarła.

Przed werandą coś leżało na ziemi – worek, zwierzę albo coś innego.

Wzdłuż jej kręgosłupa przebiegły ciarki. Ostrożnie się cofnęła, spojrzała na włączniki światła i wcisnęła czerwony.

Reflektory na dworze zapaliły się – wszystkie prócz jednego – i zobaczyła, że nie jest to ani worek, ani zwierzę. To był człowiek, z pistoletem na ziemi tuż obok. Nie rejestrując praktycznie nic więcej, zszokowana Naomi zatrzasnęła drzwi, zaciągnęła łańcuch i pognęła na górę.

– John! – Wpadła do sypialni i zapaliła światło. – John, na miłość boską, przed domem ktoś leży, jakiś człowiek. Nieprzytomny, martwy, sama nie wiem. Pistolet. Tam leży pistolet!

Pobiegła do sypialni dzieci, otworzyła drzwi, ale zanim jeszcze zapaliła światło, pojęła, że bliźniaków tam nie ma. Mały pokój też był pusty.

John, w szlafroku, wyszedł na schody ze strzelbą.

– Gdzie? Gdzie przed domem?

Wpatrywała się w męża szeroko otwartymi oczami.

– P... p... przed frontowymi drzwiami. Nie wiem, gdzie są Luke i Phoebe.

– Dzwon na policję... nie, szybciej będzie, jeśli włączysz alarm przy łóżku. Natychmiast przyjadą.

– Bądź ostrożny, John.

– Gdzie on jest?

– Przed frontowymi drzwiami. – Drżała. – Nie wiem, gdzie są Luke i Phoebe. Mogą być na dworze.

– Alarm – powiedział, odbezpieczył strzelbę i zaczął ostrożnie schodzić na parter.

Naomi przypadła do łóżka, wcisnęła alarm; natychmiast zawył zarówno w domu, jak i na dworze. Potem chwyciła telefon i przytknęła słuchawkę do ucha. Ciągły sygnał. Dzięki Bogu. Próbowwała wybrać 999, ale palce tak jej drżały, że za pierwszym

razem się pomyliła. Wybrała znowu i telefon zaczął dzwonić. Dzwonił i dzwonił.

– Jezu, niech ktoś odbierze, błagam!

Usłyszała głos operatorki.

– Policja.

Po chwili usłyszała swój własny krzyk:

– CZŁOWIEK! PISTOLET! O BOŻE, BŁAGAM, PRZYJEDŹCIE SZYBKO!

Uspokoila się na tyle, by podać adres, po czym zbiegła po schodach, minęła Johna, który w holu wyglądał przez okno, i wbiegła do salonu, wołając:

– LUKE! PHOEBE!

Ani śladu bliźniaków.

Po powrocie do holu stanęła za mężem i lękliwie wyjrzała przez okno na nieruchomą, przemoczoną deszczem postać w czarnej kurtce, czarnej czapce z pomponem i wysokich czarnych butach. Mężczyzna leżał z twarzą odwróconą od nich, nie mogli więc dostrzec, kim był. Przez ulotną chwilę pomyślała, że może zareagowała przesadnie. Bezdomny? Czy wyglądał jak bezdomny?

Bezdomny z pistoletem?

– Nie mogę znaleźć Luke’a i Phoebe! – zawołała.

John otwierał właśnie drzwi.

– Boże, błagam, bądź ostrożny. Poczekaj. Zaraz przyjedzie policja...

– Halo! – zawołał John do leżącego. – Halo! Przepraszam! Halo!

– Poczekaj, John.

On jednak już wychodził na dwór, z wycelowaną strzelbą i palcem na spuście, wpatrzony w zalany światłem trawnik i podjazd, w rozciągającą się dalej przedporanną ciemność; poruszał strzelbą na boki, ale po chwili skierował ją na mężczyznę. Postąpił jeszcze kilka kroków, a wiatr podwiewał mu szlafrok jak spódnicę. Naomi szła za mężem.

Oboje stanęli nad leżącym. Naomi domyśliła się, że nie ma więcej niż trzydzieści lat. John kucnął, chwycił pistolet i oddał go żonie.

Dotknąwszy ciężkiej, mokrej i zimnej broni, Naomi zadrżała. Niepokojnie spojrzała w mrok poza obrębem reflektorów, potem znów na obcego.

– Halo? – powiedział John.

Przyklękła i dopiero wtedy zobaczyła otwór w czole nad prawym okiem, postrzępione tkanki, sińce i skrzep krwi, którego deszcz nie zdołał zmyć.

Jęcząc, przepełzła na czworakach na drugą stronę głowy nieznanego. U podstawy czaszki dostrzegła spalone włosy, rozdarte ciało, więcej zakrzepłej krwi.

– Zastrzelony – powiedziała. – Zastrzelony. – Gorączkowo próbując sobie przypomnieć zasady pierwszej pomocy, których uczyła się w liceum, złapała mężczyznę za rękę, odsunęła skórzaną rękawiczkę i przycisnęła palec do nadgarstka. Ciało, choć przemoczone, było ciepłe.

Próbowała przez pewien czas, ale nie miała pewności, czy wyczuwa puls, czy tylko własne rozedrgane nerwy. Wtedy mężczyzna otworzył oczy.

Serce o mały włos nie wyskoczyło jej z piersi.

Obcy przewrócił oczami, najwyraźniej nieprzytomny.

– Gdzie są moje dzieci? – spytała Naomi. – Słyszysz mnie? Gdzie są moje dzieci? Na miłość boską, gdzie są moje dzieci?

Tamten wciąż przewracał oczami.

– Gdzie są moje dzieci?! – wrzasnęła, nie wierząc, że ten człowiek z dziurami w głowie nadal żyje.

Obcy otworzył usta. Zamknął. Otworzył i zamknął jak ryba wyrzucona na brzeg.

– Moje dzieci! Gdzie są MOJE DZIECI!

– Lara – wyszeptał głosem cichszym niż wiatr.

– Kim jesteś? – spytał John. – Proszę, powiedz, kim jesteś.

– Lara – powtórzył słabo, ale na tyle wyraźnie, by usłyszeli amerykański akcent.

– Gdzie są moje dzieci? – spytała znów Naomi łamiącym się z rozpaczy głosem.

– Wezwij karetkę – polecił John. – Potrzebna jest karetka.

Jego głos zagłuszyła syrena.

– Lara – wyszeptał znowu mężczyzna. Oczy zwróciły się w jej stronę, otworzyły się szerzej, jakby ją zobaczył, a potem znowu zaczęły błędzić.

W ciemności połyskiwało w oddali niebieskie światło, ale nie przybliżało się. Wyjąca syrena nie rozbrzmiewała coraz głośniej. Może samochód nie jedzie do nich, pomyślała Naomi, idąc przez trawnik, potykając się i co chwila wołając z narastającą rozpaczą:

– LUKE! PHOEBE!

Powiodła wzrokiem po krzakach, cieniach, obejrzała się na Johna, wciąż klęczącego przy rannym, znów popatrzyła na niebieskie światło i ciemne puste pola.

Na pustkę, która pochłonęła jej dzieci.

Teraz syrena wyła coraz głośniej; nagle Naomi przeraziła się, że dzieci są na podjeździe, a policjanci mogą ich nie zauważyć w pośpiechu i ciemności. Z trudem utrzymując równowagę w przemoczonych kapciach na kratownicy zabezpieczającej przed bydłem, poświeciła latarką w mrok. Nieświadoma zimna i siekącego deszczu, kuśtykała po utwardzonym metalu podjeździe i wołała:

– LUKE! PHOEBE! LUKE! PHOEBE!

Ciemność przed nią przeszyły reflektory. U stóp podjazdu nad żywopłotem rozbłysły dwa niebieskie światła. Szybko jak błyskawica. Naomi zeszła na pobocze, poczuła, jak zaczepia szlafrokiem o ciernie, i gorączkowo zamachała latarką.

Gdy samochód wyłonił się zza zakrętu, zamarła niczym królik w oślepiającym świetle. Wóz zatrzymał się tuż obok niej, niebieskie błyski ześlizgiwały się z karoserii, z twarzy policjantki na tylnym siedzeniu, która opuściła okno i popatrzyła na Naomi. W radiu rozległ się trzeszczący głos, a kierowca powiedział coś,

czego Naomi nie zrozumiała. Przez okno wylało się ciepło, wilgoć i woń gumy.

Gorączkowo pokazując dom, Naomi wyrzucała z siebie, niemal bez tchu:

– Człowiek... tam... potrzebna karetka... nie widzieliście dzieci... na podjeździe... dwójki dzieci?

Policjantka patrzyła na nią z zatroskaną twarzą.

– Czy ktoś jest uzbrojony? – spytała. – Czy ktoś tam ma broń?

– Postrzelony – odparła Naomi. – Człowiek został postrzelony... tam leży... moje dzieci, nie mogę znaleźć dzieci.

– Nic pani nie jest? Chce pani wsiąść? – spytała policjantka.

– Szukam dzieci – powtórzyła Naomi.

– Wkrótce do pani wrócę.

Ledwie policjantka skończyła mówić, samochód pomknął dalej, grzechocząc po kratownicy zabezpieczającej przed bydłem. Naomi patrzyła na światła stopu, gdy samochód zatrzymał się na żwirze; drzwi od strony kierowcy i pasażera otworzyły się i dwoje policjantów wysiadło energicznie.

Naomi odwróciła się i pobiegła dalej podjazdem, przyświecając sobie latarką; kapcie ślizgały się po asfalcie, co kilka kroków zsuwały się jej ze stóp. Po kostki ugrzęzła w kałuży, zgubiła oba, znowu nasunęła, wołając ochryple:

– PHOEBE? LUKE? LUKE? PHOEBE?

W połowie podjazdu znajdowała się brama prowadząca na rżysko, gdzie czasem zabierała bliźniaki na spacer. Na polu zadomowiło się kilka bażantów wyhodowanych na terenie łowieckim w pobliskim Caibourne Place. Luke i Phoebe lubili wypłaskać bażanty z kryjówek i chichotać, gdy ptaki trzepotały skrzydłami i skrzeczały metalicznie. Teraz Naomi poszła na rżysko, świeciła latarką i raz po raz wołała dzieci.

Cisza. Tylko wiatr, skrzypiący zawias i kolejna syrena.

Po chwili minął ją drugi wóz policyjny i wjechał na podjazd. Za ledwie kilka sekund później, jakby pociągnięty przez strumień powietrza tamtego, przemknął kolejny samochód z czterema

ludźmi. Ten był nieoznakowany, bez syreny; usłyszała tylko ryk silnika i wizg opon.

Potykając się, szła dalej, płacząc z rozpaczy i szoku i wołając:

– Luke! Phoebe! Kochani! Gdzie jesteście? Odpowiedzcie! Gdzie jesteście?

Wstawał świt. W ciemności pojawiły się wodnistoszare i żółte smugi. Niczym na wywoływanej kliszy, mrok przechodził w coraz klarowniejsze kształty, te zaś rozjaśniały się w znajome domy, drzewa i zabudowania składające się na ich znajomy krajobraz. Oto wstawał nowy dzień. Jej dzieci zniknęły i wstawał nowy dzień. Jej dzieci zniknęły, a przed ich domem umierał człowiek.

Ruszyła z powrotem podjazdem i skierowała się do wioski. Potykając się, biegła wzdłuż żywopłotu i drzew; latarka z każdą chwilą stawała się coraz mniej potrzebna, lęk ścisnął gardło jak pięść. Poczowała desperacką nadzieję, że zaraz ujrzy bliźniaki w zimowych kurtkach oraz czerwonych i niebieskich kaloszach jak, trzymając się za ręce, idą jej na spotkanie.

Kolejna syrena. Zza zakrętu wyjechała karetka z włączonymi wszystkimi światłami. Naomi gorączkowo zamachała latarką i karetka stanęła.

– Farma Dene Barn? – spytał kierowca.

– To tam, sto metrów, pierwszy wjazd – wydyszała, wskazując ręką. – Nie mogę znaleźć dzieci.

Po chwili stała, wdychając spaliny, i patrzyła, jak zimne niebieskie światła podskakują na drodze niczym gniewne ryby; widziała, jak karetka skręca w prawo – bardzo powoli, jakby klatka po klatce – na ich podjazd. Do ich domu. Ich azylu.

Naomi stała bez ruchu; mrugając, próbowała pozbyć się łez i kropli deszczu z piekących oczu, wdychała cuchnące powietrze i drżała tak gwałtownie, że jej kolana uderzały o siebie.

– Luke? – odezwała się słabym, zagubionym głosem. – Phoebe?

Spojrzała na słaby blask latarki, już bezużytecznej w świetle dnia. Zgasła ją, przełknęła ślinę, otuliła się rękami, by

powstrzymać drzenie. Deszcz się nasilił – był jak prysznic – ale nie zwracała na to uwagi, tylko odwróciła się, najpierw w jedną, potem w drugą stronę, jakby nagle miała ujrzeć ich twarzyczki wyzierające zza krzaka, drzewa, żywopłotu.

Gdzie jesteście?

Rozpaczliwie próbowała się skoncentrować. Kim był ten człowiek? Kto go postrzelił? Jak komukolwiek udało się dotrzeć do ich domu? Kto ubrał bliźniaki w kurtki i kalosze i je zabrał? Kim byli ci ludzie? Pedofilami?

Uczniami?

Czy możliwe, że to Luke i Phoebe postrzelili nieznajomego? I uciekli? Czy dlatego uciekli?

Uciekli? Zostali zabrani, uprowadzeni?

Gdzieś poza chwilowym oszołomieniem, w mrocznym zakątku serca, czaiła się niewzruszona pewność, że dzieci zniknęły na zawsze.

Gdy Naomi brnęła podjazdem do domu, zatrzymała się obok niej szara furgonetka i ktoś spytał miłym głosem, czy wszystko w porządku. Na chwilę zakiełkowała w niej nadzieja.

– Znaleźliście je? – zapytała. – Macie je? Macie moje dzieci? Nic im nie jest?

– Twoje dzieci?

Wpatrywała się w mężczyznę zupełnie oszołomiona.

– Moje dzieci. Macie je? Luke’a i Phoebe?

Otworzył drzwi i odsunął się, robiąc dla niej miejsce.

– Wskakuj, kochanie.

– Kim jesteście? – spytała, cofając się od samochodu.

– Policja, wydział zabójstw.

– Muszę znaleźć dzieci – powiedziała, kręcąc głową.

– Pomożemy ci. Wskakuj, bo zamarzniesz na śmierć.

CB radio zatrzeszczało. Kierowca pochylił się i wcisnął guzik.

– Charlie Victor siedem cztery, właśnie dotarliśmy na miejsce.

Mężczyzna na siedzeniu pasażera wyciągnął rękę. Naomi ujęła ją, wsiadła i zatrzęsnęła za sobą drzwi. Ogrzewanie było włączone; gorące powietrze zaczęło przypiekać jej stopy, dmuchać w twarz. Potrząsnęła głową, czując, że słabnie i traci orientację.

– Proszę, pomóżcie mi znaleźć syna i córkę.

– Ile mają lat?

– Trzy.

– O nic się nie martw, kochanie. Znajdziemy je.

Furgonetka ruszyła. Naomi patrzyła na żywopłoty zostające w tyle jak we śnie.

– Kiedy się obudziliśmy, nie było ich w domu – powiedziała otępiałym głosem.

– Znajdziemy je, nie martw się.

Policjant powiedział to tak miłym tonem, że wybuchła płaczem.

Furgonetka zagrzechotała na kratownicy i wyjechała na żwir. Łkając, Naomi spojrzała na karetkę z zamkniętymi drzwiami i zasłoniętą boczną szybą, pierwszy samochód policyjny, który widziała wcześniej, i dwa inne. Policja najwyraźniej była wszędzie. Uzbrojeni w strzelby funkcjonariusze w wiatrówkach stali w ogrodzie. Ani śladu postrzelonego mężczyzny; zakładała, że jest już w karetce.

Trawnik przed domem, gdzie wcześniej leżał nieznajomy, odgrodzono taśmą, przy której stali dwaj mundurowi. Gdy furgonetka podjechała pod dom, pojawił się kolejny samochód, ciemne volvo najeżone antenami, z czterema policjantami w środku.

– Jak myślisz, gdzie mogą być twoje dzieci? – spytał jeden z tych, z którymi jechała.

– Ja... – Pokręciła głową, otworzyła drzwi i szybko wysiadła. To nie działało się naprawdę, nie mogło. Jak we mgle, wymamrotała słowa podziękowania i ruszyła w kierunku odgrodzonych taśmą drzwi. Jeden z mundurowych podniósł rękę i powiedział uprzejmie:

– Przepraszam, ale czy może pani wejść od kuchni?

Naomi obeszała dom. Kuchenne drzwi były zamknięte na klucz. Zastukała knykциями. Drzwi otworzyła policjantka, może ta sama – z błyskami niebieskiego światła na twarzy – z którą wcześniej rozmawiała na drodze. Po chwili na spotkanie Naomi wyszedł blady jak płótno John w szlafroku, z klejącymi się do głowy włosami. Objął ją.

– Gdzie się podziewałaś, kochanie?

– Znalazłeś je? – spytała, łkając, Naomi. – Znalazłeś je?

– Muszą być gdzieś niedaleko – odparł.

– ZNIKNEŃLI! – wyrzuciła przez łyżę. – KTOŚ JE ZABRAŁ, BOŻE, KTOŚ ZABRAŁ DZIECI!

John wymienił spojrzenia z policjantką.

– Nasze dzieci zniknęły, John, nie rozumiesz? Mam ci to przeliterować? Mam to przeliterować od tyłu, z pominięciem co czwartej litery?

Dwaj mundurowi weszli do kuchni. Jeden wyglądał na dziewiętnaście lat, wysoki, bardzo szczupły i chyba mało doświadczony. Trochę dziwne, że nie zdjął w domu czapki, pomyślała Naomi bez związku z tym, co się działo. Drugi policjant był starszy, przysadzisty, z wypielegnowanym zarostem i ogoloną głową. Czapkę trzymał w dłoni, uśmiechając się sympatycznie.

– Przeszukaliśmy wszystkie pokoje, szafy i strychy. Teraz sprawdzimy przybudówki. Macie garaż i szklarnię, tak? Jest też szopa z pojemnikami na śmieci, zgadza się? Są jeszcze jakieś zabudowania, których nie przeszukaliśmy, proszę pana?

– Nie – odparł przemoczony i drżący z zimna John, po czym zwrócił się do żony: – Musisz się przebrać w suche rzeczy. Weź prysznic. Ja się wszystkim zajmę.

– Musimy wrócić na dwór – odparła. – Luke i Phoebe mogą być przy stawie na farmie Gribblesów, mogli wpaść do wody.

– Włóż na siebie coś porządnego, to pójdziemy sprawdzić. Znajdziemy ich, muszą być niedaleko.

– Rozejrzę się jeszcze – powiedział krępy policjant do młodszego. – A ty zapisuj każdego, kto wejdzie do domu.

Gdy tylko Naomi poszła na górę, żeby wziąć prysznic, ktoś zapukał do drzwi. John otworzył i ujrzał wysokiego mężczyznę w wieku około czterdziestu lat, o ciemnych falujących włosach. Mokry od deszczu płaszcz założył na szary garnitur, białą koszulę i elegancki krawat; na nogach miał lśniące czarne buty. Spłaszczony i przekrzywiony nos, najwyraźniej kilkakrotnie złamany, upodabniał go do emerytowanego boksera.

– Doktor Klaesson?

– Tak.

– Detektyw inspektor Pelham. Prowadzę śledztwo. – Mówił grzecznie, lecz lakonicznie. Wyciągnąwszy rękę, szybko i mocno uścisnął dłoń Johna, jakby dłuższe uprzejmości byłyby marnowaniem cennego czasu. Szare oczy wnikliwie taksowały Johna. Po chwili dodał nieco łagodniej: – Przypuszczam, że pan i pani Klaesson musicie być w lekkim szoku.

– Lekki szok to mało powiedziane.

– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby państwu pomóc. Obawiam się jednak, że musimy zabezpieczyć ten dom jako miejsce zbrodni. Chciałbym, żebyście z żoną spakowali niezbędne rzeczy na kilka dni i wyprowadzili się.

– Co takiego? – spytał John z niedowierzaniem.

– Do domu nikt nie wchodził – powiedziała Naomi.

– Przykro mi, ale takie są procedury postępowania w przypadku zabójstwa.

Nagle z ogrodu weszli bez pukania dwaj ludzie w białych kombinezonach z kapturami, białych ochraniaczach na buty i gumowych rękawiczkach. Obaj trzymali torby lekarskie.

– Dzieńdoberek, Dave – rzucił jeden nonszalancko.

– Dobry, szefie – dodał drugi lekkim tonem, jakby byli dekoratorami wnętrz, którzy przyszli pomalować hol.

Młody mundurowy poprosił obu mężczyzn o podanie nazwisk i zapisał w notesie.

– Dokąd... dokąd mamy się przenieść? – spytał inspektora John.

– Macie w okolicy krewnych, u których moglibyście się zatrzymać? Jeśli nie, pozostaje hotel lub pensjonat.

– Owszem, mamy krewnych, ale nie bliskich. Proszę posłuchać, nie chcemy się stąd wynosić bez dzieci.

Inspektor Pelham pokiwał głową ze zrozumieniem, ale nie ze współczuciem.

– Oboje musicie się stawić na posterunku celem złożenia zeznań. Ktoś państwa tam zawiezie. Już szukamy waszych dzieci, za kilka minut wystartuje helikopter. Proponuję, żebyście się

ubrali, potem wypijemy razem w kuchni herbatę i omówimy kilka spraw, o które muszę zapytać.

– Chcę iść szukać dzieci.

– Moi ludzie już przeszukują okolicę. Państwa dzieci mają trzy lata?

– Tak, ale... – John ugryzł się w język. Inspektor uniósł pytająco brwi, więc dodał: – Są całkiem rozwinięte jak na swój wiek.

– W dzisiejszych czasach wszystkie dzieci takie są, doktorze Klaesson. – Nieprzenikniony wyraz twarzy policjanta ustąpił miejsca przelotnemu, chłodnemu uśmiechowi. – Robili już podobne rzeczy?

– Czy znikwały razem? – załkała Naomi.

– W tej chwili nie możemy niczego zakładać – powiedział Pelham. – Jednak biorąc pod uwagę to, że mają trzy lata, powinniśmy założyć, że nie są zbyt daleko. W obliczu tego, co się tu stało, powiadomiliśmy jednak lotniska, porty i tunel pod kanałem. Aktualna fotografia dzieci byłaby pomocna. Proszę się nie martwić, znajdziemy ich. – Policjant spojrzał kolejno na Johna i Naomi. – Nigdy wcześniej nie widzieliście tego człowieka leżącego pod drzwiami? Nie macie pojęcia, kim może być?

Inspektor Pelham zauważył dziwne spojrzenia, jakie wymienili między sobą Klaessonowie.

Nawet po gorącym prysznicu i przebraniu się w ciepłe rzeczy Naomi nie przestawała się trząść. Z najwyższym trudem nalała wody do czajnika i włączyła go. Po chwili, gdy woda zaczęła syczeć i bulgotać, z dworu dobiegł znacznie donośniejszy odgłos, ryk podobny do grzmotu.

Za oknem ujrzała helikopter, który zawisł tuż nad linią drzew. Do kuchni wszedł John, w dżinsach, swetrze z golfem i kurtce podbitej barankiem; trzymał dwie torby podróżne, do których pośpiesznie spakowali przybory toaletowe i zmianę ubrań. Po chwili z ogrodu wszedł inspektor Pelham.

– Nie chcę wyjeżdżać, panie inspektorze – powiedziała Naomi.
– Chcę tu zostać, to mój dom. Chcę tu zostać dopóty, dopóki nie wrócą moje dzieci.

– Przykro mi, pani Klaesson. Znajdziemy je najszybciej, jak się da.

– To znaczy?

– Mam nadzieję, że za parę dni. – Po chwili dodał: – Widzę, że w orywnowaniu macie zainstalowane kamery. Nagrywają?

– Jezu! – wykrzyknął John, uderzając się otwartą dłonią w czoło. – Oczywiście! Zamontowali je dopiero w środę! – Spojrzał na żonę, a jej oczy odrobinę pojaśniały.

– Tak! – powiedziała. – Czemu wcześniej na to nie wpadliśmy?

John ruszył pierwszy przez hol i gdy znalazł się w swoim gabinecie, otworzył szafę, gdzie stała nagrywarka.

– Ja... jeszcze nie próbowałem. Zaraz zobaczę. – Drżącymi dłońmi wertował instrukcję obsługi.

– Nie skasuj nagrania, kochanie – błagała Naomi. – Na miłość boską, tylko nie skasuj.

Wcisnął przycisk „stop”, potem cofnął nagranie.

– Kamera włącza się pod wpływem ruchu – wyjaśnił. – Ma noktowizor.

Czytnik cyfrowy cofnął się do godziny 00:29, potem do 19:10.

John puścił nagranie.

Cała trójka patrzyła na czarno-biały obraz na małym monitorze. Ujrzeni blask przednich świateł samochodowych. Wkrótce potem, w ujęciu „rybiego oka”, zobaczyli, jak saab Johna podjeżdża do subaru Naomi. John wysiada, rusza na werandę i znika z pola widzenia.

I potem.

Błysk, oznaczający przeskok w czasie.

John wstrzymał oddech.

Słodki Jezu.

W pokoju panowało całkowite milczenie.

Od strony pola przelazła przez ogrodzenie jakaś postać. W ciemnej czapce, kurtce, wysokich butach i rękawiczkach. Mężczyzna ostrożnie postawił nogę na żwirze, jakby sprawdzał wodę. Potem dostawił drugą.

– To on – wykrztusiła Naomi zduszonym drżącym głosem.

Mężczyzna na ekranie zamarł. Zrobił krok, potem drugi, zbliżając się do werandy.

Wtedy.

Za jego plecami przez płot przeszły jeszcze dwie osoby i zaczęły się skradać. Obie w czapkach z pomponami, zapiętych kurtkach z postawionymi kołnierzami, z twarzami niemal całkowicie zasłoniętymi przez gogle.

Mężczyzna stanął, ale po chwili podszedł do werandy. Znów się zatrzymał, wyciągnął z kieszeni długi, cienki przedmiot, jakby narzędzie.

Po wejściu na werandę zniknął z ekranu. Po chwili pojawił się znowu, tym razem uzbrojony w strzelbę, tę samą, która potem leżała obok niego!

W tym momencie jedna z dwóch postaci, również uzbrojona, podbiegła do mężczyzny od tyłu, zbliżyła broń do podstawy jego czaszki i z lufy wystrzelił błysk.

Głowa w czapce gwałtownie podskoczyła, mężczyzna runął na żwir z szeroko rozrzuconymi rękami, broń wypadła mu z dłoni.

Dokładnie w takiej pozycji go znaleźliśmy, pojęła Naomi.

Wtedy.

Nie.

To nie mogło się dziać. To musiał być sen. Na ekranie pojawili się Luke i Phoebe w kurtkach przeciwdeszczowych i kaloszach, po czym kolejno uściskali dwie postacie w goglach.

Przez pewien czas cała czwórka obejmowała się serdecznie, potem szybko przeszła przez żwirowy podjazd. Dwie dorosłe osoby, wciąż w goglach, pomogły bliźniakom pokonać ogrodzenie i wyjść na pole.

Kolejny błysk, oznaczający przeskok w czasie. John w szlafroku, uzbrojony w strzelbę, szedł ku leżącemu nieruchomo mężczyźnie w czapce z pomponem.

– Nie! – zawołała Naomi. – NIE! PUŚĆ TO JESZCZE RAZ, JOHN, PUŚĆ JESZCZE RAZ! BOŻE, PUŚĆ TO ZNOWU!

Cofnął nieco nagranie. Obejrzelik dokładnie to samo. Luke i Phoebe ochoczo przelazili przez ogrodzenie. Potem John wyszedł z domu ze strzelbą.

Zatrzymał odtwarzanie.

Przez kilka minut nikt się nie odzywał. Wreszcie John, wyczerpany i oszołomiony, zwrócił się do inspektora i powiedział bez złości, nawet bez rozpacz, całkowicie bezradnie:

– Nadal zamierza pan prowadzić poszukiwania z założeniem, że bliźniaki są niedaleko?

Naomi siedziała przed dwojgiem policjantów. Choć nikt tego nie powiedział i chociaż ją i Johna traktowano uprzejmie i z sympatią, nie byli poza podejrzeniami. Dlatego też kazano im złożyć zeznania oddzielnie.

Na kamerze umocowanej wysoko na ścianie i skierowanej na Naomi zaświeciła się czerwona lampka. Mały bezbarwny pokój nie miał okien. Nagie ściany najwyraźniej niedawno pomalowano na kremowy kolor. Dywan pachniał nowością. Resztę umeblowania stanowiły wygodne jasnoczerwone krzesła i stolik.

Policjant, zabijaka po czterdziestce, nosił beżowy garnitur i wykazywał wrażliwość kawałka drewna. Policjantka, jakieś dziesięć lat młodsza, miała krótkie rude włosy i okrągłą twarz z małymi podejrzliwymi oczkami. Była w granatowym sportowym żakiecie z emblematem klubu na kieszeni na piersi, w cienkim golfie i bawełnianych spodniach.

Naomi nie mogła uwierzyć, jak szybko media pojawiły się w ich domu. Policjanci odgradzili podjazd przy skřęcie z szosy, ale niespełna godzinę po ich przybyciu na okolicznych polach zaroilo się od fotoreporterów robiących zdjęcia przez długie obiektywy. Przy drodze ze wsi zaparkowało kilkanaście furgonetek dziennikarzy. Górował nad nimi kamerzysta telewizji Sky na wysięgniku hydraulicznym.

Policjant włączył magnetofon na stole.

– Tu detektyw sierżant Tom Humbolt i detektyw posterunkowa Jo Newman. Przesłuchanie pani Naomi Klaesson,

piątek, szesnasty stycznia, godzina... – Zerknął na zegarek. – Dziesiąta dwanaście.

Wprost zwijał się z uprzejmości.

– Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, pani Klaesson, chciałbym, żeby opowiedziała pani o wydarzeniach, które doprowadziły panią do wezwania dziś rano policji.

Z szarganymi nerwami, dodatkowo rozdrażniona oficjalnym tonem przesłuchania, Naomi łamiącym się głosem złożyła tak dokładną relację, jak potrafiła.

– Dlaczego tak wcześnie dziś pani wstała? – spytała policjantka. – Powiedziała pani, że w dni powszednie wstaje pani dopiero o siódmej.

Naomi przełknęła słodką gorącą herbatę i zapytała:

– Ma pani dzieci?

– Tak.

– W takim razie może zrozumie pani, jeśli powołam się na instynkt macierzyński?

Policjantka skinęła głową. Naomi zerknęła na Humbolta i w jego oczach dostrzegła zrozumienie.

– Wyczułam, że coś jest nie w porządku, jaśniej nie umiem tego wytłumaczyć, poza tym musiałam iść do toalety. – Zapadło chwilowe milczenie. Naomi bawiła się kubkiem. – Ktoś zadzwoni, prawda? Jeśli znajdą ich podczas mojej obecności tutaj.

– Kiedy tylko pojawią się nowe wiadomości, zostaniemy poinformowani – zapewniła posterunkowa Newman.

– Dziękuję.

W Naomi wezbrały łzy i zaniósła się duszącym, rozdierającym łkaniem. Próbując się opanować, wymamrotała przeprosiny, wyjęła z torebki chusteczkę i otarła oczy.

– Przesłuchanie zawieszono o dziesiątej dwadzieścia jeden – powiedział sierżant.

...

Pół godziny później, nieco spokojniejsza, Naomi usiadła znowu w pokoju przesłuchań, gdzie ponownie włączono magnetofon. Oczami wyobraźni raz po raz oglądała nagranie uciekających bliźniaków. Widziała, jak Luke i Phoebe idą przez podjazd ku obcym w czapkach baseballowych i goglach, obejmują ich, tulą, całują. Witają nieznanym z miłością, jakiej nigdy nie okazali jej czy Johnowi.

Luke i Phoebe witali tych dwoje jak swoich rodziców.

Zamarła, bo każdą komórkę ciała sparaliżował chłód.

A jeśli?

A jeśli?

A jeśli ci ludzi naprawdę byli ich rodzicami?

Nie. To nie do pomyślenia. Zresztą Luke i Phoebe mieli tyle rysów jej i Johna – wszyscy tak mówili – a czasem, gdy patrzyła na syna, nie ulegało wątpliwości, jak bardzo przypominał ojca.

W umyśle Naomi zakiełkowała inna, jeszcze gorsza myśl. Właśnie o tym pomyślała na widok ciała przed drzwiami i gdy nie znalazła kurtek i butów dzieci. Ze wzrokiem utkwionym w stół słuchała syku klimatyzacji. Gdy biegła podjazdem i potykając się, brnęła przez mokre pola, odpychała od siebie tę myśl, rozpaczliwie usiłowała wcisnąć ją z powrotem w głąb umysłu.

Myśl o tym, że ona absolutnie nie...

– Pani Klaesson?

Głos sierżanta Humbolta przywrócił ją do rzeczywistości. Spokojny, ale nieustępliwy.

Spojrzała na policjanta.

– Czy chce pani chwilę odczekać, zanim zaczniemy?

– Może życzy pani sobie, żeby lekarz dał pani coś na uspokojenie? – podsunęła Jo Newman.

Naomi zamknęła oczy i pokręciła głową.

– Powiedźcie mi coś, proszę. Ci pedofile... oni namierzają ofiary na czacie, prawda? Zboczeńcy korespondują z małymi dziećmi, zaprzyjaźniają się, namawiają na spotkanie. Takie rzeczy się zdarzają, prawda?

Detektywi spojrzeli po sobie, wreszcie Humbolt powiedział:

– Dla starszych dzieci istnieje duże zagrożenie, ale chyba nie w przypadku trzylatków. Są za mali.

– Nie wyobrażam sobie, żeby pani trzyletnie bliźniaki umiały korzystać z internetu i korespondować z nieznanymi – zauważyła posterunkowa.

– Pod względem intelektualnym są znacznie starsi – wyjaśniła Naomi. – Nie uwierzyłaby pani, jak bardzo są rozwinięci.

Policjantka spojrzała na nią tak, jakby obie, będąc matkami, miały wspólny sekret. „Wszystkie matki uważają swoje dzieci za wyjątkowe!”, mówiło spojrzenie Jo Newman.

– Pani dzieci miały swobodny dostęp do internetu? – spytał Humbolt.

– W zeszłą niedzielę podarowaliśmy im komputer na urodziny. Bardzo zdziwiły mnie strony, które odwiedzali, w większości naukowe.

– W wieku trzech lat? – Humbolt uniósł brwi.

– To właśnie mam na myśli, mówiąc, że są rozwinięte, nawet bardzo. Zupełnie jak... cudowne dzieci.

– Pani Klaesson, wszystkie komputery z państwa domu zostaną zabezpieczone i zbadane. Jeśli dzieci prowadziły chat, wszystko da się namierzyć.

– Proszę posłuchać, rozumiem, że te pytania są ważne. Ale siedzimy tu, a moje dzieci porwano. Chcę tylko wrócić i je odnaleźć. Nie chcę tu siedzieć i odpowiadać na pytania, to nie w porządku, marnujemy czas, możemy to zrobić później?

– Dysponuje pani informacjami, które mogą okazać się bardzo istotne dla odnalezienia dzieci – powiedziała policjantka ze współczującym uśmiechem.

Naomi przeczytała niedawno, że z dziewięćdziesięciorga ośmiorga dzieci zamordowanych w Wielkiej Brytanii w minionym roku tylko trójka zginęła z rąk osób niebędących najbliższą rodziną lub znajomymi.

– Czy to prawdziwy powód, dla którego tu jestem? – spytała. – A może jestem podejrzana? O to chodzi?

Na twarzach policjantów odmalowało się zakłopotanie.

– Co z wami jest? Macie nagranie z kamery, widzicie, że obcy ludzie wprowadzili moje dzieci. Dlaczego tu jestem? Powiedzcie.

– Nie jest pani podejrzana, pani Klaesson – oświadczył sierżant Humbolt.

– Na progu naszego domu znaleziono martwego człowieka, obcy wprowadzili nasze dzieci, ale zamiast ich szukać, traktujecie mnie jak cholerną podejrzaną. W drugim pokoju przesłuchujecie mojego męża, potem sprawdzicie, czy nasze zeznania się zgadzają. Pozwólcie, że wam coś powiem: będą się zgadzały, jasne?

Przez chwilę detektywi siedzieli w milczeniu.

– Pani Klaesson, uspokoję panią – odezwała się w końcu Jo Newman. – Robimy, co w naszej mocy, by znaleźć dzieci. Wezwano wszystkich dostępnych policjantów, żeby przeszukali okolicę domu. Helikopter policyjny patroluje cały teren.

Z widocznym trudem Naomi zaakceptowała jej zapewnienia. Czy miała inne wyjście?

Potem posypał się grad pytań. Jak wyglądała jej relacja z mężem? Z dziećmi? Z sąsiadami? Z przyjaciółmi? Z przyjaciółmi dzieci?

Naomi starała się szczerze odpowiadać na pytania, ale do policjantów nie docierało, jak inteligentnymi dziećmi są Luke i Phoebe.

– Twierdzi pani, że pani matka widziała tego człowieka we wtorek? Tego, którego znaleziono przed waszym domem?

– Nie, tego nie powiedziałam. – Pokręciła głową. – Mówiłam, że zaniepokoił ją nieznajomy...

Nagle coś jej się przypomniało.

– Krucyfiks! Matka wspomniała, że nieznajomy nosił krucyfiks! Dziś rano nie przyszło mi do głowy, żeby to sprawdzić. Czy ktoś może się dowiedzieć?

– Sprawdzę to – obiecał Humbolt, notując coś w bloczku.

– Czy Luke i Phoebe mają jakieś znamiona albo blizny? – spytała jego koleżanka z pewnym zakłopotaniem.

- Nie... nie wydaje mi się.
- Pamięta pani, co ostatnio jadły?
- Jadły? - powtórzyła Naomi. - Dlaczego to...

Wtedy przypomniała sobie serial telewizyjny o patologu pracującym dla Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, który oglądała z Johnem. W jednym z odcinków zaginęło dziecko. Policja pytała rodziców o znamiona i o to, co jadło.

Dzięki temu, w razie odnalezienia ciała, łatwiej będzie je zidentyfikować. Na podstawie znamion na ciele albo po otwarciu żołądków i sprawdzeniu, co jadły.

Nagle drzwi się otworzyły i wszedł inspektor Pelham, wciąż w płaszczu przeciwdeszczowym.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedział, wpatrując się w Naomi. - Pomyślałem, że powinna pani wiedzieć o postępie śledztwa.

Przed przesłuchaniami Johnowi i Naomi przedstawiono detektyw Renate Harrison, mającą się zajmować nimi z ramienia policji. Szatynka po czterdziestce, z krótko i stylowo przyciętymi włosami, miała na sobie żakiet w kratę, spodnie do kompletu i kremową bluzkę z koronkowym kołnierzykiem, ale mimo tego dość sztywnego stroju jej zachowanie cechowała łagodność.

Teraz zaprowadziła Johna i Naomi korytarzem do gabinetu inspektora, gdzie usiedli przy małym okrągłym stole konferencyjnym.

Po chwili wszedł Pelham, zamknął drzwi i odwiesił płaszcz. Od momentu, gdy Naomi zobaczyła go po raz pierwszy, minęły zaledwie trzy godziny, ale najwyraźniej dały się inspektorowi we znaki. Koszulę miał pogniecioną, węzeł krawata się przekrzywił, na twarzy perlił się pot.

– Tak – powiedział, siadając. Patrzył to na Johna, to na Naomi.
– Przejdę do sedna: na parkingu w Caibourne natrafiliśmy na samochód, który, według nas, należy do człowieka znalezionego przed waszym domem. Stał tam przez noc. Trzy dni temu został wypożyczony z Avis w Brighton przez odpowiadającego rysopisowi człowieka legitymującego się amerykańskim prawem jazdy. Zapłacono kartą kredytową, którą znaleźliśmy w jego portfelu. Nazwisko na prawie jazdy i karcie brzmi „Bruce Preston”. Coś wam to mówi?

– Nigdy o nim nie słyszeliśmy – odparł John. Oboje z żoną pokręcili głowami.

Pelham zerknął na zegarek.

– W Ameryce jest jeszcze noc – powiedział. – Dopóki nie zaczną tam urzędować, nie dowiemy się, czy to jego prawdziwe nazwisko. W bagażniku samochodu znaleźliśmy laptop. Analizujemy jego zawartość, podobnie jak komórki, którą miał przy sobie. Mamy nadzieję, że coś uzyskamy.

Wstał, podszedł do biurka i wrócił z brązową kopertą, z której wyjął zdjęcie.

– To jest powiększenie fotografii znalezionej w portfelu Bruce’a Prestona. Widzieliście kiedyś tę kobietę?

John i Naomi spojrzeli na ładną dziewczynę w prostej letniej sukience, o długich czarnych włosach i latynoskiej urodzie, stojącą chyba na tarasie domu.

– Nie – odparł John.

– Nigdy – rzuciła Naomi. – Na pewno jej nie widziałam.

– Czy mówi wam coś imię Lara?

Oboje pokręcili głowami.

– Tylko tyle, że szeptał to imię, kiedy go znaleźliśmy – powiedziała Naomi.

– Nic więcej?

– Nie.

– W karetce, zanim stracił przytomność, też mówił tylko to. – Inspektor patrzył przez chwilę na Klaessonów, wreszcie dodał: – Jeśli chodzi o tę sektę, o której wspominaliście, Uczniów Trzeciego Tysiąclecia, niczego nie ustalimy, dopóki w Stanach nie zacznie się dzień pracy.

– Czy ten człowiek przeżyje? – spytała Naomi.

– Pracują nad nim dwaj czołowi neurochirurdzy w kraju, ale rokowania nie są dobre. – Pelham wzruszył ramionami. – Nie wiem. – Po chwili milczenia i lustrowania ich wzrokiem ciągnął: – Dobrze, oto kolejne nowiny, ale zachowajcie je dla siebie. Jeśli dotrze do was ktoś z prasy, wolałbym, żebyście o tym nie wspominali. Jasne?

– Tak – potwierdził John.

– Dziennikarze będą węszyć wszędzie. Nie wolno wam puścić pary z ust, chyba że obecna tu detektyw Harrison wyda zgodę.

Rozumiecie?

John spojrział na żonę, a ta skinęła głową.

– Czy jesteście gotowi wystąpić w telewizji z apelem o oddanie wam dzieci?

– Zrobimy wszystko – zapewniła Naomi.

– Świetnie. Przygotowujemy występ na żywo w BBC, Sky i kilku innych stacjach. Zeszłej nocy mieszkanka Caibourne spacerowała z psem i zobaczyła, jak przez wieś dwukrotnie przejeżdża bardzo wolno sportowe mitsubishi, jakby kierowca zablądził albo czegoś szukał. Zauważyła samochód, ale niestety nie zapisała numeru rejestracyjnego. Teraz ciekawa sprawa: dziś o trzeciej nad ranem celnik przy tunelu pod kanałem widział czerwone sportowe mitsubishi z mężczyzną i kobietą z przodu oraz dwójką dzieci, chłopcem i dziewczynką, z tyłu.

– Jezu – wyszeptał John, wziął Naomi za rękę i mocno uścisnął.

Inspektor Pelham zdjął marynarkę i powiesił na oparciu krzesła. Przepocona koszula przylegała do muskularnego torsu.

– Kamery zarejestrowały wszystkie pojazdy wjeżdżające do tunelu; analizujemy nagrania. Możliwe, że to fałszywy trop, ale w nocy droga od waszego domu do tunelu zajmuje około dwóch godzin, co by się zgadzało. Skontaktowaliśmy się z Interpołem i poprosiliśmy policję wszystkich europejskich krajów, żeby sprawdzali dworce i lotniska, włącznie z prywatnymi, i szukali dzieci odpowiadających opisowi Luke’a i Phoebe.

– Sądzi pan, że mogą być za granicą? – spytała Naomi. – Że zdążyli wyjechać z kraju? Dokąd oni jadą, chciałam powiedzieć: dokąd ich zabierają?

Słowa zamarły w jej ustach. Łzy napłynęły do oczu. Potrząsając głową, powtarzała:

– Nie, o nie, nie, nie, nie.

John mocniej uścisnął dłoń żony, ale nie zareagowała. Rozpaczliwie pragnął ją pocieszyć, jakby w ten sposób mógł ulżyć sobie. Nie miał jednak pojęcia, co powiedzieć; w głowie miał mętlik.

– Czy to znaczy, że nie będziecie ich szukać w okolicy? – spytała Naomi.

– Jeden z naszych ludzi jedzie do tunelu ze zdjęciem Luke’a i Phoebe. Jeśli celnik ich rozpozna, ograniczymy lokalne poszukiwania i skupimy się na innych tropach, ale do tego czasu kontynuujemy poszukiwania na szeroką skalę.

– Kiedy możemy wrócić do domu?

– Technicznie rzecz biorąc, jak tylko chłopcy z laboratorium kryminalistyki skończą pracę w domu i najbliższej okolicy. Przypuszczam, że jutro, najdalej pojutrze. Detektyw Harrison pomoże wam znaleźć miejsce do spania. Ona lub jej koleżanka zostanie z wami przez kilka dni, żeby chronić was przed prasą dwadzieścia cztery godziny na dobę.

John posępnie skinął głową.

– Nie chcę przenosić się do hotelu – powiedziała Naomi. – Chcę szukać dzieci.

– Nie wątpię – odparł Pelham i spojrzał na nią ze zrozumieniem. – Postawiłem w tym celu na nogi wszystkich moich ludzi. Najbardziej pomożecie, jeśli będziecie nadal udzielali nam informacji. Chcę, żebyście oboje przekazali nam swoje drzewa genealogiczne, kompletne listy przyjaciół, znajomych z pracy, sąsiadów.

John ścisnął dłoń Naomi i tym razem odwzajemniła ten gest.

– Oczywiście – zapewnił. – Wszystko, czego chcecie.

– Czy załatwić wam pomoc psychologiczną? – spytał Pelham, wstając.

– Pomoc? – rzucił John.

– Nie – odparła stanowczo Naomi. – Nie chcę, żeby jakiś cholerny, nieudolny pracownik socjalny mówił mi, jak sobie z tym radzić. Poradzę sobie, kiedy odzyskam dzieci. Proszę, odzyskajcie je dla nas. Zrobię wszystko, dosłownie wszystko.

Pelham skinął głową.

Tunel pod kanałem.

Czerwone sportowe mitsubishi.

Chłopiec i dziewczynka na tylnym siedzeniu.

Trzecia nad ranem.

Naomi nie potrzebowała więcej dowodów. W głębi serca wiedziała, że to oni.

Wczesną nocą kutry rybackie wpływały do portu, inne wypływały w morze, toteż nikt nie zwracał uwagi na jeszcze jedną oświetloną łódź, która przemknęła obok starodawnej bizantyjskiej wieży strażniczej na końcu kamiennego molo, wyznaczającego wejście do portu Uranupoli.

Także pielgrzymi i mnisi nieustannie przybywali tu i wyjeżdżali. Z tego małego nadmorskiego miasteczka w północnej Grecji wyruszali podróżni zmierzający do dwudziestu klasztorów na półwyspie, na którym znajdowała się Święta Góra Athos. Aby tam dotrzeć, wystarczyło przemierzyć promem Morze Egejskie.

Zatoka leżała też najbliżej innego klasztoru, położonego na niewielkiej wyspie dwadzieścia kilometrów na południe.

Łódź dobiła rufą do rojnego nabrzeża, samotna pasażerka wsiadła, po czym statek znów wypłynął w morze.

Lara Gherardi, z długimi czarnymi włosami schowanymi pod czapką baseballową, w obszernej kurtce, dzinsach i tenisówkach, zarzuciła mały plecak z podstawowymi przyborami i ruszyła szybko wzdłuż zacumowanych kutrów, potem w górę stromą utwardzaną drogą; minęła szereg tętniących życiem restauracji i kawiarni i wreszcie wyszła na główną ulicę miasteczka.

Morze w pobliżu lądu okazało się spokojniejsze, niż szyper oczekiwał, toteż przyплыnęli kwadrans przed czasem. Lara weszła do zatłoczonego baru, poprosiła o wodę i wypiła na chodniku, patrząc z niesmakiem na wystawione w witrynie pamiątki ze Świętej Góry Athos. Po chwili podjechała taksówka.

Lara rzuciła plecak na tylne siedzenie i wsiadła. Taksówka wyjechała z miasteczka, zmierzając do oddalonego o dwie i pół godziny drogi lotniska w Salonikach. Była dziewiętnasta.

O dwudziestej trzeciej Lara złapała samolot do Aten, a kiedy tam wylądowała, zasnęła głęboko na ławce w hali odlotów.

O ósmej, czyli siódmej według czasu brytyjskiego, wsiadła do samolotu zmierzającego na londyńskie lotnisko Heathrow.

Dziennik Naomi

Leżę tu, na czwartym piętrze hotelu Thistle. Słucham szumu samochodów w dole i huku morskich fal za promenadą. Nie mogę zmrużyć oka. Czekam, czekam, aż zadzwoni telefon. Już dwa razy wstałam, żeby sprawdzić, czy moja komórka jest włączona i czy słuchawka hotelowego telefonu została odłożona właściwie.

Ciągle słyszę telefon dzwoniący w sąsiednim pokoju. Zadzwoniłam na recepcję, aby się upewnić, czy nocna zmiana wie, w którym pokoju się zatrzymaliśmy.

Dzisiaj kilkakrotnie pragnęłam umrzeć. Podobnie się czułam, gdy Halley przegrywał walkę z chorobą. Chciałam tylko odczepić cumę i razem z nim pograć się w objęciach śmierci.

Nieustannie zastanawiam się, gdzie mogą się podziewać L & P, co się z nimi stało. Wiem, że sprawiali mi trudności, ale wszystko to wyparowało już z mojej głowy. Kocham ich nieprzytomnie. Wiem, że pod pewnymi względami są silni, ale to nadal małe dzieci, małeńcy ludzie. John i ja z głupoty sprawiliśmy, że stali się zbyt inteligentni i nie wyszło im to na zdrowie (może zresztą zrobił to Dettore, sama nie wiem). Okazało się, że potrafią porozumiewać się ze światem dorosłych, ale nie pojmują jego zagrożeń. Dlatego stało się to, co się stało.

Nie daje mi spokoju nagranie, na którym bliźniaki obejmują nieznanomych. Po trzech latach naszych starań Luke i Phoebe uciekają z obcymi. To jest najgorsze ze wszystkiego.

Policja bierze pod uwagę, że mogli zostać zwabieni przez pedofilów za pośrednictwem internetu. Badają ten trop, ale w komputerze dzieci nie znaleźli żadnych dowodów. Policjanci sądzą, że zabity mężczyzna mógł należeć do konkurencyjnego gangu pedofilów i padł ofiarą sprzeczki.

Świetnie.

Moje dzieci dostały się w łapy pedofilskich potworów, które strzeliły człowiekowi w tył głowy. Nikt nie ma pojęcia, gdzie są.

Tej bezsennej nocy kochali się. John pomyślał, że „pieprzyli się” byłoby właściwszym określeniem, ponieważ to właśnie robili. Kopulacja zrodzona z pierwotnej potrzeby. Nawet się nie całowali. Naomi przyciągnęła go do siebie i pracowali, aż oboje osiągnęli orgazm, po czym wrócili, każde na swoją stronę hotelowego łóżka.

O siódmej John włożył dres i tenisówki, wyslizgnął się z pokoju i zszedł do lobby. Gdy wyszedł przez drzwi obrotowe w suchy szary poranek, oślepiła go bateria lamp błyskowych, więc natychmiast cofnął się do hotelu.

Na dworze czekała istna armia reporterów i wozów telewizyjnych.

John przebiegł hol, kierując się strzałkami prowadzącymi do sali balowej, potem do centrum konferencyjnego; po chwili znalazł się w dużej pustej sali konferencyjnej.

Przeciawszy ją, wyszedł na rampę dla wózków inwalidzkich i stanął przed podwójnymi drzwiami z metalową sztabą. Pchnął je i z uczuciem ulgi stanął w pustej bocznej uliczce.

Chłodne powietrze szczypało mu skórę, gdy biegł na wzgórze, oddalając się od reporterów i morza, kierując się do centrum miasta; kilka minut później znalazł się na szerokiej pustej ulicy pełnej sklepów. Najpierw minął go wóz policyjny, potem taksówka, wreszcie autobus z niewieloma pasażerami. Biegł wzdłuż witryn sklepowych z manekinami, sprzętem elektronicznym, meblami, lampami, komputerami, minął bank przerobiony na bar, w końcu stanął na światłach i spojrzał na zegarek.

Luke i Phoebe dostali się w ręce obcych ludzi. Co się działo z bliźniakami? Czy jeszcze żyły? Zamknął oczy, żałując, że nie może zrobić nic więcej, niż odpowiadać na te cholerne pytania. Żałował, że nie zbudził się wtedy w nocy, nie wyjrzał przez okno i nie zobaczył, jak dranie zabierają mu dzieci – wtedy rozszarpałyby ich gołymi rękami.

Przebiegając przez ulicę, ujrzał nastolatka, który oddalał się na rowerze od kiosku z gazetami. John zatrzymał się przy kiosku i wszedł.

Ciasna przestrzeń była zastawiona po jednej stronie magazynami, w tym miękką pornografią, po drugiej znajdowały się brytyjskie i zagraniczne gazety. Gburowaty właściciel zerkał na niego zza lady.

Wszystkie brytyjskie gazety zamieściły artykuł na pierwszej stronie. Kilka zagranicznych zrobiło to samo. Pod wielkim nagłówkiem w języku, którego nie rozpoznał, ujrzał nawet na zdjęciu siebie i Naomi.

UPROWADZENIE DZIECI PROJEKTOWANYCH GENETYCZNIE!

BLIŹNIAKI PORWANE!

TRAGEDIA PODWÓJNEGO PORWANIA W RODZINIE DZIECI PROJEKTOWANYCH
GENETYCZNIE

John wybrał jedną z gazet i otworzył. Z fotografii patrzyła na niego jego własna twarz i twarz Naomi. Zrobione przed ich domem zdjęcie wyszło trochę nieostro; pewnie poprzedniego dnia pstryknął je z pola fotoreporter z długim obiektywem.

Zaczął czytać artykuł.

Szwedzki naukowiec, doktor John Klaesson, i jego żona Naomi są zdruzgotani po tym, jak wczoraj wczesnym rankiem porwano ich bliźniaki, Luke'a i Phoebe.

W emocjonalnym apelu telewizyjnym wczoraj wieczorem...

– Hej.

Zaskoczony John podniósł wzrok i zobaczył, że kioskarz zwraca się do niego.

– Kupuj, bracie, albo spływaj.

John podniósł gazetę i pokazał tamtemu zdjęcie.

– To są moje dzieci – wydukał.

– Co takiego? – Kioskarz już na niego nie patrzył, tylko szukał czegoś pod ladą.

– Te bliźnięta, o których tu piszą, to moje dzieci.

Facet spojrzał na Johna i wzruszył ramionami.

– Jak sobie chcesz. Kupuj albo spadaj.

John położył gazetę na ladzie i pomacał się po kieszeniach. Nie miał przy sobie ani centa.

– Przepraszam – powiedział zakłopotany. – Zaraz wrócę.

Gburowaty mężczyzna stracił zainteresowanie i odwrócił wzrok, a on wymknął się z kiosku, bez przekonania pobiegł z powrotem do hotelu i wszedł drzwiami, które zostawił otwarte, gdy wychodził.

Kiedy wszedł do pokoju, Naomi brała prysznic.

– Dzwoniła Renate Harrison i pytała, jak się mamy! – zawołała. – Przed dziewiątą będzie czekała na nas przed hotelem.

– Miała jakieś wiadomości?

– Podobno w nocy uzyskano nowe informacje. Wszystkiego dowiemy się na posterunku.

– Ale ich nie znaleźli?

– Nie.

Zakręciła wodę i wyszła z kabiny. John podał jej ręcznik. Z włosami przyklejonymi do głowy i wodą ściekającą po ciele wyglądała tak bezbrinnie, pomyślał. Otulił żonę ręcznikiem i w milczeniu trzymał ją przez pewien czas w objęciach.

Skoro nie znaleźli jeszcze Luke'a i Phoebe, przynajmniej istnieje szansa, że dzieci wciąż żyją, przemknęło mu przez głowę.

W oczach Naomi ujrzał dokładnie tę samą nadzieję.

Kiedy w towarzystwie Renate Harrison usiedli przy okrągłym stole w małym gabinecie, John odniósł wrażenie, że upłynęło znacznie więcej niż dwadzieścia cztery godziny, odkąd inspektor wkroczył w ich życie.

– Dobrze – zaczął Pelham, tego ranka odświeżony i energiczny. – Udało się wam zasnąć?

– Nie bardzo – odparł John.

– Ani trochę – powiedziała Naomi.

– Dziś w nocy będziecie już mogli spać w swoim domu.

– Dziękuję – odpowiedział John.

– Lepiej załatw im coś na sen – zwrócił się Pelham do Renate Harrison.

– Jakie macie wiadomości? – spytała Naomi.

– Jest pewien postęp – oznajmił inspektor. – Nie taki, jak byśmy sobie życzyli, ale zawsze. Nasz tajemniczy Bruce Preston nadal jest w śpiączce po wczorajszej szesnastogodzinnej operacji przeprowadzonej przez neurochirurga. Policja pilnuje go na okrągło w szpitalu hrabstwa Sussex, a jeśli odzyska przytomność, przesłuchamy go, jak tylko otrzymamy pozwolenie. Doznał jednak poważnych uszkodzeń mózgu i prognozy nie są dobre.

– Dowiedzieliście się czegoś o jego tożsamości? – spytał John.

– Jest fałszywa. Poprosiłem FBI o sprawdzenie go, ale trop urywa się w Rochester w stanie Nowy Jork.

– Nie ma związków między tym człowiekiem a sektą, o której panu wspominaliśmy? – zapytała Naomi.

– Chodzi o tych Uczniów?

– Tak.

– Na razie niczego nie znaleźliśmy. Zdjęcie człowieka podającego się za Bruce’a Prestona oraz kobiety, które znaleźliśmy w jego portfelu, wysłaliśmy do FBI, ale jeszcze nie dostaliśmy odpowiedzi. – Pelham łyknął kawy. – Analityk z naszego działu przestępstw komputerowych, który bez przerwy pracuje nad waszymi dwoma komputerami, chciałby wam zadać kilka pytań. Przyjdzie o dziesiątej.

– Znaleźliście coś w laptopie Prestona? – spytał John.

– Jeszcze nie. Chyba zachowywał wielką ostrożność albo bardzo umiejętnie zacierał ślady.

– Ile jeszcze musicie trzymać mój laptop – zainteresował się John. – Jest mi bardzo potrzebny.

– Analityk odniesie wam oba komputery.

– Dzięki.

– Wczoraj wieczorem otrzymaliśmy numery rejestracyjne czerwonego mitsubishi zarejestrowane przez kamery w tunelu pod kanałem – oznajmił Pelham. – Są fałszywe.

John i Naomi milczeli.

– Dziś o siódmej rano dzwonił do mnie z Francji – ciągnął inspektor. – Czerwone mitsubishi znaleziono na małym lotnisku w Le Touquet. Zdołaliśmy ustalić, że wczoraj o wpół do siódmej mężczyzna i kobieta, oboje około trzydziestki, wsiedli do prywatnego odrzutowca zarejestrowanego w Panamie. Towarzyszyli im chłopiec i dziewczynka odpowiadający rysopisowi Luke’a i Phoebe. Pilot przyleciał z Lyonu i w planie lotu jako lotnisko docelowe podał Niceę. Ale samolot tam nie wylądował.

– Dokąd poleciał? – spytała Naomi.

– Odrzutowiec opuścił przestrzeń powietrzną Francji i zniknął z radarów.

– Czy wiadomo cokolwiek o właścicielu samolotu? – spytała Naomi.

– Pracujemy nad tym.

– Jaki zasięg mają takie odrzutowce? – zapytał John. – Jak daleko mógł polecieć?

– Podobno zależy to wyłącznie od rozmiarów zbiorników z paliwem. Zakładając, że zbiorniki były pełne, gdy przyleciał, samolot miał dość paliwa na czternaście godzin lotu. Ta konkretna maszyna rozwija szybkość sześciuset pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, czyli mogłaby polecieć do Ameryki i wystarczyłoby paliwa na połowę drogi powrotnej.

Pelham wrócił do biurka i rozłożył mapę świata z narysowaną czerwoną linią.

– Tutaj zakreślono wszystkie miejsca, dokąd mógł bezpiecznie dolecieć ten samolot.

John i Naomi posępnie patrzyli na mapę. Czerwona linia biegła przez Bombaj na wschodzie i Rio de Janeiro na zachodzie, bez uwzględnienia śródlądowania w celu uzupełnienia paliwa.

Dzieci mogły się znajdować w dowolnej części globu.

Specjalista od przestępstw komputerowych był blady, miał zaczerwienione oczy i spory złoty kolczyk. Nosił obszerne dżinsy, kilka koszulek z krótkimi rękawami i cuchnął dymem papierosowym. Zwracając się nie tyle do Johna i Naomi, ile do podłogi, powiedział:

– Cześć, jestem Cliff Palmer. – Potem podał im rękę podobną do śliskiej ryby.

Naomi zwróciła uwagę na lekki nerwowy tik analityka.

Cliff Palmer usiadł, postawił przed sobą komputer Johna, oburącz odgarnął włosy z czoła, ale natychmiast opadły z powrotem.

Renate wyszła z pokoju, żeby przynieść mu coś do picia.

– Badałeś mój komputer i komputer dzieci? – spytał John.

– Tak, mhm. – Palmer pokiwał głową w zamyśleniu i znów odgarnął włosy. – Skopiowałem oba twarde dyski, uznałem, że to najlepsze rozwiązanie. Za chwilę przyniosę z samochodu komputer dzieci. Musicie mi wybaczyć, w ogóle nie spałem, pracowałem przez całą noc. – Spojrzał na nich kolejno, jakby spodziewał się współczucia. Naomi poruszyła nieznacznie ustami.

– Znalazłeś coś ciekawego? – spytał John.

Palmer przytknął dłoń do ust i głośno ziewnął.

– Tak, rzeczy na obu komputerach mogą być interesujące, ale nie zrobię niczego bez kluczy. – Unosząc brwi, spojrzał na Johna.

– Kluczy?

– Kluczy kodowania.

– Masz na myśli hasła? – spytał John.

– Nie chodzi tylko o nie. – Cliff pokręcił głową. – Chociaż w obu systemach jest wiele haseł, których nie udało mi się jeszcze złamać ani ominąć. Chodzi o język, jakiego dzieci używają w mailach i na czatach.

Renate Harrison przyniosła analitykowi kubek herbaty oraz kawę dla Johna i Naomi.

– Wczoraj, kiedy zawieziono do ciebie komputery, przestrzegałem przed tym inspektora Pelhama – powiedział John. – Bliźniaki porozumiewają się szyfrem: mówią od tyłu, opuszczając co czwartą literę.

Analityk posłodził herbatę, zamieszał i napił się.

– Tak, wspomniano mi o tym, ale sprawa jest znacznie bardziej złożona. Dotychczas zdążyłem ustalić, że w ciągu minionego roku bliźniaki korespondowały z wieloma ludźmi na świecie. Wszystkie adresy są zaszyfrowane, nie potrafię odkryć kodu. – Znowu łyknął herbaty. – Próbowałem typowych szyfrów, ale nie pasują. Chyba wiecie, że niektórych po prostu nie da się złamać, prawda?

– To są trzyletnie dzieci, Cliff – przypomniała mu Renate Harrison.

– Wiem – odparł z pewną irytacją. – Ale ten sam szyfr zastosowano na obu komputerach.

– Chcesz powiedzieć, że to dzieci opracowały ten szyfr?

– Ktoś, kto używał tych komputerów, albo opracował szyfr, albo go pożyczył. Nie wiem kto. Mogę jedynie próbować odczytać ten język, ale natrafiłem na ścianę.

Naomi zwróciła się do męża:

– A co z tym twoim specem, Reggie?

– Reggie Chetwynde-Cunningham? Właśnie miałem to zaproponować. Byłby idealny. – John zwrócił się do analityka: – Pracuję w Morley Park. Ten facet ma tam cały wydział, jest czołowym specjalistą od szyfrów w kraju.

Cliff przytaknął.

– Normalnie nie przyznałbym się do tego, że zostałem pokonany przez dwoje trzylatków. Ale w tej sytuacji... – Zaśmiał

się nerwowo.

Nikt mu nie zawtórował.

Lara wjechała wypożyczonym fiatem tyłem na miejsce parkingowe, aby później móc natychmiast stąd ruszyć i w razie potrzeby oszczędzić cenne sekundy.

Po zapoznaniu się z instrukcjami automatu płatniczego kupiła bilet na maksymalny czas – cztery godziny – po czym umieściła go na przedniej szybie. Dzięki temu miała czas do osiemnastej.

Paski plecaka schowała do środka i podniosła go jak torbę podróżną; przecięła ruchliwą ulicę i weszła do szpitala hrabstwa Sussex. W sklepiku kupiła bukiet goździków w celofanie. Mimo silnego zdenerwowania próbowała zachowywać się nonszalancko, ot, kolejny gość odwiedzający pacjenta i przynoszący mu kilka drobiazgów.

Przez pewien czas kręciła się koło punktu informacyjnego, szukając planu szpitala. W pobliżu znajdowało się sporo osób, które mogła zapytać, ale nie chciała zwracać na siebie uwagi, ruszyła więc pewnym krokiem, jakby doskonale wiedziała, dokąd zmierza; w duchu modliła się do Boga o wskazówki.

Dotarła do prowadzących w górę schodów. Oznakowania głosiły: RENTGEN, KARDIOLOGIA, PRZYCHODNIA, HISTOPATOLOGIA, POŁOŻNICTWO, FARMACJA.

NEUROCHIRURGIA.

Po pokonaniu trzech kondygnacji schodów ruszyła korytarzem. Mijała lekarzy, salowe, pielęgniarki, gości; staruszka w szlafroku i kapciach, który z posępną determinacją brnął przed siebie z chodzikiem, potem łóżko na kółkach, gdzie leżał inny starszy pan z otwartymi ustami, bezzębny, oszołomiony, jakby ktoś go porzucił.

Znów w górę po schodach. Jeszcze jeden korytarz. Przeszła obok pokoju dla personelu. Zajrzawszy przez okno, zobaczyła pięć pielęgniarek. Lara pojmowała rytm i logistykę szpitali. Rozumiała chaos zmian, nieustanny przypływ i odpływ obcych twarzy; w dużym szpitalu nikt nie może znać wszystkich ani nawet wszystkich poznawać.

Gdy miała osiemnaście lat, rodzice zamknęli ją na oddziale psychiatrycznym szpitala ogólnego w Chicago. Większość czasu spędzała, chodząc po korytarzach, rozmawiając z personelem, próbując znaleźć sobie własny kąt w olbrzymim obiekcie. Zaprzyjaźniła się z personelem kuchennym i na pewien czas zagrzała tam miejsce; potem zaprzyjaźniła się z ludźmi z pralni i pralnia stała się jej domem. Wreszcie zbliżyła się do grupy pielęgniarek.

Nie kto inny jak jej cudowny, łagodny Nauczyciel, Harald Gatward przekazał wczoraj straszne wieści o jej ukochanym Uczniu. Nauczyciel wyjaśnił, że Bóg sprawdza w ten sposób jej miłość do Timona Corta i miłość Lary do wszystkich Uczniów. Większego sprawdzianu niż ten nie będzie nigdy. Po wszystkim już na zawsze dołączy do Uczniów.

Lara szła dalej. Tuż przed sobą ujrzała napis NEUROCHIRURGIA i zatrzymała się.

Czas skontaktować się z rzeczywistością.

Odetchnęła głęboko i zmówiła krótką bezgłośnie modlitwę o siłę i odwagę.

Timon był niedaleko. Lara wiedziała, że jej ukochany jeszcze żyje; godzinę wcześniej zadzwoniła do siostry oddziałowej i podała się za dziennikarkę. Pielęgniarka potwierdziła, że pacjent żyje, ale nie chciała zdradzić nic więcej.

Teraz Lara szła krok za krokiem; ilekroć ktoś się pojawiał, udawała, że poprawia kwiaty, w końcu dotarła do zbiegu korytarzy. Strzałka z napisem NEUROCHIRURGIA wskazywała w prawo. W głębi korytarza Lara ujrzała stanowisko pielęgniarek i recepcję.

W natłoku rozmaitych czynności nikt nie zwracał na nią uwagi. Nagle Lara zamarła.

Po jej lewej znajdował się krótki korytarz kończący się podwójnymi drzwiami prowadzącymi na oddział. Przed nimi siedział na krześle policjant wpatrzony w gazetę, z wyrazem bezbrzeżnego znudzenia na twarzy.

Serce Lary zabiło mocniej.

Tam leżał Timon!

Zanim policjant zdążył ją dostrzec, zawróciła do stanowiska pielęgniarek. Po zastanowieniu podjęła decyzję, ruszyła z powrotem na schody, zeszła piętro niżej, jeszcze jedno, aż znalazła się w piwnicy.

W półmroku słyszała pomrukiwania pieca. Pachniało gotowaną kapustą i olejem opałowym. Nad jej głową biegły grube rury. Przed sobą widziała parę wylewającą się otwartymi drzwiami.

– Czy ktoś dał ci herbatę? – powiedziała do siebie, naśladowując brytyjski akcent. Potem powtórzyła jeszcze parę razy: – Czy ktoś dał ci herbatę?

Kwiaty cisnęła na podłogę i ruszyła na poszukiwanie fartuchów.

– Czy ktoś dał ci herbatę?

Większość drzwi w korytarzach była oznakowana. Po niespełna pięciu minutach Lara znalazła tabliczkę MAGAZYN ODZIEŻY PERSONELU.

Postawiła plecak na podłodze i weszła do przestronnego pomieszczenia pochodzącego chyba z innego stulecia. Po jednej stronie znajdowały się półki pełne najróżniejszych uniformów i akcesoriów szpitalnych. Po drugiej, na długiej ławie, kilkunastu azjatyckich pracowników i pracownic prasowało i składało odzież. Nikt nie zwrócił uwagi na wejście Lary.

Podchodząc do ławy, powiedziała do starszej Chinki:

– Hej, jestem pielęgniarką pomocniczą, pracuję na izbie przyjęć na porodówce. Kazali mi tu przyjść po fartuch.

Chinka uniosła dłonie.

– Ty iść Personel złożyć wniosek.

Na widok pustego spojrzenia Lary kobieta zakreśliła dłońmi prostokąt.

– Formularz! Iść po wniosek do Personelu. Na górę. Drugie piętro.

– Wezmę fartuch, formularz przyniosę później! – powiedziała Lara. – To pilne!

Chinka wzruszyła ramionami, zamruczała gniewnie i wróciła do pracy.

Lara szybko wzięła fartuch pielęgniarski i bluzkę, ale nigdzie nie widziała butów. Musiała się zadowolić swoimi tenisówkami. Wiele tutejszych pielęgniarek nosiło takie obuwie. Ukrywając zdobycz pod obszerną kurtką, podniosła plecak, wbiegła na parter, weszła do pierwszej napotkanej toalety, zamknęła się w kabinie i przebrała.

Plecak wyniosła na parking, schowała do bagażnika samochodu, po czym wróciła do szpitala. Szła energicznie, jak pielęgniarka spóźniona do pracy; tym razem weszła bocznymi drzwiami i wróciła na oddział neurochirurgii.

Jakie to proste, pomyślała. Bułka z masłem, wystarczy wyglądać pewnie!

Mijając stanowisko pielęgniarek, wyjęła z kieszeni strzykawkę i fiolkę. Policjant wciąż czytał gazetę i ledwo spojrzał na Larę.

– Czy ktoś dał ci herbatę? – spytała wesoło.

– Ostatnio nie. – Twarz policjanta pojaśniała. – Będę wdzięczny.

– Dwie minuty! – rzuciła, obdarzając go specjalnym uśmiechem, weszła do pokoju i zamknęła drzwi.

Znieruchomiała.

Patrzyła na niego.

Na człowieka, o którym myślała i za którego modliła się dzień i noc w ciągu minionych trzech lat. Timon. Cudowny Timon o łagodnym głosie i delikatnym dotyku. Patrzyła na opuchniętą, zniekształconą twarz, na przezroczyście rurki w nosie. Na całą baterię kroplówek podłączonych do wenflonu w nadgarstku

i przewody biegnące od elektrod na głowie do dużego urządzenia z dziesięcioma cyfrowymi czytnikami.

Lara podeszła do łóżka, patrząc na białą gazę na czole Timona, na zamknięte oczy ukochanego. Ścisnęła jego dłoń.

– Timonie – szepnęła. – Posłuchaj, muszę się spieszyć. Nie mam wiele czasu. To ja, Lara. Słyszysz mnie?

Z radością poczuła, jak ściska jej dłoń, jakby w odpowiedzi.

Potem otworzył oczy.

– Timonie! Timonie, moja miłości!

Przewrócił oczami, ale utracił funkcje motoryczne i nie potrafił już skupić wzroku.

– Posłuchaj – powiedziała. – Musisz o czymś wiedzieć. Masz syna, pięknego chłopca imieniem Saul. Naszego syna. – Łza popłynęła po policzku Lary. – Ma prawie dwa i pół roku. Będzie z ciebie taki dumny.

Uczeń otworzył szerzej oczy.

– Lara! – wymamrotał. – Lara!

Nerwowo zerknęła na drzwi, oswobodziła rękę, wbiła igłę w pieczęć fiolki i napełniła strzykawkę. Nie zwracała sobie głowy upewnianiem się, czy nie wprowadza do żyły powietrza. Uklękła i pocałowała Timona w czoło.

– Muszę to zrobić – szepnęła. – Tak mi przykro. Dla pewności, że przez pomyłkę nie powiesz czegoś ludziom tutaj. Rozumiesz, prawda?

Przewrócił oczami i przez ulotną chwilę Lara miała pewność, że spojrzał na nią i dał do zrozumienia, że rozumie.

Szybko znalazła żyłę, wbiła igłę i wepchnęła tłoczek strzykawki.

– Żegnaj – szepnęła, wysuwając igłę. – Żegnaj, mój słodki, łagodny Uczniu.

Wtedy drzwi się otworzyły.

Lara odwróciła się i ujrzała czterdziestokilkuletnią pielęgniarkę o surowej twarzy i czarnych kręconych włosach. Na plakietce widniało SIOSTRA EILEEN MORGAN.

– Kim jesteś? Co się dzieje? Co ty tu...

Lara dźgnęła kobietę strzykawką w szyję, wypadła z pokoju, zderzyła się z lekarzem w białym fartuchu, odepchnęła go, po czym, ignorując krzyki, pobiegła korytarzem, minęła stanowisko pielęgniarek i pognąła w dół schodami.

Nie odwracała się, tylko pędziła przed siebie, przeskakując po dwa, trzy stopnie.

Na parterze roztrąciła rodzinę z małymi dziećmi, uskoczyła przed kobietą wiozącą na wózku książki z biblioteki, pchnęła drzwi z napisem WYJŚCIE AWARYJNE i natychmiast usłyszała alarm.

Po chwili biegła przez ulicę, szukając w kieszeni kluczyków do samochodu. Gdy do niego dotarła, obejrzała się i zobaczyła wpadającego na parking policjanta, który pilnował Timona.

Lara otworzyła samochód, wsiadła i drżącą dłonią dopiero przy trzeciej próbie uruchomiła silnik. Policjant stanął przed samochodem z uniesionymi dłońmi i krzyczał, żeby się zatrzymała.

Wcisnęła gaz do oporu i mężczyzna runął na maskę, uderzając twarzą o szybę i wyginając wycieraczkę.

Lara skręciła w prawo, potem w lewo, próbując go zrzucić. W końcu, gdy gwałtownie odbiła w prawo na ruchliwą ulicę, zobaczyła, jak policjant zsuwa się po lewej stronie i znika jej z oczu.

Z prawej zbliżał się autobus. Gdyby teraz skręciła, mogłaby się zmieścić na styk. Wcisnęła pedał gazu, przemknęła przez jezdnię, ostro skręciła w lewo, małym autem rzuciło, po czym zaczęła nabierać szybkości.

Prosto w ciężarówkę.

Ciężarówkę po niewłaściwej stronie szosy. Dupku. Ty dupku!

Ujrzała wyraz zaskoczenia na twarzy kierowcy.

Po chwili do niej dotarło. To nie ciężarówka znajdowała się po niewłaściwej stronie szosy, ale ona; zapomniała, że jest w Wielkiej Brytanii, gdzie jeździ się lewą.

Po chwili zderzak ciężarówki wbił się w przednią szybę.

O siedemnastej John i Naomi wracali w milczeniu z Instytutu Badawczego Morley Park, zatopieni w myślach. Renate Harrison prowadziła.

Komórka detektyw Harrison zadzwoniła. Po unizonym tonie Renate można było poznać, że rozmawia z przełożonym.

To bardzo miłe ze strony Reggiego Chetwynde-Cunninghama, że zrezygnował z weekendu, pomyślała Naomi. Dziś po południu zatrudnił cały zespół kryptologów do pracy nad złamaniem szyfrów w obu komputerach; zapewnił przy tym, że w razie potrzeby każe ludziom pracować całą noc.

Renate Harrison zakończyła rozmowę i odłożyła telefon.

– Dzwonił inspektor Pelham. Ma nowe wiadomości – oznajmiła posępnie. – Chce, żebym natychmiast was do niego zawiozła.

– Jakie... jakie wiadomości – spytała Naomi, czując, jak przeszywa ją lęk.

– Nie podał szczegółów.

Siedząca z tyłu Naomi spojrzała na Renate w lusterku. Co kilka sekund padały na nie światła nadjeżdżającego samochodu. Policjantka najwyraźniej nie mówiła prawdy.

Czy właśnie tych złych wieści oczekiwali? Że ich dzieci znaleziono martwe? Zamordowane przez pedofilów lub Uczniów czy kto tam je porwał?

John siedział z przodu obok kierowcy. Naomi położyła mu dłoń na ramieniu.

– Myślisz, że ten Reggie zdoła złamać szyfry?

John odwrócił głowę i delikatnie położył dłoń na palcach żony.

– Robi, co w jego mocy, kochanie.

– Wiem, ale czy je złamie?

Milczał, zastanawiając się nad odpowiedzią. Dobrze wiedział, że niektóre współczesne szyfry są praktycznie niemożliwe do złamania.

– Jeśli ktokolwiek może to zrobić, to właśnie on.

– Inaczej mówiąc: jeśli on ich nie złamie, nikt tego nie zrobi, tak? – spytała.

W odpowiedzi splótł palce z palcami żony.

Naomi przypomniała sobie słowa, które kiedyś często słyszała z jego ust.

Miłość to coś więcej niż więź między dwojgiem ludzi. Jest kręgiem, który tworzysz wokół siebie, chroniącym cię przed wszystkimi przeciwnościami.

Ich splecione palce wyznaczały ten krąg. Ona i John byli tym kręgiem. Tylko że w środku powinno się mieć całą rodzinę. Czy nie na tym to polegało?

...

Kiedy kilka minut po szóstej dotarli do gabinetu inspektora Pelhama, siedział z nim wysoki sztywny sierżant Tom Humbolt, który poprzedniego dnia ich przesłuchiwał. Humbolt, równie elegancki jak wczoraj, miał na sobie garnitur z wielbłądziej wełny i krzykliwy krawat; twarz rozjaśniał mu ciepły uśmiech. Pelham wyglądał na zatroskanego.

Usiedli przy okrągłym stole.

– Pani Klaesson, panie Klaesson, chcemy, żebyście byli na bieżąco – zaczął inspektor bez ogródek. – Dziś w szpitalu hrabstwa Sussex o piętnastej trzydzieści kobieta przebrana za pielęgniarkę weszła do pokoju człowieka, którego znaleźliśmy jako Bruce’a Prestona, i podała mu śmiertelny zastrzyk. Lekarze, niestety, nie zdołali go uratować.

John patrzył na Pelhama w milczeniu, z trudem przyswajając sobie znaczenie słów. Zszokowana Naomi otworzyła szeroko oczy.

– Kobieta dźgnęła pielęgniarkę, choć nie śmiertelnie – przejął pałeczkę Humbolt. – Następnie wjechała samochodem na policjanta pilnującego Prestona, ciężko go raniąc, a później zginęła w zderzeniu czołowym z ciężarówką. Najwyraźniej znajdowała się po niewłaściwej stronie drogi.

– Popęłniła samobójstwo? – spytała Naomi niewiele głośniej od szeptu.

– Kim... była... ta... kobieta? – Głos zamarł Johnowi w ustach.

– Odpowiada fotografii, którą znaleźliśmy w portfelu Prestona, tej, którą wam pokazaliśmy.

– To musi być Lara. Wypowiadał wielokrotnie jej imię – powiedział John.

– Nic o niej nie wiemy, nie wiemy też, co ich łączyło – przyznał Humbolt.

– Podróżowała z amerykańskim paszportem wystawionym na Charlotte Feynman – dodał Pelham. – FBI powiadomiło nas, że taki numer paszportu miała dwudziestosiedmioletnia kobieta o tym nazwisku, która osiemnaście lat wcześniej zmarła na zapalenie opon mózgowych w Columbus w stanie Ohio.

Przerwał, by słuchacze mogli przetrawić informacje, po czym mówił dalej:

– Teraz powiem wam coś w ścisłej tajemnicy. Nie wolno tego powtarzać dziennikarzom ani nikomu innemu. Jasne?

John i Naomi skinęli głowami.

– W bagażniku tej kobiety znaleźliśmy jej torebkę z trzema interesującymi rzeczami. Odcinek karty pokładowej z dzisiejszego lotu z Aten do Londynu; rachunek, najwyraźniej z baru, choć jeszcze go nie namierzyliśmy, w każdym razie wczoraj zapłaciła za coś w euro. Najbardziej pomocny może się okazać kwit z przechowalni bagażu na lotnisku w Atenach, wystawiony dziś o szóstej piętnaście. Kopię kwitu kazałem przefaksować do ateńskiej policji z prośbą, by otworzyli skrytkę

i powiadomili nas o zawartości. Podczas współpracy z grecką policją zawsze ma się do czynienia z biurokracją, więc jeśli nie zaczną natychmiast współpracować, jeden z moich ludzi poleci tam dziś w nocy z oryginalnym kwitem.

– Zabiła go? – powtórzyła Naomi. – Weszła do pokoju i go zabiła?

– Musimy poczekać na sekcję zwłok, ale na to wygląda.

– Czy nikt go nie pilnował?

– Pilnował. – Inspektor przepaszająco wzruszył ramionami. – Jeśli chodzi o inne postępy w śledztwie, nasza ekipa zakończyła sprawdzanie waszego domu i jego okolic.

– I co znaleźli? – spytał John.

– Na razie bardzo niewiele. Ślady stóp. Niedopałek papierosa na szkolnym parkingu, odesłano go na badania DNA. Co do prywatnego odrzutowca, to nasi koledzy z Francji sprawdzili wszystkie krajowe i międzynarodowe lotniska w zasięgu samolotu, lecz nic nie znaleźli. Próbuje zdobyć informacje o właścicielu odrzutowca, ale najwyraźniej w grę wchodzi cały szereg firm, w tym kilka w Panamie. Ktoś zadał sobie wiele trudu, by ukryć tożsamość właściciela.

– Wiem, że stale o to pytam, ale sądzicie, że może chodzić o grupę pedofilską? – spytała Naomi, patrząc to na Humbolta, to na Pelhama. Twarze policjantów nic nie zdradzały.

– W tej chwili dopuszczamy wszystkie ewentualności, pani Klaesson – oświadczył Pelham. – Jeśli jednak w jakikolwiek sposób panią to pocieszy, wydaje mi się, że sposób zaplanowania ucieczki, użycie odrzutowca... wszystko to jest zbyt wyrafinowane jak na grupy pedofilskie, z którymi mieliśmy dotąd do czynienia.

– A co z Uczniami Trzeciego Tysiąclecia? – spytał John.

Pelham zerknął na sierżanta, potem na małżonków.

– Ludzie z FBI twierdzą, że mogą być bliscy przełomu.

– Jakiego przełomu? – spytała z nadzieją Naomi.

– Nie chcą nam tego zdradzić.

– Świetnie – mruknęła z goryczą.

– Jedna rzecz nie jest dla mnie jasna – odezwał się John. – Skąd pewność, że przez kanał przewieziono właśnie Luke’a i Phoebe, że to oni wsiedli do samolotu. Najwyraźniej nie macie wątpliwości.

– Dzisiaj pojechałem do Folkestone i rozmawiałem z urzędnikiem imigracyjnym, który twierdzi, że ich widział – powiedział Humbolt. – Mówił, że trochę się przekomarzał z pasażerami samochodu. Podróżowali z amerykańskimi paszportami i twierdzili, że spędzają wakacje w Europie. Urzędnik skomentował, że skoro mają dzieci na tylnym siedzeniu, to pewnie nie zabrali zbyt wiele bagaży, bo w bagażniku tego sportowego samochodu właściwie nic się nie mieści. Mężczyzna, którego uznał za ojca, zażartował, że samochód jeździ bardzo szybko, więc wszędzie mogą dotrzeć niezwłocznie i potrzebują mniej bagaży.

– Nie nabrał podejrzeń? – spytał John.

– Przyznał się, że później coś mu się nie zgadzało, ale nie potrafił określić dokładnie co – odparł Humbolt.

– I dobrze im się przyjrzał? – dopytywała się Naomi.

– Urzędnik twierdzi, że to na sto procent były wasze dzieci.

– Powiedział coś? W jakim były stanie? Zaniepokojone? Zmartwione? Smutne?

– Nic nie powiedział.

– Co za matoł! – rzuciła Naomi. – Nabiera podejrzeń, ale nie kiwnie palcem? To po co tam sterczy, do cholery?

Przy stole zapadło milczenie.

– W zaistniałej sytuacji myślę, że wasz powrót do domu byłby teraz niewskazany, przynajmniej dopóki nie ustalimy tożsamości kobiety, która zabiła Bruce’a Prestona – powiedział Pelham. – Jeśli pozwolicie, przeniosę was w bezpieczne miejsce, gdzie policja zapewni wam ochronę. Mamy trochę pomieszczeń w siedzibie policji hrabstwa Sussex w Lewes. Nie ma tam, niestety, luksusów... pokój z prysznicem i telewizorem. Czułbym się jednak znacznie lepiej, gdybyście tam zamieszkali, dopóki nie upewnię się, że nic wam nie zagraża. Zgoda?

– Wszystko jedno – odparła Naomi.

Pelham wstał, podszedł do biurka, oparł się o nie i założył ręce za plecami.

– Chciałbym państwa o coś spytać i proszę o szczerą odpowiedź, bez względu na to, jak może być trudna. Dotychczas mówiliście mi prawdę, tak?

– Co pan ma na myśli, na Boga? – Naomi z trudem panowała nad gniewem.

– Nie odebraliście telefonu od porywaczy? Nie było żądań okupu? Nikt się z wami nie kontaktował?

– Absolutnie nie! – zapewnił John.

– Skąd pomyśl, że mogliśmy zataić przed panem takie informacje? – spytała Naomi.

– Z mojego doświadczenia wynika, i proszę nie brać tego do siebie, że ludzie w stresie, jak wy teraz, czasami tak właśnie postępują. Zrozumiałe i naturalne, że uczynicie wszystko, byle tylko odzyskać dzieci. Gdy porywacze mówią ludziom, by nie informowali policji, ci często słuchają poleceń. Musicie zrozumieć moją sytuację, tak jak ja muszę zrozumieć waszą.

Naomi zebrała myśli i odpowiedziała:

– Panie inspektorze, pańska sytuacja jest następująca: dziś, po skończonej pracy, wróci pan do swego życia. A ja, dopóki nie odzyskam dzieci, całych i zdrowych, nie mam własnego życia. Mój mąż też nie. Czy muszę wyrażać się jaśniej?

W pachnącym świeżą farbą pokoju w siedzibie policji hrabstwa Sussex panował wilgotny chłód typowy dla rzadko zamieszkiwanych pomieszczeń.

Naomi siedziała na jednym z podwójnych łóżek, obejmując się, żeby się rozgrzać, podczas gdy John majstrował przy elektrycznym grzejniku. Ściany pomalowano na żółto, w oknach wisiały tanie zasłony w kwiaty, do tego dwie reprodukcje – widok zamku w Lewes oraz rzeki Ouse – mała kanapa, stół i telewizor, który John włączył. Obok była niewielka łazienka.

Na korytarzu przed drzwiami pilnowało ich dwóch uzbrojonych policjantów. Naomi pomyślała, że ich obecność powinna sprawić, że poczuje się bezpieczniej, ale tak nie było. Czowała się tylko jeszcze bardziej oderwana od rzeczywistości.

Jej komórka zabrzęczała, informując, że są nowe wiadomości, więc je odsłuchiwała. Rosie. Matka. Siostra. Naomi zadzwoniła do domu i sprawdziła wiadomości zostawione w telefonie stacjonarnym. W sumie dwadzieścia. Kilka od znajomych i sąsiadów z Caibourne, parę od dziennikarzy oraz służbowych wiadomości dla Johna, które zanotowała na rachunku wygrzebanym z torebki.

– Już lepiej, zaczął grzać – oznajmił John.

Przeczytała mu wiadomości.

– To nic pilnego. Jutro się tym zajmę.

Jutro, pomyślała. Dzień jutrzejszy miał nadejść za milion lat. Dziś wieczorem Luke i Phoebe mogli żyć, ale jutro już nie. „Jutro” to luksus, którego nie mieli. Teraz, w tej minucie, inaczej się nie da.

– Zadzwońisz do Reggiego Chetwynde-Cunninghama i spytasz, czy zrobił jakieś postępy?

– Obiecał, że zadzwoni, jak tylko czegoś się dowie.

– Może nie mógł się dodzwonić.

– Kochanie, on ma numer twojej komórki i mojej.

Jeden ze strzegących ich policjantów, uzbrojony funkcjonariusz przed czterdziestką, przyniósł im na tacy kolację: lasagne, sałatkę, rabarbar z kruszonką i sosem waniliowym. Powiedział, że ma trójkę dzieci, więc wie, przez co muszą przechodzić.

Naomi z grzeczności nie oponowała i nie powiedziała, że nie może mieć o tym pojęcia. Pomyśl o najgorszej rzeczy, jaką możesz sobie wyobrazić, i pomnóż ją przez dziesięć miliardów. Nawet wtedy byłbyś daleko od stanu faktycznego.

Nieco później zadzwonił lekarz – wyjaśnił, że z polecenia inspektora Pelhama – z pytaniem, czy nie potrzebują środków uspokajających lub nasennych. Naomi uprzejmie odmówiła, wyjaśniając, że chce być w pełni przytomna, na wypadek gdyby coś się wydarzyło w nocy.

Każde wydanie wiadomości oglądali z prózną nadzieją, że dowiedzą się o postępie śledztwa, o jakim nie powiadomiła ich jeszcze policja. Zabójstwo mężczyzny w szpitalu. Śmierć tajemniczej kobiety z fałszywym amerykańskim paszportem. Spekulacje na temat grup pedofilskich. Kult Uczniów Trzeciego Tysiąclecia. Światowy handel małymi dziećmi do adopcji. Fragmenty apelu telewizyjnego, jaki John i Naomi wygłosili poprzedniego dnia. Zdjęcia Luke'a i Phoebe. Mało wnoszące oświadczenie inspektora Pelhama.

Między wiadomościami Naomi telefonowała do matki i siostry, John odpowiadał na maile, oglądali też *Milionerów*.

John usiłował się skoncentrować przynajmniej na jednym pytaniu z programu, ale momentalnie tonął znów we własnym świecie. Przytłaczało go potworne poczucie winy. Gdyby nie rozmawiał z tą dziennikarką, Sally Kimberly, nie wybuchłaby wokół nich wrzawa. Może nikt nie zwróciłby na nich uwagi.

Ktokolwiek uprowadził bliźniaki, bez względu na powód, John miał pewność, że po części ponosi winę.

Nie wiedział, co powiedzieć żonie, nie miał pojęcia, jak sobie radzić z całą sytuacją.

Po raz pierwszy w życiu nabrał przekonania, że gdyby umarł, poczułby błogosławną ulgę. Zresztą dostałby to, na co zasłużył. Przy życiu trzymała go tylko pewność, że musi zachować siłę dla Naomi i ponaglać policję.

– Myślisz, że kiedykolwiek ich znajdą? – spytała Naomi po dwudziestej drugiej.

– Na pewno.

– Żywych?

– Tak.

Wstała, podeszła do okna i wyjrzała w ciemność. Tylko ceglany mur bez okien w głębi podwórza.

– Nasze dzieci są zbyt bystre, zbyt inteligentne – powiedziała. – Ludzie, którzy sądzą, że porwali dwójkę ślicznych dzieci do wykorzystania, nie wiedzą, w co się wpakowali. Kiedy Luke i Phoebe domyślą się, że ludzie, z którymi tak radośnie odeszli w siną dal, to potwory, zaczną stawiać opór. Co wtedy zrobią te dupki? Co ty byś zrobił?

John podszedł do okna i objął żonę.

– Może bliźniaki są wystarczająco bystre, żeby uciec. Może właśnie teraz przydadzą im się atuty, w które je wyposażyliśmy.

– Naprawdę? – Podniosła na niego wzrok. – Skoro są takie mądre, to czemu w ogóle odeszły z obcymi ludźmi?

– Udało się wam zasnąć? – spytał Pelham Johna i Naomi.

– Dziękuję, odrobinę. – Z bolącą głową i opuchniętymi oczami Naomi spojrzała nad okrągłym stołem w gabinecie inspektora. Skóra opinała jej czaszkę, jakby się ściągnęła, powodując dyskomfort.

Pelhamowi towarzyszyli Tom Humbolt oraz szczupły przystojny Amerykanin w ciemnym garniturze, którego inspektor przedstawił jako agenta specjalnego Dana Norberta z FBI, pracującego w ambasadzie Stanów Zjednoczonych w Londynie.

– Dzięki, że przyszedł pan w niedzielę.

Agent strzelał słowami szybko jak karabin maszynowy; mówił z południowym akcentem, prawie nie poruszając ustami.

– Nie ma problemu. Ostro zajęliśmy się tą sprawą. Przykro mi z powodu waszych dzieciaków. Odzyskamy je, po to tu jesteśmy. Odzyskamy je najszybciej, jak się da.

Pewność agenta FBI roznieciła iskierkę nadziei w sercu Naomi.

– Co się wydarzyło? – spytała. – Jakiś postęp? Wiecie, gdzie są?

– Tak nam się wydaje – odparł Dan Norbert, a Pelham dodał:

– Woląłem nie czekać, aż greckie władze zabiorą się za otwieranie skrytki bagażowej na lotnisku w Atenach i posłałem tam człowieka. W skrytce znalazł torbę z pieniędzmi w kilku walutach, wizytówkę firmy taksówkowej w Salonikach i zaszyty na dnie paszport z prawdziwym nazwiskiem kobiety: Lara Gherardi. Coś wam to mówi?

– Nie – odparł John.

– Lara Gherardi? Nie. – Naomi pokręciła głową.

– FBI twierdzi, że trzy i pół roku temu jej rodzice z Chicago zgłosili zaginięcie córki, która, ich zdaniem, związała się z sektą religijną – powiedział Pelham. – W przeszłości miała problemy psychiczne, a jako nastolatka dwukrotnie uciekała do sekt. Wtedy kontaktowała się z rodziną, ale tym razem od trzech i pół roku nie dała znaku życia, jakby znikła z powierzchni ziemi.

– Jak pan sądzi, gdzie są nasze dzieci? – zwróciła się Naomi do agenta FBI. – Dowiedzieliście się czegoś o samolocie?

– Nie uzyskaliśmy jeszcze informacji o gulfstreamie, które mogłyby się nam do czegoś przydać, ale zamykamy śledztwo na innym odcinku. Człowiek, którego w piątek postrzelono na progu waszego domu, a wczoraj zamordowano, to, naszym zdaniem, Timon Cort należący do Uczniów Trzeciego Tysiąclecia.

– Oni naprawdę istnieją? – spytał John.

– Uczniowie? – Agent Norbert przekrzywił głowę. – Hm, radzę wam uwierzyć, że ta sekta istnieje. Jesteśmy niemal pewni, że zlokalizowaliśmy ich siedzibę. Od kilku miesięcy monitorujemy przez satelitę ich wszystkie sygnały elektroniczne, przechwytyjemy cyfrowe pakiety informacyjne. Od półtora roku śledziliśmy maile tego Timona Corta, wszystkie zaszyfrowane pokręconym językiem biblijnym. Połączyliśmy go ze stanem Iowa, gdzie zamordowano rodzinę, która odwiedziła klinikę doktora Dettorego, potem trop prowadził do Rochester w stanie Nowy Jork, gdzie zabito kolejną rodzinę, również klientów Dettorego. Później Timon Cort nam zniknął. Jak się okazało, przyleciał do Anglii i pojawił się na progu waszego domu.

– Kto do niego strzelał? – spytała Naomi drżącym głosem.

– Nie potrafię odpowiedzieć. W tych sektach spotyka się prawdziwych świrów. Na przykład dwa odłamy mogą się spierać o to, co robić dalej.

– I wiecie, gdzie oni są? – pytała Naomi.

– Dzięki kwitowi z przechowalni bagażu panny Gherardi. – Przez chwilę agent żuł gumę. – Nasi ludzie w Atenach dowiedzieli się od firmy taksówkowej, skąd zabrano wczoraj tę kobietę.

Timon Cort miał w portfelu jej zdjęcie. Przypuszczalnie wysłano ją, żeby go uciszyła, dlatego go zabiła, ale to nas nie interesuje. Absolutnym dowodem jest dla nas fakt, że istniał między nimi związek.

– Sądziłem, że Uczniowie zabijają ludzi, eliminują dzieci poczęte w klinice Dettorego – powiedział John. – Czemu mieliby je porywać?

– Najwyraźniej zmienili sposób działania. W minionym tygodniu w Stanach Zjednoczonych trzy małżeństwa, które też korzystały z usług Dettorego, zgłosiły zaginięcie swoich bliźniaków. Dzieci po prostu zniknęły, zostawiając jeszcze mniej tropów niż w waszym przypadku.

– Trzy pary bliźniaków? – powtórzył John. – Porwali sześćoro dzieci w ciągu tygodnia?

– Nie mamy dowodu, że tamci zostali porwani, ale to prawdopodobne. Dzieci znikły z radaru, rozplynęły się w powietrzu.

– Myślicie, że znajdują się w tym samym miejscu co Luke i Phoebe? – spytała Naomi.

– Wkrótce się dowiemy.

– Kiedy? – naciskała.

– Cóż, proszę pani, nasze komputery dostarczają kolejne tropy, dopinamy procedury zabezpieczające. Nie chcemy pozwolić, by te dranie mogły choćby pisnąć. Rozumie pani.

– Tak – odparła głucho, choć nie do końca rozumiała.

– Przykro mi, że musimy wracać do spraw, które w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin omawialiście już z obecnymi tu kolegami z brytyjskiej policji, ale muszę zacząć od początku.

– To żaden problem – zapewnił John. – Jesteśmy bardzo wdzięczni, że FBI włączyło się do śledztwa.

O piętnastej agent specjalny Norbert skończył zadawać pytania, a Pelham wyszedł z nim z gabinetu i odprowadził go do samochodu.

Czekając na powrót Pelhama, Naomi i John siedzieli w milczeniu. Całkowicie wyczerpana Naomi spojrzała na Toma Humbolta, którego twarz zdawała się pytać: „Dlaczego tacy ludzie jak agent specjalny Norbert traktują wszystkich, którzy nie należą do FBI, jakby wypadli sroce spod ogona?”.

– Trzy pary bliźniaków? – spytała Naomi. – Dlaczego mieliby je porywać?

– Może po to, by je chronić? – podsunął John.

– Albo zrobić im pranie mózgu? – dorzucił Humbolt.

– W każdym razie można się w tym dopatrywać czegoś pozytywnego – wtrąciła Renate Harrison. – Gdyby celem tych ludzi było wyrządzenie krzywdy Luke’owi i Phoebe oraz pozostałym dzieciom, to nie mieści mi się w głowie, żeby zadali sobie tyle trudu, by je porywać.

Gdy zadzwoniła jej komórka, odebrała i powiedziała po chwili:

– Jedną chwileczkę, proszę pana. Chciałabym, żeby wszyscy obecni usłyszeli, co chce pan powiedzieć. Możemy oddzwonić z telefonu konferencyjnego? Dziękuję. – Rozłączywszy się, zwróciła się do Johna i Naomi: – Profesor Chetwynde-Cunningham ma jakieś nowiny. Proponuję poczekać na powrót inspektora Pelhama.

Kilka minut później Renate Harrison zadzwoniła do profesora lingwistyki w Morley Park z telefonu konferencyjnego w kształcie rozgwiazdy.

– Profesorze, są tu ze mną państwo Klaessonowie, inspektor Pelham i sierżant Humbolt.

– Wybornie. Dzień dobry wszystkim – rozległ się znużony głos profesora.

Zebrani przy stole odwzajemnili słowa powitania i czekali.

– Niestety, nie mam dla was żadnych dobrych wiadomości – zaczął. – To dość rozczarowujące. Pracujemy na okrągło, ale nie widać żadnych postępów. John, wiesz pewnie po naszych rozmowach, że techniki szyfrowania w ostatnich latach znacznie posunęły się naprzód. W badania mające na celu stworzenie niemożliwych do złamania zabezpieczeń handlu internetowego inwestuje się ogromne pieniądze. Wiesz o tym, prawda?

– Jasne – odparł John.

– Teraz mamy do czynienia z czymś znacznie bardziej zaawansowanym niż szyfr, którym posługiwały się niedawno wasze bliźniaki, pisząc od końca i opuszczając co czwartą literę. Obawiam się, że nikt z nas nie zetknął się jeszcze z czymś podobnym. Nie da się tego odczytać za pomocą dostępnych narzędzi. Nie twierdzę, że pewnego dnia nie stanie się to możliwe, ale może to potrwać miesiąc, kilka miesięcy albo i dłużej. Bez odpowiednich kluczy w najbliższej przyszłości mamy związane ręce.

– Mówi inspektor Pelham – odezwał się policjant, wychylając się do przodu.

– Tak, witam.

– Czy jest pan gotów próbować dalej?

– Naturalnie, ale nie chcę składać żadnych obietnic. Musicie to zrozumieć.

– Doceniamy pańską szczerłość, profesorze.

– Jeśli państwo pozwolą, chciałbym wysłać kopie tych twardych dysków do jednego z moich dawnych kolegów z Rządowego Centrum Informacji w Cheltenham. Powiedział, że da swoim ludziom szansę.

Gdy John i Naomi dali znak, że się zgadzają, Pelham odparł:

– Ma pan zielone światło, by podejmować wszelkie próby, jakie uzna pan za stosowne.

– Dobrze. Chwilowo nie mam nic do dodania.

- Dziękujemy – powiedział Pelham.
- Dzięki, Reggie – dorzucił John.
- Mogę trochę pocieszyć ciebie i twoją żonę w tej okropnej sytuacji. Jeśli wasze dzieci są dość bystre, by posługiwać się tym szyfrem, z pewnością posiadają nadzwyczajną inteligencję.
- Co to dokładnie oznacza? – spytał John.
- To, że może ich strategię przetrwania są równie rozwinięte.
- Luke i Phoebe mają dopiero trzy lata, profesorce – przypomniała Naomi.
- Możliwe, ale pod względem inteligencji przewyższają wielu dorosłych.
- Rozumiemy, co chcesz powiedzieć – odezwał się John po dłuższym milczeniu. – Dzięki, Reggie. Dziękujemy za wszystko, co robisz ty i twój zespół.
- Będziemy w kontakcie.
- Po kolejnych podziękowaniach Pelham zakończył rozmowę.
- Chyba czas na przerwę – obwieścił. – Wszystkim nam przyda się trochę świeżego powietrza.

To była idealna noc. Na takie warunki mogliby czekać całymi tygodniami, nawet miesiącami. Po wyłączeniu silnika weszli w dryf, a kilka sekund później, dzięki zsynchronizowanym zegarkom, zgaszono silniki na pozostałych dwudziestu pontonach.

Nagła cisza. Tylko chlupot oceanu czarnego jak smoła, plusk wiosł, skrzypienie dulek, nerwowe oddechy, szelest grubego materiału.

Światła statków oddalonych o dwadzieścia kilometrów na południe zniknęły z pola widzenia. W ciemności na horyzoncie stały w dryfie dwa lotniskowce, jeden należący do greckiej marynarki wojennej, drugi pod banderą Stanów Zjednoczonych. Na pokładach obu okrętów czekały w pogotowiu helikoptery z załogami.

Po wyłączeniu urządzeń elektronicznych i zakazaniu wszelkich rozmów ludzie w pontonach wiosłowali ostatnie pięć kilometrów w całkowitym milczeniu.

...

O wpół do drugiej nad ranem Harald Gatward uklęknął przy łóżku i połączył się z Panem w modlitwie żarliwszej niż wszystkie, jakie zmawiał w minionych miesiącach.

Czuł, że w swoich modlitwach dotarł do ściany podobnej do tej, jaką napotykają maratończycy po pierwszych kilometrach, ściany bólu i rozpacz, którą należy przekroczyć, ponieważ jeśli

to zrobisz, jeśli sięgniesz do rezerw i zmusisz się do wysiłku, energia znów popłynie i wszystko stanie się prostsze.

To Szatan postawił przed nim tę ścianę, dlatego Gatward potrzebował Bożej pomocy, by ją przekroczyć.

Minionej nocy ojciec Yanni odwiedził go w celi i swoim mądrym, żalobnym głosem powiedział, że pozostali mnisi zauważyli, iż Amerykanin nie modli się ostatnio zbyt dobrze. Szczególnie w ostatnich dniach. Ojciec Yanni zastanawiał się, czy Amerykanin za czymś tęskni, a może trapią go wątpliwości?

– Człowiek wątpiący jest przeklęty, jeśli je, albowiem jedzenie nie wypływa wówczas z wiary. Wszystko, co nie wypływa z wiary, pochodzi od grzechu – odparł Harald Gatward.

Opat powiedział, że mnisi będą się modlić za jego wiarę, potem zmówił z Amerykaninem krótką modlitwę i wyszedł.

Gatward otworzył oczy i utkwiał wzrok w ciemności celi. Wkrótce rozlegnie się gong wzywający na jutrznię i mnisi zauważą jego strapioną twarz. Tego ranka lepiej będzie zostać w celi; musiał przemyśleć problemy, których nie mógł, nie śmiał omówić z opatem czy mnichami.

Timon Cort.

Lara Gherardi.

Co za ambaras!

Czy Timon Cort powiedział coś przed śmiercią? A Lara Gherardi? Czy znaleziono przy nich coś, co mogło naprowadzić nieprzyjaciół na trop?

Wysyłanie Lary było błędem; teraz gorzko tego żałował. To była dobra kobieta, a on uległ panice, nie przemyślał wszystkiego należycie, nie dał jej czasu na sporządzenie planu. Należało posłać kogoś bez emocjonalnych uwikłań. Miłość Lary do Ucznia negatywnie wpłynęła na jej ocenę sytuacji.

Przez pięć lat, dzięki drobiazgowemu planowaniu, dyscyplinie i rygorystycznym przestrzeganiu boskich zaleceń, żaden z Uczniów Haralda nie popełnił błędu. Teraz, w ciągu niespełna czterdziestu ośmiu godzin, dwoje Uczniów straciło życie.

Położył dłonie na twarzy i zaczął recytować Psalm 73.

– Gdy się trapiło moje serce, a w nerkach odczuwałem ból dotkliwy, byłem nierozumny i nie pojmowałem: byłem przed Tobą jak juczne zwierzę¹⁷.

Na dworze rozległ się stukot. Ciche łomotanie drewna o drewno przybierało na sile, rozbrzmiewało w szalonym crescendo, niosło się echem po wyłożonym kamiennymi płytami dziedzińcu, odbijało się od klasztornych murów.

Łoskot narastał.

Jakby drewniany gong dzwonił w jego czaszce.

Już idę, dobrze, tak, tak, na jutrznię, idę.

Jeszcze głośniej.

Drzwi celi otworzyły się gwałtownie. Zaskoczony, spojrział prosto w oślepiające białe światło. Po chwili usłyszał przenikliwy syk, poczuł kwaśną woń podobną do przeterminowanych perfum, jednocześnie spowiły go wilgotne, gryzące opary.

Jakby ktoś chlusnął mu w oczy kwasem. Krzycząc z bólu, mocno zamknął oczy, znów przycisnął dłonie do twarzy, ale czuł się tak, jakby oddychał ogniem.

Harald Gatward próbował sobie przypomnieć wojskowy dryl. Zachować spokój. Nie panikować. Przed podjęciem działania wszystko przemyśleć. Ale dusił się, paliło go we wnętrzościach, nosie, płucach. Próbował otworzyć piekące oczy, lecz widział tylko rozmazane oślepiające światło. Za wszelką cenę usiłował zebrać myśli i zrozumieć, co się dzieje.

Potknął się o stół i przewracając go, runął na podłogę; usłyszał głośny trzask – być może odgłos spadającego laptopa. Instynktownie zwinął się w kłębek i potoczył. Postaraj się, aby przeciwnik musiał sobie radzić z celem w ruchu.

Nagle o coś uderzył. Noga łóżka. Potem ściana. Znieruchomiał, zaniósł się duszącym kaszlem; oczy go piekły, z trudem chwycił powietrze.

Na dworze głosy, obce głosy. Łoskot ustał, a jego miejsce zajęły odgłosy kroków, cała kanonada nowych dźwięków. Gdzieś w dole rozległ się gniewny głos, chyba ojca Yanniego.

Gatward spróbował usiąść, zmusił się do otwarcia oczu i przez łyzy zobaczył niewyraźną sylwetkę stojącego nad nim człowieka.

Kaszel ustał, gryząca woń słabła, zaczerpnął powietrza, ale czuł się, jakby wsysał ogień do płuc, więc znów się rozkaszał.

– Kim... kim jesteś...? – wykrztusił. W panice mrugał, by odzyskać wzrok, ale daremnie.

– Gdzie są dzieci, skurwysynu? – usłyszał nieco przytłumiony głos z akcentem z Kansas.

Próbował się odezwać, ale przeszkodził mu kolejny atak kaszlu. Światło skierowane na jego twarz dodatkowo wzmacniało ból oczu, więc zakrył je dłońmi.

– POŁÓŻ RĘCE NA GŁOWIE, SKURWYSYNU, JEDNĄ NA DRUGĄ.

Harald Gatward zawahał się, ale spełnił polecenie. Kim, do diabła, jest ten człowiek? Ból w oczach, gardle i płucach był tak silny, że prawie nie obchodziło go, kim jest intruz; pragnął jedynie, aby ból ustał. Równie dobrze mógł teraz skonać.

– GDZIE SĄ DZIECI?

– Jakie dzieci? – wydyszał Gatward i znowu się rozkaszał.

– Chcesz nam utrudniać zadanie czy ułatwiać, gnoju? Bo jeśli będziesz utrudniać, sprawisz mi sporą frajdę. Gdzie są dzieci?

– Jakie dzieci? – powtórzył Gatward i potrząsnął głową, nic nie rozumując. Po chwili ktoś złapał go za ręce i wykręcił za plecami. Harald próbował stawiać opór, ale gdy tylko zaczerpnął powietrza, znów się rozkaszał. – Jaakedzici? – wykrztusił.

Coś metalowego zamknęło się na jego nadgarstku, potem na drugim. Kajdanki.

– Kiiimsteście?

– Agent specjalny Norbert, FBI. Towarzyszy mi grecka policja i żołnierze Stanów Zjednoczonych.

Powietrze w pokoju zaczynało się oczyszczać. Wyższy z mężczyzn zsunął maskę gazową, z wewnętrznej kieszeni wyjął dowód tożsamości i pokazał Gatwardowi, tak oszołomionemu gazem, że nie mógł dokładnie dostrzec dokumentu, a co dopiero cokolwiek przeczytać.

Agent specjalny Norbert, w wiatrówce, bojówkach i kominiarce, z pistoletem maszynowym HK MP5 pod pachą, oświadczył:

– Pułkownik Haraldzie Edgarze Gatward, aresztuję pana pod zarzutem zabójstw i porwań. Ma pan prawo zachować milczenie. Dzisiaj wróci pan z nami do Stanów Zjednoczonych. W tej chwili władze greckie wystawiają nakaz ekstradycji. Nie życzą sobie, żeby takie gówno jak pan zanieczyszczało ich kraj.

Stan płuc Haralda nieco się poprawił.

– Ocaliłem ich klasztor – powiedział posepnie.

– Ocaliłeś ich klasztor? Niezły dowcip! Dla kogo go ocaliłeś?

Gatward milczał.

– Dla dzieci? Ocaliłeś klasztor dla dzieci?

– Jakich dzieci?

Coś w tonie głosu Gatwarda sprawiło, że agent specjalny Norbert poczuł się nieswojo.

– Przykro mi – powiedział inspektor Pelham. – Miałem nadzieję, że przekażę państwu dobre wieści. Wiem, że to dla was duże rozczarowanie. Dla nas też.

W poniedziałkowy rano inspektor Pelham siedział przy okrągłym stole obok sierżanta Humbolta i Renate Harrison. Inspektor, podobnie jak pozostali, wyglądał na wycieńczonego.

John i Naomi wpatrywali się w niego oniemiałi.

– Chce pan powiedzieć, że to nie Uczniowie porwali nasze dzieci? – spytał w końcu John.

– Dziś we wczesnych godzinach rannych grecka policja, wspierana przez grecką marynarkę wojenną, amerykański oddział SEALs oraz brytyjski oddział SAS przypuścili szturm na siedzibę Uczniów Trzeciego Tysiąclecia. Godzinę temu agent Norbert powiedział mi przez telefon, że mają wszelkie podstawy, by sądzić, że pojмали przywódcę sekty oraz większość, jeśli nie wszystkich, członków. Znajdują się teraz w greckim areszcie, oczekując na wydanie zezwolenia na ekstradycję.

– Ale Luke’a i Phoebe z nimi nie ma? – spytała Naomi.

– Niestety, nie.

– Oni nie żyją, prawda? – Naomi objęła dłońmi głowę i załkała.

– Musieli ich zabić.

Przy stole zapadło długie, niezręczne milczenie.

– Niekoniecznie – odezwał się w końcu Tom Humbolt. – Widzicie...

– NIEKONIECZNIE??? – Naomi podniosła głos. – To wszystko, na co was stać? Niekoniecznie?

– Nie mamy powodu, by sądzić, że dzieciom stała się krzywda – powiedział Humbolt, unosząc ręce wielkie jak bochny.

– Nie? – pytała Naomi. – Bliźniaki porwano w środku nocy, dwie osoby nie żyją, a pan nie ma powodu, by sądzić, że stała się im krzywda? Na jakiej planecie pan żyje, sierżancie?

– Kochanie! – John objął żonę opiekuńczym gestem. – Wysłuchaj pana.

– Zamieniam się w słuch – szydziła Naomi. – Proszę powiedzieć, co o nich wiecie. Co wiecie o Uczniach?

– Na tym etapie niewiele więcej niż to, co piszą w gazetach.

– Albo niż to, co raczą wam powiedzieć Amerykanie?

– Wiemy, że jest to sekta religijna mająca na celu powstrzymanie postępu naukowego – odparł Pelham, ignorując przytyk. – Przywódca sekty wraz z czterdziestoma członkami znajdują się obecnie w areszcie.

– Wszyscy mieszkali na tej wyspie? – spytał John.

– Bardzo możliwe, że porywacze nie zdążyli dowieźć tam waszych dzieci przed atakiem i przetrzymują je gdzieś po drodze.

– I jak pan sądzi, co z nimi zrobią teraz, gdy organizację rozbito? Zabiorą do Disneylandu? – spytała Naomi.

– W chwili obecnej wszystkie zatrzymane osoby są przesłuchiwane. Mogę państwa zapewnić, że jeśli którykolwiek z Uczniów posiada informacje o dzieciach, policja je wyciśnie.

– Mam nadzieję, że te dranie zdechną na torturach – powiedziała Naomi.

Dwie godziny później w gabinecie Sheili Michaelides John trzymał żonę za rękę. Obok nich siedziała nieodstępująca ich ani na krok Renate Harrison w szykownym kostiumie i białej bluzce.

Naomi patrzyła w okno za plecami psycholog, przez które widać było otoczony murem ogród, podczas gdy policjantka relacjonowała najświeższe wydarzenia. Naomi zazdrościła doktor Michaelides spokoju i opanowania.

– Bardzo mi przykro – powiedziała doktor, gdy Renate Harrison skończyła. – W sobotę po południu spotkałam się z dwoma policjantami, którym przekazałam wszystko, co mogłam.

Jej głowa wystawała z puchatego swetra z kaszmiru. Sam sweter wyglądał świeżo, czego nie dało się powiedzieć o doktor Michaelides. Naomi jeszcze nigdy nie widziała na jej twarzy tak grubej warstwy makijażu; oczy miała podkrążone. Nawet włosy jej oklapły i straciły blask.

– Miała pani nawiązać kontakt z innymi rodzicami, poza Anglią – przypomniał John. – Udało się pani?

– Owszem... – Sheila Michaelides spojrzała na ekran komputera. – Od wczorajszego ranka napływają maile. Dzieje się coś, czego nie umiem wyjaśnić. Może pani potrafi? – zwróciła się do Renate Harrison.

– Co mam wyjaśnić? – spytała policjantka.

– W ciągu ostatnich pięciu dni siedem par bliźniąt poczętych w klinice Dettorego rozplynęło się w powietrzu.

– Siedem? – wykrzyknął John.

– Czekam na potwierdzenie w sprawie bliźniaków z Dubaju. Liczba par może wzrosnąć do ośmiu, a podejrzewam, że usłyszymy o następnych.

Naomi odwróciła się na krześle, by zwrócić się do policjantki:

– Wczoraj inspektor Pelham mówił o trzech parach bliźniaków. Jak to możliwe, że teraz słyszymy o siedmiu, ośmiu?

– Mówi pani, że zniknęły, ale przecież ktoś musiał coś zauważyć – powiedział John.

– Najwyraźniej nie.

– Wszystkie bliźniaki były w tym samym wieku? – indagował John.

– Miały od trzech do pięciu lat.

– Czy ja i moja żona jesteśmy jedynymi ludźmi, którzy dysponują jakimikolwiek dowodami na zniknięcie dzieci? – pytał dalej.

– Choć trudno w to uwierzyć, na to wygląda. Rozmawiałam przez telefon z pięcioma parami rodziców. Przez pół nocy konwersowałam z ludźmi z różnych stref czasowych, ale w każdym przypadku usłyszałam, że dzieci po prostu znikły. Ani jedna kamera nie zarejestrowała choćby śladu.

– Dlaczego my? – spytała Naomi. – To znaczy, dlaczego tylko my mamy dowody, a pozostali nie?

– W innych przypadkach najwyraźniej nie doszło do przemocy – powiedziała Sheila Michaelides.

– Kim więc byli ci ludzie, którzy zastrzelili Ucznia na progu naszego domu i zabrali Luke'a i Phoebe? Dobry Samarytanin i jego najlepszy przyjaciel? – Naomi dała upust frustracji. – Przypadkiem przechadzali się po polach, uzbrojeni i w goglach z noktowizorem?

W gabinecie zapadło niezręczne milczenie. Najwyraźniej nikt nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Naomi, mam nadzieję, że dziś porozmawiam jeszcze z rodzicami zaginionych dzieci – odezwała się w końcu psycholog. – Nie wierzę w przypadek, musi występować pewien wspólny czynnik. Coś na pewno wyjdzie na jaw.

– Czy moglibyśmy sami pomówić z tymi rodzicami? – spytał John.

– Jeśli się zgodzą, możecie dołączyć do rozmowy – odparła doktor Michaelides, spojrziała na Renate Harrison, a ta skinęła głową na znak, że się zgadza. – Myślę, że to bardzo dobry pomysł. – Ponownie spojrzawszy na policjantkę, dodała: – Jak pani myśli, co teraz zrobią pani amerykańscy koledzy?

– Według mnie, w tej chwili są równie zaskoczeni jak my – odparła Renate Harrison.

...

Renate Harrison przejechała przez Caibourne i skręciła w połą drogę. Od wyjścia z gabinetu doktor Michaelides John i Naomi wypowiedzieli zaledwie kilka słów. Oboje zamknęli się jak w skorupach, zatopili się w rozmyślaniach, usilnie starając się pojąć sens tego, co usłyszeli. Daremnie.

Inspektor Pelham pozwolił im wrócić do domu, ale zasugerował, by Harrison została z nimi przez kilka dni; w nocy miała ją zmieniać koleżanka. Wokół domu rozmieszczono patrole. Państwo Klaessonowie mieli być pilnowani przez możliwie największe siły policyjne.

Gdy skręcili w prawo na podjazd, Naomi poczuła ucisk w gardle. Oto zbliżali się do domu.

Był piękny dzień, kropelki rosy na trawie migotały w słońcu. Ledwo zwracała na to uwagę. Ledwo zwróciła uwagę na nieoznakowany samochód policyjny w kolorze kasztanowym zaparkowany na podjeździe obok jej subaru i saaba Johna; prawie nie zarejestrowała siedzącego w aucie policjanta w za dużym mundurze.

Gdy John pchnął drzwi, na posadzkę holu zsunęły się listy i gazety. Naomi spojrziała na zegarek.

– Dochodzi trzynasta, czas na lunch – powiedziała, jakby sterowana autopilotem. – Chyba... chyba coś przygotuję.

– Chcesz, żebym się tym zajęła? – zaproponowała Renate Harrison. – Może pokażesz mi, gdzie co jest, i powiecie, na co macie ochotę?

John postawił na podłodze torbę i laptop, po czym zebrał korespondencję i gazety, oddzielając listy zaadresowane do niego i Naomi od tych, które przysłano właścicielom domu. Te ostatnie odkładał na bok. Następnie udał się do swojego gabinetu, postawił komputer na biurku i wyszedł, by z bagażnika samochodu wyjąć komputer bliźniaków.

Po powrocie do pokoju zalogował się do swojego i zobaczył, że dostał sześćdziesiąt dwa maile. Ze znużeniem usiadł i zaczął je przeglądać.

Nagle zamarł.

Pochylony, z dłońmi nad klawiaturą, wpatrywał się w ekran, z trudem wierząc własnym oczom.

Przed sobą miał wiadomość od Luke'a i Phoebe.

116

Od: Luke i Phoebe Klaesson

Temat: Bezpieczeństwo

Drodzy Rodzice!

Nie martwcie się o nasz los.

Jesteśmy tutaj, uważamy bowiem, że nie jesteście w stanie zapewnić nam należytej ochrony przed Uczniami Trzeciego Tysiąclecia i innymi fanatykami.

A także dlatego, że nie umiecie zapewnić nam niezbędnych bodźców do nauki i rozwoju. Wiemy, że próbowaliście, i jesteśmy wam za to wdzięczni.

Nie marnujcie sił na próby namierzenia źródła tego maila – każdy komputerowiec powie wam, że zajęłoby to wiele lat. Po raz pierwszy w życiu jesteśmy bezpieczni, szczęśliwi, mamy się dobrze; nic więcej nie musicie wiedzieć.

Nie zdołacie odpowiedzieć na ten mail. Jeśli chcecie się z nami spotkać, zgodzimy się na jedną wizytę, uważamy bowiem, że jako nasi biologiczni rodzice macie do tego prawo. Wiemy, że może trudno wam w to uwierzyć, ale kochamy was, jednak na swój sposób, którego nie rozumiecie.

Na dzisiejszy lot 275 liniami Alitalia do Rzymu – odlot z londyńskiego Heathrow o 18.10 – zarezerwowano dwa miejsca. W Rzymie pojedziecie taksówką do hotelu „Anglo Americano” i w zarezerwowanym dla was pokoju poczekacie na dalsze instrukcje. Przyjedźcie sami, nie zabierajcie aparatu fotograficznego. Jeśli ktoś wam będzie towarzyszył albo jeśli będziecie śledzeni, w Rzymie nie otrzymacie żadnych dalszych instrukcji.

Na dowód, że mamy się dobrze, dołączamy krótkie nagranie wideo.

Wasze dzieci,

Luke & Phoebe

Na ekranie komputera w pokoju w siedzibie policji hrabstwa Sussex widać było Luke'a i Phoebe. Stali, obejmując się. Znajdowali się chyba w małym pokoju, a szare tło nie pozwalało na snucie domysłów co do lokalizacji. Luke miał na sobie sweter, dżinsy i tenisówki; Phoebe – ciemnofioletowy dres i tenisówki. Obok bliźniaków stał telewizor, emitujący poranne wiadomości CNN z tego dnia.

Naomi musiała przyznać, że dzieci sprawiają wrażenie szczęśliwych i rozluźnionych.

– Dzień dobry, rodzice – powiedział Luke. – Widzicie, mamy się dobrze!

– Dzień dobry, rodzice – powiedziała Phoebe. – Właściwie jest świetnie!

Nagranie zakończyło się stop-klatką. Naomi wpatrywała się w monitor przez łzy. Moje dzieci, myślała. Luke, Phoebe, moje dzieci. Potem zamknęła oczy, bo widok bliźniaków stał się nie do zniesienia.

Boże, błagam, pozwól mi się obudzić. Chcę się przekonać, że to był tylko koszmar senny.

Oprócz Johna i Naomi przy okrągłym stole siedzieli Pelham, Humbolt, Renate Harrison oraz spec komputerowy imieniem Cliff.

– Jakie są szanse namierzenia tego maila? – zapytał inspektor.

Cliff, w ubraniu równie utyłanym i pogniecionym jak wcześniej, o czternastej trzydzieści w poniedziałek wyglądał na nie mniej znużonego niż o dziesiątej w niedzielę. Odgarnąwszy włosy do tyłu, odparł:

– Chodzi o to, że jeśli chcesz wysłać anonimowy e-mail i znasz się na rzeczy, e-mail będzie anonimowy. Zero problemu.

– Możesz nam to wyjaśnić? – poprosił Tom Humbolt.

Komputerowiec zaśmiał się nerwowo i mrugając, utkwiał wzrok w blacie stołu.

– Istnieje kilka sposobów – zaczął. – Najczęściej anonimowy mail przesyła się z serwera do serwera po całym świecie, a odpowiedni program pozwala na zacieranie śladów. Jeśli słusznie się domyślam, jaką metodę tu zastosowano... a ja tak bym właśnie zrobił... musielibyście wysłać mnie dookoła świata i tropić ślady maila na wszystkich serwerach, przez które przeszedł.

– Ile czasu by to trwało? – spytała Naomi.

– Zakładając, że zdołalibyśmy odszukać wszystkie serwery, kurczę, sam nie wiem. – Kolejny nerwowy chichot. – Kilka miesięcy. – Potem znów zamrugał, utkwiał wzrok w blacie i spytał: – Nie takiej odpowiedzi oczekiwaliście, prawda?

Pelham nachylił się, oparł łokcie na stole i złożył przed sobą ręce, stykając opuszki palców. Oparłszy podbródek na dłoniach, spytał Humbolta:

– Ludzie z laboratorium mają kopię tego nagrania?

– Tak. – Sierżant kierował swą odpowiedź w dużej mierze do Johna i Naomi. – Laboranci pracują nad głosem w nadziei na to, że wychwycą odgłosy z tła, które pozwolą ustalić, gdzie oni są.

John zerknął na zegarek i pochwycił spojrzenie żony. Wkrótce musieli ruszyć na lotnisko.

– Naprawdę uważam, że ktoś powinien wam dyskretnie towarzyszyć – powiedział Pelham.

– Czytał pan instrukcje, inspektorze – odparła Naomi, zdecydowanie kręcąc głową. – Nie możemy ryzykować.

– Nie dali nam zbyt wiele czasu, prawda? – zauważył John.

– Celowo – odparł Pelham. – Ledwie zdążymy cokolwiek przygotować. Dobrze, skoro nie posyłamy nikogo z wami, musimy współpracować z włoską policją.

– NIE! – zaprotestowała gwałtownie Naomi. – Musicie pozwolić nam postępować tak, jak to opisały bliźniaki.

– Pani Klaesson, proszę zrozumieć jedną rzecz. Nigdy nie uginamy się przed żądaniem porywaczy.

– Jakimi żądaniem? Przecież oni niczego się nie domagają. Piszą: jeżeli chcemy się z nimi spotkać. Co to niby za żądanie?

– Kimkolwiek są ludzie, którzy uprowadzili pani dzieci, najwyraźniej są dobrze zorganizowanymi profesjonalistami. Jeśli bez odpowiedniego wsparcia policyjnego zrobi pani to, o co proszą, podejmie pani ryzyko nie do przyjęcia.

– Moje dzieci stoją na pierwszym miejscu – odpowiedziała. – Nie dbam o to, jakie ryzyko muszę podjąć, aby je odzyskać. Z całym szacunkiem, śmiem twierdzić, że gdybyśmy nie zrobili tego, o co proszą w mailu, to wtedy podjęlibyśmy ryzyko nie do przyjęcia.

Samolot podchodził do lądowania. Stolik przed Naomi wciąż był opuszczony. Ściskając w dłoni butelkę po wodzie mineralnej, zamknęła oczy z powodu bólu głowy, którego dwa paracetamole nie uśmierzyły.

John trzymał przed sobą otwarte czasopismo naukowe, ale od godziny nie przewrócił kartki. Jak mogli się skoncentrować na czymkolwiek?

Przechodząca szybko stewardesa zabrała pustą butelkę i zamknęła stolik. Kilka minut później samolot wylądował. Silniki z rykiem przeszły na ciąg wsteczny. Naomi poczuła, jak pas bezpieczeństwa wpija się w nią, po czym samolot zwolnił.

– Wszystko w porządku, kochanie? – spytał John.

Z trudem zdobyła się na łzawy uśmiech. W pokoju hotelowym w tym mieście mieli otrzymać instrukcje. Znowu spotkają się z Lukiem i Phoebe. Miała nadzieję, że wszyscy wrócą do domu i cały koszmar odejdzie w przeszłość.

Wkrótce weszli do rojnego nowoczesnego lobby hotelowego w starym budynku. Minąwszy horde japońskich turystów, których przewodnik kierował do autokaru, podeszli do recepcji. John wypełnił dokumenty, wręczył paszporty oraz kartę kredytową, zrezygnował z pomocy we wnoszeniu bagażu składającego się z torebki Naomi, niewielkiej torby podróżnej i jego laptopa.

Recepcjonista nosił plakietkę z imieniem VITTORIO.

– Łatwy lot, dobrze, tak, bardzo dobrze? – Olśnił ich uśmiechem, którego nie docenili, wręczył karty magnetyczne do drzwi oraz klucz do barku.

– Czy są dla nas jakieś wiadomości albo maile? – spytała Naomi, lustrując wzrokiem twarze ludzi w lobby. Zastanawiała się, czy jest wśród nich osoba, która miała się z nimi skontaktować.

– Chwileczkę, tak? Zaraz sprawdzę. – Recepcjonista odwrócił się i spojrzał na przegródki, potem postukał w klawiaturę komputera.

– Doktor i pani Klajssion, nie ma maili, nie ma wiadomości. Jak coś przyjdzie, nie martwić się, prosto do państwa pokoju. Miłego pobytu w Roma!

Pokój był wąski i ponury; nawet ze wszystkimi zapalonymi światłami sprawiał wrażenie ciemnego. Naomi usiadła na łóżku i spojrzała na zegarek. Wpół do jedenastej według czasu włoskiego, wpół do dziesiątej w Anglii.

– Naprawdę myślisz, że skontaktują się z nami, John?

– Tak.

– Czemu jeszcze tego nie zrobili? Dlaczego nie ma żadnych wiadomości?

– Kochanie, oni, kimkolwiek są, na pewno wiedzą, że dopiero dotarliśmy na miejsce. Daj im czas.

– Inspektor Pelham powiadomił włoską policję, prawda? Założę się, że to zrobił.

– Obiecał tego nie robić, pod warunkiem że do północy napiszemy mu w mailu, że wszystko jest w porządku.

– Nie wierzę mu. Według mnie, porozumiał się z włoską policją i dlatego nie dostaniemy żadnych wieści od Luke’a i Phoebe czy od ludzi, którzy ich uprowadzili. Przez Pelhama wszystko się schrzało.

– Daj im czas. – John podszedł do okna. Wielkie, ciężkie, stare okno wykuszowe z podwójnymi szybami wychodziło na ruchliwą ulicę. Otworzywszy zasuwę, pchnął do góry dolną połowę okna. Natychmiast owiało go chłodne nocne powietrze; usłyszał warkot skuterów i motocykli, ryk silników samochodowych, kakofonię klaksonów, niekończącą się szaloną symfonię rzymskiego wieczoru.

Pozwolił, by okno opadło, postawił laptop na stoliku i włączył go. Po paru nieudanych próbach zdołał się zalogować.

W skrzynce czekało na niego dwadzieścia siedem nowych maili. Przejrzawszy je, poczuł nagłe podniecenie i otworzył dziewiąty.

– Chodź tu, kochanie – powiedział.

Od: Luke i Phoebe Klaesson

Temat: Podróż

Drodzy Rodzice,

macie zarezerwowane miejsca w samolocie linii Alitalia do Dubaju w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, lot 1050, odlot jutro o 13.45. Bilety odbierzcie przy stanowisku linii Alitalia w terminalu odlotów. W hali przylotów w Dubaju będzie na was czekał kierowca.

Wcześniejsze ostrzeżenia pozostają w mocy.

Wasze dzieci,

Luke & Phoebe

– Co takiego jest w Dubaju? – spytała Naomi.

– Wiem dokładnie tyle co ty, kochanie. Zresztą to może nie być nasz ostateczny cel podróży.

– Skoro ma na nas czekać samochód, to raczej jest.

Zapisał informacje na kartce z hotelowego notesu, otworzył poprzedni mail od bliźniaków i ponownie puścił film.

Patrząc na dzieci na ekranie, Naomi położyła rękę na ramieniu męża.

– Wiem, że nie spełniły naszych marzeń, wiem, że nie są doskonałe, ale nie mam pojęcia, jak sobie poradzę, jeśli coś im się stanie. Uważasz, że ciągle żyją, prawda?

– Zdecydowanie tak – odparł, usiłując ukryć przed żoną wątpliwości.

Muszą żyć, pomyślał. Na tym nagraniu z wiadomościami CNN z dzisiejszego ranka jeszcze żyły. Bez względu na to, kto je zabrał, niezależnie od powodu, w tej chwili dzieci na pewno żyją, a my możemy tylko spełniać polecenia. I nie tracić nadziei.

Chcąc uwolnić się od inspektora Pelhama i nie dopuścić, by w sprawę wmieszała się włoska policja, wysłał mu maila.

Luke i Phoebe skontaktowali się z nami. Poinformowali nas, że będziemy obserwowani przez dwadzieścia cztery godziny. Mamy czekać na dalsze instrukcje w tym hotelu.

Dwadzieścia minut później, gdy znów sprawdził pocztę, przeczytał odpowiedź Pelhama.

Wstrzymam się z powiadomieniem włoskiej policji, pod warunkiem że do jutra, do godziny piętnastej naszego czasu, otrzymam wiadomość, że oboje jesteście bezpieczni.

John wylogował się, zadzwonił do recepcji i zamówił taksówkę na siódmą rano.

Kiedy John i Naomi przeszli odprawę celną i znaleźli się w ogromnej klimatyzowanej hali przylotów, przywitał ich milion tabliczek w języku arabskim i angielskim, trzymanyh przez tabun przepychających się ludzi. Część z nich reklamowała hotele, inne firmy wynajmu samochodów. Klaessonowie rozglądali się coraz niespokojniej: AVIS, HILTON, HERTZ, NOUJAIM, THOMAS COOK, DR HAUPTMAN. W końcu dostrzegli.

KLAESSON.

Niski mężczyzna o bliskowschodniej urodzie, w szarym garniturze z plamami potu pod pachami, taniej białej koszuli i prostym czarnym krawacie, powitał ich wylewnie kiepską angielszczyzną.

– Ja Elias. Przyjść was zawieźć. – Mimo protestów wziął od Johna torbę podróżną i laptop, po czym poprowadził ich przez tłum. Oblepiło ich lepkie powietrze ciepłego wieczoru.

O dziewiętnastej było już prawie całkiem ciemno. Gdy szli za kierowcą przez parking do białego mercedesa pod parkometrem, na niebie widniało zaledwie kilka krwistoczerwonych smug.

– Dokąd nas zabierasz? – spytał John.

Elias odwrócił się, wyszczerzył zęby w uśmiechu jak niedorozwinięty i odparł:

– Ja przykro, niedobry angielski, przykro, tak przykro!

Włożył torbę i laptop do bagażnika i obiegnął samochód, by kolejno otworzyć drzwi, najpierw dla Naomi, potem dla Johna. Pięć minut później wyjechali z lotniska i włączyli się w gęsty ruch na szerokim bulwarze, przy którym stały nowoczesne hotele przypominające Johnowi okolicę lotniska LAX w Los Angeles.

Pochylając się do przodu, raz jeszcze spróbował wyciągnąć coś od kierowcy.

– Dokąd jedziemy?

Wzbudzając niepokój pasażerów, Elias uniósł obie dłonie, okręcił się na siedzeniu przykrytym pokrowcem z koralików i zwrócił się do Johna:

– Nie-kładnie!

Odetchnęli z ulgą, gdy Elias odwrócił się znowu i położył dłonie na kierownicy.

Oddalali się od miasta. John postanowił nie zadawać kierowcy więcej pytań. Wkrótce pomknęli ciemną autostradą, na której panował niewielki ruch. Po raz pierwszy, odkąd wyruszyli w tę podróż, poczuł naprawdę silny niepokój.

Już wcześniej gnębiła go pewna myśl, ale nie pozwalał, by nim zawładnęła. A jeśli nie wszyscy Uczniowie zostali pojmani w akcji agenta specjalnego Norberta? Co się stanie, jeśli Luke'a i Phoebe użyto jako przynęty, by zwabić jego i Naomi?

Czy nie zdradzając inspektorowi Pelhamowi wszystkiego, na pewno postąpił mądrze?

Jakby czytając w myślach męża, Naomi powiedziała:

– To wszystko mi się nie podoba. Jak myślisz, dokąd jedziemy?

– Nie wiem. – Wyjął z kieszeni komórkę i sprawdził ekran. Pięć kresek, pełen sygnał. Przynajmniej mógł zadzwonić w razie potrzeby. Schował telefon. Mimo klimatyzacji czuł się niewygodnie w zimowych džinsach, golfie i skórzanej kurtce. Zrzucił ją i złożył na kolanach. – Nie jest ci za ciepło...? – zaczął pytać żonę, gdy spostrzegł, że samochód zwalnia; na tablicy rozdzielczej zapaliła się lampka kierunkowskazu.

Mercedes skręcił z autostrady w długą prostą drogę wiodącą na pustynię. Jeszcze bardziej zaniepokojony John odwrócił się i wyjrzał przez okno. Za nimi – jak i przed nimi – rozpościerała się całkowita ciemność.

Po pięciu minutach szybkiej jazdy zwolnili i ujrzał kompleks zabudowań przemysłowych otoczony jasno podświetlonym

drutem kolczastym. Fabryka albo jakaś dziwna rampa przeładunkowa.

Mercedes zatrzymał się przy budce strażniczej przed zamkniętą metalową bramą. Kierowca opuścił okno i zamienił kilka słów z uzbrojonym strażnikiem. Po chwili brama się rozsunęła i zagłębili się w zabudowania. Trzymając żonę za rękę, John czuł potworne napięcie. Czy właśnie tutaj przetrzymywano Luke'a i Phoebe?

Zostawiwszy tajemniczy kompleks za sobą, znów wyjechali na pustynię. Dopiero woń nafty uzmysłowiła mu, dokąd jadą.

Kilkaset metrów przed nimi zarysowały się, najpierw niewyraźne, potem coraz lepiej widoczne kontury odrzutowca, niewiele mniejszego niż typowy samolot pasażerski.

– Wygląda na to, że Magical Mystery Tour¹⁸ trwa nadal – odezwał się John ponuro, ale widok samolotu przyniósł ulgę, jak gdyby obecność odrzutowca gwarantowała, że nie przywieziono ich tu na egzekucję.

Czy właśnie do tego odrzutowca Luke i Phoebe wsiedli w Le Touquet? W okrągłych oknach dostrzegł światła kabinowe; inne widział w otwartych drzwiach na szczycie schodków. Woń nafty wyraźnie się nasiliła.

Mercedes zatrzymał się. Tylne drzwi się otworzyły i Johna oślepiło mocne światło latarki. Z dworu dobiegała szybka wymiana słów. O coś się kłócono, potem znów zapadła cisza.

– Idziemy, proszę – rzucił kierowca.

Naomi i John wysiedli. Teraz już nie było tak ciepło, więc John chętnie włożył kurtkę. Elias otworzył bagażnik, po czym wręczył mu torbę i laptop. Pewien Arab, gestykulujący energicznie obiema rękami, zaprowadził ich do schodków.

John wszedł na samą górę i ujrzał mężczyznę i kobietę stojących nieruchomo po obu stronach wejścia niczym strażnicy. Wysocy, w białych kombinezonach i białych tenisówkach, byli zabójczo przystojni. Oceniał ich wiek na niewiele ponad dwadzieścia lat. Mężczyzna miał nienagannie ostrzyżone jasne włosy i opaloną skórę, jaką widuje się jedynie u męskich modeli

w magazynach mody; kobieta, również blondynka, miała eteryczny wygląd i doskonałą figurę topowej modelki. Ani on, ani ona się nie uśmiechali; ich twarze wyrażały lekką pogardę.

Czekając na żonę, John momentalnie poczuł się przytłoczony ich obecnością.

– Dzień dobry – pozdrowił ich i spojrzał na oboje, próbując przełamać lody.

– Witamy na pokładzie, pani Klaesson, doktorze Klaesson – odparł mężczyzna chłodnym tonem z akcentem z Nowej Anglii. Powitanie bynajmniej nie było ciepłe.

– Mogą państwo wybrać miejsca – dodała kobieta mówiąca z podobnym akcentem, tyle że jeszcze chłodniej.

– Dokąd lecimy? – spytał John.

– Proszę nie zadawać nam pytań – uprzedził mężczyzna. – Nie jesteśmy upoważnieni do udzielania odpowiedzi.

– Czy możecie powiedzieć chociaż jedno? – spytała Naomi. – Zabieracie nas do Luke’a i Phoebe, prawda?

– Polecam dwa miejsca z tyłu – powiedziała kobieta. – Znajdują się najdalej od silników, dzięki czemu drgania są tam najmniejsze.

Naomi wpatrywała się w całkowicie beznamietną twarz kobiety. Z trudem zapanowała nad wzbierającym gniewem. Musieli zachować spokój, w żadnej mierze nie mogli się narażać. Mieć nadzieję – tyle tylko mogli. Mieć nadzieję.

Drzwi kokpitu na lewo od nich były zamknięte. John i Naomi skręcili w prawo, minęli niewielkie połączenie urządzone jak salonik, z owalnym stołem konferencyjnym i ośmioma krzesłami przymocowanymi do podłogi. Poszli dalej, przez kuchnię pokładową, na tył samolotu, gdzie znajdowało się dwadzieścia skórzanych foteli – po dziesięć z każdej strony szerokiego przejścia – oferujących mnóstwo miejsca na nogi. Po chwili młody człowiek zamknął drzwi kabiny.

John usłyszał wycie turbin, które zaczęły wirować. W górze zapaliło się polecenie zapięcia pasów. Wyjrzał przez okno po lewej. W szybie zobaczył odbicie własnej bladej, niespokojnej

twarzy. W ciemności połyskiwały punkciki białego światła. To światła nawigacyjne odrzutowca, zrozumiał. Wkrótce, jakby zapalone włącznikiem, rozbłysły światła pasa startowego.

Po chwili John usłyszał metaliczny szmer. Zarówno jego odbicie, jak i świetlne punkty i światła pasa startowego znikły. Jego zdziwieniu towarzyszył przestraszony krzyk Naomi.

Na wszystkich oknach zasunęły się metalowe żaluzje.

Po starcie stewardesa podała im posiłek w rodzaju tych, jakie można otrzymać w przeciętnych liniach lotniczych. Sałatka Cezar z krewetkami, przykryty folią gorący łosoś ugotowany na parze, ciasto czekoladowe, trójkąt miękkiego sera i biszkopty. Steward przyniósł im po kieliszku wina Chardonnay i wodę mineralną.

John pochłonął większość posiłku, lecz Naomi tylko dziobała jedzenie widelcem. Potem spróbowali się trochę zdrzemnąć.

Naomi myślała o stewardzie i stewardesie. Ich milczące wrogie zachowanie do złudzenia przypominało nastawienie Luke'a i Phoebe wobec niej i Johna. Parę z samolotu można by bez trudu wziąć za starsze rodzeństwo bliźniaków.

Po pięciu godzinach otrzymali kolejny posiłek, tym razem kanapki i owoce. Godzinę później John i Naomi spostrzegli, że samolot traci wysokość, jakby schodził do lądowania.

Nad ich głowami rozbłysła lampka przypominająca o pasach bezpieczeństwa.

Steward i stewardesa zniknęli za kuchnią, jak za każdym razem po przyniesieniu im jedzenia czy wody.

Z całą pewnością wytracali wysokość.

Równie raptownie, jak opuściły się przed kilkoma godzinami, żaluzje na oknach powędrowały w górę. Kabinę zalało światło. Jasne, oślepiające światło wczesnego poranka.

John i Naomi wyjrzeni przez okna.

Lecieli nisko, najwyżej tysiąc, tysiąc trzysta metrów nad górzystą okolicą porośniętą soczystą tropikalną roślinnością. Przez swoje okno John widział tylko ziemię i słońce wschodzące na bezchmurnym niebie. Za to przez okno Naomi widzieli

szeroką plażę z białym piaskiem i kobaltowe morze. W samolocie rozległ się ostry łoskot, a po nim seria stukotów. Opuszczano koła.

Podniecenie przeszło Naomi niczym prąd elektryczny, wyrywając ją ze zmęczenia. Zobaczą dzieci. Zobaczą Luke'a i Phoebe. Są tu, tutaj, w tym pięknym miejscu! Bliźniakom nic nie jest, są bezpieczne. Zobaczą ich, wszyscy wrócimy tym samolotem do domu.

– Masz pojęcie, gdzie jesteśmy? – zwróciła się do Johna.

Żałował, że nie zna się choć trochę na botanice, bo dzięki roślinności mógłby się domyślić, dokąd dotarli.

– Nie mam pojęcia, jak szybko lecieliśmy ani w jakim kierunku – odparł, kręcąc głową. – Wiem tylko, że jesteśmy dziewięć godzin lotu od Dubaju. Pamiętam, jak inspektor Pelham mówił, że samolot, którym zabrano Luke'a i Phoebe, osiąga prędkość sześciuset pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Więc jeśli lecimy tym samym, to znaczy, że przelecieliśmy około pięciu tysięcy sześciuset kilometrów. Możemy być absolutnie wszędzie, do cholery.

Znowu wyjrzał przez okno. Ponieważ wyglądało to na wczesny poranek, musieli polecieć na zachód. Gdyby lecieli wolniej, niż obliczał, mogli się znajdować na zachodnim wybrzeżu Afryki. Gdyby lecieli szybciej, dotarliby na wschodnie wybrzeże Ameryki Południowej.

– Z Dubaju wystartowaliśmy około dziewiętnastej czasu brytyjskiego. Dla naszych ciał jest teraz wpół do piątej rano – powiedział.

Potrzebował się wykąpać, ogolić i przebrać. Czuł się zapyziały i wycieńczony. Naomi też wyglądała na złachaną. Widok żony w takim stanie bolał go niemal równie mocno jak zaginięcie dzieci. John był zły na siebie, sfrustrowany, że w żaden sposób nie może pomóc Naomi. Mógł tylko siedzieć tu jak ciamajda i przyjmować wyrazy niesympatycznej gościnności od tych zimnych młodych ludzi.

Nagle wzgórza opadły pod nimi, jakby zsunęli się z krawędzi przepaści, i ujrzeli płaską dolinę, długą na kilka kilometrów i szeroką na ponad trzy. Sekretna dolina, fantazjował John, wyżłobiona w samym sercu wzgórz. Prawdopodobnie uformowana przez wybuch wulkanu przed tysiącami lat.

Gdy samolot opadł jeszcze niżej, odnieśli wrażenie, że ktoś obraca soczewką, dzięki czemu zamglony obraz stawał się doskonale ostry. Przed chwilą widzieli płaskie dno doliny, gęstwinę połyskliwej roślinności, teraz ujrzeli zbiorowisko kształtów wznoszących się z ziemi. Budynki, w większości parterowe, połączone, jak zauważył John, chodnikami, niczym kampus uniwersytecki rozciągający się we wszystkich kierunkach. Zabudowania zostały zamaskowane roślinami posadzonymi na dachach, by nie dało się dostrzec ich z powietrza.

Samolot ciągle obniżał lot. Załedwie kilkaset metrów nad budynkami. John wyteżał wzrok, wypatrywał ludzi i pojazdów, ale nie widział ani śladu życia.

Klaessonowie mieli wrażenie, że lądują w mieście duchów.

– Gdzie my jesteśmy? – spytała Naomi.

– W zimowym kurorcie Luke’a i Phoebe. Kupionym za miliony, które zarobili potajemnie na obrocie akcjami w internecie?

Naomi nie uśmiechnęła się.

Samolot wylądował na pasie pomalowanym na piaskowozielony kolor. Potoczył się kilkaset metrów i nie zwalniając, wjechał do przepastnego hangaru, którego dach, jak spostrzegł John, również pokrywała roślinność. Zatrzymali się. Jasno oświetlony hangar wyglądał na całkowicie opuszczony.

– Proszę za mną.

Przed nimi stała stewardesa z poważnym wyrazem twarzy.

– W jakim kraju się znajdujemy? – spytał John, odpinając pas.

– Nie jesteśmy upoważnieni, by udzielać odpowiedzi. Teraz musicie wyjść.

John i Naomi wzięli bagaże i ruszyli za stewardesą; minęli stewarda przy drzwiach wyjściowych i zeszli po schodkach na pomalowany na niebiesko beton. Upalne i parne powietrze cuchnęło zużytą naftą; wysoki wizg wirników stopniowo cichł.

John rozejrzał się ogromnie zaintrygowany. W hangarze dostrzegł mniejszy odrzutowiec oraz helikopter, dźwig na szynach, wózek widłowy, kilkanaście sporych zbiorników oraz palety piętrzące się pod sufit, na wysokość dobre trzydzieści metrów.

Ani śladu pilota, załogi czy pracowników naziemnych lotniska. John ukradkiem wysunął z kieszeni komórkę, włączył i spojrzał na ekran. Nie było zasięgu.

Stewardesa nacisnęła guzik na trzymanym w dłoni urządzeniu i niedaleko przed nimi rozsunęły się drzwi windy z nierdzewnej stali.

– Proszę wejść, doktorze Klaesson, pani Klaesson – powiedział steward.

Cała czwórka przez kilka sekund w milczeniu jechała na dół. W końcu drzwi otworzyły się na błyszczący peron nieskazitelnej stacji kolejki podziemnej. Na pojedynczym torze stał wagon w kształcie pocisku z otwartymi drzwiami.

Gdy wsiedli, czując, jakby znajdowali się w surrealistycznym śnie, John i Naomi wymienili spojrzenia, ale nie odezwali się słowem. Zdumienie odebrało im mowę, poruszali się wyłącznie dzięki adrenalinie. Odbyli już zbyt długą drogę, by cokolwiek kwestionować czy rzucać wyzwania. Tylko nadzieja dodawała im sił.

Zajęli miejsca, steward i stewardesa usiedli naprzeciwko. Drzwi zamknęły się z sykiem; po chwili wagon przyspieszył bezgłośnie i bez drgań i zagłębili się w ciemnym tunelu.

Dwie minuty później wyszli na stację identyczną jak ta, z której wyruszyli. Drzwi otworzyły się i Klaessonowie ruszyli za eskortą do kolejnej windy. Mieli wrażenie, że długo jadą do góry; John poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku. Wreszcie podłoga naparła na ich stopy i zanim w pełni zdał sobie sprawę, stanęli.

Drzwi otworzyły się na szeroki, elegancki korytarz rodem z korporacji – główna siedziba banku lub dużej firmy o globalnym zasięgu.

Co to za miejsce? – spytała Naomi wzrokiem.

Wiem tyle co ty. Wzruszył ramionami i ponownie zerknął na ekran komórki. Wciąż brak sygnału.

Steward i stewardesa prowadzili ich korytarzem. Minęli zamknięte drzwi. Gdy dotarli do końca, stewardesa otworzyła drzwi i wprowadziła ich do pokoju recepcyjnego. Za biurkiem siedziała kolejna piękna kobieta, również po dwudziestce, o krótkich ciemnych włosach i nieprzeniknionej twarzy.

– Państwo Klaessonowie – zaanonsowała stewardesa.

W odróżnieniu od eskorty kobieta za biurkiem uśmiechnęła się sympatycznie, wstała, podeszła do olbrzymich podwójnych drzwi i otworzyła je.

– Proszę wejść – powiedziała z bostońskim akcentem i odsunęła się, aby ich przepuścić.

John przepuścił żonę, po czym wszedł za nią do dużego gabinetu z białym dywanem i nowoczesnym umeblowaniem. Centralną pozycję zajmowało owalne biurko w barwie łupku, zza którego właśnie ktoś wstawał.

Wysoki, szczupły opalony mężczyzna w oślepiająco białym ubraniu, o ciemnych bujnych włosach zaczesanych nienagannie do tyłu, z eleganckimi pasemkami siwizny na skroniach. Wyszedł zza biurka i wyciągnął rękę na powitanie. Nie wyglądał choćby o dzień starzej niż wtedy, gdy widzieli go po raz ostatni przed czterema laty. Jeśli już, wyglądał młodziej.

– Witaj, John! Witaj, Naomi! – powiedział swoim pewnym siebie ciepłym głosem z akcentem z południa Kalifornii.

Naomi cofnęła się, jakby ujrzała ducha. Oboje wpatrywali się w lekarza oniemiaли.

– Co się, do diabła, dzieje? – zapytał John. – Zechcesz wyjaśnić? Uśmiechnięty promiennie Leo Dettore zignorował pytanie i uściskał im dłonie.

– Jak dobrze znowu was widzieć! – powiedział, po czym gestem zaprosił gości do stolika.

John i Naomi nie drgnęli. Za plecami genetyka okno od podłogi po sufit, szerokości całego gabinetu, wychodziło na zabudowania i góry w oddali.

– Przecież zginąłeś – wykrztusiła Naomi. – Zginąłeś. Podawali w telewizji, prasie. Ty...

– Proszę, usiądźcie. Musicie być oszołomieni. Podam wam coś do picia. Woda? Kawa?

– Nie chcę pić. – Naomi czuła, jak wraca jej odwaga. – Chcę zobaczyć moje dzieci.

– Dajcie mi szansę wyjaśnić, a potem...

– CHCĘ ZOBACZYĆ MOJE DZIECI! – zawołała Naomi, bliska hysterii.

– Gdzie my, do licha, jesteśmy? – spytał John. – Powiedz nam, gdzie jesteśmy.

– To bez znaczenia – odparł Dettore.

– CO TAKIEGO? – wybuchła Naomi.

– Bez znaczenia? Od dwudziestu czterech godzin jesteśmy w drodze i to jest bez znaczenia? – John podszedł do genetyka i groźnie podniósł pięść. – Chcemy nasze dzieci. Chcemy Luke’a i Phoebe. Jeśli wyrządziłeś im krzywdę, przysięgam, że cię zabiję, draniu, rozerwę cię na strzępy!

Dettore uniósł ręce w parodii kapitulacji.

– Zaraz was do nich zaprowadzę. Są całe i zdrowe.
W porządku?

– Tak, natychmiast.

– Myślisz, że zadałbym sobie tyle trudu, by was tu ściągnąć, gdybym nie zamierzał was do nich zaprowadzić? – Dettore wydawał się niewzruszony.

– Nie mamy pojęcia, co knujesz w tym swoim chorym umyśle – odparł John. – Do czego jeszcze jesteś zdolny, skoro byłeś w stanie sfingować własną śmierć?

– GDZIE SĄ NASZE DZIECI?! – wrzasnęła Naomi.

Po chwili milczenia Dettore odpowiedział spokojnie:

– Wasze dzieci przybyły tu po to, by znaleźć bezpieczeństwo. Tylko tu mogłem im je zagwarantować. Oboje wiecie, że sekta szalonych fanatyków religijnych zamierzała zabić wszystkie dzieci poczęte w wyniku mojego programu. Nie miałem innego wyjścia. Musicie jednak zrozumieć, że sprowadziłem was tu, ponieważ, jako rodzice Luke’a i Phoebe, macie pełne prawo zobaczyć swoje dzieci i zabrać je do domu, jeśli zechcą z wami pojechać.

– Jeśli zechcą z nami pojechać? Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał John natarczywie. – Porwałś je, i Bóg jeden wie, co knujesz. Jeśli zechcą z nami pojechać! Co za arogancja? Kurwa mać, jesteśmy ich rodzicami!

Dettore wrócił do biurka i wziął grubą teczkę.

– Czyżby żadne z was ani razu porządnie nie przeczytało kontraktu, który podpisaliście na pokładzie *Serendipity Rose*?

John poczuł, jak robi mu się niedobrze.

– Są tu wasze podpisy oraz inicjały na każdej stronie – powiedział genetyk, wręczając mu dokument. – Chcę, żebyście oboje dobrze zrozumieli – mówił dalej po chwili milczenia. – Luke i Phoebe zostali tu zabrani na własną prośbę. Oczywiście możecie je zobaczyć i spędzić z nimi tyle czasu, ile zechcecie. Myślę jednak, że dla własnego dobra powinniście na początek przeczytać ustęp dwudziesty szósty, paragraf dziewiąty, punkt

czwarty tej umowy. Znajdziecie go na stronie trzydziestej siódmej.

John położył dokument na stole i otworzył na stronie trzydziestej siódmej. W końcu on i Naomi odnaleźli paragraf dziewiąty, napisany drobnym drukiem, wreszcie mikroskopijny punkt czwarty.

Rodzice biologiczni zgadzają się, że dziecko lub dzieci ustalą okres w przyszłości, gdy wszelkie prawa rodzicielskie, gdyby dzieci wyraziły takie życzenie, zostaną scedowane na doktora Dettorego, doktorowi Dettoremu zaś będzie przysługiwać pełne prawo do adoptowania wzmiankowanych dzieci. W razie wszelkich sporów rozstrzygające będzie życzenie dzieci.

U góry i na dole strony widniały podpisy Johna i Naomi złożone niebieskim atramentem.

Naomi przez pewien czas milczała.

– To nie może być zgodne z prawem – rzuciła w końcu. – To nie może być wiążące. One mają trzy lata. Jak trzylatek może mieć prawo decydowania o tym, kto ma ich wychowywać? To bzdury! Tego się nie obroni w żadnym sądzie na świecie.

– Pozwólcie, że coś wam wyjaśnię. – Dettore usiadł naprzeciwko nich. – Nie zadałem sobie trudu sprowadzenia was tu, żeby pokazać wam ustęp umowy, którą podpisaliście cztery lata temu. Zrozumcie, że waszych dzieci nie zmuszono ani nie porwano. Znajdują się tutaj zgodnie z prawem, to wszystko.

– Zgodnie z prawem...

Przerwał Naomi gestem dłoni.

– Wysłuchajcie mnie. Chciałbym, żebyście zrozumieli coś bardzo ważnego. Jeżeli chcecie zabrać dzieci do domu, nie zamierzam wam przeszkadzać. To są wasze dzieci. Nie obchodzi mnie, jaką umowę podpisaliśmy; nie jestem potworem, niezależnie od tego, co wypisywali o mnie przez lata dziennikarze. Jeśli nalegacie, by zabrać bliźniaki do domu, nie tylko macie do tego prawo, ale dam wam do dyspozycji swój prywatny samolot. Czy to jasne?

– Domyślałam się, że jest w tym jakiś haczyk – powiedział John.

– Nie ma żadnego.

– To wszystko nie ma sensu. Od piątku rano przeżywamy koszmar – poskarżyła się Naomi.

Zanim genetyk odpowiedział, wpatrywał się w nią przez chwilę.

– Tylko od piątku, Naomi. Jesteś pewna, że tylko od tego dnia?

– Co to ma niby znaczyć? – spytała, patrząc na niego posepnie.

– Wydaje mi się, że rozumiesz.

Przejechali dwa przystanki kolejką jednotorową.

– Co to za miejsce? – zwrócił się John do Dettorego. – Kampus rządowego ośrodka badawczego? A ta kolejka podziemna? Na powierzchni raczej nie uskarża się pan na nadmierny ruch.

– Później wyjaśnię – odparł genetyk.

Po wyjściu na peron przeszli do windy. Z kabiny wysiadła para nastolatków, wysokich i pięknych, w granatowych kombinezonach.

– Dzień dobry, Brandonie. Witaj, Courtney.

– Dzień dobry, doktorze – odparli tamci ciepło, jakby witali dobrego przyjaciela. Jak wszyscy napotkani dotychczas ludzie, mówili z amerykańskim akcentem.

– Dzisiaj przywiozłem w odwiedziny Rodzicielskich Ludzi – oznajmił Dettore, uśmiechając się do Johna i Naomi.

– Witajcie, Rodzicielscy Ludzie! – powiedział Brandon.

– Mamy nadzieję, że będziecie mieli świetną wizytę, Rodzicielscy Ludzie! – dodała Courtney.

– Rodzicielscy Ludzie? – spytała Naomi w windzie.

– Osoby takie jak ty i John – wyjaśnił genetyk.

Winda otworzyła się i Klaessonowie wyszli za nim na szeroki, pomalowany na jasnoszaro korytarz wyłożony ciemnoszarym dywanem. Na jednej ścianie znajdowały się okna widokowe, na przeciwległej – płaskie ekrany telewizyjne, na których obrazy zmieniały się co kilka sekund według różnych wzorów matematycznych.

Minęła ich grupa dzieci, których wiek, jak oceniał John, wahał się od trzech do kilkunastu lat. Wszystkie szły parami – zawsze

chłopiec z dziewczyną – wszystkie ubrane w dresy i tenisówki. Wszystkie piękne. Dzieci prowadziły między sobą ożywione rozmowy, wesoło witały doktora Dettorego, który najwyraźniej znał imiona ich wszystkich.

Naomi patrzyła na nie kolejno, a jej serce przyspieszało z rozpaczliwą nadzieją, że za moment ujrzy Luke'a i Phoebe. Zastanawiała się ponuro, czy Dettore zaaranżował wygląd dzieci i nakazał im, żeby wyglądali radośnie. Mimo złości na tego człowieka nie mogła jednak przekonać samej siebie, że tak właśnie było. Dzieci wyglądały naturalnie, zdrowo, promieniały szczęściem. O dziwo, nie wyczuwało się między nimi żadnych napięć, nie poszturchiwały się nie docinały sobie nawzajem. Surrealistyczna harmonia.

Dettore zatrzymał się przy oknie widokowym. John i Naomi dołączyli do niego i zaczęli przyglądać się meczowi koszykówki. Dzieciaki grały energicznie, twardo, ale z poszanowaniem reguł.

Ruszyli dalej, mijając kolejne okno wychodzące na duży kompleks krytych basenów. W jednym z nich nastolatki pływały tam i z powrotem. W drugim ćwiczyły nurkowanie. W trzecim rozgrywano mecz piłki wodnej.

Około stu metrów dalej, przy kolejnym oknie, Naomi złapała męża za rękę.

Okno wychodziło na klasę. Dwadzieścioro dzieci siedziało parami w podwójnych ławkach, każde miało przed sobą komputer.

W trzecim rzędzie siedzieli ramię w ramię Luke i Phoebe.

Poczuła, jak zamiera jej serce i łzy napływają do oczu. Oni tu byli! Żyli! Tak pięknie wyglądali w białych dresach, schludnie uczesani, z umyтыми buziami. Stukali w klawiatury, małe twarzyczki kurczyły się w wyrazie koncentracji, potem z wyczekiwaniem kierowały się w stronę nauczyciela.

Nauczyciel, przystojny trzydziestolatek, stał na podwyższeniu, ale zamiast tablicy miał wielki ekran elektroniczny, na którym widniał skomplikowany algorytm. Klaessonowie i Dettore

patrzyli przez okno, jak nauczyciel stuka w ekran długim wskaźnikiem i algorytm się zmienia.

Luke podniósł rękę.

Zadawał pytanie!

Naomi patrzyła, czując niewytłumaczalne podniecenie; wyczuwała przy tym, że John przeżywa coś podobnego.

Nauczyciel coś powiedział i cała klasa wybuchła serdecznym śmiechem, którego prowodyrem był Luke. Potem nauczyciel skinął głową i odwrócił się do ekranu. Ku zdumieniu Naomi, poprawił algorytm za pomocą wskaźnika.

– Macie bystre dzieci – stwierdził Dettore. – Jest tu sporo bardzo inteligentnych dzieci, ale Luke i Phoebe są w czołówce.

– Czy możemy zejść do klasy? – poprosiła Naomi. – Chcę się z nimi spotkać.

– Za parę minut będzie przerwa – odparł, patrząc na zegarek, i poprowadził ich dalej korytarzem.

– Co to za miejsce? – spytał znowu John. – Kim są te dzieci? Co pan tu z nimi robi?

Nie odpowiadając, Dettore ruszył schodami w dół i znaleźli się w rojnej stołówce samoobsługowej. Tu też dzieci siedziały w parach – piękni, przyjaźni mali ludzie, gadający w najlepsze.

Dalej ruszyli za genetykiem korytarzem podobnym do tego na górze i wreszcie stanęli przed drzwiami.

– Klasa druga – wyjaśnił Dettore.

Po chwili drzwi się otworzyły i wyszedł chłopiec z dziewczynką, potem kolejna para – skręcali prosto do stołówki – następnie Luke i Phoebe, uśmiechnięci, żartujący.

Na widok rodziców stanęli jak wryci.

Śmiech zamarł im w ustach, a jego miejsce zajęły niewyraźne uśmiechy.

Wyciągając przed siebie ręce, Naomi wyszła im na spotkanie.

– Kochani! Luke! Phoebe! Moi kochani!

Dzieci pozwoliły, by rodzice podnieśli je, przytulili, ucałowali; z niejakim zakłopotaniem odwzajemniły czułości. Kiedy John

i Naomi postawili je na podłodze, stanęli nieruchomo jak figury woskowe.

Z klasy wyszły pozostałe dzieci z nauczycielem.

– To jest Adam Gardner, nasz najlepszy nauczyciel informatyki – przedstawił go Dettore. – A to doktor Klaesson i pani Klaesson.

– Wspaniałe państwa poznać! – Nauczyciel wyciągnął rękę. – Macie niesamowite dzieci! Miałem w ich klasie zaledwie godzinę, a zdążyli mnie nauczyć nowych rzeczy. – Spojrzał na bliźniaki, których twarze rozjaśniły się. Żarliwość tej reakcji zdumiała Johna i Naomi.

Adam Gardner przeprosił i ruszył do stołówki.

– No dobrze, przypuszczam, że chcielibyście odrobiny prywatności – powiedział Dettore. – Teraz przejdziecie do pokoju z rodzicami i omówicie to, co zechcą z wami omówić. Jeżeli na koniec wizyty wasi rodzice postanowią, że macie wrócić z nimi do Anglii, pojedziecie. Słyszycie, co mówię?

Ani Luke, ani Phoebe nie odpowiedzieli.

Siedzieli na wygodnych kanapach w klimatyzowanym pokoju z oknami wychodzącymi na kampus. Chromowane żaluzje częściowo opuszczono z powodu ostrego słońca. John i Naomi siedzieli po jednej stronie stolika, Luke i Phoebe po drugiej; każde z dzieci sączyło przez słomkę wodę mineralną z butelki.

John zerknął na zegar ścienny i nieoczekiwanie spytał, czy jest tu gdzieś toaleta. Naomi powiedziała, że ona też chce skorzystać. Bliźniaki wyszły z nimi na korytarz i pokazały drogę.

John wszedł do nieskazitelnie czystej toalety. Wysikał się, podszedł do umywalki i odkręcił wodę, by zagłuszyć odgłosy. Potem podszedł do okna, uchylił je, spojrzął na słońce i na zegarek nastawiony na czas brytyjski. Celowo wyszedł z pokoju w południe, ale jego zegarek wskazywał drugą nad ranem. To oznaczało, że przekroczyli dziesięć stref czasowych w kierunku wschodnim. Mrużąc oczy, próbował ocenić wysokość słońca na niebie. Zbliżało się do zenitu. Niecały miesiąc upłynął od przesilenia zimowego, czyli daty, gdy słońce górowało w zenicie nad zwrotnikiem Koziorożca, dwadzieścia trzy stopnie na południe od równika. Skoro słońce w zenicie stało dokładnie nad nim, musieli się znajdować niedaleko na północ od zwrotnika Koziorożca. Wnioskując na podstawie godziny wskazywanej przez jego zegarek oraz słońca w południe, znajdowali się na południowym Pacyfiku, nieco na północ od zwrotnika Koziorożca. Nie były to dokładne pomiary; mogli się znajdować nawet tysiąc kilkaset kilometrów od najbliższej aglomeracji, ale to już było coś.

Po powrocie do dzieci Naomi pochyliła się i naląła mleka do swej filiżanki na stoliku. To nie może się dziać, myślała. John i ja nie możemy tu siedzieć na oficjalnym spotkaniu z naszymi dziećmi, jakbyśmy omawiali kupno nieruchomości, używanego samochodu czy pożyczkę bankową.

– Naprawdę nie rozumiem, dlaczego tak bardzo zależy wam na tym, żebyśmy wrócili z wami do Anglii – powiedział Luke, ściskając w małych rączkach butelkę wody mineralnej.

– Ponieważ jesteśmy waszymi rodzicami! – odparła Naomi. – Dzieci dorastają w domach z rodzicami. Tak urządzone jest życie!

– Tutaj jest inaczej – odparła Phoebe. – Tylko nieliczne z tutejszych dzieci mają Rodzicielskich Ludzi. W większości są to prawdziwi Nowi Ludzie.

– Na czym polega różnica? – spytał John.

– Ależ, rodzice, czyż to nie oczywiste? – zdumiał się Luke. – Nowi Ludzie to dzieci, które nie są obciążone bagażem.

– Nie musiały, jak my, rozwijać się w łonie kobiety – wyjaśniła Phoebe.

Naomi zerknęła na Johna i dostrzegła wyraz zaskoczenia na jego twarzy. Po chwili spytała, tylko po części żartem:

– To było dla ciebie takie trudne, kochanie?

Phoebe odpowiedziała ze śmiertelną powagą:

– To jest całkowicie archaiczna i bezsensowna metoda reprodukcji, narażająca dzieci na niemożliwe do przyjęcia ryzyko. Rodzicielskie wydawanie potomstwa na świat nie może na dłuższą metę zagwarantować przyszłości gatunku.

John i Naomi siedzieli osłupiali.

Nagle wyraz twarzy Luke’a nieco złagodniał.

– Phoebe i ja nie chcemy, żebyście sądzili, że nie jesteśmy wdzięczni za wszystko, co zrobiliście. Oboje czujemy się niezmiernie uprzywilejowani.

– A my jesteśmy dumni z was obojga, niezmiernie dumni – powiedziała Naomi, wyczuwając ocieplenie atmosfery, po czym zwróciła się do męża: – Prawda, kochanie?

– Bardzo! – potwierdził John. – Posłuchajcie, chyba oboje rozumiecie, że jesteście znacznie inteligentniejsi od innych dzieci tam, gdzie mieszkamy, ale ukrywaliście to przed nami. Teraz, kiedy to wiemy, możemy wam pomóc zrealizować wasz potencjał. Są wspaniałe szkoły specjalistyczne, do których moglibyście pójść. Mamy listę...

Phoebe przerwała mu, wznosząc oczy do sufitu.

– Właśnie z tym muszą się tu borykać wszyscy, którzy pochodzą od Rodzicielskich Ludzi.

– Możecie mieć wobec nas wielkie oczekiwania, rodzice – dodał Luke. – Lecz ani ja, ani moja siostra nie jesteśmy tu po to, by sprostać waszym oczekiwaniom.

John i Naomi wpatrywali się w bliźniaki, usiłując przetrawić to, co usłyszeli.

– Dokonałem oceny świata i szczerze mówiąc, nie funkcjonuje on najlepiej – ciągnął Luke. – Potrzebne są liczne zmiany, całkowicie nowe podejście do problemów, trzeba wypracować na przyszłość nowy paradygmat, w przeciwnym razie nie będzie żadnej przyszłości.

– Żadnej przyszłości? – powtórzył John. – Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nie mogliście nawet obronić nas przed Uczniami. Musieliśmy poprosić o pomoc z zewnątrz.

– Czy mógłbyś to wyjaśnić, kochanie? – spytała najeżona Naomi. – Możesz nam powiedzieć, co się wydarzyło?

– Mamy chyba istotniejsze kwestie do omówienia – stwierdziła Phoebe władcym tonem. – Musicie zrozumieć podstawy naszego pochodzenia.

Naomi spojrzała na męża. W ciągu kilku dni dzieci dojrzały pod względem intelektualnym. Trudno jej było pogodzić się z faktem, że bliźniaki rozmawiają jak dorośli. Trudno jej było zaakceptować cokolwiek z tego miejsca. Czowała, jakby wrzucono ją w sam środek koszmaru.

– Opowiedzcie nam o podstawach waszego pochodzenia – poprosił John.

– Cóż, po pierwsze, wiemy, że dokonaliście pewnych wyborów genetycznych, ponieważ chcieliście, żebyśmy byli lepsi niż inne dzieci. Chcieliście, żebyśmy byli ludźmi doskonałymi. – Phoebe spojrzała na rodziców wyzywająco.

– Wasza matka i ja... – zaczął John, ale żona mu przerwała.

– Posłuchajcie, wy dwoje. Musicie zrozumieć nasze powody. Kiedy straciliśmy waszego brata, Halleya, wasz ojciec i ja chcieliśmy zagwarantować, by wam nie przydarzyło się nic podobnego. Chcieliśmy, żebyście byli tak zdrowi i wolni od widma chorób, jak to możliwe. Czy to było takie złe?

– Nie, całkiem rozsądne – przyznał Luke. – Na czym więc polega wasz problem?

– Nasz problem? – spytała po chwili Naomi. – Nasz problem polega na tym, że chcemy, abyście wrócili z nami do domu.

– Właściwie dlaczego? – zdziwiła się Phoebe.

– Ponieważ... – Naomi zawahała się. – Ponieważ was kochamy.

– Chociaż posiadacie niezwykle rozwinięty intelekt, jesteście jeszcze małymi dziećmi – wtrącił John. – Potrzebujecie miłości i przewodnictwa, które mogą wam dać rodzice... które my, wasza matka i ja, naprawdę możemy wam dać.

– Wiecie, kim wy jesteście, Rodzicielscy Ludzie? – spytał Luke.

– Jesteście tylko kolejnym pokoleniem w nieprzerwanym łańcuchu sięgającym tysiące lat wstecz, łańcuchu ludzi, którzy spieprzyli ten świat. *Homo sapiens!* – wykrzyknął szyderczo. – *Sapiens* znaczy mądry. Wasz gatunek nie jest mądry. Zarządzany przez was świat wydostał się spod kontroli. Stworzyliście nuklearną i biologiczną broń masowej zagłady, którą może kupić każdy debil mający do kogoś żal. Wasi naukowcy dowiedli jakoby, że Bóg nie istnieje, ale pozwalacie, by fanatycy religijni dewastowali waszą planetę. Niszczycie ekosystem, ponieważ nie potraficie uzgodnić spójnego planu ochrony środowiska. Co tydzień drukujecie więcej informacji, niż człowiek może przeczytać w ciągu życia. I wy chcecie przewodzić? Myślę, że to cholerna, wprost zdumiewająca arogancja.

– Inne zwierzęta nie trzymają się swego potomstwa – zauważyła Phoebe. – Pozwalają odejść młodym, gdy tylko nauczą się latać, pływać czy polować w celu zdobycia pokarmu. Dlaczego tak bardzo usiłujecie nas zatrzymać, przez co hamujecie nasz rozwój? Wy macie już za sobą spory kawał życia, ale Luke i ja dopiero zaczynamy. Jeśli nie uda się nam wprowadzić szybkich istotnych zmian, na tej planecie nie ma przyszłości dla nikogo. Wracajcie do domu. Wracajcie do starego sposobu życia i pozwólcie nam, Nowym Ludziom, zająć się przyszłością.

John usilnie starał się zachować spokój, pokazać bliźniakom, że on i Naomi potrafią to wszystko zrozumieć.

– I jak zamierzacie zająć się przyszłością? Co konkretnie zrobicie?

Phoebe uśmiechnęła się do rodziców i odezwała się nieoczekiwanie miłym tonem:

– Tłumaczenie wam tego naprawdę nie ma sensu. Ani wy, ani żadni inni Rodzicielscy Ludzie nie są w stanie tego pojąć. Nie chcę, żeby brzmiało to protekcjonalnie. Po prostu stwierdzam fakt.

– Dzieci – powiedział John. – Ludzie, którzy próbowali was zabić, zostali aresztowani. Możecie bezpiecznie wrócić do domu. Zapewnimy wam bezpieczeństwo. Jeśli chcecie zmienić świat, a dobitnie pokazaliście, że potraficie to zrobić, powinniście wyjść z izolacji. Damy wam całe wsparcie, jakiego potrzebujecie, by to uczynić.

– Luke i ja musimy to omówić – oświadczyła Phoebe. – Zostawcie nas na trochę samych.

Do pokoju niepostrzeżenie wszedł Dettore.

– Naomi, John, chodźmy się przejść – zaproponował.

W oślepiającym, skwarnym słońcu, wdychając woń hibiskusów i bugenwilli, John i Naomi szli za Dettorem pomalowaną na zielono ścieżką przez rozległy cichy kampus. Genetyk pokazywał im i nazywał mijane budynki, ale Klaessonowie praktycznie nic nie rejestrowali.

Oboje byli w szoku po spotkaniu z Lukiem i Phoebe. Mrużąc oczy, John wodził wzrokiem po okolicy i żałował, że nie zabrał okularów przeciwsłonecznych i nie ubrał się lżej. Czuł się lepki, brudny, twarz swędziała pod zarostem. Wszystko to jednak nie miało znaczenia. Nie liczyło się nic prócz odpowiedzi na pytania, które pragnęli zadać Dettoremu. Aż do dziś nie mieli nadziei, że kiedykolwiek usłyszą odpowiedzi.

Ważniejsze jednak od odpowiedzi było odnalezienie drogi do serc bliźniaków i namówienie ich, by wróciły do domu. To z kolei wiązałoby się ze sprawdzeniem, czy Dettore mówił prawdę i rzeczywiście pozwolilby im zabrać dzieci.

Wszędzie panowała cisza, od której ciarki chodziły po plecach. John poczuł, że znaleźli się w widmowym mieście albo znów na pokładzie pływającej kliniki.

– Po co ten cały kamuflaż na budynkach, po co zielona farba na pasie startowym i ścieżkach, Dettore? – spytał. – Dlaczego chcesz być niewidzialny?

– Czego się boisz, Dettore? – dodała Naomi.

Genetyk maszerował dalej pewnym krokiem, jak lew, który wie, że żaden drapieżnik mu nie zagraża. Król dżungli, niepokonany król tej wyspy. Z każdą chwilą John czuł coraz silniejszą pogardę do tego człowieka. Gardził jego zadufaniem,

tym, jak oszukał jego i Naomi, zniszczył im życie, odebrał dzieci. Mimo to naukowiec w Johnie czuł mimowolny podziw dla genetyka – drugiego naukowca.

Dettore stanął i rozłożył szeroko ręce, pokazując gościom okolicę.

– Wyjaśnię wam. Pamiętacie inkwizycję w Hiszpanii, Francji i Włoszech, która przez pięć stuleci terroryzowała wolnomyślicieli? Pamiętacie włoskiego naukowca Galileusza, profesora matematyki w Pizie? Udoskonalił teleskop do tego stopnia, że jako pierwszy człowiek zaobserwował księżyc Jowisza. W tysiąc sześćset trzydziestym drugim roku opublikował książkę, w której poparł teorię Kopernika mówiącą o tym, że Ziemia krąży wokół Słońca, nie odwrotnie. Inkwizycja kazała Galileuszowi wyrzec się tej absurdalnej teorii. W przeciwnym razie zostaliby ukarani śmiercią.

John i Naomi milczeli.

– Podobnie jak Hitler i Stalin, inkwizycja nie bawiła się w zbędne rozróżnienia. Skazywała na śmierć zarówno przedstawiciele inteligencji, jak i biedotę. Jakimś cudem uchodziło jej to na sucho, ponieważ wszystko robiono w imię Boga. Religia legitymizowała całą tę działalność. – Dettore przerwał i przez chwilę surowo wpatrywał się w Klaessonów. – Zastanawiacie się, czemu musimy się tu kryć, a przecież to proste. Wcześniej czy później banda świrów religijnych, których poglądy nie rozwinęły się od mrocznych wieków, wytropiłaby mnie i zabiła. Jeśli nie Uczniowie Trzeciego Tysiąclecia, to inna grupa.

– I dziwisz się temu? – powiedział John. – Wykorzystujesz siłę roboczą dzieci, posługujesz się inżynierią genetyczną i jesteś zaskoczony, że ludzie są przeciwko tobie?

– Tam, w górze, krążą satelity, które godzina po godzinie fotografują każdy centymetr naszej planety. – Dettore wskazał dłonią na niebo. – Robią to Amerykanie, Rosjanie, Chińczycy i inne narody. Szukają wszystkiego, co wykracza poza normę, nowych struktur, ludzi w miejscach uprzednio

niezamieszkanym. Wszystko jest rejestrowane, badane, sprawdzane.

– Dlatego cały twój system transportu znajduje się pod ziemią? – spytał John.

– Oczywiście. Jesteśmy tu niewidzialni i zamierzamy tacy pozostać dopóty, dopóki przestanie to być konieczne.

– Czyli kiedy? – zapytała Naomi.

– Kiedy świat będzie gotowy.

– Na co? – naciskała.

– Na mądrość i człowieczeństwo, jakie tutaj rozwijamy. Żadne z tutejszych dzieci nie wyrośnie na człowieka, który podłoży bombę pełną gwoździ w zatłoczonym londyńskim pubie. Nie podłoży ładunku z semtexem w samochodzie na bazarze pełnym kobiet i dzieci. Naprawdę chcecie pozwolić, aby ten chaos zwany cywilizacją trwał wiecznie? Świat wyzwalał się ze szponów jednego fanatyka i padał łupem innego. Neron, Attyła, Napoleon, Stalin, Hitler, Hirohito, Mao Zedong, Pol Pot, Saddam Husajn, Milošević, bin Laden, Mugabe. Czym to ma się skończyć? Hucznym przyjęciem z balonami i kapiszonami, gdzie wszyscy będą podawać sobie ręce i mówić: „Dobra, przepraszamy, mieliśmy kiepskie kilka tysięcy lat, teraz zostaniemy przyjaciółmi, żeby nasze dzieci dostały dobrą przyszłość”? Nie sądzę.

– Kto finansuje to wszystko? – spytał John, na którym przemowa genetyka nie wywarła wrażenia.

– Ludzie zatroskani – odparł gładko Dettore. – Filantropi na całym świecie, którzy nie chcą, by cywilizacja trafiła z powrotem w ręce fanatyków religijnych i despotów, tak jak to miało miejsce w mrocznym okresie dziejów. Osoby, które pragną zapewnić ludzkości przyszłość opartą na solidnych podstawach naukowych.

– Chciałabym się czegoś dowiedzieć – wtrąciła Naomi. – Kiedy przyszliśmy do ciebie i chcieliśmy chłopca, dlaczego nas oszukałeś i dałeś nam bliźniaki?

Zatrzymał się i odwrócił do Klaessonów.

– Ponieważ nigdy byście nie zrozumieli. Takie to proste.

– Czego byśmy nie zrozumieli? – zainteresował się John.

Genetyk spojrział kolejno na małżonków.

– Wasz syn czułby się osamotniony, gdyby nie miał z kim dzielić się swym nieprzeciętnym intelektem. Wśród innych dzieci czułby się jak dziwoląg. Dwoje dzieci mogło nawiązać więź między sobą i ujrzeć świat z właściwej perspektywy.

– Nie sądzisz, że taka decyzja należała do nas? – spytała Naomi.

– Podejrzywałem, że nie jesteście gotowi, by to zrozumieć – odparł Dettore.

– Przemawia przez ciebie niewiarygodna arogancja. – John czuł narastający gniew.

– Prawda często kole w oczy – odparł genetyk, wzruszając ramionami.

– Nie wierzę własnym uszom. Uzgodniliśmy, ty, Naomi i ja, listę usprawnień naszego dziecka. Ile jeszcze dodałeś bez naszej wiedzy?

– Dodałem ważne rzeczy, które, moim zdaniem, przeoczyliście.

– Kto, do diabła, dał ci prawo? – Naomi podniosła głos.

– Wróćmy do mojego gabinetu – zaproponował Dettore. – Jest wam gorąco, nie czujecie się komfortowo. Musicie wziąć prysznic, przebrać się, zjeść coś, wypocząć. Jesteście zmęczeni po długiej podróży. Odświeżcie się i odpocznijcie, potem będziemy kontynuować rozmowę.

– Nie muszę się odświeżać – zaprotestowała Naomi. – Nie chcę odpoczywać. Chcę wsiąść do samolotu i wrócić z dziećmi do domu. To wszystko, czego potrzebuję. Nie mów mi, czego mi trzeba.

– Tutaj jest mnóstwo inteligentnych ludzi, Naomi. – Twarz genetyka stężała. – Wszystkim nam przyświeca jeden cel: przyszłość ludzkości. – Zwrócił się do Johna, potem znów do Naomi, by poczuli, że mówi do obojga. – Mamy tu trzech noblistów i ośmiu naukowców uhonorowanych Nagrodą McArthur'a. Dwudziestu ośmiu było branych pod uwagę przy

okazji przyznawania Nagrody Nobla. Mówię to, żebyście nie sądzili, że jestem samotnym szarlatanem pracującym tu po omacku albo jakimś samotnym szaleńcem wołającym na naukowej puszczy.

– Masz prawo snuć dowolne wizje, Dettore – powiedziała Naomi. – Nie masz jednak prawa do uprowadzania dzieci i zwracania ich przeciwko rodzicom.

– W takim razie musimy się zgodzić, że chwilowo nie ma między nami zgody. – Dettore z uśmiechem ruszył dalej.

John poszedł za nim, zły na niego, zły na siebie za to, że czuje się tu taki bezradny i bezużyteczny; myśli wirowały mu w głowie. Nagle usłyszał uderzenie.

Podniósł wzrok. Przez chwilę sądził, że ktoś odstrzelił genetykowi kawałek głowy; jakiś przedmiot odbił się od niej, odrywając kępkę włosów i płat skóry. John pojął, że ten przedmiot to kamień; przerażony odwrócił się do żony, która stała z rozłożonymi rękami i wyrazem posępnej satysfakcji na twarzy.

John znów odwrócił się do Dettorego, który jak w zwolnionym tempie osunął się na kolana, runął na twarz i znieruchomiał. Odsłonięty fragment głowy był przez chwilę jasnoszary, niczym pęknięty łupek, ale krew napływała szybko, zalewając włosy.

Naomi zerwała się i pobiegła ścieżką w stronę, z której przyszli. Cichnący tupot jej butów, łomotanie własnego serca i ryk paniki w uszach były jedynymi odgłosami, jakie John słyszał.

Podbiegł do Dettorego i uklęknął, patrząc na krew rozlewającą się na bluzę genetyka. John czuł rosnącą panikę.

Wstał i popędził za żoną. Gdy znajdował się kilka kroków za nią, zawołał:

– Naomi! Stój! Stój! Dokąd biegniesz?

– Po dzieci! – odkrzyknęła, nie odwracając głowy.

Chwycił ją za ramię i gwałtownie zatrzymał.

– Naomi! Kochanie!

Dygocząc w hysterii, patrzyła na niego rozbieganymi oczami.

– Puść mnie!

– Mogłaś go zabić.

– Ciebie też zabiję – odparła. – Zabiję każdego, kto powstrzyma mnie przed zabraniem dzieci do domu.

John spojrzał przez ramię na leżącą w oddali nieruchomą postać. Potem na okna okolicznych domów. W każdej chwili mogły otworzyć się drzwi i ludzie mogli ruszyć na nich. Przede wszystkim musieli się ukryć. Poza tym nie miał w głowie żadnych myśli, pomysłów, planów. Instynkt mówił mu, że jedynie Dettore trzymał ich tu przy życiu. Teraz nie chodziło już o zabranie dzieci do domu. Teraz chodziło o przetrwanie.

Rozejrzał się gorączkowo, próbując uzyskać orientację. Patrzył na dom z czerwonej cegły, gdzie, jak Dettore mówił zaledwie kilka minut wcześniej, mieścił się Wydział Astrofizyki.

Potem spojrział na Bibliotekę i Ośrodek Badań Ogólnych. Wodząc wzrokiem od budynku do budynku, nie miał pojęcia, w którym widzieli Luke'a i Phoebe – mogło to być w dowolnym z dwudziestu czterech.

Wejdz do środka! – zawołał głos w jego głowie. Musisz wejść do środka! Schowaj się!

Do schronu!

Najbliżej znajdował się Wydział Astrofizyki. Ciągnąc Naomi za rękę, potykając się, pędził w tamtą stronę.

Gdzie, do diabła, są drzwi?

Przebiegli wzdłuż frontu budynku, minęli wielkie okna z przyciemnionego szkła, klomby i staw, po czym skręcili za róg. Na niewielkich przeszklonych drzwiach widniał napis TYLKO WYJŚCIE PRZECIWPOŻAROWE. John bezskutecznie próbował je pchnąć; nie widział klamki ani szpary na tyle szerokiej, by wsunąć palce.

– Są tam? – spytała Naomi. – Luke i Phoebe są w środku?

– Może. Od tego zaczniemy.

– John, ja chcę moje dzieci – załkała. – Chcę Luke'a i Phoebe.

– Znajdziemy je. – Pociągnął żonę dalej, aż pojął, że dotarli do głównego wejścia. Przed nimi biało odziani chłopiec i dziewczynka w wieku około sześciu lat, podskakując, wbiegli na schody i zmierzali w kierunku okna w centralnej części budynku. Gdy dzieci znajdowały się kilka metrów przed oknem, jego część uniosła się i zaraz zamknęła się za nimi.

John zaprowadził Naomi do okna i jego część uniosła się, kiedy się zbliżali. Przeszli przez wielkie, puste klimatyzowane atrium wyłożone marmurem, gdzie ze sklepienia zwisało masywne wahadło Foucault. Zupełnie jak lobby luksusowego hotelu, tyle że nie widzieli ani śladu recepcji czy personelu. Tylko dwie windy w głębi. Dzieci się rozplynęły.

Gdzie?

W windach? Nigdzie indziej nie mogły się udać, pomyślał John i pociągnął żonę za sobą. Nie dostrzegł przycisków. W jaki sposób sprowadzało się to cholerstwo? Odwrócił się i spojrział za

siebie. Atrium nadal świeciło pustkami. Musiały być schody, droga ewakuacji przeciwpożarowej. Po chwili rozległ się gong i nad windą po prawej rozbłysła lampka.

John mocniej ścisnął dłoń Naomi. Drzwi się otworzyły.

Kabina windy była pusta. Weszli, John spojrzał na panel i wcisnął najniższy guzik.

Wtedy w atrium rozbrzmiał okrzyk. Dwoje nastolatków w białych dresach biegło w ich stronę. Przez szklane drzwi wpadali kolejni.

John, zdjęty panicznym strachem, raz po raz naciskał dolny guzik. Dwójka na czele znajdowała się tuż-tuż. W końcu winda się zamknęła.

Rozległo się wściekłe łomotanie w drzwi.

Naomi wpatrywała się w męża jak zombie. Gdy winda ruszyła w dół, wyjął komórkę i spojrzał na ekran. BRAK SYGNAŁU, jak poprzednio.

Musiał istnieć sposób wydostania się na zewnątrz. W gabinecie Dettorego widział telefon, musieli tu mieć połączenia satelitarne. Samolot, statek albo jedno i drugie musiały dowozić zapasy; na pewno istniał jakiś sposób nadania wiadomości albo wydostania się stąd.

Tylko jaki?

Winda otworzyła się na opuszczony peron kolejki jednotorowej. Rozglądając się na lewo i prawo, wyciągnął Naomi z windy. Dwa ciemne tunele. Wąski chodnik z kratownicy zagłębiał się w tunel w obu kierunkach. John pociągnął żonę w lewo i co sił w płucach pobiegli w mrok tunelu.

Po przebiegnięciu kilkuset metrów usłyszeli za sobą krzyki. Odwróciwszy się, ujrzał kilka świateł latarek zmierzających w ich stronę. Naomi potknęła się, ale udało jej się odzyskać równowagę. Daleko przed sobą zobaczyli światło. Latarki się przybliżały. Ból rozrywał mu płuca. Naomi biegła za nim w milczeniu, nie puszczając jego dłoni. Jeszcze przyspieszył.

Światło z przodu zbliżało się, podobnie jak głosy za nimi. Prześladowcy byli coraz bliżej. Klaessonowie wypadli z ciemności

na inny peron. Winda, a obok wyjście bezpieczeństwa. Pociągnął drzwi i wyprowadził żonę na słabo oświetlone betonowe schody wiodące tylko w górę.

Wbiegał po schodach po dwa, czasem po trzy stopnie naraz; Naomi, bliska omdlenia, co chwila się potykała, więc praktycznie włókł ją za sobą. U stóp schodów słyszał głosy. W końcu wbiegli na szczyt i stanęli przed drzwiami ze sztabą przyciskową. John szarpnął ją, pchnął drzwi i wypadli na długi, jasno oświetlony korytarz wykładany kafelkami, o ścianach jak ze zmatowionego aluminium. W głębi znajdowały się podwójne drzwi z dwiema szybami jak na oddziale intensywnej opieki medycznej.

John i Naomi pobiegli tam, ale gdy znajdowali się kilka metrów przed nimi, wyszły stamtąd dwie postacie.

Luke i Phoebe.

Za bliźniakami zaroilo się od niskich istot.

– Zrobiliście straszną rzecz, Rodzicielscy Ludzie – przemówił Luke ostrym tonem. – Przywlekliście tu swoje stare metody. Okryliście nas wstydem. Jesteście tu zaledwie kilka godzin, a już skalaliście to miejsce. Na tej wyspie jeszcze nikt nie stosował przemocy. Nowi Ludzie nie wiedzieli nawet, czym jest przemoc. Teraz im pokazaliście. Jesteście z tego dumni?

– My... – zaczął John, nie mając pewności, co chce powiedzieć, ale głos zamarł mu w gardle.

Naomi drżała w szoku po tym, co zrobiła.

– Gdzie my jesteśmy? – spytała łamiącym się głosem. – Co to za miejsce? Co się dzieje?

– Nie zrozumielibyście, nawet gdybyśmy wam wytłumaczyli.

– Wydaliliście nas na świat – powiedział Luke. – Zechcielibyście nam zdradzić, czemu to zrobiliście?

– Właśnie, jaki mieliście plan? – dodała Phoebe.

– Chcieliśmy mieć zdrowe dziecko, niemające genów, które nosi zarówno wasza matka, jak i ja. Tylko taki mieliśmy plan – odparł John, z trudem wierząc, że prowadzi tę rozmowę.

– Świetnie – rzucił Luke. – Oto jesteśmy, udało się wam. Jesteśmy zdrowi. Chcecie zobaczyć nasze wyniki badań? Są naprawdę nadzwyczajne. Jesteśmy znacznie zdrowsi niż świat, na który nas sprowadziliście.

– Wszyscy boją się genetyki – powiedziała Phoebe. – Czytamy o ludziach, którzy mówią, że Matka Natura nie jest idealna, ale lepsza niż alternatywy. Na jakiej planecie żyjecie? Matka Natura panuje nad *Homo sapiens* od pół miliona lat, czyli odkąd gatunek pojawił się na Ziemi. Co za fuszerka! Gdyby Matka Natura była

przywódcą politycznym, zostałaaby skazana na śmierć za ludobójstwo! Gdyby stała na czele międzynarodowej firmy, zwolniono by ją za niekompetencję. Czemu nie dać szansy nauce? Czy nauka, w dobrych rękach, stworzy jeszcze większy chaos?

– Co masz na myśli, mówiąc „dobre ręce”? – spytał John.

– Ręce człowieka, którego właśnie próbowałaś zamordować – odparł Luke, patrząc na matkę. – Doktor Dettore, największy wizjoner, jakiego widziała ta planeta. Człowiek, którego dopiero co usiłowałaś zabić.

– Musicie stąd odejść, Rodzicielscy Ludzie – oświadczyła Phoebe posępnie. – Zanim zbyt wiele osób dowie się, co zrobiliście. Zaprowadzimy was do samolotu. Musicie wiedzieć, że na tej wyspie wszystko jest nagrywane. Jeśli teraz odejdziecie, skasujemy taśmę pokazującą, jak próbujesz popełnić morderstwo. Nie zasługujesz na to, mamo, ale jesteście naszymi rodzicami...

– Tak naprawdę nie chcemy was zabić – powiedział Luke. – W ten sposób znizylibyśmy się tylko do waszego poziomu. Zapomnijcie o tej wizycie. Zapomnijcie o nas i o wszystkim, co widzieliście.

– Nigdy o was nie zapomnę – powiedziała Naomi.

– Czemu nie? – spytał Luke.

– Jesteście naszymi dziećmi, zawsze nimi będziecie – mówiła Naomi, mrugając, by usunąć łzy. – Nasz dom zawsze będzie waszym domem. Może pewnego dnia, kiedy dorośnięcie, będziecie mogli nas odwiedzić. – Głos jej się załamał. – Może będziecie mogli nas czegoś nauczyć.

John skinął głową i dodał:

– Nasze drzwi zawsze będą otwarte. Chcę tylko, żebyście zrozumieli, że gdybyście kiedykolwiek tego chcieli lub potrzebowali, zawsze będziecie mogli z nami zamieszkać. Zawsze.

– Rozumiemy was doskonale – zapewniła Phoebe.

Dziennik Naomi

Pewnego razu o mały włos nie zabiłam człowieka. Piszę w ten sposób, ponieważ dzięki temu staje się to dla mnie mniej rzeczywiste. Oto zaleta ludzkiego mózgu: nieustannie dokonuje rewizji przeszłości, odcina fragmenty w jednym miejscu, dodaje w innym, serwując przeszłość w strawniejszej postaci, taką, jakiej byśmy sobie życzyli, zamiast takiej, jaka była naprawdę.

Sören Kierkegaard napisał, że żyć trzeba do przodu, ale życie można pojąć tylko w retrospekcji. Nieustannie przewijam taśmę w swojej głowie. Cofam się do śmierci Halleya. Cofam się do mojej i Johna decyzji, by udać się do kliniki Dettorego. Powracam do tamtej chwili – wierzyć się nie chce, że minęło już osiem lat – kiedy w jasnym słońcu szłam ścieżką za Johnem i Dettorem. Klękam, podnoszę kamień i rzucam.

Przewijam taśmę, usiłując zrozumieć, co zamierzałam. Chciałam go zabić? Czy też chciałam po prostu cisnąć kamieniem, aby coś z siebie wyrzucić?

Część mnie żywi nadzieję, że to ta druga odpowiedź jest prawdziwa, ale sumienie podpowiada co innego. Oto, jak zauważyli Luke i Phoebe, jedna ze skaz Rodzicielskich Ludzi, naszych skaz. Skaza określająca nasz gatunek. Bliźniaki powiedziały nam, że pod względem emocjonalnym nie nadążamy za postępem technologicznym. Nasz gatunek jest o krok od podróżowania z szybkością przekraczającą prędkość światła, potrafimy dokonywać mnóstwo rzeczy, o których nie śniło się

naszym przodkom, ale nie nauczyliśmy się radzić sobie z nienawiścią we własnych sercach. Jesteśmy gatunkiem, który potrafi rozwiązywać problemy, jedynie obrzucając się kamieniami. Jak mogę z tym dyskutować? Jak mogę czytać w internecie, w porannych gazetach, o wszystkich potwornościach na świecie, a potem przekonywać własne dzieci, że nie, mylą się, nauczyliśmy się postępować inaczej?

To jest mój pierwszy wpis do dziennika od bardzo, bardzo dawna. Straciłam do niego entuzjazm. Straciłam entuzjazm do wszystkiego. Po latach terapii czuję się nieco silniejsza. Może powoli dochodzę do siebie. John i ja rzadko już o tym rozmawiamy, jak gdybyśmy podjęli niewypowiedzianą decyzję, by zostawić przeszłość za sobą i koncentrować się wyłącznie na przyszłości.

W dzieciństwie słyszysz, że twoi rodzice mają rację, że musisz się od nich uczyć, a potem przekazywać tę wiedzę swoim dzieciom. Kiedy stwierdzasz, że twoje rozumienie świata różni się z tym, jak ten świat faktycznie wygląda, czujesz się dziwnie.

Nikt z nas nie wie, co przyniesie przyszłość. Gdybyśmy to wiedzieli, może postradalibyśmy rozum. Uciekamy w marzenia. Marzenia, które hołubimy w sercach. W moich marzeniach Halley żyje, jest zdrowy, dorasta; John, Halley i ja robimy razem różne rzeczy i jesteśmy szczęśliwi. Jeździmy na wakacje, chodzimy do parków, muzeów, bawimy się na miękkim białym piasku nad oceanem, wygłupiamy się i dużo się śmiejemy. Potem wracam do rzeczywistości.

Czasem, kiedy pamięć jest dla mnie łaskawa, kamień rzucony w Dettorego jawi mi się jako sen. Najczęściej jednak przeżywam tę scenę w każdej godzinie każdego dnia. Zażywam pigułki, które czasami są moimi dobrymi przyjaciółmi i pozwalają mi zasnąć, pozwalają przespać noc bez snów.

Wtedy miewam rzadkie dni, gdy czuję się wypoczęta. Czuję, że jest po co żyć. Jestem pewna, że właśnie w takich chwilach człowiek wie, że jest szczęśliwy: budzisz się i chcesz wziąć swoją przyszłość w objęcia, a nie kulisz się kurczowo przed przeszłością.

Od czasu do czasu sprawdzam w Google'u doktora Dettorego oraz Luke'a i Phoebe Klaessonów. Nie pojawia się nic nowego. Według powszechnego mniemania, Dettore zginął w katastrofie helikoptera, koniec, kropka. Wyspa, którą odwiedziliśmy, pozostaje osłonięta tajemnicą. Po naszym powrocie John przez wiele miesięcy szukał jej na Google Earth, ale bez powodzenia.

Policja również szukała, z tym samym skutkiem. Co prawda nie można powiedzieć, że bardzo im pomogliśmy. Nie zdradziliśmy, że Dettore żyje. Czuliśmy, że gdyby to się wydało, wcześniej czy później wytropiliby go fanatycy i życie wszystkich ludzi na wyspie byłoby zagrożone. John i ja mimo wszystko kochamy nasze dzieci. Jesteśmy ich rodzicami, zawsze będziemy je kochać. Nieustannie martwię się o Luke'a i Phoebe. Myślę o tym, jak sobie radzą, martwię się o ich zdrowie; towarzyszy mi nieustanny lęk, że gdyby cokolwiek im się stało, pewnie nigdy byśmy się nie dowiedzieli.

Postanowiliśmy nie mieć więcej dzieci. John pogrążył się w pracy. Ja zaangażowałam się w lokalną działalność charytatywną na rzecz dzieci. Mamy dwa czarne labradory, Brutusa i Nerona. Są słodkie, a przy tym to świetne psy obronne. Nie czujemy już zagrożenia, ale zwracamy uwagę na bezpieczeństwo. Myślę, że już zawsze tak będzie.

Dzisiaj jest jeden z tych rzadkich dni, kiedy czuję się szczęśliwa. Nie potrafię określić dlaczego; może tylko dlatego, że przeszłość jest już tak daleko. W książce o mądrości rdzennych Amerykanów natrafiłam na cytat, który doskonale streszcza to, co John i ja czujemy teraz w związku z Lukiem i Phoebe:

Chociaż wy podróżujecie w łodzi, a my w kanoe, płyniemy tą samą rzeką życia.

Przyrzędzanie sobie drinka stało się dla Johna wieczornym rytuałem, gdy wracał z pracy. Alkohol pomagał uśmierzyć ból. Ból serca z powodu utraty dzieci nie opuszczał go ani na chwilę, ale było też inne, niemal równie ważne uczucie straty: pasja, z jaką dawniej pracował, gdzieś się ulotniła. Od opuszczenia wyspy Dettorego czuł się innym człowiekiem, choć nie potrafił dokładnie określić natury tej zmiany.

Pocałował Naomi, nalał sobie dużą whisky z lodem i poszedł do siebie sprawdzić maile. Z dworu dobiegało beczenie owiec na okolicznych polach. Wiosna. Przyroda znowu budziła się do życia. Wieczór był ciepły, a w prognozach zapowiadano ładny weekend. John postanowił, że wyjmie z garażu grill, krzesła ogrodowe i stół. Może w tym roku, dla odmiany, będą mieli słoneczne lato.

Nagle zamarł. Pierwszy ze ściągniętych właśnie maili przeczytał z niedowierzaniem. Potem przeczytał go ponownie, podbiegł do drzwi i zawołał żonę.

John siedział przed komputerem, Naomi stała za nim, opierając mu dłonie na ramionach, i razem przeczytali w milczeniu słowa na ekranie:

**Przylatujemy jutro, w sobotę o 15.30, na lotnisko Gatwick, terminal północny,
British Airways, lot 225 z Rzymu. Prosimy, wyjdźcie po nas.
Luke i Phoebe**

Naomi kurczowo chwyciła męża. W jej oczach tańczyło szczęście, ale także tysiące pytań.

– To prawda, kochanie? To nie żart?

– To autentyczny mail, ale nie potrafię stwierdzić, kto go wysłał – odparł.

– Nie możesz sprawdzić, skąd przyszedł? Jego źródła czy coś w tym rodzaju?

– To konto Hotmail. Można takie założyć w parę minut w dowolnej kawiarni internetowej na świecie. Nie da się go namierzyć. – Wzruszył ramionami. – Nie wiadomo, czy to prawda, ale byłby to mocno chory żart.

– Myślisz, że wracają do domu? Na zawsze? – pytała.

– Nie mam pojęcia. – John wpatrywał się w ekran, uważnie odczytując krótką wiadomość. – Zbliżają się do dwunastych urodzin. Kto wie, co im w duszy gra. Może wyspa stała się dla nich za mała, a może chcą tu pójść na uniwersytet. Albo są nas ciekawi. Jeszcze inna możliwość jest taka, że posłali je do nas, aby pokazali nam, jak powinniśmy kształtować świat.

– Muszę pościelić dodatkowe łóżka. Musieli wyrosnąć ze swoich. A co z jedzeniem? Co im damy?

– Spytamy, kiedy się zobaczymy. Może chcieliby zjeść coś specjalnego, innego niż zdrowa żywność na wyspie. McDonald's czy coś w tym guście?

Naomi pocałowała go w policzek, objęła i mocno przytuliła.

– Mój Boże, mam taką nadzieję, że wracają, żeby z nami zamieszkać. Znowu zostalibyśmy rodziną. Czy to nie byłoby niesamowite?

John uściskał jej rękę.

– Nie rozbudzaj zbyttnio nadziei. Nie mamy pojęcia, jacy są ani co zamierzają. To dość chłodny mail. Żadnych zapewnień o miłości, całusów.

– Nigdy nie okazywali wyrazów tego rodzaju miłości.

– Otóż to.

– Mimo to uważam, że nas kochają, na swój dziwaczny sposób.

John milczał.

– Błagam, John, niech to nie będzie żart. Nie zniosłabym tego. Jestem taka podniecona. Wprost nie mogę uwierzyć!

– Zobaczymy.

– Czy nie jesteś choć odrobinę podniecony? – spytała, gładząc męża po czole.

– Oczywiście, że jestem! Chyba doznałem szoku. Jednocześnie, wiesz, ja...

– Co ty?

– Jestem zdenerwowany. Nie wiem, czego się spodziewać. Może bliźniaki potrzebują pieniędzy? Czy nie po to dzieci najczęściej spotykają się z rodzicami? Osiągają wiek, kiedy chcą zacząć kupować różne rzeczy. No wiesz, muzykę, ubrania.

– To jeszcze nie są nastolatki – zauważyła Naomi.

– Dettore uprzedzał, że będą szybciej rosnać i dojrzewać. Może wciąż mają jedenaście lat, ale domyślam się, że wyglądają jak wyrosnięte nastolatki.

Naomi wpatrywała się w mail.

– Ich list brzmi tak, jakbyśmy widzieli się zaledwie kilka dni temu. Jakby wyjechały na wakacje. Jakie to dziwne wysyłać kilka lakonicznych zdań po ośmiu latach.

– Smutne jest to, że mnie to bynajmniej nie dziwi. – John uśmiechnął się melancholijnie. Tacy byli zawsze. Najwyraźniej pod względem uczuciowym nic się nie zmieniło.

– Czy w ogóle ich poznamy?

– Naturalnie. A jeśli z jakiegoś powodu stałoby się inaczej, Luke i Phoebe z pewnością poznają nas.

Naomi mocno trzymała Johna za rękę, gdy szli chodnikiem z parkingu krótkoterminowego do hali przylotów. Na lotnisko dotarli pół godziny za wcześnie. John – typowy Szwed – był zawsze bardzo punktualny, a dziś nie chcieli ryzykować.

Oboje czuli ogromne zdenerwowanie. John miał gułę w gardle; w ustach zaschło mu na wiór. Gdy weszli, Naomi na wszelki wypadek omiotła wzrokiem halę, w razie gdyby bliźniaki przyleciały wcześniejszym samolotem. Oczywiście wiedziała, że to mało prawdopodobne. Spojrzała na ludzi w kawiarni Costa, w księgarni WH Smith, na wszystkich wokół siebie. Potem zerknęła na zegarek: 15.02. Samolot miał wylądować zgodnie z planem o 15.30, a wcześniej w saabie śledzili lot na ekranie komputera. Z doświadczenia wiedziała, że zanim pasażerowie wyjdą, upłynie kolejne pół godziny; nawet więcej, jeśli mieli bagaże do sprawdzenia.

Klaessonowie zastanawiali się, czy dzieci podróżują same, czy towarzyszy im ktoś dorosły. Może sam Dettore?

Zatrzymali się kilka metrów od ludzi czekających przed barierką prowadzącą do drzwi przylotów. Naomi czuła się niemal chora ze zdenerwowania, nie mogła się doczekać. Tyle myśli przemykało przez jej umysł. Wokół nich stali ludzie w garniturach trzymający tabliczki z nazwiskami. Kierowcy limuzyn i taksówkarze liczyli na kurs. Na wszelki wypadek zerknęła na kilka nazwisk. Na wypadek czego? Że ktoś będzie czekał na Dettorego? STANNARD. PAN FAISAL. FRANK NEWTON. PANI APPLETON. OSTERMANN PLC.

Naomi drżała. Podniecona, a zarazem przestraszona. Zniecierpliwiona. Ponaglała każdą ociągającą się minutę. John raz po raz patrzył na zegarek, a ilekroć to robił, ona patrzyła na swój. Przede wszystkim jednak wpatrywała się w drzwi. Niespokojnie lustrowała wzrokiem wychodzących. Energiczny biznesmen ciągnący niedużą walizkę przeszedł obok niej. Potem wiekowe hinduskie małżeństwo pchające wyładowany bagażami wózek. Wreszcie kobieta z bliźniaczymi córkami, a tuż za nią rozmawiający z nią mężczyzna, który również pchał wózek.

Dopiero za dwadzieścia minut mogli realistycznie oczekiwać wyjścia dzieci.

Dwadzieścia minut minęło, potem kolejne dziesięć. Przez drzwi wylewał się teraz nieprzerwany strumień ludzi, jakby kilka samolotów wylądowało jednocześnie. Następne dziesięć minut.

– Mam w Bogu nadzieję, że przylecą, John.

Skinął głową. Na widok dwóch wysokich osób poczuli przypływ nadziei. Nastolatek i dziewczyna w tym samym wieku. Przystojny chłopak miał jasną bujną czuprynę, dziewczyna była szczupła i atrakcyjna. Pchali wózek obładowany drogimi bagażami. Naomi i John zrobili krok do przodu. Chłopak objął towarzyszkę i pocałował ją w usta. Potem pomachał do kogoś w tłumie oczekujących i oboje pospieszyli na spotkanie. To nie były ich bliźniaki.

Pracownik lotniska pchał wózek inwalidzki, na którym siedziała młoda kobieta w ocieplanej kurtce, z nogą w gipsie; obok szła kobieta pchająca wózek z walizkami i nartami. Za nimi podążała niewielka grupa pasażerów o bliskowschodnim wyglądem, kobiety w burkach. Za nimi dwaj pracownicy lotniska pchali na wózkach inwalidzkich parę staruszków. John i Naomi prawie nie zwrócili na nich uwagi; koncentrowali się już na kolejnych wychodzących.

Pracownicy lotniska zatrzymali wózki inwalidzkie. Na każdym siedziała drobna, wiekowa postać z małą torbą na kolanach. John spojrzął na staruszków. Dwaj mężczyźni, pomyślał najpierw. Dopiero potem spostrzegł, że jedna z osób ma

na sobie pomarańczową koszulkę, niebieskie krótkie spodenki i tenisówki, druga zaś białą bluzkę, płócienną spódnicę i migoczące buty sportowe. Mężczyzna i kobieta, zdał sobie sprawę, czując w gardle nerwowy ucisk.

Głowy staruszków były nieproporcjonalnie duże w stosunku do drobnych ciał, czaszki nabrzmiałe jak bezkształtne orzechy włoskie; pod napiętą, pomarszczoną skórą wyraźnie rysowały się kości. John i Naomi poznali ich jedynie po oczach. Niebieskich, wyłupiastych, dużych i wpatrzonych w nich. Staruszkom brakowało połowy zębów.

Staruszka pokazywała ich ręką. Pracownicy lotniska skinęli głowami, pchnęli wózki w stronę Johna i Naomi, po czym zatrzymali się tuż przed nimi.

Klaessonowie opuścili wzrok, nie do końca zdając sobie sprawę, co się dzieje. Naomi spojrzała z przerażeniem na żalosne twarzyczki. Twarze ludzi przed dziewięćdziesiątką, może starszych. Mężczyzna miał nieco siwych kosmyków po obu stronach czaszki. Kobieta wyłysiała całkowicie.

– Witaj, mamó. Witaj, tato – powiedział Luke głosem dziecka, którym nadal był.

Phoebe uśmiechnęła się, trochę onieśmielona. Kolejno spojrzała na rodziców.

– Mówiliście, że zawsze możemy wrócić do domu, że zawsze będziemy mile widziani.

Naomi rozplakała się i uklękła. Uściskała Phoebe, potem Luke'a.

– Naturalnie, kochani. Wasz tata i ja niczego bardziej nie pragniemy. Oczywiście, że to nadal prawda. Witajcie w domu!

John spojrział na mężczyzn stojących za wózkami.

– Czy oni mają jakieś bagaże?

– Nie, żadnych bagaży – odparł jeden z pracowników lotniska, kręcąc głową. – Tylko te torebki.

– Nie trzeba nam wiele – wyjaśniła Phoebe. – Nie zostaniemy długo.

– Dlaczego? Dokąd się wybieracie?? – spytała Naomi przez łyzy.

Wtedy spostrzegła ściągniętą, pobladłą twarz Johna. Zapadło milczenie, a ona, tłumiąc łzy, zrozumiała.

PODZIĘKOWANIA

Gdy dziesięć lat temu zacząłem zbierać materiały do tej powieści, ludzie mówili mi, że „dzieci projektowane genetycznie” to science fiction. Już tak nie jest... Dziesięć lat temu naprawdę usłyszałem od jednego z czołowych genetyków, że w niedalekiej przyszłości rodzice będą mogli wybierać poziom empatii odczuwanej przez ich dziecko. Chcą mieć słodkie, łagodne dziecko, które inni będą tłamsić? Czy też twardego dzieciaka, który może wyrosnąć na socjopatę? Niełatwo dokonywać podobnych wyborów. Jednak przyszłość już puka do drzwi.

Jak zwykle winien jestem podziękowania bardzo wielu osobom, ale przede wszystkim tym, które wierzyły w tę książkę i wspierały mnie podczas długiej, a niekiedy rozpaczliwej podróży od poczęcia do publikacji. Są wśród nich: moja cudowna agentka Carole Blake, która wierzyła w powieść jeszcze na etapie, gdy była ona zaledwie pomysłem kiełkującym w mojej głowie; mój redaktor supergwiazda Wayne Brookes, który jako pierwszy żarliwie wspierał powieść. Wszyscy ludzie, od których otrzymałem nieocenione słowa krytyki i pomoc redakcyjną, zwłaszcza Anna-Lisa Davies, Susan Ansell, Susan Opie, Martin i Jane Diplockowie, Nicky Mitchell oraz moja wspaniała asystentka Linda Buckley.

Dave Gaylor, którego poznałem szczęśliwym zrzędzeniem losu, gdy był inspektorem – pierwowzór mojego bohatera Roya Grace’a – w niewiarygodny sposób pomógł mi podczas pracy nad tą książką i należą mu się gorące podziękowania.

Dziękuję też profesorowi Stevenowi D. Goodmanowi z Wydziału Biologii Uniwersytetu Południowej Kalifornii za drobiazgowe sprawdzenie faktów biologicznych oraz profesorowi Davidowi J. Andersonowi i profesorowi biologii Seymourowi Benzerowi z programu „Investigator, Howard Hughes Medical Institute 1983, Rockefeller University”, zajmującemu się analizą genetyczną połączeń nerwowych odpowiadających za zachowania emocjonalne, który dał mi tak wiele materiałów. Wielkie podziękowania dla doktor Penelope Leach i jej wyczerpującej pracy *Your Baby and Child*, Roberta Bearda należącego do FRCS, Anthony’ego Kenneya należącego do FRCS i FRCOG, Paula Tannera, Raymonda Kurzweila, Cognitive Sciences Department of Sussex University i Rutherford Appleton

Laboratory, Dave'a Chidleya z Royal Caribbean Cruise Line oraz Leifa Karlssona, kapitana *MV Azamara Quest*.

Specjalne podziękowania należą się Geoffowi Duffieldowi, którego wizja i zapał dla tej książki przyczyniły się do jej powstania, a także całemu zespołowi Macmillan.

Jak zwykle wielki dług zaciągnąłem u Chrisa Webba z MacService, który tak genialnie rozwiązuje problemy mojego komputera, że zaczynam podejrzewać, iż sam może być „dzieckiem projektowanym genetycznie”, z wbudowanymi genami uzdolnień technologicznych.

Mam wielkie szczęście, że mogę korzystać z usług Midasa, a żaden autor nie mógłby sobie wymarzyć lepszego zespołu marketingowego niż Claire Riches, Sophie Ransom, Steven Williams i Tony Mulliken.

Bywały okresy, gdy sądziłem, że praca nad tą powieścią mnie przerośnie, ponieważ porywałem się na zbyt złożony temat. Helen niestrudzenie udzielała mi wsparcia i dodawała otuchy w najczarniejszych chwilach.

Ostatnie słowa kieruję jak zwykle do wiecznie radosnej Coco, cudownej Phoebe i całkowicie wyluzowanego Oscara. Nigdy nie pozwalali mi pracować zbyt długo bez przypomnienia, że poza moim laptopem jest jeszcze świat i powinniśmy wybrać się tam na przechadzkę...

Peter James

Sussex, Anglia

scary@pavilion.co.uk

www.peterjames.com

Można mnie znaleźć i śledzić na

<http://twitter.com/peterjamesuk>

Przypisy

- ¹ Serendipity (ang.) – dokonywanie przypadkowych odkryć.
- ² 1 List do Tymoteusza 6, 20. Wszystkie cytaty biblijne za Biblią Tysiąclecia.
- ³ Księga Izajasza 5, 20.
- ⁴ Księga Koheleta 2, 2..
- ⁵ Księga Liczb, 32–23.
- ⁶ Ewangelia według św. Jana, 3, 19.
- ⁷ Księga Przysłów 23, 17.
- ⁸ Księga Psalmów 126, 5.
- ⁹ Księga Jeremiasza 22, 7.
- ¹⁰ Księga Izajasza 40, 23.
- ¹¹ List do Hebrajczyków 12, 23.
- ¹² Księga Psalmów 37, 7–8.
- ¹³ Księga Psalmów 32, 8.
- ¹⁴ List św. Pawła do Efezjan 6, 1–3.
- ¹⁵ Księga Psalmów 107, 33–38.
- ¹⁶ Księga Izajasza 1, 18.
- ¹⁷ Księga Psalmów 73, 21–22.
- ¹⁸ Tytuł płyty zespołu *The Beatles*; „Magiczna tajemnicza podróż”.